PRZEGLĄD

POWSZECHNY.

BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM BÓG JEGO.
Ps. 143.

ROK DWUDZIESTY SIÓDMY. — TOM CV.

STYCZEŃ, LUTY, MARZEC.

1910.

KRAKOW.
DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.
1910.

EWOLUCYA DOGMATU W MODERNIZMIE.

Przyjąwszy w poprzednim artykule zasadniczo różne od modernistów pojęcie objawienia, zgodziliśmy się w pewnym sensie na to nie całkiem jasne ich wyrażenie, że w pierwszem stadyum swego istnienia w świadomości Kościoła podobniejszym był depozyt wiary do »żywej rzeczywistości«, niż do kompleksu abstrakcyjnych twierdzeń.

Zgoda ta jednak była bardzo względna, bo znaczenie, w jakiem przyjęliśmy ten pogląd, różni się głęboko od tego, które przypisywali mu jego twórcy.

Owo wyrażenie »żywa rzeczywistość« w języku modernistów oznacza, że objawienie jest czemś, co tylko aktualnie odczutem być może, a żadnem pojęciem czy sądem wyrazić i utrwalić się nieda. Według naszego, t. j. katolickiego przedstawienia, objawienie było zawsze przedmiotem pojęć, nigdy materyą do samych czuć i wrażeń. Mówiąc zaś o niem jako o »żywej rzeczywistości« mieszkającej w duszach pierwszych wiernych, chcieliśmy dać wyraz dwom myślom, głęboko prawdziwym. Najpierw, że w umyśle pierwotnych chrześcijan, rozczłonkowanych, refleksyjnie poznanych prawd objawionych było istotnie niewiele: dominowała w ich świadomości i skupiała w sobie cały przedmiot ich wiary olśniewająco wielka i jeszcze nie całkiem dokładnie pojęta dobra nowina o Synu Bożym umarłym i zmartwych-

wstałym dla zbawienia ludzkości. Powtóre, w całym sposobie, jakim ta dobra nowina stawała przed umysłami pierwszych wiernych nie było nic, coby przypominało zimną i obojętną dla życia teoryę. Party olbrzymim wylewem Ducha, wchodząc z elementarną siłą w żydowskie i pogańskie środowisko, żądał wprawdzie chrystyanizm rozumowego uznania dla swej prawdy, ale w daleko większej mierze żądał moralnej decyzyi serca, a decyzyi połączonej zwykle z ciężką ofiarą. Nie było jeszcze czasu na spekulatywną analizę i budowanie teoryi wiary; zdobywano nowych wyznawców, nie tyle drogą rozumowych dowodów, ile t w i e r d z e n i e m, opartem na o k a z a n i u d u c h a i m o c y (I. Kor. 2, 4); zamiast rozprawiać, trzeba było walczyć i cierpieć. Słowem — pierwiastek rozumowy objawienia ani nie był jeszcze dokładnie wykształcony, ani wogóle nie przybrał był form, oderwanej od życia wiedzy; on cały był jakgdyby »życiem«, bo był jedną potężną prawdą ku praktyce życia skierowaną i praktyce nieomal identyczną.

Z biegiem czasu jednak przyjść musiała pora podwójnego rozróżnienia. W łonie tej »żywej rzeczywistości«, zaczęły wyróżniać się najpierw coraz świadomiej wiedza objawiona i życie, następnie, na gruncie samej wiedzy, analiza rozumowa naczelnych prawd objawionych, zaczęła wznosić budowę teologicznego systemu.

Proces, który się z tą chwilą rozpoczął, a potrwa niezawodnie aż do czasu, w którym Bóg kres położy myśli ludzkiej na ziemi, to jedno z najpiękniejszych dzieł Bożych w ludzkości: ewolucya objawionej prawdy [1].

Jak z wielkiego obrazu, pełnego barw i ruchu, dopiero po uważnem wpatrzeniu się wydobywa oko widza pojedyńcze szczegóły, tak tę falę światła z nieba, która *en bloc* weszła w jego świadomość, dopiero wiekową kontemplacyą rozłożyć miał Kościół na pojedyńcze prawdy, by w dalszym ciągu same te prawdy coraz

[1] Używając wyrażenia: ewolucya objawionej p r a w d y, zarówno jak innych wyrażeń: historya, ewolucya d o g m a t u i t. p. oczywiście bierzemy prawdę w sensie l o g i c z n y m, jako p o z n a n i e prawdy. Że objawienie w sensie o b j e k t y w n y m nie jest zdolne przyrostu i odmiany, to jeszcze niejednokrotnie będziemy mieli sposobność stwierdzić.

ściślej określać, coraz dokładniej harmonizować, coraz silniej uzasadniać.

Jak zapatruje się na ewolucyę dogmatu teologia modernizmu?

Rzecz dziwna i nieomal granicząca z paradoksem, a jednak najściślej prawdziwa: ten modernizm, co ewolucyą tak się chełpił, że prawie jej monopol sobie przywłaszczał, a teologii katolickiej martwotę i skostniałość zarzucał, ten sam modernizm ewolucyę dogmatyczną z gruntu uniemożliwił i podkopał. Uniemożliwił ją, twierdząc, że to, co jest objawieniem, żadnemu zgoła rozwojowi podlegać nie może, a to, co się w chrześcijaństwie rozwija, nie jest objawieniem i w miarę swego rozwoju staje się coraz mniej Bożem, a coraz więcej naturalnem i ludzkiem.

Bo pierwszym i nieodzownym krokiem do ewolucyi dogmatycznej jest refleksya i idąca za nią rozumowa analiza udzielonego ludziom Bożego słowa. Ponieważ słowa Boże są zawsze pełne »ducha i żywota«, pod wpływem tej analizy zaczynają tryskać z objawionej prawdy coraz to nowe promienie światła, co zrazu kryły się w tajemniczej głębi myśli Bożej; w miarę jak postępuje to badanie depozytu wiary, z ziarna kilku prawd zasadniczych rozwija się powoli cały ogromny system pojęć i sądów barwny i różnorodny, a jednak cudownie harmonijny, wykończony i twardy jak kryształ, a jednak żywy i płodny.

Czy jest możliwa analiza objawienia w modernistycznej teologii?

Jest możliwa, owszem jest i konieczna, ale konieczna tą fatalną potrzebą naturalnego nałogu, który wbrew prawu i prawdzie sprowadza myśl ludzką na bezdroża. Bo jeśli w poglądzie katolickim analiza potęgowała światło objawienia, ta sama analiza rozumowa w systemie modernizmu, od razu zabija je i gasi.

Dla modernistów bowiem tak długo jest objawienie rzeczywistem i żywem, jak długo pozostaje na właściwym sobie terenie czuć i wrażeń; przerzucone w sferę rozumowych pojęć, tem samem już wchodzi w stadyum martwoty i złudnego symbolizmu. Jak więc anatom czy chemik nigdy nie może rozłożyć żywego zwierzęcia, bo z tą samą chwilą, gdy zaczyna je rozkładać ulata zeń życie, tak ostrze rozumu, wnikając poprzez osłony symbolicznych

wyrażeń w tajniki Bożego objawienia, tem samem zabija je i zamienia w sztywne, bezduszne, a często, jak mówią, i bezsensowne formuły.

I owszem, jeszcze dalej da się przeprowadzić to samo podobieństwo.

Jak skalpel badacza umie tylko wypędzić duszę z organizmu, do duszy samej nigdy dotrzeć nie zdoła, tak analiza rozumowa nigdy nie dociera do właściwego jądra objawienia, lecz zatrzymuje się z konieczności na zewnętrznej jego skorupce, na tem, co ma tylko *une valeur de protection*, jak to z pism modernistów cytowaliśmy wyżej.

Z tego zaś wypływają bardzo doniosłe konsekwencye.

W jakąkolwiek formułę przyoblecze refleksya rozumowa pierwotne dane depozytu wiary, ta formuła nie będzie nigdy wyrazem objawionej prawdy, lecz nową przeróbką powłoki, kryjącej jądro objawienia.

A jeżeli tak jest — ponieważ na wiarę jedynie Boże słowo zasługuje — żadna formuła dogmatyczna nie może nigdy być przedmiotem wiary. Cóż więc ma do czynienia w myśl teologii modernizmu katolik, gdy sam Kościół na wyrażenie dogmatu, dajmy na to Trójcy świętej, obierze formułę: Trzy osoby w jednej naturze? Czy może jej wierzyć? Czy może przynajmniej rozumowo uznawać, że to zostało przez Boga objawione? Bynajmniej. By w jakikolwiek sposób dotrzeć do rzeczywistego objawienia, powinien katolik ponad wszystkie formuły i interpretacye ludzkie, zdobywać się na żywe odczucie tego tajemniczego dotknięcia Bożego, w którem zawierał się pierwszy akt i właściwe jądro objawienia. Że zaś na to odczucie łatwiej się zdobyć przez mistyczno-symboliczne wyrażenia Pisma św., niż przez ściśle sprecyzowane orzeczenia Kościoła i szkół teologicznych, niejednokrotnie opłakuje Tyrrell fakt, że zamiast pięknych słów ewangelicznych: Baranek, winna macica, pasterz, opoka i t. d., wprowadzono terminologię po szkolnemu określoną, a przez to zmartwiałą i sztywną.

Czy to wszystko nie jest radykalnem zabiciem ewolucyi dogmatycznej? Czy w tem pojęciu rzeczy ziarno objawienia nie

jest skazane na to, by wiecznie pozostało ziarnem, a nigdy nie rozwinęło się w roślinę?

Zresztą sam Tyrrell, choć pewno mimowoli, przyznał nam racyę w tej mierze. Wbrew wszystkim pochwałom, jakie na wielu miejscach ewolucyi oddaje, zmuszony żelazną konsekwencyą systemu, tak pisze pod koniec swego *A much abused letter:* »Czy nie wolno mi być takim katolikiem, jakim był Szymon Piotr, książę apostołów? Czy nie wolno mi żyć tak, jak on nierozwiniętym zarodkiem objawienia, a nie troszczyć się o ewolucyę dokonaną w ciągu wieków, gdy ona tylko bałamuci i prawdziwej religijności przeszkadza?«

Zaprawdę cenne to wyznanie i warto przechować je w pamięci. Na cóż się zdały wszystkie deklamacye o życiu dogmatu i jego rozwoju? Jeśli filozofemy modernizmu są prawdziwe, ewolucyi niema i być nie może; darmo przez dwadzieścia wieków mozoliła się zbiorowa myśl kościelna; po wszystkiem czego dokonano, wrócić się trzeba do nierozwiniętego zarodka.

Ale czy koniecznie ma być tak, jak mówimy? Może nie dość wnikamy w myśl modernistów? Może oni odrzucili ewolucyę, która miała iść po drogach rozumowych, a zamiast niej wprowadzili inną, biegnącą po szlakach uczucia i wrażeń.

Nie tajno nam, że tego wymagałaby konsekwencya systemu, ale czy taka ewolucya da się w jakikolwiek sposób, nie już uzasadnić, ale pomyśleć?

Do wszelkiego rozwoju potrzebną jest nieodbicie pewna jedność wewnętrzna, pewna trwałość i ciągłość. Jeżeli więc jakiś pierwiastek ma przechodzić fazy rozwoju, nie w jednej duszy, ale w duszy wielu, czy ludzi czy pokoleń, musi on być zdolny do tego, by wydoskonalony pracą jednej jednostki czy pokolenia, mógł być przekazany następnym, by ich staraniem znów nowe kroki na drodze postępu odmierzyć. Myśl w ten sposób przekazaną być może, bo słowo skrystalizuje stopień jej wykształcenia w danej chwili i słowo będzie tą formą, w jakiej myśl się przeniesie na warsztat coraz to nowych umysłów, które w ciągu wieków nad jej rozwojem pracować będą. Myśl więc

posiada ową jedność i ciągłość i trwałość, która jest koniecznym wszelkiego rozwoju warunkiem.

Czy te przymioty posiada uczucie i wrażenie?

Najpobieżniejsza refleksya upewni, że na tym terenie darmo szukać warunków rozwoju.

Uczucia i wrażenia są z natury swojej czemś tak indywidualnem i subjektywnem, że zupełnie wykluczają komunikacyę z jednostki do jednostki, o ile myśl i słowa, lub inne symbole za narzędzie nie posłużą. Stąd, póki stoi teorya, że objawienie Boże zamyka się li tylko w uczuciu, że wszelka próba wtłoczenia go w pojęcia i słowa zabija je i wypacza — pytam się, na jakiej drodze przekaże je swym następcom, choćby ten pierwszy człowiek, któremu objawienie przypadło w udziale? Ponieważ uczucia jako takiego przekazać nie potrafi, przyjdzie mu się uciec do jakiegoś symbolu. Lecz czemże jest symbol? Wszak wiemy, że w symbolu niema już żywego objawienia, lecz martwa jego skorupka! Któż ręczy, że tę skorupkę podobnem uczuciem jak poprzednik, wypełnić potrafi następca? Więc gdzież tu jedność i ciągłość i trwałość? Gdzie tu może być mowa o rośnięciu i rozwoju?

Ta trudność nie uszła uwagi teologów modernizmu. Zrozumieli i oni, że w ich teoryi rozwój depozytu wiary od pierwszej chwili rozbić się musi o niemożliwość przekazania z rąk do rąk rozwijającego się pierwiastka, przekazania, które tak pięknie, tak głęboko nazwano w Kościele katolickim tradycyą. Uciekli się więc do innego tłumaczenia. Nie mogąc utrzymać ciągłości rozwoju zapomocą czynników ludzkich, wprowadzili w grę czynnik nadziemski. W myśl modernizmu, jak to już mówiliśmy wyżej objawienie nie skończyło się z apostołami; Duch św. i dzisiaj przemawia do każdej duszy, nie tylko głosem łaski, ale i światłem objawienia. Gdzież więc będzie przyczyna jedności i ciągłości rozwoju religijnego uczucia w ludzkości? Choć objawienie, jako odczucie indywidualne, z konieczności pozostanie na dnie duszy każdego z osobna, choć wszystkie symbole zewnętrzne budzić je będą w sposób bardzo niedoskonały i u różnych różny, objawienie katolickie będzie szło drogami rozwoju i nie straci jakiejś

ogólnie pojętej identyczności, bo jest owocem jednego i tego samego Ducha, który je tchnie we wszystkie serca, a tchnie coraz to doskonalej i pełniej.

Cóż powiedzieć o tego rodzaju teoryi?

Czy tak pojęty rozwój objawienia byłby możliwy w myśl innych planów Boga względem ludzkości, tego niewiem; z zasadniczemi podstawami katolicyzmu, stoi on w absolutnej sprzeczności. Bo chociaż wedle nauki katolickiej Duch św. nigdy nie przestaje czuwać nad ziarnem prawdy Bożej rozwijającem się w Kościele i rozwoju tego ziarna nie przestaje wspomagać światłem i ciepłem swej łaski — katolikowi trzeba wierzyć, że mimo całej tej opieki, nie udziela już Duch Boży ludzkości ani jednego promyka nowego, publicznego objawienia. Katolikowi trzeba wierzyć, że ze śmiercią ostatniego apostoła całe objawienie publiczne, jakiego spodobało się Bogu udzielić światu, jest nieodwołalnie zamknięte i że cały poapostolski Kościół niema już innego zadania, jak raz otrzymany depozyt wiary z rąk do rąk wiernie przekazywać i przekazując rozwijać. Stąd zaś wypływa konsekwencya, którą istotnie stwierdza cała nauka kościelna, zwłaszcza przeciw protestantom, że przekazywanie czyli tradycya, to jeden z najistotniejszych czynników katolicyzmu. A jeżeli tak jest, to objawienie, które jest tego przekazywania przedmiotem, musi mieć wewnętrzny sobie jedności i ciągłości pierwiastek, czyli musi należeć do sfery rozumowej i rozwijać się po drogach rozumowych. Przerzucając objawienie do sfery uczuć i wrażeń, zburzyli moderniści same podstawy tradycyi katolickiej, a z nią podkopali i ewolucyę dogmatyczną.

Nie zadowolnili się jednak zburzeniem podstaw. Lubo zasadnicze usunięcie objawienia ze sfery rozumowej, już najzupełniej wystarczało do uniemożliwienia wszelkiego dogmatycznego rozwoju, nie poprzestając na tej radykalnej opozycyi, usiłują nadto moderniści wytrącić z rąk Kościoła i narzędzie, którem po wszystkie czasy dokonywało się dzieło ewolucyi. Co to za narzędzie? Jest niem, zastosowana do objawienia, filozofia.

Nie ulega bowiem wątpliwości, że nie tylko w epoce rozkwitu scholastyki średniowiecznej, ale i w epoce ojców Kościoła

filozofia była tym warsztatem, na którym przerabiano objawienie w dokładne formuły dogmatyczne. Zrazu nie był to jeszcze jakiś określony system, była to raczej prosta filozofia zdrowego rozumu i prawidłowej ludzkiej mowy, dopiero z biegiem wieków, po pewnej oscyllacyi, przechylono się w stronę jednego systemu. Po wszystkie czasy jednak uważano w Kościele, że do danych objawienia i można i powinno się stosować rozumowe prawdy i zasady [1].

O tem zastosowaniu filozofii do wiary, modernizm nic słyszeć nie chce.

»Objawienia« powiada Tyrrell, jak to już cytowaliśmy wyżej, »nie można wiązać z tym lub owym systemem filozoficznych pojęć i Kościół nie powinien się solidaryzować z tą lub ową szkołą filozoficzną. Filozofia należy do tej naturalnej sfery ludzkiego działania, w której człowiek musi mieć swobodę. Nikt niema prawa zmuszać umysłów, by na polu filozoficznem tych a nie innych trzymały się teoryi. Kościół nie dostał na to posłannictwa i obietnic Bożych, by świecił mądrością ludzką. Na jego nauce powinny spełnić się słowa św. Pawła: *Non in sapientia saeculi* i te drugie słowa Chrystusowe: *Revelasti ea parvulis*«.

Zróbmy tu kilka, bardzo potrzebnych rozróżnień.

Że Kościół, kiedy n a u c z a, zwłaszcza maluczkich, zdobywać się musi na prostotę, a zaniechać filozoficznych dociekań, to rzecz jasna i po wszystkie czasy praktykowana. Lubo już w elementarnym katechizmie spotykamy mnóstwo pojęć głęboko filozoficznych, jak natura, osoba, istota, postać i t. d. podaje je Kościół prostaczkom bez żadnych filozoficznych komentarzy, w tem przekonaniu, które dziwnie potwierdza codzienne doświadczenie,

---

[1] Temu, co mówimy, bynajmniej nie sprzeciwia się fakt, że w dziełach Ojców często napotykamy wycieczki *contra graecas et Aristotelicas vaniloquentias, contra dialecticas artes a christiana simplicitate alienas* i t. p. Ojcowie używają tych zdań, gdy powstają herezye, które w imię źle zrozumianej lub fałszywej filozofii wydają wojnę objawieniu — niewyczerpanem źródłem tych herezyi była tak zwana szkoła antyocheńska — ci sami jednak Ojcowie, którzy zdają się wogóle potępiać zastosowanie filozofii do objawienia, mniej lub więcej świadomie, ustawicznie posługują się filozofią do tłumaczenia i obrony prawdy.

że »zmysł chrześcijański« słuchaczy, zastąpi im intelektualne wyrobienie.

Ale czyż całe zadanie Kościoła na tem się kończy, by nauczać maluczkich? Czyż Kościół nie liczy do swoich dzieci i ludzi o najwyższej umysłowej kulturze, stojących w wirze wszystkich walk duchowych, jakie kiedykolwiek poruszały ludzkością? Czy Kościół nie musi codziennie stawiać czoła wrogom objawionej prawdy, zbrojnym we wszystkie zasoby umiejętności ludzkiej? Czy on przedewszystkiem sam nie musi się kształcić w osobie każdoczesnych swych pasterzy, by powierzone sobie objawienie coraz lepiej rozumieć, tłumaczyć, uzasadniać?

Jak sprostać tym zadaniom bez pomocy filozofii? Samo wykształcenie tych pojęć, które dziś w każdej szkółce wiejskiej wpajają się dziatwie, przy elementarnym katechizmie, nie byłoby doszło do skutku bez wiekowych wysiłków filozoficznej myśli.

I jest to pusty frazes mówić dalej z Tyrrell'em, że, jak Bóg nie powierzył Kościołowi materyalnego miecza, tak nie dał mu w rękę ostrza dyalektyki rozumowej, tylko potęgę miłości!

Kościół miłością żyje, miłością się szerzy, miłością, nawet w rozumowej sferze, zwycięża. Tej miłości jednak, jaką tchnął w swój Kościół, nie rzucił Chrystus na fale ślepego pietyzmu, ale ją oparł o wiarę, o wiarę w słowo swojego objawienia, a objawienie osadził na silnym, rozumowym gruncie. Z chwilą zaś kiedy to się stało, już się zaczęła i musiała się zacząć ta funkcya rozumu, którą uroczyście określił sobór watykański: »Rozum wykazuje podstawy wiary i pod światłem wiary znajomość rzeczy Bożych wykształca«[1]. Musiała ta funkcya rozumu wejść w swoje prawa, bo jest rzeczą logicznie i psychologicznie niemożliwą, by objawienie noszące charakter rozumowy, nie dało się rozumnie sharmonizować z zasadami rozumowego na świat poglądu.

A więc, wbrew wszystkim przeciwnym deklamacyom i wbrew dowolnie wykładanym tekstom Pisma św., trzeba stwierdzić, że dał Bóg Kościołowi do ręki i miecz rozumu. Nie dał go dla próżnej szer-

[1] Sess. 3. cp. 4. Denz. n. 1646.

mierki dyalektycznej, ani dla celów doczesnego postępu, ale dlatego, by mógł spełnić daną sobie misyę: *depositum custodi*, by mógł przejść uświęcając miłością, lecz uświęcając tak, jak Pan Jezus nakazał — *in veritate*. (Jan 17, 17).

I gdyby nie ten miecz rozumu dany Kościołowi do ręki, cóżby się było stało w ciągu wieków ze skarbem objawionej prawdy?

Powstaje Aryusz i mówi, że realna różnica osób Bożych nie może się obejść bez ścisłej przyczynowości. Powstaje Nestoryusz i twierdzi, że dwoistość natur w Chrystusie, koniecznie żąda podwójnej osoby. Powstaje Pelagiusz i naucza, że wolność woli nie może się ostać bez wnętrznej niezależności od Boga. Powstają po nich inni aż do ostatnich dni i sztuka po sztuce, usiłują rozszarpać święty depozyt wiary katolickiej, lub zburzyć same jego podstawy!

Cóżby się stało, gdyby Kościół nie mógł albo nie umiał rozumowych zarzutów podjąć, roztrząsnąć, odeprzeć? Jeżeli dzisiaj, gdy a n i j e d e n zarzut wrogów chrześcijaństwa nie pozostał bez odpowiedzi, jeżeli dzisiaj, choćby z okazyi encykliki *Pascendi*, w i m i ę r o z u m u usiłują zedrzeć z Kościoła znamię Bożego posłannictwa, cóż byłoby wtedy, gdyby Kościół zgoła nie umiał spełnić słów Piotrowych, by z d a ć s p r a w ę o tej nadziei, jaka w nim jest? I. Piotr. 3, 15.

Nie! Nic tu nie pomoże narzekać na intelektualizm, a rozprawiać o sile miłości, o skuteczności argumentów serca.

Prawda, że gdyby Kościół nie przemawiał do ludzi swą świętością, dobroczynnością, poświęceniem, niewielu zdobyłby dla Chrystusa przez czysto rozumowe rozprawy i dowody. Co innego jest jednak w dziele przyciągania do prawdy pewne funkcye przyznać argumentom serca, co innego jest wszelkiej funkcyi odmawiać argumentom rozumu. Żądać, by Kościół zupełnie zaniechał i sporów i dowodów rozumowych w kwestyi objawienia, a zeszedł wyłącznie na pole pracy społecznej, ekonomicznej, dobroczynnej, to albo zupełny nonsens, albo zdradziecki podstęp. Gdzie światło prawdy zagaśnie, tam i ciepło miłości ostygnie, bo

miłość nadprzyrodzona jest rzeczą zbyt wielką, by mogła rodzić się gdzieindziej, jak na gruncie objawionej prawdy.

Jeżeli jednak Kościół ma posługiwać się filozofią w dziele rozwoju depozytu wiary — o jakiej filozofii tu mowa? Czy wypada, by wiązał się z jednym tylko systemem? Czy to nie równałoby się skrępowaniu swobody katolickich myślicieli?

W tem pytaniu modernistów i w płynących z niego tak częstych skargach na panujący w Kościele »przymus filozoficzny«, bardzo wyraźnie na jaw wychodzą ich agnostyczno-sceptyczne uprzedzenia.

Cóż bowiem znaczy pytanie: jaką filozofią ma Kościół się posługiwać? Czy może jest ich kilka do wyboru? Czy przez to, że mnogo systemów wymienia każdy podręcznik historyi filozofii — i o samej filozofii jako takiej może być mowa w liczbie mnogiej?

Chociażby cała myśl współczesna zgodziła się na te poglądy, w imieniu i wiary i rozumu nigdy nie zgodzi się na nie Kościół.

Filozofia, po myśli Kościoła jest poznaniem całokształtu rzeczy w jego najgłębszych przyczynach i jego wewnętrzej harmonii. Stąd, jak prawda objektywna jest jedna, jak jeden jest rozum, który tę prawdę odkrywa, tak filozofia jedna tylko być może i tę jedną, przynajmniej w głównych zarysach, z wszelką pewnością rozum ludzki, nie odkrył wprawdzie, bo zawsze wedle niej myślał, ale od dawna już refleksyjnie poznał i w jednolity system przerobił. Sądzi więc Kościół, i w tem przekonaniu żadnemu sceptycyzmowi zachwiać się nieda, że poprzez wszystkie różnice systemów, a w wielkiej mierze dzięki tym różnicom, wznosił się i wznosi nieustannie jeden tylko gmach *philosophiae perennis*, który ma pełne prawo do miana filozofii jako takiej i pełne obywatelstwo w królestwie prawdy.

A jeżeli tak jest, to oczywiście ani może ani mogła kiedykolwiek być mowa o tem, by Kościół wybierał między filozofiami i którąkolwiek z nich adoptował dla lepszej interpretacyi nauki objawionej. Jeśli w historyi myśli kościelnej widzimy chwile jakby szukania a nawet wahania i niepewności, nie filozofii jako takiej szukał wtedy Kościół, bo tę od wieków wybrał

był dla niego Duch Boży, ale oglądał się, w którym systemie znajdzie najwięcej materyału do jej wzniesienia. Jakoż jeden tylko system przyjął prawie w całości, ze wszystkich innych wydobył to, co nadawało się do jego budowy, bo zawsze do niej należało prawem prawdy.

Gdyby rzecz pojmować inaczej, przyznajemy, że można postawić pytanie, czemu jeden system faworyzować przed drugim, czemu wynosić Arystotelesa nad Platona a św. Tomasza z Akwinu nad Kartezyusza. Ale jeżeli, jak jest w istocie, i u Arystotelesa i u św. Tomasza i u wszystkich innych geniuszów szukał Kościół, nie ludzi i ich systemów, ale *magis amicam veritatem* — któż może wziąć za złe Kościołowi, że prawdę objawienia spoił z prawdą filozoficzną i któż może się lękać czy przez to umysł ludzki w swojem prawie do prawdy pogwałcony nie będzie [1].

---

[1] Niech nam wolno będzie skorzystać ze sposobności i dodać tu słowo wyjaśnienia do jednej z poprzednio rzuconych myśli naszych. Pisaliśmy niedawno na tem samem miejscu (Dwie filozofie), że istota systemu św. Tomasza, to »wielki objektywizm fizycznej i metafizycznej prawdy«. Z kilku stron bardzo poważnych spotkaliśmy się z zarzutem, że tego rodzaju określenie niedostatecznie wyraża właściwe cechy systemu filozoficznego Anioła Szkoły. Przyznając w zupełności, że określenie jest zbyt treściwe i że, bez komentarza, łatwo być może źle zrozumiane, sądzimy jednak, że może nie mija się z prawdą myśl na dnie tego określenia leżąca Czy można coś większego powiedzieć o systemie filozoficznym, jak to, że jego cechą jest objektywizm? Czy nie znaczy to innymi słowy, że uważamy system św. Tomasza za filozofię jako taką, za najdoskonalsze wcielenie jednej jedynej *philosophia perennis*, nie za jakąś filozofię, jedną z wielu? Każdy system chciałby być objektywnym — pełny objektywizm, nie tylko w tendencyi, ale w rezultacie, znajdujemy jedynie u św. Tomasza i dlatego już sam przez się może on służyć za szczególne znamię myśli Anielskiego Doktora w odróżnieniu od innych poglądów. Dodajemy jednak ponadto: »objektywizm fizycznej i metafizycznej prawdy« — by przez to już wyraźniej zaznaczyć główne linie tej ściśle objektywnej budowy. Czy może te linie są zbyt szeroko zarysowane, a przez to pozbawione rysów temu jednemu systemowi własnych? I to nam się nie wydaje. Wystarczy rozwinąć pojęcie: objektywizm fizycznej i metafizycznej prawdy, a znajdzie się w niem wszystko, co u św. Tomasza jest na pewno objektywne, a zatem systemowi jego istotne. W tych kilku słowach mieści się *in nucleo* prawie cała jego teorya poznania, ontologia i teologia naturalna, duża część jego psychologii a nawet kosmologii. Dodajmy jeszcze i to, że powyższego określenia nie uważaliśmy za wskazówkę dla kogoś, który dopiero szuka systemu św. To-

Owszem — i to jeszcze nie jest dość dokładne wyrażenie, że Kościół s p o i ł prawdę objawioną z prawdą filozoficzną. Ta prawda objawiona, lubo z góry dana i rozumem nigdy nie docieczona w zupełności, jak sama ze siebie przystawała do jednej tylko prawdziwej filozofii, tak od pierwszej chwili zjawienia swego na świecie, sama ze siebie się z nią zrosła w jeden system chrześcijańskiego na świat poglądu.

Objawienie bowiem, jak mówiliśmy już poprzednio, nie przyniosło ludziom ani nowych praw myślenia, ani całkiem nowych pojęć. Udzielając się światu, nie jakimś głosem z nieba, ale przez ludzkie usta Chrystusa i apostołów lub natchnionych pisarzy, od pierwszej chwili było już objawienie jakby ulane według form i kategoryi ludzkiej myśli i ludzkiego języka, a tem samem nosiło w swem łonie pierwiastki tej jednej prawdziwej filozofii, którą Kościół uznał za własną.

Niech powie np. pierwotna formuła objawienia, że »zabitym został Sprawca żywota i ukrzyżowanym Pan chwały« (Dziej. 3, 15. 1. Kor. 2, 8). Jak w prostych tych słowach zawiera się już c a ł a tajemnica hypostatycznego zjednoczenia i w s z y s t k i e późniejsze określenia soborów, tak jest z nimi najściślej związana nie inna, nie np. kancyańska, ale katolicka filozofia natury i osoby. Podobnież, jak w innych słowach: »To jest ciało moje« (Mat.

---

masza, ale za krótki wyraz przewodniej myśli filozofii tomistycznej, gdy ona już gruntownie poznaną została. Czy wreszcie określenie nasze jest czy nie jest chybione — jednego niebezpieczeństwa w każdym razie unika. Nieraz można się spotkać z tak silnem akcentowaniem przymiotnika: »tomistyczny«, że wobec niego schodzi na plan drugi inny przymiotnik: »prawdziwy«. Nasze określenie stara się zaznaczyć, że przymiotnik »tomistyczny« dlatego jest cenny, że »prawie całkiem się pokrywa z przymiotnikiem »prawdziwy« i w takiej mierze cenny, w jakiej się z nim pokrywa. Sądzimy bowiem, że wielką czynią krzywdę i św. Tomaszowi i, co więcej, Kościołowi katolickiemu ci, którzy tezy wątpliwej objektywności albo z wszelką pewnością nieobjektywne i przez większość szkół katolickich odrzucone, podają za kamień węgielny systemu św. Tomasza. Powinni ci myśliciele rozważyć, że tez swoich w Kościele nigdy nie przewalczą, bo oczywistość wmówić się nie da tam, gdzie jej niema, a tem postępowaniem swojem nie dopuszczają do tego, by prawdziwa o b j e k t y w n a filozofia tomistyczna silne wśród katolików zapuściła korzenie.

26, 26) mieści się potencyalnie cała teologia eucharystyczna, tak kryją się w nich logiczne i ontologiczne pojęcia i zasady, w katolickiej filozofii przyjęte, bez których byłoby to słowo niezrozumiałem lub błędnem.

I temu właśnie naturalnemu zrośnięciu danych w objawieniu prawd z prawdami filozoficznemi zawdzięczamy całą ewolucyę dogmatyczną.

Wiedząc, że objawienie, lubo z wyższego źródła płynące, jest p r a w d ą, prawdzie rozumowej pokrewną, śmiało zapuszczał weń Kościół sondę rozumu, przekonany, że nie zagasi nią światła ale je rozjaśni. Gdzie mógł — tłumaczył wszystko; gdzie natrafiał na niezgłębioną tajemnicę, starał się dotrzeć jak tylko mógł najbliżej do jej jądra, by je choć analogicznemi pojęciami, ale jaknajściślej wyrazić i określić.

A idąc tą drogą określania i precyzowania, o ile trzymał się wiernie przesłanek objawionych, wierzył Kościół, że nowa, ewolucyą otrzymana formuła jest d o g m a t e m w i a r y, nie jakąś ludzką interpretacyą i dlatego nie wahał się ustami soborów i papieży tych właśnie formuł d o w i e r z e n i a podawać. I tak bynajmniej nie wystarczy z Tyrrell'em w i e r z y ć tylko w zarodek np., że »ukrzyżowany jest Pan chwały«. Tą samą wiarą należy objąć, mimo jej filozoficznych terminów, rozwiniętą formułę, przez Kościół do wierzenia podaną, że »w Chrystusie jest jedna Boska osoba a dwie zupełne i niezmieszane natury«. Nie wystarczy wierzyć, że Piotra nazwano opoką, pasterzem, klucznikiem królestwa niebieskiego; trzeba w i e r z y ć, że »biskup rzymski ma prymat jurysdykcyi nad całym Kościołem katolickim i że zbłądzić nie może, gdy z wyżyn stolicy apostolskiej podaje coś wiernym za objawioną od Boga prawdę«. Ktoby z modernistami, w jakimkolwiek dogmacie, pierwotną formułę przyjmował, odrzucał rozwiniętą, ten łudziłby się tylko, że jest katolikiem i wracałby tylnemi drzwiami do niedorzecznej zasady starego protestantyzmu o dostateczności Pisma świętego. Istotą katolicyzmu jest przylgnięcie umysłem i sercem do nieomylnego a żywego pasterskiego i nauczycielskiego urzędu, a więc przylgnięcie do objawienia, nie tylko

w jakimś pierwotnym jego wyrazie, ale tak, jak się przez wieki w myśli i ustach Kościoła rozwinęło i rozwija.

I błogosławiony ten obowiązek rozwoju i życia.

Jeśli w pierwotnej swej formie podobne było objawienie do bryły złota, z grubsza tylko lub wcale nie obrobionej, po wiekowej pracy myśli chrześcijańskiej, w tym samym skarbcu depozytu wiary posiada już katolik misternie rzeźbione, a niemniej szczerozłote klejnoty dogmatów, które mu świecą jak gwiazdy na sklepieniu intelektualnej budowy[1]. Ileż to opracowanie dogmatu usunęło wątpliwości, jak uzbroiło na wszystkie walki, jak dopomogło do spełnienia pragnień apostoła »byśmy nie byli uniesieni od każdego wiatru nauki, na oszukanie błędu!« (Efez. 4, 14).

Ale konieczność rozwoju leżąca w chrystyanizmie nie tylko dla wiary ściśle wziętej błogosławione owoce wydała.

Z powodu tego zrośnięcia objawionej i filozoficznej prawdy, o jakiem mówiliśmy wyżej, samej filozofii chrześcijańskiej jako takiej dostało się pewne uczestnictwo w sile i jasności objawionej prawdy. Zespolony z prawdami rozumowemi objawiony pierwiastek dźwignął je niejako i umocnił samym sobą tak, jak wogóle rzecz nadprzyrodzona łącząc się z naturą dźwiga ją i umacnia. I dzięki temu wzniósł się gmach katolickiej filozofii i katolickiego światopoglądu tak silny, jednolity, harmonijny, że o czemś podobnem marzyć nie można było bez objawienia, tak, jak istotnie marzyć o tem przestała niechrześcijańska myśl współczesna.

Oto co przyniosła ewolucya, zdrowa ewolucya katolicka, a dlatego zdrowa, że oparta na prawdzie.

Cóż u modernistów?

Im można najsłuszniej powtórzyć to, co Newman rzucił

---

[1] Tego samego porównania, rzeźbienia poszczególnych klejnotów z bryły złota, używa już w naszej materyi wielki ojciec ewolucyi dogmatycznej Wincenty Liryneński: »Depositum custodi... aurum accepisti, aurum redde... Sed... o sacerdos, o tractator, o doctor, si te divinum munus idoneum fecerit, esto spiritalis tabernaculi Beseleel, *pretiosas divi dogmatis gemmas exsculpe*, fideliter coapta, adorna sapienter, adiice splendorem, gratiam, venustatem«. Common. 1. cp. 22. Migne P. L. t. 50, col. 667.

w oczy protestantom: Wy nie jesteście w prawdzie, bo nie umiecie się rozwijać!

Mimo tak silnie akcentowanych haseł, żywotności, postępu, rozwoju — pokazał się modernizm tem, czem był w istocie, nie nową falą świeżego życia w katolicyzmie, ale chorobliwą sureks-cytacyą garstki neurasteników umysłowych, w których dawno już chwiać się zaczęły silne podstawy wiary i zdrowej filozofii.

I dlatego właśnie nic on nie zrodził.

Nieuchwytne widziadło systemu bez żeber i kości, którego cała siła w suggestyi, cała taktyka w braku precyzyi, cała podstawa w chorobliwości myśli dzisiejszej — tem był modernizm.

Mówimy »był«, bo *de facto* przestał już istnieć. Tu i owdzie rekonwalescencya umysłów katolickich nie całkiem jeszcze przyszła do skutku, sama choroba jednak jest już złamana. Błąd pokonany leży przy drodze, a Kościół idzie dalej młody i silny po szlakach p r a w d y ku coraz pełniejszemu ż y c i u.

Ks. Jan Rostworowski.

KSIĄŻKA O KWESTYI KOBIECEJ.

Nikt, znający choć powierzchownie tylko dzisiejszy ustrój społeczny, nie zamknie oczu na zasadnicze błędy, jakie się w nim znajdują. O istnieniu takich błędów świadczą najrozmaitsze i nieraz wprost rozbieżne prądy, nurtujące w łonie dzisiejszych społeczeństw, prądy, które umysły i namiętności w najróżniejszych unoszą kierunkach. Zacięte spory toczą się o kwestye najbardziej podstawowe i dla ludzkości najbardziej istotne, i niema nadziei, żeby rychło doprowadziły do zupełnego i zasadniczego ich rozwiązania.

Tak rzecz się ma z kwestyą robotniczą, tak z kwestyą wychowania młodzieży, tak samo z kwestyą kobiecą.

I wszystkie te i tym podobne kwestye można uważać za odłamy tylko jednej doniosłej, zasadniczej kwestyi, kwestyi społecznej. A kwestya kobieca jest może bardziej niż inne kwestyą społeczną. Richl powiada w swem głośnem dziele o rodzinie, że zaburzenia w kwestyi społecznej sprowadzają się ostatecznie do zapoznanej różnicy między mężczyzną a niewiastą [1].

Literatura, mająca za przedmiot rozwiązanie kwestyi kobiecej, jest już wprost olbrzymią. Lecz nic nie świadczy może wymowniej o zawziętości, z jaką się walkę o kwestyę kobiecą prowadzi, jak ta nader znamienna okoliczność, że większa część autorów tych nieprzejrzanych dzieł, broszur i artykułów nawet

[1] *Die Familie*, X. Stuttgart 1889, 25.

jasnego pojęcia o tem nie ma, co to jest kwestya kobieca. Jedni widzą jej istotę w zupełnej emancypacyi kobiety, nie tylko od zwierzchności mężczyzny lub od więzów koła rodzinnego, ale także, lub przedewszystkiem w uniezależnieniu kobiety od istniejących praw państwowych, od powagi wiekowej tradycyi, a nawet od niezmiennych praw przyrody i odwiecznych zasad moralności. Wspomnieni pisarze — a do nich należą w niemałej liczbie same kobiety — idą w swej stronniczości tak daleko, że widzą urzeczywistnienie ideału kobiecego dopiero w wyzuciu się ze wszelkiej wrodzonej delikatności, skromności a nawet przyzwoitości. Inni znowu z góry odrzucają nawet możliwość kwestyi kobiecej i uważają dzisiejszy ucisk kobiecy za proste szaleństwo. Niema zatem nadziei jasnego rozwiązania problemu tam, gdzie namiętność góruje nad rozumem, gdzie chwilowe zachcianki lub nieuzasadnione przekonania zastępują logiczne myślenie i filozoficzne badanie trudnego przedmiotu.

I tu właśnie tkwi, zdaniem naszem, główna przyczyna, dlaczego literatura o kwestyi kobiecej, pomimo swych olbrzymich rozmiarów jest tak jałową: piszący o tej kwestyi nie zdają sobie jasno sprawy z tego, na czem wogóle kwestya kobieca polega, i na jakich podstawach należy się oprzeć, by dojść do jej rozwiązania. Nie wystarczy bowiem rzucić się bez pamięci w wir dzisiejszej zawieruchy społecznej i na wszystkie strony roztrącać jak Don Quichote; w ten sposób powstaje tylko większe jeszcze zamieszanie. Każdy silniejszy prąd umysłowy lub społeczny, zawiera w sobie obok prawdy dużo fałszu. Cóż dopiero, gdy gwałtowny huragan się zrywa, gdy deszcz ulewny zmywa pola, gdy fala za falą w szalonym pędzie się toczy!

Dlatego dzisiaj tak trudno, jasno rozróżnić zdrowe poglądy i dążności od przesady i jednostronnego błędu.

A jednak takie rozróżnienie ma niezmierną doniosłość tak dla mężczyzny jak i dla kobiety; albowiem, jak słusznie zauważa Fr. W. Foerster [1], cały ten ruch wciska się dzisiaj w najbardziej osobiste postanowienia i zwyczaje życiowe obojga płci, roz-

[1] *Lebensführung. Ein Buch für junge Menschen.* Berlin 1909, str. 235.

trząsa wszystkie zasadnicze kwestye o wyborze stanu, o wykształceniu i o życiu rodzinnem, i zmusza nas do gruntownego zbadania, wyjaśnienia i umocnienia własnego stanowiska naszego względem tych kwestyi.

By więc zawiązać kwestyę kobiecą, należy zająć stanowisko bezstronne zupełnie, dalekie od wrzawy wojennej, stanowisko wyższe nad obecną chwilę, z którego można objąć całokształt tego ruchu w biegu dziejów wiekowych, odróżnić istotę od szkodliwych naleciałości.

Rzut oka na historyę kultury ludzkiej przekona nas niebawem, że kwestya kobieca nie jest bynajmniej tak nową i młodą, jak się to wielu wydaje. Już Platon broni w swojej *republice* umysłowej równości kobiety z mężczyzną i żąda nawet, by urzędy państwowe piastowały kobiety zarówno jak mężczyźni. Cycero protestuje w swem dziele *De republica* przeciwko temu zapatrywaniu, jakoby niewiasta pod względem intellektualnym była niższą od mężczyzny. Seneka widzi w stanowisku, jakie kobieta zajmuje, zbawienie lub upadek państwa [1].

Przyznać jednak należy, że w narodach pogańskich podobne głosy były nader rzadkie; wogóle kobieta zajmowała u nich stanowisko o wiele niższe od mężczyzny. Dopiero chrześcijaństwo nauczyło ludzkość, że nie tylko wszystkie narody są sobie zasadniczo równe, ale także, że kobieta ma równą godność jak mężczyzna, że nie jest jego niewolnicą, sługą, ale jego towarzyszką, pomocnicą, przyjaciółką, uzupełniającą jego uzdolnienie fizyczne, intellektualne i moralne do jednej wspaniałej, harmonijnej całości. Chrześcijaństwo przypomniało ludziom i rozpowszechniło zasady zdrowej filozofii, poznane już przez pogańskich myślicieli. Chrześcijaństwo określiło z nadzwyczajną jasnością, ścisłością, a zarazem głębokością zadanie kobiety obok mężczyzny, nie tylko w rodzinie, ale i w państwie, narodzie, kościele, a przez to w całej ludzkości. Chrześcijaństwo dało nam wspaniałe konkretne przykłady, jak należy praktycznie kwestyę kobiecą rozwiązać. Przypominam tylko ten przedziwny i dziwnie uszlachetniający kult

[1] *Herders Konversationslexikon art. Frauenbewegung.*

Matki Najświętszej w kościele katolickim; przypominam stanowisko kulturalne takich idealnych niewiast w wiekach średnich, jakiemi były Roswitha z Gandersheim, Regilind z Admont, święta Klara z Assyżu, św. Gertruda, św. Brygida, św. Katarzyna z Sieny i wiele innych. W piętnastym wieku broniła wysoce wykształcona Krystyna de Pisan naukowego wykształcenia kobiet, a Agryppa z Netusheim napisał dzieło pedagogiczne o zaletach płci żeńskiej. W XVI wieku pisał Baltassare Castiglione swój głośny traktat o wykształceniu chrześcijańskiej niewiasty. Dalej należałoby tu wspomnieć o niezliczonych prawie zakonach i kongregacyach żeńskich, które dla obsługi chorych, dla wychowania dzieci, dla pielęgnowania upadłych dziewcząt i t. d. i t. d. się poświęciły i poświęcają, a przez to niezmierne usługi całej ludzkości wyświadczają.

Kwestya kobieca istniała więc już od dawna, a co ważniejsza, ludzkość, pouczona przez chrześcijaństwo, wiedziała jak tę kwestyę praktycznie rozwiązać należało. I dlatego kwestya kobieca nie była tak palącą jak dzisiaj, gdy indywidualizm, sceptycyzm i agnostycyzm na wszystkich polach się rozpanoszył, gdy indyferentyzm religijny najgłębsze podwaliny życia społecznego podmulił, gdy materyalizm, senzualizm i najbardziej wyrafinowany egoizm, własne zachcianki stawił ponad ogólno-ludzkie prawa i zasady.

Mylnem byłoby jednak mniemanie, jakoby te zmiany na polu religijnem i moralnem były jedyną albo bezpośrednią przyczyną kwestyi kobiecej w dzisiejszej formie. Ta bezpośrednia przyczyna jest podwójna: uprawnienie małżeństwa cywilnego przez autonomiczne państwa z jednej strony, a zmiana przemysłu rękodzielniczego i domowego w przemysł maszynowy i fabryczny z drugiej stony.

Uprawnienie małżeństwa cywilnego, powiada O. Augustyn Rösler C. SS. R. w swem zasłużonem dziele: *Die Frauenfrage vom Standpunkte der Natur, der Geschichte und der Offenbarung*, które przed dwoma laty wyszło w drugiem, zupełnie przerobionem i znacznie powiększonem wydaniu [1], jest pierwszą i naj-

[1] Herder 1907. XX + 578 stronnic M. 8, oprawione M. 9 f. 40.

głębszą przyczyną współczesnego ruchu kobiecego. Kobieta bowiem nie może pojąć własnego obowiązku posłuszeństwa względem małżonka, jeżeli ten nie jest odpowiedzialnym przedstawicielem wyższej powagi, lecz przywileje swoje z własnej indywidualnej autonomii wyprowadza. I nie wystarcza tu zwrócić uwagę na istniejące prawo państwowe; według dzisiejszego zapatrywania prawo państwowe jest tylko zmienną wolą wszystkich mężczyzn autonomicznych razem wziętych. Zastanawiając się nad tem, kobieta dochodzi z natury rzeczy do pragnienia bezwzględnego równouprawnienia z mężczyzną. Kobieta nie może się już o tem przekonać, że wyższe prawo wewnętrzne łączy ją z mężczyzną w jedną organiczną całość, i wskutek tego nie widzi swej wolności w dobrowolnem i całkowitem wypełnieniu tego prawa życiowego. Związek małżeński jest dla niej tylko przypadkowem pożyciem, zależącem w równej mierze od jej woli jak od woli mężczyzny. Czem według tego zapatrywania jest państwo, mianowicie agregatem równych sobie osobników złączonych tylko zewnętrznie zapomocą praw państwowych, tem jest także pierwowzór państwa, rodzina czyli pożycie małżeńskie. Dlatego domaga się kobieta tego samego politycznego prawa wyborczego, jakie dotąd wyłącznie mężczyznom przysługiwało, ażeby w ten sposób mieć równy udział w prawodawstwie. A dalej, by wobec mężczyzny zachować swą niezależność tak w małżeństwie, jak i poza małżeństwem, kobieta musi dążyć do równej pracy zawodowej, zapewniającej jej byt doczesny, a wskutek tego do równego wykształcenia. Całą kwestyę kobiecą— tak kończy O. Rösler swoje rozumowanie — można zatem z jej strony prawniczej, ekonomicznej i pedagogicznej wyprowadzić z kwestyi małżeństwa.

Nie ulega wątpliwości, że Rösler w swoich wywodach ma zupełną słuszność. Lecz ruch kobiecy nie byłby się może w ostatnich czasach tak szybko i gwałtownie rozwinął, gdyby nie inna nie mniej doniosła okoliczność, na którą wspomniany już Fr. W. Foerster zwraca uwagę, to jest zupełny przewrót przemysłowy i ekonomiczny. Niesłychany rozwój przemysłu był już dawniej usunął produkcyę gospodarczą z domu rodzinnego i przeniósł ją w rzemiosło, a w ostatniem stuleciu do fabryki. Kobieta widziała

się więc zmuszoną albo zatrzymać swą dawną pracę i wraz z nią opuścić dom rodzinny, albo zostać bez roboty, a wskutek tego bez chleba. Im dotkliwiej wskutek tej zmiany duchowa, moralna i społeczna nędza dla braku pracy życiowej, dała się kobietom we znaki, tem energiczniej domagały się wstępu do zawodów męskich, do wykształcenia i wolności męskiej. Lecz wobec takich żądań mężczyźni poruszyli kwestyę, czy takie zupełne zrównanie kobiety z mężczyzną nie pociągnie za sobą utraty właściwości kobiecej, niezbędnie potrzebnej dla kultury ludzkiej nie mniej, jak dla rodziny: kobieta ma swoje naturalne stanowisko w rodzinie, a nie w zawodach mężczyzn! Na to odpowiedziały kobiety, że niema sensu kobiecie polecać dom i rodzinę, kiedy warunki ekonomiczne i inne okoliczności życiowe prawie połowę kobiet wykluczają z życia domowego i do własnego zarobkowania zmuszają. Zresztą gdy mężczyźni kobiecie dom rodzinny tak zalecają, ukrywają tylko bardzo nizkie pojęcie o zadaniu kobiety, mianowicie jakoby nie była ludzką osobistością, lecz istotą li tylko płciową, bez własnej godności, bez własnego duchowego zadania. Taki nizki i jednostronny pogląd, powiadają, można tylko uleczyć i wyrugować przykładem samodzielnych kobiet, które życiem swem i wybitną pracą w różnych zawodach dają świadectwo, że kobieta bynajmniej nie jest niewolnicą naturalnego tylko przeznaczenia swego. A jeżeli się mówi o wciskaniu się kobiety w zawodową pracę mężczyzn, to należy zwrócić uwagę na to, że praca zawodowa równa męskiej, bynajmniej nie niszczy właściwości kobiecej, lecz, że ją raczej rozszerza i potęguje, jak i z drugiej strony stanowisko kobiety w domu rodzinnym, przez wyższe wykształcenie i większą samodzielność tylko zyskać może [1].

Podobne rozważania posiadają dzisiaj wielką doniosłość i aktualność — i przyznać należy, rozwiązanie takich i tym podobnych zagadnień nie jest tak łatwe, jak się niejednej emancypantce wydać może. Żeby na kwestyę kobiecą w dzisiejszej formie dać jasną odpowiedź, należy więc iść o wiele głębiej i nie opierać się na chwilowych prądach lub zmiennych teoryach. Jak każde

[1] Foerster l. c. str. 237, 238

gwałtowne zrywanie z tradycyą i zaniedbanie praw przyrody prędzej czy później mścić się musi, tak i kwestya kobieca nie doprowadzi do trwałych i zbawiennych dla ludzkości owoców, jeżeli stanowisko lekceważyć będzie, jakie sama przyroda, a zatem sam Bóg, stwórca i prawodawca przyrody, kobiecie wyznaczył. Kto więc kwestyę kobiecą w takie hasło ujmuje: należy kobietom na każdem polu wywalczyć zupełną równość z mężczyzną, ten z góry wychodzi z fałszywego założenia i doprowadzi tylko do zgubnego przewrotu, w którymby sama kobieta najwięcej ucierpiała. Pytanie należy raczej tak postawić: jakie przeszkody istniejące w dzisiejszych zwyczajach i warunkach życiowych należy usunąć, by kobieta mogła swe wrodzone zdolności i swoje tak naturalne jak nadprzyrodzone przeznaczenie jak najwszechstronniej rozwinąć i wydoskonalić? Co należy pozytywnie czynić — w prawodawstwie, w przemyśle, w wychowaniu i wykształceniu — by kobieta to podwójne zadanie swoje w zupełności spełnić mogła? Jeżeli pytanie tak postawimy, przekonamy się natychmiast, iż cały szereg postulatów ze strony skrajnych emancypantek od razu upada. A natomiast pytanie podobne zwróci naszą uwagę na olbrzymie pole, na którem kobieta z nieocenionem dla ludzkości błogosławieństwem wszystkie swe siły i zalety bez przeszkody rozwinąć może.

Niezmiernie trafną i głęboką jest pod tym względem uwaga F. W. Foerstera — nad którą oby się każda kobieta dążąca z całą świadomością do swego celu jak najczęściej i jak najgłębiej zastanawiała: Dzisiejszy ruch kobiecy nie jest za wiele, lecz za mało reformacyjny. Kobiety zadawalają się zbyt prędko tem, że mogą mieć równy udział w wykształceniu i w zawodach z mężczyznami. Lecz czy nie polega może najwłaściwsza i najdonioślejsza emancypacya kobiety właśnie na tem, że w pełnej świadomości swego zadania protestuje przeciwko współczesnemu pojmowaniu pracy i wykształcenia? Dopiero wtedy wywierałaby kobieta wpływ na zawodową pracę mężczyzn; wszystko inne byłoby tylko wciskaniem się zawodów męskich w świat kobiecy. Czy w rzeczy samej bezwarunkowe przyjmowanie pracy i nauki mężczyzn nie jest właśnie nowym tryumfem męskiej wyż-

szości z całą nieprzepartą siłą jej suggestyi? Czy proste podporządkowanie się pod cywilizacyę mężczyzn nie jest może właśnie największą zależnością kobiety? A wreszcie, czy wolna i niezależna kobieta nie odda dobrowolnie mężczyznom największej części dziedzin pracy, do jakich otrzymała wstęp wolny, dlatego właśnie, że doszła powoli do głębszego zrozumienia swej prawdziwej siły i swego prawdziwego zadania?

Wspomnieliśmy już, że chrześcijaństwo dało najgłębsze, najbardziej naturalne i najkonsekwentniejsze rozwiązanie kwestyi kobiecej. Wpływ uszlachetniający chrześcijańskiej nauki objął powoli wszystkie kierunki życia ludzkiego, objął także stosunek mężczyzny do kobiety i na odwrót. Wzniosłe przykłady wielkich i silnych charakterów kobiecych pokazały praktycznie, jakiemi drogami kroczyć należy. Dzisiaj może więc o to tylko chodzić, by iść za tymi drogowskazami, przyczynić się do tego, by te zdrowe zasady stały się ogólnemi i powszechnie praktycznemi, ażeby każda, i najsłabsza nawet, czy to fizycznie czy moralnie niewiasta, mogła dojść do pełnej doskonałości sobie właściwej.

Już te choć nieliczne uwagi dowodzą dostatecznie, że gruntowne rozwiązanie naszej kwestyi domaga się głębokich studyów nie tylko historycznych, ale przedewszystkiem filozoficznych i psychologicznych. Taką właśnie pracę posiadamy w wspomnianem wyżej dziele O. Röslera, którą można uważać za zupełnie wyczerpujący traktat o kwestyi kobiecej. Dzieło to powinien każdy nie tylko raz przeczytać, ale przestudyować, kto w naszej kwestyi głos zabiera, czy to w odczytach, czy to w parlamencie i prawodawstwie, czy też w książkach. Jasne postawienie kwestyi jako takiej, gruntowna, głęboka i wszechstronna analiza podstaw tej kwestyi, przedmiotowe i spokojne, naukowe rozważenie wszystkich odnośnych czynników i wpływów, trafna analiza psychologiczna: oto główne zalety tej pracy. Jak z jednej strony autor z całą energią broni praw i przywilejów kobiety, tak z drugiej strony z niemniejszą energią odrzuca za daleko idące żądania niektórych emancypantek i feministek. Znajomość literatury odnośnej jest bardzo wielką, a trafnie dobrane cytaty najrozmaitszych autorów oświetlają rzecz z różnych stron, służąc zarazem za dowód wła-

snych wywodów autora. A co najważniejsza: autor zajmuje stanowisko zupełnie pewne i niezachwiane, stanowisko odwiecznej, przez chrześcijańską religię uszlachetnionej i udoskonalonej filozofii. Autor stawia sobie najpierw pytanie, jaką odpowiedź na naszą kwestyę daje sama przyroda, uzdolnienie fizyczne i psychiczne kobiety. I słusznie zupełnie, bo prawo natury jest wyrazem prawa Bożego; przyroda jest jedną z tych ksiąg wspaniałych, w których Bóg naukę swoją ludziom ogłosił. Obszerne studyum historyczne pokazuje następnie, jakie stanowisko zajmowała kobieta w narodach pogańskich i chrześcijańskich, wykazuje wpływ reformacyi w wieku szesnastym, naturalizmu w wieku ośmnastym i dziewiętnastym i różne objawy ruchu kobiecego w różnych krajach aż do dni naszych. Studyum filozoficzne i historyczne wieńczy wreszcie studyum teologiczne, czerpiąc z objawienia niezmiernie głębokie i doniosłe wskazówki.

Książka Röslera nie dożyje wprawdzie 41 wydań, jak głośna książka Bebla *Die Frau,* ale przyczyna tego nie leży w mniejszej wartości tej książki, lecz w tem, że Rösler nia pochlebia namiętnościom. Prawda nigdy nie miała zbyt wielu przyjaciół. Ale w prawdzie jedynie leży zbawienie.

Że autor nie szuka uznania ludzi, lecz jedynie prawdy i dobra ludzkości, o tem świadczy cała książka od pierwszej aż do ostatniej stronicy. Jako przykład niech nam posłuży zdanie autora o jednym z najbardziej dzisiaj roztrząsanych punktów w kwestyi kobiecej, mianowicie o równem zupełnie z mężczyznami dopuszczeniu kobiet do działalności politycznej, jak np. do równego prawa głosowania, wyboru i t. d. i t. d.

Każdy zdrowy organizm społeczny, powiada autor (str. 137) powinien na sobie nosić charakter pierwotnego i podstawowego społeczeństwa, t. j. pojedynczej rodziny. Z pierwotnej komórki rodziny rozwinął się powoli cały organizm państwowy, z tych komórek on się ciągle odnawia i wzmacnia. Rzecz ma się tu podobnie jak u każdej jednostki. Rozwinięty w wieku dojrzałym mężczyzna ma inny wygląd zewnętrzny, inne dążności i ideały, inne zwyczaje i obyczaje jak nierozwinięty jeszcze chłopiec Lecz prawidłowy rozwój z dziecka w mężczyznę nie niszczy jego pier-

wotnej istoty, ale rozwija istniejące już zarodki i skłonności, potwierdzając w ten sposób przysłowie: dziecko jest ojcem mężczyzny. Z tego prawa natury należy wyjść, by rozstrzygnąć kwestyę o udziale kobiety w prawodawstwie politycznem i w rządach państwowych.

Oczywistą jest rzeczą, że rozwinięta i dojrzała kobieta może i powinna brać udział w sprawach publicznych i przyczyniać się według sił swoich do pomyślnego ich rozwoju. Lecz należy tu kłaść nacisk na słowa »według sił swoich«; między udziałem kobiety a mężczyzny w sprawach publicznych zachodzą bowiem te same różnice, jakie sama przyroda ustaliła między męską i kobiecą działalnością wogóle. Zupełna równość polityczna, bezwzględne zrównanie praw i obowiązków obojga płci pod tym względem byłoby szczytem niedorzeczności. Dlatego powiada też Wiese: »Tylko największe krótkowidztwo może polityczne prawo głosowania uważać za ogólne prawo przyrody wszystkich wchodzących w skład ludzkiego społeczeństwa« [1]. Mimo to prowadzi się dzisiaj namiętną walkę o równość polityczną, zwłaszcza o równe prawo głosowania. Zamiast podać dowody na podobne żądania, rzuca się ogólnymi, gołosłownymi frazesami. Tak np. powiada jedna z tych emancypantek, że tylko te kobiety przeciwko politycznemu równouprawnieniu się oświadczają, które jeszcze nie doszły do świadomości swego poniżenia, którym ucisk stał się niejako nawyknieniem, które na wydeptanych torach codziennego życia pod opieką mężczyzny, czy to ojca, czy też małżonka, więdną i marnieją, które dla wielkich, poruszających cały świat kwestyi zrozumienia nie mają i mieć nie mogą, które się nawet nie domyślają, że obecne położenie z całą stanowczością domaga się ich udziału w prawodawstwie tak dla ich własnego szczęścia jak dla szczęścia mężczyzn [2].

Czy więc należy kobiecie przyznać zupełne równouprawnienie polityczne?

---

[1] *Zur Geschichte und Bildung der Frauen.* 29.

[2] Laubes-Uhlemann: *Die Stellung und Erziehung der Frau zur Ehe.* Wien 1899. 12.

Już sama natura nie pozwala kobiecie nie tylko zamężnej, ale wogóle każdej w publicznem życiu zająć tę samą rolę co mężczyzna. Niektóre wyjątki, jakie historya zna, potwierdzają tylko regułę. Głównem zadaniem, jakie sama przyroda kobiecie wytknęła, jest macierzyństwo zawierające w sobie różnorodne obowiązki matki. To zadanie naturalne przeszkadza kobiecie nie tylko na innych polach życia publicznego, lecz także na polu politycznem by stanąć zupełnie na równi z mężczyzną. I dlatego pozostanie na zawsze mężczyzna powołanym z natury przedstawicielem i wodzem spraw publicznych; on posiada z natury potrzebną do tego zadania zdolność mówienia jako też inne oznaki nadające jego występom publicznym zupełną powagę. Gdyby zaś kobiety brały udział w życiu publicznem, nie mogłyby spełnić obowiązków matki. Nie mielibyśmy już dobrych matek, a w zamian za tę stratę olbrzymią nie otrzymalibyśmy niczego nowego. Dlatego też powiada Gladstone[1] na podstawie długiego doświadczenia, że przyznawanie kobietom równego prawa wyborczego pociąga za sobą stratę tych właśnie zalet, zapomocą których niewiasty tak zbawienny wpływ na ludzkość wywierają.

Możnaby dysputować, czy te racye przytaczane przez O. Röslera, są zupełnie przekonywujące, a zwłaszcza, czy kobieta niezamężna nie powinna mieć bezpośredniego udziału w życiu politycznem. Jeżeli bierzemy pod uwagę ogół płci »pięknej«, są one niezawodnie słuszne.

Pani Wolters, a za nią profesor von Giżycki[2] przytaczają aż ośm »dowodów«, by równouprawnienie polityczne kobiet uzasadnić.

Jako niewiasta, powiada Mrs Wolters, domagam się prawa wyborczego, ponieważ

1. jestem obywatelem jak każdy mężczyzna,

2. muszę być posłuszną prawom, a gdy je przekraczam, nie jestem wolną od żadnej kary; a więc według sprawiedliwości

---

[1] *Woman's Suffrage.* A Letter from the Right Hou. W. E. Gladstone to Samuel Smith on female Suffrage. London 1892.

[2] *Die Frauenbewegung.* 1895, str. 3 i 4.

muszę jak równe ciężary, tak i równe mieć prawa. 3. Skoro płacę podatki, muszę także mieć głos, gdy chodzi o używanie pieniędzy państwowych. 4. Jest to istotą niewolnictwa, że jedna klasa dojrzałych ludzi podlega bezwzględnie panowaniu innej klasy — a niewolnictwo jest zgubnem tak dla panów jak dla niewolników. 5. Piętno niższości, jakie na sobie noszę wraz z idyotami, obłąkanymi, zbrodniarzami, żebrakami i dziećmi jest nieznośne i pozbawia mnie wszelkiej godności. 6. Jest to moim obowiązkiem starać się o moralność narodu i dojść do tego znaczenia, by działalność państwową kierować ku dobru. 7. Obowiązkiem moim jest pomódz moim siostrom cierpiącym pod prawami obecnemi, odnoszącemi się do pracy, małżeństwa, rozwodu, własności i t. d. 8. Niewiasty jako dobre matki dużo działają dla państwa tak pod względem przemysłowym jak pod względem umysłowym, i dlatego zasługują na wolność i równość.

Już same te racye świadczą o tem, jak jednostronnie pani Wolters i profesor Giżycki stanowisko niewiasty w społeczeństwie pojmują, i jak słaby jest grunt, na którym się żądane równouprawnienie polityczne kobiet opiera. Nadto niektóre racye grzeszą dotkliwym brakiem logiki. Co np. sądzić o racyi pod 5 podanej. Czy dlatego kobieta stoi na równi z obłąkanymi, zbrodniarzami i żebrakami, że jéj prawo głosowania nie przysługuje? Z tą samą logiką mogłaby pani Wolters powiedzieć: nie jestem królową Chin; moja brzydka sąsiadka także nie jest królową Chin, a więc — jestem brzydką. Ten sam sylogizm tkwi w piątej racyi: ja nie mam prawa wyborczego, idyota nie ma prawa wyborczego, a więc jestem idyotą.

Nielepsze są inne racye. Czy niewiasta jest zupełnie w tem samem znaczeniu obywatelką, w jakiem mężczyzna jest obywatelem? Czy tylko te prawa nas obowiązują, które myśmy sami dali, żeby można stąd wyciągnąć konkluzyę: równe obowiązki a więc równe prawa? Czy zresztą kobieta ma rzeczywiście wszędzie równe obowiązki z mężczyznami? Czy to, że płacę podatki, daje mi tem samem prawo do zabierania głosu, gdy chodzi o administracyę podatków? Kto płaci podatki, ten ma prawo do korzystania z instytucyi państwowych, utrzymywanych za pomocą

podatków; a to prawo kobietom niewątpliwie przysługuje. Śmiesznym i nieuzasadnionym jest również zarzut, jakoby niewiasta była niewolnicą mężczyzny dlatego, że nie ma prawa wyborczego. Myśl w szóstej racyi podana jest niewątpliwie zdrową, lecz wniosek z niej wyciągnięty jest fałszywy; albowiem prawo głosowania nie jest jedyną ani konieczną drogą do osiągnięcia wspomnianego celu. Owszem kobieta posiada niezliczone inne i o wiele donioślejsze środki do podniesienia moralności w swojem społeczeństwie. A wreszcie siódma racya upada dlatego, że bez wątpienia przesadza, i że przyjmuje, jakoby jedynie kobieta mogła pomódz kobiecie, gdzie chodzi o jej stanowisko społeczne.

Tak upadają wszystkie racye, jakie zwolenniczki równouprawnienia politycznego przytaczają.

Czy więc kobieta niema mieć żadnego udziału w życiu społecznem i politycznem?

Bynajmniej. Każda kobieta powinna z całą energią i świadomością pracować, by podnieść dobrobyt społeczny i polityczny pod każdym względem. Ale praca ta powinna się objawić sposobem właściwym naturze niewieściej. I właśnie dlatego, że dzisiaj wiele kobiet zupełnie zapomina o doniosłości tej pracy, żądają równouprawnienia politycznego. Prawodawstwo, nadające powagę utworzonym już obyczajom, przysługuje mężczyznie. Lecz na to utworzenie się i wyrobienie obyczajów i moralności wogóle ma kobieta o wiele większy wpływ aniżeli mężczyzna. Emancypantki nie znają więc ogromnej potęgi kobiecego wpływu, jeżeli zamiast niego chcą mieć prawo wyborcze.

Że dzisiejsze warunki polityczne i społeczne są niezdrowe, temu po wielkiej części winien płytki i samolubny liberalizm ludzi, którzy się przyczynili do wytworzenia nowożytnej polityki. W zdrowych warunkach, gdy społeczeństwo jest przesiąknięte zasadami chrześcijańskiemi, prawo jest tylko krystalizacyą praw i obyczajów uznawanych w samemże społeczeństwie. Prawo państwowe wyrasta wtedy organicznie z duszy i ducha narodu. Lecz nowożytne państwa nie kierują się już często prawem natury a mniej jeszcze zasadami chrześcijańskiemi. Nowożytne państwo jest tylko

niewolnikiem partyi stojącej u steru rządów: wolność obywateli jest zbyt często igraszką samolubstwa, chciwości i próżności.

W takich warunkach kobieta została bardzo upośledzoną. Nic więc dziwnego, że coraz bardziej i jaśniej dochodzi do świadomości swego poniżenia, że domaga się zmiany w ustroju społecznym, zmiany, któraby i jej dała większą wolność, większą swobodę, większy wpływ na sprawy i życie publiczne. Lecz reforma ta nie może polegać na tem, że i kobieta będzie brała udział w układaniu praw zbyt często stronniczych, niesprawiedliwych i gwałcących prawo natury i prawo chrześcijańskie, lecz może i powinna polegać na zdrowej emancypacyi rodziny, na odnowieniu społeczeństwa nowożytnego w duchu chrześcijańskim.

Ks. Fryderyk Klimke.

RUCH ANTYWIWISEKCYJNY.

Sprawa wiwisekcyi, to jest sprawa wykonywania eksperymentów naukowych na żyjących zwierzętach, należy do tych zagadnień, któremi interesują się nie tylko uczeni, lecz także ludzie, którzy z nauką nie mają nic wspólnego. Pierwsi interesują się wiwisekcyą, jako ważną metodą badania naukowego; drudzy zaś głównie ze względów humanitarnych, a niekiedy także dlatego, aby ją zwalczać. Aczkolwiek walka przeciw wiwisekcyi trwa już od kilku dziesiątków lat, to jednak dopiero w ostatnich czasach zaczęła przybierać postać całkiem nieoczekiwaną. Do walki przeciw wiwisekcyi występują z jednej strony ludzie, którzy zgoła żadnego pojęcia nie mają o wiwisekcyi, o sposobach jej wykonywania i o znaczeniu jej dla nauki, z drugiej zaś strony — i to jest rzeczą nader znamienną — lekarze, którzy w czasie studyów uniwersyteckich mieli możność nabrania dokładnego pojęcia o sposobie wykonywania eksperymentów na żyjących zwierzętach i o roli, jaką te eksperymenty w rozwoju nauk medycznych odgrywają. Jaskrawym przykładem fanatycznej agitacyi, prowadzonej przeciw wiwisekcyi przez pierwszych, jest postawienie i uroczyste odsłonięcie w 1906 r. w pobliżu Londynu osobliwego pomnika. Na pomniku znajduje się z bronzu podobizna psa i następujący napis: »Na pamiątkę jamnika, który zakończył życie w lutym 1903 r. w pracowni uniwersytetu, poddawany przez dwa miesiące wiwisekcyom, podczas których wiwisektorowie oddawali go sobie z rąk do rąk i męczyli go póty, póki śmierć nie uwolniła go od

cierpień. Także ku pamięci innych 32 psów wiwisekcyonowanych w uniwersytecie w 1902 roku. Mężczyźni i kobiety Anglii, jak długo będą jeszcze trwały rzeczy tego rodzaju?« W czasie odsłonięcia pomnika wygłoszono kilka mów. Uroczystość zakończyła się odśpiewaniem pieśni: »Bijcie w dzwony miłosierdzia!« [1]

Manifestacya lekarzy przeciw wiwisekcyom była zupełnie innego rodzaju. Oto 397 lekarzy z Austryi, a wśród nich 49 z Galicyi, podpisało memoryał i projekt ustawy, które w imieniu lekarzy mają być wniesione do austryackiego parlamentu [2]. Projekt ustawy zmierza do takiego ograniczenia wykonywania eksperymentów na żywych zwierzętach, że gdyby wspomniana ustawa została kiedykolwiek uchwalona, to używanie zwierząt ciepłokrwistych do celów badania naukowego z zakresu fizyologii, patologii, bakteryologii i farmakologii należałoby w państwie austryackiem do rzadkości. Według bowiem rzeczonej ustawy wolno byłoby robić eksperymenty na żywych zwierzętach tylko w tych publicznych zakładach naukowych, któreby uzyskały na to osobne pozwolenie namiestnictwa i tylko tym osobom, które mogą się wykazać znajomością medycyny, zwłaszcza anatomii, fizyologii i farmakologii, a które prócz tego posiadają imienne pozwolenie namiestnictwa. Lecz nie dość na tem. Nie wystarcza bowiem mieć imienne pozwolenie namiestnictwa na wykonywanie wiwisekcyi, trzeba jeszcze prócz tego uzyskać na wykonanie każdego z osobna eksperymentu pozwolenie specyalnej komisyi, złożonej w połowie z członków towarzystw ochrony zwierząt, a w połowie ze znawców. Co to mają być za znawcy, tego projekt ustawy nie określa. Ten, kto zamierza wykonać jakikolwiek eksperyment musi wpierw donieść dokładnie wspomnianej komisyi o celu eksperymentu, o sposobie, jakim ma być wykonany eksperyment, o liczbie i gatunku zwierząt, na których ma być robiony eksperyment, o czasie trwania eksperymentu i wreszcie o sposobie znieczulania zwierząt. Po złożeniu takiego zawiadomienia nie wolno mu dopóty przy-

[1] *Słowo Polskie* nr. 495 z dnia 31 października 1906.

[2] Memoryał ten i projekt ustawy rozsyłany był lekarzom w r. 1909 przez Związek przeciwwiwisekcyjny w Gracu w celu zbierania dalszych podpisów.

stępować do wykonania eksperymentu, dopóki nie otrzyma piśmiennego na to pozwolenia od rzeczonej komisyi. Komisyi tej wolno pozwolić na wykonanie tylko takiego eksperymentu, który ma na celu wzbogacenie nauki albo lecznictwa przez »nowe pożyteczne odkrycie«. Nie wolno natomiast bezwarunkowo wykonywać eksperymentów, dotyczących zagadnień już rozstrzygniętych, jak również eksperymentów w celach dydaktycznych, a więc w czasie wykładów uniwersyteckich i rozmaitego rodzaju ćwiczeń praktycznych. Zwierzęta z wyższą organizacyą, takie jak psy, koty, małpy, konie, osły, kozy i t. d. wolno tylko w wyjątkowych razach do eksperymentów używać, mianowicie wtedy, gdy trzech urzędowych znawców wyda piśmienne orzeczenie, iż do danego eksperymentu nie wystarcza użycie zwierząt z nizką organizacyą. Nie wolno również wykonywać eksperymentów na zwierzętach wtedy, kiedy można robić odpowiednie badania na odosobnionych organach świeżo zabitych zwierząt. »Zabronione są eksperymenty, których cel może być osiągnięty na innej drodze bez wiwisekcyi, lub eksperymenty, które, jako same przez się zrozumiałe, nie potrzebują żadnego dowodu« [1]. Eksperymenty, które przyczyniają zwierzęciu długotrwałe męki i cierpienia, nie są dozwolone. Nie wolno wogóle wykonywać eksperymentów takich, w których nie można zwierząt znieczulać. Kurara i pokrewne jej środki, wywołujące porażenie, mogą być używane wyłącznie w razie konieczności i tylko wtedy, gdy użycie ich połączone jest z jednoczesnem głębokiem znieczuleniem zwierzęcia. Po ukończeniu każdego eksperymentu należy zwierzę natychmiast zabijać w sposób bezbolesny. Nie wolno nigdy wykonywać żadnego nowego eksperymentu na zwierzęciu, które już było poddane wiwisekcyi.

O wszystkich wspomnianych rzeczach, a więc o tem, czy zamierzony eksperyment na żywem zwierzęciu ma na celu wzbogacenie nauki lub lecznictwa przez nowe pożyteczne odkrycie, o tem czy jakiegoś zamierzonego eksperymentu nie dałoby się zastąpić badaniem na organie wyosobnionym zabitego zwierzęcia,

[1] »Versuche, deren Zweck auch ohne Tierexperiment auf anderem Wege erreichbar ist, oder Versuche, die, als von selbst klar, keines Beweises bedürfen, sind nicht zugestatten«.

o tem czy pewne zagadnienie naukowe można rozwiązać bez eksperymentów na zwierzętach i t. d. — o tem wszystkiem ma rozstrzygać komisya, złożona w połowie z członków towarzystw ochrony zwierząt, którzy o tych rzeczach mogą nie mieć najmniejszego pojęcia.

Takim jest w szczegółowem streszczeniu projekt ustawy, podpisany przez 397 lekarzy z rozmaitych krajów państwa austryackiego.

Bezstronny czytelnik przyzna, iż stanowisko lekarzy, którzy podpisali projekt ustawy, o którym mowa, niewiele się różni od stanowiska tych bezwzględnych przeciwników wiwisekcyi, którzy żądają wydania bezwarunkowego zakazu wykonywania eksperymentów na żywych zwierzętach.

Dla zrozumienia tej sprawy rzućmy okiem na rozwój wiwisekcyi; na tej zaś podstawie spróbujemy odpowiedzieć na zarzuty, wiwisekcyi czynione.

Dzieje wiwisekcyi sięgają starożytności. Wiadomo, że Galen robił sporo eksperymentów na zwierzętach. Słynny ten świata starożytnego lekarz robił wiwisekcye przeważnie na świniach i małpach. Przecinał on nerwy, niszczył rdzeń kręgowy na rozmaitej wysokości, przedziurawiał klatkę piersiową z jednej lub dwu stron i inne tym podobne eksperymenty wykonywał. Później, w wiekach średnich, metoda wiwisekcyjna była całkiem zaniedbana. I dopiero poczynając od Odrodzenia wiwisekcya z powrotem zyskuje sobie prawo obywatelstwa wśród metod badania naukowego. Pierwszym wiwisektorem w czasach nowożytnych był, zdaniem Bugla [1], nasz najznakomitszy lekarz Odrodzenia Józef Struś (1510—1568). W najważniejszem swojem dziele p. t. *Ars sphygmica*, wydanem w Bazylei w r. 1540, które doczekało się trzech wydań w wieku XVI i jednego w XVII-ym, wspomina Struś, że często obserwował rozmaite okresy zatrzymania się serca,

[1] W. Bugiel: »Nasz najznakomitszy lekarz Odrodzenia Józef Struś (1510—1568). *Nowiny lekarskie* 1908.

mianowicie najpierw zatrzymanie się szczytu serca, potem części środkowej, dalej podstawy i wreszcie uszek serca u zwierząt żyjących, którym odejmował przednią część klatki piersiowej.

Po Strusiu metoda wiwisekcyjna nie była już nigdy z nauki wyrugowana. Stosowali ją: Aselli (1571—1626), Hervey (1578—1657), Pecquet (1622—1674), Graaf (1641—1678), Haller (1708—1777), ks. Spallanzani (1729—1790), — wszystko ludzie, którzy wielkie zasługi naukowe położyli. Lecz dopiero Magendie (1783—1855), Klaudyusz Bernard (1813—1878) i Karol Ludwig (1816—1895) wprowadzili ją, jako główną metodę badania do fizyologii, a do patologii Stricker, który był kierownikiem pierwszego zakładu patologii eksperymentalnej w Austryi, założonego w Wiedniu w r. 1868. Od tego czasu wiwisekcya zyskała należne jej stanowisko zarówno w fizyologii, jak w patologii. Dzięki tej metodzie badania porobiono w fizyologii jak i patologii doświadczalnej tyle ważnych odkryć, iż bez przesady rzec można, że umiejętności rzeczone postęp swój w bardzo znacznej mierze wiwisekcyi zawdzięczają. A mimo tego niektórzy przeciwnicy wiwisekcyi twierdzą, że nauka wiwisekcyom nie ma nic do zawdzięczenia, że przeto należy zaniechać bezpożytecznego męczenia zwierząt. Inni przeciwnicy wiwisekcyi dowodzą, że eksperymenty na zwierzętach wykonywane nie mają wielkiego dla fizyologii i patologii ludzkiej znaczenia, gdyż między czynnościami organizmu ludzkiego a zwierząt, na których wykonywają się eksperymenty, zachodzą znaczne różnice. Są wreszcie tacy przeciwnicy wiwisekcyi, którzy występują jedynie w imię pobudek moralnych, utrzymując, że człowiek nie ma prawa poddawać zwierząt takim strasznym torturom, jakiemi według ich zapatrywania są wiwisekcye. Twierdzą oni dalej, że wiwisekcye wpływają ujemnie na charakter eksperymentatorów i widzów, czyniąc jednych i drugich zatwardziałymi na cierpienia.

Te są trzy najważniejsze zarzuty, na podstawie których przeciwnicy wiwisekcyi żądają zakazu wykonywania eksperymentów na zwierzętach.

Rozpatrzmy te zarzuty.

Na pierwszy zarzut można krótko odpowiedzieć, iż kto ma dobrą wolę po temu, łatwo dowiedzieć się może, co nauka wiwisekcyom zawdzięcza: niech tylko uważnie przeczyta podręczniki fizyologii i patologii eksperymentalnej.

Wyliczać wszystkie odkrycia, dokonane w fizyologii, patologii, farmakologii i bakteryologii, dzięki eksperymentom na zwierzętach niesposób, gdyż trzeba byłoby wyliczyć olbrzymią liczbę odkryć w naukach tych dokonanych. Dość wspomnieć, że bez wiwisekcyi nie wiedzielibyśmy nic zgoła o czynnościach wielu organów takich np. jak tarczyca, nadnercza; nie wiedzielibyśmy lub bardzo mało wiedzielibyśmy o czynnościach rozmaitych nerwów, o czynnościach kory mózgowej i t. d. i t. d. Dość wspomnieć, że bez eksperymentów na zwierzętach, nie byłby możliwy wspaniały rozwój bakteryologii, który datuje się od kilku dziesiątków lat. Dość wspomnieć dalej, że i chirurgia, a więc medycyna praktyczna, również niemało ma wiwisekcyom do zawdzięczenia [1]. Zanim odważono się wycinać nerkę ludziom, wtedy gdy zachodzi tego potrzeba, przekonano się najpierw na zwierzętach, że zwierzęta po wycięciu im jednej nerki żyć mogą nie podlegając żadnym zaburzeniom, jeżeli pozostała w organizmie nerka jest zdrowa. Również wiwisekcyom zawdzięczają swoje istnienie w chirurgii takie niezmiernie ważne operacye, jak doszczętne wycięcie żołądka lub usunięcie całej krtani. Gdyby asystent słynnego chirurga Billrotha a późniejszy znakomity chirurg Czerny nie dowiódł był drogą eksperymentów na zwierzętach, że psom można wycinać krtań i po tej operacyi utrzymać ich przy życiu, nie byłby się zapewne Billroth odważył wykonać tej operacyi po raz pierwszy na człowieku. Toż samo, gdyby się nie przekonano, że pies po wycięciu żołądka może żyć lata całe, nie odważonoby się ludziom chorym wykonywać tej operacyi. Udoskonalenie sposobów zszywania jelit również wiele doświadczeniom na zwierzętach zawdzięcza. Nawet udoskonalenia przez Spencera Wellsa takiej operacyi, jak wycinanie jajników, wiele zawdzięcza eksperymentom na zwierzętach.

[1] R. Heidenhain: *Die Vivisection. Auf Veranlassung des königl. preussischen Ministers der geistlichen Unterrichts- u. Medicinal-Angelegenheiten.* Leipzig 1884.

Słowem, wiwisekcye nie w małym stopniu przyczyniły się i przyczyniają do postępu nawet takiej praktycznej gałęzi medycyny, jaką jest chirurgia operacyjna.

Co się tyczy drugiego zarzutu przeciwników wiwisekcyi, przeciwników więcej umiarkowanych, twierdzących, że doświadczenia na zwierzętach wykonywane nie mają dla fizyologii, patologii i wogóle dla medycyny dużego znaczenia, gdyż między czynnościami organizmu zwierząt a człowieka zachodzą duże różnice, to i ten zarzut nie trudno odeprzeć. Gdyby fizyologowie i patologowie wykonywali doświadczenia na zwierzętach bezkręgowych, zarzut taki byłby usprawiedliwiony. Ponieważ jednak doświadczenia fizyologiczne i patologiczne wykonywują się niemal wyłącznie na zwierzętach kręgowych: żabach, myszach, szczurach, gołębiach, świnkach morskich, psach i niektórych innych zwierzętach, — przeto wspomniany wyżej zarzut jest w znacznej mierze podstawy swej pozbawiony. Albowiem wszystkie kręgowce zbudowane są według jednego zasadniczego planu i czynności ich ustroju mają wiele podobieństw, gdyż różnią się tylko w szczegółach, lecz nie w rzeczach zasadniczych. Tak np. po wycięciu śledziony, żołądka lub jednej nerki, może żyć nie tylko pies, kot lub inne jakie zwierzę, lecz i człowiek; przecięcie nerwu twarzowego lub paraliż nerwu rzeczonego wywołuje porażenie mięśni twarzowych zarówno u psa, jak i u człowieka; podrażnienie nerwu błędnego wywołuje zwolnienie czynności serca zarówno u żaby, świnki morskiej, królika, psa, jak i u człowieka i t. d. Przykładów podobnych możnaby bez liku przytoczyć. Fizyolog lub patolog, pragnąc rozwiązać pewne zagadnienie naukowe, wybiera do eksperymentów takie zwierzęta, które najbardziej nadają się do tego, aby wnioski z tych eksperymentów można było z pewnemi zastrzeżeniami stosować w fizyologii i patologii ludzkiej. Do badań np. nad czynnościami kory mózgowej nie można używać królików, jeżeli chce się z tych badań wysnuwać jakiekolwiek wnioski dla fizyologii człowieka, lecz trzeba użyć do tych doświadczeń małp. W innych razach lepiej jest nawet użyć do eksperymentów zwierzę z niższą organizacyą, aniżeli wyższą. Tak np. do badań nad gruźlicą nadają się lepiej świnki morskie, aniżeli psy. Co więcej, wyko-

nywanie doświadczeń na niższych kręgowcach, takich jak żaby, może nam nieraz większe oddać usługi od doświadczeń, wykonywanych na kręgowcach wyższych. U żab bowiem czynności ustroju odbywają się wolniej, a poszczególne organy mają większą samodzielność, aniżeli u zwierząt wyższych, stąd łatwiej badać niektóre właściwości ustroju zwierzęcego na kręgowcach niższych, aniżeli wyższych. Dlatego bodaj najwięcej wiwisekcyi robi się na żabach, i śmiało rzec można, że w rzędzie zwierząt, z których fizyólogia dotychczas odniosła największy pożytek, należy na jednem z naczelnych miejsc postawić żabę. Atoli nie tylko w fizyologii doświadczenia na zwierzętach odgrywają sporą rolę, lecz i w patologii wraz z bakteryologią, przyczyniając się do wyjaśnienia wielu spraw chorobnych, a nawet mogą poprowadzić do wynalezienia skutecznego środka leczniczego, jak tego mamy przykład na surowicy przeciwbłoniczej. O ile zatem dwa pierwsze zarzuty przeciwników wiwisekcyi możemy zbyć krótko, o tyle trzeci zasługuje na obszerniejsze wyświetlenie.

Nie można zaprzeczyć, że przeświadczenie, iż zwierzętom w czasie wiwisekcyi przyczynia się wielkiego bólu, skłania wielu do wypowiadania się przeciw wiwisekcyi. I nie można się dziwić, że okoliczność ta nastraja wielu niemedyków wrogo względem wiwisekcyi, skoro nawet taki Karol Bell, który dokonał jednego z wielkich odkryć w fizyologii, miał wstręt do wiwisekcyi, lubo poświęcając się badaniom naukowym w medycynie, nie mógł uniknąć wykonywania wiwisekcyi, gdyż tego potrzeba badania naukowego wymagała; skoro nawet znakomity Haller, który mnóstwo wiwisekcyi wykonywał, nie mógł jednak patrzeć okiem obojętnem na cierpienia zwierząt, i z tego powodu wolał raczej zaniechać wykonywania niektórych bardzo bolesnych operacyi, aniżeli przyczyniać zwierzętom wielkiego bólu [1]. Klaudyusz Bernard wspomina w swoich wykładach patologii doświadczalnej [2], że tylko raz jedyny robił wiwisekcyę na małpie, lecz że mu to sprawiło wielką

[1] Haeser: »Historya medycyny«. T. II. Przekład Łuczkiewicza. (Warszawa 1886) na str. 522.

[2] Cl. Bernard: *Leçons de pathologie expérimentale.* Paris 1880. II éd. na str. 551.

przykrość. Słynny chirurg rosyjski Pirogow, który w młodych latach swoich wykonywał dużo wiwisekcyi, bez wszelkiego znieczulenia zwierząt, przyznaje otwarcie w pamiętnikach swych, w ostatnich latach pisanych, że nie odważyłby się więcej z naukowej ciekawości robić wiwisekcyi na psie, nawet chloroformem uśpionym [1]. Również Hytl, znakomity anatom wiedeński, w późniejszych latach swego życia występował przeciw wiwisekcyom, a zwłaszcza przeciw wykonywaniu wiwisekcyi publicznie, choć sam przedtem eksperymenty na zwierzętach wykonywał.

Z tego łatwo wywnioskować można, że nawet dla biegłych eksperymentatorów wykonywanie wiwisekcyi bynajmniej rzeczą przyjemną nie jest, a zwłaszcza nie mogło być przyjemną w czasie Hallera i Bella, gdy jeszcze nie znano środków znieczulających takich, jak eter, chloroform i inne. A jeżeli tak dawniej, jak i teraz wykonywa się wielka liczba wiwisekcyi w pracowniach naukowych, to można okoliczność tę jeno w ten sposób wytłumaczyć, że uczeni: fizyologowie, patologowie i farmakologowie głęboko są przekonani o wielkim pożytku wiwisekcyi, i niejeden z nich, mimo wyraźnego wstrętu do wykonywania operacyi na zwierzętach, wykonywa je jednak, ogarnięty szlachetną pobudką dociekania prawdy.

Należy atoli zaznaczyć, iż istnieje wśród nielekarzy bardzo wiele przesądów co do bólu, przyczynianego zwierzętom w czasie wiwisekcyi. Ludziom tym zdaje się, iż im głębiej nóż eksperymentatora pogrąża się w ciało zwierzęcia, tym zwierzę większy odczuwa ból. Sądzą oni mylnie, że np. operacye w jamie brzusznej, że otwarcie czaszki, że operacye na mózgu robione i t. p. należą do najboleśniejszych. W bujnej swej wyobraźni widzą oni obraz wijącego się z bólu zwierzęcia np. w czasie wypiłowywania kawałka czerepu. Jakież byłoby ich zdziwienie, gdyby zobaczyli, że nieuśpiony i wogóle nie znieczulony królik nieraz nie drgnie nawet w czasie otwierania czaszki, i że natychmiast po tej operacyi żwawo biega i zabiera się najspokojniej do jedzenia,

---

[1] Dzieła N. I. Pirogowa (po rosyjsku). Petersburg 1900. Tom II, na str. 101.

słowem, że nie okazuje najmniejszego cierpienia! Haller w rozprawie swej o czuciu pisze, że widział trepanacye u niezniecznulonych ludzi wykonywane, którzy w czasie operacyi nie odczuwali bólu [1]. A niema w tem nic dziwnego, gdyż kości, powięzie i ścięgna są w nader nieznacznym stopniu na ból wrażliwe. Operacye, na mózgu wykonywane, należą do bezbolesnych, a operacye w jamie brzusznej do małobolesnych. Heidenhain w rozprawie o wiwisekcyi [2] przytacza sporo przykładów bezbolesności operacyi wykonywanych w jamie brzusznej u ludzi. Niejednokrotnie w nowszych czasach wykonywano takie operacye, jak wycięcie torbieli jajnikowych lub cesarskie cięcie bez uśpienia i znieczulenia, a mimo tego osoby operowane nie odczuwały bólu jak tylko w czasie przecinania i zeszywania skóry. Również u zwierząt często najboleśniejszą częścią wiwisekcyi jest przecinanie skóry. Ale i w tym względzie nie należy wyobrażać sobie rzeczy nieistniejących. Nie należy bowiem sądzić, że zwierzę w czasie przecinania skóry odczuwa wielki ból, taki np., jaki ludzie odczuwają w czasie przecinania im skóry nad czyrakiem. Należy nie zapominać o tem, że wrażenie na ból tkanki chorej znacznie się różni od wrażliwości na ból tkanki zdrowej. Tkanka chora bywa zwykle daleko wrażliwsza na ból, aniżeli tkanka zdrowa. Skóra np. gdy znajduje się w stanie zapalenia jest na ból wrażliwsza, aniżeli skóra zdrowa. Podobnie otrzewna, która w warunkach prawidłowych jest w bardzo małym stopniu na ból wrażliwa, staje się niesłychanie bolesną, gdy się znajduje w stanie zapalnym. A ponieważ wiwisekcyę wykonywa się prawie wyłącznie na zwierzętach zdrowych, przeto i ból jaki im przyczynić można, gdy się ich nie znieczula, nie jest tak wielki, jakby się na pozór wydawać mogło.

Dalej wielu mylnie sądzi, że zwierzę tem większe bóle znosić musi, im dłużej trwa wiwisekcya. Jest to mniemanie z gruntu fałszywe. Przeciwnie, im operacya dłużej trwa, tem zwierzę staje się

[1] »J'ai vu faire l'operation du trépan — pisze Haller — à des hommes qui avait la liberté d'esprit et l'usage des sens, sans que la perforation du crâne leur causât de la douleur«. Haller: *Mémoire sur la Sensibilité.* Paris 1892.

[2] Heidenhain: *Die Vivisection.* Leipzig 1884.

na ból mniej wrażliwe wskutek wyczerpania. Kl. Bernard zauważył, że zwierzę, które silnie odczuwa ból, gdy mu się na początku operacyi skórę przecina, później w miarę dalszych zabiegów chirurgicznych staje się mniej na ból wrażliwe i gdy wtedy powtórnie przecina się skórę, zwierzę nie odczuwa już tak silnie bólu, jak za pierwszym razem. Co więcej, badacz rzeczony twierdzi, że wyczerpanie zwierzęcia operacyą lub wielkie zmęczenie jakiegokolwiek pochodzenia wywołuje rodzaj znieczulenia ogólnego, które można porównać do znieczulenia wywołanego eterem [1].

Na zasadzie uwag powyższych każdy nieuprzedzony przyzna, że w narzekaniach przeciwników wiwisekcyi i w ich opowiadaniach o strasznych torturach zwierząt jest bądź co bądź sporo przesady. Nie można atoli zaprzeczyć, że wiwisekcye, bez środków znieczulających wykonywane, przyczyniają zwierzętom bólu, a nieraz w stopniu wielkim. Zewnętrznym objawem bólu zwierzęcia jest z jednej strony krzyk jego a z drugiej strony gwałtowne ruchy całego ciała. Jeżeli zatem zwierzę w czasie wiwisekcyi leży spokojnie, przypuszczamy wtedy, że nie odczuwa ono bólu. Krzyk zwierząt w czasie wiwisekcyi i gwałtowne ruchy przeszkadzają w niemałym stopniu eksperymentatorowi w wykonywaniu wiwisekcyi. Z tego powodu już od dawna starano się zaradzić tym niepożądanym objawom, towarzyszącym wiwisekcyi. Aby uniemożliwić zwierzęciu wydawanie głosu w czasie wiwisekcyi już dawni eksperymentatorowie, jak np. Graf, rozcinali zwierzęciu tchawicę i wkładali doń rurkę, czyli wykonywali tak zwaną tracheotomię. Tracheotomia nie przeszkadzała jednak ruchom zwierzęcia, które utrudniały a nieraz wręcz uniemożliwiały wykonywanie dokładne niektórych eksperymentów. Trzeba było i temu zaradzić. W tym celu zaczęto wstrzykiwać zwierzętom bądź pod skórę, bądź do żył środek, który istotnie unieruchamia całkowicie zwierzęta, lecz jednocześnie powoduje ich śmierć, jeżeli nie będziemy zwierzętom urządzali sztucznego oddychania. Środkiem tym jest kurara, do dziś dnia stosowana w fizyologii i patologii

[1] Cl. Bernard: *Leçons sur la physiologie et la pathologie du système nerveux*. Paris 1858. Tom 1, na str. 30.

doświadczalnej. Kurarę przygotowują plemiona indyjskie, zamieszkałe w Ameryce Południowej, z rozmaitych roślin jadowitych i używają jej do zatruwania strzał. Zwierzęta zatrute kurarą, których życie podtrzymuje się sztucznem oddechaniem, nie mogą wprawdzie wykonywać żadnego ruchu, lecz nie są znieczulone. Dla zwierząt zakuraryzowanych wiwisekcya nie jest bynajmniej bezbolesną, aczkolwiek w żaden sposób nie mogą dać po sobie poznać, że cierpią. Dlatego też eksperymentatorowie starają się wykonywać jak najmniej wiwisekcyi na zwierzętach tylko zakuraryzowanych, osobliwie gdy się używa do doświadczeń takich intelligentnych zwierząt, jak psów.

Eksperymentatorom dawnym przeszkadzały wykonywać wiwisekcye nie tylko objawy bólu ze strony zwierzęcia — krzyk i gwałtowne ruchy, lecz także świadomość tego, że w czasie wiwisekcyi przyczyniali zwierzętom bólu. Pierwszym dwom rzeczom nauczono się zaradzać tracheotomią i kurarą. Ostatniej natomiast zaradzono najpóźniej, mianowicie z chwilą wprowadzenia do praktyki lekarskiej około połowy ubiegłego stulecia dwóch środków nasennych: eteru i chloroformu. Wprawdzie już w początkach XIX stulecia odkryto morfinę, ale zaczęto ją w wiwisekcyach stosować, a przynajmniej stosować w szerszym zakresie, dopiero po wprowadzeniu eteru i chloroformu do wiwisekcyi. Potem wprowadzono do praktyki wiwisekcyjnej cały szereg innych środków znieczulających już to ogólnie, już to miejscowo, tak, że teraz eksperymentator może wykonywać prawie wszystkie wiwisekcye bezboleśnie, za wyjątkiem jedynie niektórych badań z dziedziny układu nerwowego, w których szczególnie zależy na tem, aby czucie nie było zniesione. Dziś przeto zarzut przeciwników wiwisekcyi, twierdzących, że wiwisekcye są torturą dla zwierząt, ma daleko mniej uzasadnienia, aniżeli dawniej, gdy nieznano środków znieczulających.

Z kolei należy nam rozpatrzyć zarzut przeciwników wiwisekcyi, że wykonywanie wiwisekcyi, a nawet samo przyglądanie się wiwisekcyom ujemnie wpływa na charakter, wywołując zobojętnienie na cierpienia. Zarzut ten mógłby mieć do pewnego stopnia słuszność, gdyby wiwisekcye wykonywano na zwierzę-

tach niezniecznlonych. Dlatego w czasach dawniejszych, gdy przed wiwisekcyą zwierzęta nie znieczulano, niektórzy fizyologowie nie wykonywali wiwisekcyi, a przynajmniej wiwisekcyi na zwierzętach wyższych, w salach wykładowych wobec uczniów. Jan Müller np. nigdy w czasie wykładów uniwersyteckich nie wykonywał wiwisekcyi na zwierzętach ciepłokrwistych [1]. Wogóle powinno wśród eksperymentatorów panować przekonanie, że zawsze, kiedy tylko można, należy zwierzęta przed wiwisekcyą znieczulać. Gdy zaś w wyjątkowych przypadkach czynić tego nie można, powinien się eksperymentator starać wykonywać eksperymenty na zwierzętach o ile możności jak najniższych, których system nerwowy znajduje się na nizkim stopniu rozwoju, a zatem, gdy można wykonać eksperyment na króliku, nie powinien go robić na psie; gdy można wykonać eksperyment na żabie, nie powinien go robić na króliku lub śwince morskiej, słowem, w tych przypadkach, w których zwierząt znieczulić nie można, powinien używać do wiwisekcyi zwierząt najmniej na ból wrażliwych. Gdyby w rzeczy samej eksperymentatorowie wykonywali publicznie wiwisekcye na zwierzętach niezniecznlonych — pomijam tu przypadki wyjątkowe, o których była mowa wyżej — i gdyby takie wiwisekcye pozwalali wykonywać swoim uczniom w czasie ćwiczeń, to, według mego zdania, istotnie mogłoby to wpłynąć ujemnie na stronę uczuciową uczniów. Kto ma serce zatwardziałe na cierpienia zwierząt, ten i dla ludzi może stać się mniej czułym, bo jak mówi Kant: »można serce ludzkie poznać z postępowania względem zwierząt« [2].

Nadużycia w wiwisekcyi dziać się mogą i istotnie dzieją się. Nieraz czyta się prace eksperymentalne z zakresu medycyny, w których autorowie opisują eksperymenty wykonywane na zwierzętach niezniecznlonych, choć nic nie stało na przeszkodzie, aby je znieczulić. Aby zapobiedz wszelkim nadużyciom wiwisekcyi,

---

[1] Haeser o. c. str. 786.

[2] Kant: »Rozprawa filozoficzna o religii i moralności«. Przekład Mrongowiusa. Gdańsk 1854. Str. 209.

wydało w r. 1885 austryakie ministeryum wyznań i oświaty w porozumieniu z ministeryum spraw wewnętrznych rozporządzenie następujące:

1. Eksperymenty na żywych zwierzętach (wiwisekcye) mogą być przedsiębrane jedynie w celu poważnego badania, a tylko wyjątkowo, gdy tego zachodzi konieczna potrzeba, także w celach dydaktycznych.

2. Wiwisekcye mogą być wykonywane jedynie w państwowych zakładach medycznych.

3. Tylko przełożonym zakładów i docentom (asystentom) wolno wykonywać wiwisekcye samodzielnie, a pod ich kierunkiem i odpowiedzialnością także lekarzom i kandydatom medycyny.

4. Zwierzęta używane do eksperymentów powinny być zawsze, jeżeli na to cel eksperymentu pozwala, głęboko uśpione.

5. Do eksperymentów, które można na niższych zwierzętach wykonać, powinny być tylko te zwierzęta używane, a nie zwierzęta z organizacyą wyższą [1].

Że i po tem rozporządzeniu, które, nie ograniczając wolności badania, stara się zapobiedz jeno nadużyciom wiwisekcyi, nadużycia rzeczone dziać się mogą w wyjątkowych razach, na to rady niema. Przy braku dobrej woli każde prawo przekroczyć można, a nieraz bezkarnie. Lecz zeby z tego powodu, że mogą się w wyjątkowych razach dziać jeszcze nadużycia, wprowadzać ustawę, jaką proponuje 397 lekarzy z Austryi, która ogranicza w wysokim stopniu wolność badania, na to nikt, kto ceni wolność badania naukowego i postęp naukowy zgodzić się nie może. Ustawa projektowana przez lekarzy austryackich żąda np. zakazu robienia eksperymentów na zwierzętach, o ile te eksperymenty dotyczą zagadnień już rozstrzygniętych. Lecz jakież posiadamy pewne kryteryum, że pewne zagadnienie zostało już rozstrzygnięte? Ktoś np. ogłasza wyniki eksperymentów swoich, na zwierzętach robionych, twierdząc, że wyniki te rozstrzygają pewne zagadnienie. Jest to tylko jego wniosek, który potrzebuje spra-

[1] *Erlass des Ministers für K. u. U. vom 17 Juli 1885. Z. 11782.*

wdzenia przez innych uczonych, aby uzyskał prawo obywatelstwa w nauce. Ale i wtedy, gdy większość lub nawet wszyscy uczeni, uważają pewne zagadnienia za ostatecznie rozstrzygnięte, późniejsi uczeni, którzy rozporządzają nowemi doskonalszemi metodami badania, powtarzając eksperymenty dawniejszych uczonych, mogą dojść do innych wniosków. W nauce dogmatów niema. Uczonemu może się nasunąć jakaś wątpliwość w sprawie już dawno za rozstrzygniętą uznanej, i wtedy powinno mu być zawsze wolno powtarzać eksperymenty na zwierzętach, dawniej przez innych robione.

Dalej lekarze, którzy podpisali projekt ustawy w sprawie ograniczenia wiwisekcyi, żądają, aby na zwierzęciu, na którem już raz była robiona wiwisekcya, nie wolno było robić powtórnej wiwisekcyi. Takie ograniczenie prawa badania utrudniałoby i wręcz uniemożliwiałoby rozwiązanie niejednego zagadnienia naukowego. Nieraz potrzeba badania wymaga kilkakrotnego wykonania, w odstępach czasu, rozmaitych zabiegów chirurgicznych na zwierzętach, a przytem wszystkich zabiegów, które trzeba wykonać w jakimś eksperymencie zwierzę nieraz nie przetrzymałoby, gdyby zabiegi te były wykonane w czasie jednej wiwisekcyi. Świetne wyniki badań eksperymentalnych rosyjskiego fizyologa Pawłowa, za które otrzymał on nawet nagrodę Nobla, były przeważnie wykonane na zwierzętach, które kilkakrotnie poddawane były operacyi, naturalnie po znieczuleniu ich.

Domagają się również lekarze, którzy projekt ustawy ograniczającej prawo wykonywania wiwisekcyi, podpisali, aby bezwarunkowo nie wolno było wykonywać wiwisekcyi w celach dydaktycznych.

I z tem żądaniem zgodzić się nie można. Niektórych zabiegów chirurgicznych nie można się nauczyć na zwłokach, np. takich, jak tamowania krwotoków lub zaszywania jelit, które w trupach są nieruchome, a w organizmach żywych wykonywują ruchy robaczkowe i kurczą się przy ucisku. Czyż nie lepiej, żeby się tych zabiegów uczyli przyszli chirurgowie na zwierzętach żywych znieczulonych, zamiast robić pierwsze próby na chorych? Nawet byłoby rzeczą ze wszech miar pożądaną, aby każdy początkujący chirurg, przed przystąpieniem do jakiejś ope-

racyi, którą po raz pierwszy ma na człowieku wykonać, najpierw spróbował ją wykonać na zwierzęciu [1].

W projekcie ustawy lekarzy austryackich o ograniczeniu wiwisekcyi jest takie żądanie, aby nie wolno było wykonywać na zwierzętach eksperymentów, które są same przez się zrozumiałe. Jakie to eksperymenty są same przez się jasne, nie potrzebujące żadnego dowodu, tego trudno dociec.

Po tych uwagach godzi się słów kilka powiedzieć o szkodliwym kierunku towarzystw dla walki przeciw wiwisekcyi.

Wszystko co człowiek czyni ma na celu z jednej strony dobro materyalne: zwiększenie ilości pożywienia i zabezpieczenie od wszelkiego rodzaju cierpień fizycznych; z drugiej zaś strony zadosyćuczynienie potrzebom duchowym: dążenie do poznania prawdy i do doskonalenia się.

Z dwu tych dążeń występuje w medycynie na miejsce naczelne dążenie pierwsze. I w rzeczy samej, medycyna nie powinna nigdy zapominać, że głównem zadaniem jej jest zapobieganie chorobom, powracanie zdrowia chorym lub przynajmniej łagodzenie cierpień. Zadania tego medycyna nie mogłaby spełniać, gdyby nie wolno jej było badać, w jaki sposób sprawy chorobne powstają, jaki miewają przebieg i jakie środki powinny być użyte do leczenia chorych oraz łagodzenia ich cierpień. Walną zaś pomocą w badaniach nad powstawaniem, przebiegiem i leczeniem objawów chorobowych są eksperymenty wykonywane na zwierzętach. I dlatego nie może być co do tego dwu zdań, że człowiek mający prawo rozporządzać życiem zwierząt, gdy chodzi o zaspokojenie głodu, ma również prawo rozporządzać niem, gdy chodzi o rozstrzygnięcie zagadnień czy to z fizyologii, czy też z patologii, czy wreszcie z lecznictwa. Należy sprawę postawić jasno: albo człowiek ma prawo używać do swych celów zwierząt, albo prawa tego nie ma. Jeżeli prawa tego nie ma, to nie wolno mu nie tylko wykonywać eksperymentów naukowych na zwierzę-

[1] M. Flesch: *Antivivisektionsbewegung, Naturärzte und Wissenschaft.* Frankfurt a. Main. 1900. Str. 21.

tach, ale nie wolno mu również zabijać zwierząt, aby się żywić ich mięsem, nie wolno mu używać zwierząt do pracy, innemi słowy, zwierzę powinno pozostać dla człowieka rzeczą nietykalną. Jeśli zaś wolno człowiekowi zwierzęta zabijać i używać do pracy, to wolno mu także robić na nich eksperymenty, nawet jeżeli nie sposób uniknąć, aby zwierzęciu nie przyczyniać bólu w czasie wiwisekcyi. Na stanowisku nietykalności zwierzęcia stoi buddaizm, który na wyznawców swych nakłada pewne obowiązki względem zwierząt i nie pozwala ich zabijać. Na innem wręcz stanowisku stanęły: judaizm i chrześcijaństwo.

Żydzi np. już w starożytności robili eksperymenty na zwierzętach, jak świadczy o tem Talmud. Zauważyli oni, robiąc eksperymenty na zwierzętach, że można wyciąć śledzionę a nawet macicę zwierzętom, a mimo tego zwierzęta żyć mogą. Doszli oni również, że zranienia nerki nie zawsze są śmiertelne i że po uszkodzeniu rdzenia kręgowego zwierząt może wystąpić porażenie tylnych kończyn [1].

Również chrześcijaństwo nie zabrania czynić eksperymentów na zwierzętach. Filozof Jezuita Cathrein, występując w obronie wiwisekcyi, mówi: »Okrutnym jest ten, kto bez należytego powodu albo ponad konieczną miarę przyczynia zwierzęciu bólu... Lecz gdyby lekarz ze współczucia do chorego zaniechał wykonać u niego wprawdzie bolesnej lecz niezbędnej operacyi, to współczucie takie byłoby nierozsądne, a nawet wprost okrutne. W jeszcze większym stopniu byłoby rzeczą po prostu nieludzką, gdyby kto z uczucia litości zaniechał wykonywania wszelkich bolesnych operacyi na żwierzętach, gdy jest rzeczą przecież pewną, że często jeden jedyny eksperyment wykonany na zwierzęciu może mieć skutki, które wielu tysiącom ludzi mogą przynieść korzyść. U wielu ludzi wstręt do wszelkiej wiwisekcyi tkwi w fałszywej sentymentalności, którzy, być może, na widok cierpiącego zwierzęcia łzy ronią, podczas gdy ze spokojem czytają w gazecie, że tysiące

[1] Rabbinowicz: *La médecine du Thalmud*. Paris 1880. Cyt. według Puschmanna: *Geschichte des medicinischen Unterrichts*. Leipzig 1889.

ludzi śmierć poniosło w jednej jedynej bitwie lub że blizko nich niezliczona liczba ludzi pogrążona jest w jak największej nędzy« [1].

Można i należy walczyć z niepotrzebnem męczeniem zwierząt, lecz nie z wiwisekcyą, której potrzeba dla medycyny jest aż nadto widoczna dla każdego nieuprzedzonego umysłu. Dlatego towarzystwa ochrony zwierząt, mające na celu walkę ze znęcaniem się nad zwierzętami są potrzebne, a zatem i pożyteczne, gdyż walczą ze złymi nałogami ludzkimi. Atoli towarzystwa dla walki z wiwisekcyą są szkodliwe, gdyż nie walczą z żadnym złym nałogiem ludzi, lecz przeciw wolności badania, a zatem zajmują wrogie względem nauki stanowisko. Można być przyjacielem zwierząt i mieć serce czułe na ich cierpienia, a mimo tego wykonywać eksperymenty na zwierzętach, jeżeli się ludzi jeszcze więcej kocha, aniżeli zwierzęta. Nie trzeba zapominać o tem, że najwięcej wiwisekcyi, i to bardzo bolesnych, nie lekarze robią, lecz hodowcy bydła. Iluż to rocznie milionom sztuk bydła wykonywają oni taką bolesną operacyę, jaką jest trzebienie i to bez wszelkiego znieczulenia! A jak męczą zwierzęta w cyrkach zanim je wytresują! A jednak przeciwnicy wiwisekcyi nie przeciw nim, lecz przeciw badaczom naukowym występują, choć zdrowy rozsądek, nie zaćmiony fałszywą sentymentalnością, przyznać powinien, że prawo uczonego do wykonywania eksperymentów na zwierzętach nie ulega żadnej wątpliwości.

Gdyby nawet z wiwisekcyi medycyna nie odnosiła żadnego pożytku, co nie jest prawdą, to i wtedy powinno byłoby być wolno uczonym wykonywać wiwisekcye w celach naukowych. Bez eksperymentów na zwierzętach nie mogłaby się należycie rozwijać ani fizyologia porównawcza, ani patologia porównawcza, ani rozmaite nauki przyrodnicze, ani nawet weterynarya. A zatem w imię wolności badania naukowego należy zwalczać przeciwników wiwisekcyi, jako ludzi, którzy chcą wyrządzić szkodę nauce, choć nieraz nie uświadamiają sobie tego dokładnie, że walcząc przeciw wiwisekcyi, walczą przeciw wolności badania i przeciw wolności nauczania w uniwersytetach.

Adam Wrzosek.

---

[1] A. Moll: *Aertztliche Ethik.* Stuttgart 1902. Na str. 495.

„CIVITAS DEI“ W EPOCE KAROLA WIELKIEGO.

WALKA Z LICHWĄ.

Z zarządzeniami przeciwko klęskom głodowym idzie w parze walka przeciwko lichwie.

Gdy po długich i bezustannych prawie walkach uspokoił się nieco krwawy zamęt i przycichła wrzawa wojenna, przystąpił Karol Wielki równocześnie do reorganizacyi państwa i do reformy stosunków ekonomicznych. Kamieniem węgielnym jego reformy ekonomicznej był zakaz trudnienia się lichwą.

»Wszystkim — brzmi dekret — w myśl synodu nicejskiego i dekretów Leona papieża i kanonów tak zwanych apostolskich i zakonu, który Pan dał, wszystkim bez wyjątku zabrania się uprawiać lichwę« [1].

Zakaz ten synodu akwisgrańskiego ponawia i rozszerza i uzasadnia obszernie kapitularz z roku 806, wydany w Nimwegen pod wrażeniem poprzedzającej klęski głodowej.

Co rozumie Karol Wielki przez lichwę?

Wszelkie naruszenie prawa ekwiwalencyi w ruchu pożyczkowym według miary wartości użytkowej. W ruchu pożyczkowym

[1] Admonitio gen. a 784 c. 5: »Omnibus. Item in eodem concilio seu in decretis papae Leonis nec non et in canonibus, quae dicuntur apostolorum sicut et in lege ipse Dominus praecepit, omnino omnibus interdictum est ad usuram aliquid dare«. (Bor. I, 54).

wartość użytkowa dóbr ekonomicznych nie idzie w parze z ich wartością pieniężną. Na przednowku np. lub w czasie klęski głodowej lub wojny zboże jest drogie czyli wartość jego pieniężna jest dużo wyższą niż wartość jego użytkowa, która pozostaje zawsze ta sama. Otóż w epoce Karola Wielkiego, gdzie ruch handlowy i pieniężny miejscami tylko nader słabo był rozwinięty, pojmowano prawo ekwiwalencyi w ruchu pożyczkowym w ten sposób, że zwrot wszelkich pożyczek odbywać się winien według równej wartości użytkowej a nie pieniężnej.

Ażeby więc prawo to było zachowane, postanawia kapitularz akwisgrański za dawnym synodem kartagińskim, by w wszelkich pożyczkach zawsze rzecz za rzecz a pieniądz za pieniądz w tym samym gatunku rzetelnie zwracano [1].

Wyraźniej i jaśniej w myśl Karola Wielkiego prawo to określa biskup Theodulf z Orleanu w kapitularzu około 800 roku, piętnując mianem lichwy wszelki zwrot pożyczki według wartości pieniężnej w chwili zapotrzebowania. »Kto jakąkolwiek sztuką, mówi on, bierze ponad to co dał, niechaj wie, iż dopuścił się lichwy. Kto bowiem pszenicę albo inne zboże wypożyczył i zamiast zboża w tym samym gatunku bierze za nie pieniądze, tyle, ile wartość zboża w chwili pożyczki wynosiła, albo jakąkolwiek inną rzecz, niewątpliwie popełnił lichwę«... [2]

Na prawo ekwiwalencyi użytkowej wreszcie wskazują przedewszystkiem z wielkim naciskiem postanowienia słynnego kapitularza z Nimwegen (806), który określa lichwę w ten sposób:

[1] Admonitio gen. a. 789, c. 39: »Ut, qui commodarent pecuniam, pecuniam accipiat; si speciem aliam eandem speciem quantum dederit eccipiat«. (Bor. I. 56). Formuła ta powtarza się w cap. missorum speciale a. 802 (?) c. 18 (Bor. I, 103). W synodzie kartagińskim postanowienie to odnosi się wyłącznie tylko do duchowieństwa. »Item placuit, ut clericus, si commodaverit pecuniam, pecuniam accipiat, si speciem, eandem speciem quantum dederit accipiat« c. 16. Mansi XV, 881,

[2] »Uniquis per quodlibet ingenium magis accipit quam praestat, sciat se usuram fecisse. Nam quis tritium aut aliam speciem frugum commodat et non eandem speciem accipit, sed aut denarios, quantum tum venundari poterat, quando illa commodavit aut aliquid aliud accepit, absque dubio usuram perpetravit«. (Mansi XIII, 1016).

»Lichwy dopuszcza się, kto więcej bierze nad to, co pożyczył, np. gdy kto pożyczył 10 szylingów a domaga się więcej, albo gdy kto pożyczył korzec zboża a domaga się więcej ponad to« [1].

W epoce tedy Karola Wielkiego w ruchu pożyczkowym kierowano się zasadą: rzecz za rzecz w tej samej ilości i gatunku, pieniądz za pieniądz. Co ponad to jest lichwą. Jest to właściwość społeczeństwa o ustroju patryarchalnym i o pierwotnej fizyognomii ekonomicznej.

Ale bo też w epoce gospodarstwa domowego, gdzie rzadki pieniądz nie stał się jeszcze środkiem płatniczym, lecz ma tylko wartość miary szacunkowej, gdzie komunikacyi i handlu niema prawie żadnego, gdzie mało kto co kupuje i rzadziej jeszcze sprzedaje a gospodarstwo i przemysł domowy wszystkie zaopatrzyć muszą potrzeby — ruch pożyczkowy środków żywności i codziennych potrzeb gospodarczych musiał być wielki. A były to pożyczki wyłącznie prawie sąsiedzkie i przyjacielskie, dworskie i klasztorne, gdy sąsiad lub poddany znalazł się w potrzebie lub przypadkowej nędzy. Że w takich warunkach wszelki procent, wynagrodzenie lub naddatek za sąsiedzką przysługę uważano za coś niesłusznego i niesprawiedliwego, na co się oburza rozum i uczucie chrześcijańskie, nie potrzeba chyba dowodzić, zwłaszcza że pożyczające zwyczajnie dwory i klasztory specyalne miały zobowiązania feudalne wobec swoich poddanych.

---

[1] Cap. missorum a. 806, c. 11: »Usura est ubi amplius requiritur, quam datur, verbi gratia si dederis solidos 10 et amplius requisieris, vel si dederis modium 1 frumenti et iterum super aliud exigeris« (Bor. I, 132). A dalej: »Foenus est, qui aliquid praestat; iustum foenus est, qui amplius non requirit, nisi quantum prestitit«. Podobnie biskup Haito z Bazylei: »Ut nullus usuras accipiat nec sexcupla nec speciem pro specie...« w Capitula ecclesiastica 807—823, c. 17 (Bor. I, 364).

Pod koniec epoki Karolingów biskup z Soissons pozwala na zwrot pożyczki i w innym gatunku według umowy, ale i w tym wypadku prawo ekwiwalencyi według miary wartości użytkowej a względnie pieniężnej w czasie zwrotu (nie zapotrzebowania) ma być zachowane: »Unusquisque igitur quantum praestiterit, tantum recipiat et eandem speciem et mensuram annonae aut vini aut argenti aut certe alicuius pretii convalescentis, prout inter se convenerint: ita tamen, ut non multiplicetur neque augeatur superaugeatur«. Kap. Richulfa z Soissons 889 r. Mansi XVIII, 87.

Że w takich warunkach prawo ekwiwalencyi mierzono miarą wartości użytkowej, tłumaczy się dalej tem, że wszystkie pożyczki były głównie zbożowe albo obejmowały artykuły codziennych potrzeb gospodarczych a ruchu handlowego nie było prawie żadnego. A jakie ogromne różnice w cenach np. zboża na przednowku i po żniwach, w roku głodowym a zwyczajnym. Nic więc dziwnego, że w rozumieniu współczesnych pożyczki, mierzone wartością pieniężną, były lichwą w oczy bijącą. Później w miarę rozszerzającego się ruchu pieniężnego i zmiany stosunków ekonomicznych zmieni się i miara ekwiwalencyi. Miejsce wartości użytkowej zajmie wówczas wartość pieniężna a czas zwrotu pożyczki zastąpi czas zapotrzebowania. I wówczas za postulat sprawiedliwości uważać będą to, co ongi miano za lichwę.

W lichwie z epoki Karola Wielkiego rzuca się więcej w oczy moment chciwości, braku miłości bliźniego lub rażący brak serca, niż pogwałcona sprawiedliwość. Pod tym kątem widzenia patrzyli się na nią współcześni. Synod akwisgrański (816) utożsamia ją prawie z brudną chciwością [1]. Synod paryski (829) nazywa lichwę obrzydliwym i Bogu obmierzłym rodzajem chciwości [2]: ona zawsze podstępnie sroży się przeciwko ubogim Chrystusowym i zamiast nieść im pomoc i ulgę w naglącej potrzebie wyzyskuje ich i obdziera ich z uprzedzającą dobrocią z mienia.

Słowa te synodów przypominają nam św. Ambrożego i Augustyna i Leona Wielkiego, którzy patrząc się na orgie lichwiarskie arystokracyi pieniężnej w państwie rzymskiem w podobny sposób o lichwie się wyrażają.

Z lichwą pożyczkową, *usura*, łączy się lichwa towarowa, *turpe lucrum*, i tej Karol Wielki również nieubłaganą wypowiada walkę. Należy tu kapitularz z roku 806, zabraniający monopolistyczne zakupy środków żywności w celach lichwiarskich oraz kapitularz z roku 809, zakazujący przedwczesne zakupy płodów rolniczych.

---

[1] Werm. I, 364.

[2] Mansi t. XIV, str. 570.

»Kto w czasie żniw lub winobrania — postanawia kapitularz z roku 806 — nie z konieczności lecz z chciwości zakupuje zboże lub wino, np. za dwa denary kupuje korzec zboża i czeka z sprzedażą aż cena jego podskoczy do 4 lub 6 lub więcej denarów, dopuszcza się brudnego zysku; kto zaś z konieczności to czyni, aby sam mógł wyżyć i zaopatrzyć potrzeby drugich, zajmuje się uczciwym handlem« [1].

Brudnym tedy zyskiem, *turpe lucrum*, według określenia powyższego kapitularza są monopolistyczne zakupy środków żywności, płynące z chciwości i spekulujące na nędzę bliźniego. »Kto dla zysku różnemi drogami krętemi w sposób nieuczciwy przywłaszcza sobie handel jakiejkolwiek rzeczy, uprawia brudny zysk« [2].

Niektórzy mniemają, że rozporządzeniem tem, które w dalszym ciągu powtarza się kilkakrotnie w innych kapitularzach, godzi Karol Wielki w same podstawy handlu środkami żywności. Wniosek i zarzut bezpodstawny, gdyż najprzód zakaz tłumaczy się jasno stosunkami ekonomicznymi i wymaganiami czasu. Z powodu bowiem braku środków komunikacyjnych a przedewszystkiem spławnych rzek tworzyły się podówczas łatwo monopole środków żywności, które trzeba było koniecznie przełamać, ażeby załagodzić powtarzające się klęski głodowe. Że zaś ostrze jego nie było zwrócone przeciwko handlowi środkami żywności wogóle, wynika już ze słów dekretu samego, który wyraźnie odróżnia uczciwy handel od lichwiarskich praktyk monopolistycznego przywłaszczenia sobie handlu w celach wyzysku. To też synod w Chalons (813) wyraźnie przynagla duchowieństwo do czynienia prewencyjnych i bezinteresownych zakupów zboża w celu odwrócenia klęsk głodowych [3], także o kupcach mogunckich czytamy, że

---

[1] Bor. I, 132: »Quicunque enim tempore messis vel tempore vindemiae non necessitate, sed propter cupiditatem comparat annonam aut vinum, v. gr. de duobus denariis comparat modium unum et servat usque dum iterum venundari possit contra denarios quatuor aut sex seu amplius, hoc turpe lucrum dicimus; si autem propter necessitatem comparat, ut sibi habeat et aliis tribuat, negotium dicimus«.

[2] C. 15: »Turpe lucrum exercent, qui per varias circumventiones lucrandi causa inhoneste res quaslibet congregare decertant«.

[3] Mon. Germ. Werm. I, 276.

oni zakupione w północnych Niemczech zboże Menem spławiali do swego miasta rodzinnego [1].

Przedwczesne zakupy zboża na pniu i wina w winnicy zabrania surowo kapitularz (c. 12 i 27) akwisgrański z r. 809, pozwalając tylko na kupno gotowych płodów rolniczych [2]. Delegaci cesarscy [3] mają w tym kierunku baczną zwracać uwagę, by możni panowie nie zmuszali włościan do sprzedawania owoców swojej pracy za bezcen. W aktach synodu paryskiego (829) jest wzmianka, że możni duchowni i świeccy w zachodniej Frankonii, powodując się żądzą zysku, narzucają po prostu ludowi nader nizkie ceny i powołując się na jakiś edykt *soleant edictum imponere*, zmuszają go do sprzedaży zboża i wina. Zboże, mówi synod, kosztuje 12 a wino 20 denarów, wymuszona zaś cena wynosi 4 a względnie 6 denarów, a więc zaledwie $^1/_3$ część ceny targowej.

Przypatrzmy się teraz bliżej tej krainie, na której lichwa pożyczkowa przedewszystkiem pasorzytnie się krzewi.

Najprzód kto pada ofiarą lichwy?

Włościanie przedewszystkiem wolni lub pół wolni. Klęski elementarne, uciążliwa służba wojenna, najazdy nieprzyjacielskie, lata głodowe, zachłanność możnego sąsiada, oto najgłówniejsze przyczyny, które raz po raz wywołują gwałtowną potrzebę kredytu i co za tem idzie potężne wzmożenie się lichwy. Przedmiotem pożyczek były wyłącznie prawie artykuły żywności lub codziennych potrzeb gospodarczych, wyjątkowo tylko pieniądze i to tylko wśród klas wyższych. Lichwa zaś polegała głównie na różnicy cen pomiędzy cenami głodowemi w czasie zapotrzebowania a cenami po żniwach. Wszystkie te rysy odzwierciedlają się w kapitularzach antylichwowych.

Gdy głód doskwiera, czytamy w aktach synodu paryskiego, ubogi udaje się z prośbą do lichwiarza o pożyczkę. Nie trudnię

---

[1] Einhardi Transl. c. 39.

[2] Bor. I, 149, 151: »Ut nemo propter cupiditatem pecuniae aut propter avaritiam suam prius det pretium aut futuram conventionem sibi praeparet, ut duplum vel triplum tunc recipiat, sed tunc tantum quando fructus praesens est illos comparet«.

[3] Bor. I, 151.

się pożyczkami, odpowiada lichwiarz, mam tylko zboże na sprzedaż. Kupiłbym chętnie, tylko teraz nie mam za co, bom w wielkiej biedzie, mówi ubogi. Lichwiarz na to: poczekam, po żniwach zwrócisz mi tyle zboża albo pieniędzy, ile w tej chwili mógłbym za nie otrzymać. W ten sposób, mówi synod, lichwiarz zwyczajnie *(solet evenire)* zyskuje trzy i cztery razy tyle, ile był wypożyczył zboża lub wina [1].

Rozporządzenia antylichwowe Karola Wielkiego może dlatego, że odnosiły się głównie do państwowych urzędników feudalnych nie były związane z żadną sankcyą i pod tym względem były one raczej surowemi napomnieniami potężnego władcy, niż właściwemi ustawami. Tylko biskup Theodulf z Orleanu zabronił osobnym kapitularzem (około 800) lichwy duchowieństwu pod grozą degradacyi, laikom pod karą klątwy. Może też sankcyę tych ustaw kościelno-państwowych złożono wogóle w ręce biskupów. Dość, że następcy dopiero Karola Wielkiego mimo albo raczej z powodu słabnącej władzy królewskiej dołączyli niebawem do zakazu dotkliwe kary pieniężne i kościelno-państwowe.

U kogo pożyczano?

Od możnych panów, duchownych i świeckich. Na synodach w Quierzy (858) i w Thusey (860) z dojmującym żalem wskazywano na możnych panów, którzy wysokie piastowali urzędy feudalne a równocześnie bezlitosną trudnili się lichwą. Nawet urzędnicy koronni uprawiali lichwę — w Quierzy zebrani pod przewodnictwem ks. metropolity Hinkmara biskupi z prowincyi Reims wytoczyli przed królem Ludwikiem żałobę na lichwiących zarządców dóbr koronnych [2].

Obok możnych panów trudniły się częstokroć lichwą klasztory i duchowieństwo świeckie [3]. Cały szereg zakazów antyli-

---

[1] Mansi t. XIV, str. 571.

[2] »Nec pecunias regias vel suas ad usuram donent«. Bor. II, 437.

[3] Biskup Theodulf z Orleanu 800 r. Mansi XIII, 1016; Werm. I, 209, 256, 275, 360, 364, 367, 369, 419. Bor. I, 422, 237, 108, 244. Słynny pod tym względem synod akwisgrański 816 r. dodaje do pierwotnej reguły Chrodeganga dla duchowieństwa świeckiego ... »usuris nequaquam incumbant«. (Migne t. 89, str. 1087 etc.

chwowych odnosi się wyłącznie do duchowieństwa albo w równej mierze do kleru jak do laików. Pieniądze, zdaje się, pożyczano u Żydów i to tylko warstwy zamożne [1]. Pod tym względem gospody, zdaje się, były bankami pożyczkowymi i lombardami, skoro Żydom surowo zabroniono zajmować się handlem i zmianą pieniędzy (kantor wymiany) i sprzedażą wina, zboża i innych środków żywności [2], skoro służba kościelna i duchowieństwo zaciągało u nich pożyczki mimo kilkakrotnych zakazów surowych w tym kierunku, częstokroć na zastaw złota i srebra i paramentów kościelnych [3]. Świętokradzkie zastawy te, dość częste w drugiej połowie IX stulecia, które Żydom były zabronione pod grozą konfiskaty majątku i utraty prawej ręki [4], ponury rzucają cień na upadek kleru i przerażające nieporządki społeczne, ciągnące się ciemnym szlakiem poprzez całe wieki średnie.

Pod jakimi warunkami udzielano pożyczek? Z zachowanych nam skryptów dłużnych i formuł używanych w dokumentach dłużnych wynika, że forma pożyczek i procentu była różna: udzielano pożyczek za wynagrodzeniem peryodycznem zwyczajnie w produktach rolnych; płacono robocizną po dwa lub trzy dni tygodniowo aż do zwrotu pożyczki; udzielano kredytu na zastaw nieruchomości, jak winnicy, łąki, lub ziemi uprawnej, lub też na inwentarz żywy, lub niewolnika. Z zastawu korzystał wierzyciel aż do spłacenia długu. Gdy długu nie zwrócono w oznaczonym terminie, zastrzeżone było częstokroć w kontrakcie zwyczajem rzymskim podwojenie sumy dłużnej [5]. Żydom zabroniono trzymać chrześci-

---

[1] Dahn: *Die Könige der Germanen* VIII, 2, 247; Dodana, *Lib. man.* c. 71. Mabillon, *Acta SS.* IV, 1, 756. Bor. I, 258.

[2] Bor. I, 258: »Ut nemo Iudeus monetam in domo sua habeat et neque vinum nec annonam vel aliam rem vendere praesumat. Quod si iuventum fuerit, omnis substantia sua ab illo auferatur et in carcerem recludatur usque ad praesentiam nostram veniat«. Capitula de Judaeis, wydane, zdaje się, pod koniec IX stulecia.

[3] Por. I, 277; Migne t. 121, str. 765; t. 125, str. 775.

[4] Capitula de Iudaeis c. 1.

[5] Brunner: *Forschungen zur Geschichte des deutschen und französischen Rechts, Gesammelte Aufsätze.* Stuttgart 1894. Str. 525. Kohler: *Pfand-*

jańskiego sługę niewolnego, danego w zastaw, w zamknięciu pod grozą utraty długu i zastawu [1]. Co się tyczy zastawu ubogich, synod paryski (829 r.) surowo piętnuje »okrutnych lichwiarzy«, którzy z okazyi naglącej pożyczki bezlitośnie zagarniają ubogiemu »marne żniwa jego; winniczkę i łączkę« i dla marnej pożyczki obdzierają go z wszystkiego, co posiadał [2].

A teraz walka z drożyzną.

Z ustawami antylichwowemi łączą się ściśle niektóre zarządzenia Karola Wielkiego przeciwko drożyźnie. Należą tu wyż wzmiankowane maksymalne ceny zbożowe w latach głodowych i ustawowe unormowanie cen płaszczów i futer.

Co do cennika zbożowego z roku 794 Soetbeer i von Inama-Sternegg odmiennego w tej mierze są zdania. Cennik ten — twierdzą oni — jest niczem innem jak zmienioną taryfą zbożową z powodu wprowadzenia w życie nowej miary i nowych pieniędzy. Chcąc bowiem ruch handlowy i opłaty publiczne na pewnej i jednolitej oprzeć podstawie i utrudnić praktyki oszukańcze wprowadza Karol Wielki w roku 789 nową miarę i wagę [3]. Stąd powstały nieporządki wielkie w cenach dawnych, długoletnim zwyczajem uświęconych. W czasach bowiem gospodarstwa domowego i systemu grzywien pokutnych: wergeldu, fredy i kompo-

---

rechtliche Forschungen. Jena 1882, str. 86. Porównaj: Schröder: *Lehrbuch der deutschen Rechtsgeschichte.* § 34.

[1] Bor. I, 258.

[2] »Sunt etiam alii crudelissimi foeneratores, qui tempore necessitatis nihil commodare pauperibus volunt, nisi messelas suas et vineolas et pratella ea ratione in pignus dederint, ut quidquid frugum in hisce colligi poterat pro parvo, quod mutuum acceperunt, ex asse amittant. Quae res non minimam pauperibus generat afflictionem et penuriam«. (Mansi XIV, 571).

[3] Rozporządzenie to opiera się na słowach Mojżesza i Księgach Przypowieści: »Nie czyńcie nic przewrotnego w sądzie, w prawidle, w wadze i w mierze. Szale sprawiedliwości, i równe niech będą gwichty, sprawiedliwy korzec, i kwarty sprawiedliwe« (III Moj. 19, 35, 36). »Waga i waga, miara i miara oboie obrzydłe jest u Boga«.

Admonitio generalis a. 789 c. 74: »Omnibus. Ut aequales mensuras et rectas et pondera iusta et aequalia omnes habeant, sive in civitatibus sive in monasteriis (biskupstwa i klasztory czyli też miasta i klasztory?), sive ad dandum in illis sive ad accipiendum, sicut et in lege Domini praeceptum habemus itam in Salomone, Domino dicente: pondus et pondus«... (Bor. I, 60).

zycyi obok chwilowych i zmiennych bardzo cen handlowych, potrzebą chwili wywołanych, istniały nadto stare jeszcze ceny zwyczajowe, przedstawiające wartość użytkową tychże samych rzeczy tak, jak ogół, kierując się praktyką życia, je oceniał. Otóż po wprowadzeniu nowej miary i wagi i pieniędzy, trzeba było zmienić ten zwyczajny cennik zbożowy i na nowej oprzeć go kalkulacyi. Hipoteza ta bystro pomyślana zgodna jest z brzmieniem danego kapitularza i dobrze tłumaczy nagie cyfry ustawowego cennika zbożowego frankfurckiego synodu z roku 794, ale czy konieczna? Nam się zdaje, że cyfry te i bez tej konstrukcyi historycznej tłumaczą się po prostu jako zarządenia głodowe, przeciwko drożyźnie zwłaszcza, że klęska głodowa w roku 793 obejmowała kraj nie tylko miejscami, jak wyż wzmiankowani uczeni mniemają, lecz była prawie powszechna [1]. Zresztą nasuwa się tu pytanie, dlaczego Karol Wielki dopiero w kilka lat po wprowadzeniu nowej miary, miałby wydać takie rozporządzenie?

Podobnie i ustawowy cennik zbożowy z roku 806, odnoszący się do beneficyów królewskich, o cenach już dużo wyższych, niż poprzednie, jako zarządzenie głodowe przeciwko drożyźnie tłumaczyć należy, jak to z dołączonych postanowień antylichwowych, z zakazu wywozu zboża z granic państwa i nakazu zaopatrzenia w zboże ludzi, mieszkających na dworskich gruntach, wynika.

Co się tyczy unormowania cen futer i płaszczów z tych pierwsze nosi na sobie cechy ustawy antyluksusowej, drugie zaś

---

[1] Curschmann: *Hungersnöte im Mittelalter*, str. 71. — Theodor von Inama-Sternegg: *Deutsche Wirtschaftsgeschichte*, t. 1, wydanie z roku 1909, str. 660 i dalej.

Rozporządzenie to brzmi: »Ut nullus homo... numquam carius vendat annonam sive tempore abundantiae sive tempore caritatis, quam modium publicum et noviter statutum (głównie na słowach tych opiera v. Inama swoje wywody, choć przypomnienie świeżo wprowadzonej miary nie suponuje koniecznie wyż przytoczonej hipotezy). De modio de avena denario 1, modio ordei den. 2, modio sigalo den. 3, modio frumenti den. 4. Si vero in pane vendere voluerit, 12 panes de frumento, habentes singuli libras 2, pro denario dare debet, sigalatius 15 aequo pondere pro denario, ordeaceos 20 similiter pensantes. De vero annona publica domni regis, si venumdata fuerit, le avena modios 2 pro den., ordeo den. 1, sigalo den. 2, frumento modius den. 3.

zdaje się być prostem zarządzeniem antydrożyźnianem, zwróconem przeciwko kupcom, którzy wbrew ustalonym zwyczajom ogromnie podnieśli ceny płaszczów fryzyjskich, zmniejszając równocześnie ich rozmiary. Była to interwencya władcy na rzecz prawa zwyczajowego w obronie kupujących. Mnich benedyktyński w St. Gallen opowiada nam genezę tego zarządzenia: »Gdy (Karol Wielki) dowiedział się — mówi on — że Frygyjczycy krótkie płaszcze po tej samej cenie sprzedają co dawniej długie, nakazał, aby nikt u nich innych nie kupował płaszczów, jak tylko wielkie, szerokie i długie po cenie zwyczajnej, dodając: na co przydadzą się owe płaszczyki? na łożu nie mogę się nimi okryć, na koniu niemam żadnej ochrony przed wichrem i deszczem«. Czyż to nie brzmi jakby rozkaz wodza w sprawie umundurowania żołnierzy [1].

Postanowienie antyluksusowe, pewnie pierwsze w szeregu podobnych ustaw w średnich wiekach brzmi: »Niech nikt nie poważy się inaczej sprzedawać ani kupować jak postanowiono, mianowicie lepszy płaszcz podwójny za 20, pojedyńczy za 10 szylingów, inne taniej; futro lepsze, podbite kuną albo wydrą za 30, podbite sobolem za 10 szylingów« [2]. Do rozporządzenia tego dołączona jest sankcya, polegająca na znacznej karze pieniężnej.

Wreszcie dla ochrony biednych i maluczkich przedewszystkiem w ruchu handlowym i pożyczkowym, przy wypłatach i płaceniu czynszu i podatków istniały surowe, kilkakrotnie ponawiane przepisy co do równych i sprawiedliwych miar i wag na targach i po klasztorach i przy wszelkich wogóle transakcyach w życiu

---

[1] Mon. Sangallensis I, 34: »Set cum Fresones brevissima illa palliola sicut prius maxima vendere comperisset, praecepit, ut nullus ab eis nisi grandia latissima que illa longissima pallia consuetudinario precis coemeret, adiciens: »Quid prosunt illa pittaciola? in lecto non possum iis cooperiri, caballicans contra ventos et pluvias nequeo defendi«. Mon. Germ. S. S. II, 747.

[2] Capitula cum primis constituta 808 c. 5, Bor. I, 140: »Ut nullus praesumat aliter vendere et emere sagellum meliorem duplum 20 solidis et simplum cum 10 solidis; reliquos vero minus; rocum martrinum et lutrinum meliorem 30 solidis, sismusinum meliorem 10 solidis. Et si aliquis amplius vendiderit aut empserit, cogatur exsolvere in bannum solidos 40, et ad illum qui hoc invenerit et eum exinde convicerit solidos 20«. Porównaj: Sommerlad: *Die wirtschaftliche Tätigkeit der Kirche in Deutschland*, t. II, str. 116.

ekonomicznem [1]. Przepisy te odnosiły się tak do handlarzy (Żydów, którym wszelako nie było wolno sprzedawać środków żywności), jak do duchowieństwa i właścicieli ziemskich. I pod tym względem brak uczciwości musiał być wielki, skoro w powszechnem użyciu były miary podwójne, inna większa przy zakupnie, a inna przy zbycie [2], skoro synod akwisgrański (816 r.) duchowieństwo przed wszelkiego rodzaju nieuczciwością przestrzega i osobną w tym kierunku mu dodaje regułę: *nec fraudis cuiuscunque studium appetant* [3], skoro w ustawach i rozprawach wszędzie spotykamy się z nieuczciwością handlarzy [4]. Nieuczciwość i chciwość spływające z góry, ogarnęły również szerokie warstwy ludowe. Gościnność, ta najszacowniejsza w pierwotnem społeczeństwie i chrześcijaństwie cnota poszła w zapomnienie i poniewierkę. Niebawem doszło do tego, że obcych i podróżnych ustawa musiała wziąć w obronę przed wyzyskiem i oszukańczemi praktykami ludności. Było to w związku z podróżami możnych, którzy z licznym pocztem służby ze wszech stron udawali się na dwór cesarski. Otóż rozporządzenie cesarskie z roku 884, przypominając duchowieństwu cnotę gościnności, postanawia, by ludność w zbycie swoich produktów trzymała się cen targowych. Ktoby atoli chciał drożej sprzedać, winien się wpierw porozumieć z miejscowym proboszczem. Z drugiej jednak strony orędzie cesarskie zabrania,

---

[1] »Ut aequales mensuras et rectas et pondera iusta et aequalia omnes habeant, sive in civitatibus sive in monasteriis sive ad dandum illis sive ad accipiendum«. Cap. 789, c. 73. Dalej: »Ut aequales mensuras et rectas et pondera iusta et aequalia omnes habent. Et qui antea dedit 3 modios, modo det 2. Cap. 802 c. 44; Cap. 803 c. 8; cap. 805; c. 18; cap. nium. 806 c. 18; cap. miss. c. 10. Bor. I, 108; 125; 132. Obok kapitularzy podjęły walkę z fałszywą miarą i wagą synody: Con. Baiuw. 740—750 c. 14; Arles 813 c. 15; Tours 813 c. 45. Werm. I, 53, 252, 292.

[2] Synod paryski (829) dwukrotnie piętnuje używanie oszukańczej miary podwójnej i wagi fałszywej, które były w użyciu właścicieli ziemskich i duchowieństwa. Uprzednio już synod akwisgrański (789 c. 74) surowo był skarcił zwyczaj miary podwójnej. Bor. I, 60.

[3] Migne t. 89, str. 1087.

[4] Cap. 1 Theodulfi Aurel. c. 800 c. 35, Mansi XIII. 1004. Bened. Levita II, 299. Alkuin: *Liber de vitiis et virtutibus* c. 19, Migne t. 101, str. 627. Hraban hom. 62, Migne t. 110, str. 117; Haymo: *De varietate* lib. II, 62. Migne t. 118, str. 925.

by podróżni nie pozwalali na rabunki, na zmuszanie ludności do sprzedaży, lecz płacili za wszystko według dobrowolnej ugody zwyczajne ceny targowe [1].

Ustawodawstwo Karola Wielkiego przeciwko lichwie nie rozwija się ani jednym ciągiem ani systematycznie i pod tym względem różni się ono wielce od walki przeciwko lichwie, podjętej w tym kierunku przez papieża Aleksandra III. Wszystkie jego rozporządzenia antylichwowe idą razem i równolegle z zarządzeniami przeciwko klęskom głodowym i powstały z walki z nędzą i wyzyskiem. Na pierwszy rzut oka, zdaje się, że to tylko gwałtowna reakcya przeciwko bezlitośnej chciwości i konieczna obrona przeciwko wyzyskowi najbiedniejszych, ale kto się bliżej i dokładniej przypatrzy wszystkim tym rozporządzeniom, niebawem przekona się, że wielkiemu twórcy ich poza naglącemi potrzebami chwili, które je wywołały, przyświeca nadto jakiś ideał społeczności kwitnącej sprawiedliwością i dobrobytem, z której wygnane są raz na zawsze żebractwo i nędza i krwawy wyzysk. Gdy przycichła nieco krwawa wrzawa wojenna, Karol Wielki rzucił wielkie hasło reformy społecznej, aby wszyscy żyli »w miłości i pokoju doskonałym« i wszędzie panowała sprawiedliwość w życiu państwowem i ekonomicznem. I stąd równocześnie i równolegle z reformą administracyi państwowej i sądownictwa poszły ustawy socyalne, podejmujące walkę z nędzą i żebractwem, zarządzenia głodowe i ustawy antylichwowe, walka z lichwą pożyczkową i towarową, z lichwiarskimi monopolami, ze zbytkiem i drożyzną.

Ustawy te antylichwowe oprócz podłoża ekonomicznego, wytworzonego naglącą potrzebą chwili i warunkami ekonomicz-

---

[1] Cap. Aquit. 768 c. 6. Cap. Pap. 787 c. 4. Cap. omnibus cogn. fac. 801—806 c. 1. Bor. I, 43, 144, 198. Cap. 850 c. 4. Cap. Pap. 865 c. 5. Bor. II, 87, 92. Karolomanni cap. Vern. 884 c. 12, 13: »Ut omnis occasio rapinae tollatur, nihil carnis vendant transeuntibus, nisi quanto in mercato vendere possunt. Quodsi carius vendere voluerint, ad presbyterum trunseuntes hoc referant, et illius iussu cum humanitate eis vendant«. Bor. II, 375. Postanowienie to wcielone zostało do różnych późniejszych zbiorów kanonów: Reg. I, 427; Berich. II, 168; Ivo, Decr. VI, 259.

nymi, tkwiły zresztą korzeniem w tradycyi chrześcijańskiej i po części w praktyce Kościoła.

Prawie bezpośrednio przed pojawieniem się pierwszego kapitularza antylichwowego odbyły się w Anglii roku 786 dwa synody ogólne, na których w porozumieniu się z królami i możnymi krajów anglosaksońskich uchwalono zakaz pobierania procentów od pożyczek. Obok delegatów papieskich w synodach tych brał udział i delegat Karola Wielkiego [1]. Nadto w państwie frankońskiem, pomijając przedawnioną uchwałę synodu w Clichy (626), już na początku VIII stulecia były gęsto w użyciu anglofrankońskie księgi pokutne, *poenitentialia*, które zwyczajnie ciężką nakładają pokutę na tych, co od pożyczek jakiekolwiek pobierają procenta [2]. Wreszcie nie bez wpływu na ustawodawstwo antylichwowe Karola Wielkiego było nader ożywione podówczas studyum Ojców Kościoła, które wraz z uczonymi anglosaskimi z jasnych ognisk teologicznych Anglii coraz więcej upowszechniać się poczęło w państwie frankońskiem. W ówczesnej literaturze ustawodawczej i egzegetycznej przedewszystkiem na synodzie w Paryżu (829) raz po raz rzucają się w oczy imiona św. Hieronima i Kassyodora.

Ustawy więc antylichwowe Karola W. nie weszły w życie bez pewnej uprzedniej praktyki kościelnej i życiowej i odpowiedniej atmosfery intellektualnej, a jednak w ówczesnem życiu państwowem były one czemś nowem bez związku organicznego z dawnem społeczeństwem i bez ciągu historycznego z dawnem chrześcijaństwem. Wprawdzie pierwszy kapitularz antylichwowy (789)

---

[1] O uchwałach synodów pisze w sprawozdaniu do papieża jeden z delegatów rzymskich, biskup z Ostii tak: »Usuras quoque prohibuimus dicente Domino ad David: Dignum fore habitatorem tabernaculi sui, qui pecuniam suam non dederit ad usuram. Augustinus quoque ait: »Quia habet iniustum lucrum sine iusto damno. Ubi lucrum, ibi damnum: lucrum in arca, damnum in conscientia«. Ep. Karol. Aevi II, rec. Dümmler, Berol. 1895, 26.

[2] Poenitentiale Sangalense tripartitum i Poenitentiale Capitula Iudiciorum z początku VIII stulecia: »Si quis usuras undecumque exierit (exegerit), III annos poeniteat in pane et aqua«. Poenit. Sang. simplex: »Si quis usuras vel mensuras et stateras dolosas habuerit, III annos«. Schmitz: *Die Bussbücher* II, 182, 238, 335, 380, 347.

powołuje się w tej mierze na uchwały synodu nicejskiego na dekret Leona Wielkiego papieża i na konstytucye apostolskie i prawo Boże, ale wszystkie te dekreta kościelne odnoszą się wyłącznie tylko do kleru. Kapitularze zaś Karola Wielkiego zakaz pobierania procentów rozszerzają na całe społeczeństwo i z prawa kościelnego czynią prawo kościelno-państwowe frankońskiej potęgi światowej. Z prawa Bożego też żadnego w tym kierunku czynić nie można obowiązku dla całego chrześcijaństwa, gdyż społeczne prawo Mojżesza wyraźnie pozwala pobierać od obcych procenta pożyczkowe, choć zabrania ich przyjmować od swoich (Dt. 23, 20). Prawo więc Mojżeszowe w gruncie rzeczy nie było absolutne, tylko względne. Od pożyczek, udzielanych obcym, wolno było, zdaje się, pobierać procenta dlatego, że zżyci z lichwą obcokrajowcy tylko w społeczeństwie żydowskiem na wskróś rolniczem zajmowali się handlem a pieniądze, pracujące w handlu przynoszą dochody. Pobierać zaś procenta od swoich od wiktuałów i artykułów potrzeb gospodarczych sprzeciwiało się miłości społecznej i idei solidarności tak żywotnej u Żydów i było najczęściej bezlitośnym i krwawym wyzyskiem najbiedniejszych. I pod tym względem epoka Karola Wielkiego była najzupełniej podobna do fizyognomii ekonomicznej społeczeństwa żydowskiego. Nowy Testament też w kierunku lichwy żadnej nie przyniósł zmiany.

W epoce jednak Karola Wielkiego i później tłumaczono sobie inaczej moralność tę podwójną, tkwiącą rzekomo w prawie Mojżeszowem. Synod np. paryski (829) zgodnie zresztą ze zdaniem św. Hieronima mniema, że dwulicowość ta tłumaczy się niedoskonałością zakonu Mojżeszowego, odpowiadającego barbaryi czasów. Dopiero w chrześcijaństwie, gdy pogłębi się życie religijne i zajaśnieje prawo miłości, niedoskonałość ta wraz z barbaryą zatrze się i zniknie. Dlatego też Dawid, kreśląc nam w psalmie 14 ideał człowieka pobożnego i przyszłego chrześcijanina, jak mniema św. Hieronim, rozszerza od razu zakaz pobierania procentów od pożyczek i do obcych. W chrześcijaństwie więc obowiązek ten i zakaz winien obejmować wszystkich bez wyjątku. Tak rozumiano w epoce Karola Wielkiego prawo Mojżeszowe o lichwie. I tłuma-

czenie to, zdaje się, przyczyniło się i wpłynęło na wprowadzenie w życie ustaw antylichwowych, zwłaszcza że Karol Wielki z szczególną predylekcyą przejmował się ideałami teokracyi żydowskiej i w kółku przyjaciół przyjął nazwę Dawida.

Tłumaczenie niewątpliwie prawdziwe, jeżeli idzie o miłość bliźniego, która w ciągu historyi z ciasnego kółka rodziny i rodu rozszerzając się w coraz szersze kręgi rozwija się ku jasności Chrystusowej i ogarnia ludzkość całą. Ale lichwa nie jest tylko grzechem przeciwko miłości bliźniego. Istota jej tkwi w pogwałconej sprawiedliwości i polega na naruszeniu prawa ekwiwalencyi. Grzech przeciwko miłości bliźniego jest tu tylko następstwem i owocem grzechu przeciwko sprawiedliwości. Prawo zaś ekwiwalencyi w ruchu pożyczkowym zależne jest od stosunków i warunków ekonomicznych danej epoki czyli podłoża ekonomicznego czasu. Istota pozostanie zawsze ta sama, ale treść jego i strona materyalna inaczej przedstawiać się będzie w okresie gospodarstwa domowego, gdzie pieniądz jest rzadkością i odgrywa przedewszystkiem tylko rolę miary szacunkowej i rachunkowej, inaczej w okresie budzącego się ruchu pieniężnego, gdzie rzecz — miejscami przynajmniej — staje się towarem a pieniądz jest nie tylko miarą wartości lecz nadto reprezentuje różne dobra ekonomiczne a inaczej w okresie rozwiniętego gospodarstwa pieniężnego i międzynarodowego, gdzie pieniądz jest nie tylko reprezentantem różnych dóbr ekonomicznych lecz przedewszystkiem środków produkcyjnych, słowem, warsztatów pracy i wytwórczości ludzkiej. W pierwszym wypadku lichwą będzie wszelkie naruszenie prawa ekwiwalencyi pomiędzy dobrami ekonomicznemi co do wartości użytkowej, w drugim i trzecim co do wartości pieniężnej. Lichwa tedy nie przestając być lichwą zmienia swoje oblicze stosownie do porządku i warunków ekonomicznych czasu. Ona inną miała fizyognomię w epoce Karola Wielkiego i wogóle zamkniętego gospodarstwa domowego, inną za papieża Aleksandra III i w późniejszych wiekach średnich, inną w czasach obecnych, gdzie pieniądz automatycznie wciela się w środki produkcyjne i przyczynia się do wytwarzania nowych wartości. Istota jej wsze-

lako jest zawsze ta sama i polega na przywłaszczeniu sobie drogą ugody jakiejkolwiek nadwartości, płynącej z naruszenia prawa ekwiwalencyi w ruchu i wymianie dóbr ekonomicznych [1].

C. d. n.

Ks. Leonard Lipke.

---

[1] Schnaub: *Der Kampf gegen den Zinswucher.* Funk: *Zins und Wucher.* Koch: *Zins und Wucher, Kirchenlexikon* von Wetzer und Welte. Walter: *Wucher und Zins, Staatslexikon. Deutsche Wirtschaftsgeschichte* von Inama Sternegg, drugie wydanie 1909, str. 668 i dalej. Sommerlad: *Die wirtschaftliche Tätigkeit der Kirche in Deutschland*, tom II, str. 115 i dalej. Funk: *Recht und Moral im Wirtschaftsleben.* Tüb. Quartalschrift, 1869. Hejel: *Das alttestamentliche Zinsverbot im Lichte der ethnologischen Jurisprudenz sowie des altorientalischen Zinswesens.* 1907.

DZIEJE FILOMATÓW W ZARYSIE.

(Ciąg dalszy).

Wogóle jednak nowopoczynający się 1821 rok zaznacza się wśród Filomatów stanowczym zwrotem ku lepszemu. Zan zaczyna odzyskiwać dawną energię i sprężystość w kierowaniu Filaretami, Jeżowski wraca do Wilna z zapasem sił i zdrowia, Malewski po świetnie złożonych egzaminach może zająć się szczerze projektami reformy oraz układem encyklopedyi prawnej, która ma poprzedzić wszystkie inne i stanowić pierwszy krok na tem polu. Rozumiejąc pod nazwą encyklopedyi treść ostatnią każdej nauki, wyraz wszechstronnych studyów i badań, pragnie on pokonać pierwsze trudności przedmiotu i stworzyć całość systematyczną, której plan mógłby służyć za wzór, w jaki sposób pracę tę w każdej gałęzi wiedzy prowadzić należy.

Jednocześnie pragnie Malewski ująć w ściśle określone ramy studya nad językiem niemieckim i przekłady dzieł elementarnych; gdy zaś wszystkie podręczniki zostaną dokładnie poznane, radzi listę ich przedstawić uniwersytetowi, prosząc o uwagi i krytyczną ocenę. We względzie organizacyi kursów proponuje utworzyć komitet kierujący, któryby się zajmował klasyfikacyą i rozbiorem materyi traktowanych a takoż zwracał uwagę na jasność i systematyczność wykładów. Nauki pragnie rozdzielić na trzy grupy: elementarne czyli szkolne, repetycye kursów uniwersyteckich i przedmioty niewykładane w uniwersytecie. W pierwszym roku rozpoczną się już lekcye arytmetyki, geometryi, geografii mate-

matycznej, fizycznej i politycznej, łaciny, greckiego, historyi, literatury i gramatyki polskiej, a wreszcie hodegetyki, obejmującej pogląd ogólny na kształcenie młodzieży i na wady systemu.

Kreśląc plan organizacyi komitetu, resztę wolnych chwil poświęca Malewski rozważaniu koniecznych reform w ustawodawstwie Przyjaciół; dopomaga mu w tem Zan, a zwłaszcza Jeżowski, który bystrym umysłem swym obejmuje od razu całokształt działań, umie ocenić ich złe i dobre strony, a następnie wskazać środki dalszego postępu. Przemawiając w tym duchu na posiedzeniu powszechnem 5 stycznia 1821 roku, przedstawia on w żywych barwach obecny stan administracyi Towarzystwa, odzywa się z pełnem uznaniem o pracy nad młodzieżą uniwersytecką, a główną przyczynę zastoju widzi w uszczuplonej liczbie członków czynnych, w zupełnym braku nowoprzyjmowanych. Wiążąc ściśle działalność Filomatów z rozwojem innych związków, główny cel widzi w zadośćuczynieniu potrzebom Filaretów i Przyjaciół. Tu przedewszystkiem zaznacza konieczność ujęcia w ściślejsze karby kursów naukowych i utworzenia z nich szkoły, która, wynagradzając niedokładność nauk początkowych, sposobiłaby do prawdziwej wiedzy. Następnie wraca do przedstawionego w jesieni projektu i radzi uformować niezwłocznie wskazaną tam klasę drugą, której członkowie, przewodnicząc związkom filareckim, doświadczaliby sił na drodze administracyjnej i sposobiliby się do wyższych działań. Łącząc kwestyę tę z koniecznością reformy Przyjaciół, pragnie Jeżowski utworzyć z ich związku wyżej wspomnianą klasę, z jednej strony kierującą, z drugiej przygotowawczą. Stanie się ona właściwie rządem Filaretów, wybory bowiem przeprowadzać się będą w ten sposób, by Przyjaciele wyłącznie zajmowali stanowisko dozorców i przewodników, a wpływem swym przeprowadzali w oddzielnych związkach uchwały zapadłe w klasie wyższej.

Tymczasem, to jest do stycznia 1821 r. posiedzenia związku Przyjaciół odbywają się zwykłym trybem; administracya pozostaje w dalszym ciągu w rękach Teodora Łozińskiego, prezydentostwo po Michalewiczu obejmuje Stanisław Kozakiewicz, następnie Fortunat Jurewicz, Stanisław Morawski i Jan Czeczot. Grono członków pomnaża Józef Chodźko, Lucyan Ejsmont, Antoni Bo-

rysowicz i Wincenty Porębski, lecz jednocześnie zwiększa się i liczba nieobecnych skutkiem wyjazdu Pietraszkiewicza, Kuleszy, Wierzbiłowicza oraz obu Staniewiczów; Tomasz Zan i Jan Sobolewski dla licznych zajęć w zgromadzeniu Filaretów przechodzą w związku na stanowisko członków honorowych to jest wolnych od wszelkich prac obowiązujących.

Co do zajęć wewnętrznych, rozpoczęta w roku zeszłym poprawa ustaw zostaje ukończona i przyjęta w październiku 1820 r.; nie wnosi ona jednak żadnych zmian zasadniczych, dopełniając tylko dawne prawa i zastosowując lepiej teoryę do praktyki. Korespondencya z członkami nieobecnymi wypełnia część posiedzeń; resztę czasu zajmuje czytanie pism naukowych, krytyka i dyskusya, złożone zaś w archiwum rozprawy i utwory poetyckie przedstawiają się w następującym porządku:

Stanisława Kozakiewicza: »Opisanie powiatu zawilejskiego«.

Jana Michalewicza: »O krucyatach«.

Jana Czeczota: »List ślubny«, »Elegia Owidyusza«, »Aryon«.

Ignacego Domejki: »O metodzie starożytnych«.

Józefa Chodźki: »O budowaniu miast«.

Longina Staniewicza: »Dwanaście praw życia«.

Zygmunta Staniewicza: »Przyczyny upadku Polski«.

Adama Mickiewicza: »Majowy kurhanek«.

Przeciszewskiego: »Myśli nad zastosowaniem siły ciężkości«.

Wincentego Budrewicza: »O chlorynie«.

Projekt nowych ustaw dla Przyjaciół, opracowany w rządzie w myśl poglądów Jeżowskiego i Malewskiego, przyjęty został przez Filomatów z pełnem uznaniem; pozostawało dokonać reformy w samym związku i wprowadzić doń dwu głównych działaczy, Jeżowskiego i Malewskiego. Interes ogólny nakazywał postępować szybko i energicznie; ostrożność przemawiała za wniesieniem nowego kodeksu częściami, w formie projektów, a to w celu by nie dać uczuć Przyjaciołom kierującej nimi ręki: gorli-

wość o szybki wzrost stowarzyszenia sprawiła przecież, że obrano drogę mniej bezpieczną, lecz prosto wiodącą do celu.

W myśl zapadłej uchwały, na najbliższem posiedzeniu Przyjaciół 9 stycznia 1821 roku, Tomasz Zan skreślił w kilku rysach ogólnych historyę związku, jego współudział w organizacyi Promienistych i Filaretów, oraz dzisiejszy upadek ducha, spowodowany powtarzaniem prac naukowych na posiedzeniach filareckich, tożsamością celów i działań. Stan taki dłużej trwać nie może. Wyżsi nauką i doświadczeniem Przyjaciele winni ująć ster nowego stowarzyszenia, stać się przewodnikami na drodze nauki i cnoty, której znaczną część już przebyli. W tym celu nawołuje do reformy, a nowe ustawy, zatwierdzone przez Filomatów, przedstawia jako swój projekt; który oddaje pod sąd towarzyszy z warunkiem, że w obradach wezmą udział dwaj dawni członkowie związku, Jeżowski i Malewski.

Energiczne i uplanowane wystąpienie Zana wywarło pożądany skutek. Gdy przed miesiącem Teodor Łoziński zwracał uwagę na brak cechy charakterystycznej w działalności Przyjaciół i zachęcał do czynnego zajęcia się Filaretami, wezwanie to, uczynione ogólnikowo, nie znalazło żadnego oddźwięku. Obecnie projekt Zana przyjęto jednomyślnie i żadne podejrzenia nie miałyby miejsca, gdyby nie punkt ostatni, żądający przyjęcia Jeżowskiego i Malewskiego nie w charakterze kandydatów, lecz jako dawnych członków. Kiedy należeli oni do związku? dlaczego zeń wystąpili? kto im donosił o postępie działań? — oto pytania, które cisnęły się na każde usta, a odpowiedź, że klub Przyjaciół istniał przed 19 kwietnia 1820 r. i, choć nie miał stałych ustaw, liczył różnych członków, okazała się niezręczną i niewystarczającą. Przyjaciele poznali, że nimi rządzono, i poczęli się dalszego rządu domyślać; myśl o ukrytych kierownikach dotknęła mocno, wynikłe jednak stąd niezadowolenie nie przyjęło cechy jawnej i niebezpiecznej, a wprowadzenie Jeżowskiego i Malewskiego stanęło większością głosów.

Następne posiedzenie przeznaczone na roztrząsanie przedstawionych przez Zana ustaw, odbywa się przy współudziale wszystkich Filomatów i, dzięki ich wpływowi, główne punkty

nowego kodeksu przyjęte zostają bez zmiany. Dawny cel Przyjaciół, nauka, schodzi tu na plan dalszy; miejsce jej zajmuje praca administracyjna nad rozwojem związków filareckich, a myśli i projekty w tym względzie stają się głównym przedmiotem posiedzeń; tu też roztrząsają się wszelkie wniesienia Filaretów przed przesłaniem ich do izby dozorczej.

Co do ustroju wewnętrznego, kierownictwo Przyjaciół złożone zostaje w ręce prezydenta, który łączy w swej osobie dawne urzędy prezydenta i administratora i, wybrany większością głosów na rok cały, staje się główną sprężyną, łączącą Filomatów ze Związkiem. Powaga jego przez cały ciąg urzędowania pozostaje nienaruszoną; obdarzony raz zaufaniem członków, z działań swych nikomu sprawy nie zdaje, a za wszelkie możliwe niedokładności odpowiada dopiero po skończonem urzędowaniu.

Kierownictwo związków filareckich, pozostając w rękach całego stowarzyszenia, powierza się przecież specyalnie osobnym urzędnikom, e f o r o m, mianowanym przez prezydenta. Do zajęć piśmiennych związek obiera trzech sekretarzy.

Po wprowadzeniu nowego kodeksu pierwszym prezydentem Przyjaciół został Tomasz Zan, sekretarzami: Chodźko, Przeciszewski i Pietkiewicz, eforami: Łoziński, Czeczot i Kozakiewicz. Z tych Łoziński objął zarząd związków fizycznych: Amarantowego, Różowego i Zielonego, przybierając do pomocy Domejkę, Budrewicza i Józefa Chodźkę. Pod kierunek Kozakiewicza przeszły związki prawne: Biały i Liliowy; pomocnikami jego zostali: Malewski, Jeżowski, Porębski i Ejsmont. Czeczotowi i jego pomocnikom: Morawskiemu, Jurewiczowi i Kowalewskiemu dostały się dwa pozostałe związki: literacki — Błękitny i medyczny — Granatowy.

Potrzeby Filaretów stają się odtąd głównym celem Przyjaciół, pochłaniają niemal wyłącznie ich myśl i uwagę. Pierwszą czynnością w tym względzie jest ścisły dozór nad wyborami filareckiemi, które, dzięki usilnym zabiegom, przyjmują pożądany obrót i wszelkie ważniejsze urzędy zostają złożone w ręce eforów lub ich pomocników; prócz tego każdy członek związku rozciąga szczególną baczność nad kilku wybranymi filaretami, zwłasz-

cza zaś ścisłą opieką otaczają się kandydaci do stanu nauczycielskiego, jako przyszli przewodnicy młodzieży.

Podobnie jak Filomaci kierują Przyjaciółmi, a Przyjaciele Filaretami, — rząd pragnie uczynić tych ostatnich kierownikami młodzieży zostającej poza obrębem zgromadzenia a przewyższającej je w czwórnasób. Tomasz Zan, podając myśl tę na posiedzenie Przyjaciół, radzi, by zdolniejsi i więcej usposobieni z pomiędzy Filaretów wyszukiwali wśród swych kolegów i znajomych osoby zbliżone usposobieniem, powołaniem, zasadami i starali się tworzyć rodzaj związków, z celem nierównie od filareckiego niższym, bo opartych na wspólnych zabawach, przechadzkach, czytaniu gazet i t. p. Przyjaciele mają czuwać, by członek zawiązujący kółko posiadał potrzebne przymioty, a zwłaszcza umiejętność korzystania z każdej okoliczności, z każdej choćby najprostszej rozmowy, która dawałaby możność poznać charakter towarzyszy, ich zalety, wady i wyciągać stąd potrzebne wnioski. Schadzki winny się odbywać co tydzień a sprawozdanie z nich przedstawi się prezydentowi.

Rozwijając szczegółowo podaną myśl, dzieli Zan młodzież akademicką na dwie kategorye: paniczów i szlachtę. Pierwsi utrzymują się przy uniwersytecie kosztem bogatych rodziców i, albo znajdując się pod ich dozorem starają się mniej więcej korzystać z nauk, albo pozostawieni samym sobie marnują czas i zdrowie; drudzy muszą sami pracować na naukę i życie jako korepetytorowie, kandydaci do stanu nauczycielskiego, medycyny i t. p. Wszystkich łączy młodość, skłonność do zabaw, pamięć narodowej przeszłości, a zjednoczenie ich zaszczepi dobrego ducha w jednych, obudzi go i wzmocni w drugich. Zgromadzenie Filaretów jest szkołą, która kształci myśli, charakter, pobudza do poświęceń dla dobra ojczyzny, dyktowanych przez uczucie szlachetności i nagrodę wewnętrzną. Lecz szkoła ta, zamknięta dla nieznajomych lub mało obiecujących, potrzebuje koniecznie klasy przygotowawczej, najniższej. Taką właśnie klasę utworzą małe związki, liczące najwyżej 15 osób złączonych w celu zabawy przyjemnej i pożytecznej.

Wnikając głębiej w projekt powyższy, Kazimierz Piasecki

zastanawia się nad potrzebami kraju zostającego pod obcym i wrogim rządem, który nie tylko usuwa obywateli od wszelkiego udziału w ustroju politycznym, lecz zabrania im nawet myśleć o potrzebach ogółu i starając się ścieśniać władze umysłowe, utrzymuje jedną klasę ludności w zbytkach, drugą w nędzy, a całe społeczeństwo w stanie zastoju i martwoty.

Myśleć w obecnej chwili o zniszczeniu despotyzmu byłoby szaleństwem; niepodobna również zyskać tak szerokiego wpływu, by stać się od razu działaczem na niwie społecznej. Pozostaje jedna droga: powołać do pracy młodzież, wytępiać w niej lenistwo, egoizm, nieuczynność, zaszczepiać pilność, przyjaźń, moc charakteru, miłość ziemi rodzinnej, dobre obyczaje, wskazywać potrzeby kraju i środki zaradcze. Potrzeby te dadzą się podzielić na cztery kategorye: 1) uświadamianie obywateli, że bez pomocy rządu, a nawet przy przeszkodach z jego strony można działać skutecznie; 2) podniesienie oświaty, przemysłu i handlu; 3) zachęta do tworzenia spółek i związków; 4) szerzenie ducha pracy i oszczędności, nauk i zasad moralnych. Reforma społeczeństwa nie da się od razu przeprowadzić, lecz można rozpocząć działanie, można przygotować ziemię pod zasiew; jedni rzucą nasiona, drudzy dopatrzą wzrostu roślin, a dopiero dalsze pokolenia ujrzą owoce i zbiorą plony. Dziś uniwersytetowi brak katedr, któreby źle nabywaną naukę początkową wynagrodzić mogły; niema zupełnie kursów sposobiących do pewnego powołania: jeśli zgromadzenie Filaretów potrafi tym potrzebom zaradzić, dokona już wiele i wielki pożytek krajowi przyniesie. Szczególnie baczną uwagę radzi zwrócić Piasecki na członków oddalających się na prowincyę, których doniesienia mogą stać się cennym materyałem do wniosków o sposobach rozszerzania organizacyi filareckich do najdalszych zakątków kraju. Myśl tę popierają żywo Stanisław Kozakiewicz i Józef Chodźko, zalecając odjeżdżającym członkom, by garnęli do siebie okoliczną młodzież, wpajali w nią zasady moralności, miłość nauki i pracy, a w miarę postępów w tym względzie starali się zawiązywać stowarzyszenia na wzór znajdujących się w Wilnie i ściśle z niemi zjednoczone. Kazakiewicz radzi przytem rozciągnąć szczególną pieczę nad nauczycielami i księżmi i albo wprowadzić ich

do związków filareckich, albo tworzyć osobne zgromadzenia, oparte na podobnych jak filaretyzm zasadach i ożywione podobnym duchem. Każdy oddalający się z Wilna członek musi posiadać instrukcyę, wiążącą go z głównem ogniskiem a zastosowaną do jego sił, zdolności i warunków bytu. Gdzie znajduje się już kilku korespondentów Filaretów, tam związek Przyjaciół powinien delegować swego członka, któryby stwierdzał podawane wiadomości i kierował zdala zrzeszoną młodzieżą.

W ten sposób obok projektu niższych związków w Wilnie powstaje projekt niższych i wyższych związków na prowincyi. Filareci pozostają przy uniwersytecie jako zakład tajemny, gdzie młodzież uzupełnia swe wykształcenie i sposobi się na obywateli gorliwych o dobro kraju. Towarzystwa składają studenci, duchowni i kandydaci do stanu nauczycielskiego, cały zaś kierunek spoczywa w rękach Przyjaciół; z ich grona obiera się prezydent i większość urzędników, oni roztrząsają wszystkie projekty i wniesienia, oznaczają porządek i podział kursów naukowych, kontrolują dochody i wydatki. Osoby oddalające się na prowincyę formują osobną klasę korespondentów, ściśle złączoną z Towarzystwem; stwarzają nowe organizacye zarówno z osób prywatnych jak z uczniów celujących i starają się pokryć kraj cały siecią związków filareckich.

W myśl wyżej przedstawionych projektów, związek Przyjaciół rozpoczyna niezwłocznie stałą korespondencyę z członkami nieobecnymi, wystosowując do każdego specyalną odezwę, by odtąd co dwa miesiące, prócz wiadomości o swem życiu i zatrudnieniach, przedstawiał myśli co do potrzeb kraju, i sposoby rozwinięcia szerszych działań.

Prócz tego instrukcya zaleca studya statystyczne, oparte na teoryi i praktyce, zachęca do czytania dzieł w tym kierunku oraz do własnych uwag nad stanem oświaty, rolnictwa, handlu i wogóle nad położeniem materyalnem i rozwojem duchowym okolicznej ludności.

Nie wszyscy jednak członkowie nieobecni są w stanie zadowolnić wymagania Związku. Mickiewicz chory moralnie i Pietraszkiewicz zajęty blizkim egzaminem, nie mogą zadośćuczynić

żadnemu z wyżej wymienionych przepisów; inni znów, jak Kulesza, Chodźko, Staniewiczowie, rozpoczynają wprawdzie zajęcia, lecz wobec braku zmysłu spostrzegawczego i organizacyjnego nie umieją ich szerzej rozwinąć. Natomiast działaczem gorliwym i niezmiernie pożytecznym okazuje się Michał Rukiewicz, który, pozostając dla interesów familijnych w gubernii grodzieńskiej, przesyła stamtąd szczegółowe i krytyczne informacye. Smutne rzucają one światło na ówczesny stan tej prowincyi Litwy; obok nędzy i ciemnoty klas niższych przedstawiają ciasny widnokrąg umysłowy szlachty, jej egoizm, ospałość i obojętność na potrzeby kraju. Dzięki jednak usilnym zabiegom zdołał Rukiewicz zebrać grono osób zacnie myślących, troskliwych o dobro powszechne i gotowych zjednoczyć się pod hasłem pracy i pożytecznej zabawy; starają się one wywrzeć wpływ na sejmiki powiatowe i złożyć urzędy w ręce ludzi godnych szacunku, zbierają składkę na utrzymanie jednego ucznia przy uniwersytecie oraz na nagrodę dla członka, który podjąłby się napisać rozprawę o polepszeniu bytu włościan. Działalność ta zyskuje pełną sankcyę związku Przyjaciół, który przesyła Rukiewiczowi oficyalne upoważnienie otwarcia w Białymstoku nowego związku Przyjaciół oraz związków filareckich, które ze swej strony mogą zakładać kółka powiatowe i parafialne.

Pragnąc jednocześnie ułatwić pracę na prowincyi, postanawiają Przyjaciele skorzystać z miesięcy wakacyjnych, gdy członkowie rozproszeni po różnych zakątkach Litwy i Rusi mają sposobność do obserwacyi nad stanem oświaty, przemysłu, handlu, rolnictwa wśród ludności różnych okolic, a zarazem nad ich położeniem geograficznem i etnograficznem. Gdy w ten sposób związek posiądzie dokładną statystykę krajową, odjeżdżający członek będzie mógł otrzymać szczegółowe i ściśle do warunków miejscowych zastosowane przepisy.

Myśli te wykłada obszernie Franciszek Malewski w piśmie zwróconem do Zana a czytanem na posiedzeniu Przyjaciół. Tłumaczy, że niepodobna być gościem na własnej ziemi, niepodobna zaniedbywać jej potrzeb, gdy, nie wychodząc poza sferę wpływu zakreśloną warunkami zewnętrznymi można stać się apostołem

oświaty, uczuć obywatelskich a zarazem rzucić zbawcze światło na historyę gospodarstwa krajowego. Żeby cel ten zbliżyć a projektowanej pracy wakacyjnej nadać cechę dokładności, radzi Malewski ustanowić specyalny komitet, który zająłby się wyłącznie układem instrukcyi, jak wiadomości statystyczne zbierać należy.

Projekt zyskał ogólne uznanie. Prezydentem komitetu został Malewski, członkami: Ejsmont, Kozakiewicz, Przeciszewski, Piasecki, Michalewicz, Łoziński, Porębski, Morawski, Nowicki, Borysowicz, później zaś Rukiewicz. W zakres zajęć, rozpoczętych 26 marca 1821 roku, wchodzą przedewszystkiem wyciągi i przekłady z dzieł dotyczących statystyki oraz zbieranie map i wszelkich wiadomości mogących ułatwić ogólny plan instrukcyi, której pojedyncze działy przedstawiają się w następującym porządku: Malewski opracowuje wstęp i część dotyczącą oświaty, Piasecki przepisy o składzie ludności, Ejsmont zwyczaje i obyczaje, Porębski i Kazakiewicz przemysł, Nowicki i Łoziński hydrografię, klimat, położenie, rozległość i powierzchnię ziemi. Praca, rozpoczęta i prowadzona z całem zrozumieniem rzeczy, daje w rezultacie obszerny zbiór materyi statystycznych, które, związane w systematyczną całość przez Rukiewicza i Malewskiego, stanowią instrukcyę dla odjeżdżających Filaretów — owoc trudów komitetu statystycznego, przyjętą na posiedzeniu przyjaciół 17 czerwca 1821 r. i wydrukowaną kosztem Związku.

Drobiazgowo dokładne przepisy instrukcyi określają ściśle zajęcia statystyczne Filaretów, dla wszelkich zaś mogących się nastręczyć w praktyce wątpliwości ustanawia się stała i systematyczna korespondencya, złożona w ręce osobnego komitetu. Przed wyjazdem każdy Filareta zawiadamia prezydenta, czy wraca na rok przyszły, jak długo pozostanie w uniwersytecie i jakie wogóle ma zamiary na przyszłość? Przepisy szczegółowe dla członków odjeżdżających na stałe, zostają odłożone do jesieni, gdy zbierze się materyał statystyczny, tymczasem specyalna instrukcya udziela się tylko udającemu się do Krzemieńca Maryanowi Piaseckiemu, który, ceniony jako zdolny i pełen najlepszych chęci Filaret, wprowadzony zostaje do związku Przyjaciół wraz z Karolem Mojszelem i Napoleonem Nowickim na wiosnę 1821 r.; otrzymuje

on upoważnienie założenia oddziału Filaretów wśród uczniów Liceum krzemienieckiego, w których towarzystwo wileńskie wielkie pokłada nadzieje.

Cała ta praca Przyjaciół odbywa się przy współudziale i pod bezpośredniem przewodnictwem Filomatów; w każdym czynie, w każdem przedsięwzięciu znać ich przemożny wpływ i kierującą rękę. Poza tą jednak sferą działań szczupłe kółko rządowe otoczone coraz nieprzyjemniejszemi okolicznościami nie może odzyskać dawnej sprężystości i siły wewnętrznej. Zan po śmierci matki pozostaje jedynym opiekunem i chlebodawcą pięciorga młodszego rodzeństwa, Jeżowski nie widzi w Wilnie sposobu do życia, Mickiewicz pełni w dalszym ciągu obowiązki nauczyciela w Kownie, Pietraszkiewicz musi przyjąć podobne w Lublinie; na Malewskim, pomimo jego szczerej pracy i wziętości, jaką zyskał u Filaretów, niepodobna budować blizkich nadziei, czuje się on bowiem gościem w Wilnie, przyjmując ofiarowany przez uniwersytet kilkoletni wojaż za granicę dla przysposobienia się do katedry profesorskiej. Skończyły się lata nauk uniwersyteckich, każdy musi mieć przyszłość na względzie, a ciężka praca na chleb powszedni nie zawsze daje się połączyć z pracą dla Towarzystwa. Książki elementarne, pismo peryodyczne, instrukcya szkolna — wszystko to leży odłogiem, Filomaci, kierując Przyjaciółmi i Filaretami, sami zatrzymują się na osiągniętym już stopniu rozwoju, przestają dążyć ku coraz wyższym ideałom i celom.

»Kto nie postępuje, ten się cofa« — smutne skutki zastoju zaczynają grozić towarzystwu. Stan ten najmniej może boli Zana, który, po otrząśnięciu się z uprzedniej apatyi i kilku tygodniach czynnych działań, uderzony jak gromem śmiercią matki, wpada znów w zupełne odrętwienie. »Nie mam — wyraża się on w jednym z listów do przyjaciół — ani gorących żądań, ani wysokich namiętności, wszystko z jednostajnym przyjmuję spokojem. Spokojność jakaś posępna przytuliła moje serce: większych smutków i cierpień nie przewiduję nad te, jakie przebyłem; większej przyjemności nad przyjemność obcowania i otwierania się przed przyjaciółmi nie żądam«. Z nieobecnych członków rządu Pietraszkie-

wicz zaklina towarzyszy, by nie dali upaść budowie, wzniesionej z takim mozołem; Mickiewicz widzi konieczność reformy, zastanawia się nad nią, lecz wogóle traktuje tę sprawę z zimną krwią i uważa jako wynik warunków chwili. Malewski, przez kilka miesięcy główny stróż i kierownik działań, czyni siebie poniekąd odpowiedzialnym za ich upadek i pragnąc wynagrodzić nieczynność innych, sam pisze encyklopedyę prawa, czyta i tłumaczy książki elementarne, lecz nie umie wpływem swym zagrzać innych. Jeżowskiemu stan zastoju Filomatów zaciężył kamieniem na sercu; obwinia on rząd, że nie uczył członków patrzyć w przyszłość, obwinia siebie, że w projektach swych nie obrachował się z siłami, obwinia towarzyszy, że projektów tych nie rozważali krytycznie, nie podawali swych uwag i nie potrafili określić stosunku pomiędzy tem, co być powinno, a własną możnością. Gotów zawsze do poświęceń, przerywa rozprawę konkursową, która uplanowana w Szczorsach, miała postawić go w liczbie kandydatów, gotujących się do objęcia katedry filozofii, a rozpoczyna pracę nad projektem reformy Towarzystwa, uważając za jeden z zasadniczych punktów, że kilka osób rządzących musi zawsze pozostawać w Wilnie, i że osoby te powinny znaleźć na miejscu pole pracy zarobkowej a na przyszłość środki do gruntownych studyów w kraju lub za granicą. W dalszym ciągu projekt obejmuje przyszłe przeznaczenie związków, kierunek młodzieży uniwersyteckiej, instrukcyę szkolną, wydawnictwo dzieł elementarnych, a wreszcie stosunek tych zadań do dalszego losu Filomatów.

Organizacya związków uplanowana jeszcze w jesieni 1820 r. pozostaje bez zmiany, oparta na czterech punktach zasadniczych:

1) Pięciu zdolnych dyrektorów musi objąć kierunek fakultetów, na jakie związki zostaną podzielone.

2) Każdy dyrektor organizować będzie swój oddział, znosząc się z dyrektorami innych oddziałów.

3) Dla ustalenia w związkach porządku dyrektorowie winni poświęcić trzy do czterech lat.

4) Sami tylko dyrektorowie mogą kursa główne wykładać; w razie potrzeby wyręczają się pomocnikami, lecz pod swym bezpośrednim dozorem i sterem.

Osoby, które z całem poświęceniem zajmą się uzupełnieniem nauk szkolnych i kierunkiem życia akademickiego, zdobędą wkrótce cały zasób praktycznych wiadomości, potrzebnych do stworzenia prawidłowego kursu nauk i ujęcia go w ramki podręczników szkolnych. Pięciu dyrektorów pod przewodnictwem szóstego generalnego dyrektora, pedagoga z profesyi i przy pomocy kilkunastu członków łączyć będą oddzielne prace w każdej dziedzinie nauk w całość logiczną, zastosowaną do celu i planu instrukcyi szkolnej.

Gdy kursa zostaną zorganizowane, a praca około elementarnych książek rozpoczęta, utworzy się instytut naukowy, zadośćczyniący najgwałtowniejszym potrzebom kraju. Instytut ten jednak nie może ostać się bez zewnętrznej pomocy i opieki, osoby kierujące, nie mając własnego funduszu, nie będą w stanie oddać się wyłącznie dyrekcyi związków i zajęciom pedagogicznym. To też należy pomyśleć o połączeniu się z władzą edukacyjną, a mianowicie z kuratorem i uniwersytetem: pierwsze zapewniłoby opiekę, drugie fundusz i promocyę dla członków kierujących.

Za granicą przy uniwersytetach znajdują się szkoły praktyczne czyli tak zwane seminarya, gdzie uczniowie powtarzają kursa akademickie i roztrząsają kwestye wątpliwe. Szkołom tym przewodniczą albo sami profesorowie albo ich substytuci czyli wikaryusze. Łatwo przedstawić uniwersytetowi, że seminarya tego rodzaju potrzebniejsze są w pewnych razach niż główne katedry, a wykład popularny przyniesie umysłom nieusposobionym większy pożytek, niż najlepsza prelekcya, sięgająca poza zakres ich indywidualnego rozwoju. Gdyby uniwersytet uznał słuszność przedstawionych dowodów, mógłby utrzymać własnym kosztem kilku substytutów, a zakład filomacki połączyłby się z głównem ogniskiem oświaty.

Co do steru kursów na nauczyciela matematyki, Jeżowski proponuje Zana, jako biegłego w tej nauce i pedagoga z profesyi; dyrektorem oddziału nauk przyrodniczych radzi uczynić Domejkę, a następnie Jurewicza. Kowalewski, oddany całkiem literaturze starożytnej, może objąć gałąź nauk filologicznych, zwłaszcza, że jeszcze przez półtrzecia roku ma pozostać w Wilnie na funduszu

skarbowym; winien jednak uważać się nie tylko za filologa, lecz za obywatela polskiego i szukać środków, jak przeniknąć ziomków duchem starożytnych pod względem obyczajów i życia publicznego. Mickiewicz mógłby projekt wyjazdu do Warszawy lub zagranicę na lat kilka odłożyć, a natomiast postarać się o przeprowadzenie do Wilna i tu objąć jeden dział naukowy; niemniej byłoby pożytecznem, gdyby Malewski zdecydował się jeszcze jeden rok Towarzystwu poświęcić. Sam Jeżowski, który po podaniu rozprawy konkursowej zamierzał starać się o miejsce nauczyciela logiki i filozofii przy Liceum Krzemienieckiem, z poświęceniem widoków osobistych decyduje się pozostać na Litwie i zająć się traktatem o potrzebie seminaryów oraz planem ich organizacyi.

Projekt ten wraz z wiadomością o niektórych poprzednich pracach i przygotowaniach radzi przesłać kuratorowi drogą prywatną, zwracając się doń jako do obywatela-Polaka, którego dobro kraju i uniwersytetu szczerze i żywo obchodzi. Wpływ Czartoryskiego może sprawić, że drugi powierzchowniejszy projekt zyska sankcyę władz uniwersyteckich, które zapewnią też miejsca płatne dla metodologów. Gdyby nadzieja ta zawiodła, proponuje Jeżowski zwrócić się w inną stronę, pomyśleć o związku z Liceum Krzemienieckiem i założyć tam, jeśli nie instytut pedagogiczny, to szkołę przemysłową, która podnosiłaby oświatę i dobrobyt.

Streszczając swój pogląd, przedstawia Jeżowski dwie alternatywy: albo złączyć się z uniwersytetem, albo przenieść siedzibę gdzieindziej i tam zapewnić sobie stanowisko ściśle związane z potrzebami kraju i miejscowymi warunkami.

Pomimo jednak całej swej głębokości i logiki, wyżej streszczony projekt jako czysto pedagogiczny, na tak odległe rzucony lata, na tak niepewnych łaskach uniwersytetu oparty, nie może pozostać ostatnim wyrazem przekonań ogółu. Pragnąc oświetlić kwestyę wszechstronnie i zyskać podstawę przyszłych działań, rząd wzywa wszystkich Filomatów do formowania opinii we względzie potrzeb i cierpień krajowych, opinii opartej na pewnych danych i potwierdzonej dowodami z życia branymi; zarazem na-

wołuje do obrachunku z przeszłością, do określenia obecnego stanu Towarzystwa i jego przyszłych widoków. Prezydent, znów zmuszony opuścić Wilno, stara się wszelkiemi siłami trafić do umysłu i serca członków, zagrzać ich do pracy czynnej, skupionej, energicznej; w przemowie pożegnalnej wskazuje obowiązki jednostki względem społeczeństwa, maluje władzę człowieka, który może zostawić po sobie pamięć wiekopomną, może zwrócić naród ku wyższym celom, ku wzniosłym ideom, ku postępowi!

Ciężkie warunki materyalne skłoniły Jeżowskiego do przyjęcia miejsca nauczyciela u Narbutta, właściciela majątku Grabiaty. Wyjazd ten, choć przypada w porze najcięższej, nie osieroca przecież całkiem Towarzystwa; prezydent, pozostając w okolicach Wilna ma możność uczestniczyć w każdem ważniejszem posiedzeniu, przesyłać decyzye i rozstrzygać ważniejsze sprawy. Potrzebę jego pomocy i opieki zaznaczają przyjaciele wyraźnie w wierszu pożegnalnym, rozbrzmiewającym nutą smutku i tęsknoty, podzięką dla drogiego przewodnika i hołdem złożonym jego zasługom:

»A chociaż nas zostawiasz, rzucaj często oko
Na swe gniazdo, gdzie wszyscy wielbią cię wysoko.
Wzmacniaj ducha naszego, wspieraj radą zdrową,
Znajdziesz naszą czeladkę ją spełniać gotową.
W dzisiejszym przykrym stanie wszyscy do Cię spieszą,
Wszyscy myślą, lecz jedne twe rady pocieszą.
Postaw na dobrej stopie osłabłe sprężyny,
Dla nas już będzie dosyć, gdy poprawim winy,
Gdy błysną szczęścia chwile, wszystko się sprostuje.
Temu, co tak zbawienną drogę utoruje,
Ojca imię najchętniej Towarzystwo przyzna,
A może jak Bóg wesprze, może i Ojczyzna«!

We względzie zmian w ustroju wewnętrznym nominacya Sobolewskiego i Kowalewskiego na naczelników wydziałów, zdejmuje z bark Malewskiego i Zana część ciążących na nich obowiązków, a czynności administracyjne wydziałowe, złączone w jedno posiedzenie powszechne, obejmują pracę nad przyszłem przeznaczeniem Towarzystwa. Członkowie powołani po raz pierwszy do współudziału z rządem około zmian w organizacyi, wprowadzeni w krainę szerszych myśli i wyobrażeń, czują całą ważność no-

wych obowiązków i oddają się im z zapałem. Poglądy ich, podane na piśmie, stanowią przez cały kwiecień i połowę maja główny przedmiot posiedzeń ogólnych, zwyczajnych i nadzwyczajnych, a choć w głównej swej treści nie sięgają tak daleko w przyszłość, ani szukają tak pewnych podstaw bytu, jak to czyni Jeżowski, znajdujemy tu ogólny zarys reformy, która, zadość czyniąc wadom obecnego ustroju, ma wzbudzić w całej organizacyi nowe siły żywotne.

Wszyscy niemal jednogłośnie czynią zarzut ustawom, że, oddając całą administracyę w ręce rządu, cień jej zaledwie pozostawiły wydziałom, które, zniechęcone przysługującem rządowi prawem odrzucania lub zmieniania dowolnie przesłanych projektów, zrzekły się zupełnie prawodawczego sposobu myślenia i poświęciły wyłącznie zajęciom naukowym. Dziś, gdy rozprawy i wierszyki przeszły do Filaretów, a ręka kierująca osłabła, nieprzyzwyczajeni postępować o własnych siłach Filomaci tracą energię i, nie umiejąc przezwyciężyć trudności w pracy nad instrukcyą i książkami elementarnemi, wpadają w stan zupełnego zobojętnienia. Żeby złemu zaradzić, wzbudzić większą samodzielność, zachęcić do postępu, należy przedewszystkiem uchylić zasłonę kryjącą czynności rządowe; poddać obiór radców pod ogólne głosowanie, a wszelkie narady dotyczące administracyi przenieść na posiedzenie powszechne, gdzie wszyscy członkowie czynni mają prawo głosu. Rząd z prezydentem na czele pozostaje stróżem i egzekutorem postanowień ogółu, on zatwierdza je i w czyn wprowadza, lub też odkłada wykonanie na czas dalszy.

Wogóle znać tu, że Filomaci czują pewien żal do rządu za tajemniczość i arbitralność jego czynności i żądają udziału czynnego albo biernego we wszelkich rozporządzeniach, w kierownictwie związków i zakreślaniu nowych przedsięwzięć; rząd, przyznając im słuszność w znacznej mierze, opracowuje plan przyszłej reformy, gdzie Towarzystwo pod przewodnictwem rządu stoi na najwyższym szczeblu, związek Przyjaciół formuje następną gradacyę, złożoną z dwu działów, naukowego i obywatelskiego, Filareci zaś pozostają najniżej podzieleni na stopnie zastosowane do potrzeb chwili, usposobienia i rozwoju umysłowego członków.

Co się tyczy poszczególnych zapatrywań na przyszłą organizacyę oraz zewnętrzną i wewnętrzną działalność, obok myśli więcej ogólnikowych znajdujemy poglądy głębokie, racyonalne, poparte doświadczeniem praktycznem i ścisłą logiką. Tu przedewszystkiem zasługuje na uwagę rozprawa Michała Rukiewicza, który, zastanawiając się głównie nad organizacyą Filaretów i Przyjaciół, łączy ich w jedno stowarzyszenie rozdzielone na pięć różnych stopni.

W pierwszym, pod dewizą »doskonal się i czyń dobrze«, członkiem może zostać każdy starszy lub młodszy, kto tylko pragnie własnego postępu i dobra współziomków. Posiedzenia o formie najprostszej mają za przedmiot czytanie dzieł poważnych, wyciągi z nich, oraz rozmowy, jak należy korzystać z czasu i dochodów z pożytkiem dla siebie i innych. Związek taki powinien znajdować się w każdej parafii.

(C. d. n.)

Stanisława Pietraszkiewiczówna.

PRACA U PODSTAW W POWIEŚCIACH ORZESZKOWEJ.

(Ciąg dalszy).

VII.

»Nad Niemnem«. — Epicka i satyryczna strona powieści. — Ogniwa łączności społecznej w pracy u podstaw. — »Australczyk«.

Jak to już zaznaczyłem poprzednio, twórczość Orzeszkowej, rozwijając się z biegiem czasu, zakreślała w zasadniczych swych płodach koncentryczne zwężające się wciąż koła. Wspólnym ich środkiem: wykwitająca ze szczeropolskiego serca idea narodowo-społeczna; najdalszym obwodem: tendencyjne ogólniki z przewagą woli dobrej nad siłą twórczą; najbardziej wewnętrznym kręgiem: prześwietlone ideą, uczuciem serdecznem promieniejące, pełne życia i prawdy obrazy naszego bytu, naszych stosunków z doby popowstaniowej. Jasną jest rzeczą: im dalszy krąg, tym więcej ogólników tendencyjnych, im bliższy — tem wyraźniejsze widzenie twórcze, ludzie w niem realniejsi, stosunki prawdziwsze.

Widzieliśmy jak autorka nasza pozbywała się stopniowo ideowo-ogólnikowej bezbarwności; nie mogła się jej wszakże pozbyć całkowicie nawet w tak z wielu względów artystycznym utworze, jak »Meir Ezofowicz«, w którym postaci naczelnej brak szczerej, świeżej barwy życia. Przyczyną tego, jak mniemam, obcość sfery, którą w tej powieści przedstawia. Widzi ją wprawdzie z blizka w jej zewnętrznych rysach bytowych, odgaduje trafnie w typowych stanach i nastrojach duszy; ale tego, co w onej

duszy żydowskiej najbardziej indywidualne, ponad przeciętną typowość się wybijające, ku górnym prądom ogólno-narodowych i ogólno-ludzkich dążeń zwrócone, raczej się domyśla, aniżeli dopatruje realnie, raczej to mieć w nich pragnie, aniżeli istotnie z nich wydobywa.

Jakże inaczej przedstawiają się najbardziej nawet ideowością przesiąknięte kreacye pełnej dojrzałości twórczej w nadniemeńskiej powieści Orzeszkowej.

Idei tu nie mniej, owszem więcej może niż w jakimkolwiek jej utworze; ale dzięki temu, że wprost z osobiście przeżytych wrażeń życiowych zostały wysnute, nigdy nie są chodzącemi abstrakcyami, jawią nam się wcielone w żywych ludzkich postaciach, żywem przemawiają słowem, krwią serdeczną pulsują, w zawiłych stosunkach życia realnie się przejawiają.

Stary powstaniec Anzelm Bohaterowicz, cały aż do monomanii przejęty wspomnieniami jednej z okropnych klęsk 63 roku, w której wraz z wielu innemi ofiarami poległ heroiczną śmiercią Andrzej Korczyński, po wielu latach spotyka jego synowca młodego Witolda. Z podziwem słyszy z ust młodzieńca dawno niesłyszane słowa zapału, a w oczach i twarzy widzi dawno, dawno niewidziane błyski, uprzytomniające mu żywą postać poległego.— »Chryste! — woła — czyż zabici mogą ożyć«. — »Nie — odpowiada Witold — oni sami śpią na wieki, ale uczucia ich i myśli krążyć nie przestają w przestrzeni i płonąć w powietrzu, aż wejdą znów w żywych, młodych, silnych, kochających ziemię i ludzi«.

Autorka w nadniemeńskiej powieści w młodych swych latach żyła na ziemi świeżo przesiąkłej krwią za te uczucia i myśli przelaną, czuła je »płonące w powietrzu«, wołające o nowe wcielenia, może — o nowe ofiary. Po nocach śniły jej się może samotne mogiły leśne bojowników tych uczuć i myśli; a na jawie w rzeczywistości otaczającej cóż dokoła siebie widziała?...

Posłuchajmy co mówi o wrażeniach, wśród których wzrastała Justyna Orzelska, jedna ze smutnego pokolenia pogrobowców roku 63-go.

»Wszystko, co ją otaczało, pogrążone było w staraniach, pracach, w rzadkich nadziejach i uciechach, w częstych obawach

i żalach, zawsze tylko osobistych, ciasnych, powszednich. Dokoła niej myśli ludzkie, jak ptaki z połamanemi skrzydłami, słabo, ciężko, zakreślały nieustannie te same malutkie kółka; uczucia ludzkie, jak motyle po świetnym momencie miłości i wzlotów skurczone, zgniecione, podarte padały na ziemię. Ani razu w swem życiu nie widziała tych błyskawic, które z nieba ideałów zlatują w dusze mieszkańców ziemi. Ani razu przed jej oczyma nie wypadł z ziemi nieba ideałów sięgający grot bohaterstwa. Odwiecznym porządkiem padały na świat błyskawice owe, strzelały z ziemi owe groty, ale daleko, daleko od miejsca, w którem się urodziła, wzrosła i dojrzała Justyna«.

Na takiem to ideowem i uczuciowem przeciwieństwie osnuta jest cała powieść. Odwieczne prawo akcyi i reakcyi stanowi główny jej podkład życiowy.

»Byle przeżyć, byle przetrwać«, szepczą tamci starsi, co pod bezpośredniem ogłuszającem wrażeniem straszliwego ciosu myślą tylko o tem, jakby zachować pozostałą po nim, w cieśni domowej skrytą resztkę życia.

»Lepiej zginąć, niż żyć podle«, wołają z dawnym poetą ci młodsi, co już oddychać nie mogą w dusznej atmosferze zadomowienia.

Oto dwa następujące po sobie pokolenia w powieści »Nad Niemnem«: ojciec i syn, Benedykt i Witold Korczyńscy w przeciwieństwie swych uczuć, idei, dążeń. A jednak w tem przeciwieństwie jaka harmonia zasadniczych tonów serca, jaka zgodność istotnych celów i zadań.

Cóż było robić? co było robić, mówi do syna Benedykt Korczyński, wołano, zaklinano: »ziemia! ziemia!« Trzymałem ziemię.

Trzymał ją w pracy, trudzie, z wytężeniem sił wszystkich, z zaparciem siebie, swoich upodobań, skłonności, swoich nawet ideałów młodzieńczych. — »Gdy nie mógł żyć tak, jakby pragnął; gdy potem już i pragnienie innego życia w nim gasło; gdy nad rozwartą książką oczy mu się do snu kleić zaczynały, gdy zrazu wzrokiem ścigać, a potem i rozumieć przestawał różne oddalone drogi i myśli świata — długo w środku coś mu płakało. Jak długo?

nie pamięta; wie jednak, że z czasem przywykł do wszystkiego; tylko ten płacz wewnętrzny, którego w sobie już nie czuł, przemienił się w głuchy i gorzki war, co chwila wybuchający zeń gniewem, rozjątrzeniem, niby ciężką przeciw życiu i światu obrazą«.

Nagle, własna jego przeszłość, własna jego młodość staje przed nim w osobie syna. Powracająca fala! — Dawna, zapomniana fala zapału, entuzyazmu, »twardej, silnej wiary w przyszłość« powraca oto z przeszłości i z nową siłą w młodem uderza pokoleniu. Ale inne teraz w sercach i umysłach żłobi sobie łożyska. Witold Korczyński nie mniej od swego bohaterskiego stryja-powstańca gotów do walki ofiarnej, ale wie, że teraz nie tym samym orężem walczyć można i trzeba. Zgodnie ze swym zapracowanym na rodzinnym zagonie ojcem, pojmuje on nieodzowną potrzebę wytrwałej, niezmordowanej pracy u podstaw, lecz w odmiennym, o ileż rozleglejszym pojmuje ją zakresie. On nie będzie utożsamiał ojczyzny z ojcowizną, jak to się zdarzało ludziom starszego pokolenia, co po świeżej klęsce z hasłem »trzymaj ziemię!« zamknęli się w twierdzy domowego bytu, domowej, gospodarczej pracy i wszystko, co poza jej obrębem, z oczu tracili, stopniowo odczuwać, rozumieć przestali.

Młodsze pokolenie, w powieści Orzeszkowej przez syna pana Benedykta wyobrażane, zapragnie wyjść z tej cieśni zadomowienia, zabrać się do szerszej pracy obywatelskiej, społecznej, choćby nawet pod grozą osobistych ofiar i poświęceń. Hasłu: »trzymaj ziemię!« przeciwstawia ono hasło »walcz o lud!«, o uspołecznienie, unarodowienie, obywatelskie uświadomienie ludu.

W nadniemeńskiej powieści naszej autorki chodzi o lud szlachecki, staremi wspomnieniami z odległą przeszłością związany, ongi z obywatelskiem w niej (co prawda dość fikcyjnem w gruncie) znaczeniem szlachcica na zagrodzie równego wojewodzie, później z patryotycznem koleżeństwem na polu walki narodowej zagrodnika z chaty i dziedzica ze dworu. Ale to wszystko dawno, dawno minęło: i owa staroświecka równość panów braci z wojewodą i owo bliższe nam powstańcze koleżeństwo w orężu. Pozostały tylko jakieś słabe, ledwie dostrzegalne odbłyski zgasłych

splendorów szlacheckich, jakieś na pół przebrzmiałe echa wspólnych haseł bojowych. Pozostały też, niestety, stare niezgody i waśnie w nowej występujące postaci. Jak ongi szlachta Dobrzyńska urządzała zajazdy na dwór w Soplicowie, tak dzisiaj na pół schłopiali potomkowie szlacheckich niegdyś Bohaterowiczów, najeżdżają grunta pana Benedykta Korczyńskiego, pieniactwem dobijają się o nie ze starodawną zadzierzystością. I tak samo jak ongi kłótnia kończy się zgodą przez tkwiącą na dnie serc miłość ojczyzny pobudzoną, przez związek małżeński przypieczętowaną. »Intercyza cały zakończyła kłopot«, jak mówi w »Panu Tadeuszu« woźny Protazy. — Ta intercyza, stanowiąca finał harmonijny pełnej rozdźwięków nadniemeńskiej symfonii powieściowej — to małżeństwo Justyny z Janem, panny edukowanej z prostym szlachcicem zagrodowym w chwili pojawienia się powieści Orzeszkowej wywołało wiele ujemnych sądów krytycznych. Widziano w tem nieprawdę życiową, lub anty-kulturalną, bałamutną tendencyę. — Czyż coś podobnego, mówiono, w życiu się zdarza? Jakże można coś podobnego zalecać, propagować!

Zaznaczam tu z góry, że wedle mego najgłębszego przekonania, rozwiązanie naszych współczesnych problematów społecznych, narodowych, ogólno-życiowych bez czegoś podobnego jest absolutnem niepodobieństwem. Nie znaczy to bez małżeństwa panny edukowanej z prostakiem, ale raczej bez zbliżenia solidarnego warstw społecznych przez to małżeństwo usymbolizowanego, a szczególnie bez jakiegoś istotniejszego węzła, łączącego ludzi pomiędzy sobą. Co może łączyć taką jak Justyna fizycznie i moralnie zdrową dziewczynę, z otaczającym ją światem, salonowej chorobliwie przerafinowanej hyper-kultury, w siebie zapatrzonej i sobą wiecznie zajętej? A co ją łączy z wychowanym w tradycyach roku 63-go i na wskróś nimi przejętym Janem Bohaterowiczem? Na to odpowiada nam autorka, ukazując oboje młodych pełnych wzruszenia przy samotnej, zapomnianej mogile leśnej. Tam wspólnością błahostki materyalnego używania, materyalnej wygody i jeszcze większej błahostki czysto zewnętrznej, zupełnie bezużytecznej kultury umysłu, wyobraźni, talentów — tutaj łączność w tem, co nam najdroższe, najbardziej umiłowane,

w idei-matce najistotniejszych naszych pragnień i dążeń zbiorowych.

Jest to nie wiem doprawdy tragedyą czy komedyą naszej kultury współczesnej, iż tyle jest rozdźwięków pomiędzy ludźmi, stojącymi na tym samym pozornym jej poziomie. Co dla jednego czarno, to dla drugiego biało. Co dla jednego kulturą, to dla drugiego dziczyzną i odwrotnie. Ze stanowiska, jakie tu, zgodnie z naszą autorką zajęliśmy, czyż nie jest istną dziczyzną, ten potworny zabijający ducha materyalizm życia i użycia, uchodzący w urzędowych niejako sferach współczesnej cywilizacyi za szczyt kulturalności?

U nas w kraju najbardziej charakterystycznym objawem tej kulturalnej dziczyzny, czy zdziczałej kulturalności wszechwładztwo różnych błyskotek cywilizacyi, do których zawsze lgnęło nazbyt wrażliwe zewnętrznie plemię lackie, które nieraz Polskę naszą czyniły »pawiem narodów i papugą«. Jakto? — i teraz w tych pokoleniach pogrobowych »żałobami czarnych« błyszczy ona jeszcze pawimi i papuzimi piórkami! — Oto boleśnie zapewne przez autorkę naszą odczuwane przeciwieństwo, które głównie, jak mniemam, natchnęło jej dziwną, dla wielu paradoksalną, powieść o pięknej pannie z pałaców dumnych, zstępującej do ubogiej chaty, na życie ciężkiej, twardej pracy.

Henryk Heim pod niebiosa wynosząc czary i uroki Polki, dodaje jednak złośliwie, że chętnie odbyłby z nią podróż po Europie, — o wiele mniej chętnie podróż przez życie.

Owóż Orzeszkowa w osobie swej Justyny ukazuje nam osobliwą Polkę, którą obwozić po Europie nie byłoby celu, bo niezbyt jest wrażliwą na to wszystko, co poza ojczystym widnokręgiem mogłaby zobaczyć, ale która, ze swą zdrową, silną naturą w podróży przez życie bardzo i bardzo przydać się może. Kobiecej czułości i miękkiego wdzięku kobiecego niewiele w niej znajdziecie. Jest ona może nadto twardą i nieczułą, ale tem prawdziwszą, czy prawdopodobniejszą w owym swoim bezwzględnem odwróceniu się od własnej sfery towarzyskiej, od wszelkich skupionych w niej skarbów istotnej i pozornej kultury. Autorka usprawiedliwia niezwykły krok Justyny niezwykłością jej uspo-

sobienia i sytuacyi życiowej, jej prostemi upodobaniami obcemi wszelkim wykwintom, jej dumą szlachetną nie mogącą się pogodzić ze stanowiskiem ubogiej panny na łasce bogatszych krewnych, a nadewszystko jej wrodzoną, zdrową energią ciągnącą ją ze sfery kulturalnego próżnowania do prostackiej choćby, ale istotnej pracy.

Zresztą w gruncie rzeczy chodzi tu nie tyle o sam obraz życiowy, co o jego znaczenie. Justyna jest więcej pono symbolem aniżeli typem (stąd pewna twardość w rysunku tej postaci) — symbolem świeżych sił żywotnych, rwących się do życia wśród zmartwiałego w dobie popowstaniowej przygnębienia i błyskotkami kulturalnemi, migającej nieudolności życiowej naszych uprzywilejowanych warstw społecznych. Satyryczna strona powieści Orzeszkowej nie czem innem jest, jak zdzieraniem tych błyskotek, tych pawich i papuzich piórek, a główny epicki jej wątek, jakby zarysem upragnionego, przypuszczalnego odrodzenia przez pracę, choćby w nizinnej szarzyźnie, byle z myślą i wolą ku górnym świtaniom zwróconą. Ku tym świtaniom, co nad samotną mogiłą leśną zajaśniały im odblaskiem krwawej zorzy poświęcenia. Jan i Justyna w związku serdecznym iść mają jako przedstawiciele dwóch bratnich warstw narodu, które dziś rozdzielone, na lepsze jutro zjednoczyć się powinny niezłomnemi ogniwami solidarnej pracy społecznej.

Tak mi się przedstawia symboliczne znaczenie osnowy powieściowej. Poza tem, jako prawdziwie piękne dzieło sztuki, ma ona oczywiście znaczenie czysto artystyczne, obok strony ideowej stronę obrazową. Roztacza przed nami wyrazisty i barwny obraz życia, który niezależnie od przenikającej go idei, sam przez się pociągnął autorkę pełnią swej treści, bogactwem i różnorodnością swych kształtów, barw, zarysów. Z pewnego punktu widzenia możnaby go poczytać za tryptyk: po dwóch stronach realistyczne odtworzenia dwóch odrębnych, uzupełniających się nawzajem sfer naszego bytu narodowego na Litwie, na litewskiej wsi, głównej jego dziedzinie — w środku jako część łącząca idealne obu sfer zespolenie we wspomnieniach przeszłości, w nadziejach na przyszłość.

Czynniki psychiczne i moralne to zespolenie umożliwiające, dobitnie są uwydatnione w charakterystyce osób i stosunków, na podmalowanem z wielką prawdą i wyrazistością obyczajowo-bytowem tle współczesnej rzeczywistości życiowej — przedewszystkiem oczywiście serdeczne przywiązanie do ziemi ojczystej, umiłowanie idei narodowej, oraz złączone z temi uczuciami przezwyciężenie grubego lub wyrafinowanego egoizmu, zamykającego się w prostackoszorstkiej, czy też wykwintnie gładkiej skorupie własnych interesów, skłonności, upodobań. W sferze kulturalnie uprzywilejowanej głównem przeciwieństwem takiego nastroju, wygórowany kult własnej osoby przy oderwaniu od rodzimego środowiska, zcudzoziemczeniu w duszy i obyczajach — w sferze niekulturalnego prostactwa przeciwieństwo to objawia się w postaci zaskorupiałych w sobie naiwnie samozachowawczych instynktów, złączonych zazwyczaj z ciemnotą, z nieuświadomieniem społecznem i narodowem.

Jak to z natury rzeczy wyniknąć musiało, w obrazowaniu bliższej sobie sfery towarzyskiego życia w dworze Korczyńskim, powieściopisarka posługiwała się często rysami satyry — gdy natomiast byt i obyczaje szlacheckiej »okolicy« Bohaterowiczów w epickich przeważnie nakreśliła zarysach. Tam z blizka dostrzegam ujemne strony życia, satyrycznymi znaczyły jej się kontrastami — tutaj widziane z pewnej odległości na tle ojczystej przyrody, zlewały jej się w całokształt artystycznego obrazu, owianego miłym urokiem swojskości.

Nie znaczy to wszakże, aby Orzeszkowa idealizowała tu przesadnie życie naszej drobnej szlachty. Owszem powiedzieć można, że nigdzie nie pozostała ona wierniejszą swemu charakterowi realistycznej powieściopisarki. Każdy rys wzięty tu jest widocznie z bezpośredniej obserwacyi, każda postać przedstawiona i wystylizowana odpowiednio do jakiegoś realistycznego pierwowzoru. To też nie brak tutaj ani złości, ani głupoty ludzkiej, nie brak przeróżnych zboczeń i wykrzywień ludzkiej natury. Dalecy tu jesteśmy od sielankowej niewinności i sielankowej harmonii. A jednak mamy prawdziwą sielankę, nakreśloną w rysach nad wyraz ujmujących, pełnej naiwnego wdzięku i przy całym

swym realizmie nie bez pewnej idealizacyi, uwarunkowanej przez zasadniczy ton powieści i zasadniczy nastrój duszy autorki.

Jak to w mickiewiczowskim opisie zaścianka dobrzyńskiego, czujemy tu zawsze serdeczne umiłowanie przedmiotu, umiłowanie go w jego swojskości, w jego ścisłym związku z przedziwnie obrazowaną przyrodą ojczystą, tradycyą rodzimą, obyczajem starodawnym, wreszcie w jego doniosłem dla całego dzieła znaczeniu ideowem, wysnutem z głębi współczesnej naszej samowiedzy narodowej.

Ten ostatni motyw najwydatniej się zaznacza w pięknem i głębokomyślnem podaniu o Janie i Cecylii, protoplastach rodu Bohaterowiczów. Ona panna z wielkiego domu, on nizkiego pochodzenia, węzłem miłości wbrew przesądom rodowym złączeni przed wiekami z obcych stron w pustą naówczas i bezludną okolicę Litwy przybyli, po długich latach pracą swoją i swego potomstwa zagospodarowali ją, ucywilizowali i wraz z godnością szlachecką od króla Zygmunta Augusta, jako bohaterowie pracy nazwę Bohaterowiczów otrzymawszy, stali się praojcami, licznie przez stulecia rozrodzonej rodziny, wytrwałych pracowników polskich na ziemi litewskiej.

Przedziwnie autorka umiała tu złączyć teraźniejszość z przeszłością i z głębi gospodarczej Polski złotego wieku, przenikającej do puszcz pobratymczej Litwy, wydobyła ideę twórczej pracy u podstaw, mającej stać się nieodzowną rękojmią przyszłości.

Niejako odpowiednikiem tego symbolicznego, idealnego obrazu staje się w powieści realny obraz pracy na polach bohaterowiczowskiego zaścianku — obraz roboty żniwnej bodaj najpiękniejszy, najbardziej typowy w całej literaturze naszej. Realistyczny we wszystkich szczegółach, nie pozbawiony nawet rysów brutalności wiejskiej (np. bójka Fabiana z Ładysiem) owiany jest jednak jakiemś idealnem tchnieniem. Jest to tchnienie miłości dla tej świętej, zbożnej ziemi, co liczne żywi pokolenia, dla tego ludu roboczego, co ją uprawia, dla tych łanów ojczystych, co z pod spracowanych rąk jego wykwitają »malowane zbożem rozmaitem, wyzłacane pszenicą, posrebrzane żytem«. — I miłość ta powieściopisarki dla życiodajnej ziemi i życiotwórczej pracy ludzkiej roz-

ciąga się na cały ów lud, co uszlachcony lub schłopiały na tej ziemi od wieków siedząc, krwią i potem swym ją użyźniał, wesołą swą wrzawą ją ożywiał, ofiarnem swem cierpieniem ją uświęcał.

W całym obrazie bohaterowiczowskiej okolicy jest jakaś radość życia, przenikająca i pracę w polu i zabawę w świetlicy, żywiołową swą siłą przemagająca smutek wspomnień, co się unosi ponad leśną mogiłą i tragiczną postacią starego Anzelma. Jest to zaznaczony powyżej prawdziwie epicki rys powieści, który nie wykluczając prawdy realistycznego obrazowania, opromienia je czarem przedziwnie serdecznej poezyi, właściwej wszystkiemu co z głębi duszy odczute i umiłowane.

W promieniach tej poezyi jakże szlachetnieją niektóre grube, prostackie rysy rzeczywistości życiowej; i tę pomyślność półgłupiego Julka, co niby jakiś stwór ziemnowodny, w niemnowych falach wciążby się pławił, i babska gadatliwość małżonki czwartego męża starej Staczewskiej, pełnej zawsze wesołości i śmiechu i tyle, tyle innych rysów dosadnego komizmu i charakterystycznego prostactwa, jakich mnóstwo w obrazach drobnoszlacheckiego bytu.

I znów przypominają się mickiewiczowskie Maćki i Bartki z Dobrzynia. I tamci realistyczni od stóp do głów, pełni wad, śmieszności, głupstw, a jak sympatyczni jednak, jakim poetyckim urokiem owiani. Sto lat blizko upłynęło, gdy pamięć ich wskrzesiła w swoich Bohaterowiczach autorka nadniemeńskiej powieści. Jakże ci różni od tamtych. Niedarmo przeleciało nad nimi tyle burz dziejowych, tyle krajowych klęsk i nieszczęść. Schłopieli do cna panowie szaraczki. Nie do szabli im teraz ni do kielicha, a do pługa, kosy, cepów. Ale zawsze krew szlachecka wre w nich po staremu i szczere polskie serca uderzają miłością ziemi rodzinnej, obyczaju ojczystego. Jeno im głowy oświecić, dusze napełnić pożądaniem rzeczy wielkich i górnych, a staną się dzielnymi pracownikami narodowymi, wytrwałymi budowcami gmachów narodowej przyszłości.

Orzeszkowa, jak nikt u nas, odczuła i pojęła możliwe znaczenie społeczne warstwy drobnoszlacheckiej na Litwie — pojęła, że jest w tych ludziach o przysłowiowej wytrwałości niezrównany

społeczny materyał, z którego Bóg wie jakie możnaby wykuwać charaktery i energie. — Niestety, tylko materyał... A gdyby go wyrabiać, przetwarzać wpływem, współdziałaniem klas wyższych, kulturalnych?...

Oto myśl przewodnia powieści »Nad Niemnem«, oto szlachetna jej ideologia, symbolicznie wyrażona małżeństwem Jana z Justyną. Podobnie jak ona i on więcej jest symbolem, aniżeli typem, z czego wynika, że za mało w nim realnej charakterystyki, za mało miąższości i barwy życiowej. Postać jego rysuje się niekiedy wyraziście w osnowie powieściowej, ale na ogół w nazbyt jednostajnie idealnym kolorycie, bez cieniów i żywszych zabarwień.

Nie brak natomiast rysów dosadnej charakterystyki w innych postaciach drobnoszlacheckiego światka. Mnóstwo ich szczególnie w opisie wesela, wybornie po epicku wystylizowanym, z przedziwną wyrazistością uprzytomniającym czytelnikowi tych ludzi i cały ich świat naturalnej bezpośredniości zespolonej z ugruntowaną od wieków tradycyą bytową i obyczajową. Sam język tych ludzi w dyalogu powieściowym jak wyodrębniony charakterystycznie swem staroświeckiem zacięciem, swem miejscowem zabarwieniem, swymi prowincyonalizmami i neologizmami. A ich różnorodne typowe postaci, ich myśli, uczucia, pieśni, podania, cały ich światopogląd, tak przystosowany do wioskowego widnokręgu, ojczystych tradycyi: wszystko to cały odrębny epicko-idyliczny świat rodzimej swojskości z takiem umiłowaniem serdecznem, a zarazem z takiem poczuciem prawdy realnej ujęty tu i odtworzony w barwnem obrazowaniu powieściowem.

Jak odmiennie przedstawia się ten drugi świat naszego bytu społecznego, co tam, wysoko ponad poziomem wieśniaczego prostactwa roztacza się w pańskich komnatach dworu korczyńskiego. Jak zaznaczyłem, ujęty on został przeważnie ze strony satyrycznej i jest to bardzo naturalne, nieomal komiczne w utworze powieściowym osnutym w głównym swym wątku na motywach swojskiego obyczaju i rodzinnej pracy. Owóż pierwszego tak niewiele pozostało w naszych dworach i pałacach, a drugiej tak mało przybyło w życiu ich mieszkańców. Patrzmy jak praca jest

tu nie regułą, a wyjątkiem, okropną jakąś anomalią, próżnowanie zaś prawidłem ogólnem, przywilejem niewątpliwym i wielce szacownym. Pracuje Benedykt Korczyński w bolesnem poczuciu swego osamotnienia, pracuje stara panna Marta (z charakterystycznem przysłowiem: wieczny smutek!) w ciągłem rozgoryczeniu biednej wykolejonej istoty, pracuje słomiana wdowa Kirłowa uchodząca w towarzystwie wykwintnem za coś w rodzaju kobiecego potworka bez gracyi i dystynkcyi; pracuje wreszcie młody Witold Korczyński ale ten duchem i dążeniami poza obręb swej sfery się wyrywa.

Inni bawią się, rozrywają, flirtują, romansują, chorują, dyletantują — oddają się wszelkim możliwym zajęciom i czynnościom z wyjątkiem tych, które nazwą pracy dałyby się określić. A jak wspaniale nudzić się umieją z ciągłym swym »głodem wrażeń« w duszy, w ciągłej pogoni za coraz to nowymi sposobami zaspokajania go. Niema radości życia ani w ich pracy ani w ich zabawie, irytacya tylko w pierwszej, nuda bezbrzeżna w drugiej.

Powie kto: przesadzony, jednostronny obraz. — Przesadzony? — ani trochę; jednostronny? — być może, bo z pewnego wyłącznego wzięty punktu widzenia i widziany w oświetleniu pewnej zasadniczej myśli autorki o nieodzownym warunku naszego bytu, naszego odrodzenia narodowego: solidarnej, społecznej pracy u podstaw na gruncie rodzimym w atmosferze swojskiego bytu, swojskiego obyczaju.

Owóż przyjrzyjmy się tym wszystkim wykwintnym, wykształconym, wysoce kulturalnym paniom i panom, jakich ukazuje nam autorka w swym satyrycznym obrazie. Czyż nie są to dobrzy nasi znajomi żywcem z realnego bytu do powieści przeniesieni? — a czyż nie są oni żywą negacyą wszelkiej idei swojskości, rodzimości, społecznej pracy u podstaw? Zapewne, nikt nie wątpi, że, obok zaprzeczeń i liczne stwierdzenia tej idei znaleźć można w wyższych sferach naszego społeczeństwa. Ale któż będzie twierdził, że te ostatnie nad tamtymi przemagają, że te a nie tamte nadają zasadniczy ton zbiorowemu życiu sfer owych?

Co najmniej mógłby to być temat do dyskusyi, której tu w całej rozciągłości niepodobna podejmować, a której wynik osta-

teczny w sensie zgodnym z satyrą Orzeszkowej dla mnie osobiście jest niewątpliwy.

Zresztą niezależnie od znaczenia, jakie ma lub mieć może dany obraz powieściowy, chodzi o to — i to rzecz główna czem on jest sam w sobie, co nam daje, jakie ukazuje zjawy i kształty życia. Owóż obraz wyższego towarzystwa ziemiańskiego w powieści »Nad Niemnem« jest wyborną satyrą społeczną, zawierającą wiernie i trafnie z rzeczywistości życiowej wychwycone postacie, pełną rysów dosadnej charakterystyki, a przy całej swej iście komedyowej plastyce i barwności wolną od karykaturalnego przejaskrawienia.

Weźmy np. taką bardzo ubarwioną satyrycznie postać, jak schorowana, rozromansowana, rozmarzona, wiecznie pragnąca i tęskniąca pani Emilia Korczyńska. Nie jest to wcale jakiś śmieszny dziwoląg, lecz doskonały okaz danej sfery życiowej i towarzyskiej, czasem śmiech, czasem coś od śmiechu gorszego, a czasem i współczucie wzbudzający. Na prawdę ona chora, chorobliwie nadczuła, nadwrażliwa, tragiczno-nerwowa. Jakże nie ma być chora, gdy wciąż sobą zajęta, w siebie zapatrzona, każde, najlżejsze choćby drgnienie swej wydelikaconej istności odczuwa jako wstrząśnienie straszliwe, każdy powiew zewnętrzny jako burzę, każdy konflikt życiowy jako dramat, że cała jest w swych nerwach i przypadłościach nerwowych, cała jedną nieustanną tragedyą histeryczno-nerwową. Nieszczęsna ofiara zniedołężnienia życiowego i kultu własnego niedołęstwa, chorująca gdy jej się coś niepodoba, umęczona wszystkiem, co nie odpowiada jej gustom i pragnieniom.

Orzeszkowa, ze swem silnem i zdrowem poczuciem społecznem, niezmiernie jest wrażliwa na wszelkie objawy chorobliwie przeczulonego egotyzmu i dzięki temu z wielką bystrością chwyta w lot satyryczne jego odbicia, tam nawet, gdzie on mniej lub więcej zasadnie drapuje się w szaty górnie szlachetnego idealizmu. Takim widzimy go u majestatycznej pani Andrzejowej, w której jest prawdziwy majestat wielkiej, tragicznie podniosłej boleści, ale jest też narcyzowo-bezpłodne zatapianie się w idealnie pięknym jej widoku, dumne odwracanie się od rzeczywistości ku zrodzonemu z tej kontemplacyi ideałowi, okazującemu się w swej reali-

zacyi życiowej wstrętną chimerą o cynicznie wykrzywionem obliczu. Ukochany syn, mający być spadkobiercą idei bohaterskiego ojca entuzyasty, wychowany w abstrakcyjnym jej kulcie, bez zetknięcia się z realnymi jej przejawami, wyrasta na wystudzonego do dna duszy cynika-samoluba, dla którego materyalne używanie jedynym celem, a »głód wrażeń« najpospolitszych, idealnymi pozorami okrytych zmysłowych wrażeń, jedynym bodźcem życia.

W cynicznym pseudo-artyście, Zygmuncie Korczyńskim, mamy ostateczny wyraz antyspołecznego sobkostwa na różny sposób w wielu innych postaciach powieści satyrycznie oświetlonego. Tem ono w nim jaskrawsze, iż tak wysoce kulturalne, a w swej hyperkulturze tak czcze, jałowe, rozpaczliwie znudzone. Zygmunt to przedstawiciel tych młodych pogrobowców roku 63, którym po wytężonym aż do szału entuzyazmie ojców, na skutek jakiegoś może wyczerpania w tym kierunku, pozostała tylko głucha pustka bezdusznej, bezserdecznej aż do cynizmu wyschłej trzeźwości. Owym młodym sobkowskim wytrzeźwieńcom, jakże przypadła do gustu współczesna nasza kultura w swym kosmopolitycznym materyaliźmie, tak obca wszystkiemu co swojskie, rodzime, blizkie sercu i duszy człowieka.

Ale oto na przeciwległym krańcu popowstaniowego pokolenia naszej młodzieży zjawia się zupełnie odmienny typ w powieści Orzeszkowej, wyobrażony przez Witolda Korczyńskiego, wydającego się staremu powstańcowi Anzelmowi jakby wskrzeszonym towarzyszem broni — typ entuzyastycznej reakcyi, zwróconej przeciw objawom oschłości i zniechęcenia, który po klęsce w starszem zapanowały pokoleniu. Postać tę przedstawiła autorka w dosadnej dla danego momentu znamiennej bardzo charakterystyce. Jest w tym młodzieńcu dziwnie surowa, ponad wiek wygórowana powaga chwili tragicznej, w której na świat przyszedł, jest w nim jakaś chorobliwa nieomal nadczułość i porywczość we wszystkiem, co się odnosi do ukochanej idei narodowej, jest w nim wreszcie zamiłowanie do wszelkich rzeczy rodzimych, swojskich, z przeszłością i teraźniejszością ojczyzny złączonych. To typowe mickiewiczowskie (z wiersza »Do matki Polki«) dziecię-

patryota, które »rzuciwszy rówieśników grono, do starca bieży, co mu dumy pieje i słucha z głową pochyloną, kiedy mu przodków powiadają dzieje«. A w ścisłym związku z tem usposobieniem instynktowny jakiś wstręt do materyalizmu i bezdusznej pustoty kultury współczesnej, do wszelkich jej błyskotek, pawich i papuzich piórek, natomiast żywy pociąg ku prostocie i bezpośredniości bytu ludowego, ku przyrodzie i wszystkim najbliższym jej objawom życiowym.

Ostatni rys, będący wynikiem właściwych Orzeszkowej, przez nią samą na innem miejscu wspomnianych »różnych pretensyi do kultury«, łączy ideę narodową powieści z ogólno-ludzką, uprzytomnia nam ów wielogłosowy w całej Europie odzywający się z wyżyn kultury protest przeciw powszechnemu jej na rozległych obszarach życia pod bezmiernym ciężarem materyi spłaszczeniu. Raczej pozbyć się kultury aniżeli żyć dalej na wstrętnych płaszczyznach jej materyalizmu; jak mędrzec z »Zaratustry« Nietzschego iść raczej między bydlęta byle uciec od zbydlęconych kulturalnie ludzi. U nas w Polsce, obok ogólno-ludzkiego, jest jeszcze pewien szczególny społeczno-narodowy motyw podobnych protestów. Wszakże my nie zdołaliśmy nawet przyswoić sobie istotnych, poważnych zdobyczy kultury materyalnej, chwytamy tylko jej bezwartościowe błyskotki, w których paradujemy jak afrykańskie dzikusy, w koralowych szkiełkach przywożonych im przez europejskich kupców. Czyż przeto u nas nie żywotniejsze niż gdziekolwiek nawoływania do podstaw cywilizacyi, do podstawowych na nizinach życia ludowego prac cywilizacyjnych.

Odrzucić precz głupie błyskotki, wziąć się do poważnej, rozumnej pracy, ramię przy ramieniu z ogółem swojskiego roboczego ludu — oto idea przewodnia Orzeszkowej, przenikająca wszystkie jej obrazy powieściowe, w powieści »Nad Niemnem« najszerzej na gruncie rzeczywistości współczesnej ujęta, zobrazowana, usymbolizowana. Nie nazwałbym ją nawet ideą demokratyczną, bo u naszej powieściopisarski nie łączy się ona nigdzie z właściwem wszelkiej demokracyi pojęciem przemieszczania władzy i znaczenia od wyższych do niższych klas społecznych. Możnaby ją chyba nazwać ideą uspołecznienia naszych warstw uprzywilejo-

wanych, które dotąd znają przeważnie tylko »towarzystwo« a ze społeczeństwem tak słabo jeszcze złączone, albo też dosadniej, a po prostu ideą spuszczenia z tonu, pozbycia się głupich »fumów«, które tak zaciemniają głowy, tak zatruwają nieraz serca i dusze na uprzywilejowanych wyżynach, na owych górnych »tarasach« towarzyskich, których pustkę i jałowość doskonale przejrzał i w życiu swem stwierdził jeden z tych, co tam stale przebywali: Sienkiewiczowski »człowiek bez dogmatu«, bystromyślny a tempoduszny Płoszowski.

Orzeszkowa ma istną pasyę ściągania ludzi z tych tarasowych świetności. Czyni to nie tylko w nadniemeńskiej swej powieści, gdzie, ku straszliwemu zgorszeniu wszystkich czcicieli dobrego tonu i dobrej partyi, edukowaną pannę ze dworu wydaje za prostaka z chaty, a szlachetnie urodzonego panicza zaprzyjaźnia ze schłopiałymi szlachcicami, — ale też w wielu innych swych utworach, a przedewszystkiem w powieści »Australczyk» mogącej służyć za uzupełnienie owych dziwacznych historyi z nad Niemna.

I tutaj mamy niemniej od tamtych dziwną historyę. Młodzieniec z Litwy rodem robi świetną karyerę w stolicy północnej, a jeszcze świetniejsze widoki otwierają się przed nim na wysokim urzędzie, który może otrzymać gdzieś we wschodnich głębiach państwa. Człowiek wysoce cywilizowany, znający się na wszelkich dobrodziejstwach współczesnego komfortu, nawet na chińskich parawanikach i japońskich wazach, marzy o przyszłem wznoszeniu się na drabinie urzędowych zaszczytów oraz o złączonych z tem postępach w dobrobycie i bogactwie a tymczasem jedzie na pożegnanie odwiedzić rodzinne swe strony nie bez myśli zaimponowania parafiańskim krewnym swymi świetnymi stosunkami, godnościami i widokami. Ze zdziwieniem jednak przekonywa się, że wszelkie stołeczne świetności nie imponują jakoś litewskim prowincyonalistom, którzy nawet przedrwiwają go po trosze z całym jego nadnewskim komfortem i wykwintem, chińskie parawaniki poczytują za wierutne głupstwo, urzędową karyerę na wschodzie za coś w rodzaju przeniewierstwa, a jego samego przezywają ironicznie Australczykiem, jako niby przybysza z końca świata, obcego wszystkiemu co swojskie i rodzinne poniekąd nawet trochę

dzikusa wobec przejawów miejscowej na ojczystym gruncie powstałej i wiekami wyrobionej kultury. Rzekomy Australczyk dziwuje się naprzód temu wszystkiemu, oponuje zrazu mocno, potem coraz słabiej aż wkońcu ulega wpływom otaczającej go swojskości i jak Bartek Prusak w Soplicowie »nadyszawszy się i napiwszy ojczyzny«, pod odurzającym jej czarem traci nabytą trzeźwość racyonalistyczną i wbrew wszelkim jej wskazaniom porzuca widoki świetnej karyery i bogactwa, aby w skromnym, może zgoła miernym bycie ziemianina litewskiego oddać się pracy na ojczystym zagonie, trudnej, mozolnej, często iście katorżnej pracy u podstaw.

Tutaj nie tylko zwolennicy cywilizacyjnych błyskotek w dobrym tonie, ale nawet poważni wyznawcy różnych północno-zachodnich, krajowo-realistyczno-ugodowych ideałów powstaną może przeciw rzekomej paradoksalności autorki. Jakto? — Wyrzekać się karyery, bogactwa dla mierności, może dla nędzy. A toż bogactwem trwają i rosną narody, nędzą upadają. Czyż nie przynosi szkody własnemu narodowi ten, co swe zdolności zamyka w zaścianku, gdy je może rozwinąć na szerokiej widowni i szerzyć na niej nasze wpływy, nasze znaczenie. Z ust jednego z naszych przodowniczych statystów słyszałem zdanie, że jak Grecy w schyłkowej dobie cesarstwa rzymskiego powinniśmy czynić zdobycze kulturalne, pracować dla kultury, szerzyć kulturę na rozległych obszarach wschodniego państwa.

Jest to znowu temat do rozległej dyskusyi, na którą tu nie czas ani miejsce. Pozwolę sobie tylko przypomnieć starą opowiastkę o cienkich prętach, złączonych w wiązkę, której i największy nie złamie siłacz. Czy nie taką wiązką być nam raczej, aniżeli indywidualnie rosnąć w objętości, aby prędzej lub później łamać się w odosobnieniu? — A co do naszych zdobyczy kulturalnych na obczyźnie?... Przypomnijmy jeno sobie jak to Grek starożytny, cywilizując cesarstwo rzymskie, sam upadlał się coraz bardziej, aż stał się z niego »Greculus« obrzucony pogardą powszechną. Bolesne jest nieraz spotkać się w życiu i w nowszej literaturze rosyjskiej z typem i nazwą »Polaczyszki«, przypominającym bardzo Greculusa rzymskiego. Zresztą kulturalne zdo-

bycze różnych zjadaczy obcego chleba jakże problematyczne. Genialnie w samej jej istocie określił Fryderyk Nietzsche kulturę jako »jedność stylu we wszelkich objawach życia«. Z tego stanowiska bardziej kulturalnym jest prosty wieśniak, żyjący wystylizowaną przez wiekowe tradycye obyczajowością aniżeli jakiś wszechświatowy na wielką skalę drabinkarz w rodzaju barona Mangro-Rabsztyńskiego (z najnowszej powieści Micińskiego »Nietota«) genialnego małpo-luda, umiejącego przyswoić sobie wszystkie siły i środki współczesnej kultury, umożliwiające mu wspinanie się na coraz wyższe szczeble drabiny społecznej.

Z tego punktu widzenia ujęty problemat kultury rozwinięty został przez Orzeszkową najbardziej wyczerpująco w powieści »Dwa bieguny«.

(C. d. n.)

Walery Gostomski.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

Chopin. Napisał *Henryk Opieński.* »Nauki i sztuki« tom X. Skład główny w księgarni H. Altenberga we Lwowie. Warszawa. E. Wende i Spółka, 1909, 4-to, 139 str. i 74 illustracyi.

Ściśle rzecz biorąc, na monografię o Chopinie jeszcze za wcześnie. Dopóki nie zbadamy z jak największą dokładnością epoki poprzedzającej twórczość naszego mistrza, dopóki nie zaznajomimy się zwłaszcza z muzyką fortepianową owych czasów i z rozwojem harmonii i wolnych form, dopóki wreszcie nie poznamy stosunku Chopina do tego, co znał i słyszał (o czem informuje nas z wszelkiego uznania godną sumiennością p. Hoesick w swej chopinowskiej biografii), dopóki nie zdołamy z naukową ścisłością odgraniczyć w dziełach Chopina to, co jest niezaprzeczoną własnością duchową jego wielkich poprzedników od jego własnego »ja« — dopóty nie zdołamy zdać sobie d o k ł a d n i e sprawy i z własnej indywidualności twórcy ballad i z jego znaczenia nie tylko w muzyce fortepianowej, ale i ogólnej. Powtarzać wiecznie, że Chopin jest tak samoistnym, iż nic nie jest do niego podobne, znaczy w dalszym ciągu powtarzać komunały. Wszak żaden z wielkich genialnych twórców muzycznych nie traci nic na tem, że nauka zbada dokładnie drogi, po których stąpał ku wawrzynom i nieśmiertelności i ku — znalezieniu siebie samego. Dla jednych drogi te są krótsze, dla drugich dłuższe, dla reszty ciągną się przez całe życie, nawet od chwili znalezienia siebie samego (Bach, Haydn, Schumann, Brahms, Strauss). To wyśledzenie zależności (do pewnego stopnia) od epoki poprzedzającej i współczucia z duchowymi prądami epoki współczesnej

jest zwykle solą w oku mało krytycznych i bezstronnych, więcej zaś zapalonych własnym temperamentem umysłów, które w nauce i jej genetycznych metodach dopatrują się niedyskrecyi, nietaktu, seperactwa, szpiegowania i (o zgrozo!) chęci pomniejszania wielkości olbrzymów ducha. Tymczasem rzecz ma się zupełnie odwrotnie, albowiem tego rodzaju metoda przyczynia się właśnie do ukazania w całej pełni indywidualnych cech danego twórcy od naleciałości i wpływów oraz od tego, co wprawdzie przejął od poprzedników lecz bądź przekształcił bądź też dalej poprowadził i rozwinął. Wszak to jest nie tylko koniecznem do poznania twórczości, ale także czemś bardzo interesującem. Zmniejszyć można tylko to, co jest wymiernem, a więc nie talent, nie geniusz. Żaden z monografów Beethovena nie umniejszył jego wielkości przez wykazanie ulegania wpływom Haydna, Mozarta i francuskich kompozytorów — aż do IX symfonii. Ale też nikt nie zmniejszy zapału tłumów dla p. Lehara, choćby przez nietrudną analizę wykazał jego zły wpływ na smak muzyczny i jego banalną nicość. Nienaukowe zaś taksowanie jakiegoś kompozytora mniej czy więcej wybitnego jest w gruncie rzeczy pozbawionem racyi bytu; wszak krytycy z pism codziennych używają równych słów zachwytu dla Beethovena, Wagnera, Verdiego, Offenbacha, Pucciniego, Leoncavalla i t. d. Czyż to nie jest daleko bardziej rażącem i nieprzyzwoitem zachowaniem się względem największych duchów?! I czy to raczej nie jest (mimowolnem coprawda) pomniejszaniem tych ostatnich?

Powodem, dla którego p. Opieński nie obrał drogi ściśle naukowej w swej monografii, jest przeznaczenie tej ostatniej dla najszerszych kół czytelników. Nie mógł więc przeprowadzić analizy dzieł mistrza, gdyż to zmniejszyłoby bez wątpienia zainteresowanie niewtajemniczonych w muzyczną *syntaxis* laików, z pewnością nie zbogaciłoby ich »wiedzy«, skoro im brak podstawowych wiadomości. Chodziło autorowi o danie ogółowi książki polskiej o Chopinie, gdyż mimo Karasowskiego, Tarnowskiego i kilku bezwartościowych drobiazgów, książki takiej nie posiadaliśmy. Dzieło bowiem p. Hoesicka mimo wielkiego mnóstwa materyału krytycznego, czerpanego z najwybitniejszych autorów, zajmuje się Chopinem-człowiekiem, przynosząc bardzo wiele nieznanych dotychczas wiadomości. I bynajmniej nie zgadzam się z tymi krytykami, którzy p. Hoesickowi wśród łatwych dowcipów zarzucają zbytnie nagromadzenie drobiazgów, niepotrzebnych do zrozumienia Chopina; wszak monografia jest portretem, a portret nie obejdzie się bez tła, choć ono nie jest ani integralną częścią osoby portretowanej ani

też nie tłumaczy jej duszy. Pan Opieński postanowił biograficzną część usunąć na plan ostatni i wybrać tylko najcharakterystyczniejsze z życia Chopina momenty, które mają mniej lub więcej blizki związek z jego twórczością. Oczywiście znalazło się tych momentów bardzo wiele, tak iż niepodobna było w całości odpowiedzieć zamiarowi pierwotnemu. Autor wyzyskał wszelkie dotychczasowe badania biograficzne. O ile mi wiadomo, pracę ukończył p. Opieński w zeszłym roku. Stąd też nie mógł uwzględnić najnowszych badań p. Hoesicka, dotyczących życia Chopina od przybycia do Paryża aż do r. 1838 (por. »Fryderyka Chopina pierwsze lata w Paryżu«, w *Przewodniku naukowym i literackim*, Lwów 1909, zeszyt styczniowy aż do grudniowego). Odmiennie i na większej ilości źródeł oparta praca p. Hoesicka pozwala nam obecnie nieco inaczej zapatrywać się na związek Chopina z panią G. Sand i z jego otoczeniem paryskiem. Mimo to spostrzeżenia i charakterystyka p. Opieńskiego są zupełnie zgodne z rzeczywistością i nakreślone przekonywująco. Zaletą tej względnie tych ustępów pracy p. Opieńskiego jest to, że żadna z postaci drugorzędnego znaczenia w życiu Chopina nie występuje na plan pierwszy i nie wpływa niekorzystnie na tło, które jest niejako draperyą charakterystyki Chopina. To co pisze p. Opieński o Chopinie-człowieku, wystarcza zupełnie tym, dla których książka jest przeznaczona. Dzięki wielkiej intelligencyi autora otrzymujemy bardzo trafną psychologiczną sylwetę mistrza z uwzględnieniem wszystkich materyałów odnośnych (listów i piśmiennych tradycyi).

Ponieważ szczupłe rozmiary — a także założenie — nie pozwalały autorowi przeprowadzić analizy dzieł, przeto ograniczył się do charakterystyki muzyki Chopina, nie zaś jego utworów. I sądzę, że dla laika jest to jedyna metoda wprowadzenia go w świat chopinowski. A więc na wstępie rzuca autor pogląd na to, co zwiemy »narodową muzyką«, przyczem rozwija znane powiedzenie Norwida: »Podnoszenie ludowych natchnień do potęgi przenikającej, i ogarniającej ludzkość całą — podnoszenie ludowego do ludzkości — nie przez stosowanie zewnętrzne i koncesye formalne, ale przez wewnętrzny rozwój dojrzałości — oto jest, co wysłuchać się daje z muzy Fryderyka, jako zaśpiew na sztukę narodową« *(Promethidion)*. Następnie szkicuje autor stosunek Chopina do klasycyzmu i to, co Chopin dał nowego muzyce, a co często było źle zrozumiane. Jednej tylko rzeczy wymagać moglibyśmy od autora, mianowicie, aby był szczegółowiej zajął się czysto muzyczną indywidualnością Chopina, a więc tem, co go

wyróżnia w stylu od wszystkich wielkich mistrzów. Wszakże nie tylko narodowy pierwiastek sprawia że Chopina od razu przeciwstawiamy, ale i oryginalny, odrębny, własny styl jego. Również narodowość w muzyce nie objawia się tylko w przetopieniu na tony tego, co jest właściwością i temperamentem narodu. Przypominam sobie, jak w r. 1904 prof. dr. T. Kroyer (Monachium) wskazywał w swych wykładach na sposób rozwijania myśli i przeciwstawiania ich, na kontrastowanie treści psychologicznej, szybkie lecz bardzo logiczne przechodzenie z jednego stanu duchowego do drugiego i znowu powracania — jednem słowem na wahanie w utrzymaniu jednolitego nastroju, które w muzyce Chopina zrodziły swobodną, niczem prócz wewnętrznej logiki muzycznej nie krępowaną formę, a logiczną tylko dlatego, że jest naturalną i na bezprzykładnie spontanicznem tworzeniu opartą. I to właśnie jest — zdaniem prof. d-ra Kroyera — nie tylko osobistem, ale i narodowem. Znakomity uczony monachijski wskazywał także na *feingeästete Faktur*, jako nie tylko narodową ale i czysto chopinowską cechę. (Przypominam sobie, jak podczas pewnego koncertu, na którym jeden z największych pianistów grał poloneza fis-moll, zbyt markując rycerskie rytmy, rzekł prof. Kroyer, iż Chopina polonezy są tak pełne naturalnej siły tkwiącej choćby w tematach, iż najdrobniejsza przesada i zbyt indywidualna interpretacya, jest nieznośną i przeciwną naturze Chopina, nie znoszącego żadnej przesady w wykonaniu). Co prawda— już w samej charakterystyce Chopina-chłowieka przez p. Opieńskiego jest wiele uwag, które możnaby nazwać wyjaśnieniem muzyki chopinowskiej. Np. ustęp, w którym autor zastanawia się nad błędnemi uwagami niedawno jeszcze czynionemi przez wszelkiej kategoryi krytyków, jakoby muzyka Chopina nie była pozbawiona »chorobliwych pierwiastków«. Zgadzam się z p. Opieńskim zupełnie, że takie pojęcie ma swe źródło w nierozumieniu pewnych trudniejszych do odczucia dzieł mistrza. I wątpię aby metody Kraepelinów, Krafft-Ebbingów, Nordauów i Möbiusów wyjaśniły jeden choćby takt z twórczości muzycznej i zdołały oznaczyć, co jest chorobliwe, a co zdrowe. Zdaniem mojem, poglądy zwalczane słusznie przez p. Opieńskiego są podobne do postępowania uczniów, używających t. zw. »eselsbryków«. Przedstawiciele tych poglądów sięgnęli do biografii i tam przeczytali, że Chopin cierpiał nieuleczalnie na gruźlicę. »A więc« stan patologiczny »musiał« wpłynąć »także« na twórczość... Uwierzymy tym metodom, jeśli nam wytłumaczą, na jakiej podstawie Chopin mógł w najcięższem stadyum swego patologicznego stanu napisać kilka dzieł »try-

skających zdrowiem« i tak pogodnych, że dorównywują pod tym względem kompozycyom z epoki warszawskiej. Byłaby to potrzebna odpowiedź na to »niepotrzebne pytanie«. Dłużej zatrzymuje się pan Opieński przy sonatach, głównie ze względu na sprzeczne zdania badaczów co do wartości sonat odnośnie do ich budowy. Chopin, nie czyniąc repryzy po przeróbce pierwszego tematu, postępował bezwarunkowo logicznie, jakkolwiek nie trzymał się klasycznej formy; i ta właśnie swoboda była punktem zaczepienia dotychczasowych badaczów jego twórczości. Wiemy, że forma sonaty już po Beethovenie przechodziła różne metamorfozy; dość wspomnieć Schumana i Liszta. W nowszych i najnowszych czasach różni twórcy czynili eksperymenty bądź w kierunku redukcyi (Skrjabin, Dukas, Novák, Medtner), bądź też rozszerzenia jej formy w pewnych składowych częściach (M. Reger). To dowodzi, że mimo klasycznych autorytetów sonata jako forma posiada problematyczną przyszłość. Że to powątpiewanie nie było obcem Chopinowi, to właśnie nadaje mu wielkiego znaczenia historycznego. Nie był rewolucyonistą, lecz reformatorem; a wystarczy rzucić okiem na stan sonaty po r. 1895, aby módz nie nazwać prób Chopina bezpodstawnemi. Że zaś wartość muzyczna (twórcza) jego sonat (zwłaszcza b-moll i h-moll) jest wielka, przeto osądzenie ich formalnych właściwości czy wartości może zająć tylko drugorzędne miejsce. Przynależność w e w n ę t r z n a — jak słusznie p. Opieński pisze — jest tak wielka i jasna, że zewnętrzne ogniwa, choć niewątpliwie nikłe, nie uprawniają nikogo do nazwania sonat Chopina »fantazyami w czterech częściach«. Ponieważ jednak autor zatrzymuje się dłużej przy formal nych właściwościach sonat, więc do pewnego stopnia należałoby choć w ogólnych słowach nawiązać swe wywody z kwestyą form scherza; tu również dać charakterystykę postępu w traktowaniu tej formy przez Chopina, zaznaczając różnicę między scherzami innych współczesnych. Jest to problem dlatego ważny, że »reforma« Chopina znalazła wielkie zastosowanie w muzyce fortepianowej XIX stulecia, a odgłosów jej nie brak nawet w polskiej muzyce, która — rzecz to nie do wiary — znacznie później niż np. francuska i rosyjska, zaczęła przyswajać sobie chopinowskie właściwości formalne. Także balladom i nokturnom należałoby nieco więcej miejsca poświęcić i pieśniom, które nawet u nas spotkały się z obojętnością starszych muzyków, mimo, że sięgały dalej w przyszłość niż pieśni Moniuszki, jak to zresztą autor w jednym ze swych artykułów (nie pamiętam gdzie) zaznaczył.

Pan Opieński pragnął dać książkę dla najszerszych sfer, jak to zaznacza w przedmowie (str. 1). Nie wątpię, że na podstawie tejże, oraz przez zagłębianie się w dziełach naszego mistrza zrozumienie dla tych ostatnich będzie rosło. Oby wielka poczytność wywołała drugie wydanie, w którem autor nie krępując się względami przez nas wyłuszczonymi rozwinął te myśli, które mógł tylko zaznaczyć.

Książkę, wydaną bardzo starannie, zdobi wiele portretów Chopina, dotychczas prawie nieznanych. Nie brak i kompozycyi malarskich, illustrujących twórczość Chopina. Zapobiegliwa redakcya »Nauki i Sztuki« wykazała w tym kierunku wielką sumienność, jakkolwiek nieraz za daleko idącą. Nie wszystkie bowiem rysunki i reprodukcye nowszych fantazyi na temat Chopina są godne tej w dziedzinie polskiej umysłowości pierwszorzędne miejsce zajmującej publikacyi.

Dr. Adolf Chybiński.

Sam. Powieść dla dorastającej młodzieży. *K. Rojan* (pseudonim). Lwów 1908. Nakł. księg. polskiej B. Połonieckiego. Str. 215.

Dla tej właśnie dorastającej młodzieży, która koniecznie za dojrzałą już uchodzić pragnie, trzeba nam lektury jak najwięcej, a z drugiej strony przyznać należy, że napisać dobrą dla niej i pożyteczną powieść bardzo trudno. Będzie ona dobrą nie tylko wtedy, kiedy krytyk-pedagog za taką ją uzna, ale zarazem wtedy, kiedy sama rzeczywiście młodzież będzie tę powieść czytała z zapałem i zajęciem. Do takich zaliczono powszechnie wydaną przed kilku laty powieść p. t. »Oko proroka«, a obecnie zaliczyć należy powieść, a raczej historyę i przygody Wicka Siekierskiego we Lwowie p. t. »Sam«. Byłem świadkiem tego zainteresowania się młodych czytelników, (uczniów IV i V klasy gimnazyalnej) losami i niezwykłą walką, którą staczał z nędzą, biedny Wicek. Autor powieści z niezwykłym talentem spostrzegawczym przedstawia w swem opowiadaniu życie pastuszka gęsi, ucznia i czeladnika ślusarskiego, realisty, a wreszcie technika, który sam rzeczywiście z niezwykłą samodzielnością połączoną z prawym i szlachetnym charakterem, wreszcie inżynierem zostaje. Dla paniczyków, pieszczochów, którzy wskutek dostatków nie wyrabiają w sobie hartu woli i wytrwałej pilności, książka ta może być bardzo zbawiennem lekarstwem, a zarazem miłem, ponętnem i powabnem, bo autor umiał bardzo zgrabnie wplatać komiczne szczegóły w całe piękne życie swego bohatera. Ponieważ młodzież lęka się książki poważniejszej, a nawet w powieści moralizowania słowem nie lubi i gotowa nawet takie

ustępy opuszczać, więc tem większą jest wartość powieści »Sam«, że jej tendencya jest zupełnie ukryta, ale zmusza czytelnika do pokochania Wicka, a w nim pięknych zasad moralnych, nieskazitelnej uczciwości, poprzestawania na małem i rozumnej ambicyi Wicek przykładem swoim pociąga czytelnika do samodzielności i uczynnej ofiarności dla innych, gdyż w czasie całej swej ciernistej drogi pod górę, okazuje chętnie pomoc biedniejszym, bo nieporadniejszym od siebie, a co ważniejsza nie zraża się nawet niewdzięcznością. Dopiero na ostatniej stronie czyni autor wniosek rozumowy, który tu przytaczamy: »Dzielne społeczeństwo składa się z dzielnych jednostek. To też każdy, komu los dał w rękę berło pewnej władzy, bez względu na to, czy uczynił go rolnikiem, kupcem, fabrykantem, urzędnikiem, lub niezależnym kapitalistą, powinien użyć tej władzy w pierwszym rzędzie na to, by jak najwięcej wytworzyć dokoła siebie dzielnych, młodych jednostek; przez to bowiem spełnia swój obywatelski obowiązek i dorzuca swą drobną cegiełkę do odnowienia ojczyzny«.

Sądzę więc, że powieść tę gorąco winni wychowawcy młodzieży polecać i podsuwać, gdyż musi ona wywrzeć na każdą młodą duszę dodatnie wrażenie, a samolubów i opieszałych zbawiennie zawstydzi i wyrywając z miękkiej gnuśności, skrzepi ich wolę i popchnie w ruch czynnego życia.

Ks. T. Bzowski.

Szkice literackie o Juliuszu Słowackim. *Dr Wiktor Hahn.* Brody 1909 Nakładem F. Westa. 8-ka, kt. nlb. 4, str. 172 i 2 nlb.

Na czele książki artykuł z okazyi 50-tej rocznicy zgonu Słowackiego (str. 1—19) Nie jest to bynajmniej, jakby zdawać się mogło na pozór, taki sobie pospolity artykuł okolicznościowy, którego wartość jest jednodniowa. Bo znajdujemy w nim zarówno wytłumaczenie przyczyn, jakie skłoniły poetę do wytrwania na emigracyi, (a tłumaczenie owo należy uważać za najtrafniejsze z dotychczasowych hipotez), że tylko pomnożę cytaty d-ra Hahna wierszem z »Grobu Agamemnona«:

Nie! raczej skonać, niż t a m iść z łańcuchem...

tak analogicznego pod względem myślowo ideowym z fragmentarycznem zdaniem, zawartem w wierszu »Do matki«, w którym mówi, że »woli tutaj konać, niż iść na obrożę...« A dalej — na uwagę zasługuje w tym szkicu prześliczne, a tak proste, uzasadnienie tężyzny stylu Słowackiego, oraz lotności jego wyobraźni i nakoniec tego, iż Słowacki jest jednym z najbardziej narodowych naszych mistrzów słowa. Ze-

branie umiejętne a zwięzłe najistotniejszych cech poezyi Juliuszowej, podane w formie przystępnej, uważane być powinno za pierwszorzędną zaletę szkicu d-ra Hahna.

Notatka p. n. »Czy Słowacki napisał tragedyę p. t. Silla?« — obala w zupełności fantastyczny domysł p. Hoesicka.

Rzecz o »Wallasie«, zaginionej tragedyi Słowackiego, zaznajamia nas ze źródłami, które dały poecie niezbędny materyał historyczny — na podstawie wzmianek, wyjętych z korespondencyi.

Większych rozmiarów praca p. n. »Wincenty i Bonawentura Niemojowscy w Anhellim« (str. 31—59) wykazuje dowodnie, jak na podstawie drobnych i dla przeciętnego czytelnika niedostrzegalnych szczegółików można dojść do pewników, kogo dana osoba, rzekomo fantastyczna, ma przedstawiać. Napotykamy w »Anhellim« sytuacyę wskrzeszenia starca z siwą brodą i bielutkimi włosami. Dotychczasowe badania nie zapuszczały się głębiej, celem odsłonięcia tajemnicy, lub też ograniczały się niczem niepopartymi ogólnikami. Dopiero d-rowi Hahnowi udało się wyśledzić, iż w postaci owej należy widzieć Wincentego Niemojowskiego, znanego w dziejach sejmu z r. 1831, a niemniej z bardzo krótkotrwałej działalności emigracyjnej, Niemojowski bowiem zgasł na pomięszanie zmysłów już w r. 1835, nie mogąc przenieść katastrofy, jaka spadła na naród, ożywiony najlepszemi nadziejami.

Wyświetlenia innej postaci z tego samego poematu tyczy się szkic p. t. »Ksiądz Adam Stan. Krasiński w Anhellim« (str. 62—68). Dotychczas, idąc za zdaniem prof. Małeckiego, dopatrywano się w biskupie, który występuje w rozdziale IX, biskupa Kajetana Ignacego Sołtyka, jakkolwiek było wiadomem, że Sołtyk, wywieziony przez Moskali do Kaługi, nie spoczywa na Sybirze, lecz na Wawelu. Obecnie dr. Hahn, opierając się na jednym z listów Słowackiego, pisanych do Konstantego Gaszyńskiego, udowadnia iż może tu być mowa jedynie o zmarłym w r. 1800 biskupie kamienieckim A. St. Krasińskim. Dlaczego zaś poeta umieścił go na Sybirze, to da się w zupełności wytłumaczyć działalnością księdza biskupa w ostatnich latach Rzeczypospolitej. Wskrzeszenie zaś pamięci jego wśród pustoszy sybirskich jest taką samą licencyą poetycką, jaką było umieszczenie tamże braci Niemojowskich.

Trzecia praca, traktująca o wspomnianym utworze, »O tłumaczeniach francuskich Anhellego« (str. 69—75), rozpatruje przekłady, dokonane przez markiza de Noailles oraz przez p. Wacława Gasztowtta,

a zarazem obala fałszywy domysł p. Hoesicka o rzekomo drukowanem w *La Revue Nouvelle* tłumaczeniu Gaszyńskiego.

Szkic p. t. »Balzac czy Słowacki?« (str. 77—83) rozstrzygnął kwestyę sporną zapożyczki sceny zamurowania kochanka w »Mazepie«.

»Pierwsze tłumaczenie niemieckie »Mazepy J. Słowackiego« (str. 85—93) zostało ocenione krótko, ale wszechstronnie. Okazuje się mianowicie, że, o ile z jednej strony powiodło się tłumaczowi oddanie na ogół utworu wiernie, to znowu z drugiej strony tłumacz nie potrafił odtworzyć piękności oryginału do tego stopnia, że obcy czytelnik nie może nabrać ani w przybliżeniu pojęcia o stylu poety, skoro język przekładu jest chropawy i pozbawiony poetyczności.

Notatka p. n. »Celtowie w Lilli Wenedzie« (str. 96—102) potwierdza przypuszczenie Lewestama, jakoby ludźmi, występującymi w tragedyi, mieli być Lechici, przyczem podkreśla trafnie, że szczegóły gwałtownego zetknięcia się Lechitów z Wenedami są wynikiem w części fantazyi poetyckiej, w części zaś badań Maciejowskiego. Tak tedy, bodaj częściowo, rąbek zasłony, roztaczającej się nad utworem Słowackiego, dał się uchylić. Z mylnej zupełnie, mglistej ponadto i niepewnej teoryi wyprowadzona tragedya, musiała przedstawiać się zagadkowo. Teraz przynajmniej wiemy, dzięki badaniom d-ra Hahna, dlaczego poeta utożsamia Wenedów z Celtami, dlaczego nadto każe przybywać Lechitom z zachodu? Lechici bowiem mają oznaczać założycieli i twórców przyszłego państwa polskiego.

Bardzo obszerne i szczegółowe jest omówienie »Poety i natchnienia« (str. 103 - 131), z którego wynika, że utwór ten powinien być zaliczony do najpiękniejszych, nie tylko pod względem formy, ale i treści, gdyż stanowi całość jednolitą, przeprowadzoną systematycznie, w myśl powziętych idei. W tym względzie ma wyższość stanowczą nad »Samuelem Zborowskim«, z którego myślą przewodnią trudno pogodzić się. A nawet i ten czytelnik, któryby odrzucił wywody mistyczne, znajdzie w utworze szereg obrazów, przed którymi musi kornie uchylić czoła. Do takich zaś należy przedewszystkiem owa wielka, niezachwiana wiara w przyszłość Polski, wypowiedziana w prześlicznej alegoryi o jaskółkach.

Całość tej książki dopełniają artykuły drobniejsze, a mianowicie: »Kartka z autografu Króla-Ducha«, »Cypryan Norwid o Słowackim«, wreszcie publicystyczne: »Społeczeństwo polskie wobec jubileuszu Słowackiego«, »Szkoła wobec setnej rocznicy urodzin Słowackiego« i »Nauczycielstwo ludowe wobec setnej rocznicy urodzin Słowackiego«.

Pomijamy je, jako czysto okolicznościowe, wyrażając żal, że zamiast nich nie włączył szan. autor do swojej książki trzech kilkanaście lat temu ogłoszonych studyów krytycznych o »Mindowem«, »Maryi Stuart« i »Lilli Wenedzie«.

Ale i za to, czem nas uraczył, należy się mu najzupełniejsze uznanie.

Dr. St. Zdziarski.

Z piśmiennictw obcych.

Geschichte der älteren südslawischen Litteraturen. *Dr. M. Murko.* Leipzig. C. F. Amelangs Verlag. 1908. (Die Litteraturen des Ostens in Einzeldarstellungen. B. V. 2 Abt.). Str. X + 247.

(Ciąg dalszy).

O ile poezya przedstawia się w najdawniejszej epoce literatur południowo-słowiańskich bardzo ubogo, gdyż poprzestaje na utworach liturgicznych, hymnach kościelnych i t. p., o tyle proza powieściowa już w najdawniejszej epoce rozwija się wcale bujnie. Toteż bardzo trafnie postąpił dr. Murko, uwzględniając ten najciekawszy może dział pierwotnej literatury (95—100), tak ogromnie rozpowszechniony w piśmiennictwach wszystkich ludów europejskich, tak daleko zapuszczający swe korzenie, bo aż do dzisiejszej poezyi i gawędziarstwa ludowego. Historycy literatury zazwyczaj pomijają ten dział, pozostawiając go etnografom.

Z podań starożytnych otrzymali w tej epoce południowi Słowianie, a najprawdopodobniej pierwsi Bułgarzy, powieść o wojnie trojańskiej (wedle kroniki Malalasa) i o czynach Aleksandra Wielkiego wedle opowieści Pseudo-Kalistenesa. Są to najstarsze bułgarskie redakcye, które się stały niezawodnie źródłem dla późniejszych opracowań, zwłaszcza dla serbskiej t. zw. »Aleksandriji«, a przez nią i dla rosyjskiej kompilacyi [1].

Reszta legend i baśni to opowiadania Wschodu, z pomiędzy których na pierwszy plan wysuwa się powieść o *Barlaamie* i *Joasafie*, — wedle Krumbachera — »najsłynniejsza i najlepsza duchowna powieść średnich wieków«. Indyjskiego pochodzenia *Stefanit*

[1] Iw. Franko przeczy temu, jakoby ta powieść miała być w związku z kroniką Malalasa. (Op. cit. str. 177).

i *Ihnilat*, historya o »mądrym Akiriju«, dla której nie odnaleziono dotychczas właściwego pierwowzoru, a która jest przekładana nie wprost z greckiego oryginału, ale za pośrednictwem tekstu armeńskiego [1], — opowiadanie o Salamonie i Kitovrasie i legenda o babylońskiem państwie, która za pośrednictwem Bułgarów i Serbów dostała się do Rosyi, — dopełniają cyklu najwybitniejszych utworów z zakresu średniowiecznej prozy powieściowej.

Rozdział szósty i siódmy (str. 100—111) daje obraz rozwoju języka i piśmiennictwa cerkiewnego na ziemi chorwackiej i to na adryatyckiem wybrzeżu Przymorza i Dalmacyi, tudzież na wyspach. Lwią część zajmuje tu stosunek cyrylicy do głagolicy i walka głagolicko-słowiańskiego obrządku z Rzymem. Stanowisko autora względem tego przedmiotu, jak i końcowe, reasumujące całość poglądy jego podkreśliłem już na początku, jako najcharakterystyczniejsze rysy dzieła dr. Murki [2].

Tu dodać należy tylko, że autor omawia na tem miejscu najważniejsze pomniki głagolicko-chorwackie, jak *Codex Marianus*, ewangeliarz z X w. i homilie, znane pod nazwą *Glagolita Clozianus*, z XI w., chociaż ostatni, jakkolwiek pisany na wyspie dalmatyńskiej, Krk *(Veglia)*, odnaleziony został w Bułgaryi. Z kronik chorwackiego pochodzenia najstarszą jest południowo-słowiańska t. zw. kronika popa dukljanskoga *(Diokleas)* z połowy XII w., przełożona na język łaciński znacznie później przez głośnego humanistę, chorwackiego Reja, rymotwórcę Marka Marulića (1510) [3].

W rozdziale ósmym (112—132) powracamy znowu do Bułgaryi: przedstawia w nim mianowicie autor rozwój piśmiennictwa w t. zw. »średniobułgarskiej epoce«, kiedy słowiański Bał-

---

[1] Tu idzie autor za A. Grigorjewem. Por. jego Археологическія Извѣстія и замѣтки (353—9), Визант. Временникъ. VI, 337.

[2] Pisał o tem autor obszerniej w *Österr. Rundschau* 1905. II. 163. nn. O stosunku poglądów jego do zapatrywań innych slawistów p. niżej, tudzież w sprawozdaniu J. Máchala z książki Murki w *Česk. Časop. Hist.* (Roč. XV. 1909. Seš. 3, Str. 356—360), gdzie także mowa o hypotezie Peiskara o t. zw. »zadrugach«, której się trzyma dość niewolniczo i autor naszej historyi.

[3] O kwestyi cyrylicko-głagolickiej patrz niżej, w zakończeniu, — z powodu nieznanej jeszcze autorowi rozprawy Ivana Milčetića (Ljetopis Akademije u Zagrebu. 1908). — W związku z tą pozostająca kwestya serbochorwacka znalazła wyczerpujące oświetlenie w pracy Murki w *Österr. Rundschau* (1906. IX. 235 nn.), lecz spotkała się z licznymi protestami ze strony Serbów.

kan na zawsze wyzbył się politycznego jarzma Byzancyum, a na tronie słowiańskim zasiadł »Car Bułgarów i Greków« — Piotr Asên.

I w tym jeszcze okresie Bułgarzy okazują zupełną kulturalną zawisłość od Carogrodu. Religijne walki, które nieustanne powodują zamieszanie w państwie byzantyńskiem, głośnem echem odbijają się i o skaliste ziemie Bułgaryi. Walka z Bogomiłami i o bogomilstwo do połowy XIII w. jeszcze nie ustała, a tymczasem nowa uderza *ex Oriente lux* — mistyczny »hesychastyzm«, z Gregoriusem Sinaitesem na czele, który tuła się po Bułgaryi i osobiście znacznie się przyczynia do rozszerzenia nowej sekty na ziemi bułgarskiej.

Jeszcze większe zatacza kręgi herezya z chwilą, kiedy na jej czele staje rodowity Bułgar, uczeń Gregoriusa, Teodosij z Trnova, a następnie, kiedy uczeń tego Entymij zasiada na krześle patryarchy. (1375?) Oni obaj są filarami całego ruchu hesychastyckiego, jak i powstałej w jego łonie literatury.

Wiara w wizye i przepowiednie, do najdalszych granic rozwinięta nauka wróżbiarstwa i t. zw. daimonologia, która zawsze znajdowała bardzo podatne pole w Bułgaryi, stanowi obecnie główny materyał dla piśmiennictwa zarówno religijnego, jak i świeckiego. Wśród niepojętego chaosu poglądów i wierzeń religijnych roi się w tym okresie w Bułgaryi od mniej lub więcej wiernych przekładów, przeróbek, a nawet prób oryginalnych na temat mistycznych zabobonów sekciarskich i fantastycznych baśni świeckich. Na zachodzie Bułgaryi literatura ta rozwija się tak bujnie, że sięga i poza granice kraju, wywołując i w Serbii liczne naśladowania, które, wędrując z powrotem do Bułgaryi i mieszając się z tutejszymi odpisami, spowodowały zupełny chaos w tekstach — tak, że dzisiaj oznaczyć pewnie ich redakcye w przeważnej części jest niemożliwością[1].

Poważniejszy i bardziej jednolity charakter posiada literatura ówczesna we wschodniej Bułgaryi, gdzie, zwłaszcza za Joana

[1] Nie mógł uwzględnić jeszcze należycie dr. Murko udziału Macedonii w tej literaturze średniowiecznej bułgarsko-serbskiej, gdyż ten dział, jakkolwiek wcale nie ubogi, bardzo mało jeszcze zbadany. Najnowsze czasy dopiero przynoszą pewne owoce żmudnej, ale wdzięcznej na tem polu pracy. Por. np. pokaźne dzieło młodego uczonego bułgarskiego, Jordana Ivanova p. t. Български старини изъ Македония събрани отъ Йорданъ Ивановъ, лектор на Софийския университетъ. (Издава Българско Книжовно Дружество. Софиа 1908. Str. V + 310). Rec. z tego p. Слав. Извѣстія (Ст.-Пб. 1909. Nr. 2. Str. 278 i n.)

Aleksandra i jego następcy Joana Šišmana »naukę« i piśmiennictwo z wielką troskliwością protegowano, otaczając dwory »uczonymi«, pisarzami, teologami i kronikarzami. Nawet pod względem pisowni usiłowano tutaj jednolitość i poprawność wprowadzić.

Szczytu rozwoju dosięgnął nowy kierunek w piśmiennictwie bułgarskiem w działalności ostatniego patryarchy z Trnova, Eutymija i jego szkoły. On to przeprowadził rewizyę ksiąg kościelnych, a przedewszystkiem Nowego Testamentu i Psałterza, co pociągnęło za sobą całą bogatą literaturę polemiczną; jemu też zawdzięcza ta epoka szereg dzieł oryginalnych, z których niestety część zaginęła. Do samodzielnych pism jego zaliczyć należy: cztery życiorysy, mowy pochwalne, epistuły i jedną akolutę na cześć świętej Teofany, małżonki cara Leona VI. Wybiegają one daleko poza wszystko, co współczesna twórczość bułgarska wydała, dzięki sile obrazowania, prawdzie psychologicznej, dzięki zmysłowi odczucia i opisania przyrody, a zwłaszcza dzięki krytycyzmowi, który do pewnego stopnia cechuje już owe płody literackie. Niemniej cenne są jego pisma hagiograficzne, które prześcigają lepsze od bułgarskich, serbskie obrazy z życia z XIV nawet wieku; — cenne zwłaszcza ze względu na liczne przytaczania z obcych dzieł.

Naśladowcą Eutymiusa był metropolita z Bъdynu, Joasaf, autor kompilacyjnej mowy pochwalnej; poważniejszym zaś od niego też uczeń Eutymija, Grigorij Camblak z Trnova, który ważną odegrał rolę i w dziejach piśmiennictwa serbskiego, rumuńskiego i rosyjskiego. Obok niego grupuje się szereg drugorzędnych, jak inny Grigorij, autor życiorysu św. Romila, kijowianin, metropolita Kiprian, biograf i gramatyk Konstantin z Kostenca i i.

Większość odpisów dzieł tych i innych pisarzy, t. j. przeważnie przekładów, przeróbek i kompilacyi teologicznych, odnieść należy do wieku XIV, choć dla znacznej ich części czas powstania oznaczyć się nieda; przypuszczać więc można, że są i wcześniejsze redakcye. Z szczególnem upodobaniem uprawiał wiek XIV literaturę hagiograficzną, apokryfy zaś tworzył na tle śmierci Cyryla, wynalezienia pisma bułgarskiego, nauki Klimenta i t. p.

W zakresie przekładów z świeckiej literatury światowej Bułgarya w tej epoce odegrała rolę pośredniczki pomiędzy Serbią a Rosyą, mianowicie w przenoszeniu serbskich zbiorów św. Sawy na terytoryum rosyjskie. Oryginalniejsze są dwa dzieła historyczne: »Synodikon cara Borila«, zwrócony przeciw herezyom, pełne aluzyi

i przytoczeń ze stosunków bułgarskich, — i fragment jakiejś kroniki od r. 1296—1413 sięgającej. Jest przypuszczenie, że autorem tego cennego ułamku jest jakaś wysoka osobistość bułgarska.

W dziale prozy poetycznej jedno niezwykłe zjawisko: — romantyczna historya o Troi (z Manassesa), której rękopis znajduje się w bibliotece watykańskiej. Niezawodnie przekładu dokonali z zachodniego źródła jakiegoś Chorwaci dalmatyńscy, skąd przez Serbię, dostało się tłumaczenie do Bułgaryi. Chaotyczną zato mieszaninę przedstawia inny zabytek z byzantyńskich źródeł, opowieść o wzięciu Troi, serbskiej redakcyi zapewne, ale pełne bułgaryzmów.

Ostatnie echa świeckiej literatury pięknej przynoszą ze sobą: licha historya o życiu Josopa (Ezopa), w której imienia tylko Ezopa użyto, materyał zaś zaczerpnięto z Maximusa Planudesa, — nadto z byzantyńskich »florilegiów« dość liczne zbiory, głównie z *Sacry Paralelli*, przypisywanej Janowi z Damasku, i najcenniejszej, ale mało popularnej *Melissy* mnicha Antoniosa.

Rozdział dziewiąty — u schyłku wieków średnich, kiedy Serbia naprzód pod względem politycznym, a następnie i kulturalno-literackim zyskuje przewagę nad Bułgaryą i staje się środowiskiem cerkiewno-słowiańskiego piśmiennictwa na Bałkanie. Choć w bitwie na Kosowem polu (1389) utraciła niepodległość, nie została zgniecioną tak bezwzględnie, jak się to stało z Bułgaryą, dzięki konsekwentnej i energicznej polityce dynastycznej Nemanjićów. Owszem, jako lenne państwo Turcyi, a następnie Węgier (1403), musiała się stać Serbia ucieczką dla piśmiennictwa i kultury wschodnio-słowiańskiego Bałkanu.

Dr. Murko z wielką bystrością śledzi rządy Nemanjićów, dopatrując się u nich dalszego rzutu oka, jak tylko do Byzancyum, owszem, pewnych sympatyi i nachylań się ku kolebce chrześcijaństwa — Rzymowi. Bardzo subtelnie, i trzeba przyznać, przekonywująco stara się uzasadnić swe poglądy, popierając je komentarzami całego szeregu wypadków politycznych, dyplomatyki i stosunków Nemanjićów z ościennemi państwami, objawów kulturalnego i obyczajowego życia ówczesnej Serbii. Dostęp do morza zwłaszcza i stosunki przyjazne z Dubrownikiem i Dalmacyą, co pod takim silnym zawsze pozostawały wpływem Włoch i Zachodu, stosunki przez Dubrownik z Włochami, a Wenecyą w szczególności, a dalej bardzo ścisła łączność z Węgrami, — wszystko to dowodzi, że były wszelkie dane potemu, by wpływy

zachodniej cywilizacyi ustalić w Serbii, że były i pewne, choć nie dość jeszcze uświadomione, dążenia ze strony Nemanjiców ku bliższym węzłom z Zachodem, (nie pod względem religijnym!), — jeśli nie możemy tego jeszcze nazwać dążeniem do emancypacyi pewnej z pod wpływów bezwzględnych Carogrodu.

Dr. Murko bardzo szczęśliwie ilustruje te poglądy faktami, zaczerpniętymi z ówczesnej epoki Serbii. Popiera je rezultatami badań uczonych w zakresie sztuki, architektury i etnografii, a wszystkie dają wiele materyału bardzo przekonywującego [1].

Niestety reakcya silna, po epoce Nemanjiców, ku byzantynizmowi położyła kres temu szczęśliwemu zwrotowi w kulturze w samym jego zarodku. I w tem właśnie, w tej reakcyi gwałtownej a ślepej, zabijającej wszelką samodzielność, narodową oryginalność i niezawisłą twórczość, — w tej reakcyi, którą niektórzy zaślepieni »byzantyńczycy« za serbski renaissance uważają, widzi słusznie słowieński uczony największe zło i nieszczęście serbskiego życia i piśmiennictwa. Wyraża to zupełnie jasno i śmiało, (co mu tylko z wielkiem uznaniem podkreślić należy), mówiąc, że jeśli »artystycznych i literackich usiłowań ostatnich despotów serbskich« nie można jeszcze uważać za objaw renesansu w europejskiem znaczeniu, to tembardziej nazywanie odrodzeniem reakcyi do byzantynizmu dowodzi zupełnego niezrozumienia, a przynajmniej błędnego używania tego wyrazu (Str. 142). Ten pogląd autora wyciska również znamienne i wyraziste piętno na jego książce, choć równocześnie czyni dosyć odosobnionem jego stanowisko, jako historyka literatur wschodnio-słowiańskich [2].

Główną miazgę serbskiego piśmiennictwa XIV—XV stulecia tworzą przekłady, choć między nimi znajduje się niewielka liczba

---

[1] Najcharakterystyczniejsze, że, co do sztuki, opiera się autor na dziełach samych Serbów, których większość niezawodnie nie zgodzi się nigdy ze stanowiskiem d-ra Murki w tej kwestyi, — na dziełach znawców, jak Bożidara Nikolajevića (»O srpskoj crkvenoj architekturi u srednjem veku«, Beograd 1905), M. Valtrovića (»Pogled na staru crkv. archit.) i i.

Wykazują oni sami silny wpływ Zachodu w architekturze i malarstwie serbskiem, głównie stylu romańskiego, który dopiero później, (po Nemanjićach), z reakcyą byzantynizmu zostaje z Serbii w znacznej części wyparty.

[2] Por. natomiast Ed. Bogusławskiego »Wstęp do historyi Słowian« i recenzyę P. Stopłova w czasopismie Българска Сбирка (1905, str. 166).

i rzeczy oryginalnych. Samodzielne dążenia okazują Serbowie tylko na polu hagiografii, opisów życia swoich władców i kapłanów, (choć w formie i treści jeszcze bardzo prymitywnej), na polu annalistyki, gramatyki i prawodawstwa.

Z literatury teologicznej największa część zabytków jest pochodzenia średnio-bułgarskiego, wiele przeróbek i przekładów pism hesychastów, gdyż pomiędzy uczniami Gregoriusa Sinaitesa byli i Serbowie. Obfity też zbiór przedstawia literatura przeciw łacinnikom, zwłaszcza w XIV w. z powodu usiłowań zachodu połączenia Serbii unią z Rzymem.

Najcenniejsze dla celów filologicznych są odpisy Pisma św., psałterza borackiego (1346) z głagolickiego źródła, przekład »Księgi Salomona« Gavrila z Chilandaru (1412), typikonu św. Savy z Jeruzalem, czterech ksiąg królewskich i t. d.

Choć większość dzieł teologicznych treści ascetycznej, znajdujemy już między niemi przekłady i przeróbki z poważnych dzieł dogmatycznych i egzegetycznych. Wybitne stanowisko zajmuje też w serbskiem piśmiennictwie średniowiecznem Jan Chryzostom, którego mowy w licznych rękopisach i zbiorach wędrowały po Serbii, niemniej Symeon Metaphrastes i serbski przekład homilii o »Genesis«, który, jako *Šestodnevnik* (1426) wyparł podobny tekst bułgarski Jana Exarchy.

Przekłady cerkiewno-serbskie z literatury świeckiej opierają się również na wzorach byzantyńskich. Kronika mnicha Grzegorza Hamartalosa zyskuje największą popularność równocześnie tak w Serbii, jak i w Bułgaryi, a obok niej przeróbka annałów Joana Zonarasa.

Głębsze wiadomości podają pisma serbskie z zakresu geografii, astronomii, a nawet medycyny. Główną rolę odgrywa tu Hippokrates (przekł. p. n. *Physiologus*), lecz nie obce są przekładom i kompilacyom charakterystyczne horoskopy i podobne produkty zabobonów.

W zakresie prawa wielką położył zasługę św. Sava, twórca serbskiej »Synopsis Kanonów« z licznemi objaśnieniami i księgi praw cesarza Basiliosa I (t. zw. ros. Gradskij zakon). Za cara Dušana przełożono i »Syntagma« mnicha Mat. Blastaresa z Tessaloniki, krótką redakcyę praw Justyniana i kilka dzieł drobniejszych.

Poezya byzantyńska objawia się na terytoryum serbskiem, a względnie serbsko-bułgarskiem, (bo najobficiej w Macedonii), w for-

mie prozaicznych, przeważnie obdartych z poezyi, przeróbek. Poematy dydaktyczne i teologiczno-filozoficzne, jak Georgiosa Pisidesa, Solitariusa (Зрѣcalo=Dioptra), G. Pamphilosa i i. stanowią główne bogactwo ówczesnej poezyi serbskiej.

Do tej epoki zalicza też autor przeróbkę narodowej epopei byzantyńskiej *Basilios Digenis Akritas,* którą niektórzy slawiści przekładają już do epoki starobułgarskiej. Parafrazuje ona bardzo charakterystycznie w oryginale walki Akritesa z Saracenami i t. zw. Apelatami (rycerzami-zbójami) na walki Chrześcijaństwa z Muzułmaństwem.

Bogate zwłaszcza zbiory sentencyi i różnego rodzaju »florilegiów« pochodzą z tej epoki starej literatury serbskiej. Znamienne, że spotykamy się w nich bardzo często z epigramami Menandra, których przekłady przechodzą znacznie liczbę w oryginale zachowanych, greckich sentencyi. Rozumie się, że subtelne, filozoficzne pojęcia i poetyczny wdzięk języka greckiego komedyopisarza w lwiej części zatraca się w tej staroserbskiej szacie, ubogiej w wyrażenia, zwłaszcza dla pojęć oderwanych. Zbiory filozoficznych myśli popa Dragolji, przypowieści Pčeli (Melissa), a szczególnie uderzające przekłady z »pogańskiego filozofa« Enagriosa[1] dopełniają wcale obfitego materyału tego działu staroserbskiego piśmiennictwa.

W podziale tego materyału zarzuca słusznie dr. Murko przestarzały już system Krumbachera dzielenia na dwie grupy: przypowieści »grecko-oryentalnych«, z przewagą pierwiastku anegdotycznego, i sentencyi »zachodnich«, o charakterze filozoficzno-moralnym, w formie krótkich prawd i myśli. Formy nie miesza autor zupełnie z pochodzeniem, gdyż obie formy wspólne są, zarówno wschodnim, jak i zachodnim ludom[2].

Nieznanym jest też oryginał grecki dla przekładu serbskiego historyi o sprzysiężeniu przeciw cesarzowi Nikephorowi II nie-

---

[1] Rosyjski profesor Speranskij dopatruje się dosyć śmiało w tych przekładach pewnego zainteresowania się starożytną filozofią. (Московскія Чтенія. T. 213. 1905, II). Dr. Murko jednak wykazuje, że objaw to czysto przypadkowy, zupełnie izolowany w starem piśmiennictwie bułgarsko-serbskiem. (Str. 152).

[2] Zresztą daleko prostszy podział przeprowadził już dawniej świetny psycholog i znawca ludowej poezyi słowiańskiej, Vuk Stefanović Karadžić, powodując się prostym, chłopskim instynktem, kiedy podzielił materyał na »właściwe przysłowia« i »drobne opowiadania« w formie anegdotycznej. (Por. jego *Srpske narodne poslovice.* Biograd., 1900).

jakiej Theophano. Liczne zaś i bardzo ciekawe są parafrazy podań wschodnich, zwłaszcza żydowskich, jak »Historya o wiernej służbie« z jakiejś kroniki, — moralizatorskiej treści »pytanie króla Jusa (Joasa), zwrócone do filozofa Josipa« (Józefa), (cenne do historyi cyklu *Reineke Fuchs*), — »opowiadanie zebranych ksiąg o Asie, królu Judei«, »dwanaście snów króla Sakyša« i i.

Próby stworzenia oryginalnych dzieł serbskich już w tym okresie są dosyć liczne. Ograniczają się wprawdzie do życiorysów, mów pochwalnych, panegiryków i t. p., przeładowane są bombastycznym stylem i służalczym tonem byzantyńskiego piśmiennictwa, ale, mimo wszystko, zawierają dość cennego materyału dla historyka, jak i dla badacza pierwotnej kultury, etnografa i filologa.

Bujniejszy, aniżelibyśmy się spodziewali, rozkwit tej rodzimej twórczości zawdzięczyć należy literacko-artystycznym skłonnościom Nemanjiców: wszakżeż obaj synowie starego Nemanji, Sava i Stefan byli zarazem pierwszymi, serbskimi pisarzami. Zwłaszcza znaczenie Savy w dziejach i literaturze serbskiej jest bardzo doniosłe. Polega ono na jego działalności na polu organizacyi cerkwi, czego dotychczas nie doceniano, przeceniając za to jego czynność literacką. Najważniejszem dziełem jego jest krótki opis życia mnicha św. Symeona w »Typikonie chilandarskim« i liczne księgi kościelno-prawnicze, między niemi także »Nomokanon«.

Niebawem po nim począł pisać i Stefan Prvovenčani[2] (1214—15) i rozpoczął od tego samego, co i Sava, od żywota Symeona, ubarwiając go mnóstwem nadzwyczajnych cudów i łask świętego, licznych »jak gwiazdy na niebie i jak piasek w morzu«.

Wielki miłośnik ksiąg, mnich chilandarski, Domentijan opisał znowu życie św. Savy bardzo dokładnie, a niemniej i św. Symeona, »przedtem Nemanji pierwszego, odnowiciela serbskiej ojczyzny« (1264). I tu się roi od cudów, ale i ciekawych wiadomości o życiu obu władców serbskich. Tego znowu wiernie śledził i z całą swobodą obdzierał inny mnich, nieznany Theodosij, który się powołuje na świadectwa »czcigodnych uczniów« św. Savy, co »wraz z nim pościli, pielgrzymowali i działali«. Zyskał on nawet wielką popularność tak, że wyparł dzieło Domentijana, czytane głównie na serbskim dworze.

---

[1] Por. Kukuljevića-Sakcinskoga *Prvovjenčani vladaoci Bugara, Hrvata i Srba i njihove krune.* (Rad Jugoslav. Ak. Kn. LVII).

Ze względu na liczne opisy podróży wartościowa to rzecz dla literatury o Palestynie [1].

Z czasów Dušana pochodzi inna legenda mnicha, Theodosija z Athos o życiu św. Piotra z Korišy; największem zaś dziełem staroserbskiej literatury jest wielki zbiór panegirycznych żywotów królów i arcybiskupów serbskich, czyli tak nazwany później: Carostavnik i Rodoslov ostatniego arcybiskupa Danila II (1323—1338). Pierwsze lata rządów Dušana opisał też jeden z uczniów Danila [2].

Grigorij Camblak, znany nam już z bułgarskich zabytków, zaznaczył się też i w dziejach Serbii, jako autor biografii króla Stefana Dečanskiego, w której wiele wylał żółci na cara Dušana, będąc jego przeciwnikiem w kwestyi patryarchów serbskich, a gorącym stronnikiem Carogrodu.

Po Danielu w serbskiem dziejopisarstwie długa pauza, tem dziwniejsza, że tak wybitna osobistość, jak Stefan Dušan, dostarczała niewyczerpanego przedmiotu dla pisarzy. Niestety nie doczekał się ten władca, — przynajmniej o ile dziś możemy o tem sądzić, — żadnego pochwalcy. Zato zyskał nie tylko uznanie i cześć, ale i uwielbienie, jako narodowy męczennik, opiewany w ludowej poezyi serbskiej, — grecki książe, Lazar, co bohaterską śmiercią padł na Kosowem polu, grobie wolności serbskiej (1389).

Najpoważniejszą działalność na polu historyografii rozwinęli Serbowie przy końcu epoki staroserbskiej, poświęcając pilne badania rządom despoty Stefana Lazarevića (1387—1427). Główną postacią literacką owych czasów jest, znany już z Bułgaryi, Konstantin z Kostenca, pełen uczoności »filozof« słowiański, autor najcenniejszej ze wszystkich biografii Stef. Lazarevića. »Mamy tu — jak powiada dr. Murko, idąc za Jirečkiem i Stanojevićem — prawdziwą pracę historyczną, w której wstępie spotykamy nawet geografię Serbii i (zresztą bardzo wątpliwą) genealogię domu panującego«. (Str. 163). Uczoność tego historyka objawia się w świetnej oryentacyi i znajomości stosunków polityczno-społecznych nie tylko w Serbii, ale

[1] I. P. w Летопису Мат. Срп. (op. cit str. 84) nie zgadza się z Murkowem przedstawieniem stosunku Domentijana i Theodosija do siebie. Występuje też przeciw zarzutowi Murki o *unglaubliche Heuchelei* żywotopisów serbskich, a zarzuca słabe opracowanie rozdziału o kronikach i »rodoslovach«. Zresztą ocena bardzo życzliwa.

[2] Por. Jacimirskiego Изъ палеогр. наблюденій надъ записами стар. серб. рукоп. (Lit. Wiestn. 1903. VI).

i w państwach ościennych, w obfitych przytoczeniach takich pisarzy, jak Tukydides, Arystoteles, Plato i t. p., zato zupełnie nie w stylu, pełnym przesady i nadętości byzantyńskiej, od której i ten najlepszy z dziejopisów serbskich nie był zdolen się uwolnić.

Te wady stylu i języka, w połączeniu z faryzeuszostwem w traktowaniu niektórych pojęć, jak świętości, mądrości, miłości, z drobiazgowością w rzeczach błahych, a brakiem treści w zasadniczych, są jaskrawemi cechami całego dziejopisarstwa staroserbskiego, a zawdzięczyć je ono musi jedynie bezwzględnej zawisłości swej od Byzancyum.

Z pism innego typu wymienić należy kilka robót gramatycznych, z których pierwsza stosunkowo może i najlepsza. Jest to »Ośm części mowy«, pierwsza starocerkiewna praca gramatyczna, najpewniej kompilacya ze »scholiów«, ale bogata w gramatyczną terminologię, która się stała w znacznej części podwaliną dzisiejszej południowo-słowiańskiej.

Tu też zaznaczył swą działalność Konstantin Kostenec, dzięki zachowanemu »Skazaniu o pismeneh«, wzorowanemu na »Erotematach« Manuela Moschopulosa. Chciał w niem autor stworzyć gramatykę dla Serbów i Bułgarów, usiłując sprowadzić *ad minimum* różnice ich językowe [1]. Innym gramatykiem, obznajomionym dobrze z grecką i słowiańską literaturą, jakoteż ze stosunkami w szkole trnowskiej, był Vladislav Gramatik z Žegligova, autor dość bogatego zbioru rękopisów rozmaitego rodzaju.

Prawo serbskie nie na długo mogło się zadowolić przyjętymi kanonami ustaw byzantyńskich, stąd też już wcześnie poczęły się budzić usiłowania, by dopełnić ich braki i przystosować je do stosunków serbskich. Dokonała tego wydana za Stefana Dušana »Księga ustaw« (1349/1354), która jest właściwie dopełnieniem prawodawstwa byzantyńskiego. Obszernie uzasadnia dr. Murko konieczność powstania tego rodzaju dzieła, podkreślając liczne różnice w ustroju, charakterze i stosunkach cesarstwa byzantyńskiego, a królestwa serbskiego (str. 168). Choć więc pod względem literackim i to dzieło nie przewyższa innych współczesnych, znaczenie jego historyczno-prawnicze podnosi autor bardzo wysoko.

Wróżbiarstwo znalazło swego krzewiciela w samym despo-

[1] Charakterystyczne, że ten gramatyk marzył o ideale poprawnej cerkiewnej (»slovenske«) mowie, stawiając za wzór »najdelikatniejszą i najpiękniejszą mowę rosyjską« (Murko. Str. 166).

cie, Stefanie Lazareviću, wzorującym się na źródłach carogrodzkich, ale ciekawym ze względu na liczne aluzye historyczne, które lubi wplatać do swych przepowiedni. Egzotycznem zjawiskiem w tej epoce jest jego *Slovo ljubve* (Pochwała miłości), zdradzające wykształcenie literackie, — a niemniej egzotycznym wykwitem twórczości jest jedyny tren z owym czasów: »Żal nad grobem despoty Gjurgje Brankovića« bezimiennego autora, pełen szczerości uczucia i niezwykłej poezyi. Pozatem inne *stisi* (wiersze) tej epoki nie zasługują niczem na szczególniejszą wzmiankę. Nieliczne, — niedołężne w formie, — bez poetyckiego wdzięku, — puste w treści [1].

W dziesiątym (169—174) rozdziale przechodzi autor do piśmiennictwa cerkiewnego w Bośni, która, na drodze będąc między Wschodem a Zachodem, nie zdołała rozwinąć oryginalniejszej twórczości, wahając się nieustannie między wpływami wschodniej i zachodniej kultury (= dążenia Serbii i akcya Franciszkanów), póki w najnowszych czasach wpływ ostatni nie przeważył. Własnych pomników literackich Bośnia nie stworzyła, chociaż w pisowni i charakterze ich zachowała zawsze coś odrębnego (t. zw. »bośniacka cyrylica«). Z ważniejszych pomników charakteryzuje autor t. zw. *Nikoljsko Evangjelje*, głagolickiego pochodzenia (Hvala) i Nowy Testament i psałterz niejakiego Hrvoja (zach. w Bolonii). Najciekawsze są i najwięcej przedstawiają wartości dla nauki — specyalności bośniackie: liczne napisy na nagrobkach (22.000 przeszło) i najstarsze dokumenty t. zw. *listine*, jak bana Kulina (z lat 1203—1204) i i., które bliżej przedstawił C. Truhelka [2]. Szkoda, że je autor sam tak zbył pobieżnie (str. 173); należą one przecie do najciekawszych zabytków staro-chorwacko-serbskich, niezmiernie cenne illustracye do stosunków kulturalnych, obyczajowych, narodowych i religijnych w starej Bośni [3].

Jedenasty rozdział przenosi nas znowu na wybrzeża dalmatyńskie, nad Adryatyk, gdzie na wiek XIII—XV przypada także okres najbujniejszego rozwoju literatury cerkiewno-chorwackiej. Działalność

---

[1] Ciekawi znajdą je w pięknym zbiorze prof. Ljuby Stojanovića p. t. »Stari srpski zapisi i natpisi«. I. (w »Starinach« Jugosl. Akad. w Zagrzebiu).

[2] Dr. Ćiro Truhelka: »Přehled dosavadních výsledků předhistorycké archaeologie bosenské«. Referat na XI. zjeździe archeologów rosyjskich w Kijowie (1—21 sierpnia 1899). *Slov. Přehled.* R. II, č 1. Str. 23 i n.

[3] Por. także A. N. Dučića: Босанскі натписи (Карановіч і Сп.) »Slovinac«. 1882.

piśmiennicza sięga obecnie dalej jeszcze, niż w wiekach poprzednich, bo i do Przymorza chorwackiego, na Kwarnerskie wyspy i nawet do Istryi.

Z pomników głagolickich owej doby największą zyskało sobie sławę t. zw. *Reimskie Evangelium*, które, przeszedłszy bardzo awanturnicze i długoletnie koleje, dostało się wreszcie do Reims i tam, jako tajemniczy *Text du sacre*, służyło francuskim królom przy koronacyi za kanon przysięgi. Większe jednak od tego evangelium znaczenie mają liczne rękopisy i najstarsze druki mszałów, drukowane po raz pierwszy w Wenecyi (1483), brewiarze i t. d.

Pomijając dość obfitą, ale bez większej wartości liczbę apokryfów, kompilacyi i przeróbek teologiczno-filozoficznej i moralizatorskiej treści, wymienić należy bardzo doniosłe zabytki w dyalekcie ludowym zachowane, (čakawskie), prawnicze i polityczne. Są między niemi i w łacińskim i włoskim języku układane dokumenty, a najcenniejszym jest t. zw. Statut vinodolski, najstarszy, w starocerkiewnym spisany języku. (Zebrane wedle spisów praw najdawniejszych z r. 1288). Pokrewne temu są inne statuty, jak Vrbnicki v. krčki, veprinacki, trsacki, poljicki i i. [1].

Tu, na wybrzeżach Adryatyku, spotykamy też pierwsze twory artystycznej poezyi południowo-słowiańskiej, wzorowanej na źródłach zachodnich, — przeważnie religijne, ale już o rysach znamiennych etnograficznych i obyczajowych. Niemniej rozwija się i proza przekładów, jak np. przeróbki »Ksiąg mądrego Katona«, moralne dystychy, lucidaria, wizye »Dundala« etc.

Bardzo ważny przedmiot, a najczęściej pomijany zupełnie w literaturach słowiańskich, stanowi treść dwunastego rozdziału książki prof. Murki. Jest to krótki, ale bardzo treściwy i przejrzysty przegląd średniowiecznych romantycznych fabuł, zużytych w starej literaturze serbskiej i chorwackiej.

Jest więc *Rumanac troiski* (= Romanzo o Troi) z pierwotnego chorwackiego rękopisu; z szczególnem upodobaniem szerzą się powieści o Aleksandrze (serb. »Aleksandrija«), są i opowieści

[1] Zużytkował te cenne zabytki piśmiennictwa i prawa słowiańskiego, jak i wogóle o literaturze połud. słow. obfite dał wiadomości, także J. F. Gajsler w gruntownem dziele, opartem na pracy samodzielnej i źródłowej: »Przeszłość Chorwatów« (Cz. I.) Warszawa. Wende i Sp. 1907. Str. 134. (Z zapom. Kasy Mianowskiego).

o indyjskiem państwie, spotykamy nawet bardzo interesujące przekłady i przeróbki francuskich romansów rycerskich, »Historye z serbskich ksiąg... o sławnym rycerzu Tryščanie (Tristan), Ancalocie (Lancelot), Bovie (Buovo d'Antona = Bueves d'Haustone) i o w. i. szlachetnych rycerzach«. Nader znamiennem jest, że tekst tej historyi zachowany w języku białoruskim, przeładowany polonizmami; w tytule samym wskazuje na pochodzenie serbskie, a powstała niezawodnie z włoskiego źródła o Tristanie. Tak więc pomorze chorwackie było pomostem w wędrówce tych romansów na tle *Chansons de geste* z zachodu i południa na najdalszą północ.

Książkę swą kończy dr. Murko dość obszernym rozdziałem (XIII, str. 185—206) o panowaniu Turków na Bałkanie i jego następstwach. Do tych uwag o polityczno-społecznem położeniu Słowian bałkańskich, do tego obrazu kulturalno-obyczajowego dodany jest ustęp o poezyi epicznej ludowej południowych Słowian, jako nowym potężnym czynniku literackim, zrodzonym już pod jarzmem i najprawdopodobniej »dzięki« jarzmu tureckiemu. Ten »wiek epiczny«— to do pewnego stopnia wiek złoty w twórczości narodowej południowosłowiańskiej, a jego poezya to skarb Bałkanu, przez żadne sztuczne wysiłki niedosięgniony. W tym jednym okresie męczeństwa i skargi wydała Słowiańszczyzna południowa nieśmiertelny śpiew łabędzi, który starczy za całe wieki sztucznej twórczości [1].

Autor ujmuje skarby tej poezyi ludowej w pewne grupy, charakteryzując pieśni i rolę uskoków i hajduków, pieśni mahometańsko-chorwackie, cykle o Kosowem polu, Kraljeviću Marku i t. p. [2]

Kończy dzieło, podkreślając raz jeszcze zabijający wpływ byzantynizmu, który tłumił przez stulecia całe samorodny, żywiołowy pęd twórczości narodowej u południowych Słowian, póki jej nie wyzwoliła poezya ludowa, zrodzona z krwi męczeńskiej i wśród ucisku obcego jarzma, co się ciężko wsparło na najgłębszej i najczystszej na-

---

[1] Dla znających język serbo-chorwacki polecenia godny wybór poezyi ludowej, doskonale ułożony i wydany przez »Društvo hrvatskich srednjoškolskih profesora« p. t. *Izabrane narodne pjesme. I. Junačke.* Priredio Dr. Branko Drechsler. (U Zagrebu. 1908. Kralj. zem. tiskara. Str. 254).

[2] O znaczeniu tych pieśni i stosunku ich do dziejów południowej Słowiańszczyzny znajdzie ciekawy bardzo cenne uwagi T. T. Jeża we wstępie do przekładów tych pieśni d-ra Iz. Kopernickiego p. t. *Na Vidov dan* (1389—1889). »Pieśni serbskie o Kosowskim boju«. (Kraków. Gebethner i Sp. 1889. Str. 33 i 111).

rodowej miazdze — na ludzie słowiańskim. Z jego poezyi przyszło pierwsze odrodzenie narodowe i literackie słowiańskiego Bałkanu, — z niego chyba przyjdzie drugie polityczno-społeczne i kulturalne, gdy tylko ta siła w ludzie uświadomienia i mocy ducha nabierze w szerokiej oświacie i pracy społecznej.

* * *

Przebiegliśmy w całości bogatą w treść i bardzo pouczającą książkę słowieńskiego profesora. Rzecz pisana przystępnie i zajmująco, o ile na to pozwala przedmiot często suchy i bezbarwny, — co ważniejsze zupełnie bezstronnie i przedmiotowo, co nie jest dziś rzeczą wcale łatwą, wobec tylu drażliwych i spornych zagadnień południowo-słowiańskich. To największa zaleta pisarza i książki. O innych wspomniałem wyżej, omawiając zasadnicze stanowisko autora względem przedmiotu.

Cechą jego jest bardzo szeroki, swobodny, żadnemi uprzedzeniami nie krępowany pogląd, zarówno w sprawach historyczno-literackich, jak i polityczno-społecznych i religijnych. Jeżeli zajmuje autor stanowisko krytyczne względem byzantynizmu, to tylko z głębi przekonania, tylko z poczucia konieczności postępu, dążenia naprzód, pędu ku życiu i prawdzie, w czem zawsze światopogląd wschodu byzantyńskiego stawał na przeszkodzie. Śmiało to przekonanie swoje głosi, bo walczy z całem uświadomieniem przeciw wstecznictwu i obłudzie, przeciw kostnieniu wszelkiej formy i idei.

Jeżeli cobym jeszcze zarzucił szanownemu profesorowi, to nierównomierne traktowanie przedmiotu w niektórych partyach: zbyt szczegółowe we wszystkich literaturach przekładowych, a za pobieżne w ustępach o twórczości oryginalnej słowiańskiej. Nie wykorzystał też autor, zwłaszcza przy omawianiu zabytków bośniackich, bogatego materyału, by z niego wyciągnąć pewne rysy obyczajowe i kulturalne i narodowe w społeczeństwie; raczej podawał te rysy w charakterystyce narodów *a priori*, w formie wstępów historycznych, — już z samej konsekwencyi takiego rozkładu przedmiotu — przeładowanych historycznością.

Za wielką wadę też poczytałbym brak skrupulatniejszej bibliografii, przynajmniej przy tych pisarzach i dziełach, które się w książce wymienia. Gdzież ma szukać czytelnik — tem bardziej nie-Słowianin — materyału, źródeł, gdyby chciał jaki szczegół bliżej poznać, uzupełnić podane wiadomości, lub poprzeć teoretyczny wykład praktyczną lekturą?

Krzywdę się też robi pisarzom wybitnym, którzy zawsze będą cennem źródłem dla badań historyków literatury i do których się nieustannie zagląda, jeśli się ich w bibliografii zupełnie pominie. Dałoby się tu wymienić moc znaczna tego rodzaju dzieł i pisarzy, że wspomnę tylko ze starszych Oblaka, Kukuljevića, Ljubića, Stojanovića i i., którzy się tak zasłużyli żmudnem zbieraniem materyałów do dziejów starego piśmiennictwa; lub z młodszych (choć dosyć popularnie piszących, ale obfitych w nieznane wiadomości) historyków piśmiennictwa Mil. Mediniego[1], d-ra Ivana Broza[2], M. Breyera[3] i autorów cennych rozpraw, jak Polívki, Ruvarca, Bogusławskiego, Kančowa, Szczurata, Wojciechowskiego, Potkańskiego, Brücknera i i. Specyaliści niezawodnie wynajdą i niejeden szczegół, który oparto na trochę przestarzałych poglądach, bez uwzględnienia najnowszych źródeł. (Np. pogląd Šišića na działalność Tomy archidyakona; — u d-ra Murki pokutuje jeszcze Rački).

Nie znał jeszcze prawdopodobnie autor drobnej, ale niezmiernie cennej pracy Ivana Milčetića p. t. *Prethodni izvještaj o izučavanju hrvatske glagoljskie književnosti*[4], ogłoszonej dopiero w połowie ubiegłego roku. Jest to bardzo cenne dopełnienie rozdziałów literatury d-ra Murki, omawiających zabytki głagolicko- i cyrylicko-chorwackie (Rozdz. VI i VII). Autor, (prof. gimn. w Varaždinie), specyalista w tym przedmiocie, zajmujący się nim od lat szeregu, daje przejrzysty przegląd najważniejszych zabytków głagolickich, pochodzących z ziem chorwackich. Lata całe strawił na przeglądaniu obcych i rodzimych archiwów i bibliotek, publicznych i prywatnych, dając obecnie w wspomnianej rozprawie połowę zaledwie owoców swojej pracy. Zebrane w tymczasowe zestawienie, stanowić mają podstawę dla przyszłego systematycznego studyum o głagolickiej literaturze.

Wspominam obszerniej o tej pracy ze względu na jej charakter,

---

[1] *Povjest hrvatske književnosti u Dalmaciji i Dubrovniku* Knjiga I. (Crtice iz hrv. književ. III). Zagreb. 1902. Str. 8 + 360 (Izd. »Matice hrv.«)

[2] *Crtice iz hrvatske književnosti.* Sv. I. (Uvod u Književnost.) Zagreb. 1886. Str. V + 167. Sv. II. (Crkvena Književnost.) Zagreb. 1888. Str. VIII + 196. (Izd. »Mat. hrv.«).

[3] *Prilozi k starijoj književnoj i kulturnoj povjesti hrvatskoj.* (Zagreb. Vlast. nakl. 1904. Str. 203).

[4] *Ljetopis Jugoslavenske Akademije znanosti i umjetnosti* za godinu 1908. Sv. 23. U Zagrebu 1909. Str. 169—200.

uzupełniający niejako książkę d-ra Murki. Przetrząśnięte tu najważniejsze zbiory: a więc Akademii południ. słow. w Zagrzebiu (głównie kolosalne składy rękopisów, zgromadzone przez Iv. Kukuljevića jeszcze), głagolickie kodeksy z wyspy Krk, z t. zw. *župnoga dvora* i naukowego towarzystwa (zał. r. 1903) p. n. *Staroslavenska Akademija*, bogate zapasy w t. zw. *Studijskoj Biblioteci* w Lublanie (z pierw. biblioteki Kopitara i bar. Cojsa) i w archiwum krajowem w »Rudolfinum«, wreszcie bardzo ciekawe, wielkie kodeksy, przeważnie z Istryi, z wieków od XIV—XVI w nadwornej bibliotece we Wiedniu, w Pradze (»Muzeum Král. Cesk.«), w Rzymie, (Watykan i państw. Biblioteka św. Piotra) i w. i. [1].

Ważnem dopełnieniem dzieła d-ra Murki jest również książka, którą uczony słowieński powinien był znać, mianowicie Bibliografia Românésca dwu bibliotekarzy rumuńskich w Bukareszcie [2]. Zawiera ona bowiem dużo nader ważnych wiadomości do starego piśmiennictwa południowo-słowiańskiego, którego zabytków posiada nie mało. Cennych wiadomości i nowych dostarcza to dzieło o t. zw. *Makarijevom Četveroevandjelju* (1512 i 1552), o głośnym »apostole logotetów« Dimitriju, o wielu t zw. »służabnikach«, »pouczeniach« z ewangelii, ewangeliarzach (zwłaszcza wydanie Koresijowe) i t. p., mimo, że nie wyczerpuje bogatego materyału rumuńsko-słowiańskich zabytków, a o niektórych już znanych, nawet zamilcza [3].

---

[1] Najciekawsze są wiadomości Milčetića o kamiennych napisach cyrylickich i głagolickich z XIV wieku na wiejskich kaplicach w Istryi (Barban i Berm), jak z drugiej strony stwierdzenie, iż głagolicy nie używano już w Poljicach, Šibeniku. Kninie i innych miejscowościach Dalmacyi, gdzie natomiast często zdarza się spotykać korespondencye katolickich gmin, cyrylicą pisane.

Odkrycie to rzuca nowe i jaskrawe światło na kwestyę cyrylicko-głagolicką, jak i na sporną sprawę pierwotnego szerzenia się wyznań Serbów i Chorwatów w Dalmacyi.

Por. o tem. rec. Милоша Ивковича w pracy Milčetića w 208 zeszycie Српскога Књижевнога Гласника (16 Септембар, 1909). Str. 469—473.

[2] *Bibliografia Românésca veche 1508 - 1830. De Joan Biani si Nerva Hodos.* — Tomul I. 1508—1716. Editiunea Academiei Romane. Bucuresci. Stabilimentul grafic J. V. Socec. 1903. Str. IX i 571.

[3] Obszerne sprawozdanie z bibliografii Bianiego i Hodosa znajdzie ciekawy w Српск. Књижев. Гласнику. Бр. 191—2. (z 1 i 15 Јануара 1909). Str. 65—69 i 132—135, — pióra Радослава М. Грујича. — Uwzględnić przytem należy najnowsze badania w przedmiocie rumuńsko-słowiańsko-cerkiewnego

W kwestyi wreszcie cyrylo-metodejskiej nie wyczerpał autor, choć w krótkiem zestawieniu, rezultatów dotychczasowych badań, które tak przejrzyście zebrał i własnym, — co prawda, — bardzo odosobnionym poglądem oświetlił prof. Brückner[1]. Tu należało także zużytkować wywody prof. Potkańskiego[2] i źródłowe badania czeskiego historyka Fr. Hýbla[3], na którego wskazuje także prof. J. Máchal w swem sprawozdaniu[4], powołując się na głośną kronikę Kosmasa i t. zw. »Kristianową legendę«, jako źródła dowodzące, iż Metody ochrzcił rzeczywiście czeskiego księcia, Bożivoja. Prof. Murce te dowody nie wystarczają, lub o nich zapomniał.

Z całem uznaniem natomiast podnieść należy odmienne, niż dotychczas (u Voudráka np.), jedyne, uzasadnione ze stanowiska filologii słowiańskiej, traktowanie obu legend o Cyrylu i Metodym, jak nie mniej słowieńskich złomków Brizinskich. Co do pochodzenia pierwszych, dowodzi Murko z samych cech stylu, że nie mogą być obie dziełem tego samego autora, lecz przyjmuje, że jedna jest pióra samego Cyryla, druga zaś pochodzi zapewne od ucznia Metodego, Klimenta. (Vondrák uważa tego za autora obu legend). Tak więc w sprawie języka liturgicznego Słowian Murko zbliża się najbardziej do Jagića[5].

Co do zabytków Brizinskich (Freisingeńskich), rozstrzyga Murko punkty sporne również daleko racyonalniej, aniżeli

piśmiennictwa znawcy w tym kierunku, А. И. Яцимирского (np. Новый трудъ по старой славянской библиографіи. Спбр. 1898, świeżo w Изв. Импер. Ак. Н. 1909 i w. i.), tudzież M. Jorgi *Istoria bisericii românesti si a vietii religioase a Românilor.* (Historya rumuńskiego Kościoła i religijnego życia w Rumunii). T. I. 1908. T. II. 1909. Valenii-de-munte.

Bogatego wreszcie materyału, wiążącego się ściśle z przedmiotem prof. Murki, dostarcza świeżo wydana w przekładzie serbskim książka rumuńskiego prof. uniw. Dr. I. Barbulescu p. t. Румуни према Србима и Бугарима нарочито с погледом на питање македонскихъ Румуна. (Београд. 1909. Изд. задужбине Илије М. Коларца).

[1] *Thesen zur Cyrillo-Methodianischen Frage.* Archiv f. slav. Philol. XXVIII. 1906. Str. 186 i nn.

[2] »Konstantyn i Metodyusz«. Kraków 1905.

[3] *Slovanská liturgie na Moravě v IX. věku.* Český Časopis Histor. 1909. I. (Str. 1—18). II. (153—171). III. (287—297). IV. (406—416).

[4] *Český Časopis Histor.* Roč. XV. (1909). Seš. 3. Str. 358.

[5] *Zur Entstehungsgeschichte der kirchenslavischen Sprache.* (Denkschriften d. Akad. Wien. 1900).

Vondrák [1], który pewne słowiańskie dyalektyczne właściwości zabytków naciąga do słowaczyzny i chorwatczyzny, podczas, gdy one są — wedle Murki — tylko dyalektycznemi właściwościami języka słowieńskiego.

Takie więc zalety i braki najnowszej historyi piśmiennictw południowo-słowiańskich. A chociażby można w niej jeszcze nie jedną drobną usterkę podkreślić, to jednak te uwagi szczegółowe nie zdołają odjąć wartości cennemu dziełu prof. Murki, jak nie zdołają jej obniżyć napaści żadnych byzantofilów i ortodoksów serbo-bułgarskich, czy rosyjskich. Powitać należy z całem uznaniem i radością bardzo potrzebną książkę, która otworzy trochę oczy nie tylko Niemcom, ale niestety i Słowianom samym na przeszłość tych *minderwertige Nationen*, o których lubimy tak często mówić z pogardą i lekceważeniem, ba! — nawet umiemy z cyniczną, a zupełnie nieszlachetną ironią drażnić ich najświętsze uczucia narodowe. My, Polacy, w szczególności, w poczuciu »wyższości« kultury, jesteśmy w tej sztuce mistrzami.

Ma literatura d-ra Murki ważne dla Słowian znaczenie i z innego jeszcze względu, — z tego, który uderza od razu w oczy każdego czytelnika, obywatelskiem, narodowem i plemiennem stanowiskiem autora, a na który już zwrócił tak wymownie uwagę prof. Gumplowicz w *Przeglądzie historycznym* [2].

Ma ważne znaczenie dzięki szczeremu umiłowaniu przedmiotu przez autora, dzięki zrozumieniu, jaką ważną misyę ma spełnić jego książka wobec Słowiańszczyzny południowej i Europy, — dzięki szerokiemu horyzontowi wiedzy zawodowej, a jeszcze szerszym, wielce kulturalnym, bezstronnym i dojrzałym poglądom polityczno-społecznym.

Takie ustępy, jak na wstępie książki walka z partykularyzmem południowo-słowiańskim, jak zbijanie niektórych przestarzałych przesądów i wierzeń starej byzantyńskiej szkoły literacko-historycznej, jak rozrzucone po całej książce refleksye na temat dzisiejszego położenia południowej Słowiańszczyzny, — należą do najpiękniejszych ustępów w całej książce, podnoszą jej wartość, ożywiają ją i czynią z tworu erudycyi i badań ścisłych organizm pełen życia, temperamentu i wpływu.

To też te dzieje starej literatury południowo-słowiańskiej, jak-

[1] J. Máchal l. c. 358—9.

[2] Op. cit. Str. 3 i i. Podnosi to też z uznaniem bułgarski recenzent T. Г. И. w miesięczniku Българска Сбирка (R. XV, 9. Ser. 609), Dr. Jos. Tominšek w »Ljubljanskim Zvonie«. (1909. III, str. 186—7), a niemniej i inni sprawozdawcy.

kolwiek zachwycić swą pięknością, ani porwać potężnym wzlotem myśli nie mogą, przecież budzą nadzieję i wiarę w przyszłość; odsłaniając krwawe i ponure karty przeszłości, przecież umieją wykrzesać z ich dziejów snop czystego światła, co rozświeca drogę ku przyszłości. A jeśli to wrażenie z książki d-ra Murki odnosi nie tylko literat lub filolog, ale niemniej historyk, a nawet socyolog, popierając je poważnem studyum nad życiem realnem społeczeństw słowiańskich i opierając się na wszelkich danych socyologii i doświadczeń dziejowych, możemy śmiało, za przykładem d-ra Gumplowicza, postawić południowej Słowiańszczyźnie jak najlepszy horoskop: *Jugoslavia farà da se!* [1].

Oto światła, co płyną z dzieła d-ra Murki. Po raz pierwszy [2] otwierają w całej pełni przed czytającym światem Europy obraz kulturalno-literackiej przeszłości południowej Słowiańszczyzny, po raz pierwszy daleką smugą sięgają w przyszłość. A jeśli ta książka ważne ma znaczenie wobec obojętnych i wrogich Słowiańszczyźnie, to niemniej doniosłym jest ona nabytkiem dla samych Słowian, a dla nas, Polaków, najobojętniejszych dla sprawy słowiańskiej, w pierwszym rzędzie.

Niechże więc książka d-ra Murki przyczyni się do poznania wśród naszych ludzi dziejów ducha Słowiańszczyzny; niech nauczy, że prawdziwa »wyższość« kultury objawia się w pełnym szacunku dla każdego i najlichszego dorobku kulturalnego, dla każdej i w najbiedniejszem społeczeństwie uczciwej pracy narodowej.

Autorowi należy tylko postawić jeszcze jedno życzenie: by jak najrychlej obdarzył świat czytający drugą częścią swej literatury, — dziejami nowszego piśmiennictwa południowo-słowiańskiego [3]. Rzecz niemniej trudna, owszem trudniejsza do objęcia w jedną zwartą całość, przeto nierównie wdzięczniejszą będzie w rezultacie i dla ogółu poczytniejszą.

Tad. Stan. Grabowski.

---

[1] Op. cit. str. 19.

[2] Rozumie się od czasu Šafařika i jego historyi literatur słowiańskich, której nie biorę pod uwagę, jako nie wyłącznie południo-słowiańską i dziś już bardzo przestarzałą.

[3] Zrobił to już po części autor, tylko w mniejszym zakresie, w innem wydawnictwie niemieckiem: *Die osteuropäischen Literaturen und die slavischen Sprachen.* (Die Kultur der Gegenwart. T. I. Abt. 9). Berlin-Leipzig. 1909. Teubner. Str. 396.

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

Organizacya i zadania zarządów nowych katolickich towarzystw robotniczych. *Ks. Szczęsny Dettloff.* Poznań 1909. Księgarnia św. Wojciecha. Str. 48.

Silna konkurencya, wyzysk niektórych przedsiębiorców zmuszają robotników do zawiązywania się w towarzystwa. Rozumieją oni bowiem dobrze, że zwarci w szeregi, że rządni i karni lepiej pracować potrafią, z większą dla siebie korzyścią, z większą dla społeczeństwa zasługą. Rzecz główna, by stowarzyszenia nie upadały, by nie wdarło się w ich łono jakieś zło, któreby dobre chęci w niwecz obróciło. Na straży więc ma stać zarząd, a jakim on ma być, by skutecznie mógł pełnić swe obowiązki, poucza właśnie autor powyższej broszury. Za uzupełnienie jej może służyć inna broszura p. t.:

Kolportaż pożytecznych pism i książek. *R. A. Lisiecki.* Poznań 1909. Księgarnia św. Wojciecha. Str. 16.

Jednym z działów w towarzystwach rękodzielniczych, katolickich— to biblioteka złożona z dobrych książek. Tę to właśnie kwestyę porusza autor. Szkoda tylko, że tak szczupłe nakreślił sobie granice. *W. B.*

Adamowi Krechowieckiemu. (Księga pamiątkowa). Gubrynowicz i Schmidt, Lwów 1908, str. XLIV, 308.

W zeszłym roku obchodził Adam Krechowiecki 25-letni jubileusz swej pracy dziennikarskiej, a zarazem literackiej. Jak szczytnie myślał, jak gorliwie pracował, pouczą czytelnika sylwetki na czele książki umieszczone. Jedna jest pióra A. Bieńkowskiego i tyczy się działalności literackiej; druga B. Gubrynowicza, ocenia jubilata z punktu literackiego, o czem pouczy również bibliografia prac jego opracowana przez Wł. Staniszewskiego. Treść właściwą wypełnili tacy ludzie jak Sienkiewicz, Orzeszkowa, Piniński Leon, Zapolska, Zygm. Sarnecki, Hajota, Gawroński Fr. R., Lubowski E., Barański Ost., Bełza Wł., T. Jeske-Choiński, Michał Rolle, Rossowski St., Wysocki Alfred, Wróblewski Wł. Weźmy więc tę z różnych strof skleconą pieśń i nakarmijmy nią swą duszę; przeczytajmy kim był Adam Krechowiecki i choć w ten sposób oddajmy mu cześć. *W. B.*

Życie i obyczaje Grzegorza z Sanoka, arcybiskupa lwowskiego, wydane staraniem »Kółka filologicznego« we Lwowie. Lwów 1909. Str. 87.

Dlaczego »Kółko filologiczne« we Lwowie wybrało dzieło Kallimacha p. t. *Vita et mores Gregorii Sanocei, archiepiscopi Leopolicusis* — na to odpowiedzieć chyba ono samo potrafi. Ale czy warto było tak bardzo się kwapić z tem, by ogółowi dać poznać dzieło przebiegłego Włocha, dzieło pisane piórem pochlebstwa? Wyznać trzeba, że po przeczytaniu wstępu skreślonego przez Fr. Sinkę odchodzi ochota do zapoznania się z owem »kadzeniem«. Bo i na cóż zda się czytanie tego, chyba przypomnienie smutnego objawu, że były i są w Polsce czasy, w których byle jaki obieżyświat szkli nam bakę, a my z podziwu usta otwieramy i tak tańczymy, jak on gra. Tyle innych rzeczy większych! Warto zakasać rękawy, a dopiero na ostatni czas trudzić się nad świadectwem fałszywych proroków!

W. B.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Z zamętu francuskiego

Podobnie, jak we Włoszech, i we Francyi walka przeciwko Kościołowi nabiera coraz to więcej ulicznego i sekciarskiego charakteru, przemienia się coraz częściej w szykany i kłucie szpilką — ci, za którymi w odwodzie połyskują bagnety i karabiny, którzy więc czują, że są panami, dają to także drugim poznać na każdym kroku. Szczerze republikańskim oczom nie podoba się np. sutanna duchowna, więc z okazyi rozpraw nad budżetem kultu, stawia deputowany Dejeante wniosek, aby ustawowo zakazano duchownym używania sutanny. Ten wniosek, według twierdzenia deputowanego, wypłynął z ducha prawdziwej chrześcijańskiej miłości, bo ze starań o dobro samego kleru, gdyż w czasie awantur Ferrerowskich dopuszczano się gwałtów na duchownych, a nie uczynionoby tego, gdyby nie poznano, że są duchownymi. Wniosek wprawdzie upadł, gdyż Briand oświadczył, że nie ma żadnej prawnej podstawy do wydania podobnego zakazu, równocześnie jednak zaznaczył, że każdy cywilny człowiek ma także prawo przebrać się w suknie kapłańskie. Że z podobnego zapatrywania korzystać zechcą osobniki o podejrzanej wartości, to chyba jasne, jak i jasnem także, że więcej jeszcze jak dotychczas będzie można pisać o zbrodniach przez kler popełnianych.

Drugim takim znamiennym rysem tej walki o nizkich liniach jest stanowisko zajęte przez nauczycieli wobec biskupów potępiających niektóre książki szkolne. I tu rzecz dziwna. Nauczyciele szkół ludowych znaleźli się daleko poprawniej niż nauczyciele gimnazyów a nawet uniwersytetów. Chodzi o odszkodowanie ze strony biskupów za szkodę przez ich list, zakazujący używania pewnych książek, rzekomo nauczycielom poczynione. Ciało szkolne departamentu np. Cantel, podjudzone przez wolnomyślnych, uchwaliło mimo to znaczną większością nie przedsiębrać żadnych kroków przeciwko biskupowi z St. Flourens a oparło się na tej zasadzie, »że biskupi w liście potępiającym niektóre książki szkolne granicy prawa nie przekroczyli«. W Paryżu za to wytoczył pewien procent profesorów uniwersytetu i gimnazyów proces arcybiskupowi Amette a każdy z oskarżających żąda dziesięciu tysięcy franków odszkodowania. Prezydent sądu cywilnego uznał skargę za uprawnioną i upoważnił skarżących do wezwania arcybiskupa w ciągu trzech dni przed kratki sądowe. Do tego grona postanowili się przyłączyć i nakładcy, jednak mimo obietnic wszelkiej pomocy ze strony rządzących sfer, ostatecznie zamiaru zaniechali. Tymczasem umiarkowanie wolnomyślne koła czują same śmieszność położenia i poznają, że rząd przeholował, to też nawet *Temps* staje w obronie biskupów i jak dawniej, tak i teraz stoi przy zapatrywaniu, że biskupom z ich kroku zarzutu czynić nie można. Inne stanowisko obrał rząd i przez niego inspirowane sfery. Postanowili oni poddać rewizyi katolickie podręczniki szkolne — znaleźli się jednak w kłopocie, bo choć te podręczniki zawierają rzeczy, przed któremi wzdryga się każde republikańskie serce, jak np. wiarę w Boga, to jednak nie zawierają niczego, coby nosiło w sobie myśl przewrotu; trudno więc będzie znaleźć punkt zaczepny i skończy się prawdopodobnie znowu na szykanach wbrew wszelkiemu prawu.

Biskupi francuscy stoją wytrwale mimo wszystko na raz zajętem stanowisku. Arcybiskup z Bordeaux, kardynał Andrieu, dał stanowczą odpowiedź na zarzut Brianda, że biskupi toczą zażartą walkę ze szkołą świecką. Biskupi, twierdzi kardynał, uznają chętnie zasługi świeckich nauczycieli i nauczycielek, jak długo

nie wypadają oni ze swej roli. Nie mogą jednak nie potępić szkoły, która uczy, że wszystkie religie są dobre, lub nawet, że żadnej religii nie potrzeba i Briand myli się, jeżeli sądzi, że biskupi przekraczają prawo, gdy katolickie rodziny przed taką szkołą przestrzegają. Briand błądzi i w tem, gdy twierdzi, że kto słucha papieża, nie może być dobrym Francuzem. Nienawiści Francyi papież od biskupów się nie domaga. Przeciwnie, biskupi kochać będą swój kraj, choć nie przyjmą pewnych przez blok utworzonych nowych praw. »Briand, kończy biskup, na próżno się stara doprowadzić francuskich katolików do schizmy. Pozostaną oni zjednoczeni i z ufnością spoglądać będą na papieża, od którego jakobińskie tyraństwo chce ich odłączyć«.

Ten ostatni ustęp odnosi się do pewnej mowy Brianda, w której tenże zrobił różnicę między katolickiem a francuskiem sumieniem. Gazety radykalne, w których oczach ten tylko jest dobrym Francuzem, kto jest zagorzałym wrogiem Kościoła, przyjęły, rozumie się, tę mowę z entuzyazmem, lecz i katolicy dali jej gorącą odprawę. »Dzisiaj, woła stary katolicki wódz, hr. de Mun, przemawia prezydent ministrów do biskupów i kleru, jak niegdyś przemówił mer Paryża do proboszcza z St. Sulpice, który nie chciał złożyć ustawowej przysięgi: ‚Gdy prawo przemówiło, sumienie milczeć musi'. Lecz także bez skutku. Jak przychodzi Briand do tego, by twierdzić, że gdy Kościół jeszcze większych od nas zażąda ofiar, musimy Mu wypowiedzieć posłuszeństwo, jeżeli chcemy być dobrymi Francuzami? Jakie ofiary wchodzą tu w grę? Czy papież choć jednem słowem, jedną aluzyą groził katolikom, którzy kraj nad wszystko miłują? Czy wówczas, gdy publicznie wielbił Świętą francuskiej ojczyzny, nie przycisnął trójbarwnego sztandaru do swoich ust? Gdy rozdzielono Kościół od państwa, trzeba było dać Kościołowi u nas inną organizacyę, ale tej organizacyi bez zgody papieża nie można było Mu dać. Jeżeli Briand innego jest zapatrywania i nosi się ze zamiarem zaprowadzenia u nas Kościoła narodowego, to mógłby nim być tylko protestantyzm a jeżeli my się na to nie zgadzamy, nie jesteśmy dobrymi Francuzami. Oto nasza odpowiedź Briandowi: niech wytęży wszelkie swoje siły, katolicy nie ustąpią. Wytrwamy

w walce i z dumą o tem pamiętać będziemy, że ratujemy Francyę, gdy jej zachowamy religię«.

W obozie katolickim wyłania się tymczasem myśl nowej organizacyi katolickiej; zapełnia ona od kilku miesięcy szpalty paryskiego *Univers* i wywołuje różne polemiki tak w katolickiej jak i radykalnej prasie. Trzy punkty tej myśli zasługują na uwagę. Konkordat, pisze Fr. Veuillot, nie istnieje więcej, stąd też katolicy nie są dzisiaj obowiązani do uznania obecnej formy rządu tak, jak byli dawniej a już wcale tego od monarchistów domagać się nie można. Dalej z powodu ukształtowania się stronnictw parlamentarnych nie można dziś nawet myśleć o tem, aby katolicy mogli iść ręka w rękę z umiarkowanymi; dziś muszą dopiero katolicy na nowo zyskać i rozbudzić dla siebie opinię katolicką, a wobec tego walka wyborcza ustępuje na drugi plan. Wreszcie ponieważ wiara dziś zupełnie jest zagrożoną, powinni się katolicy skupić około ołtarzy. Dlatego żąda też Ojciec św., aby katolicy, nie licząc się ze swemi politycznemi zapatrywaniami, zorganizowali się wyłącznie na terenie religijnym i stanęli do walki o swoje prawa pod wodzą biskupów.

Chodzi więc o organizacyę opartą wyłącznie na katolickiej zasadzie i w celach wyłącznie katolickich. Politycy powinni, według Veuillota, milczeć a metodę i pracę ustanowią i rozłożą biskupi sami. Dlatego też powstaną komitety parafialne i konferencye dyecezyalne. I nie chodzi o to bynajmniej, aby utworzyć nowe stronnictwo lub rozwiązać dawniejsze; jeden cel wszystkim przyświecać winien, ten mianowicie, aby stronnictwa się nie zwalczały, lecz jednoczyły a monarchiści, republikanie i demokraci szli zgodnie przeciwko wspólnemu wrogowi. Projekt zaznacza przytem powtórnie, że nie chodzi tu bynajmniej jeszcze o wybory.

Tymczasem arcybiskup z Tuluzy, ks. Germain, przeprowadził w swej dyecezyi powyższą organizacyę na dopieroco omówionych podstawach, lecz zaznaczył wyraźnie, że chodzi mu w pierwszej linii o blizkie wybory. Biskup z Nancy, Turinaz, wypracował znowu program dla całej Francyi. Według niego skupić się powinni »katolicy, liberalni i wszyscy szlachetni ludzie kraju w celu obrony obywatelskich i religijnych wolności«. I oto na-

stąpiło pierwsze nieporozumienie, które ostro zwalczał *Univers*, wynosząc projekt arcybiskupa z Tuluzy a odrzucając równocześnie projekt biskupa Turinaz'a, podczas gdy prasa radykalna nie miała dość słów uznania dla niego. Biskup z Nancy nie cofnął się jednak a końcowe słowa jego listu, wystosowane do *Univers'a*, dowodzą w każdym razie jego najlepszej woli i zrozumienia warunków położenia. »Kończąc mą odpowiedź, pisze, przypominam sobie, że jestem biskupem, że dziś więcej, jak dawniej, powinienem być apostołem pokoju i jedności, że powinienem przebaczać, abym sam przebaczenie znalazł. Przed oczami mojemi stoi mój nieszczęśliwy kraj, który do przepaści się zbliża, stoją nieszczęścia dzisiejsze i jutrzejsze, straszne następstwa klęski przy przyszłych wyborach, których może wieki całe nie usuną. Pomijam wszystko, co mnie osobiście dotyczy; osoba moja nie jest niczem wobec sprawy, która nas złączyć powinna. W imię Boga, który naszą ziemię tak wielką i piękną uczynił, w imię Kościoła, którego pełną chwały najstarszą córką Francya i dziś jeszcze może być, w imię namiestnika Chrystusowego, który taką ojcowską miłością nas otacza, w imię dusz dzieci, które ratować musimy, w imię naszych wolności i praw, które musimy odzyskać, w imię zagrożonego anarchią społeczeństwa wołam do wszystkich *sursum corda*. Błagam, jeżeli potrzeba, na kolanach nawet, błagam katolików, prawych ludzi, Francuzów, którzy kraj swój kochają: podajcie sobie ręce, łączcie się, ulitujcie się nad Francyą«.

W obronie biskupa Turinaz stanął lyoński kongres *Action libérale populaire* i postawił sobie za zadanie dążyć do skupienia szlachetnych i prawych ludzi wszelkich stronnictw i do popierania przy wyborach tego kandydata, który daje najwięcej rękojmi, że potrafi bronić obywatelskich i religijnych wolności.

Kwestya nie jest w każdym razie dotąd wyjaśniona i nie wiedzieć na czem się skończy, mimo jednak, że i monarchiści zaczynają już w mętnej wodzie łowić ryby i że prasa rządowa wszystkimi środkami zwalcza myśl o łączeniu się katolików na zasadzie katolickiej, myśl ta mimo wszystko kiełkować zaczyna i w jednym tylko departamencie północnej Francyi koło Hazebrouck na 68 parafii ma już 62 swoje katolickie komitety.

Z agitacyi protestanckiej

Pod koniec roku coraz częściej pojawiają się sprawozdania z działalności protestanckiej w katolickich krajach. Wybieramy z nich dwa ciekawsze; jedno odnosi się do Francyi, drugie do Czech.

Według artykułu pastora Eiselen, ogłoszonego w *Reformation* (nr. 42—46) istnieją we Francyi dwa główne stowarzyszenia, mające na celu popieranie »czystej Ewangelii«: *Société Centrale Protestante d'Evangélisation* i *Société Evangélique de France.* Francya liczy dziś około 700 tysięcy protestantów, dlatego praca ewangelizacyjna rozciąga się siłą rzeczy na katolików.

»Gdyby katolicy, pisze Eiselen, tak samo we Francyi przywiązani byli do Stolicy Apostolskiej, jak w Niemczech, napotkałaby praca ewangelizacyjna na niepokonane trudności. Całkiem jednak inne stosunki panują tu pod tym względem«. Ta różnica stosunków polega na tem, że wpływ religii słabnie z dnia na dzień, ponieważ liczba księży, po wsiach przedewszystkiem, zmniejsza się, bo ludność utrzymać ich nie może, a nie może, ponieważ nie chce i znowu nie chce, ponieważ dla Kościoła powoli staje się obcą. Z powodu braku kapłanów przyjęły protestantyzm parafie Madranges, Traignac, Gourdon, Chavagnac i inne. Mimo to uznaje autor, że praca ewangelizacyjna we Francyi bardzo mało postępuje wśród katolików a wśród protestantów nawet się cofa. »W szeregi protestantów, pisze, przedarli się wolnomyślni i powstało w nich dużo wrogów religii. Była to przecież wieś protestancka, gdzie na drzwiach ewangelickiego kościoła czytać można było bluźnierczy napis: *Temple à vendre, pasteur à pendre*«.

Trochę inaczej przedstawia się sprawa w Czechach; o niej opowiada pastor Kornrumpf w *Evangelisch-Kirchlicher Anzeiger* (nr. 51). Protestanci w Austryi są albo luteranami i przeważnie Niemcami, albo reformowanymi i tu należą głównie Czesi. Praca między ostatnimi odbywać się musi w zupełnej cichości i tajemnicy. Na dowód przytacza protestancką parafię czeską w większem austryackiem mieście, którego nazwy jednak nie podaje. Tu w r. 1883 znalazł się pierwszy pastor czeski; miał wówczas oprócz czterdziestu uczniów i kilku żołnierzy osiemdziesięciu parafian.

Po roku liczba ta wzrosła do 213 osób a obecnie liczy parafia 1148 głów.

Ciekawym jest opis samej pracy ewangelizacyjnej: »Nabożeństwo ma na celu jednać nowych wyznawców. Dlatego co niedzielę wygłaszają tu dwa kazania, rano i wieczór. Wieczorem gromadzą się związki młodzieży męskiej i żeńskiej i przyjaciele. Po ukończonej wstępnej modlitwie obnoszą »siostry« herbatę i ciasta. Później śpiewają pieśni religijne, wygłaszają odczyty i referaty i starają się o to głównie, aby obudzić zainteresowanie się biblią. Nadto wygłasza związek młodzieży męskiej publiczne odczyty w święta katolickie, pracuje przez szkołę niedzielną i odczyty z Pisma św. Związek dziewcząt odwiedza innowierców, przyprowadza ich na nabożeństwo i wiedzie do Chrystusa«.

Ponieważ jednak, wywodzi dalej Kornrumpf, katolicyzm jest jeszcze w Czechach potęgą a lud jest ślepy i religię protestancką uważa za religię »niemiecką«, dlatego muszą protestanci w Czechach pracować po cichu, w tajemnicy, bez zwracania na siebie uwagi i nie wywieszać sztandaru niemieckiego.

Potrzeba rzeczywiście odwagi, aby tak naiwnie do zmiany frontu się przyznać, lecz więcej jeszcze odwagi, aby tak rzecz całą zakończyć, jak ją zakończył Kornrumpf: »Ewangelia przynosi narodom pokój. Jak Rzym w Alzacyi i Lotaryngii szczuje na siebie Niemców i Francuzów a na naszym Wschodzie Niemców i Polaków, tak w Austryi podburza przeciwko sobie Niemców i Czechów. Ewangelia to wielki apostoł pokoju wśród wrogich narodów, bo czysta ewangelia to pokój«.

Nie potrzeba nawet rozwodzić się nad tem, ile w każdem zdaniu jest fałszu i hypokryzyi; jednego moglibyśmy się jednak z tego nauczyć: korzystać z okazyi.

Ks. Wiktor Wiecki.

Ze świata sztuki monachijskiej.

Christliche Kunst. — Śmierć Kaulbacha.

Monachium 15 grudnia 1909.

W dziejach twórczości w dziedzinie piękna, w poezyi, malarstwie, rzeźbiarstwie i budownictwie, spostrzegamy zawsze wpływ prądów epoki. Duch epoki, jeśli nie jest tylko przelotnem zjawiskiem, oddziaływa zwykle na wszystkie dziedziny wyobraźni twórczej.

Rzecz naturalna, że nowe idee, nowe pojęcia, nowe potrzeby ducha bez namiętnych walk ze starym poglądem — obejść się nie mogą.

Nowi apostołowie grupują całe zastępy koło siebie, zastępy młodych, pełne wiary, natchnienia, zdolności, geniuszów.

Nastaje praca, praca intenzywna — w nowym kierunku...

Najprzód okazuje się w literaturze, jako najpodatniejszym materyale, potem w malarstwie, rzeźbie i wkońcu — w budownictwie.

W malarstwie bardzo szybko nowy kierunek zatknął swój sztandar i zatknął tak wysoko i tak wszędzie, że nawet... w *Christliche Kunst.*

I nie dziw!

Takie imiona, jak Hans Thoma, G. Desvallières, Fr. v. Uhde, M. Rossmann, F. Knopff mogą sobie otworzyć najszczelniej zamknięte podwoje.

Napróżnoby krzyczał stary Henri Lavedaux: *Pas la couleur, rien que la nuance.* Ich — nie widział!... Wejdźmyż do sali.

Łagodne światło z przymglonego gazą okna pada na — »Zwiastowanie Najświętszej Panny Maryi« *(Maria Verkündigung).* Cóż to za poeta mógł odczuć tak Zwiastowanie? Co za dusza, rozmarzona katolicyzmem, mogła wyśpiewać podobną poezyę? Co za geniusz »z Bożej łaski« Zwiastowanie tak mógł pojąć, w tak potężne akordy umiał uderzyć, przejść w najsubtelniejsze odcienia, zawibrować, zadrgać tysiącem kolorów, by nas przykuć, zmusić do patrzenia, uderzyć czołem — i to z jakiem sercem?!

Bo też to nie poezya, to — poemat cały, który Desvallières wyśpiewał!

Patrzmyż.

Na lewej obrazu stronie widzimy, jak aniołowie Oblubienicę Ducha Świętego przystrajają odświętnie w insygnia godności królewskiej. Jeden z nich narzuca na ramiona stojącej, zmieszanej Dziewicy

wspaniały królewski płaszcz, — drugi, cudny aniołek, podaje klęcząc koronę, inny spieszy z berłem.

Gdy anioł Gabryel, z prawej strony obrazu, opuszcza się uniżenie na chmurce, by wypełnić Boskie poselstwo z lilią w ręku, — drugi anioł wznosi się z poza plec Maryi i, w szalonym ruchu wyciągniętych nad Nią rąk, j u ż trzyma krzyż z Chrystusem na nim! To wszystko na tle bajecznie malowniczego pejzażu, dziwnie poetycznego zmierzchu.

Stojąca Dziewica, czując ważność chwili, nie widzi wspaniałych szat, korony, berła. Jej twarzyczka — spoważniała, oczy patrzą w dal, w przyszłość zamgloną, usta dziecinne — drżą, zdradzając wewnętrzny niepokój, a włosy rozrzucone, z poza których wznosi się tajemniczy anioł z proroczym krzyżem, to włosy, o których gdzieś Wiktor Hugo powiedział: *Le soufle de la destinée frissonne à travers ces cheveux*...

Cała postać — dziwnie wzniośle odczuta, dziwnie rzewna, dziwnie już boska!

A z jakiem wirtuozowstwem malowana, z jaką brawurą rysowana, jak silnie kolorystyczna, ile środków wysłowienia posiada ten mistrz?!

Wspomniałem, że dziecinne usta drżą. I rzeczywiście, wrażenie to robią.

Gdy cała twarz, jak zresztą cały obraz, szeroko jest malowany i świetnie się modeluje pomimo długich pociągnięć pędzla, to usta — niedługiemi, poziomemi pociągnięciami, lecz krótkiemi, nierównemi, pionowemi malowane i przez to w i b r u j ą te pociągnięcia i robią wrażenie prawdziwie drżących ust.

A jaki ubiór bajeczny jest tej postaci! Ile w tem złocie na płaszczu odblasków, jak światło miga po niem, jak zdaje się z niego wychodzić!

A suknia anioła Gabryela? Toż jakaś mgła jasno-liliowego koloru, tak miłego, tak delikatnego, tak pieszczącego oko, że irysy, hiacenty i heliotropy mogłyby więdnąć z zazdrości!

A jaki nastrój w pejzażu, jaki *Stimmung*, ile duszy, ile poezyi w nim, jakie światło — cienia!!... *Il ne manque rien là pour une fête des yeux!!* . . . . . .

Hans Thoma zawsze umie być przedewszystkiem poetą. W najmniejszym jego rysunku tkwi wszędzie kawał silnej poezyi. I ta poezya w treści obrazu robi z niego pełnej miłości poetę w szczegółach.

Spojrzmy na jego obrazek »Mnich podsłuchujący śpiew szczygła«. Pomimo szerokiego, zamaszystego malowania, jak on przy głowie mnicha z lubością pamiętał o tle, jak malowniczo zrobił, wyglądającą przez okno, gałązkę jabłoni, na której śpiewak siedzi, jak każde jabłko jest arcydziełem w swoim rodzaju!

Thoma zawsze z rozkoszą maluje rzeczy małe, z pietyzmem — wielkie.

Swoim »Chrystusem« Hans Jongkind stara się ogromnie być interesującym.

I nie dziw — przeszedł siebie.

Stoi on wprawdzie z wiedzą lub bez, pod sztandarem tych młodszych paryskich stylistów albo Neo-idealistów, którzy, oparci na *Puris de Chavannes'ie*, szukają dalszych dróg (właśnie obecnie Maurice Denis zachwyca sobą nawet Berlin), jednakże, nowy mistrzu, czołem przed twą paletą i przed twą techniką, a — na kolana — przed twym Chrystusem!

O wspaniałej kompozycyi Rossmanna »Matka Boska« — tryptyk do ołtarza, w którym z lekka gotyzujący styl z takim wdziękiem nadany, — o »Burzy na morzu« (Markus 4, 38) Michała Diemera, w którym potężnie malowana fala morska każe uczniom obudzić Chrystusa na ratunek, — o »Madonnie« Hengelera, — o Fritz Kunza »Powrót św. Franciszka z Monte Alverno«, — o Grütznera chrześcijańskim, lecz nie religijnym obrazie »Pokusa« *(Versuchung)*, — o Heinego, okrutnie energicznie i z ogromnem poczuciem form ciała, rzeźbionej figurze »szatan«, i o wielu innych — może później, — w każdym razie — *Vous voyer qu'il y a du choix.*

Dziś rano obiegła miasto wiadomość, że Herman Kaulbach umarł. Jeden z filarów monachijskiego malarstwa nie żyje! Po nim, jednak, tyle dzieł pierwszorzędnych pozostało, że żyć będzie zawsze, w historyi sztuki.

Jako syn Wilhelma Kaulbacha, którego sława cały świat artystyczny napełniała swego czasu, młody Herman odznaczał się najprzód niezwykłym, lirycznym talentem i można się było spodziewać, że życie jego zupełnie innemi drogami pójdzie. Jednakże na uniwersytecie oddał się studyom prawniczym, lecz wkrótce wyrzucił z rąk swych »Pandekta«. Skłonność do malarstwa zanadto gwałtowną siłą odezwała się i wstąpił do Akademii, i to, o zgrozo, — do szkoły Piloty'ego. Szalony spór między ojcem a synem powstać musiał. Herman był już dzieckiem nowszych czasów. Nie mógł widzieć swojego ideału

w patetycznym *Karton-Kunstcie.* Piloty musiał go pociągnąć. Ojciec zaś jego uważał to za rodzaj ucieczki z pod sztandaru, za krzywdę osobistą, za złośliwość ze strony syna. Dopiero, gdy w 69 roku, dwudziestotrzy-letni chłopak wystawił swój pierwszy obraz: »Ludwik XVI w więzieniu«, ojciec pogodził się z synem. Powstaje cały szereg historycznych obrazów, romantycznego rodzaju. W wielu z nich dźwięczy muzyka: »Mozarta ostatnie chwile«, »Fryderyk Wielki i Sebastyan Bach« i t. d. Szalonego powodzenia doznaje »Lucrezia Borgia, tańcząca przed Aleksandrem VI« i robi mu sławę. »Nieśmiertelność« (*Unsterblichkeit*), którą książe Regent Bawarski zakupił do Nowej Pinakoteki, znaną jest całemu światu: w Columbarium młoda rzymska dziewica całuje i upiększa kwiatami popiersie zmarłego, ukochanego. W chwilach swobodniejszych zwracał się Kaulbach do dziecięcego świata, który on, z nieustającą miłością, lubił odtwarzać. Każdy taki obrazek z rzadką wytwornością i delikatnością rysunku malowany, odznaczał się prócz tego, subtelnym humorem i głębokim zmysłem spostrzegawczym. Zabawne i rozrzewniające w dziecka istocie, nie ukryło się przed jego okiem, i nic dziwnego, że stały się te małe arcydziełka ogromnie popularnemi.

Jako malarz, bezwarunkowo był wielkim, — jako człowiek, dużo zostawił przyjaciół.

Maryan Strzembosz.

Z katolickich wydawnictw [1].

I znów ukazały się dwa olbrzymie tomy amerykańskiej encyklopedyi katolickiej, na które złożyła się praca przeszło 400 uczonych. Zaczęta od liter Cl, zamyka się na Fath, zawierając przeto mnóstwo ważnych bardzo nazw i tematów. Warto bowiem zauważyć, że w łacinie, z której czerpane są niemal wszystkie rzeczowniki kościelno-naukowe, podobnie jak we wszystkich językach romańskich, pierwsze 8—9 liter alfabetu zajmują trzy czwarte słownika, podczas gdy reszta, uboższa, tłoczyć się musi na pozostałych stronnicach. Mamy więc tu liturgiczne lub teologiczne określenie wyrazów jak: Cannon, Conclave, Creed, Christ, Crois, Criticism, Communion, Council, Congress, Contrition, Demon, Devil, Darwin, Eucharist, Evolution lub nazw jak

[1] *The Catholic Encyclopedia* vol. IV i V. (New York, R. Appleton Ed.).

Egypt, Dante, Döllinger, Columbus i wiele, wiele innych, nieodzownych do poznania czy to prawd wiary, czy historyi Kościoła, czy też różnorodnych, umysłowych prądów. Każda rzecz zaś traktowana jest objektywnie, a często bardzo obszernie. Z samego imienia Clement, możnaby wyciągnąć teoryę artykułów tworzących niepośledni tom druku. Jest w nich oczywiście historya panowania wszystkich papieży Klemensów z kilku portretami. Natomiast przy literze C zadziwia brak wyrazu *Conception*, prawdopodobnie dogmat Niepokalanego Poczęcia omówiony będzie obszernie pod wyrazem *Immaculate* — należało jednak dać choćby odsyłacz. Biedny nasz Kraków też pisany z angielska *Cracow*, pomimo, że staranie o nim powierzone było Polakowi panu O. Rudzkiemu, traktowany jest po macoszemu o tyle, że do dokładnego artykułu historyczno-statystycznego, obejmującego dzieje dyecezyi i uniwersytetu aż po najnowsze czasy, nie dodano ani jednego rysunku — choćby z pocztówki — a przecież ani na zewnątrz ani na wewnątrz kościoły nasze nie ustępują zagranicznym gmachom. Gdyby to było miasto angielskie lub amerykańskie mielibyśmy i ołtarz Wita Stwosza i pomniki Wawelu i różne piękne zakątki. Ot co jest — nie mieszkamy na Zachodzie ani na Wschodzie więc w oczach obcokrajowców nie posiadamy dość wybitnej cechy. Z artykułów o Konstantynopolu i o Egipcie możnaby też utworzyć osobne książki — religia starego Egiptu obrobiona według dzieł Maspera, przyczem autor nie dorabiając własną fantazyą, ani naciągając do swoich przekonań jak to wielu czyni — przyznaje, iż jak dotąd mytologia egipska przedstawia się bardzo niejasno, że wobec przemian, którym w ciągu długich wieków uległa nie podobna mieć jej pierwotnego obrazu. Natrafiono np. na ślady ludożerstwa nie zgadzające się z późniejszemi pojęciami o pozagrobowem życiu ducha zależnem od zachowania ciała. Przed Herodotem, według którego nas wszystkich uczono, dużo w Nilu upłynęło wody i niejeden lud przewalił się przez ziemię egipską, zostawiając w niej część swoich zwyczajów i wierzeń. Ani jednak na kamieniu, ani na żadnym papyrusie nie znaleziono dotąd konkretnego obrazu wiary Egipcyan — za takowy bowiem nie mogą starczyć wyobrażenia pośmiertnego sądu, ani poetyczne bajki o Izydzie i Ozyrysie. Ciekawymi są szkice o starożytnem pojęciu dajmonów różniącem się z naszem pojęciem o dyabłach; pouczającymi bardzo artykuły o ewolucyi i darwinizmie. Według autora ewolucyę *in plus* uważać można tylko w świecie roślinnym i to nie we wszystkich gatunkach, niektóre bowiem zkarłowaciały wskutek zapewne wyczerpania ziemi. W świecie zwierzęcym i ludzkim najści-

ślejsze badania naukowe ewolucyi odnaleźć nie mogły, może być wydoskonalenie lub zdegenerowanie jakiejś rasy, ale przejścia z jednej w drugą nie było i niema. Istoty, jak np. muły zrodzone z krwi mieszanej, same rodzić nie mogą. Teorya pochodzenia człowieka od małpy ma adherentów głównie pomiędzy ludźmi, którym strach przed odpowiedzialnością nieśmiertelnej duszy. Żadne wykopaliska nie dały autentycznego dowodu w przeciwnym kierunku, a nawet gdyby kiedyś znaleźć miano szkielet ludzki o kształtach odmiennych nie możnaby stąd jeszcze wyciągnąć wniosków, bo przecież zdarza się, iż się rodzą monstra-dzieci o psiej głowie lub o trzech nogach, podobnie jak się rodzą cielęta o dwóch łbach. Gdyby np. »bracia Syamscy« żyli za Faraonów, a teraz odkryto ich mumie, wnet znaleźliby się »uczeni«, stawiający apodyktycznie teoryę o rasie podwójnych ludzi... Co prawda, »Encyklopedya« przykładu takiego nie przytacza, owszem traktuje rzecz bardzo poważnie, czerpiąc z najmędrszych i najuczciwszych autorów. Mówiąc o zwierzętach przypomina się, iż pod wyrazem *Cruelty*, określonem jest jedynie okrucieństwo względem zwierząt, co jest dość dziwnem wobec nieskończonych objawów tej złości, pod jaką wszystko co było słabszem na ziemi, cierpiało niemal od początku świata. Zdawałoby się, że w Encyklopedyi religijnej powinnoby się znaleźć miejsce na definicyę i potępienie jednej z najbardziej szatańskich chuci zwyrodniałych dusz — że nie wystarcza zganić okrucieństwo względem zwierząt dodając cytatę jako »jest to złem nie dlatego, że jest krzywdą dla zwierząt, ale dlatego, że się sprzeciwia zamiarowi Bożemu w stworzeniu ich«. Bardzo to mądre zdanie i zapewnie filozoficznie określone, ale czyż nie bardziej prawdzie i sercu odpowiada wierszyk, któregośmy się w dzieciństwie uczyli, a w którym dziecię prosi przechodnia, by kulawego kotka nie trącał, bo mama mówi, »Ojciec Niebieski zakazał biednym wyciskać łezki!«

Podobnie jak poprzednie, tom IV i V zawierają sporo życiorysów ludzi, których działanie wpłynęło w jakikolwiek sposób na stan Kościoła lub wiary. I tu również uwzględnieni są ludzie Zachodu, lub mahometańskiego Wschodu. Między nowszymi dobrze skreślonym jest życiorys Döllingera z historyą powstania staro-katolików, o których swojego czasu pewien dziennikarz niemiecki napisał, że to są raczej *die Neu-Protestanten*. Bardzo pochwalna biografia autora »Żywota Jezusa Chrystusa«, Dominikanina O. Didou ozdobiona jest jego portretem, z którego patrzą śmiałe oczy zdobywcy. Ciekawym też jest artykuł o Koperniku stwierdzający fakt, że opozycya przeciw jego systemowi

wyszła z obozu Reformatorów, że Luter, Osiander, Melanchton, a za nimi uczeń Kopernika Recyusz, upatrywali w nim sprzeczności z Biblią, że przeciwnie katoliccy dostojnicy kościelni parli do ogłoszenia dzieła i że dopiero po 60 latach spór z Galileuszem wpłynął na rozkaz, aby nowe odkrycia określone były jako hypotezy, a nie jako pewniki. Ten rozkaz jak wiadomo uległ niedługo zmianie i nikt nie ma prawa twierdzić, jak się to czasem ku zbałamuceniu łatwowiernych drukuje jakoby »Kopernik podobnie jak Galileusz prześladowanym był za życia przez władze kościelne«.

Życiorysy artystów obrobione są z istnem zamiłowaniem. W parze z nimi dział illustracyi, acz mniej obfity może niż w poprzednich tomach, uderza przecież ślicznem wykonaniem i doborem przedmiotów. Niektóre kolorowane illustracye miałoby się ochotę wyciąć i oprawić. Zwłaszcza portret Danta i kryptyk z Męką Pańską według Perugina. Jedna stronnica zawiera aż sześć portretów Kolumba, z każdego z tych jednak widnieje głowa tak odmiennego człowieka, że zachodzi wątpliwość, czy którykolwiek mógł być do wielkiego żeglarza podobny? Wśród illustracyi jest i rodzaj mapy obrządków unickich. My zapatrzeni wciąż w naszych Unitów, zapominamy, że jest ich tak wiele po świecie. Dobrze to sobie przypomnieć i przekonać się, w jak szerokie ramiona Kościół rzymski garnie różnorodne swe dzieci. Razem wszystko wziąwszy przyznać trzeba, że w Encyklopedyi mogą zachodzić braki, ale każdy artykuł opracowany jest sumiennie, a nieraz i barwnie, każdy jest pouczający, a niejeden bardzo ciekawy. Wogóle takie dzieło dobrze mieć w domu.

T. Wodzicka.

Druk ukończono 8 stycznia 1910.

W SPRAWIE MŁODZIEŻY PRACUJĄCEJ.

»Coraz więcej wszyscy odczuwają, że tylko zjednoczeni w związki możemy się oprzeć burzom i powstrzymać niebezpieczeństwa grożące naszym czasom, tylko zjednoczeni możemy przystąpić do spełnienia wszelkich obowiązków i zadań obecnej doby« [1].

To samo zrozumienie poczyna i w naszym kraju coraz bardziej przenikać całe społeczeństwo. Odczuwać to się daje także i w sprawie terminatorskiej. Wszędzie po miastach budzi się do życia praca nad tą młodzieżą. Jak ta praca jest piekąca, konieczna i pożyteczna całemu społeczeństwu, nie tu miejsce do zastanawiania się nad tem [2], obecnie chcemy kilka myśli rzucić, jaką formę zrzeszenia trzeba przyjąć, któraby najlepiej odpowiedziała korzyściom z pracy nad tą młodzieżą. Chodzi tu o drogę, którą krocząc, możnaby dojść do zamierzonego celu jak z najbogatszym rezultatem w pożyteczne owoce.

Najpierw jednem słowem o rozmaitych formach zrzeszeń w pracy nad młodzieżą rękodzielniczą i robotniczą.

»Towarzystwo opieki nad terminatorami«, jest to grono ludzi, składające się zwykle z duchownych i inteligencyi, którzy mają na celu wspólnemi siłami pracować nad młodzieżą bez żadnego współudziału w rządach ze strony tejże młodzieży. Rządy spo-

[1] *Katholisches Vereinswesen in Deutschland. Zum 50-jährigeu Jubileum des Bestandes.*

[2] Patrz »Kwestya terminatorów w naszym kraju«, broszura wydana Kraków 1907. Księgarnia Gebethnera — Kraków, Westa w Brodach.

czywają przeważnie w rękach kilku osób, które między sobą wybierają przewodniczącego.

»Patronaż«, lub jak u nas nazywano »Opieka«, ma na czele tylko jedną osobistość, która bez współudziału młodzieży sama wszystkiem rządzi, kieruje i o wszystkiem decyduje. Rozumie się, że do pomocy może sobie przybierać innych ludzi, ale nie jako siły rządzące, lecz tylko jako siły pomocnicze.

Stowarzyszenia zaś lub związki o ścisłej organizacyi przypuszczają do rządów także i samych terminatorów i młodocianych robotników, odpowiednio do ich wieku, rozwoju umysłowego i warunków stanowych. Stąd ciałem prawodawczem i rządzącem w związkach terminatorskich nie jest tylko jedna osoba lub kilka z inteligencyi i duchowieństwa, ale kapłan lub świecki: nauczyciel, urzędnik i t. d. wraz z pewną liczbą uczniów rękodzielniczych i młodocianych robotników. Różnica między patronażem a związkiem da się pod pewnym względem porównać do formy rządów absolutnych a konstytucyjnych, do samowładztwa a samorządu.

Otóż w tej krótkiej rozprawie oświadczamy się wprost, otwarcie, stanowczo i zasadniczo za związkami czyli formą samorządu, rozumie się odpowiednio do wieku, rozwoju i innych warunków tejże młodzieży. I to dlaczego?

W każdej pracy społecznej powinniśmy dążyć, o ile się da, do wyników najkorzystniejszych i najpłodniejszych w pożyteczne owoce tak dla tej grupy ludzi, z którą wspólnie pracujemy, jak dla całego społeczeństwa. Ale to jeszcze nie wystarczy. W pracy społecznej nie powinniśmy dążyć do choćby najlepszych wyników, albo tylko może przejściowych i krótkotrwałych, ale do wszechstronnych, gruntownych, oddziałujących na całe przyszłe pokolenia, choćby dlatego właśnie trzeba obrać drogę dłuższą i trudniejszą, choć może trzeba będzie budować gościniec przez zarośla, krzewy, wyboje przesądów i innych ustawicznie się piętrzących trudności tak wewnętrznych jak i zewnętrznych.

Patronaże, biorące na siebie całą opiekę i troskę, o dobro jednostki i ogółu z natury rzeczy nie wiele się mogą przyczynić do tego, by powierzeni ich opiece młodzi rękodzielnicy lub młodociani robotnicy, urobili w sobie samopoczucie myślenia

o sobie i swoich sprawach. A przecież to jest, jedna z najdonioślejszych spraw obecnej doby, by młodzież rękodzielnicza i robotnicza od zarania myślała odpowiednio do wieku samodzielnie dla własnego i ogólnego dobra. Aleksander Wójcicki, pisząc o kwestyi robotniczej w Królestwie [1], wypowiada głęboką prawdę i wielce prawdziwą uwagę: »Słabą właśnie stroną dzisiejszego ruchu assocyacyjnego w klasie robotniczej jest ta, że znajduje się on pod patronatem niemal że patryarchalnym »inteligencyi«, co ustać musi zarówno w interesie robotników, jak i w interesie całego przemysłu krajowego. To pośrednictwo ludzi, którzy po większej części są *gute Menschen, aber schlechte Musikanten,* najwięcej dziś stoi na przeszkodzie wytworzeniu się normalnych stosunków między pracą a kapitałem. Póki ten patronat — w jakiejkolwiek formie i przez kogokolwiek wykonywany — istnieć będzie, trudno żądać od świata kapitalistycznego, by traktował armię robotniczą z wiarą w jej samodzielną siłę i w jej samowiedzę. Robotniczy ruch assocyacyjny stanie się siłą, budzącą dla siebie rzeczywiste poszanowanie, jeśli wyzwoli się z dzisiejszego patronatu »inteligencyi«... A gdy robotnicza organizacya stanie się samodzielną, na rozległem polu twórczości społecznej, — konkluduje p. Wójcicki, — robotnik polski, samodzielny, wolny, ale zawsze wsparty przez społeczeństwo, znajdzie drogę, na której ciesząc się dostatkiem, będzie mógł pracować z pożytkiem dla ojczyzny i ludzkości«.

To samo *mutatis mutandis* da się powiedzieć o terminatorze i młodocianym robotniku. Nie chcemy przez to powiedzieć, jakoby żadnej pomocy nie potrzebował, bo nawet dojrzały robotnik musi się oprzeć o społeczeństwo, a cóż dopiero terminator bez pomocy inteligencyi, starszych, pracodawców, wogóle reszty społeczeństwa nie dałby sobie rady. Nie o to bowiem się rozchodzi, by sam kroczył bez pomocy do udoskonalenia się zawodowego i duchowego, ale chodzi o to, by wsparty o społeczeństwo, pomoc i troskę mu życzliwych samodzielnie nauczyć się od zarania myśleć i pracować dla dobra swego i ogólnego dobra ojczyzny i ludzkości.

---

[1] *La classe ouvrière dans la grande industrie du Royaume de Pologne.* Louvain 1909.

A tymczasem po patronażach, towarzystwach opiekuńczych, bursach i t. p. inteligencya i duchowni za swych elewów i pupilów myślą, troskają się, a nawet pracują, małe przez to zostawując pola własnej ich inicyatywie, samodzielności i rzutkości. Robi to wszystko wrażenie tułowiu bez głowy lub manekinu, poruszającego się automatycznie, a nie życia realnego i prawdziwego choćby powoli rozwijającego, ale zawsze rozwijającego się osobiście, samodzielnie, świadomie swego bytu i przeznaczenia. Tem się także tłumaczy, dlaczego podobne instytucye wydały tak wielu bezradnych i oglądających się wciąż na pomoc drugich, a tak mało ludzi prawdziwie wyrobionych, samodzielnie swem życiem i stanowiskiem kierujących.

Przeciwnie młodzież zorganizowana w związki z własnym samorządem pod pieczołowitą troską, rozumną opieką i światłą radą, roztropną pomocą prezesa, musi sama myśleć o sobie, o poprawie swego bytu, o usunięciu trudności życiowych, udoskonaleniu swego zawodu, wyrobieniu swego charakteru. A my wiemy, że wszelkie samodzielne borykanie się z trudnościami życiowemi, zawodowemi i moralnemi w wysokim stopniu przyczynia się do spotęgowania bystrości rozumu, zahartowania woli, wyrobienia silnego charakteru, a zwłaszcza do przedsiębiorczości w zawodzie, rzutkości w sprawach swej firmy, obrotności w prowadzeniu swych spraw majątkowych, rodzinnych, społecznych. Słusznie udowadnia Froebel w swej »Metodzie poglądowej« — »że sami młodzi najlepiej potrafią rozwinąć własną energię twórczą«. A więc trzeba nam dążyć koniecznie do wytworzenia w łonie samejże młodzieży samoistnego organizmu, zdolnego z własnego wnętrza wytworzyć hierarchię myślącą o sobie i swych sprawach. A młodzież rękodzielnicza i fabryczna naszych czasów zastraszająco jest bezradną, przygnębioną i nadwyraz mało przedsiębiorczą i obrotną w swych własnych interesach. Stąd gwałtownie domaga się pracy nad sobą, ale pracy, któraby ją w bezradności nie utwierdzała, ale przeciwnie, wydobyła ją z niej i postawiła na własnych nogach.

Nie tylko troska i opieka oparta na samowładztwie nie wytwarza przedsiębiorczości, ale nawet młodzież w naszych czasach

niema do takiej troski i opieki prawdziwego szacunku, zaufania i przywiązania.

Jest to rzeczą poniekąd zupełnie naturalną. Każdy człowiek w jakiejkolwiek pracy i dziele chce widzieć cząstkę swego ja, cząstkę swej duszy i swego życia i tylko wtedy potrafi cenić i miłować, co jest zżytem z jego własną osobowością. W patronażach i wszelkich opiekach kierownicy po większej części swe serce i całą duszę nieraz z ogromnem poświęceniem wlewają w to dzieło i nie dziw, że zwykle to dzieło całem sercem kochają. Ale czy może mieć uczeń rękodzielniczy lub fabryczny prawdziwy szacunek i z przekonania miłość do tego dzieła, jakkolwiek dla niego spełnianego, ale bez jego współudziału, bez jego pracy i trudów? Nie przeczymy, jakoby po patronażach nie było szacunku, zaufania i przywiązania do dzieła, lecz jest to zwykle uczucie do osób, dlatego, że mu dobrze z tem, a rzadko jest ono z przekonania, z poczucia świadomości, a jeszcze rzadziej trwałe, ugruntowane, niepodejrzliwe, krytyczne. Znakomicie potwierdza ten sąd ustawiczne doświadczenie. Warto przytoczyć klasyczny w tym względzie przykład znany światu przemysłowemu.

»Pan Chagot z Montceau-les-Mines we Francyi poświęcił był kilka milionów na wszelkiego rodzaju zakłady filantropijne dla swych robotników, lecz w nagrodę za to doczekał się najstraszniejszego strajku XIX stulecia i zabójstwa jednego ze swych inżynierów. Ale p. Chagot był niepospolitego rozumu i pojmował swój obowiązek. Jako więc świadomy swego obowiązku rozumiał, że to niepowodzenie nie zwalnia go od wypełnienia powinności pracodawcy. Jako człowiek rozumny powiedział sobie, że skoro dotychczasowy sposób postępowania nie przyniósł oczekiwanych owoców, to dowód, że należy go zmienić. Więc na nowo zabrał się do pracy i na nowo stworzył owe filantropijne zakłady. Tylko zamiast traktować swych robotników jako dzieci i trzymać ich pod kuratelą, zamiast kierować wszystkiem samemu, zaprowadził w swych instytucyach *self government* i kierunek ich oddał interesowanym. Rezultatem tej nowej taktyki była zupełna zmiana w usposobieniu i zachowaniu się robotników. Od tego czasu

w Montceau-les-Mines strajki się więcej nie powtórzyły, a nawet w czasie ogólnej zmowy górników, kopalnie p. Chagot do niej się nie przyłączyły«.

To samo spostrzegłem i w pierwszym w naszym kraju Związku katolickich terminatorów w Krakowie. Przypatrywałem się osobiście pracy nad terminatorami w dawniejszej opiece św. Stanisława, a w obecnym Związku i przyszedłem do tego, co p. Chagot przekonania. W Związku jacy członkowie najwięcej się wyrobili? Ci, którzy samoistnie byli odpowiedzialnymi za powierzoną sobie pracę. A przedewszystkiem wyrabiają się w Wydziale Związku. Nieraz z chłopców zupełnie zaniedbanych, o charakterze niejasnym, niewyrobionym, a nawet wadliwym, Wydział Związku po roku lub po dwóch latach, potrafił wytworzyć młodych o wybitnie samodzielnym, przedsiębiorczym, pięknym charakterze. A dodać tu jeszcze trzeba i to, że im więcej który z nich brał czynny udział w pracach Wydziału i całego Związku, tem te zalety charakteru stawały się wydatniejsze.

Z kilkoletniego doświadczenia dziś kategorycznie mogę stwierdzić, że praca w rozmaitych sekcyach związku, jak i w kółku amatorskiem, kółku abstynentów, klubie sportowym, herbaciarni i t. p. tem doskonalej, dokładniej, pożyteczniej dla ogółu wykonane zostały, im więcej sami uczniowie rękodzielnicy samodzielnie pracowali, im więcej odpowiedzialnymi byli za powierzone sobie instytucye. A przeciwnie ilekroć sam jakąś pracę brałem na swe barki w związku, tylekroć przychodziłem do przekonania i naocznie widziałem w rezultatach, że najpierw sama sprawa gorzej poszła, gdyż byłem pozbawiony pomocy drugich, a przedewszystkiem sama młodzież tej sprawy lub tego dzieła nie doceniała i dość obojętnie, a były wypadki, że wrogo się do niego odnosiła. Tu sprawdzają się słowa Foerstera, jednego z największych psychologów naszego wieku: że »poczucie odpowiedzialności ma wpływ dziwnie odradzający nawet na charaktery, w których pomieszane jest dobro ze złem«. To samo mówi mr. Wilson Gill: »Nie abstrakcyjne przemówienia, lecz ćwiczenie się w odpowiedzialności jest najsilniejszym czynnikiem wychowawczym«.

Stąd w Związku krakowskim nie tylko w Wydziale Gło-

wnym, ale w poszczególnych sekcyach i instytucyach i w odosobnionych dziełach związkowych sami członkowie pracują i biorą czynny udział, nie tylko jako pomocniczy w pracy, ale jako sami pracujący i tworzący to dzieło z wszelką zań odpowiedzialnością.

Jasna rzecz, że cała ta samodzielna praca wszędzie, a tem bardziej wśród uczniów rękodzielniczych i młodocianych robotników, którzy przecież są niedoświadczeni i niewyrobieni i którym brak niezbędnego doświadczenia i znajomości życia, musi być umiejętnie kierowana, bacznie doglądana i starannie pielęgnowana już to przez samego prezesa, już przez innych ludzi starszych i doświadczonych. Mylnieby sądził kto, gdyby bez żadnej opieki, kontroli, ustawicznych rad, wskazówek i poprawek zostawił działalność samym terminatorom. Byłaby to przesada w drugą stronę, kto wie czy nie gorsze skutki wydająca, jak pierwsza oparta li tylko na samowładztwie. Pewno, że nie jest to rzeczą łatwą w terminatorach to współdziałanie wyrobić, powiem więcej, z początku nawet jest bardzo trudno, a to z powodu wielu przyczyn, ale przedewszystkiem z powodu zaniedbania umysłowego i moralnego, i lenistwa wszelkiego rodzaju tak bardzo zakorzenionego w naszem społeczeństwie. Ale cóż robić, innej rady niema. W pracy społecznej nie o to chodzi co łatwiejsze, ale co gruntowniejsze. Tak samo zapatruje się »W sprawie ludowej« dr. Koneczny, który przed kilku laty wypowiedział te arcyprawdziwe słowa: »Ci, którzy chcą robić wszystko dla ludu bez ludu, mniemają szczerze, że tak będzie lepiej dla dobra ludu... A jednak złudzeniem jest, jakoby tak miało być dla ludu lepiej; złudzeniem bowiem jest wogóle, jakoby na cokolwiek i komukolwiek pomoc li tylko z zewnątrz dostarczona, mogła być pomocą i skuteczną... do tego niezbędnem jest współdziałanie interesowanego... Nie tak to łatwo wydobyć takie współdziałanie — ale innego środka absolutnie niema i być nie może. Pomoc dostarczana z zewnątrz jest zawsze łataniną. Ideałem naszym być musi, żeby każdy umiał sobie radzić sam; i póki ktoś tego nie umie, losy jego zawsze niepewne«.

Dziś są czasy demokratyczne. Czasy absolutyzmu minęły chyba bezpowrotnie. Otóż w każdej pracy nad młodzieżą, a więc i rękodzielniczą, trzeba pamiętać o przyszłości i jej stanowisku w organizmie społecznym. Stąd młodzież rękodzielniczą i fabryczną trzeba przysposobić do życia w duchu demokratycznym, a nie absolutyzmu. Inaczej wychowywać się ją będzie nie dla społeczeństwa, ale na osobniki niedostosowane do warunków swego czasu. Do tego ustroju demokratycznego o niebo lepiej i odpowiedniej nadają się związki ze swym ustrojem konstytucyjnym, niż patronaże, towarzystwa opieki i t. p. z ustrojem absolutyzmu. Stąd słusznie mówi Foerster: »Samorząd w takiem znaczeniu moralnem jest istotnym warunkiem prawdziwego politycznego samorządu«. Ma on tu na myśli ów samorząd, który od zarania powinien się kształtować we wnętrzu każdej jednostki ludzkiej przez trzymanie na wodzy swych namiętności, ale i ten samorząd społeczny, do którego od młodości wśród atmosfery wychowawczej powinien każdy powoli się wdrażać. Tego samego uczy pewien amerykański dyrektor szkolny: »Każda szkoła powinna wychować nie tylko pod względem nauki form rządzenia, ale także pod względem prawdziwej praktyki, co do praw i obowiązków obywatela, a przedewszystkiem w tym wieku plastycznym, w którym ideały życia zaczynają dopiero się kształtować« [1]. Związki mogą być dla terminatorów taką praktyczną szkołą, bo przecież niejeden z nich będzie musiał w przyszłości przewodzić zebraniom, zasiadać w radzie, pisać protokóły, prowadzić kasę, przemawiać na zebraniach i t. p. Jakże do tego związki się nadają!

Terminator dzisiejszy z powodu zaniedbania i upośledzenia społecznego w naszym kraju sam w sobie zatracił poczucie godności osobistej. Większość nie tylko nie odczuwa poszanowania swej własnej godności, ale wprost ją naraża na pogardę u reszty społeczeństwa, tak że tylko najgorszego z rodziny zwykło się oddawać do rzemiosła.

Otóż samorząd stosowany a roztropny od młodości dziwnie

[1] Foerster: »Szkoła i charakter«.

roznieca przygasłą iskierkę swej wielkiej godności ludzkiej. A to dlaczego? Ot po prostu, bo w związkach zorganizowanych terminator jest traktowany po ludzku i z pełnem szacunku obejściem się, bo w związku wszystko powinno polegać na tem, by jednostka nie ulegała biernie i ślepo, lecz sama zainteresowana była w celach, dla jakich się od niej wymaga samozaparcia się, współdziałania, odpowiedzialności. Terminator wtedy poczyna rozumieć, że i on też może coś znaczyć w społeczeństwie, że od jego cegiełki zależna wspaniała budowa społeczna, że i on jest pożytecznem kółkiem w machinie świata i społeczeństwa. A to wszystko przyczynia się wysoce nie tylko do odnalezienia w sobie godności, ale wprost do spotęgowania w sobie podkładów duchowych swej ludzkiej godności, które im bardziej będą głębsze i zdrowsze, tem więcej będą życiodajne tak dla jednostki jak i dla ogółu. Foerster dzisiejszym kierownikom młodzieży słusznie zarzuca: »Że nie chcą zrozumieć, jak nadzwyczaj wrażliwą jest młodzież na każde odwołanie się do jej duchowej, ludzkiej godności i jak nadzwyczajnie cała dyscyplina byłaby ułatwioną, gdyby raz nareszcie spróbowano rządzić uczniem wspólnie z nim samym zamiast pomimo niego«. Sądzimy, że i pogląd pisarza rosyjskiego Dostojewskiego jest wielce prawdziwy, który pewnego razu wypowiedział w sprawie postępowania z istotami zwyrodniałemi: »Obejście szanujące w nich ludzką godność potrafi uczynić człowiekiem nawet istotę, w której wygasł zupełnie Boski obraz«.

Jednem z wielkich niedomagań stanu rękodzielniczego jest brak w nim łączności. Rękodzielnicy nasi są rozbici na strzępy. Zazdrośni, płytcy, nawet we własnych sprawach zawodowych, niekrytyczni w kwestyach dobra publicznego, gdyż przeciętny rękodzielnik sądzi, że dla jego dobra wystarczy, jeśli interesować się będzie swym warsztatem, swym interesem, tem, na czem zarobić może, reszta go niewiele obchodzi, a nawet uważa za rzecz szkodliwą, choćby wspólną pogadankę, bo tak myśli sobie — niechże się z czem wygadam, a niechże mój kolega skorzysta, toć będę miał szkodę. Stąd sprawa rękodzielnicza i praca nad podniesie-

niem rękodzieła ugrzęzła w samolubstwie i braku zrozumienia rzeczy u samychże rękodzielników, którzy nie rozumieją i nie odczuwają konieczności łączenia się i wzajemnego wspierania się w naszych czasach. Jakie stąd szkody dla naszych rękodzielników rozbitych na strzępy nie potrzeba wiele o tem mówić. Wystarcza przypomnieć niewolę u Żydów i coraz większe zagarnięcie rzemiosł przez żydostwo.

Otóż związki dobrze prowadzone mogą się przyczynić w młodem pokoleniu rękodzielniczem do wyrobienia tego ducha jedności i zrozumienia tej złotej prawdy: »że przed dziesiątkiem ludzi zespolonych zadrży sto tysięcy idących luzem«.

Inny jeszcze czynnik przemawiający za związkiem dla dobra rękodzielników naszych. Pewna część rękodzielników tak zwana po naszych miastach »polityków«, nieufna w swe siły i przyzwyczajona do oglądania się na drugich i od młodości nieporadna uwiesiła się rozmaitych stronnictw, które ich na lep narodowości i innych rozmaitych obiecanek wielkości i wpływów pochwytały. Objaw ten chorobliwy lepszych myślicieli i działaczy stanu rękodzielniczego ma swe źródło w nieufności w swe siły zawodowe i stanowisko społeczne. Ale nie dziw, skąd tej ufności było nabrać, kiedy nigdy i nigdzie nie było sposobności do wyrobienia się.

Otóż związki mogą wiele wlać otuchy już od młodości w umysły i serca rękodzielników, bo w nich przekonają się sami na sobie, że jeśli przy swych młodych, niewyrobionych i niedoświadczonych siłach, mogą stosunkowo przy niewielkiej pomocy ze strony ludzi dobrej woli tyle zrobić, to cóż dopiero kiedy staną już na stanowiskach i zespoleni ze sobą tą samą ideą, temi samemi potrzebami, będą mogli wiele zdziałać dla podniesienia swego stanu, byle tylko ufni we własne siły, wsparci na słusznych swych prawach, umiejętnie, wspólnie, powoli szli naprzód.

To samo dziś o patronażach i związkach myślą w Niemczech, gdzie w ostatnich czasach przeważnie tylko zakładają związki terminatorów i młodocianych robotników. Zarząd Polskiego związku katolickich uczniów rękodzielniczych krakowskich zapytał

znanego znawcę tej kwestyi d-ra Aug. Piepera[1] na wiecu katolickim we Wrocławiu 1909 r., co sądzi o patronażach i związkach terminatorskich — taką otrzymał od niego odpowiedź: »Nowopowstałe prace w sprawie uczniów rękodzielniczych i młodocianych robotników opierają się na ścisłej organizacyi, bo związki w zasadzie są lepsze od patronaży. Ale gdzie są patronaże sprężysto prowadzone, to tam jeszcze nie przemieniają, a gdzie zachodzi potrzeba, tam zamieniają na związki. Wogóle słowo *Schutz* staramy się wykreślić w pracy społecznej«.

Jednem słowem związki w zasadzie więcej zbliżają i prowadzą do rozwiązania kwestyi społecznej młodzieży pracującej niż patronaże z tej prostej przyczyny, że nie rzucają potrzebującym łachmana miłosierdzia i nie roztaczają skrzydeł opiekuńczych nad malutkimi, ale pomagają tam, gdzie jest prawdziwa potrzeba, gdzie jednostka pomimo swych wysiłków nie może sobie dać rady w dojściu do celu; bo związki nie z dala i połowicznie lub z ubocza, ale wprost schodzą na łono samej pracy i tam zakasawszy rękawy, wszechstronniej, gruntowniej, na dalszą metę pracują wspólnie z młodymi nad dobrem, pożytkiem, rozwojem i podniesieniem tejże młodzieży pracującej.

* * *

Jeszcze kilka słów w sprawie zarzutów stawianych w naszym kraju w sprawie związków. Najczęściej powtarzany zarzut to ten. W związku kapłan stojący na czele lub inna podobna mu osobistość jest zależna od chłopców młodych, niedoświadczonych, podatnych ubocznym namowom, a więc jeśli głosami przechodzą uchwały na posiedzeniach wydziału, to w takim razie mogą przejść sprawy, które mogą być niepożyteczne, uwłaczające karności ogółu lub godności prezesa i t. p.

Odpowiedź na to taka. Prezes pełen taktu i umiejętności, a zwłaszcza kapłan swym wpływem, światłą radą, miłością przy równoczesnem zachowaniu wolności i swobody głosów nigdy do tego nie dopuści. A powtóre statut związku przewidział i unie-

[1] Autor dzieła: *Jugendfürsorge und Jugendvereine.* M. Gladbach. 1908.

możliwił wszelkie wybryki i niespodzianki w tym kierunku. W naszym kraju pierwszy tego rodzaju statut Polskiego związku katolickich uczniów rękodzielniczych w Krakowie wyraźnie i całkowicie zabezpiecza przed tem niebezpieczeństwem całość związku i osobę prezesa.

Statutu § 10[1] mówi, iż nie terminatorzy obierają prezesa, ale konsystorz biskupi miejscowy lub inna władza duchowna lub świecka. Według § 11 nr. 2, prezes: »ma prawo wykluczyć tych, którzy lekceważą sobie przepisy statutu, ma prawo zawieszenia w urzędzie każdego członka Wydziału i zastąpienia go innym, ma prawo rozwiązać wydział, walne zgromadzenie w razie jakiejkolwiek uchwały sprzeciwiającej się celowi, ustawom, karności związku«. Na wydziale prezesa nie mogą zaskoczyć jakieś niespodziane i nieprzygotowane wnioski, któreby musiał idąc za większością głosów wbrew pożytkowi związku uchwalić, bo jest znowu to przewidzianem w statucie w § 13 nr. 4: »Wnioski nie objęte porządkiem dziennym (a ułożenie porządku spraw na zebranie należy li tylko do prezesa) nie mogą być uchwalone na tem samem posiedzeniu«. A więc prezes ma zawsze czas tak wszystkiem pokierować przy równoczesnem zagwarantowaniu wolności, by wszystkie uchwały wydziału skierowane były li tylko dla prawdziwego pożytku związku. A zresztą, jakkolwiek w ciągu roku bez racyi sam prezes nie może wykluczyć radnego lub go przyjąć do zarządu, tylko na mocy kooptacyi, to nawet i w tym wypadku, gdyby prezes widział, że większość członków wydziału nie odpowiada celowi, a z drugiej strony niema ważnej racyi wykluczenia radnego z wydziału, to wtedy czeka do końca roku, a po skończeniu roku przysługuje mu prawo samodzielnie dokonać zupełnej zmiany całego wydziału według § 12 nr. 2 statutu: »Urzędowanie członków wydziału trwa rok, po upływie którego ks. prezes może sobie przybrać

[1] Stutut polskiego związku katolickich uczniów rękodz. w Krakowie. Nakładem Związku. 1900. Wyd. drugie poprawione.

nowy wydział«. Zwraca się uwagę na słowo »może« t. j. że nie jest koniecznem, by co rok prezes przybierał sobie nowy wydział, a nawet jest rzeczą wskazaną, by tego przysługującego mu prawa przez długie lata nie potrzebował używać, ale raczej opierał się na kooptacyi. Z przytoczonych paragrafów statutu widać jasno, że nie może być mowy w dobrze prowadzonym związku o jakiejś zależności prezesa od wybryków, nietaktu, samowoli chłopców, a tem mniej o jakiejś uchwale sprzeciwiającej się dobru ogólnemu, karności lub godności prezesa.

Inni znowu stawiają zarzut, że w związku mogą złe żywioły wziąć górę nad lepszymi i może się wkraść niekarność już nie ze względu na prezesa, ale ze względu na kolegów. Nie przeczę, iż to może nastąpić. Ale to samo może nastąpić i wiemy z doświadczenia, że tak bywa po patronażach, po dywizyach w konwiktach i t. p., że żywioły gorsze »trzęsą«, jak to mówią, wszystkiem, a nawet dyrektorem, patronem opieki, prefektem i t. p.

Otóż w dobrze prowadzonym związku, choćby się to pokazało, może być w każdym wypadku stłumionym już to taktem i energią prezesa, już to na mocy paragrafów statutu. Ale przedewszystkiem, że właśnie związki a nie patronaże mogą się wysoce przyczynić, by żywioły lepsze, a nie nadpsute pierwszeństwo, powagę i wpływy trzymały wśród swych kolegów. Mówi w jednem miejscu wyżej przytoczony Foerster: »W nieorganizowanych (mówi tu o samorządzie wśród młodzieży) szkołach zwykle najgorsze żywioły tyranizują lepsze i zmuszają je do milczenia, gdy w organizacyach znajdują się środki do tego, aby rządy oddać w ręce jasnych, czystych, uczciwych żywiołów, a nawet w żywiołach niepewnych obudzić lepsze poglądy«. Święte to są słowa. Widać to w związku terminatorów krakowskich, ile wpływu dodatniego mają wyrobieni i uczciwi członkowie wydziału na swych młodszych i starszych kolegów.

Zarzut, że terminatorzy w naszym kraju nie są zdatni jeszcze do tej formy organizacyi, jest pod pewnym względem błędnem kołem i ktoby chciał na seryo to wyrobienie brać w rachubę, to chybaby musiał jeszcze ze 100 lat czekać na nie

i możeby się nie doczekał. Toć właśnie o to chodzi, żeby praca nad młodzieżą rękodzielniczą i robotniczą oparła się na tych podstawach, któreby się jak najgruntowniej przyczyniły do wyrobienia charakteru i do krytycznego uświadomienia. Pewno, że i patronaże także mogą się przyczyniać do wyrobienia i uświadomienia, ale zwykle ograniczają się tylko do jednostek, które bliżej żyją dyrektora lub patrona, a i te jednostki nieraz bardzo zawodzą.

Mówią, że najpierw trzeba założyć patronaże, a potem jak się uświadomią, to dopiero będzie można przekształcić na ścisłą organizacyę związkową. Zrozumiałemby to było zapatrywanie, gdyby za granicą i u nas nie było wzoru pod tym względem, ale dziś, po co ta podwójna robota, która tylko łata, marudzi i przewleka sprawę. Nie lepiej to od razu stawiać dom na gruncie silnym, aniżeli najpierw na kruchych podstawach, by je po pewnym czasie zburzyć i zastąpić fundamentem silniejszym?

Poważna jest racya, którą też często się słyszy w tej sprawie to ta, że do prowadzenia związku niema wyrobionych ludzi w naszym kraju. Przyznać trzeba, że ich u nas mało. Ależ i do patronaży potrzeba ludzi, a nieraz więcej może niż do związków, bo w związkach sami członkowie pracują a w patronażach wszystko niemal na barkach intelligencyi i duchowieństwa, zwłaszcza jeśli patronaż prowadzi się na wielką skalę. Prawda, że w ścisłych organizacyach nie wystarczą ludzie dobrej woli i poświęcenia, jak to zwykle bywa u nas po patronażach, ale potrzeba ludzi także ze znajomością sprawy, celowo wykształconych lub mających zdolność w blizkiej przyszłości do fachowego się wykształcenia. Bez znajomości tej kwestyi teoretycznej i praktycznej po omacku będą prowadzić, sprawę opóźniać, a nawet wprost według swego krótkowidztwa sprawę prowadzić. Ale z drugiej strony nie jest tak trudno o ludzi, byle sam prezes lub inne osobistości znały się na sprawie, to przy dobrej woli inni nie tylko się dadzą przekonać, ale nawet urobić według potrzeb i wymagań związku. U nas ludzi jest dużo chętnych, nawet zdolnych, tylko nie ma ich kto zaprzęgnąć do pracy, wskazać drogi, urobić ich pojęcia i po prostu dać do rąk pracę i pokazać im, jak tę pracę wykonać. Otóż właściwie nie tyle u nas brak ludzi do pracy organizacyjnej, jak

raczej brak człowieka w danej miejscowości, któryby potrafił ideę związku teoretycznie i praktycznie wlać w otoczenie. Stąd zawsze ważną jest rzeczą, by przy rozpoczęciu pracy nad młodzieżą pracującą przyszły kierownik całej akcyi uświadomił się przez odpowiednie dzieła i zwiedzenie za granicą i u nas podobnych stowarzyszeń.

Rzucając tych kilka myśli w sprawie patronaży i związków nie mamy pretensyi, jakoby w tej sprawie ostatnie słowo było wypowiedziane lub jakbyśmy na patronaże bezwzględnie rzucili kamień potępienia. Nie. Gdyż praca nad jakąkolwiek młodzieżą nie tyle zawisła od formy lub statutu, ale od ducha, kierunku i ludzi, którzy tą pracą kierują. Stąd zaznaczamy, że umiejętnie i sprężyście prowadzony patronaż może lepsze wydać nieraz owoce i rezultaty od źle i błędnie prowadzonych związków, gdyż zbyt dobitnie doświadczenie tego uczy, jak to widać na socyalistycznych związkach młodocianych robotników, lecz chodzi w całej tej rozprawie o zasadę, jaką mają się kierować ludzie dobrej woli pracujący na niwie społecznej nad młodzieżą rękodzielniczą i robotniczą i by opierając się na tej zasadzie od początku stawiali silny fundament pracy gruntownej i wszechstronnej, pracy, któraby przetrwała trudności zewnętrzne i wewnętrzne, któraby przyszłym pokoleniom dawała rezultaty bogate w owoce, stanowi rękodzielniczemu i robotniczemu podniesienie duchowe i materyalne, a społeczeństwu naszemu coraz większą świetność.

Ks. Mieczysław Kuznowicz.

OSTATNIE DZIESIĘCIOLECIE ARCHEOLOGII CHRZEŚCIJAŃSKIEJ.

Archeologia chrześcijańska jest obecnie w całej pełni swego rozwoju. Żyjący jeszcze dziś liczni uczniowie niezgasłej pamięci Rossi'ego przechowują wiernie wielkie tradycye swego mistrza, oddają tej nauce cały zapał swej duszy, rozbudzony i podtrzymywany w nich przez długie lata przez nieśmiertelnego odkrywcę starochrześcijańskiego świata zabytków i wspomnień. Miło stwierdzić, że, dzięki tej niestrudzonej pracy, lepiej dziś znamy pierwszego chrześcijanina, jak go znano przed laty kilkudziesięciu. Zwłaszcza ostatnie dziesięciolecie było niezwykle pracowite na polu archeologii chrześcijańskiej. Niemal rok rocznie odsłaniała się przed nami to jakaś świeżo odgrzebana katakumba z grobami i freskami — to znów jakaś bazylika z pierwszych wieków naszej ery, że pominiemy już tysiączne fragmenty rzeźb, napisów i t. d. Przedsięwzięte wykopaliska objęły swą siecią prawie wszystkie zakątki dawnych mniejszych lub większych ognisk życia chrześcijańskiego od Renu i Dunaju aż po Eufrat i Nil, owszem skopano po raz wtóry niektóre miejscowości, które mniej sumiennie i dokładnie badano przed laty. Prócz pracy kopalnianej podjęło ostatnie dziesięciolecie, pilniej niż kiedyindziej, pracę wydawniczą. Pojawiły się liczne monografie, próby syntezy w młodej jeszcze nauce, podejmowano rozwikłanie licznych i ciekawych problemów, których tak wiele w archeologii chrześcijańskiej.

Chcemy na tem miejscu zdać sprawę z tak płodnego ubie-

głego dziesięciolecia — oczywiście tylko pobieżnie i ze szczegółów, mogących zaciekawić szersze koła.

* * *

Roma sacra zwracała na siebie uwagę niemal bez przerwy przez całe 10 lat ostatnich.

Pierwsze lata wykopalisk rzymskich, prowadzonych systematycznie przez papieską komisyę archeologiczną, zetknęły nas bezpośrednio z zawiązkami chrześcijaństwa w Rzymie, bo z działalnością św. Piotra. Dawna, stwierdzana coraz więcej przez nowe badania, tradycya mówiła o jakimś rzymskim cmentarzu, gdzie św. Piotr udzielał wiernym sakramentu chrztu św. Zródła pisane nazywały ów cmentarz *coemeterium ad Nymphas, ubi Petrus baptizaverat — coemeterium fontis s. Petri,* lub krótko *ad Nymphas s. Petri.* Gdzie było to miejsce? Rossi utrzymywał, że należy go szukać na Via Nomentana. Wykopaliska r. 1900 i następnych zmusiły do zarzucenia tego zapatrywania, a odkryły to sławne miejsce na Via Salaria, w katakumbie Pryscylli, matki senatora Pudensa. Niedaleko bazyliki św. Sylwestra schodzi się po szerokich schodach o 25 stopniach do małej, obmurowanej przestrzeni, zakończonej absydą. Ściany jej poznaczone rozlicznymi grafitami i krzyżami. Szeroki otwór w absydzie łączy ową przestrzeń z wielkim czworobocznym zbiornikiem wody, u góry sklepionym a głębokim 1 m. 40 cm. Wyryte na łuku absydy słowa: QUI SITET VEN[iat ad me et bibat], spotykane na innych baptisteryach, nie pozwalają wątpić, że ma się przed sobą jakieś dawne chrześcijańskie baptisteryum. Marucchi wypowiadał kilkakrotnie w *Nuovo Bulletino di archeologia christiana* zdanie, że właśnie przy tem baptisteryum chrzcił św. Piotr. Za tem zdaniem opowiedzieli się wkrótce i inni archeolodzy, jak Gatti, Kanzler, Wilpert, Duchesne, De Waal. Jakoż istotnie twierdzenie Marucchi'ego wydaje się bardzo uzasadnione. Wszak cmentarz Pryscylli sięga swymi początkami czasów apostolskich, jak to wykazują różne szczegóły architektoniczne, napisy i malowidła. Prócz tego cmentarz ów znajdował się w posiadłościach senatora Pudensa, syna Pryscylli, ochrzczonego, według tradycyi, przez św.

Piotra; rodzinę Pudensa łączyły blizkie stosunki pokrewieństwa z sławnym rodem Acyliów Glabryonów, należącym do chrześcijaństwa już w I wieku naszej ery i posiadającym swe hypogeum w tymże samym cmentarzu. Naturalnie zatem nasuwa się przypuszczenie, że św. Piotr pod osłoną tych możnych rodów, w ich dobrach roztaczał swą apostolską działalność. Niemałą wagę przywiązuje słusznie Marucchi do innej okoliczności. Podczas gdy katakumby tworzyły się zwykle w terenie suchym i nieprzepuszczalnym, to krypty rozliczne, otaczające gęsto wspomniane baptisteryum, rozprzestrzeniają się na terenie niezwykle wilgotnym i wodnistym, tak iż jedynie ten cmentarz można nazwać *coemeterium ad Nymphas*. Widoczna zatem, że z miejscem tem wiązały się jakieś szczególnie drogie chrześcijanom wspomnienia, jeżeli je tak gęsto zapełnili zmarłymi, mimo nadzwyczajnej nieodpowiedniości gruntu do tych celów. Te wspomnienia określają nam bliżej przeliczne napisy imienia *Petrus* — jedyny przykład w tym cmentarzu — imiona zatem osób, które chciały spoczywać w miejscu, uświęconem wspomnieniami świętego ich imiennika. Znane to bowiem zjawisko z czasów pierwszych chrześcijan, że wierni najchętniej obierali sobie grobowce w cmentarzach, w których znajdowały się relikwie lub inne pamiątki męczennika o tem samem imieniu. Jaśniej jeszcze stwierdza to samo napis, znaleziony w cmentarzu Pryscylli, w którym ktoś błaga dla jakiejś zmarłej o wstawiennictwo św. Piotra: *bibet* (vivet) *in nomine Petri*. Podobne inwokacye spotyka się również tylko w miejscach, uświęconych pamiątkami wzywanych świętych. Słowem, wydaje się pewną rzeczą — że pominiemy inne trafne wywody Marucchi'ego, że dziś znamy już miejsce działalności św. Piotra. Bezsprzecznie dalsze prace i badania nad cmentarzem Pryscylli wyświetlą to zagadnienie jeszcze bardziej.

Jeszcze słowo o cmentarzu Pryscylli. W r. 1906 Marucchi skierował jeszcze raz prace kopalniane ku odgrzebanej już w głównych zarysach przez Rossi'ego w r. 1890 bazylice św. Sylwestra. Olbrzymie rezultaty uwieńczyły to przedsięwzięcie. Udało się wyśledzić dokładnie jej rozmiary i kształt, owszem stwierdzono, że na tem miejscu istniało już oratoryum w I wieku chrześcijaństwa,

utworzone w podmiejskiej willi Acyliów Glabrionów. Cenne to zdobycze. Roboty w cmentarzu Pryscylli wykazały nam naocznie, że cmentarz ów był jakby macierzystem miejscem pierwszych chrześcijan w Rzymie, że w nim skupiało się całe życie pierwszych wyznawców Chrystusa. Przez wzgląd na tak drogie chrześcijańskie pamiątki już w r. 1907 zrekonstruowano bazylikę św. Sylwestra a 31 grudnia, w dzień tego świętego, urządzono w niej uroczyste nabożeństwo dziękczynne. Potężne wrażenie budziła w licznych uczestnikach świadomość, że modlą się na miejscu, z którego zanosił do Boga swe modły prześladowany pierwszy chrześcijanin.

Również u progu XX wieku wyłoniła się, przywalona gruzami na Forum u stóp Palatynu, najstarsza w Rzymie świątynia Bożej Rodzicy, bazylika zwana *S. Maria Antiqua*, zniszczona w wieku IX wskutek zawalenia się sąsiednich budynków. Równocześnie odkryto na tem miejscu t. zw. *episcopium* czyli mieszkanie papieży, zbudowane przez Jana VII (705—707), w którem przebywali papieże przez półtora wieku, aż do czasu wspomnianej katastrofy. Wnętrze bazyliki zdobiły liczne freski, prawie jedyne zabytki malarstwa w Wiecznem Mieście z okresu VI—IX wieku. Łatwo stąd zrozumieć nadzwyczajną doniosłość odkrycia bazyliki dla historyi sztuki chrześcijańskiej, która dotychczas prawie nie znała malarstwa rzymskiego z tego czasu. Między innymi zasługują, przez oryginalność koncepcyi, na szczególniejszą uwagę dwa obrazy, mianowicie fresk z trójcą św. matek z dzieciątkami: Anny, Bogarodzicy i Elżbiety — jako też fresk, na którym jakiś święty przedstawia siedzącej na tronie N. Maryi Pannie papieża, którego atoli nazwiska już nie można odczytać.

Niemniej szczęśliwy jak Marucchi, badacz św. Pryscylli, był również inny sławny ostatnich czasów archeolog, Wilpert. W r. 1902 odkrył kryptę Marka i Marcelliana, dyakonów, umęczonych za Dyoklecyana i kryptę papieża Damazego († 384), wielkiego miłośnika katakumb. Odkrycie to zmieniło zatem dotychczasową topografię podziemnego Rzymu. Wiadomo bowiem, że Rossi umiejscowiał pomienione krypty po prawej stronie drogi ardeatyńskiej, w cmentarzu Domitylli. Dziś jest pewnem, że ulubione te w wiekach

średnich krypty zajmują okolicę po lewej stronie drogi ardeatyńskiej, stykającą się z cmentarzem Kaliksta a zwaną dawniej cmentarzem Balbiny. Z pośród fresków krypty św. Marka i Marcelliana wyszczególnić należy przedewszystkiem jeden, do którego nie posiadamy jeszcze żadnej analogii w sztuce, a który jest żywą illustracyą wizyi św. Perpetui, opisanej w jej aktach męczeńskich. Fresk przedstawia popiersie Chrystusa, ku któremu zbliżają się z obydwu stron po szczeblach drabiny postacie, miażdżące jedną stopą głowę węża, rozpostartego u podnóża drabiny. Myśl ciekawego tego fresku jasna: drabina tu symbolem męczeństwa, które łączy męczennika bezpośrednio z Chrystusem, a wąż — to szatan, kusiciel do wzgardzenia chwałą męczeńską.

Tem, co dało rękojmię Wilpertowi, że odkrył niewątpliwie kryptę Damazego, był zachowany jeszcze w całości na wapiennej warstwie odciśnięty negatyw napisu, położonego przez Damazego na grobie swej matki, z pierwszemi słowami: *Hic Damasi mater posuit Laurentia membra.* Wiadomo bowiem, że papież ów spoczął w przygotowanej przez siebie krypcie, w której poprzednio pogrzebał był swą matkę i siostrę Irenę.

Rok 1904 odsłonił nam znów tajemnicę leżącej od dawna w gruzach krypty św. Feliksa i Adaukta na grożącym zawaleniem cmentarzu Commodilli. Znaleziony w niej napis powiadamia nas, że bazylika ta podziemna powstała za czasów Syrycyusza (386—398), następcy Damazego. Prawdziwie wielkim nabytkiem są znalezione w niej, wcale dobrze przechowane, malowidła z VI i VII w., a więc z czasu, w którym w katakumbach już nie malowano. Pierwszy obraz przedstawia siedzącego Chrystusa w tunice i pallium z kodeksem ewangelii w lewej ręce a z dwoma kluczami w prawej, podawanemi św. Piotrowi. Jest to zatem najstarszy obraz ze sceną oddania kluczów księciu apostołów. Po przeciwnej stronie stoi św. Paweł ze zwojami swych pism, bardzo piękny przykład stałego typu, jaki mu nadawała ikonografia chrześcijańska. Po bokach tej grupy środkowej stoją z lewej strony św. Adauktus i Merita a z prawej św. Feliks i Szczepan. Zwłaszcza św. Szczepan przechował się do dziś dnia w całej swej świeżości rysunku i barw. Bardzo charakterystyczny

jest drugi obraz. Bogarodzica siedzi z Dzieciątkiem na bogatym tronie, po prawej stronie św. Feliks a po lewej św. Adauktus ze wspartemi rękoma na ramionach niewiasty Turtury. Jest to zatem ulubione w starej chrześcijańskiej sztuce przedstawienie sceny sądu Chrystusa nad zmarłą, polecaną miłosierdziu Bożego Sędziego przez Świętych. Nowością w obrazie jest to, że podczas gdy na innych obrazach i rzeźbach ze sceną sądu występuje sam Chrystus Pan, w wieku późniejszym, tu występuje w postaci Dzieciątka na łonie swej Matki. Zatem rolę wstawiennictwa za zmarłą rozciąga tu artysta także na Matkę Sędziego. Pod obrazem dłuższy napis metryczny, w którym pozostały syn sławi Turturę za to, iż po śmierci jego ojca była mu i matką i ojcem. Wreszcie trzeci obraz św. Łukasza ze zwojem pisanym ewangelii i torebką z narzędziami lekarskiemi jest najstarszym, dotąd znanym, przykładem osobnego przedstawienia tego ewangelisty.

Ciekawe również rezultaty przyniosły prace w bazylice św. Agnieszki na drodze nomentańskiej, przedsięwzięte w r. 1902. Pod dzisiejszą absydą odgrzebano galeryę katakumbową, zapełnioną grobami, jako też szczątki absydy bazyliki pierwotnej z końca pierwszej połowy IV wieku. Widać stąd, że dzisiejsza bazylika nie pochodzi z czasów Konstantyna, lecz najprawdopodobniej z wieku VII. Między napisami znalezionymi w katakumbie podkreślić należy napis z r. 514: † *Hic requiescit in pace Serena abbatissa*... Jest to najstarszy epigraficzny zabytek ze wzmianką opatki; z niego też dowiadujemy się, że przy bazylice św. Agnieszki istniał już pod koniec IV wieku jakiś żeński klasztor. Opatka bowiem Serena, jak mówi napis, umarła w 85 roku życia. Zdaje się zatem, że to był właśnie ów pierwszy żeński klasztor w Rzymie, o którego założeniu wspomina św. Hieronim.

Jeszcze nie ukończono prac przy św. Agnieszce, gdy Rudolf Kanzler począł odgrzebywać na drodze latyńskiej przypadkiem odkryty mały, ale bardzo osobliwy cmentarzyk, zupełnie nieznany, bo nie zanotowany przez żadne średniowieczne itineraryum. Posiada on wiele osobliwości, nie spotykanych w innych katakumbach, jak np. u wejścia schody, obiegające czworograniasty słup, groby, położone długością swą prostopadle do osi

galeryi, co jest częstem zjawiskiem w katakumbach żydowskich. Że to był cmentarz chrześcijański, dowodzą chrześcijańskie motywy, zachowanych jeszcze jego obrazów; nie jest jednak zupełnie nieprawdopobne przypuszczenie Marucchiego, że to był cmentarz jakiejś sekty heretyckiej z IV wieku.

Tak zatem — pomijając już liczne inne szczegóły — stwierdzić musimy, że ostatnie dziesięciolecie odsłoniło wiele prawdziwie wielkich tajemnic podziemnego Rzymu.

Odsłoniło się nam w tym czasie wiele tajemnic starochrześcijańskich i w innych częściach Włoch. Tak np. w r. 1901 odkryto w villa di Balzo, w pobliżu neapolitańskiej katakumby św. Januarego, chrześcijański cmentarz na miejscu dawnego pogańskiego columbarium; w r. 1904 odkryto w Albano Laziale nową część znanych już dawniej katakumb, które przeciwnie jak rzymskie katakumby, powstały z arenaryów i mają więcej podobieństwa do katakumb neapolitańskich i syrakuskich jak rzymskich. W tym samym czasie odgrzebano w Monte Vico koło Anagni stary podziemny cmentarz chrześcijański z galeryą o długości 20 metrowej i szczątki jakiejś świątyni. Niebawem zupełny brak napisów nie pozwala dotychczas na dokładniejszy opis. Odnaleziony w pobliżu Gualdo Tadino mały cmentarz chrześcijański budzi nadzieję, że może dalsze badania oświetlą nam więcej początki chrześcijaństwa w Umbryi, która również miała znaczniejsze cmentarze, jak się dowiadujemy z niektórych dokumentów pisanych. Dla historyi architektury kościelnej ma doniosłe znaczenie odkrycie w Casaranello obok Gallipoli kościoła z V wieku, o formie równoramiennego krzyża. Na sklepieniu widać jeszcze zachowaną w części mozaikę, przedstawiającą w swym środku wielki krzyż na tle gwiazdzistego nieba. Oto ważniejsze zapiski z Włoch. Obraz ich z czasów pierwszego chrześcijaństwa jest jeszcze słaby i blady, bo nie od dawna poczęło się je dopiero badać, ale wolno nam ufać, że w niedalekiej przyszłości będziemy mieli dużo wyrazistszy obraz starochrześcijańskiej Italii.

Wypadałoby nam z kolei wspomnieć o wykopaliskach w Sycylii, ale powiemy o nich obszerniej na innem miejscu.

Niewiele mamy do zapisania o starochrześcijańskich zabyt-

kach na ziemiach austryackich. Wprawdzie odkryto tu na wielu miejscach silne ślady życia chrześcijańskiego z pierwszych czasów, ale stało się to przed latami, z których obecnie zdajemy sprawę. Wystarczy np. wymienić cmentarze na powierzchni ziemi w pobliżu Spalato i w Marusinac, jako też w Mitrowicy, w dawnem Sirmium, w Poli i w Slano. W r. 1895 podał nam Truhelka zajmujący opis [1] starochrześcijańskich zabytków Bośni i Hercegowiny a dr. Jelić przygotowuje zbiór chrześcijańskich napisów Dalmacyi, Kroacyi i Slawonii. Jednak i usiłowania ostatniego dziesięcioleciа nie były bezpłodne.

Jeszcze nie ucichły echa o odkrytej w zeszłem dziesięcioleciu i odgrzebywanej jeszcze dziś bazylice w Akwilei, stołecznej siedzibie patryarchy, gdy w 1905 r. rozeszła się głośna wieść o wykopaliskach w rywalizującem z Akwileą o godność patryarchy Grado. Na Piazza della corte wyłoniła się z gruzów przypadkiem przy zakładaniu wodociągów bazylika patryarchy z Grado. Badania miejscowe wykazały, że mamy przed sobą szczątki budowy z trzech epok. Najniżej widoczne jeszcze ślady budynków rzymskich; na ich gruzach wznosiła się bazylika pierwotna z V wieku o jednej nawie z mozaikowaną podłogą. Kiedy i ta, wskutek jakiejś katastrofy runęła, wystawiono w wieku IX w poziomie o 1 m. wyższym od podłogi bazyliki pierwotnej bazylikę nową o trzech nawach. Dziś patrzą na siebie te sąsiednie bazyliki w Grado i Akwilei i odświeżają sobie niejako wspomnienia z przed wieków, kiedy je wiązały ze sobą tak żywe wzajemne stosunki. Pod podłogą pierwotnej bazyliki przechowały się do dziś dnia groby i sarkofagi z tej epoki. Na jednym z sarkofagów V wieku czytamy podniosły nader napis, w którym zmarły prosi przechodnia o pamięć w modlitwach i wzajemnie mu życzy, by w dniu ostatecznym, wolny od kary, widział Chrystusa tak pewnie, jak pewnie czyta ów napis:

Memento nostri Qui legis sic Christum
videas in die iudicii immunis a penis evadas.

[1] *Römische Quartalschrift,* str. 97 i nast.

Rok 1906 zdobył nową placówkę dla archeologii chrześcijańskiej w Istryi. W Valle Lunga odgrzebano bazylikę świętego Hermagorasa, w której wielkim ołtarzu przechowywała się do dni naszych wspaniała, z kości słoniowej, lipsanoteka czyli skrzynka na relikwie, zdobna w reliewy z życia Chrystusa Pana i codziennego życia chrześcijan. Zdaje się, że lipsanoteka ta była pierwotnie skrzynką ślubną, ofiarowaną potem przez właścicielkę na relikwie świętego. Pod względem artystycznym należy ona do pierwszorzędnych wyrobów z kości słoniowej starochrześcijańskiej sztuki.

Inną lipsanotekę z tego czasu, ale już ołowianą, znalazł zasłużony niezwykle około starochrześcijańskich dalmatyńskich zabytków, Bulić. Znajdowała się w konfesyi bazyliki cmentarnej w Salonie; z dawnego napisu pozostało tylko słowo: APOSTOLI. Kryła zatem w sobie jakieś apostolskie relikwie, może najprawdopodobniej kawałki sukna, pocierane o konfesye św. Piotra i Pawła w Rzymie, jak to było powszechnym wówczas zwyczajem. Tenże sam archeolog pracuje od lat nad wszechstronnem zbadaniem salońskiej bazyliki biskupiej. Prawdziwą wielką zdobyczą jego trudów dla historyi kościelnej są liczne grobowe napisy miejscowych biskupów, co się przyczyniło niezmiernie do stworzenia chronologicznej listy ówczesnych salońskich biskupów, skreślonej na podstawie tych odkryć przez Bollandystę O. Delehaye T. J. Obok tej samej bazyliki odgrzebano pilastry z dawnego oratoryum, poświęconego męczennikowi, dyakonowi Wincentemu z Saragosy; na jego przedniej stronie wyryte słowa: †SCS VINCENTIVS. Zatem i Salona posiadała już w V lub VI w. kapliczkę tego hiszpańskiego świętego, o którym już św. Augustyn w rocznicę jego śmierci mówił do wiernych: *Quae hodie regio, quaeve provincia ulla, quousque vel Imperium Romanum vel Christianum nomen extenditur, Natalem non gaudet celebrare Vincentii?* (Sermo 276).

W poblizkiem Spalato, w Bastione Cantarini miało w 1906 r. miejsce również bardzo doniosłe odkrycie. Przy samym pałacu Dyoklecyana odkryto dość obszerną grobową kryptę z VI w., w których grzebali swych zmarłych ówcześni chrześcijańscy mie-

szkańcy pałacu. Jest to pierwsze wykopalisko z chrześcijańskimi śladami w dawnym pałacu cezara prześladowcy. Podobną kryptę odsłoniono w r. 1900 w Clano koło Raguzy. Wreszcie odkryta w 1907 w Crikvinie koło Klissy bazylika z VI w. wraz z przepiękną piramidową kadzielnicą z tego czasu, zamknęła szereg poczynionych ważniejszych w Dalmacyi przez ostatnie dziesięciolecie starochrześcijańskich zdobyczy.

Mniej rzadko słyszy się w ostatnich czasach o odkryciach starochrześcijańskich zabytków w Niemczech, mimo, że na tych ziemiach chrześcijaństwo bardzo wcześnie się przyjęło. Żałować należy, że, podczas gdy tak wiele i z tak obfitym skutkiem pracuje się tam dla archeologii klasycznej, to chrześcijańska archeologia jeszcze nie może opanować tamtejszych swych skarbów. Ważniejszy nabytek dla archeologii chrześcijańskiej, który miał miejsce koło Moguncyi w 1907 roku dowodzi, że systematyczne prace przyniosłyby bardzo obfity plon. Na terenie, gdzie dawniej stał kościół św. Albana wraz z klasztorem, odnaleziono wiele zabytków rzeźb i napisów starochrześcijańskich. Między napisami znajduje się jeden grecki, silnie uszkodzony i dwa z imionami frankońskiemi: *Ratramnus aba, Menetrudis.* Napisy mogunckie są doniosłym przyczynkiem do epigrafiki chrześcijańskiej, wyodrębniają się od dotychczas znanych i wielkiem bogactwem treści i niezwykłością formułek. Po raz pierwszy np. czytamy na epitafium jakiejś Maury wzmiankę o jej małżeństwie w tej oryginalnej formie, że *decretum Genesis complevit.*

Podobnie odosobnione jak odkrycie w Moguncyi są wykopaliska w Chersonezie i Konstantynopolu. W Chersonezie odgrzebano chrześcijańską bazylikę z piękną mozajkowaną podłogą o ornamentacyi geometrycznej, a w Konstantynopolu w pobliżu rosyjskiego konsulatu starochrześcijański cmentarz z licznymi grobowymi napisami. Najstarszy i zarazem najpiękniejszy z nich wylicza kilkoro dzieci jakiegoś małżeństwa Lukisa i Asklepiodoty, kończąc słowy wyznania wiary: Χριστιανοὶ δὲ πάντες ἔνεσμεν.

Jesteśmy zatem już na pograniczu chrześcijaństwa wschodniego. Krajem, który przedewszystkiem zwraca na siebie naszą uwagę, zwłaszcza od prac prof. Strzygowskiego, o których powiem

niżej, jest Azya Mniejsza, to najdawniejsze potężne ognisko życia chrześcijańskiego. Tai się bezwątpienia w jej gruzach i ciemniach podziemnych jeszcze wiele pomników starochrześcijańskich, ale gorączkowy ruch, rozbudzony w ostatnich latach, każe nam się spodziewać, że najbliższa przyszłość wniesie wiele światła w one ciemnie. Ostatnie dziesięciolecie przyniosło nam wiele, wprawdzie nie ze względu na liczbę, ale ze względu na jakość odkrytych zabytków. Misyonarz Wilhelm de Ierphanion wzbogacił potężnie nasze wiadomości z zakresu ikonografii chrześcijańskiej przez odnalezienie w Kappadocyi (r. 1907) licznych fresków, powstałych między w. IX—XI. Dla aktualnej dziś kwestyi bizantyjskiej mają bardzo doniosłe znaczenie odkryte w różnych miejscowościach Azyi Mniejszej bazyliki i kapliczki, np. kapliczka w Kizil-Euren koło Konii, poświęcona Bożej Rodzicy (1902), starochrześcijańska bazylika w Milecie, w Asklepieion (1908), a przedewszystkiem bazylika w Meledsch, w dawnem Platanistus (1906), która stylem swoim tak bardzo jest podobna do romańskich kościołów w południowej Francyi. Bardzo charakterystyczne architektoniczne szczegóły wykazała nam, odkryta już dawniej przez kopiącego na swym gruncie wieśniaka, ale zbadana dopiero w 1900 r. przez Webera bazylika w Gül-bagtsche koło Wurli (dawne Clazomenae). Wiele w niej podobieństwa do syryjskich i północno-afrykańskich bazylik. Koło bazyliki liczne budynki z piękną mozajką trójbarwną i również otoczone mozajką, kwadratowe, ale prawdopodobnie kopułą pokryte, baptisterium. Naokoło baptisterium, jak mówi grecki napis, »mozajkę sporządził pobożny dyakon Rufin dla swego i dzieci swych zbawienia«. Ze szczególniejszem zaciekawieniem wyczekujemy teraz końca austryackich wykopalisk w Efezie. Dr. Knoll odkrywa tam wielką bazylikę Bogarodzicy, zatem bazylikę, w której odbywał się w V wieku sławny sobór efezki. Miłoby nam było, gdyby dalsze badania umiały coś powiedzieć o pierwotnej formie i rozmiarach tej bazyliki, w której po raz pierwszy wystąpił Kościół w obronie Maryi. W świecie chrześcijańskich cmentarzysk Azyi Mniejszej niewiele odkryto w ostatnich latach. Wymienić tylko możemy odsłonienie w 1906 r. wcale obszernego kompleksu krypt w Mariamliku, niestety w wielkiej

części zburzonych. Wogóle cały świat cmentarny Azyi Mniejszej jeszcze dla nas wielką tajemnicą.

To samo prawie, choć w mniejszym stopniu, trzeba powiedzieć o Syryi, może dlatego, że wielcy badacze Syryi, de Vogüé i Waddington nie znaleźli jeszcze godnych siebie naśladowców. Jednak ostatnie dziesięciolecie wskrzesiło znów ich świetne tradycye. Prace archeologicznej komisyi niemieckiej i dwie wyprawy naukowe archeologicznej komisyi amerykańskiej dały dzielny i bogaty w owoce początek naukowemu podbojowi Syryi. Wprawdzie badania te nie odkryły nam wiele tajemnic w miejscowym świecie cmentarnym, ale zdobyły wprost olbrzymi nowy materyał do studyów nad architekturą tamtejszą. Odkryte liczne bazyliki i liczniejsze jeszcze domy prywatne chrześcijańskie — oto główna zdobycz lat ostatnich. Z bazylik na szczególniejszą wzmiankę zasługuje bazylika w Baalbek, wystawiona przez Teodozyusza, odkryta w 1900 r. Szczegółowe i dokładne badanie jej ruin wykazało, iż błędnie utrzymywano dotychczas, jakoby chrześcijanie wystawili ją byli na miejscu zburzonej przez siebie w czasie reakcyi po śmierci Juliana Odstępcy, tamtejszej świątyni pogańskiej; świątynia sama runęła wskutek jakiejś katastrofy, może trzęsienia ziemi. Niezwykła ilość odkrytych starochrześcijańskich prywatnych domów — to specyalność Syryi. Żaden inny kraj tem się nie może poszczycić. Syrya zawdzięcza to wielkiemu użytkowi twardego kamienia w swych budowach. Dom syryjski różni się bardzo od domu rzymskiego. Z pola wchodzi się wprost do pokoju głównego, zwykle dość obszernego, z którego prowadzi dwoje, troje lub więcej drzwi do izb sypialnych, rozmieszczonych zazwyczaj wzdłuż lewego boku izby głównej. Schody, prowadzące na piętro, znajdywały się zewnątrz budynku, zaś schody wewnętrzne prowadziły do piwniczki. Schematycznym tym kształtem nie różniły się wcale domy chrześcijańskie od pogańskich, ale jednak chrześcijanin rył na nich niezatarte do dziś dnia piętno swej wiary. Do dziś dnia przechowały się przeliczne napisy, ryte na ścianach, nad drzwiami, nad oknami domostw syryjskich. Największa ich część pochodzi z w. IV po odzyskaniu przez chrześcijan pokoju. Znać w tych napisach jakby echo tryumfalnych

głosów zwycięskiego chrześcijanina. Czytamy np. w jednym z napisów słowa pieśni anielskiej nad żłóbkiem Chrystusa: Δόξα ἐν ὑψίστοις Θεῷ, καὶ ἐπὶ γῆς εἰρήνη, ἐν ἀνθρώποις εὐδοκία. Inny napis wprost podkreśla zwycięstwo Chrystusa: Χριστὸς νικᾷ, lub krzyża: τὸ σημεῖον τοῦτο νικᾷ. Inny powiadamia, że w tym domu mieszka sam Chrystus pospołu: † Ὁ δεσπότης ἡμῶν Ἰ[ησοῦ]ς Χ[ριστό]ς, ὁ υἱὸς ὁ Λόγος τ[οῦ] Θ[εο]ῦ, ἐντάδε κατοικει. Czy może w tych słowach nie należy się dopatrywać śladu zwyczaju przechowywania Eucharystyi po domach prywatnych? Wiemy, że ten zwyczaj istniał jeszcze pod koniec wieku IV. Znów inne napisy mają formę krótkiej modlitwy do Chrystusa Pana, do Świętych, inne cytują jakiś tekst z Pisma św. Nowego lub Starego Testamentu. Jakiś podniosły nastrój powiewa od tych wiekowych gruzów i złomów.

Przejdźmy do Palestyny. I tu nasze dziesięciolecie rozwinęło wcale pilną działalność. Wprawdzie w Palestynie szuka się dziś przedewszystkiem śladów dawniejszej epoki, któreby mogły spożytkować studya nad biblią i historyą starozakonną, ale nie zamyka się oczu i na erę chrześcijańską. Wiadomo, że Jerozolima jest ze wszystkich miast palestyńskich najbogatszą w katakomby i cmentarze chrześcijańskie. Rok 1902 przyniósł nam nowy szczegół z tej dziedziny. Odkryto znów mały cmentarzyk, niewątpliwie chrześcijański, jak tego dowodzą liczne, znalezione w nim, lampki z krzyżem i innymi znakami chrześcijańskimi. O czasie powstania tego cmentarza możemy wnosić z monet cesarza Justyniana, jakie równocześnie w nim zebrano. Mniej więcej o metr wyżej nad grobami starochrześcijańskimi, odsłoniono również ślady jakiejś grobowej krypty, z monetami z czasów wojen krzyżowych. Najprawdopodobniej krzyżowcy grzebali tu również swych zmarłych. Inne odkrycie wykazało nam znów wielkie znaczenie miasta Madaba, jakiego ono zażywało w ubiegłych wiekach. Oto w tym samym roku odkryto w niem dwunastą z rzędu bazylikę, pochodzącą z VI wieku, którą osobny napis zwie świętem miejscem (świątynią) apostołów. Inną świątynię, pochodzącą z tego samego prawdopodobnie czasu, znaleziono w 1903 r. w Jadoudeh, między Madabą a Amman. Osobliwością jednak Palestyny, to sławne mozaiki. Palestyna była prawdziwie klasycznym krajem wyrobu

starochrześcijańskich mozaik. W kołach archeologicznych już od dawna żywi się pragnienie, by wcale pokaźny już zasób wydobytych dotychczas z gruzów tamtejszych mozaik wydać w jakiemś osobnem *Corpus* i oddać je na usługi nauki. W ostatnich latach poczyniono nowe nabytki, z których wymienimy dwa ważniejsze. W r. 1901 pokazała się oczom naszym, w Jerozolimie zupełnie przypadkowo, jedna z najpiękniejszych znanych dotąd mozaik palestyńskich. Wypełniają ją dwa pola. W górnem, większem, siedzi z lirą w ręku Orfeusz z czapeczką frygijską na głowie; pod jego stopami centaur i pogańskie bóstwo, Pan. Resztę pola zajmują różne zwierzęta, przysłuchujące się orfeuszowej muzyce. Naokoło tej sceny biegnie ornament liściasty, wijąc się w koła, w których artysta poumieszczał rozmaitego typu ludzkie twarze i zwierzęta. Dolne pole podzielone na foremne prostokąty i kwadraty, mieści w środkowym kwadracie dwie postacie niewieście, ubrane po bizantyńsku, z nimbem na głowach. Napisy: Θεοδόσια i Γεώργια wymieniają imiona niewiast. Cała mozaika odznacza się bogatą kompozycyą i wykwintnością kształtów. Mogła zaś powstać, jak utrzymują uczeni, między w. V—VI. Jest ona nowym dowodem, jak chrześcijaństwo lubowało się w mycie Orfeusza, symbolizującego swą poskramiającą dzikie zwierzęta muzyką, wpływ Chrystusa na ludzkość. Druga mozaika przechowała się w gruzach wspomnianej już świątyni apostołów w Madaba. Prawie w środku głównej jej nawy tworzyła wielki, okrągły medalion, który przedstawia morze, oznaczone także słowami ΘΑΛΑCCA, z przerzynającemi fale jego rybami. Na tle morza odbija udrapowane popiersie kobiety. Około medalionu biegnie napis: Κ[ύρι]ε Θ[εὸ]ς, ὁ ποιήσας τὸν οὐρανὸν καὶ τὴν γῆν, δὸς ζωὴν Ἀναστασίῳ, καὶ Θῶμα καὶ Θεοδώρᾳ.. Σαλαμανίου ψήφωσις. Panie Boże, który stworzyłeś niebo i ziemię, daj życie (wieczne) Anastazemu, Tomaszowi, Teodorze... Mozaika wykonana przez Salamaniosa«. Mamy tu zapewne imiona fundatorów mozaiki, a może i całej posadzki kościelnej, jak również nazwisko artysty mozaiki, przez co rośnie niepomiernie wartość zabytku.

Krajem, który w naszej dobie zasila najpotężniej wszystkie

muzea miejscowe i europejskie — to Afryka z Egiptem. Zapoznajmy się naprzód z odkryciami z świata cmentarnego. Do najpoważniejszych należy bezwątpienia zaliczyć odkrycie podziemnej katakumby w Hadrumetum, rozpoczęte w 1903 r. Jest to pierwsza podziemna katakumba na większą skalę w Afryce. Do r. 1907 odgrzebano 117 galeryi z 7300 grobami, na przestrzeni dwu kilometrów. Hadrumetańskie podziemia wykazują wiele podobieństwa do rzymskich. Są to kopane w tuffie korytarze, o szerokości 0·70—2 m., wysokości 2·50m. Ściany mają po trzy rzędy grobów; w odstępach małe nisze na lampki. Napisy zazwyczaj malowane czarną farbą na cegle, chociaż nie brak i grafitów; rzadko tylko spotkać epitafium marmurowe. Dobry Pasterz, gołąb z gałązką oliwną, palmy i kotwice — to jedyne, znalezione tu, symbole chrześcijańskie. Napróżno szukano między nimi t. zw. konstantyńskiego monogramu Chrystusa Pana. Zdaje się zatem, że katakumba ta pochodzi jeszcze z w. III. Inny rodzaj cmentarza pokazały nam przedsięwzięte w 1900 r. wykopaliska w Antinoë, gdzie również odkryto dość obszerną starochrześcijańską nekropolę, zapełnioną gęsto, podobnymi do dzisiejszych, grobami, kopanemi w ziemi. Przechowane w nich zwłoki, dają nam dokładne wyobrażenie o mumiowaniu ciał chrześcijan w tych stronach. Około kostek wiązała wstążka obiedwie nogi, druga zaś wiązała przeguby złożonych na brzuchu rąk. Następnie uwijano zwłoki w tkaninę, zdobną w medaliony, rozłożone symetrycznie na piersiach i plecach, szyję i końce nóg okręcano materyą jedwabną w tym celu, by w miejscach tych mumia nie była zbyt wązka. Tak sporządzoną mumię uwijano raz jeszcze w liczne płótna, a na ostatniem z nich malowano na miejscu twarzy portret zmarłego, lub zmarłej. Płótna, pokrywające inne części zwłok były zdobne w najrozmaitsze symbole chrześcijańskie.

W jednym z grobów ciekawej tej nekropoli znaleziono kilka papirusów, z których dowiadujemy się o nazwisku pogrzebanego w nim zmarłego. Był to grób jakiegoś Aureliusza Kolluthusa. Jeden z papirusów zawiera po grecku spisany jego testament. Przytaczamy tu z niego więcej charakterystyczne wyjątki przez wzgląd na szczególniejszą doniosłość tego zabytku... »Z obawy,

by mię śmierć nie zaskoczyła nagle i z nienacka, używając w całej pełni rozumu; ... czynię ten testament, w obecności siedmiu świadków, których, stosownie do prawa, zwołałem... Wszystko to ma należeć do mej małżonki, której tu dziękuję za miłość i życzliwe względy, jakimi mię darzyła. Proszę zarówno tąż samą Tizoję (małżonkę), by spłaciła wszystkie me długi... Życzę sobie, by ciało me było uwinięte w płótna i aby odprawiano święte ofiary (mszę św.) i pogrzebne agapy za spokój mej duszy przed Bogiem wszechwładnym...« Oto nowe światło na religijne i społeczne stosunki chrześcijan w w. V, z którego ów papirus pochodzi.

Ale Antinoë posiadała jeszcze innego typu nekropole. W r. 1901—1902 skierowano prace kopalniane ku okolicy, położonej u stocza góry i oto pojawiła się inna nekropola, wprawdzie mniejszych rozmiarów, ale bardzo ciekawej struktury. Każdy grób poprzedzała mała kapliczka, budowana z cegły, zdobiona stukiem i freskami. Z kapliczki wchodziło się przez mały westybul do głównej krypty grobowej, wykutej w skale. Ściany jej również zdobiły freski chrześcijańskie, jak np. orantki, Dobry Pasterz, gołąb, paw i t. d. Między przedmiotami, znalezionymi w tej nekropoli, zwraca przedewszystkiem na siebie uwagę, nieźle przechowany fragment terrakotowy, przedstawiający scenę chrześcijańskiej agapy w tryklinium. Jedyny to dotychczas tego rodzaju zabytek rzeźby starochrześcijańskiej.

Później już, bo w r. 1906, odkryto także cmentarz chrześcijański w Mcidfa, w Kartaginie. Zdobyto w nim przeszło 1000 fragmentów z chrześcijańskimi napisami i symbolami ryb, baranków, kotwicy, palm i t. p. Na jednym fragmencie odczytano pozostałe słowa: QV... ERIPVIT PESTIS... NSVPER TRIGINTA... Zasłużony dla archeologii w Afryce ks. Delattre przypuszcza, że można je odnieść do strasznej zarazy, jaka w 252 r. za biskupstwa św. Cypryana, dziesiątkowała Kartaginę, podczas której chrześcijanie dali tyle dowodów poświęcenia na posłudze zarażonym, tak wśród swoich współwyznawców, jak i wśród pogan. Jest to bardzo prawdopodobne, bo cmentarz ten istniał już w w. III.

Wspomnijmy tu jeszcze o bardzo oryginalnej mozaikowanej

nakrywie sarkofagu z Thabraki, w Tunisie, znalezionego w 1908 r. Mozaika przedstawia schematycznie wnętrze bazyliki z następującym, umieszczonym między filarami a początkiem dachu, napisem: *Ecclesia mater — Valeria in pace.* Jedyny to tego rodzaju zabytek, cenny nie tylko dla historyi architektury bazylik z IV i V wieku, ale także dla symboliki chrześcijańskiej. Jeżeli bowiem zważymy, że sztuka starochrześcijańska przedstawiała w reliewach i mozaikach sarkofagowych prawie wyłącznie takie momenty, któreby motywowały dobrą nadzieję w szczęśliwy los zmarłych za grobem, to mozaika nasza zdaje się nas upewniać, że Walerya szczęśliwą jest po śmierci dlatego, że umarła na macierzystem łonie Kościoła, jako wierna jego córka.

Mozaika powyższa prowadzi nas do nowoodkrytych bazylik na ziemi afrykańskiej. Szczęście niezwykłe sprzyjało tu pracom ostatniego dziesięciolecia. W pierwszym jego roku rozpoczęła się praca nad odgrzebaniem starej bazyliki w Matifou, w dawnych Rusguniae. Pierwotnie była to świątynia o trzech nawach, lecz po zniszczeniu jej przez Wandali odbudowano ją i powiększono o dwie nawy. I tu oś absydy odchyla się na prawo od osi całej bazyliki, by symbolizować skłonienie głowy umierającego na krzyżu Chrystusa. Pod gruzami bazyliki znaleziono kamienny, z III w. pochodzący stół, jakiego używali ówcześni chrześcijanie przy agapach.

Dwie inne bazyliki odgrzebano w tych samych latach w miejscowości Morsott, w Afryce Północnej. Również w 1902 r. odkryto dwie obok siebie zbudowane bazyliki z VI w. w Bawît w Egipcie, bazyliki, które zbogaciły olbrzymio zbiory starochrześcijańskich fresków. W jednej z nich nawet kolumny ozdobione freskami Chrystusa, Bogarodzicy z Dzieciątkiem, Dawida, św. Jerzego, archaniołów Michała i Gabryela i t. p. Jeszcze większą, wprost zdumiewającą ilość fresków z tego czasu, odsłoniły nam liczne miejscowe cmentarne kapliczki. Wprawdzie mówią nam one wiele o nieudolnej jeszcze technice ich artystów, ale jest w nich dużo realizmu, dużo obserwacyi artysty, czem stanowczo różnią się od tworów bizantyńskich. Znaczna ilość fresków Bogarodzicy, przedstawionej już to z Dzieciątkiem, już to w otoczeniu

świętych, zwłaszcza koptyjskich, stwierdza, jak wybitnym był tu kult Maryi już w w. VI. Równie liczne freski przedstawiają Chrystusa Pana między apostołami. Wśród nich jeden zwłaszcza uderza swą oryginalnością i głębokim symbolizmem. Jest to fresk z Chrystusem, obok którego stoi św. Piotr z hostyą i św. Paweł z kielichem. Słowem, niezwykłe bogactwo fresków z Bawît, jest niesłychanie doniosłą zdobyczą ostatnich lat dla historyi sztuki starochrześcijańskiej i odsłania nam zarazem szeroko świat myśli, wierzeń i pragnień ówczesnego chrześcijanina.

Nie mniejszej doniosłości odkrycie zrobił w 1906 r. Kaufmann w pustyni libijskiej, niegdyś głuchej i odludnej, ale w czasach chrześcijaństwa ożywionej licznymi zastępami chrześcijan, zsyłanych tam dekretami cezarów na wygnanie, jakoteż gęsto rozsianymi pierwszymi klasztorami pustelników i mnichów. W Karm Abum odkrył najsławniejsze na Wschodzie po Jerozolimie miejsce pielgrzymkowe w starożytności chrześcijańskiej — bazylikę św. Menasa, właściwie wielką kryptę grobową tego świętego i przylegającą do niej wielką bazylikę, zbudowaną przez Arkadyusza cesarza († 408). Co najciekawsze, że arkadyuszowa bazylika jest w całym swym planie jakby fotografią zniszczonej w 1823 r. rzymskiej bazyliki św. Pawła. Cały jej charakter wybitnie helleński. Między przedmiotami drobnej sztuki starochrześcijańskiej najpokaźniej liczbowo przedstawiają się t. zw. kubki św. Menasa, przeznaczone do przechowywania wody ze źródła obok grobu Świętego, które pielgrzymi zabierali ze sobą. Znajduje się też je dzisiaj prawie w całej Europie, co dowodzi nadzwyczajnej powszechności kultu tego Świętego. Prócz tego mnóstwo najrozmaitszych przedmiotów chrześcijańskich z glinki i terrakoty. Najwięcej znaleziono ich w odgrzebanym domu czy sklepie jakiegoś miejscowego fabrykanta z tych czasów, który wyrabiał różnego rodzaju eulogia i dewocyonalia dla przybywających tu tłumnie pątników.

Inną, zarówno popularną w starem chrześcijaństwie bazylikę, odkrył w r. 1907 wzmiankowany już powyżej ks. Delattre. Mamy tu na myśli olbrzymią, dziewięcionawową bazylikę w Mcidfa, w Kartaginie, z przepiękną konfessyą kształtu małej czworokątnej

kapliczki, zakończonej absydą. Wszystkie ówczesne dzienniki powitały z pełnym entuzyazmem odkrycie ks. Delattre'a. Niezwykła to bowiem bazylika. Jak znaleziony w niej napis stwierdzał, była to bazylika, w której złożone były szczątki tak popularnej w chrześcijaństwie grupy męczenników: św. Perpetuy, Felicyty i towarzyszy, poległych za wiarę w 203 r. w amfiteatrze kartagińskim. W źródłach pisanych zwie się ta świątynia Basilica Maiorum, może dlatego, że najstarsza w Kartaginie, lub, że kryła w sobie ciała najwięcej czczonych afrykańskich męczenników. W niej też wypowiedział św. Augustyn trzy kazania na cześć św. Perpetuy i Felicyty, w rocznicę ich bohaterskiej śmierci. Miło zatem powitać ową odkrytą świętość, z którą wiąże się tyle drogich chrześcijaństwu pamiątek i wspomnień. Dziś posiadamy znów tę bazylikę, która była ogniskiem życia chrześcijańskiego na całą sąsiednią, bogatą w dzieje pierwszych chrześcijan, okolicę.

Oto pobieżny rzut oka na żmudną ale i bogatą w owoce kopalnianą pracę ubiegłego dziesięciolecia. Zdobyto nią zabytki, które potężnie wzbogaciły naukę, zmieniły w niejednym punkcie jej dotychczasowe zapatrywania, a równocześnie połączyły nas żywymi węzłami wspomnień z tą świetlaną chrześcijańską przeszłością, okresem prześladowań, bohaterskich śmierci i zwycięstwa.

(Dok. nast.)

Ks. Karol Feliś.

ESPERANTO I ZNACZENIE JEGO DLA NAUKI.

Głośny współczesny pisarz niemiecki H. S. Chamberlain słusznie utrzymuje, że wiek XIX był wiekiem tryumfu metodyki. Dzięki rozwojowi metodyki mogą teraz tysiące wykształconych ludzi, nie posiadających nawet szczególnego uzdolnienia lub talentu, brać udział w pracy naukowej jako przyrodnicy, technicy, filolodzy, historycy, matematycy i t. d.[1]. Co więcej, w obecnych czasach można osiągnąć najwyższe stopnie w hierarchii naukowej: zostać profesorem wszechnicy lub członkiem akademii umiejętności, nie posiadając talentu, ani wybitnych zdolności, a tylko będąc pracowitym, wytrwałym i sumiennym badaczem, umiejącym należycie posługiwać się metodami badania naukowego. Geniusze i ludzie utalentowani będą zawsze wskazywać cel, jaki w nauce osiągnąć należy, i kierunek, w jakim do osiągnięcia celu postępować trzeba, pozostawiając zwykłym pracownikom naukowym żmudną pracę torowania dróg i ścieżek, do wytkniętego celu prowadzących. I jedni i drudzy niezbędnie potrzebni są do postępu nauki. Główny atoli trud spada na barki zwykłych pracowników naukowych. Aby praca ich była jak najbardziej wydajna, powinna istnieć należyta organizacya pracy naukowej. Niemcy mają wspaniałe wyniki pracy naukowej nie tylko dlatego, że są pracowici, lecz także dlatego, że celują w organizacyi pracy naukowej. Swoim

[1] Houston Stewart Chamberlain: *Die Grundlagen des neunzehnten Jahrhunderts.* VIII Aufl. 1907. I Hälfte, str. 38.

pracownikom naukowym dostarczają oni nie tylko wybornych warsztatów pracy, na budowanie których nie szczędzą pieniędzy, lecz ułatwiają im znakomicie pracę przez wyborne zorganizowanie peryodycznej prasy naukowej. Niemiecki uczony łatwo dowiedzieć się może z rozmaitego rodzaju czasopism referatowych niemieckich o nowych odkryciach naukowych. Gdy pracuje nad rozwiązaniem pewnego zagadnienia naukowego, nie potrzebuje robić zabierających dużo czasu poszukiwań w rozmaitych wydawnictwach zagranicznych, chcąc zebrać piśmiennictwo w interesującej go sprawie, gdyż ułatwiają mu to różne *Zentralblatty*, *Jahresberichty* i *Ergebnisse*. Niemcy, pragnąc mieć sprawozdania z piśmiennictwa naukowego nie tylko niemieckiego, lecz i obcego, zapraszają do współpracownictwa w swoich czasopismach referatowych cudzoziemców, pozostawiając nawet niektórym z nich, a mianowicie Francuzom i Anglikom, prawo pisania sprawozdań we własnym języku. Zaczynają powstawać także czasopisma naukowe, drukujące artykuły oryginalne w trzech wspomnianych językach. Lecz takie angielsko-francusko-niemieckie czasopisma nie rozwiązują istotnej potrzeby istnienia międzynarodowych czasopism naukowych, osobliwie sprawozdawczych, w których byłyby umieszczane referaty prac naukowych, pisane zarówno przez Niemców, Anglików, Francuzów, jak i przez Włochów, Rosyan, Polaków, Czechów, Węgrów, Holendrów, Finlandczyków, Japończyków i t. d., słowem przez uczonych wszystkich narodów, biorących udział w pracy naukowej. Ideałem międzynarodowych czasopism naukowych, tak oryginalnych jak i sprawozdawczych, byłyby czasopisma, w którychby sami autorowie umieszczali swoje prace lub prac swych autoreferaty w języku zupełnie zrozumiałym dla uczonych rozmaitych narodowości. A do tego potrzebny jest język, którym uczeni wszelkich narodowości mogliby tak swobodnie władać, jak swoim rodowitym. Potrzeba takiego pomocniczego języka międzynarodowego daje się coraz bardziej odczuwać, a nawet staje się niemal koniecznością wobec olbrzymiego rozwoju stosunków międzynarodowych. Gdyby istotnie taki język istniał, a raczej gdyby znalazł powszechne zastosowanie, oszczędziłoby się dużo energii, którą teraz traci się na poznanie dokładne kilku

języków obcych; można byłoby znakomicie zorganizować międzynarodowe wydawnictwa naukowe; mogłyby wielką przynosić korzyść wszelkie międzynarodowe zjazdy uczonych. Dawniej uczonym wystarczała łacina jako międzynarodowy język naukowy. W miarę atoli rozwoju nauki, w miarę potrzeby wprowadzania do języka naukowego coraz to nowych wyrazów technicznych, łacina, jako język martwy, coraz mniej nadawała się do roli języka międzynarodowego uczonych, aż musiała zupełnie ustąpić miejsca językom narodowym.

Od czasu, w którym uczeni zaczęli się posługiwać zamiast łaciną językami narodowymi, literatura naukowa stała się istną wieżą Babel. Każdy uczony zaczął przemawiać i pisać językiem zgoła niezrozumiałym dla innych uczonych. Stąd nieraz robiono odkrycie naukowe, które już było dokonane w innym kraju, ale o którym nowy odkrywca całkiem nie wiedział.

Potrzebie międzynarodowego języka pomocniczego mógłby zaradzić tylko taki język, któryby był bardzo łatwy do nauczenia się dla każdego, choć cokolwiek wykształconego człowieka i któryby nadawał się do takich samych celów, do jakich nadają się języki narodów cywilizowanych. Takim pomocniczym językiem międzynarodowym nie może być żaden z istniejących języków, ani angielski, ani niemiecki, ani francuski, ani włoski, ani żaden inny język narodowy, gdyż po pierwsze każdy z tych języków jest trudny do nauki, bo posiada bądź trudną gramatykę z mnóstwem wyjątków, bądź pisownię trudną, bądź trudne wymawianię wyrazów, bądź wreszcie inne właściwości językowe trudne dla cudzoziemców; powtóre zaś dlatego, że żaden naród ze względów aż nadto zrozumiałych nie zgodziłby się na takie uprzywilejowanie jakiegokolwiek obcego języka. Nie pozostawało przeto nic innego, jak stworzyć język sztuczny, neutralny, któryby czynił zadość wszelkim wymaganiom, stawianym pomocniczemu językowi międzynarodowemu. Możliwość takiego sztucznego języka uznawano już od dawna. Pierwsze projekty języka międzynarodowego powstały w XVII stuleciu. Od tego czasu sprawa międzynarodowego języka nie przestawała zajmować uczonych i nieuczonych. Raz wraz pojawiały się nowe projekty języka

międzynarodowego. Dość powiedzieć, że obecnie istnieje już przeszło dwieście projektów rozmaitych języków międzynarodowych. Ze wszystkich tych projektów dwa tylko ze względu na praktyczne zastosowanie zasługują na szczególną uwagę: Volapük i Esperanto.

Volapük utworzony został przez ks. Marcina Schleyera. Pierwsza gramatyka tego języka ukazała się w 1880 roku. Powodzenie, jakiem cieszył się Volapük przez pewien czas, było wielkie. »Była chwila — pisze Adam Zakrzewski w książce poświęconej historyi języka międzynarodowego — że obliczano na milion z górą liczbę jego zwolenników w Europie; był przez nich używany w praktyce, w piśmie i mowie; był wykładany w wielu szkołach handlowych (w samym Paryżu było w 1886 roku 16 kursów Volapüku); 25 pism peryodycznych zajmowało się jego rozpowszechnieniem, a 283 klubów pracowało nad tem zadaniem na całym obszarze ludzkości cywilizowanej... Niestety upadek odbył się jeszcze szybciej, niż nadspodziewany jego rozwój...« [1] Do rychłego upadku Volapüku przyczyniło się w pierwszym rzędzie dziwaczne jego słownictwo. Ks. Schleyer nadał bowiem całkiem odmienne brzmienie nawet wyrazom, które są właściwie międzynarodowemi, jak telegraf, automobil i t. p. Wystarczy przytoczyć kilka przykładów ze słownika Volapüku, aby się przekonać o trudności tego języka. I tak telegraf w języku Volapük nazywa się vamamafel, automobil — itomufik, Azya — Silop, Austrya — Lostakin i t. d.

Upadek Volapüku zaczął się był już w r. 1889 i rychło postępował. Obecnie Volapük należy już do przeszłości. Powodzenie Volapüka, aczkolwiek jeno krótkotrwałe, wymownie świadczy o silnie odczuwanej potrzebie pomocniczego języka międzynarodowego, skoro nawet tak trudny język, jakim jest Volapük, potrafił wielu zwolenników zyskać. Choć Volapük upadł, pozostanie na zawsze wielką zasługą ks. Schleyera to, że on pierwszy stworzył taki sztuczny język, który potrafił zainteresować mnóstwo ludzi naj-

[1] Adam Zakrzewski: »Język międzynarodowy. Historya. Krytyka. Wnioski«. Warszawa 1905. Str. 25.

rozmaitszych narodowości i był przez nich z pewnem powodzeniem używany do wzajemnego porozumiewania się.

W r. 1887, kiedy Volapük był jeszcze u szczytu powodzenia, pojawiła się w Warszawie książeczka, napisana przez młodego warszawskiego lekarza Ludwika Zamenhofa p. t. »Język międzynarodowy, przedmowa i podręcznik kompletny«. Książeczka rzeczona wydana była pod pseudonimem dr. Esperanto. Pseudonim ten stał się później nazwą języka, przez Zamenhofa utworzonego. Pierwociny języka Esperanto powstały jednak znacznie wcześniej, bo w 1878 roku, w czasie, w którym autor był jeszcze uczniem drugiego warszawskiego gimnazyum. Lecz ten pierwotny projekt języka nie został drukiem ogłoszony. Zamenhof przez kilka następnych lat, będąc studentem medycyny, gorliwie pracował nad doskonaleniem swego języka i dopiero wtedy z nim publicznie wystąpił, gdy uważał swój projekt za dojrzały. Najważniejszem zadaniem, jakie postawił sobie autor Esperanta, było utworzenie języka tak łatwego, iżby nauczenie się tego języka było po prostu igraszką. Zadanie to Zamenhof w zupełności rozwiązał. Lecz w czasie największego tryumfu Volapüka nikt prawie nie zwracał uwagi na projekt języka międzynarodowego, który Zamenhof utworzył. Po upadku zaś Volapüka zapał do idei języka międzynarodowego ostygł. Tą okolicznością tłumaczyć należy niewielkie powodzenie z początku Esperanta, mimo uznania dla Esperanta ze strony wielkiego lingwisty Maxa Müllera i mimo gorliwych acz nieliczných propagatorów tego języka. Dopiero po r. 1900 ruch esperancki zaczął się szybko rozwijać [1].

Zasady języka Esperanto są nader proste. Abecadło składa się z 28 liter. Różnica między abecadłem polskiem a esperanckiem zachodzi tylko ta, że w abecadle esperanckiem niema następujących liter abecadła polskiego: ą, ć, ę, ł, ń, ó, ś, w, y, ź, ż, a natomiast jest kilka liter, których w abecadle polskiem niema, a miano-

[1] Kto pragnie poznać dokładnie historyę języków międzynarodowych, temu można polecić przeczytanie dzieła L. Couturata i L. Leau: *Histoire de la langue universelle* (Paris 1903, str. 576), albo książki A. Zakrzewskiego p. t. »Język międzynarodowy. Historya. Krytyka. Wnioski«. Warszawa 1905, str. 149.

wicie: ĉ, ĝ, ĥ, ĵ, ŝ, ŭ, v. Ĉ wymawia się jak polskie *cz*, ĝ jak *dż*, ĥ jak *ch*, ĵ jak *ż*, ŝ jak *sz*, *v* jak *w*. ŭ jak krótkie *u* w wyrazie autor. Samogłosek jest pięć: a, e, i, o, u. *I* zawsze jest samogłoską, a nigdy znakiem miękczącym, np. kiam należy wymawiać ki-am, a nie kijam. Każdy wyraz tak się pisze., jak się czyta. Akcent, tak jak w języku polskim, stawia się zawsze na przedostatniej zgłosce. Istnieje tylko jeden przedimek dla wszystkich rodzajów, przypadków i liczb, mianowicie *la*. Rzeczownik kończy się zawsze na o, a w liczbie mnogiej na j, np. patro — ojciec, patroj — ojcowie. Tylko czwarty przypadek posiada własną końcówkę, mianowicie *n*. Reszta przypadków wyraża się zapomocą przyimków: *de* (od) dla drugiego przypadku, *al* (do) dla trzeciego, *per* (przez) dla szóstego; siódmy przypadek wyraża się, jak i w języku polskim, zapomocą różnych przyimków, np. sur tablo — na stole, en akvo — w wodzie. Przymiotnik kończy się na *a*, np. patra — ojcowski, ojcowska, ojcowskie, bona — dobry, a, e. Przymiotniki odmieniają się tak, jak rzeczowniki. Stopnie przymiotników tworzą się przez dodanie wyrazu pli (więcej, bardziej) dla utworzenia stopnia wyższego, plej (najwięcej, najbardziej) dla najwyższego, malpli (mniej) dla niższego i malplej (najmniej) dla najniższego, np. bona — dobry, a, e, pli bona — lepszy, a, e, plej bona — najlepszy, a, e, malpli bona — mniej dobry, a, e, malplej bona — najmniej dobry, a, e. Zaimki osobiste są: mi (ja), ci (ty), li (on), ŝi (ona), ĝi (ono, o rzeczy lub o zwierzęciu), ni (my), vi (wy) ili (oni, one), oni (zaimek nieosobisty liczby mnogiej, np. oni diras — mówią). Zaimki dzierżawcze tworzą się od osobistych przez dodanie końcówki przymiotnikowej, a więc mi — ja, mia — mój. Zaimki odmieniają się tak, jak rzeczowniki. Natomiast liczebniki główne nie odmieniają się. Liczebników głównych jest bardzo mało, albowiem tylko kilkanaście: unu (1), du (2), tri (3), kvar (4), kvin (5), ses (6), sep (7), ok (8), naŭ (9), dek (10), cent (100), mil (1000), milion (milion). Wszelkie inne liczebniki główne tworzą się przez zestawienie wyliczonych wyżej, a więc np. 11 — dekunu, 12 — dekdu, 20 — dudek, 50 — kvindek, 143 — cent kvardek tri i t. d. Dla utworzenia liczebników porządkowych dodaje się do liczebników głównych końcówka przymiotnikowa, np. pierwszy — unua, 22-gi —

dekdua i t. d.; dla utworzenia wielorakich prócz tej końcówki jeszcze *obl*, np. duobla — podwójny; dla utworzenia ułamkowych *on*, np. trzecia część — triono; dla utworzenia zbiorowych *op*. np. triope — we trójkę; dla utworzenia rzeczowych *o* np. trójka — trio; dla utworzenia przysłówkowych *e*, np. unue — po pierwsze; wreszcie dla utworzenia podziałowych dodaje się tak jak w języku polskim przyimek *po* np. po kvin — po pięć. Czasownik posiada trzy czasy: teraźniejszy, przeszły i przyszły, oraz cztery tryby: bezokoliczny, oznajmujący, rozkazujący i warunkowy. Zakończenia czasowników są następujące: *i* — dla trybu bezokolicznego; *as* — dla czasu teraźniejszego, *is* — dla przeszłego, *os* — dla przyszłego trybu oznajmującego; *us* — dla trybu warunkowego; *u* — dla rozkazującego. Czasowniki nie odmieniają się ani przez osoby, ani przez liczby. Przykłady: ami — kochać, mi amas — kocham, li amis — kochał, ŝi amos — będzie kochała, mi amus — kochałbym, amu — kochaj. Imiesłowy czynne kończą się w czasie teraźniejszym na *anta*, w przeszłym na *inta*, w przyszłym na *onta*; imiesłowy zaś bierne kończą się w odpowiednich czasach na *ata*, *ita*, *ota*. Przykłady: krei — tworzyć, kreanta — tworzący, kreata — tworzony.

Prócz wymienionych imiesłowów przymiotnych można tworzyć imiesłowy rzeczowe, np. kreanto — twórca, oraz imiesłowy przysłówkowe np. kreante — tworząc. Imiesłowy przymiotne służą także do tworzenia czasów złożonych, np. mi estis skribinta — napisałem był (czas zaprzeszły dokonany). Strona bierna czasownika tworzy się zapomocą imiesłowu biernego i słowa posiłkowego być — *esti*, np. mi estas amata — jestem kochany, mi estis amata — byłem kochany. Czasowniki zwrotne tworzą się przez powtórzenie zaimków osobowych odpowiedniej osoby, z wyjątkiem trzeciej osoby, dla której używa się zaimek zwrotny *si*, np. myję się — mi lavas min, on myje się — li lavas sin, ona się myje — ŝi lavas sin. Czasowniki bezosobowe nie mają zaimka, np. okazas — zdarza się, okazis — zdarzyło się. Przysłówki bywają główne i pochodne. Główne mają rozmaite zakończenia, np. kial — dlaczego, hodiaŭ — dzisiaj. Pochodne kończą się zawsze na *e*, np. bone — dobrze. Przysłówki stopniują się tak samo, jak przymiotniki. Przysłówki,

oznaczające ruch lub dążenie w pewnym kierunku, przybierają końcówkę *n*, np. Varsovion — do Warszawy. Przyimki posiadają rozmaite zakończenia; rządzą zawsze przypadkiem pierwszym. Każdy przyimek ma ściśle określone znaczenie, z wyjątkiem przyimka *je*, który używa się wtedy, gdy wybór przyimka nie wynika z natury rzeczy, np. chory na oczy — malsana je la okuloj. Spójniki i wykrzykniki posiadają różne zakończenia.

Szyk wyrazów jest taki, jak w języku polskim. Zdanie pytające zaczyna się od wyrazu ĉu (czy) lub od zaimka pytającego kiu, kio, kia, kiom, kiel (kto, co, jaki, ile, jak), a więc tak, jak w języku polskim, np. ĉu vi estas sana? — czy jesteście zdrowi? Jeżeli w zdaniu jest wyraz przeczący, to przysłówek przeczący *ne* (nie) opuszcza się, np. mi neniam vidis — nigdy nie widziałem.

Słownik esperancki, podobnie jak gramatyka odznacza się wielką łatwością, gdyż na zasadzie stałych prawideł można z jednego wyrazu, a raczej pierwiastku tworzyć wiele wyrazów pochodnych: po pierwsze, przez składanie wyrazów lub pierwiastków; powtóre, zapomocą końcówek gramatycznych; po trzecie, zapomocą osobnych przyrostków, a mianowicie przystawek (prefiksów) i wstawek (sufiksów). Wyrazy złożone tworzą się przez proste zestawienie pierwiastków lub wyrazów, przyczem wyraz główny kładzie się na końcu, np. akvofalo — wodospad. Zapomocą końcówek gramatycznych tworzą się wyrazy przez dodanie rzeczonych końcówek do pierwiastka. Mamy np. słowo koleri — gniewać się. Ponieważ *i* jest zakończeniem trybu bezokolicznego, przeto pierwiastek tego wyrazu jest *koler*. Dodając doń końcówkę przymiotnikową *a*, otrzymamy kolera — gniewny; dodając końcówkę rzeczownikową *o*, otrzymamy kolero — gniew; dodając końcówkę przysłówkową *e*, otrzymamy kolere — gniewnie. Wreszcie zapomocą 6 przystawek i 27 wstawek możemy tworzyć z pierwiastków wyrazy o rozmaitem znaczeniu. I tak przystawka *mal* oznacza przeciwieństwo, a więc bona — dobry, malbona — zły, fermi — zamykać, malfermi — otwierać; wstawka *in* oznacza rodzaj żeński, a więc ojciec — patro, matka — patrino; wstawka *ist* służy dla oznaczenia człowieka, zajmującego się pewnym fachem, a więc boto — but, botisto — szewc, instrui — nauczać, in-

struisto — nauczyciel. Istnieją dalej przyrostki dla oznaczenia powinowactwa, zwierzchnictwa, przymiotu, zdrobniałości, skłonności i t. d. Dodać należy, że pierwiastki słownika esperanckiego, z nielicznymi wyjątkami, nie są utworzone przez autora Esperanta, lecz wzięte z rozmaitych języków, przyczem takich pierwiastków wzięto najwięcej, które się w rozmaitych językach powtarzają.

Dzięki wszystkim wyżej wymienionym własnościom Esperanta, każdy średnio wykształcony człowiek, który poświęci kilka godzin na poznanie gramatyki i zasad tworzenia wyrazów, może ze słownikiem w ręku zabrać się niezwłocznie do odczytywania tekstu esperanckiego. Co do łatwości, to żaden z istniejących języków narodów cywilizowanych nie może się nawet równać z Esperantem. Lecz czy tak łatwy język nadaje się do wszelkiego użytku, zarówno handlowego, jak i literackiego oraz naukowego? Na to pytanie na zasadzie dotychczasowego doświadczenia można dać odpowiedź twierdzącą. Doświadczenie bowiem wykazało, że Esperanto nadaje się nie tylko do korespondencyi handlowej, lecz także do wyrażania najsubtelniejszych myśli. Dość powiedzieć, że już obecnie obszerna literatura esperancka posiada przekłady takich dzieł, jak »Iliada« Homera, »Eneida« Wirgiliusza, »Hamlet« Szekspira, »Skąpiec« Mollièra, »Ifigenia w Taurydzie« Goethego, »Zbójcy« Schillera, »Rewizor« Gogola, »Borys Godunow« Puszkina, »Faraon« Prusa, przekłady z Lermontowa, Lafontaina i t. d. Przekłady te mają w niczem nie ustępować przekładom na języki narodowe. Z piśmiennictwa polskiego sporo już przełożono na Esperanto, albowiem prócz »Faraona« Prusa, niektóre pisma Mickiewicza, Słowackiego, Sienkiewicza, Orzeszkowej, Świętochowskiego, Konopnickiej, J. A. Fredry, Reymonta, Szymańskiego, Sieroszewskiego, Żeromskiego i innych, nie wyłączając nawet Wyspiańskiego, którego utwór »Protesilas i Laodamia« wyszedł niedawno w przekładzie esperanckim.

Nadaje się również Esperanto do celów naukowych, czego dowodem mogą posłużyć dwa esperanckie czasopisma naukowe: Internacia Scienca Revuo i Voĉo de Kuracistoj (Głos lekarzy). Wprawdzie brak jeszcze w Esperancie należycie opracowanej terminologii naukowej, atoli jest to brak, który można w przy-

szłości uzupełnić, albowiem Esperanto nadaje się do tworzenia ścisłego mianownictwa naukowego.

Esperanto wytrzymał także próbę, jako język przeznaczony do porozumiewania się międzynarodowego nie tylko piśmiennego, lecz i ustnego. Odbyło się już pięć międzynarodowych zjazdów esperanckich: w Boulogne-sur-Mer, w Genewie, w Cambridge, w Dreznie i w Barcelonie, na których przedstawiciele kilkudziesięciu narodowości mogli się w zupełności porozumiewać zapomocą jedynie Esperanta.

Wszystkie te okoliczności złożyły się na to, że Esperanto zaczął zjednywać sobie, osobliwie w ostatnich latach, bardzo licznych zwolenników w najrozmaitszych krajach, nie wyłączając nawet Transwalu, Kuby, Wysp Kanaryjskich i innych oddalonych krajów. O rozwoju Esperanta najlepiej świadczy wzrost literatury esperanckiej, wzrost towarzystw mających na celu krzewienie tego języka i wzrost liczby czasopism, wydawanych bądź tylko w języku esperackim, bądź w języku esperanckim i w języku narodowym. Literatura podręcznikowa, słownikowa i piękna szybko wzrastają. Zaczynają się pojawiać także rozprawy naukowe po esperancku pisane. Liczba towarzystw esperanckich szybko rośnie w najrozmaitszych krajach. W roku 1888 istniało jedno tylko towarzystwo esperanckie, mianowicie w Norymberdze; w r. 1889 były trzy towarzystwa, a w czerwcu 1909 było ich już 1583 [1]. W jednej tylko Francyi jest przeszło 200 towarzystw esperanckich, a w Anglii, Stanach Zjednoczonych Północnej Ameryki i Niemczech po 200 blizko.

Niemniej szybko wzrasta liczba czasopism esperanckich. Prócz czasopism poświęconych propagandzie Esperanta istnieją esperanckie czasopisma specyalne: pedagogiczne, medyczne i t. p. a nawet nie brak czasopism literackich illustrowanych oraz czasopism humorystycznych. Pierwsze czasopismo esperanckie zaczęło wychodzić w 1889 r., a w r. 1909 (w czerwcu) było czasopism esperanckich już 114 [1]. Są wśród nich czasopisma wybornie redagowane, treścią bogate; są i małe gazetki, nie posiadające wielkiej

[1] *Pola esperantisto* 1909. Nr. 7—8.

wartości. Wogóle prasa esperancka zbyt szybko się rozwija, wskutek czego strona jakościowa czasopism esperanckich pozostawia nieraz sporo do życzenia. Nadmierny wzrost prasy esperanckiej powoduje od czasu do czasu upadek niektórych czasopism.

W miarę rozprzestrzeniania się ruchu esperanckiego zaczęły powstawać międzynarodowe stowarzyszenia esperanckie: stowarzyszenie esperantystów wogóle, związek lekarzy esperantystów, dwa katolickie związki esperanckie, mające swoje czasopismo *(Espero Katoliko)* i t. d.[1]

Gdy tak świetnie ruch esperancki zaczął się był rozwijać, niespodziewanie nastąpił w r. 1907 rozłam wśród esperantystów. Historyę tego rozłamu przedstawię w krótkości, opierając się na źródłach esperanckich[2] i na źródłach przeciwników Esperanta[3]. W r. 1900 dwaj profesorowie francuscy Leau i Couturat rozesłali do rozmaitych stowarzyszeń i osób zaproszenia do utworzenia Delegacyi w celu przyjęcia jednego języka międzynarodowego *(Délegation pour l'adoption d'une Langue Auxiliaire Internationale)*. Do października 1907 r. przystąpiło do Delegacyi 310 towarzystw i 1250 osób poszczególnych. Delegacya rzeczona wybrała komitet z 12 osób, który w październiku 1907 r. od 15 do 24 rozpatrywał w Paryżu na swoich posiedzeniach rozmaite projekty języków międzynarodowych. Komitet, w skład którego z Polaków wchodził prof. Baudouin de Courtenay, orzekł, że żaden z rozpatrywanych przezeń języków nie może być przyjęty w zupełności bez wszelkich zmian. Komitet uchwalił przyjąć w zasadzie Esperanto, jako najlepszy z istniejących języków międzynarodowych, pod tym atoli warunkiem, że zostaną w nim porobione pewne zmiany przez Komisyę stałą w myśl wniosków Couturat'a i Leau oraz w myśl projektu podanego przez bezimiennego autora, kryjącego się pod pseudonimem Ido. Do Komisyi stałej zostali wybrani: jako przewodniczący — słynny chemik prof. W. Ostwald, jako członkowie — profesorowie Baudouin de

[1] O ruchu esperanckim wśród duchowieństwa katolickiego zamieściła obszerny artykuł *Gazeta Narodowa* 1909. Nr. 147 z d. 1 lipca.

[2] *Ondo de Esperanto* 1909. Nr. 6—7.

[3] *L'Esperantiste* 1909. Nr. 5.

Courtenay, Jesperson, Couturat i Leau oraz Beaufront, który do tego czasu był fanatycznym Esperanta zwolennikiem i bardzo wiele przyczynił się do jego rozpowszechnienia. Otóż Komisya rzeczona zakończyła swoją czynność wydaniem dla Francuzów, Anglików i Niemców gramatyki i słownika zreformowanego Esperanta. Godzi się zaznaczyć, iż nie wszyscy członkowie zgodzili się na projekt zmian w Esperancie, uchwalony przez Komisyę, mianowicie przeciw temu projektowi wystąpił Baudouin de Courtenay. Zdaje się, że właściwie Esperanto zreformowany jest dziełem dwóch ludzi — Couturat'a i Beaufront'a, gdyż Beaufront ułożył gramatykę, a słownik prócz Beaufront'a także Couturat. Komitet Delegacyi, wybierając Komisyę stałą, polecił jej porozumieć się w sprawie proponowanych w Esperancie zmian z istniejącym Komitetem esperanckim. Do zgody jednak nie doszło. Winę nie dojścia do skutku porozumienia się jedna strona na drugą składa.

Od czasu wydania słownika i gramatyki zreformowanego Esperanta i zawiązania wkrótce potem stowarzyszenia przyjaciół języka międzynarodowego w celu propagandy zreformowanego Esperanta zaczęła się zacięta walka między esperantystami a zwolennikami zreformowanego Esperanta. Niestety, walka ta nie jest pozbawiona tła osobistego. Esperantystów najwięcej oburza to, że głównym reformatorem Esperanta jest Beaufront, który odegrał dużą rolę w ruchu esperanckim. Był on bezwzględnym zwolennikiem Esperanta w tej formie, jaką mu nadał Zamenhof. Gdy sam Zamenhof w roku 1894 chciał wprowadzić pewne zmiany w Esperancie, Beaufront sprzeciwił się temu nader energicznie. Beaufront nazwał wówczas sprawę reform »przeklętą«, twierdził bowiem, że Esperanto wybornie służy swemu celowi jako język międzynarodowy pomocniczy. Sprzeciwiał się wszelkim reformom, sądząc, że nie warto dla zmian nieznacznych narażać na »śmiertelne niebezpieczeństwo wielką i świętą ideę«. Brak jednomyślności między zwolennikami Esperanta uważał za prawdziwe niebezpieczeństwo dla międzynarodowego języka [1]. W dziesięć lat później Beaufront ogłosił w czasopiśmie przez siebie redagowanem *(L'Espe-*

[1] *Ondo de Esperanto.* 1909. Nr. 6—7.

rantiste 1904, kwiecień) energiczny protest przeciw wszelkiej zmianie abecadła esperanckiego. A nawet jeszcze w r. 1906 był Beaufront gorącym przeciwnikiem wszelkich reform w Esperancie. W rok zaś później tenże Beaufront pod pseudonimem Ido, układa i przedkłada Komitetowi Delegacyi projekt rozmaitych zmian w Esperancie, czyniąc to w tajemnicy przed twórcą Esperanta. Postępowaniem takiem Beaufront rzucił rękawicę esperantystom. W rzeczy samej, trudno zrozumieć stanowisko Beaufront'a w całej tej sprawie. Natomiast łatwo pojąć oburzenie nań esperantystów. Esperantyści nie szczędzą gorzkich zarzutów Beaufront'owi i jego współpracownikom w reformowaniu Esperanta, ci zaś odpowiadają esperantystom szyderstwem, wyśmiewają ich fanatyczne przywiązanie do Esperanta, drwią z tego, że esperantyści język Zamenhofa nazywają swoim drogim językiem, a Zamenhofa swoim kochanym mistrzem. Lecz i czasopismo esperanckie postępuje nie bez zarzutu w sporze ze zwolennikami zreformowanego Esperanta. Jako jaskrawy przykład tego, można przytoczyć następujące zdarzenie. Prof. Baudouin de Courtenay napisał kilka artykułów w sprawie Esperanta pierwotnego i zreformowanego. W artykułach tych pisze, iż wogóle nie widzi w Esperancie zreformowanym wybitnych ulepszeń Esperanta pierwotnego, lecz nie przeczy, że Esperanto zreformowany ma w niektórych względach wyższość nad Esperantem pierwotnym, np. w tworzeniu wyrazów pochodnych, które w Esperancie zreformowanym jest bardziej logiczne, aniżeli w Esperancie pierwotnym. Owóż wyjątki z artykułów Baudouin'a de Courtenay pojawiły się w czasopismach esperanckich, lecz tylko te wyjątki, w których jest krytyka Esperanta zreformowanego, a niema wzmianki o jego zaletach. W jednem nawet czasopiśmie esperanckim z wyjątków rzeczonych sklecono cały artykuł i wydrukowano go z pełnym podpisem Baudouin'a de Courtenay, nie pytając go wcale o zgodę na to. Baudouin de Courtenay posłał wówczas rzeczowe sprostowanie wspomnianemu czasopismu, które atoli nie zgodziło się wydrukować tego sprostowania [1].

[1] *Progreso*. 1909. Nr. 13, p. 34—37.

Takie nielojalne z obu stron postępowanie zaostrza jeno spór i sprowadza go na niewłaściwą drogę polemiki osobistej. Na szczęście zaczynają się już pojawiać w obydwu walczących obozach głosy, wzywające do zaniechania walki w formie dotychczasowej: Marya Schröder w czasopiśmie esperanckim duńskim [1], a prof. Pfaundler z Gracu w organie zwolenników Esperanta zreformowanego [2], starają się spór na właściwe tory sprowadzić, a niektóre czasopisma, jak np. *L'Informilo* drukują artykuły w Esperancie zarówno pierwotnym, jak i zreformowanym.

Po poznaniu tła osobistego walki zwolenników Esperanta zreformowanego ze zwolennikami Esperanta pierwotnego, należy teraz rozpatrzeć stronę rzeczową sporu, mianowicie czy wszystkie proponowane przez zwolenników reformy zmiany w Esperancie są usprawiedliwione, jako koniecznością wywołane. W szczegóły wdawać się nie będę, lecz tylko rozpatrzę najważniejsze zarzuty czynione Esperantu pierwotnemu przez reformistów. Zarzuty dotyczą i abecadła i gramatyki i słownika.

Przedewszystkiem reformiści zarzucają abecadłu esperanckiemu, że posiada litery ze znaczkami u góry, że nie można przeto tekstu esperanckiego ani telegrafować, ani drukować w czasopismach nieesperanckich, których drukarnie nie posiadają czcionek ze znaczkami u góry.

Zarzut ten bardzo ważny, lecz tylko na pozór, przy bliższem rozpatrzeniu okazuje się całkiem nieuzasadniony. Jest rzeczą ze wszech miar pożądaną, aby każdemu dźwiękowi odpowiadała jedna tylko litera, jak to ma miejsce w abecadle esperanckim. Litery ze znaczkami u góry nie są zresztą bezwzględnie obowiązkowe w Esperancie. Każdy tekst esperancki może drukować abecadłem łacińskim, drukując zamiast ŝ—sh, ĉ—ch, ĝ—gh, ĵ—jh, ĥ—hh, i zamiast ŭ krótkiego zwykłe u. Pism esperanckich drukowanych bez liter ze znaczkami nie brak. A zatem tekst esperancki można i telegrafować i drukować w każdej drukarni, w której są czcionki abecadła łacińskiego. Lecz dążenie do wprowadzenia w powszechne

[1] *Dana Esperantisto.* 1909. Nr. 6.
[2] *Progreso.* 1909. Nr. 17.

użycie w pismach esperanckich liter ze znaczkami, jako uproszczających pisownię, jest racyonalne. Rzeczą godną znaczenia jest, że czasopismo niemieckie *Reform*, mające na celu uproszczenie pisowni niemieckiej, proponuje wprowadzenie esperanckiej litery ŝ w tych wyrazach, w których słyszy się dźwięk *sz*, a więc proponuje pisać Ŝtal, zamiast Stahl, Ŝulter zamiast Schulter [1].

Z tego co się wyżej powiedziało, nie wynika zatem nieodzowna potrzeba zaprowadzenia zmian w abecadle esperanckiem.

Rozpatrzmy teraz zmiany, jakie w abecadle esperanckiem wprowadzili zwolennicy reformy. Przedewszystkiem usunęli oni wszystkie litery ze znaczkami. Na wyrażenie dźwięku *sz*, używają dwóch liter *sh*, na wyrażenie dźwięku *cz* używają również dwóch liter *ch*, natomiast na wyrażenie dwóch dźwięków *ż* i *dż* używają jednej tylko litery *j*. Zamiast esperanckiego *j* używają *y*. Prócz *y* wprowadzili do abecadła esperanckiego jeszcze trzy inne litery: *q*, *w* i *x*. Przeciwko wprowadzeniu *x*, w tych słowach, w których Esperanto używa raz liter *ks*, drugi raz *kz* (np. *eksperimento, ekzisti)* nie można uczynić żadnego zarzutu. Natomiast wszelkie inne zmiany w abecadle, proponowane przez reformistów są całkiem niepotrzebne, gdyż wprowadzają jeno pewne do języka trudności. Pisownia dźwięków *sh* i *ch* ma tę wadę, że w niektórych wyrazach trzeba wymawiać oddzielnie *s* i *c*, a oddzielnie *h* i wtedy trzeba wprowadzać nową zmianę w pisowni, mianowicie oddzielać *s* i *c* od *h* kreską, a więc wyraz, którego brzmienie jest *czashundo* trzeba pisać *chas-hundo*, gdyż napisane bez kreski w środku należałoby czytać *czaszundo*. Bez litery *y* można się również zupełnie dobrze obejść, pisząc zamiast niej *j*, jak to czyni Esperanto. Również za całkiem niewłaściwe należy uważać wprowadzenie litery *q*, po której zawsze następuje *u*, przyczem *qu* gramatyka Esperanta zreformowanego pozwala wymawiać dowolnie, jak *kv* lub jak *k*. A więc np. w zreformowanym Esperancie zamiast *akvo* (woda) mamy *aquo*. Zresztą nawet w obozie zwolenników Esperanta zreformowanego pojawiać się zaczyna

[1] *Germana Esperanto-Gazeto*. 1909. Nr. 16.

opozycya przeciwko wprowadzeniu do abecadła *q* [1]. Wreszcie można się zupełnie obejść bez wprowadzenia do abecadła litery *w* z brzmieniem litery *u*, np. wyraz *westo* czyta się w Esperancie zreformowanym *uesto*. Ogólny wniosek da się wyciągnąć ten, że zwolennicy reformy przez swoje zmiany abecadła esperanckiego wprowadzili niepotrzebnie do języka pewne trudności, których Esperanto pierwotny szczęśliwie uniknąć zdołał.

Zwolennicy reform wprowadzili w gramatyce esperanckiej jeszcze większe zmiany, aniżeli w abecadle. Odrzucili oni dwugłoski aj, ej, oj, uj, dość często w Esperancie spotykane, aczkolwiek rzadziej aniżeli w niektórych językach narodowych np. niemieckim [2]. Jako powód do odrzucenia tych dwugłosek, podają zwolennicy reform trudne wymawianie ich dla wielu ludzi. Ponieważ zaś rzeczowniki esperanckie w liczbie mnogiej kończą się na oj, więc, chcąc uniknąć tej dwugłoski, wprowadzili dla liczby mnogiej zakończenie *i* zamiast *o* liczby pojedyńczej, a więc liczba mnoga od *patro* (ojciec) jest *patri*, zamiast formy Esperanta pierwotnego *patroj*. Wprowadzenie *i* jako zakończenia rzeczowników liczby mnogiej pociągnęło za sobą zmianę zakończenia trybu bezokolicznego czasowników, który w Esperancie pierwotnym kończy się na *i*, a w Esperancie zreformowanym na *ar*. Nie dość na tem. Zwolennicy reform wprowadzili zamiast jednego trybu bezokolicznego trzy, mianowicie tryb bezokoliczny czasu teraźniejszego z końcówką *ar*, przeszłego z końcówką *ir* i przyszłego z końcówką *or*, wyjątkowo akcentując te końcówki, w innych zaś wyrazach akcent kładą na sylabie przedostatniej, jak w Esperancie. Z innych zmian, które zwolennicy reform wprowadzili w gramatyce, ważniejsze są następujące: nieodmienianie się przymiotnika; nieobowiązkowe użycie czwartego przypadku rzeczowników z oddzielnem zakończeniem; ustanowienie pewnych prawideł do tworzenia słów pochodnych; zmiana niektórych przyrostków esperanckich i wprowadzenie nowych przyrostków, potrzebnych

[1] *Progreso*. 1909. Nr. 15, str. 159.

[2] *Evstifeieff. A. P. Io pri belsoneco (Germana Esperanto-Gazeto.* 1909. Nr. 15).

zwłaszcza w języku technicznym, a których brak dawał się odczuwać w Esperancie. Z tych wszystkich zmian istotnie potrzebne było ustalenie tworzenia wyrazów pochodnych. Jest to niezaprzeczoną zasługą Couturat'a, iż wykazał on pewne nielogiczności w tworzeniu wyrazów pochodnych w Esperancie oraz, że wskazał drogę do usunięcia tych braków, a to przez ustanowienie ścisłych prawideł do tworzenia wyrazów pochodnych [1]. Nie można mieć również nic przeciw wprowadzeniu niektórych nowych przyrostków, potrzebnych głównie do tworzenia wyrazów technicznych. Lecz inne zmiany w gramatyce, proponowane przez zwolenników reform, trudno usprawiedliwić koniecznością lub potrzebą rzetelną.

Zwolennicy reform zabrali się wreszcie do rewizyi słownika esperanckiego i uczynili tu prawdziwą rzeź wyrazów esperanckich, zamiast których inne powprowadzali. Reformując słownictwo esperanckie, kierowali się zdaniem wygłoszonem przez duńskiego językoznawcę Jespersona [2], że najlepszym językiem międzynarodowym jest ten, który jest najłatwiejszym dla największej liczby ludzi. Zdaniem Jespersona wybór słów dla międzynarodowego języka jest przeważnie sprawą liczb *(eine reine Zahlenfrage)*. Do słownika języka międzynarodowego powinny wejść te wyrazy, które są znane największej liczbie ludzi. Wystarczy przeto wziąć słowniki języka angielskiego, niemieckiego, francuskiego i t. d. i wybierać z nich te wyrazy, które według obliczenia znane są największej liczbie ludzi. Wprawdzie i twórca Esperanta, wybierając wyrazy do swego słownika, kierował się największą ich międzynarodowością, lecz czasem od zasady tej odstępował i tworzył wyrazy nowe, w żadnym języku nie istniejące. Otóż zwolennicy reform wyrazy te, utworzone przez Zamenhofa, usunęli zupełnie, jak również wszystkie wyrazy, które zdaniem ich nie posiadały największej międzynarodowości, wprowadzając do słownika zamiast nich inne. Niektórym atoli z wyrazów, proponowanych przez zwolenników reform, trudno przyznać wyższość nad esperanckimi. Dlaczego np. dla oznaczenia duszy trudny do

[1] Couturat: *La reformo justigata. L'Esperantiste.* 1909. Nr. 1.

[2] Przedmowa do *International deutsches Wörterbuch von L. de Beaufront und Dr. L. Couturat.* Stuttgart 1908.

wymówienia wyraz *anmo*, ma być lepszy od esperanckiego *animo*? dlaczego wyrazy *naciono, evoluco, emoco, opozo, diserto* mają być lepsze od esperanckich *nacio, evolucio, emocio, opozicio, disertacio*?[1] — to rzecz niełatwa do zrczumienia.

Po wprowadzeniu do Esperanta wszystkich zmian, o których wyżej była mowa, powstał dyalekt znacznie się różniący od języka Zamenhofa. Pod niektórymi względami Esperanto zreformowany, który najczęściej nosi teraz nazwę Ido, stoi niewątpliwie wyżej od Esperanta pierwotnego (tworzenie słów pochodnych, pewna część słownika), pod innemi natomiast niżej (abecadło, gramatyka). »Nie ulega wątpliwości — pisze Baudouin de Courtenay[2] — że niektóre szczegóły w zreformowanym języku »Delegacyi« są lepsze i bardziej odpowiadają celowi języka międzynarodowego, aniżeli w pierwotnej postaci języka Esperanto. Mnie się jednak zdaje — dodaje Baudouin de Courtenay — że na ogół to dążenie do reform wypływa z chęci szukania dziury na całem, i że można do niego zastosować niemiecką przypowieść: *das Bessere ist der Feind des Gutes* (lepsze jest nieprzyjacielem dobrego)«.

Ido, pragnąc być przedewszystkiem językiem uczonych, stara się o wielką ścisłość. W tym celu wprowadza rozmaite subtelności do języka, przez co staje się trudniejszym do nauki, aniżeli Esperanto. Dla oznaczenia np. zaimka p r z e d, Ido używa dwóch wyrazów: *ante* i *avan*, pierwszy w znaczeniu czasu, drugi — miejsca. Wprowadza przyrostek osobny dla oznaczenia osób, zajmujących się pewną rzeczą z amatorstwa dla odróżnienia od fachowców, a więc odróżnia wyraz *fotografisto* (fotograf zawodowy) od *fotografero* (fotograf amator). Wprowadza zbyt wielką rozmaitość w przymiotnikach; np. dla oznaczenia wyrazu królewski używa dwóch wyrazów: *reja* i *rejala*, przyczem pierwszy oznacza coś posiadającego własności króla, a drugi coś należącego do króla. Dowodzi, że wyraz »narodowy« należy oddać słowem z końcówką *ala*: *nacionala*, a »międzynarodowy« z inną końcówką: *internaciona.*

[1] Artykuł p. t.: *Ido ne estas pli perfekta ol esperanto (Normanda Stelo.* 1909. Nr. 8).

[2] I. Baudouin de Courtenay: »O języku pomocniczym międzynarodowym«. Odbitka z Krytyki, 1908.

Obstaje za używaniem trzech trybów bezokolicznych i t. d.[1]. Gdybyż przynajmniej ta większa trudność Ida wynagrodzoną została tem, że Ido nie potrzebuje już żadnych ważniejszych zmian. Ale tak nie jest, jak to wynika z dyskusyi prowadzonej w oficyalnym organie Związku przyjaciół języka międzynarodowego czasopiśmie *Progreso*, poświęconem propagandzie, wolnej dyskusyi i ulepszeniu języka międzynarodowego. Na łamach tego czasopisma, redagowanego przez Couturat'a, pojawiło się moc projektów rozmaitego rodzaju zmian w Idzie, do tego projektów, podawanych przez samych Idystów. Co więcej, zaczęły się pojawiać w *Progreso* projekty nowych języków międzynarodowych, które zdaniem ich autorów pozbawione są braków, które spotykają się w Ido. Projekty nowych języków międzynarodowych i dyskusya nad nimi tyle zaczęły zajmować miejsca w *Progreso*, że wreszcie redakcya tego czasopisma zmuszona była ogłosić, iż więcej projektów nowych języków międzynarodowych drukować nie będzie[2]. Nawet w samym obozie Idystów niema zgody wśród przywódców. Niedawno A. Seidel, drugi przewodniczący towarzystwa Idystów w Berlinie, wystąpił z projektem nowym języka międzynarodowego, a Józef Weisbart, prezes towarzystwa Idystów w Menie (Mainz) z innym projektem[3]. Oba te projekty zmierzają do gruntownej reformy Ida.

Wobec takiego stanu rzeczy, skoro i Esperanto i Ido potrzebują pewnych reform, właściwiej byłoby pozostać przy Esperancie, jako języku, który wytrzymał już próbę w praktyce, posiada sporą literaturę i dziesiątki tysięcy zwolenników, zamiast zajmować się układaniem coraz to nowych dyalektów Esperanta, a przez to szkodzić samej idei języka międzynarodowego, wywołując wśród zwolenników jego rozłamy z sekciarskiem zabarwieniem. Wszystkie istotne braki Esperanta, wytknięte przez idystów, dadzą się usunąć, nawet bez przedsiębrania bądź co bądź ryzykownej próby gruntownych reform w Esperancie. Atoli do

[1] *Vollständige Grammatik des Internationalen Sprache von L. de Beaufront. Deutsche Ausgabe von R. Thoman.* Stuttgart 1908.

[2] *Progreso.* 1909. Nr. 16.

[3] Dr. P. Corret.: *La idaro de Ido. (Lingvo internacia.* 1909. Nr. 7).

wprowadzenia rzetelnie potrzebnych zmian i uzupełnień w języku Zamenhofa powołani są przedewszystkiem pisarze esperanccy, a następnie najwyższa instytucya naukowa esperantystów ich Akademia, na czele której stoi prof. E. Boirac. Niestety, dotychczas większość esperantystów o żadnych zmianach w Esperancie słyszeć nie chce, dowodząc, zresztą nie bez słuszności do pewnego stopnia, że wszelkie zmiany w Esperancie powinny następować powoli i stopniowo. A jednak pomimo takiego na razie nieprzejednanego stanowiska większości esperantystów względem Ida, niektóre przyrostki Ida, zaczynają się powoli przyjmować w piśmiennictwie esperanckiem. Można przeto żywić uzasadnioną nadzieję, że i inne drobne zmiany, których Esperanto potrzebuje, stopniowo zostaną doń wprowadzone, może nawet rychlej, aniżeli przeciwnicy Esperanta przypuszczają.

Mimo ostrej krytyki Esperanta przez idystów, mimo agitacyi ich, aby wszystkich języka międzynarodowego zwolenników skupić pod sztandarem Ida, ruch esperancki nie tylko nie upadł, lecz przeciwnie ogromnie się wzmógł w ostatnich dwu latach. W roku 1907, a więc w czasie, w którym powstał Ido, towarzystw esperanckich było 822, a czasopism 64. Liczba ta do czerwca 1909 r. (późniejszych dat nie posiadam) wzrosła bardzo, gdyż liczba towarzystw dosięgła 1583, a czasopism 114[1]. Do tego wielkiego powodzenia Esperanta przyczynia się nie tylko wielka łatwość języka, lecz także, a może i przedewszystkiem, zapał esperantystów do służenia idei, która ich wiąże. Ideą tą jest t. zw. idea wewnętrzna esperantyzmu, sformułowana przez twórcę Esperanta w czasie uroczystych przemówień na zjazdach międzynarodowych: dążenie do zbliżenia zapomocą neutralnego języka wszystkich narodów i do ich zbratania. Ideę tę od Zamenhofa przejęli zwolennicy Esperanta. Zamenhof, dążąc do urzeczywistnienia swych szlachetnych marzeń, po utworzeniu języka mniej zajmował się jego doskonaleniem, a więcej propagandą zapomocą przekładów arcydzieł literatur europejskich na język Esperanto. Z pod pióra jego wyszło już wiele przekładów; tłumaczył on utwory: Szeks-

[1] *Pola Esperantisto*. 1909. Nr. 7—8.

pira, Molièra, Goethego, Schillera, Gogola, Orzeszkowej. Za przykładem Zamenhofa wybitni esperantyści zajmują się przeważnie wydawaniem czasopism esperanckich i tłumaczeniem z różnych języków na Esperanto, niewiele dbając o doskonalenie języka[1]. Esperanto uważają oni za język ludowy, pozostawiając uczonym wolność wprowadzania doń specyalnych form językowych, wywołanych potrzebą mianownictwa naukowego[2]. Czasopisma esperanckie cechuje fanatyczne przywiązanie do języka swego, a prócz tego dążenie do zbliżenia wzajemnego rozmaitych narodowości. W ruchu esperanckim biorą udział wybitny przeważnie ludzie uczuciowi, typy psychiczne pokrewne, spotykające się wśród najrozmaitszych narodowości. Gdy się czyta sprawozdania z międzynarodowych zjazdów esperanckich lub ze zjazdów esperanckich poszczególnych narodowości, np. esperantystów angielskich lub niemieckich, gdy się czyta artykuły w czasopismach esperanckich niemieckich, angielskich, japońskich i t. d., odczuwa się z entuzyastycznych zdań, z zapału, z jakim esperantyści biorą się do propagowania Esperanta, że ludzi tych łączy coś więcej prócz języka, że ożywiają ich jednakowe lub podobne uczucia społeczne.

Całkiem inny charakter noszą czasopisma idystów, przynajmniej dwa najgłówniejsze (te dwa tylko znam), mianowicie *L'Esperantiste,* redagowany przez Beaufront'a i *Progreso,* redagowany przez Couturat'a. Treść tych czasopism składa się wyłącznie z artykułów i notatek językowych oraz z kroniki. Panuje w nich trzeźwość i krytycyzm, którego brak daje się odczuwać w wielu czasopismach esperanckich. Czasopisma takie, jak *Progreso* i *L'Espe-*

---

[1] Godzi się przytoczyć choć krótki tekst esperancki, aby dać czytelnikom możność przekonania się o łatwości tego języka. Jako przykład tekstu esperanckiego niech nam posłuży »Ojcze nasz« w przekładzie Zamenhofa:

Patro nia, kiu estas en la ĉielo, sankta estu via nomo, venu regeco via; estu volo via, kiel en la ĉielo, tiel ankaŭ sur la tero. Panon nian ĉiutagan donu al ni hodiaŭ, kaj pardonu al ni ŝuldojn niajn, kiel ni ankaŭ pardonas al niaj ŝuldantoj; kaj ne konduku nin en tenton, sed liberigu nin de la malbono.

[2] Th. Cart: *Pri kelkaj novaj sufiksoj* (*Antauen Esperantistoj!* 1909. Nr. 5.

rantiste mogą zainteresować filologów, wogóle uczonych, wreszcie ludzi wykształconych, interesujących się sprawą języka międzynarodowego, lecz wątpię, aby się przyczyniały w znacznej mierze do propagowania języka międzynarodowego wśród szerszych mas ludności rozmaitych narodowości. W rzeczy samej, idyści mają przedewszystkiem uczonych na względzie; dla nich to głównie reformatorzy Esperanta utworzyli Ido. Zdaniem niektórych wybitnych idystów międzynarodowy język pomocniczy nie powinien mieć żadnej roli literackiej. Do użytku literatury pięknej, zdaniem ich, powinny służyć jedynie języki narodowe. Jeden z przywódców idystów prof. Pfaundler utrzymuje, że celem idystów powinno być jedynie rozpowszechnianie Ida. Natomiast według niego powinni idyści unikać wszystkiego, co mogłoby im nadać pozór sekty z innymi jakimi celami, np. z celem zaprowadzenia powszechnego między narodami pokoju [1]. Ta trzeźwość, panująca w czasopismach idystów, idzie nieraz w parze ze śmieszną wprost drobnostkowością. W najpoważniejszym miesięczniku idystów, *Progreso,* ciągnęła się w ciągu kilku miesięcy dyskusya, w której brali udział nawet uczeni, nad pytaniem, jaką należy dać nazwę zreformowanemu językowi Zamenhofa: czy nazwać go Ido, czy Ilo, czy Ildo, Delego, Bildo, Cilbo, Sferido, Anto Auxilinguo, Linguaro, Dilo, Ortodoxo, Bofro, Esperido, Defirso i t. d. [2]

Wogóle można powiedzieć, że wśród esperantystów panuje entuzyazm, góruje uczucie, a u idystów mało uczucia, a dużo krytyki. A ponieważ wszędzie istnieje więcej ludzi uczuciowych, entuzyastów, aniżeli ludzi trzeźwych, krytycznych i uczonych, przeto spodziewać się można, że ruch esperancki i nadal szybciej będzie się rozwijał, aniżeli ruch przez idystów wszczęty. Lecz powstanie Ida może mieć dobre skutki dla samego ruchu esperanckiego, w którym panowało i poniekąd panuje zbyt mało krytyki, a może zbyt wiele fanatyzmu, nie pozwalającego na żadne zgoła reformy. Pod wpływem Ida w ruchu esperanckim może powstać więcej krytycyzmu, co jest rzeczą arcypożądaną.

---

[1] *Progreso.* 1909. Nr. 15.

[2] *Lingvo internacia.* 1909. Nr. 7.

Musimy się teraz liczyć z faktem, że obok międzynarodowego języka pomocniczego Esperanto istnieje i rozpowszechnia się dyalekt jego Ido. Powstaje pytanie, który z tych języków powinien stać się międzynarodowym pomocniczym językiem uczonych? Sądzę, iż ten, który ma większe szanse stania się językiem międzynarodowym pomocniczym nie tylko do celów naukowych, lecz wogóle do wszelkich stosunków międzynarodowych. Ponieważ Esperanto wytrzymał już próbę, jako język nadający się do celów literackich i do ustnego porozumiewania się, ponieważ dalej Esperanto wytrzymał już także do pewnego stopnia próbę jako język, dający się zastosować w nauce i dający się doskonalić w tym kierunku, przeto nic nie stoi na przeszkodzie, aby i uczeni nim się posługiwali. Niektórzy uczeni (Boirac, Saussure, Dybowski i inni) już zrobili początek, ogłaszając rozprawy naukowe po esperancku. Niema zatem istotnej potrzeby propagowania nowego języka międzynarodowego, skoro Esperanto czyni zadość wymaganiom, jakie się stawia językowi międzynarodowemu. Zamiast propagować inne języki międzynarodowe z powodu drobnych wad Esperanta, lepiej starać się rozpowszechniać a jednocześnie doskonalić Esperanto, atoli nie w ten sposób, aby mu narzucać arbitralnie reformy niewypróbowane w praktyce, lecz usuwając wady, które stają się widoczne w praktycznem jego użyciu oraz pracując nad utworzeniem i doskonaleniem mianownictwa naukowego, które w Esperancie, podobnie jak w każdym innym języku, może się nawet znacznie różnić od języka literackiego. W ten sposób przyjaciele języka międzynarodowego pomocniczego mogą mu oddać największe usługi. Przeciwnie, propagowanie coraz to nowych dyalektów Esperanta może tylko opóźnić tryumf idei międzynarodowego języka pomocniczego.

Adam Wrzosek.

PRACA U PODSTAW W POWIEŚCIACH ORZESZKOWEJ.

(Ciąg dalszy).

VIII.

»Dwa bieguny«. — Przeciwieństwa kulturalne. — Ideał pracy u podstaw. — »Ad astra«.

»Wszakże u czerwonoskórych i innych dzikich stopień poważania zależy od ilości posiadanych bawołów i piękności tatuażu pokrywającego skórę«. Tak mówi bohaterka »Dwóch biegunów«, rozciągając epitet dzikości na swych sąsiadów wielkoświatowych, poważających ludzi odpowiednio do ilości posiadanych przez nich folwarków lub kapitałów, oraz konwencyonalnej (bardzo zresztą problematycznej) piękności modnego stroju, pokrywającego ich skórę.

Z podziwem zgorszenia pełnym słucha tych słów stołeczny wykwintniś, wedle którego nosić ubiór z epoki pradziadowskiej, nie bywać na rautach, nie jadać ostryg, nie znać się na starej porcelanie, sporcie, wincie i tym podobnych zdobyczach cywilizacyi znaczy to najniezawodniej być człowiekiem dzikim.

Oto rzeczywiście dwa krańcowo przeciwległe bieguny, dwa istotowo przeciwstawne poglądy na kulturę i dziczyznę. Po której tu stronie słuszność, po której prawda?...

Odpowie kto: prawda, jak zwykle, w pośrodku: można bywać na rautach, ubierać się modnie, znać się na sporcie i wincie, a jednocześnie oceniać ludzi wedle innych jeszcze oznak aniżeli

bawoły i tatuaż, a wtedy jest się człowiekiem prawdziwie, wszechstronnie kulturalnym.

Ani słowa. Tak jest istotnie w zasadzie, w teoryi w zastosowaniu do jednostek, do ludzi życiowo doskonale wyrobionych. Ale w praktyce życiowej ogółu ludzkiego, pospolitych mas ludzkich, czyż pogląd na wzajemny stosunek kultury i dzikości nie układa się istotnie w określonem powyżej biegunowem przeciwieństwie?

Możnaby je wziąć z wielu różnych stanowisk, określanych przez niezmiernie zawiły współczesny układ społeczny. Tutaj poprzestać musimy na stanowisku zajętem przez powieściopisarkę, dającem nam widzieć: z jednej strony kulturę materyalnego używania w próżniaczym bycie kosmopolitycznych wytwornisiów i wykwintnych dyletantów, z drugiej strony kulturę wytwórczej pracy u podstaw na rodzimym gruncie opartą, narodowym i społecznym duchem ożywioną, przez miłość ojczyzny pobudzaną.

Autorka-obywatelka, która od samych zaczątków swego zawodu pisarskiego ideę takiej pracy wzięła sobie za motyw przewodni całej swej twórczości, która w kulminacyjnym jej punkcie dała naszej literaturze najpiękniejsze i najbardziej wyczerpujące motywu tego zobrazowanie powieściowe — nie dziw, że i w następstwie nieraz jeszcze doń powracała i w jednym z głównych swych utworów w »Dwóch biegunach« ukazała nam go w całej typowej jego czystości, w jaknajszerszem wśród dawnych warunków zastosowaniu i rozwinięciu, oraz w jaskrawem przeciwieństwie do tych czynników, które pełny jego rozwój tamują.

»Nad Niemnem«, to wysnuty z rzeczywistości współczesnej obraz stosunków, wśród których występuje raczej idealna dążność do społecznej pracy u podstaw, aniżeli realne jej pełnienie, — »Dwa bieguny«, to owo pełnienie, jako idealna możliwość, jako wzór i przykład, ukazane w przeciwieństwie do wszelkiego niepełnienia, wynikającego z obojętności, próżniactwa, niechęci, a przez zwątpienie, przez brak wiary w przyszłość uzasadnionego.

»Gdyby więcej było pełniących, mówi żarliwy współpracownik Seweryny Zdrojowskiej w jej szlachetnem dziele... coby wynikło z tego za parę, za kilka dziesiątków lat. Jakie ślady pokolenie dziś żyjące, w feralnym dniu urodzone pozostawiłoby

po sobie? Jakie ślady pozostałyby na drodze, którą dziś idziemy? Za parę, za kilka dziesiątków lat będą tacy, którzy zapytają: dlaczego ci, co szli przed nami, nie pozostawili po sobie takich śladów?«...

Głoszący te słowa gorący entuzyasta-społecznik w dalszej rozmowie ze sceptycznym światowcem, zdradza się wprawdzie z pewnemi powątpiewaniami co do możliwości i trwałości tych śladów, niemniej przeto obstaje niezłomnie przy bezwzględnym obowiązku pracowania nad nimi, aby nawet wtedy, gdyby wszystko miało przepadać, honor narodowy ocalić.

Nie chodzi tu więc o naiwną wiarę, lecz o poczucie obowiązku społecznego i narodowego. Czyń, coś powinien, trwaj na stanowisku cokolwiek staćby się miało. Oczywiście powieść z hasłem tak wyraźnie określonem i przeprowadzonem przez całą osnowę jest na wskróś ideową i tendencyjną, czemś w rodzaju »Pana Podstolego« Krasickiego — raczej programem, aniżeli obrazem, raczej myślą w życiu, aniżeli życiem. Ideowość przemaga w niej czasami nad charakterystyką, chociaż jej nie wyklucza, podobnie jak program nie wyklucza obrazu, a myśl o życiu nie wyklucza życia.

Na początku powieści wprowadza autorka swą bohaterkę, a raczej swą ideową w czynie i słowie rzeczniczkę, w sam wir arcypustego, wielkoświatowego życia Warszawy popowstaniowej. Rzecz przedstawiona w formie poufnej, autobiograficznej opowieści naocznego świadka, typowego wykwintnisia, światowca danej epoki. Arcywykwintny pan Zdzisław opowiada tedy, jak w jednym z najpierwszych salonów warszawskich, poznał pannę Sewerynę Zdrojowską, mieszkankę głębokiej Litwy, właścicielkę wielkiej majętności, spadłą na nią po przedwczesnej śmierci rodziców i jedynego brata, który zginął w powstaniu — opowiada jak dziwną, a nawet dziwaczną wydała mu się ta piękna, bogata, dobrze urodzona i ustosunkowana panna, która zamiast bawić się i używać na wielkim świecie stolicy, gdzieś wśród puszcz litewskich z zaparciem siebie pracuje dla społeczeństwa, dla kraju.

Zarysowuje się tu od razu przeciwstawienie, które poprzednio już widzieliśmy w »Nad Niemnem«. Tylko, że tam było to przeciw-

stawienie dwóch obrazów złączonych ideą w jej dążeniu do realizacyi — tutaj mamy przeciwstawienie idei i obrazu, a łącznikiem staje się osoba wyobrazicielki idei, zdziwiona wśród tak obcego jej obrazu i nawzajem wzbudzająca w nim zdziwienie swą niezwykłą odrębnością.

Obraz — każdy to chyba przyzna — bardzo artystyczny i wiernie z rzeczywistości odtworzony — ściślej mówiąc, obrazek satyryczny światowej Warszawy, a raczej wesołej, rozbawionej Warszawki w lat kilka po roku 63. I tutaj nie zawiódł Orzeszkowej zaznaczony poprzednio dar jej satyryczny, wynikający z żywego poczucia sprzeczności między powagą własnej myśli i pustotą otaczającej sfery życiowej, między ideą ofiarnej pracy, a rzeczywistością rozprózniaczonego samolubstwa. Wyszło to tylko na dobre zgromadzonemu w saloniku pięknej pani Idalki wykwintnemu towarzystwu »wesołej Warszawki«. Zarysowane ono zostało w całej swej prawdzie, to jest w całej swej pustocie, niepozbawionej, wdzięku, a pozbawionej wszelkich, najdrobniejszych choćby śladów poważniejszych myśli, głębszego uczucia, świadomej celów swych woli. Nic tam nie jest brane na seryo; wszystko rozbawione rozflirtowane, rozmotylkowane. Słowa unoszą się jak lekka pianka na drobnych, eterycznych falach przesubtelnej rozmowy, idee są tylko przelotną grą światła na lśniącej fal tych powierzchni. Wieczne falowanie nad próżnią w blasku różnych sztucznych światełek i świecidełek, czyż to nie główne tego bytu towarzyskiego prawo, istotna jego natura?

Takim był on szczególnie w »wyższych sferach« naszej syreniej stolicy około roku pańskiego 1870. Na skutek ówczesnych popowstaniowych stosunków politycznych, błyszczeć można było li tylko w salonie, a ponieważ sfery owe bez błyszczenia istnieć zgoła nie mogą i nie umieją, cóż więc robiłyby poza salonem, poza jego motylkowem migotaniem i piankowem kołysaniem w błyskotkach?...

Autorka »Dwóch biegunów« w lekkich, szkicowych, ale trafnych bardzo zarysach doskonale pochwyciła ogólną fizyognomię tej tak zasmucająco wesołej Warszawki z czasów, gdy nowy mazur Lewandowskiego był wypadkiem dnia, a »premiera« w Rozmai-

tościach, epokowem zdarzeniem. Wprawdzie powieść ukazuje nam tylko wnętrze rautujących saloników, ale przenikają tu odbłyski szerszych przestworów literatury, sztuki, wiedzy w osobie np. takiego wesołego Bronka Widzkiego, poety i redaktora wpływowego czasopisma, który ma zasady społeczne dla swych prenumeratorów i czytelników, a drwiny z tychże zasad dla bawienia dam światowych na eleganckich rautach, oraz w osobach kilku innych jeszcze wesołych Józiów i Guciów, którzy sami z siebie się śmieją, gdy panna Zdrojowska w swej naiwności na podstawie opinii i frazesów bierze ich za augurów społecznych.

Jakże wśród tego wszystkiego wygląda temu wszystkiemu biegunowo przeciwstawna, ucieleśniona w osobie głównej bohaterki powieści, poważna, surowa idea społeczna autorki?

Wydaje mi się przedewszystkiem, że jest ona trochę za mało ucieleśniona, że panna Seweryna Zdrojowska nadto jest ideą, a niedość panną Seweryną Zdrojowską, istotą indywidualną z krwi i kości, o wyraźnie dostrzegalnych, realnie dających się odczuć poruszeniach duszy, serca, a choćby i nerwów. Zbyt bezosobiście przemawia zawsze i działa, zbyt łatwowierny, jak na tak intelligentną kobietę, daje posłuch każdemu, co w dudkę jej idei zagra. Rodzące się uczucie jej dla Zdzisława w swych objawach i w całym swym przebiegu niedość wyraźnie też się przedstawia, takie jest jakieś eteryczne, nieuchwytne, iż komuś zgoła fikcyjnem wydać się może, tembardziej, że i sam Zdzisław, doskonały w niektórych rysach salonowego frantostwa i wielkoświatowego snobizmu, niedość wyraźny, zbyt ogólnikowo-bezbarwny w cechach swej umysłowej, estetycznej i kulturalnej wyższości nad otoczeniem, mających usprawiedliwiać zajęcie się nim Seweryny. Jego samoironia bywa zbyt naiwną, istniejące w nim przeciwieństwo pustego franta i szlachetnie kulturalnego gentleman'a psychologicznie nie zawsze z należytą konsekwencyą przeprowadzone.

W drugiej części powieści widzimy Sewerynę w litewskim jej dworze, a Zdzisława jako jej gościa. Tutaj na wyraziście zarysowanem tle dawnych obyczajów i tradycyi, w otoczeniu wysoce oryginalnych staroświeckich figur, wśród swych prac gospo-

darczo-społecznych, myślą górną powodowanych, uczuciem szlachetnem przenikniętych, nabiera ona życia, charakteru, staje się często plastyczną, malowniczą; zawsze jednak ideowość przemaga w niej nad osobowością, społeczniczka nad kobietą.

Nie chcę przez to w jakimkolwiek względzie obniżać znaczenia tej postaci, przedstawiać ją jako nieudaną czy nieprawdziwą. Owszem taka, jak ją widzimy i poznajemy, wydaje mi się kreacyą pełną prawdy i doniosłego w naszej literaturze znaczenia. Tylko trzeba na nią spojrzeć z właściwego punktu widzenia, wziąć ją we właściwym stosunku do duszy autorki, do indywidualnych jej pragnień i dążeń. O tej postaci możnaby powiedzieć ze Słowackim, że narodziła się ona nie z głowy i jej zamysłu artystycznego, lecz z serca, przenikniętego »twardą, silną wiarą w przyszłość«. Owóż wszelka wiara wedle określenia wieszcza »Boskiej Komedyi« to »substancya rzeczy spodziewanych i dowód rzeczy niewidzialnych«. Określenie to można zastosować nie tylko do uczuć religijnych, lecz poniekąd i do tworów artystycznych. Jeśli artysta wierzy bardzo silnie w upragniony ideał, z jakąż nieprzepartą siłą pragnie go stwierdzić niejako przez odpowiednie wcielenie i upostaciowanie w swej sztuce, choć postaci jego nie widzi wyraźnie twórczym wzrokiem wyobraźni. Prawda wiary zastępuje tu prawdę twórczego widzenia, staje się substancyą gorącej, niezniszczalnej, choć może niezniszczalnej nadziei.

Oto jaką prawdę uznać należy w naczelnej postaci »Dwóch biegunów« — prawdę nie typu artystycznego, nie odtworzenia wiernego rzeczywistości, lecz prawdę pragnień, wierzeń, nadziei artystki, upostaciowanego przez nią ideału przyszłości.

»Zdaje mi się — mówi Seweryna o swych ideach i dążeniach — że w tych rzeczach nikt nikogo przekonać nie może. Te rzeczy trzeba czuć«.

Podobnie i o kreacyach poetyckich rzeczy tu uosabiających powiedzieć można, iż o ich piękności i prawdzie wewnętrznej nikt nikogo nie przekona. Trzeba je czuć. Trzeba czuć tę gorącą miłość ojczyzny, co przenika autorkę »Dwóch biegunów«, jej wiarę w przyszłość, jej ufność w niespożyte siły narodu, w dzielność cnoty obywatelskiej, w potęgę żywotnej energii społecznej.

Niedarmo w tworze kobiety i w poetyckiej kobiecej postaci skupia się cała moc tych wszystkich rzeczy odczutych, może przeczutych. »Afekt kobietą powoduje — mówi starodawne nasze przysłowie, — gdzie afekt tam wszystka«. Mężczyzna musi się przekonać, kobieta może poprzestać na samem tylko czuciu i przeczuciu. A są takie chwile, takie położenia, w których nikogo o przyszłości racyonalnymi dowodami nie przekonasz; trzeba ją wtedy czuć i w nią wierzyć. To zadanie spełnia każda prawa matka Polka w swej rodzinie. To zadanie w jakże szerokiej mierze spełniła znakomita autorka polska w naszej literaturze.

A nie myślcie, żeby ono jej przyszło z łatwością, żeby łatwowierność była warunkiem jej wiary. Na pozór mogłoby się wydać, że jest pewna doza naiwnie optymistycznej łatwowierności w »Dwóch biegunach« i w głównej postaci powieści. Ale przyjrzyjcie się bliżej Sewerynie Zdrojowskiej. Jest w niej jakiś nieopuszczający jej nigdy, głęboki, niezgładzony, aż chorobliwy smutek. Pięknie mówi o niej obserwujący ją na balu Zdzisław: »W powodzi muzycznych tonów zmieszanych z szelestem walcujących kroków i szmerem wielu naraz przytłumionych rozmów, wydała się nutą wyosobnioną i smętną z jakiejś pieśni melancholijnej wypadkiem tu zabłąkaną«.

Nie należy tego smutku przypisywać miłosnym tęsknotom lub zawodom. W tym względzie nie bez słuszności mówi o niej Zdzisław: »Ależ ta kobieta ani pojęcia niema o miłości«. Istotnie smutek jej z innych zupełnie wynikał pobudek, takim Zdzisławom zgoła obcych i niedostępnych. »Z widoku nieszczęść niesłychanych, okrucieństw i niesprawiedliwości bajecznych, zagrożeń przerażających«, o których sama autorka wspomina, jako o wrażeniach swej młodości »jak lawa wulkanu lejących się w mózg i serce«. Nuta pieśni melancholijnej, dźwięcząca wciąż w duszy Seweryny, to echo owych wrażeń — ona sama jest jakby ich uosobieniem, jakby wcieleniem bolesnych wspomnień autorki, a zarazem wierzeń i nadziei, którymi je przezwyciężyć usiłowała. Nie z łatwowiernego przeto optymizmu wykwitły te ostatnie. Wprost przeciwnie: były pono wytworem duszy, ratującej się nimi przed pesymizmem rozpaczy. Trzeba wierzyć, aby żyć, ufać

w przyszłość, aby nie utracić sił żywotnych do walki o przyszłość. Jak Chrzanowska w oblężonej Trębowli, kobieta-pisarka w oblężonej zewsząd twierdzy polskości na Litwie, wzywa mężów do wytrwania i w bohaterce »Dwóch biegunów« swym ideowym sobowtórze ukazuje nam możliwy przykład wytrwania w czynie.

Melancholijna postać Seweryny raz jeszcze ukazuje się w powieści »Ad astra«, powieści w listach, »dwugłosie«, powstałym we współpracownictwie Orzeszkowej z Juliuszem Romskim. Jak tytuł wskazuje wznosimy się tu z ojczystych poziomów nizinnej pracy u podstaw w górne, podgwiezdne sfery, w sfery rozmyślań nad najwyższym problematem życia i uzasadnień niemi istotnych zadań życiowych. W takim charakterze swoim, utwór ten sięga poza ramy niniejszej pracy; o tyle tylko winien w niej być zaznaczony, o ile w jednym jego głosie, w listach Seweryny znajdujemy podgwiezdne uzasadnienie podobnych naszych zadań, streszczających się tutaj w wierze i wierności w czynieniu i wytrwaniu szlachetnej pracowniczki na smutnych ojczystych nizinach.

Dodajmy, że silniejszemi, bardziej przekonywującemi od wszelkich uzasadnień, wysnutych z górnych filozoficznych dociekań, wydają się nam w »dwugłosie« te, co tkwią w przepysznych obrazach ojczystej przyrody z tak głębokiem odczuciem i w tak żywem ujęciu zawsze przez autorkę opisywanej, oraz te, co wynikają z czynów poświęcenia i zaparcia siebie dopełnionych przez smutną, ale wierzącą, ufającą i niewzruszenie wytrwałą bohaterkę powieści, rzeczniczkę w czynie i słowie przewodniej, najbardziej umiłowanej idei autorki.

IX.

»Anastazya«. — Nowele. — Ton zasadniczy ostatniego okresu twórczości. — Przewodni jej motyw ideowy.

»Serce jak kryształ w setne poryło się skazy i tak wiecznie zostało«, możnaby powtórzyć ze Słowackim przy czytaniu utworów Orzeszkowej z ostatniego okresu. Taki w nich smętny ton

pękniętego serca, taki jakiś odrębny, specyficznie polski smutek, o którym Szopen mówił, że całą jego muzykę przenika, a jednem tylko polskiem słowem ż a l określić się daje. Żal po czem? — Nie po osobistej z pewnością stracie. Po czemś, czego odgłosy słyszał Liszt w marszu żałobnym Szopena, czego smutne odblaski na fizyognomii naszego życia zbiorowego dostrzegają nieraz przybywający do nas cudzoziemcy, jak np. ongi około r. 1880 Jerzy Brandes, gdy zjechał do Warszawy ze swymi odczytami o literaturze polskiej, a w ostatnich czasach znająca dobrze nasz kraj poetka hiszpańska, Zofia Casanova, w swej powieści »Więcej niż miłość«.

Taki to żal po rzeczach drogich nam, blizkich, a bezpowrotnie straconych przenika całą twórczość Orzeszkowej, a najwyraźniej dźwięczy w ostatnich jej powieściach i nowelach. Często, najczęściej nie są te rzeczy wymienione po imieniu i »zgwałconym zaparte językiem«, jak się dobitnie wyraża Konopnicka; czasem zdają się one obce i dalekie smętnym postaciom powieściowym naszej autorki. Ale przyjrzyjmy się bliżej: wpływ ich zawsze dojrzymy.

Są epoki, kiedy smętek chodzi po duszach, jako po niwach czasu jesiennego. Nie wiedzą blade kwiaty jesieni czemu są smutne. Ale my wiemy, gdy widzimy, jak na opustoszałych rosną polach, którym długo, długo w zimowej martwocie przyjdzie czekać na nowe rozkwity wiosenne.

Jednym z najwdzięczniejszych kwiatów tej naszej obecnej smutnej jesieni jest »Anastazya« Orzeszkowej. Dziwna rzecz, powieść ta, jak się dowiadujemy z przedmowy autorki, została natchniona przez pełen wyrazu rysunek Kamińskiego, a ma w sobie raczej muzyczną nastrojowość, aniżeli wyrazistość obrazową. Niby rzewne, częścią mroczne i burzliwe preludyum Szopena, w którem słychać echa naszych pól, odgłosy naszych tęsknot, żalów i cierpień.

Autorka powraca tu do znanych nam już z »Nad Niemna« panów szaraczków litewskich, szeroko rozsiadłych w »okolicy« szlacheckiej. Ale jacyś oni teraz inni, jakby posmutniali, stępieni na umysłach, rozstrojeni na duszach. Niema w nich owej radości

życia, której żywe, barwne, po epicku obrazowane odbicia podziwialiśmy w tamtej, dawniejszej powieści, niema zamaszystej tężyzny, jaką widzieliśmy tam w nich przy zabawie i pracy. Opowiadanie zaczyna się króciutkim, ledwie zaznaczonym obrazem zabawy wiejskiej na błoniach. Ale wnet porzuca autorka ten temat i prowadzi nas na mogiłki, gdzie znajdujemy smętną jej bohaterkę pogrążoną w rozmyślaniu o zmarłych. A dalej słyszymy o sporach i kłótniach rodzinnych, o nienasyconej chciwości, nieprzejednanej złości ludzkiej, o nieszczęśliwej, anielsko dobrej dziewczynie, prześladowanej i krzywdzonej bezmiernie przez złych, zawistnych krewnych w zamian za świadczone im dobrodziejstwa.

Smutek wieje nad całym obrazem. Nawet dwie najjaśniejszemi barwami kreślone jego postaci: sędziwego dziadunia pana Cyryaka, co z niejednego pieca chleb jadał, dużo się natułał, nacierpiał po świecie, a teraz na stare lata w ojczystym zaścianku »Psalmy« Kochanowskiego rad sobie wyśpiewuje, oraz poważnego, cnotliwego »Nawrócicielа«, rozjemcy sporów, pogromcy krzywdzicieli: — nawet te dwie dziwnie ujmujące i pogodne figury niejednym smętnym omroczone cieniem.

Jedna jest tylko w powieści postać wolna od takich cieniów odbłyskami radości życia, a jeszcze więcej chęci używania jaśniejąca; obca to postać światu zaściankowemu: gładki, elegancki pan Apolinary, w zaścianku zrodzon, ale na innym świecie wyedukowany, wypolerowany, na jakimś świecie fabryczno-handlarskim, gdzie dojść można do majątku, znaczenia, dobrego bytu i pięknej garderoby, byle jeno sprytu i obrotności starczyło. Co mu tam biedy i troski zaścianka. Przyjechał tu na krótko; jako niezwykle świetne zjawisko rozkochał w sobie biedną Naścię, zaręczył się z nią, bo poczuł u niej grosze; skoro jednak przekonał się, że groszami i małżonką nie będzie mógł, jakby chciał rozporządzać, zerwał, porzucił, odjechał w konkury do jakiejś podstarzałej bogaczki. I tyle go widziano.

Taki to jedyny promień z wyższego świata kultury przeniknął do tych ciemnych nizin zaściankowych, marny promyk jakiegoś fałszywego jej światełka, co nie tyle rozjaśnia, ile zakopca biedne, opuszczone niziny. A gdzież się podzieli ideowi

działacze pracy u podstaw, rzecznicy oświaty i postępu na niziach. Istnieli oni może tylko w pragnieniach szlachetnej autorki-obywatelki, a gdy daremnie wypatrywała ich w życiu, zamroczyły jej się niziny, dla których tyle od nich spodziewała się światła.

Wszelako nie są one całkiem pozbawione z dobrej woli wynikających oświatowych wpływów i działań, ale to tak słabe, odosobnione i wcale nie z kulturalnych wyżyn pochodzące, a z rodzimych zaściankowych poziomów, głównem zaś ich źródłem i tutaj kochające, ofiarne serce kobiece. Przybywa oto do zaścianka nieznana nikomu kobieta, co małym wózkiem po kraju rozjeżdża, książki, obrazki rozwozi, aby głowy oświecać, serca i dusze podnosić. Głuche o niej krążą wieści: pokutę pono czyni za odstępstwo narodowe, spowodowane zaślubieniem człowieka obcej wiary. Z tej czy owej przyczyny, dość że pożytecznie czyni, jak może dobru ogólnemu służy; to też lubiana i szanowana jest powszechnie w zaściankach i wioskach. Anastazya zbliża się do niej i zaprzyjaźnia serdecznie, a wkońcu, wyrzekając się dostatków, jakimi los ją obdarzył, odziedziczoną majętność, będącą przedmiotem złości i zawiści krewnych, dobrowolnie, ku ogólnemu zdumieniu, pomiędzy nich rozdaje, a sama, za przykładem przyjaciółki, na skromnym wózku rusza w świat, by rozwozić zdrowy pokarm dla dusz i umysłów ludzkich, by rozjaśniać te głowy, podnosić te serca, które różnymi sposobami zaciemnić, zgnębić, do ziemi przytłoczyć usiłowano.

I tutaj przeto społeczna praca u podstaw wskazana, jako zadanie istotne, któremu siebie całkowicie podporządkować warto i szczęście osobiste poświęcić. Ale smutna ta praca w tak rozpaczliwie beznadziejnych podejmowana warunkach, takiemi słabemi siłami, wobec tak potężnych przeszkód. Nic to, jak mówi Wołodyjowski w Kamieńcu. Wierność i wytrwanie, nadzieja przeciw nadziei: — oto jedyne w danej sytuacyi hasło dusz szlachetnych, choćby nie wiem jak smutnych i zbolałych. Jest w »Anastazyi« odbicie wielu, wielu takich rozżalonych dusz polskich, odbicie dziwnie artystyczne, sielski rodzajowy obrazek, w swej prostocie rodzimej niewypowiedzianie wdzięczny, a przytem tak

pełen charakteru, stylu, nastroju. Rzewna elegia na swojską nutę, o melodyi tak dobrze nam znanej, tak mile wpadającej w ucho. Tok opowieści ma w sobie jakąś rozlewną polną tęsknotę; dyalog niezrównanie charakterystyczny o zwrotach oryginalnych, staropolszczyzną zatrącających, a jednak widocznie z rzeczywistości współczesnej wiernie wychwyconych. Całość znakomita w kompozycyi i układzie w doskonałem zrównoważeniu treści i formy należy niewątpliwie do najpiękniejszych dzieł Orzeszkowej, do tych, które w literaturze najtrwalsze zachowają znaczenie.

Po »Anastazyi« mamy już tylko nowele (w wydaniach zbiorowych: »Melancholicy«, »Ogniwa«, »Chwile«, »Iskry«). Są między niemi małe arcydzieła, istne klejnociki sztuki powieściopisarskiej, w których doskonale wyrobiona forma artystyczna idzie o lepsze z bogatą treścią ideową. W treści rozmaicie przejawiający się i ukształtowany ten sam co poprzednio motyw zasadniczy: idea pracy społecznej, oraz wierności i wytrwania w niej i w tem wszystkiem, co z nią nierozdzielnie złączone wiekuistemi ogniwami całokształtu życia narodowego, ziemi, przyrody, tradycyi i obyczaju. Nic tu doktrynersko czy ideologicznie oderwanego; wciąż snuje się przed nami z głębi stuleci wynikający, o ziemię ojczystą zaczepiony, żywy łańcuch istnienia. Jednostki ludzkie, co od niego się oderwały duchowo, martwieją lub wyrodnieją, a to, co w nich jeszcze pozostaje z żywej siły ducha odzywa się raz po raz z żalem, tęsknotą za przyrodzoną swą dziedziną.

Ludzie przedstawiają się tu autorce w dwóch głównych typach: typu wierności i typu przeniewierstwa, tło życiowe nakreślone jest zawsze w zarysach i barwach ziemi rodzinnej, czasem jako bezpośrednie, przyrodzone tło działań i dążeń ludzkich, czasem jako oddalone gdzieś w głębi tęsknot wspomnień, niekiedy wyrzutów sumienia narodowego ukazujące się przeciwieństwo obcego środowiska, wśród którego przyszło żyć i działać ludziom świadomie lub bezwiednie, własnowolnie lub bezwolnie oderwanym od ojczystej gleby. Orzeszkowa nigdy, ani na chwilę, dla żadnych względów, pod żadnym pozorem nie może się pogodzić nie to z odstępstwem narodowem, lecz choćby z usuwaniem się,

unieobecnianiem narodowem tych wszystkich, którym zapachniał smaczniejszy chleb, zajaśniała lepsza dola na obczyznie, osobliwie na obczyznie, co zewsząd nas ogarnia i różnymi sposobami pochłonąć nas usiłuje. Nie jest to wcale szowinizm, lecz czujność obywatelska, czujność serca przyrodzonym instynktem zwracającego się przeciw rzeczom, stosunkom i ludziom zagrażającym temu, co dlań najbliższe, najdroższe.

Przeciwstawne z tego punktu widzenia typy ludzkie oraz tła i środowiska ich bytu ukazują się w nowelach bądź wprost obok siebie na jednym obrazku życiowym bądź też rozdzielone na różnych obrazkach w rozmaitem ustosunkowaniu perspektywicznem do zasadniczego, rodzimego tła wszystkich tych poetyckich malowideł. Często tło ukazane jest samo w sobie bez wyodrębnionych indywidualnie postaci ludzkich, zasnute li tylko motywami z przyrody, życia, obyczaju ojczystego, utrzymane w pewnym ogólnym tonie barwnym, doskonale oddającym podmiotowy nastrój poetki, w którym dźwięczy zawsze jakiś charakterystyczny nastrój zbiorowej duszy polskiej. Niektóre nowele tego ostatniego rodzaju należą do najszczęśliwszych natchnień autorki.

Bezpośrednie przeciwstawienie typów wierności i przeniewierstwa widzimy w noweli »Bracia«. Podobnie jak w »Anastazyi« wierność nie cieszy się tu szczęsną dolą: oprócz wewnętrznego zadowolenia niewiele wogóle doznaje pociech, natomiast zgryzot i strapień co niemiara. Ten z dwóch braci Horwiczów, co dozgonnymi związał się z nią śluby z zawodu artysta malarz, porzucił umiłowaną sztukę i oddał się ciężkiej pracy rolnika, aby utrzymać się przy kawałku ziemi dziedzicznej na Litwie, nie oddać go w obce ręce, z których, jak wiadomo, nigdyby już w swojskie ręce nie mógł powrócić. Pracuje, mozoli się biedny eksartysta przy boku arcynudnej żony w nudnawo-kwaskowatej atmosferze swego bytu domowego, gdy nagle zelektryzowany zostaje przybyciem dawno od lat wielu niewidzianego brata, który zdolnościami i pracą wybił się w dalekich, obcych stronach, doszedł do majątku i znaczenia i teraz przed udaniem się w dalsze jeszcze strony na świetniejszą jeszcze karyerę przyjeżdża odwie-

dzić rodzinę i dom ojczysty. Przyjeżdża pełen werwy, rozmachu, radości życia, rozwesela, ożywia smutny dom wiejski, ale z bratem ani porozumieć ani zbliżyć się serdecznie nie może i nie chce. W sobie tylko zaufany, powodzenie osobiste za cel jedyny mający, obcym pozostaje wiejskiemu pracownikowi-anachorecie, który dla nieosobistego celu z zaparciem siebie trudzi się i mozoli. Bracia rozchodzą się, aby duchowo nigdy się już nie zejść w życiu. Jeden spieszy na nowe tryumfy w dalekie obce strony, drugi wraca do szarej, powszedniej pracy na umiłowanej ziemi ojczystej, przemawiającej doń tysiącznymi głosami swej przyrody, swej tradycyi, swych cierpień niezasłużonych.

Wrażenia z tych trzech źródeł wynikające w różnorodnych harmoniach i rozdźwiękach swego zespołu na poły bolesnem, na poły radosnem echem odzywają się w całej twórczości Orzeszkowej. W ostatnich jej nowelach mniej donośnie w uproszczonych brzmią akordach jakby wspomnieniem zasadniczych motywów dawnych wielkich tworów i w najpiękniejszej z tych nowel, w »Babuni«, cudnie wyeterycznionymi tonami giną »gdzieś daleko, gdzieś u niebios progu«.

Najdobitniej i najprostszym sposobem łączność przyrody z życiem i pobudzające jej działanie na serce w ziemi ojczystej rozmiłowane wyraża symboliczno-liryczny obrazek »Co mówił stary klon«. Człowiekowi zniechęconemu, skłonnemu pogrążyć się w senny, obojętny na wszystko kwietyzm, mówił o życiu, jakie wszędzie wre dokoła niego, mówił o nieszczęśliwych cierpiących, którym z pomocą pospieszyćby należało i o tym najnieszczęśliwszym, najbardziej ze wszystkich cierpiącym, co mu dom ojczysty zburzono, a on cierpliwie i wytrwale sto razy zaczynając po stukrotnych ponownych burzeniach w trudach niewysłowionych odbudowuje go wciąż na nowo. Daremnie szatanek zwątpienia czepiając się figlarnie o spróchniałe belki, odwieść go od pracy usiłuje i zaprasza do wspaniałego, cudzego pałacu, gdzie byt dobry i wszelkie dostatki mieć może. Niezłomny pracownik odrzuca szatańskie pokuszenia i trwa wciąż przy swej ciężkiej, niewdzięcznej robocie. Czy takiemu nie warto, nie należy pomódz?...

W innych swych nowelach ukazuje nam autorka trzeźwo myślących racyonalistów, lub niemyślących wcale wygodnisiów, co życiem swem przecząco odpowiedzieli na to pytanie. Poznaliśmy już w poprzednich wielkich i mniejszych jej utworach różne tego rodzaju okazy, różne typy wytrzeźwionych, obojętnych i nieobecnych, którym na ogół nieźle się działo na świecie, mniej dobrze czasem we własnem sumieniu społecznem i narodowem.

(Dok. nast.).

Walery Gostomski.

DZIEJE FILOMATÓW W ZARYSIE.

(Ciąg dalszy).

Stopień drugi pod hasłem »rozszerzaj oświatę, wspieraj ziomków i skłaniaj ich ku dobremu« odpowiada mniej więcej zasadom zgromadzenia Filaretów i może składać się wyłącznie z osób posiadających świadectwo ukończenia średniego zakładu. Jeden taki związek wystarczy na dwie lub trzy parafie.

Stopień trzeci głosi zasadę: »obchodź się z każdym a zwłaszcza z podległym sobie rodakiem jak z przyjacielem i staraj się o jego moralne udoskonalenie«. Związki w tym duchu utworzą w każdym powiecie ci z pomiędzy Filaretów, którzy okazali gotowość do poświęceń dla dobra kraju i współziomków; niosą oni pomoc uczniom niezamożnym i starają się wspierać szkółki parafialne.

Stopień czwarty ma cel ściślej i dokładniej określony: *Każdego współrodaka za równego sobie uważaj, a udzielając mu światła i pomocy, zbliżaj do prawdziwej godności człowieka. Poznaj, czem powinni być ludzie w obliczu prawa i jakie leżą obowiązki pomiędzy poddanymi a władzą. Staraj się o poprawę instrukcyi publicznej.* Członkiem może tu zostać tylko ten, kto po ukończeniu szkół lat kilka naukom się poświęcał i mocno jest przekonany, że niema szczęścia indywidualnego bez pomyślności ogólnej. Właściciel ziemski wstępując tu składa zaręczenie, że w przeciągu lat sześciu nauczy młodych włościan czy-

tać i pisać, a zacniejszych gospodarzy uwolni, czyniąc ich wyrobnikami lub czynszownikami; członek rządzący majątkiem jako dzierżawca przysposobi przynajmniej włościan do takiej odmiany. Związek taki zorganizuje się w każdej gubernii, w Wilnie zaś zapoczątkują go Przyjaciele i ci z pomiędzy Filaretów, co mogą godnie odpowiedzieć przyjętym obowiązkom. Przedmiotem będzie czytanie rozpraw i wyciągów z dzieł w dziedzinie prawa przyrodzonego i politycznego, wiadomości o zakładach naukowych i dobroczynnych, sposoby powstrzymania nadużyć psujących charakter uczącej się młodzieży, wreszcie środki szerzenia oświaty i pomyślność niższych związków.

Stopień piąty pod hasłem »Przekładaj nad własne dobro ogółu i dobro kraju, poświęcając siły, majątek i życie«, składa się z Przyjaciół i Filomatów, wybranych w Towarzystwie i formuje jeden związek ze stałą siedzibą w Wilnie, na prowincyę zaś wysyła swych agentów. Członkowie, prócz dowodów, że przez lat kilka poświęcali się naukom i że wiedzą, na czem pomyślność kraju zależy, wskażą sposoby jej osiągnięcia, odpowiadając piśmiennie na przedstawione zapytania. Na posiedzenia każdy przynosić będzie uwagi nad pomyślnością ojczyzny, pod różnymi względami rozważaną, nad ulepszeniem zakładów naukowych i podniesieniem ogólnego poziomu oświaty.

Każdy ze stopni znajduje się w bezpośredniej zależności od następnego wyższego stopnia; o egzystencyi innych nie wie zupełnie. Celem pierwszego jest doskonalenie się i dobroczynność, trzech następnych — dobro kraju ogólnie pojęte, ostatniego — wpływ na współziomków w możliwie szerokich granicach z poświęceniem wszelkich względów osobistych. Tenże cel jest zasadą właściwego Towarzystwa Filomatycznego, z tą różnicą, że działalność obejmuje tu szerszy zakres, rozciąga się do wszelkich związków i stowarzyszeń, których główne kierownictwo spoczywa zawsze w rękach władzy najwyższej — rządu Filomatów. Mniej obfite w szczegóły dotyczące klasyfikacyi, lecz również ścisłe i głęboko pomyślane są projekta Malewskiego, Mickiewicza, Piaseckiego i Łozińskiego.

Pierwszy, pomijając zupełnie Filaretów, ocenia Przyjaciół

jako związek szerzący oświatę, narodowość, zasady religijne i moralne, lecz nie uważa, by członkowie mogli się tu dostatecznie przygotować i stanąć od razu na czele całej organizacyi. Za właściwą szkołę w tym względzie uważa dopiero Towarzystwo Filomatyczne, które winno dzielić się na kilka gradacyi i, przeprowadzając przez nie nowowstępujących, sposobić ich stopniowo na przyszłych działaczy i kierowników społeczeństwa.

Mickiewicz dopełnia niejako Malewskiego, traktując wyłącznie o Filaretach, których dzieli na kilka różnych kategoryi. Jedni wchodzą do związków z ciekawości jedynie i nie zajmują się niczem; inni pełnią ustawy powodowani dobrym przykładem, lecz również łatwo mogliby złemu wpływowi uledz; są też tacy, co, radzi coś znaczyć, z upragnieniem wyglądają urzędu, a nie mogąc go otrzymać, gniewają się i drugich podburzają; a nawet najgorliwsi i najbardziej czynni wchodzą nieraz na błędną drogę, gardząc skromną pracą, rwą się do wielkich działań, a ostatecznie, nie uczyniwszy nic, opuszczają ręce — zniechęceni.

Stosując organizacyę zgromadzenia do tych różnorodnych jego części składowych, pragnie Mickiewicz tak rozklasyfikować członków, by najmniej usposobieni pracując w ogólniejszym zakresie, nie znali nawet głównych zamiarów i celów, starsi zaś, przewodnicząc im, formowali dopiero właściwy związek: Stopień pierwszy, oddany wyłącznie naukom utworzą członkowie nowoprzyjmowani: stopień drugi, administracyjny, powstanie z dzisiejszych Filaretów; izba dozorcza nieco zmieniona w swym składzie uformuje stopień trzeci, złączony bezpośrednio z towarzystwem kierującem czyli Przyjaciółmi.

Piasecki znów, pozostawiając Przyjaciołom dozór nad Filaretami, pragnie zwrócić główną uwagę Filomatów na prowincyę, szukać członków wśród osób różnego stanu i powołania, obywateli, pedagogów, a zwłaszcza duchownych. Każdy działać będzie w swoim zakresie, w duchu raz przyjętych zasad i według udzielonych mu instrukcyi, które ułożą wspólnie wszyscy członkowie, obowiązani zjechać się raz lub dwa razy do roku na posiedzenie powszechne. Tu podaje się ogólne sprawozdanie, przedstawia wnioski, projekta, myśli na przyszłość, które, poparte doświad-

czeniem praktycznem, staną się podstawą całej budowy związkowej i ulepszeń, jakie w niej poczynić należy. Posiedzenia dzielić się będą na przedsiębiorcze i wykonawcze: pierwsze stanowić mają o środkach i sposobach działania, wskazywać każdemu cel i właściwą drogę, drugie zostaną przeznaczone do składania raportów i obrachunków z chwil ubiegłych. Związki radzi Piasecki rozszerzać i uzupełniać, stosując się do każdego wieku, powołania i stopnia rozwoju umysłowego.

Więcej ogólnie rozpatrując kwestyę, Teodor Łoziński w uwagach swych zastanawia się przedewszystkiem nad celem Towarzystwa, którym w znaczeniu ogólnem pozostaje dobro ojczyzny, w znaczeniu zaś praktycznem — praca naukowa, ona bowiem chroni od podejrzeń, a zarazem rozszerza gruntowną oświatę. Pomyślność krajowa płynąć może z różnych źródeł, łączących się w jedną wielką rzekę szczęścia; wśród źródeł tych należy znaleźć stosowne do sił i możności, pamiętając, że głównem zadaniem jest odzyskanie bytu narodowego. Cel ten, ukryty w sercu, dziś nie może być osiągnięty, natomiast w mocy każdego są niektóre środki ku niemu wiodące, jak pielęgnowanie cnót przodków, mowy rodzinnej, poczucia narodowości, opieka nad krajowym przemysłem, handlem, rękodziełem, wreszcie wpływ na obywateli we względzie zniesienia poddaństwa. Właściwie jednak praktyczna działalność Towarzystwa winna przedewszystkiem kroczyć drogą oświatową, zakładać związki naukowe i rękodzielnicze, przy uniwersytecie zaś zorganizować szkołę z repetycyami kursów, powierzając kierunek wykładów kandydatom do stanu nauczycielskiego. W urządzeniu wewnętrznem proponuje Łoziński podział na dwie sekcye; statystyczną i literacką. W każdej ustanowią się trzy gradacye: najwyższa złożona z Filomatów używających wszelkich prerogatyw, druga — z Przyjaciół, którzy albo będą zbierać i układać wiadomości statystyczne, albo przewodniczyć repetycyom; oddalający się z Wilna utworzą trzecią klasę korespondentów, pracujących według udzielonej im instrukcyi.

* * *

Reforma Towarzystwa w duchu wyżej skreślonych projektów; pociągając zmiany w całej organizacyi, wymaga pracy długiej, wytrwałej, opartej na znajomości ludzi i stosunków, pracy, którą przeprowadzić zdolne są tylko umysły głębokie, doświadczone, umiejące stworzyć właściwą teoryę i zastosować ją do życia praktycznego. Obecność Mickiewicza, Jeżowskiego i Pietraszkiewicza staje się konieczną, towarzysze szukają sposobów i środków, jak po nadchodzących wakacyach sprowadzić ich do Wilna i zapewnić tam możliwe warunki bytu. Na jesień też odkładają się wszelkie dalsze plany, zwłaszcza, że obecnie nowe okoliczności pociągają nowe komplikacye.

Związki węglarskie i masońskie, szerząc się w całej Europie, znajdują i u nas swoich zwolenników, umysły wrażliwsze podlegają suggestyi symbolów i tajemniczych obrzędów. Fakt ten nie może pozostać bez oddźwięku wśród dotychczasowych przewodników młodzieży, Filomaci nie mogą pozwolić, by obłęd chwilowy zniszczył cały posiew ich trudów, zwłaszcza, że wielu z pomiędzy Przyjaciół i Filaretów wzięło już udział w próbach węglarskich lub masońskich. Używając wypróbowanego w tych razach środka, Zan i Łoziński delegowani od Towarzystwa wchodzą w charakterze członków do tajemniczych lóż, pierwszy do masonów drugi do węglarzy, gdzie wkrótce zyskuje wyższy stopień, czerwonowstęgowego. Wstęgi te, sztylety, znaki różne, wiersze obrzędowe wzbudzają uśmiech politowania wśród poważnych Filomatów. »Zan źle wychodzi na masoneryi«, pisze w tym czasie Malewski do Jeżowskiego, »brak mu pożytecznych znajomości. Duszakiewicz zaprasza go do Romera, który ma robić reformę. Będą nowe dziwolągi«. W parę dni później oznajmia Malewski, że »Zan u Romera składał przysięgę na nożyczkach zamiast sztyleta na posłuszeństwo rozkazom wolnomularstwa reformowanego i odebrał moc przyjmowania w podobny sposób innych członków, nie wiedzieć po co, na co, sposobem najgłupszym w świecie«.

Słowa te świadczą wymownie o zapatrywaniach Filomatów na wolnomularstwo. Widząc jednak jak prąd ten porywa młodzież, zdecydowano się uwzględnić go w przyszłej reformie i wprowadzić w klasach niższych więcej ostentacyjny ceremoniał, jedy-

nie zaś Towarzystwu najwyższemu pozostawić jego pierwotną, pełną powagi prostotę.

Nowe myśli, projekta, ruch ogólny wracają Towarzystwu dawną jego moc, życie, nadają cechę męskości i zdrowia. U Filaretów duch się podnosi, rozwój pracy naukowej idzie w parze z postępem na drodze przyjaźni i wzajemnego zaufania. Przechadzki zamiejskie, majówki w górach znów pociągają młodzież, która, żegnając Wilno, urządza uroczysty obchód na cześć Tomasza Zana, ofiaruje mu pierścień i medal z napisem »Przyjaźń zasłudze«, a wdzięczność swą wypowiada w pięknym i serdecznym wierszu:

»Nie smuć się, o najmilsza ojczysta dziedzino!
Stracona niedołężnych dzieci swoich winą,
Nie smuć się, że plądrują cię nieprzyjacioły,
Wielkich pradziadów depczą bezkarnie popioły!
Nie smuć się! Ty, radości! wzleć nad nieb sklepienie,
I przeniknij twą iskrą ojców naszych cienie,
Niechaj się uweselą, że jeszcze te niwy,
Gdzie ich cnoty, ich męstwa świat oglądał dziwy,
Nie przestały wydawać ich krwi godnych synów.
Ach tak! do wielkich siebie sposobimy czynów!
My, młodzieńcy, oświaty gaszone pochodnie
Wzniecając w tem ukryciu od wrogów swobodnie,
Sposobim się wnieść kiedyś w te głuche sklepiska,
Skąd jęk niemy niewinna ludów krew wytryska.
O bracia! jakże świetnie patrzy przyszłość nasza,
A wspomnienie jej wzbudza wspomnienie Tomasza!
On pierwszy serca swego słodkimi przymioty
Pociągał nas za sobą, a szedł drogą cnoty.
Bawiąc się z nim, wspólnyśmy żywot polubili,
Wśród igraszek wielkieśmy rzeczy myślili.
Jakież winniśmy jemu złożyć dziękczynienia?
Mocne są czucia, słabe wszelkie wyrażenia.
My też dla niego innej nie znajdziem nagrody,
Jako serca cnót pełne, przyjaźni i zgody.
Na nich leży potęga, na nich trwałość nasza,
A to jest, co najtrwalej uwieczni Tomasza!«

Z nadejściem wakacyi narady w sprawie reformy Towarzystwa odkładają się na wrzesień, gdy zdecyduje się kto z członków kierujących, pozostanie w Wilnie i gdy określą się warunki zewnętrzne, przybierające coraz ostrzejszą formę. Ścisły dozór

rządu nad szkołami Lankastra nie wróży nic dobrego. Rektor Malewski, powiadomiony o istnieniu Filaretów, obawia się o los uniwersytetu, a w Związku Przyjaciół ostrożność każe spalić wszelkie papiery noszące wobec władzy cechę kompromitującą. Filareci wyjeżdżają opatrzeni Instrukcyą krajową, lecz co do korespondencyi pojawiają się już pewne obawy. Towarzystwo zaczyna działać ostrożniej, szukać sposobów, jak ukryć pracę swą przed czujnem okiem władz. Patrząc jednak na owoce tegorocznych zabiegów, na zgromadzenie Filaretów, na reformę i wzrost Przyjaciół, na Komitet statystyczny i Instrukcyę krajową, na projekty przyszłej organizacyi, na wszystko, czego dokonało przez tych kilka miesięcy, nie przewiduje, że właśnie Instrukcya ta stanie się w znacznej mierze powodem przyszłej zguby i poda w ręce wrogom główną nić przewodnią, że cicha praca nad oświatą, moralnością i dobrobytem narodu zostanie dośledzona i ukarana, jak zbrodnia, więzieniem i wygnaniem.

Rok piąty. 1821—1822.

Rok szkolny 1821—1822 obejmuje przedostatni okres dziejów Filomatów i towarzystw przez nich zawiązywanych, okres nacechowany ostrożnością i smutnem przeczuciem grożącego niebezpieczeństwa. Przebieg działań, dotąd jasny i systematyczny, bo poparty ścisłemi datami, przybiera tu formę nieokreśloną, pełną wątpliwości i powikłań; zaostrzone stosunki polityczne, baczny dozór zarówno ze strony władz uniwersyteckich jak policyjnych każą otoczyć czynności głęboką tajemnicą i pilnie ukrywać wszelkie ich ślady. To też ilość zabytków piśmiennych przedstawia się stosunkowo szczupło, zamiast dawnych ścisłych protokułów znajdujemy urywane, półsłówkowe notatki, a nawet w listach głucho po większej części o zajęciach na polu związkowem. Praca, krępowana na każdym kroku nie może rozwijać się pomyślnie, zwłaszcza, że obok ciężkich warunków zewnętrznych, wewnętrzne przybierają coraz smutniejszy obrót, a kierownikom brak już sił, energii i środków do walki.

Ostatnie miesiące 1821 r. przedstawiają niemal zastój zupełny czynności towarzyskich. Rukiewicz pozostaje w dalszym ciągu w gubernii Grodzieńskiej, Pietraszkiewicz, za stypendyum pobierane przy uniwersytecie warszawskim, musi objąć posadę nauczyciela geografii w Lublinie; liczbę nieobecnych powiększa Sobolewski, wyjeżdżając na nauczyciela do Kroż. Malewski do połowy listopada pozostaje w Szczorsach, majątku hrabiego Chreptowicza, i wraca po to tylko, by, wraz z Maryanem Piaseckim, udać się w podróż do Warszawy, a stamtąd po kilku miesiącach zagranicę. Mickiewicz coprawda otrzymuje urlop roczny i przybywa do Wilna, lecz stosunek z Marylą, wznowiony podczas wakacyi, rozjątrzył świeżą ranę jego serca, odbierając wszelką zdolność do pracy. »Adam przyjechał z Tuhanowicz bez mała jak zwaryowany, — pisze o nim Czeczot, — nic prawie nie robi, trudno z nim nawet i gadać, milczy, lulkę pali, chodzi wiele, zawsze zamyślony, a o niczem dobrem nie myśli, bo całą myśl opanowała Marya. Słowem, zbrzydził świat i życie, ledwie że nas nie zbrzydził, żyje na świecie imaginacyi, a jakkolwiek mu tam żyć przyjemnie, nam nieprzyjemnie na jego męki, stratę zdrowia, wytężenie takie sił wszystkich, a zupełną nieczynność życia patrzeć. Zdaje się, że mu zdrowie służy, ale skrycie się bez wątpienia niszczy. Jeszcze na nieszczęście blizki pobyt od miasta sprowadza często do niego równie w kochanku zaślepioną kochankę. Te wizyty są to gwałtowne wybuchy miotanego i tak najżywszą namiętnością wstrząśnienia. Już teraz szczęścia i przyjemności nie zna, jedynem jego ma być szczęściem sylwetka Maryi, którą sobie, i to długoby mówić przez jakie drogi, przez jakie sposoby, kazał zrobić. Nie życzyłbym nikomu tak kochać, a szczególnie takiemu, którego dusza do kochania wyższych przedmiotów powinna być obrócona«.

Jeżowski, który z powodu licznych przykrości opuścił miejsce u Narbuta i pozostał bez żadnych środków, musi usunąć pracę towarzyską na plan dalszy, a myśleć o zaspokojeniu potrzeb codziennych. Jeden Zan staje stosunkowo na pewniejszym gruncie i tak urządza warunki materyalne, że wystarcza na chleb dla siebie i rodzeństwa; po ciężkich wstrząśnieniach, które spadły

nań w roku zeszłym, wraca powoli równowaga, a z nią zmysł praktyczny, trzeźwy pogląd na rzeczy i zdolność do działań. Jego też pracę i zasługi podnoszą towarzysze w wesołej pieśni filareckiej:

»Hejże, bracia Filareci,
Czerpajmy z nauk krynicy,
Niechaj dłoń nasza roznieci
Ogień w przyjaźni świątnicy.
Wesoła myśli, wesoła,
Przebywaj, przebywaj z nami,
Bratnich zabaw ożyw koła,
Gość między Filaretami!
Hejże! i my Filareci,
Nawzajem weseląc nas,
Łączmy serca, a zaświeci
Nieprzeżyty jeszcze czas.
Stójcie! Bracia wśród wesela
Wspomnijcie, kto je wam dał,
Kto jego słodycz udziela,
Kto nas złączonych mieć chciał.
Niechaj mu wije dłoń nasza
Nieśmiertelności wawrzyny,
I niechaj imię Tomasza
Czczą ojców przykładem syny!
Wdzięczność mu pomnik wystawi,
A przyjaźń, gdy go poświęci,
Wyryte imię zostawi
W wiecznym kościele pamięci.
Ty z górnych niebios sklepienia
Zstąp do nas, sławo skrzydlata,
Ucz potomnych uwielbienia,
Którem dziś bracia czczą brata.
Hejże, bracia Filareci!
Weselmy nawzajem nas,
Szlachetny się zapał nieci,
Jeszcze nie przeminął czas!
A w chlubnej losu przemianie,
Gdy się wspólną wesprzem dłonią,
Na szczeblu potęgi stanie
Przyjaźni sztandar z Pogonią!

Wypadki zewnętrzne nie wróżą przecież, by przepowiednia ta mogła się kiedy spełnić, a dalekie zeszłoroczne projekty i plany rozbiły się w znacznej mierze o twardą rzeczywistość. Nadzieje pokładane na uniwersytecie okazały się mrzonkami, zrozumiano,

że z tej strony nie pomocy, lecz przeszkód należy się spodziewać; dokoła skupiły się trudności natury moralnej i technicznej, a tu trzeba było wynaleźć i zebrać kierowników zdolnych, przewodniczyć związkom i prowadzić je drogą stopniowego rozwoju, trzeba było rozpocząć zamierzoną pracę nad podniesieniem w kraju nauk, zasad moralnych, bogactw, dobrobytu. Już w roku zeszłym ustrój Towarzystwa okazał się w znacznej mierze nieodpowiednim do jego dalszych celów, wywołał projekty różnych zmian i uzupełnień, z czasem reforma ta przedstawiła się w nieco odmiennem świetle, zrozumiano bowiem, że winna się ona rozpocząć nie od góry, lecz od dołu, że kodeks Filomatów — to wyraz ostatni organizacyi, wpierw zaś należy wprowadzić konieczne zmiany w zgromadzeniu Filaretów i ustanowić klasyfikacyę, odpowiednią potrzebom chwili; następnie zająć się Przyjaciółmi, utworzyć z nich związek, któryby obejmował wszelkie gradacye społeczne na całej przestrzeni rodzinnego kraju i wpływał na opinię publiczną; wreszcie zwrócić baczną uwagę na obce tajne stowarzyszenia, wyszukać sposoby i środki, jak nadawać im nieznacznie pożądany kierunek, a wstrzymywać działania niewczesne, lub bezpożyteczne; na końcu dopiero Towarzystwo opracuje własne ustawy, przybierając postać odpowiednią do uprzednio zorganizowanych niższych stopni. Żeby zaś dawne prawodawstwo nie krępowało postępu działań, a takoż ze względu na niebezpieczeństwo zebrań ogólnych regularnie odbywanych; 15 października 1821 roku zapada u c h w a ł a, na mocy której nazwa Filomatów i dotychczasowe prawa obowiązujące, ulegają zawieszeniu, Towarzystwo pozostaje bez nazwiska, a członkowie zgromadzają się w terminach, zastosowanych do potrzeby i okoliczności; rozdzielają oni pomiędzy siebie całą pracę organizacyjną, podają na piśmie różne projekty i wnioski, debatują nad rozwojem reform, dotyczących Przyjaciół, Filaretów, obcych stowarzyszeń, a wreszcie własnych ustaw. Uchwała nakazuje w tym względzie wielką ścisłość i systematyczność: zwraca uwagę na wady narodowe, niepozwalające zadośćuczynić najpilniejszym potrzebom kraju, radzi rozpatrzyć je szczegółowo, a powziętą opinię wciągnąć w skład dogmatów filomackich; następnie zaleca rozklasyfikować przyszłe zakłady

Towarzystwa, czyli jego wyższe i niższe stopnie, skreślić cały porządek działania, a w urządzeniu kursów naukowych zastanowić się przedewszystkiem nad wyborem osób, któreby mogły pozostawać przez lat kilka na stanowisku kierowników i nauczycieli.

Organizacyę wyżej wspomnianych kursów roztrząsa obszernie Malewski w listach ze Szczors przysyłanych. Pragnie on wykłady elementarne przez członków prowadzone ukończyć w przeciągu pierwszych dziewięciu miesięcy, pozostawiając resztę czasu na naukę języków, powierzoną umiejętnym płatnym pedagogom, oraz na inne nieelementarne studya. Kierownictwo kursów projektuje złożyć w ręce specyalnego komitetu, którego obowiązkiem będzie zbierać wiadomości o domowych zatrudnieniach każdego ucznia, oświecać go w wyborze przyszłego powołania, rozwijać w kandydatach do stanu nauczycielskiego wytrwałość i wyższe pojęcie o przyszłych obowiązkach, osoby zaś wstępujące na inną drogę, uczyć cenić pracę pedagogiczną i wspierać ją według możności. Z tego punktu widzenia określa Malewski główny pożytek kursów Towarzystwa; zresztą zapatruje się na nie dość sceptycznie, uważając, że zasób wiadomości członków jest zbyt szczupły, by wykład ich mógł wpoić głęboko w umysły słuchaczy główne zasady nauk ścisłych.

Brak nam zupełnie pewnych danych o poglądach na tę kwestyę innych Filomatów, a zwłaszcza głównego projektodawcy, Józefa Jeżowskiego. Jedynem świadectwem, że komitet został zorganizowany są dwa pisma p. n. »od Komitetu Naukowego do Izby Dozorczej«, gdzie podają się materyały i tematy do wypracowań, wykazuje się konieczność ich systematycznego układu, a zarazem określa się porządek, jaki winien być zachowany w przekładach dzieł z obcych języków. Poza tem jednak mrok zupełny pokrywa zarówno całą działalność komitetu, jak też postęp pracy w związkach filareckich, których główne kierownictwo pozostaje w dalszym ciągu w rękach Przyjaciół, a zwłaszcza wspólnego prezydenta Tomasza Zana. Przechowana lista Filaretów świadczy tylko, że grono ich powiększyło się o kilku nowych członków, zapisanych do związków w następującym porządku:

Wydział prawny.

Związek Biały — Krzywicz i Kazimierz Domejko.

Związek Liliowy — August Hrehorowicz, Jan Krechowiecki, Franciszek Ostrowski, Justyn Pol i Antoni Płaszyński.

Wydział fizyczny.

Związek Różowy — Władysław Bürgiel, Józef Giedrojć, Eustachy Iwanowski, Jerzy Mickiewicz, Otto Ślizień, Adam Sobolewski.

Związek Amarantowy — Michał Antoniewicz, Konstanty Gusiński, Paweł Siezieniewski.

Związek Zielony — Kazimierz Chrzczonowicz, Adryan Ejtnin, Władysław Heydatel, Józef Hromowicz, Stanisław Zakrzewski, Wincenty Żyliński.

Wydział medyczny.

Związek Granatowy — Stefan Przyborowski.

Wydział literacki.

Związek Błękitny — Michał Danejko, Tomasz Kraskowski, Franciszek Lewandowski, Tomasz Massalski, Teodor Miłakowski, Ignacy Stankiewicz, Tadeusz Zieliński.

Nowoprzyjęty lecz już po paru miesiącach zapisany na listę nieobecnych, członek Fryczyński, niewiadomo do którego związku i wydziału był zaliczony.

Nadszedł listopad, a z nim powrót ze Szczors i wyjazd do Warszawy Franciszka Malewskiego. Brak serdecznego towarzysza, a zarazem głębokiego i logicznego teoretyka boleśnie czuć się daje na każdym kroku, on sam zaś tęskni za przyjaciółmi młodości, których towarzyszący mu Maryan Piasecki ani w setnej części zastąpić nie może. Wymownym wyrazem tęsknoty tej są listy do kolegów, pełne żalu za minioną przeszłością. »Prawdę mówisz, — pisze do Mickiewicza, — że Kowno było bliższe Wilna niż Warszawa: korespondencya szła żywo — dziś ustała. Ale też przypomnij sobie, czem ja byłem w Wilnie, czem dziś jestem

czem ty sam byłeś przez półtora roku. Narzekaliśmy obadwaj, mówiliśmy, że z ostatniem wysileniem los uparty pokonywamy, jednakże oddałbym z chęcią całe teraźniejsze życie za tę gorzką przeszłość. Gdyby to słowo »powracam« należało do mnie, jużbym dawno był z wami, sam tonąc, miałbym tę przynajmniej pociechę, że jeden z was z mojej ręki pomocą dobiłby się do brzegu. Na samem wsiadaniu zląkłem się, brzemię łez siły mi odjęło, jechałem, jak na straszną jakąś uroczystość, na dzień sądny; rozmyślałem o tych czterech latach ubiegłych z wami, tak były piękne, tak czyste, żem się pocieszył i powiedział sobie: gdyby dziś uderzyła godzina, byłbym spokojny, bo nic nie mam do wyrzucenia sobie. Lecz cóż, obok tej myśli powstała inna, zapytałem siebie: czyli druga życia połowa, którą mam zacząć, będzie do tej podobna, czyli oddalony od was, bez widoku ciągłej pracy, gorliwości, potrafię siebie w jednych chęciach utrzymać«. Co gorsza, Malewski uważa swój pobyt w Warszawie w znacznej mierze za stratę czasu; uniwersytet tamtejszy nie może zadowolnić wymagań Filomaty, w uczęszczaniu na wykłady nie widzi wielkiej korzyści, oto bowiem, jak się o nich wyraża w listach do Pietraszkiewicza i Jeżowskiego: »Nie podoba mi się wcale uniwersytet, mało mi znany oprócz fakultetu prawa; i tu mierność, za wyjątkiem lekcyi Szaniawskiego i Bandkiego, a studenci gorsi od wileńskich. Bentkowski dobry, ale nie umył się do Lelewela. Rektor, oto człowiek, jakich mało, uczony *en forme*, przytem zgoła nie pedant. Skarbek takoż niewiele znaczący, mniej rozumie, niż mówi. Byłem na posiedzeniu Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Dalibóg nie warte Pacowskich [1]. Linde najuczeńszy. A jakie programa do nagrody o statystyce napisali! Nasza instrukcya, nie chwaląc się, lepiej rzeczy objęła.

»Poznałem bliżej Zabiellewicza, pisze w parę tygodni później. Jest to człowiek dobry, poczciwy, wierny, nic jednak wielkiego po nim wróżyć nie można; odmówi, co przeczyta, doda coś swego, nic więcej. Co do lekcyi, dość jasna, recytowana, gustu mało, organ

[1] W domu Paca przy ulicy Wielkiej w Wilnie odbywało swe posiedzenia Towarzystwo Filomatów.

jak taczka z kamieniami. Filologowie, wyjąwszy Campi'ego, nudni, ale gruntowni. Osiński — fircyk, Francuz, daje lekcyę dla kobiet. Szwejkowski, rektor, wart być rektorem, ale nie takim malowanym, jakim być każe urządzenie tutejszego uniwersytetu. W Towarzystwie Przyjaciół Nauk Pijarowie grają wielką rolę, nawzajem siebie wspierają. Oprócz ofiar Staszyca, wylanego na dobro powszechne, oddającego swoje skarby, ale za to chcącego wszędzie przewodniczyć i podług siebie zarządzać, Towarzystwo nie ma czem się pokazać. Byłem na dwóch sesyach, na jednej działu nauk, na drugiej ogólnej. Na obu nic szczególnego; prywatna była nieliczna, osób 8 czy 10 tylko. Niemcewicz dał do czytania list Sękowskiego, i nic więcej. Krótko mówiąc, nie mieniałbym ich posiedzeń na nasze; i ducha, który nas ożywiał, próżnoby się wśród takich heterogenrów dopytywać. Na 20 członków, którzy siedzieli, żaden nie umie po grecku, a kilku może zna język niemiecki«.

Znudzony Warszawą, stęskniony do przyjaciół, z niecierpliwością oczekuje Malewski przyjazdu kuratora, w nadziei, że znajdzie sposobność wspomnieć mu o Mickiewiczu i Jeżowskim, jako o młodzieńcach stokroć zasługujących, by w przyszłości zająć stanowisko docentów przy uniwersytecie a obecnie, na jego koszt uzupełnić wiedzę swą studyami za granicą; ufa, że książę będąc w Wilnie, pozna ich i oceni, że w dalszą podróż naukową ruszy nie jeden lecz trzech kierowników Towarzystwa Filomatycznego, którzy cały zasób zdobytych wiadomości przyniosą kiedyś współziomkom w ofierze.

Wypadki i okoliczności zdają się zrazu nadzieję tę potwierdzać, a pierwsze miesiące nowego, 1822 roku, okazują się przyjaźniejsze zarówno dla rozwoju uniwersytetu wileńskiego, jak dla warunków bytu Filomatów i ich dalszych planów. Powracającego na katedrę historyi Joachima Lelewela studenci witają owacyjnie. Mickiewicz pisze piękny, pełen zapału wiersz. Na prelekcyach panuje taki tłok, że sala nie może pomieścić licznych słuchaczy. Jeżowski, który przedstawił uniwersytetowi opracowane przez siebie objaśnienia do dzieł Horacego, otrzymuje 300 rb. nagrody. Kursy naukowe Filomatów przenoszą się do sal uniwersyteckich,

rektor bowiem bez trudności zgodził się udzielić pomieszczenia na korepetycye, dawane uczniom przez starszych i wykształceńszych kolegów. W pierwszych dniach stycznia rozpoczyna Jeżowski wykłady nieznanej dotąd w murach świętojańskich hodegetyki i, ku wielkiemu zdziwieniu rektora, na lekcye zjawia się zamiast spodziewanych sześciu od sześćdziesięciu do dziewięćdziesięciu słuchaczy. Powodzenie Jeżowskiego napełnia radością serca przyjaciół. »Jeż zdrów«, pisze o nim Czeczot do Pietraszkiewicza, »przeniósł się wczoraj do danej mu przez rektora, *quasi* docentowi, stancyi, postąpił wysoko, szwajcar go już profesorem nazywa. Byłem raz na jego lekcyi, było słuchaczów ze 60. Przedziwnie Jeż się tłumaczy! Anim się spodziewał, aby ten filozof mrukliwy mógł tak być przyjemnie wymownym«.

Malewski na wieść o korepetycyach Jeżowskiego wróży stąd jak najlepsze skutki. »O mój Jeżu«, pisze doń 5 stycznia 1822 r., »za cóż nie doczekałem tej chwili szczęśliwej, której tak mocno od dawna pragnąłem, za co ciebie, stworzonego do uczenia, uczącego na jawie nie oglądam? Lecz mam cokolwiek imaginacyi: dręczę ją, żeby mi wszystko wiernie przedstawiła i przestaję na tem, że choć w cieniu obraz ten mogę rozpoznać. Początek był nadspodziewanie łatwy; mam to ledwie nie za cud, że rektor bez żadnych »gdyby, jeśli, ale, może«, dał salę i sam miał być na lekcyi. Powinno to służyć za dobrą wróżbę, i już teraz nie wątpię, że lepszy obrót weźmie twoja sprawa. Kurator ma najmocniejsze przekonanie o potrzebie docentów i w mojem rozumowaniu trafił na toż samo, cośmy już dawno odgadli, na zwyczajny nasz wykrzyknik: »ludzi, ludzi, ludzi«. Będzie więc na twojej lekcyi, i, o ile sądzić mogę z jego rozmów, z jego opinii, o których słyszałem, weźmie ciebie na swoje plecy. *Io triumphe!* Uprzedziłeś moje wszystkie projekta! byłem gotów w rozmowie, którą za powrotem księcia do Warszawy mieć się spodziewam, opowiedzieć stan twój i Adama. Lecz teraz już i tego nie potrzeba. Ty przez swoją hodegetykę. Adam przez swoje pisma dacie się poznać dostatecznie, a ręczę, że książę będzie z tego tylko sądził i w nic innego nie uwierzy. Zawsze jednak, co do Adama, zdaje mi się

być rzeczą potrzebną, żeby jakąś rozprawę naukową prozą wypracował, bo książę nie dowierza wierszom«.

Nadzieje Malewskiego zdają się przybierać cechę jeszcze większej pewności, gdy, po przedstawieniu się osobistem kuratorowi, wchodzi w bliższe stosunki z sekretarzem jego Dobrowolskim, dowiaduje się o przyszłych planach i projektach. »Ostatni tydzień lutego«, pisze do Pietraszkiewicza, »zbliżył mnie do samego kuratora. Od obiadu, na którym byłem u niego, kilkakrotnie wzywany, stawiałem się. Zarobiłem, jak Zabłocki na mydle. Musiałem napisać we trzy dni projekt ukazu, zmuszającego wszystkich urzędników sądowych w Rosyi do uczenia się prawa w uniwersytecie, a do tego wypracować osobne pismo o adwokatach litewskich. Głowa musiała się palić, kiedym we trzy dni $2^1/_2$ arkusza napisał bez żadnej książki, bez żadnej pomocy. Minęło wszystko, ale za to ostatnia rozmowa z kuratorem trwała przeszło 3 godziny; wypytywał mię o Wilno, o różne szczegóły, zachęcał do teoryi prawa. Okazał mi się prawdziwie gorliwym, rozważnym, ma wielką duszę. Miałem sposobność mówienia o Jeżu i Adamie, prócz tego dałem małe pismo o osobach Dobrowolskiemu. Ożyła we mnie nadzieja, której skutków czekajmy. Posłał książę od siebie do uniwersytetu pismo o układaniu ksiąg elementarnych. Wykapany nasz projekt! Chce skupować z różnych krajów używane elementarne książki i podług nich nowe układać. Będę pisał do Jeża, aby powiedział kuratorowi, żeśmy już dawno podobną pracę zaczęli«.

Projekt wysłania ośmiu młodych za granicę kosztem uniwersytetu, zastanawia szczególniej Malewskiego; pewny jest, że Jeżowski, Mickiewicz i Zan nie ujdą uwagi księcia. To też w kilka dni po wyjeździe jego z Warszawy, pisze szczegółowo do przyjaciół, wyrażając swą opinię i przyszłe widoki: »Kurator zapewne już w Wilnie; wszystkie nadzieje zamknięte w tym miesiącu jego pobytu. Dla objaśnienia, wam potrzebnego, obszerniej cokolwiek o nim opowiem. Ilem go poznał, gorliwy, światły, niepospolitej duszy człowiek. Pierwsze z nim rozmowy moje były z daleka, krążyły tylko koło prawa; zawsze widziałem chęć żywą polepszenia stanu uniwersytetu i niektóre wiadomości o wadach prze-

starzałych, jakie w nim przemagają. Na obiedzie miałem sposobność poznania domowego życia: nic przesady pańskiej, wszystko skromnie, grzeczność ujmująca. Księżna Sapieżyna, matka jego żony, wielka liberalistka, wciągnęła w rozmowę o teraźniejszym stanie politycznym: to pokazuje, jakim duchem wszyscy są ożywieni. Lecz najważniejsza rozmowa była ostatnia; trwała przeszło dwie i pół godziny, toczyła się o osobach, o uniwersytecie, zdało się, że ufał moim słowom. Pytał zdania o Kontrymie, Daniłowiczu, Kapellim. Chodanim, Sakowskim, Marcinowskim, Chodźce, Twardowskim. Mówiłem o każdym podług mego zdania, bez ogródek. Komitet szkolny, urządzenie prawa i docenci — były materye, o których traktował w ogólności. Sam zadawał pytania. Powiedziałem mu wszystkie przeszkody, których młodzież doznaje; ustanowienie docentów podałem za sposób najlepszy poprawienia biegu nauk w uniwersytecie, seminarya nauczycielskie, jawność i wysłanie kilku za granicę — za sposób polepszenia instrukcyi w szkołach. Miałem tu zręczność mówienia o was. Słuchał z uwagą i wypytywał, czy umiecie języki, czy macie opinię u profesorów, czy wasza ochota nie jest przemijająca? Prócz tej rozmowy, podałem Dobrowolskiemu notę o was (a książę będzie niezawodnie wiedział), do czego każdy może być użyty i jakiem wsparciem zasilony. Daj Boże, aby się wszystko na dobrem skończyło. Gdyby przyszło z nim do rozmowy, trzeba pamiętać, żeby o niczem nie mówić z nieśmiałością, bo tej nie lubi, nie wymówić się z żadną kontradykcyą, bo zaraz złowi, i nie mówić bardzo długo, bo on zaraz rozważa, a mając wiele do rozważania, trudzi się i zacina. Toż samo i w pisaniu. Długie peryody go nużą. On sam zadaje pytania. Chcąc utrzymać rozmowę i coś potrzebnego wetknąć, trzeba tak dać odpowiedź, aby nowe obudziła pytanie; inaczej kilka minut po odpowiedzi będzie niemych, póki się nie namyśli, bo nic bez namysłu nie mówi, i czczych słów nie chce słuchać; zaraz się kręci. Ubranym trzeba być czysto, bez przesady; zaraz to spostrzega. Oczu nie spuszczać, bo ciągle chce w nich czytać. Wzrok ma przenikający, nie należy się mieszać. W tytułach wystrzegać się »jaśnie oświecony« albo »jaśnie oświecona wasza ks. mość«, nic więcej tylko »książę«, »mości książę«. Mowa jego

jest, jak mówią Francuzi, *filandreuse,* słowo od słowa długo się ciągnie; trzeba mu dać skończyć, chyba, kiedy długo szuka, można mu podsunąć koniec. Oto jest wszystko, co o nim chciałem powiedzieć; rzeczywiście nie jest dumny ani nieprzystępny, jak go wystawiają; wszystko mówić można nawet od serca. Ważne będzie także poznanie się z Dobrowolskim, bo ten ma wiele wpływu na księcia. Tego sami łatwo zdecyfrujecie i po dwóch rozmowach poznacie, jak trzecią prowadzić należy. Com o nim wprzódy pisał, spodziewam się, że uznacie za prawdę. Dziś piszę do niego raz jeszcze i napomknę mu o naszych książkach elementarnych, aby się Ciebie o to zapytał. Prawdęś mi napisał, że teraz projekt dawny byłby w porę«.

Listy Malewskiego, rzucając wiele światła na sposób myślenia kuratora i jego przyszłe zamiary, zdają się być zapowiedzią lepszych czasów, gdy praca naukowa Towarzystwa zyska pomoc i opiekę uniwersytetu a tajemna działalność organizacyjna będzie się mogła swobodniej i bezpieczniej rozwijać. Budząca się nadzieja podwaja energię, to też, począwszy od stycznia 1822 r. członkowie zajmują się szczerze zamierzoną reformą całego ustroju związkowego, a liczne projekty w tym względzie układają zarówno Filomaci jak Przyjaciele, zależnie od tego, czy odnoszą się one do wyższych lub niższych stopni. Chodźko popiera tu żywo podany w roku zeszłym przez Zana projekt drobnych związków z młodzieży zostającej poza organizacyą filarecką; Porębski zwraca uwagę na potrzebę przedstawicieli w każdym zakątku kraju, a myśl jego rozwija obszerniej Kozakiewicz, wykazując przytem konieczność stałych prawideł w korespondencyi, obejmującej inny zakres w stosunku do oddalających się z Wilna Filaretów inny zaś dla członków związku Przyjaciół. Piasecki w dwu wyczerpujących rozprawach zapatruje się na filaretyzm jako na układ, który winien odpowiadać ściśle umysłowym i moralnym potrzebom młodzieży, uczyć jak korzystać praktycznie z nabytej wiedzy i stosować ją do potrzeb kraju. Autor wypowiada tu swe poglądy na źle zrozumiany patryotyzm, który każe nie mówić po rosyjsku, nie zajmować posady rządowej, rozprawiać o ojczyźnie, a nic dla

niej nie robić; zastanawia się nad ciasnotą umysłową młodzieży, która poza pracą pedagogiczną nie widzi w nauce konkretnego celu, nie rozumie, że winna korzystać z nabytej wiedzy, starając się podnieść w kraju przemysł, handel, rękodzieła, rolnictwo; że obowiązkiem prawników jest zająć urzędy gubernialne i powiatowe, które dziś ze szkodą naszego społeczeństwa spoczywają w ręku Rosyan lub Niemców. W tym celu pragnie wzbudzić w Filaretach poczucie wyższego przeznaczenia jednostki, wytłumaczyć istotę prawdziwego patryotyzmu, a wreszcie wskazać, jak mają stosować nabyte wiadomości do potrzeb ziemi rodzinnej.

(C. d. n.)

Stanisława Pietraszkiewiczówna.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

O Cypryanie Norwidzie. Próba charakterystyki. Przyczynki do obrazu życia i prac poety, na podstawie źródeł rękopiśmiennych. *Adam Krechowiecki.* Lwów 1909. Gubrynowicz i Syn. Tomów 2. 8-ka; kt. nlb. 2, str. 244, kt. nlb. 1; — kt. nlb. 2, str. 324, kt. nlb. 2

Fenomenalność talentu Krechowieckiego jest zadziwiająca! Prawnik z zawodu, nie stał się badaczem ustawodawstwa karnego lub cywilnego, a natomiast poświęcił olbrzymie zasoby swoich zdolności twórczych i pisarskich, dziedzinom zupełnie innym.

Dar twórczy przyniósł na ten świat ze sobą, ażeby zabłysnąć szeregiem znakomitych powieści historycznych w chwili tak trudnej, jaką była ta, w której wystąpił, a wystąpił tak świetnie, że go nie zaćmiła promieniejąca wówczas całą pełnią błysku indywidualność Sienkiewicza. W innych warunkach jego »Szary wilk« stanowiłby epokę. Pomimo wszelako tak niepomyślnej konstelacyi, Krechowiecki od razu stanął na wyżynach naszego powieściopisarstwa, jedynie dzięki niewyczerpanym skarbom myśli i uczucia.

Publicystyka, której oddał się całą duszą, nie zabiła w nim popędu, który kierował lot jego ku słońcom niebosięgłym! Zawsze i wszędzie brał w nim górę rozmach historyczny, kierując myśl jego i pióro świetne przedewszystkiem ku historyi literatury. Ile zdziałał dla niej? — próżno kusić się o wyliczenie tych zasług mnogich. Wystarczy chyba, jeżeli nadmienimy, że on to wydał akta procesu filareckiego w »Roku Mickiewiczowskim«, że z pod jego świetnego pióra wyszła książka p. n. »Bohdan Zaleski o sobie i współczesnych«, że wreszcie, żeby nie

bawić się dłużej w wyliczanie szczegółowe, bez jego pomocy nie byłoby doszło do skutku, pięciotomowe wydanie »Korespondencyi« J. B. Zaleskiego, stanowiącej źródło niewyczerpane faktów i wiadomości pierwszorzędnego znaczenia zarówno dla historyków literatury, jak niemniej dla dziejopisarzy emigracyi polskiej we Francyi. Ale nie na tem koniec zasług jego!

Przemilczeć wolę setkę faktów popierania materyalnego, jakiego chętnie udzielał ludziom, pracującym w literaturze czy publicystyce. Uczynność jego w tej mierze była wprost wyjątkowa, z jaką dzisiaj trudno bardzo spotkać się gdziekolwiek.

Natomiast niepodobieństwem byłoby przemilczenie książki, wymienionej w tytule, przynosi ona bowiem takie mnóstwo nowego materyału, że wprost dziw bierze na widok Sezamu wiadomości o pisarzu, co do niedawna był pogrążony w mrokach zapomnienia, i teraz dopiero zasłony, jakie go tajemniczo chroniły przed oczyma badaczy, odsłoniły się głównie, dzięki studyom p. Krechowieckiego.

Nieszczęściem Norwida była kobieta, o której Teofil Gauthier napisał wymowną strofę:

Est ce la Madonne des neiges?
Un sphinx blanc que l'hiver sculpta.
. . . . . .
Oh, qui pourra fondre ce coeur
Oh, qui pourra mettre un ton rose
Dans cette implacable blancheur!

Kobieta ta była złą gwiazdą Norwida, który, jako człowiek, odznaczał się głęboką wiarą, szczerą religijnością i gorącem przywiązaniem do Kościoła katolickiego. Uczucia te nie pozwoliły mu ani na chwilę dać wciągnąć się w obłęd Towianizmu, ale też nie wyparły z myśli poety marzonej miłości, chociaż w chwilach najcięższych zwracał się zawsze do Boga, jako jedynego źródła pociechy, pisząc:

. . . ludzie, kiedy mnie mylili
Było mi zawsze tem rzeźwiej do Boga,
I rozpiórzały się ramiona moje,
Patrzyłem w zawrót gwiazd, w wieczne spokoje...

Pani Kalergis, kobieta, wzbudzająca podziw powszechny dla piękna swojego ciała, — złą miała duszę. Żyjąc wyłącznie zmysłami, jako że po ojcu Rosyaninie odziedziczyła instynkt bezładu płciowego, właściwego wszystkim narodom rasy mongolskiej, zmieniała kochan-

ków, jak się zwykło zmieniać zużyte rękawiczki, zwłaszcza od czasu zamążpójścia swego za głupiego wyjątkowo Greka. Była wprawdzie pełna nastroju poetycznego, kochała muzykę Liszta, Chopina i Mozarta, ale właśnie, skutkiem tego, że stała na wyżynach kulturalnych, zdradzała swego małżonka najpospoliciej w świecie, pociągając za sobą najpierwsze znakomitości ówczesne.

I jakkolwiek w powyższym sarkazmie tkwiła rzeczywista prawda, Norwid, na swoje nieszczęście, rozmiłował się w takiej kobiecie!... Uczucie zaś, nieodwzajemnione zupełnie, chociaż stało się klęską i klątwą jego życia, trwało niezmiennie ku tej jednej — jedynej! Czy myślał połączyć się z nią węzłem małżeńskim, skoro awanturnica blizka była procesu rozwodowego z mężem? Tymczasem zaś, zatopiony cały myślami w tej szatańskiej kobiecie, zapadał coraz to więcej na zdrowiu. Tęsknota trawiła go, jak płomień żywy.

Cały pobyt w Berlinie oddziaływał fatalnie na wątłe i tak zdrowie poety, marzącego o rzeczach, nie mających spełnić się nigdy. Tęsknota za panią Kalergis pożerała go, chociaż starał się stłumić w sobie ból i niepokoje o dalszy swój los. Marzył ustawicznie o tej, która była, według słów francuskiego poety:

Blanche, comme le clair de lune
Sur les glaciers dans les cieux froids...

Nieustannym niepokojem targany o los »pani Maryi«, gonił za nią rozmiłowanym wzrokiem po Londynach, Wrocławiach, Baden-Baden, pogrążony w bezsilności, nie mogąc »nic monumentalnego uskutecznić«. Doszedł wreszcie do tego stopnia rozstroju, który musiał sprowadzić katastrofę. O tej, która wzgardziła nim, myślał po całych dniach i nocach — napróżno!...

Pani Kalergis tymczasem spędzała chwile szaleństw pełne i upojeń miłosnych, nie dając o sobie znaku życia...

A on, nieszczęsny, wierzył, że »Pan Bóg chce go skarać za nazbyt mocną ufność w siłę uczuć!« A on nieszczęsny kochał tę kobietę do szaleństwa, tę kobietę, która dlań była, jak trucizna! Jednakowoż, idąc za Byronem, wytłumaczył sobie, iż trucizna, zażywana codziennie, nie działa szkodliwie na organizm. A przecież!... Wówczas już stracił był doszczętnie wiarę w szczęście! I wierzył tylko w to, że przez panią Kalergis mógłby znaleźć »spokój« wewnętrzny, a przez to możność tworzenia rzeczy wielkich...

Z Berlina przerzucił się do Rzymu, gdzie znalazł się już w początkach r. 1847, gdzie chciał »spoczynku, ulgi i spokojności szukać«.

Wówczas dostrzegł już był w kobiecie ukochanej brak miłości, kiedy pisze: »Kto nie kochając nic, rozumie, iż przez to samo kocha Boga, ten musi zarazem utrzymywać, iż obojętność jest religią. Pogardzić wszystkiem oprócz Boga, jest to zarazem w pewnym względzie i Jego samego mieć w pogardzie«.

Tymczasem zła gwiazda Norwida rozpoczynała tryumfalny swój pochód po nieboskłonie Europy, a poeta, lekceważony w tłumie dostojniejszych wielbicieli, rozczarowany i rozżalony, pozostał samotny ze zranionem sercem i dumą.

Ta miłość zawiedziona była klęską jego życia, grobem fatalnym Norwida, a zarazem jego talentu poetyckiego.

Miasto wieczne, Rzym, podziałało na poetę dodatnio:

I wiatr zabrał mię w powiewie
Chmur — by nagle zmarłe dziecię,
Bez chrztu — krwi i walki...
Tu na cmentarz poniósł ludów...

Rzucił się ku twórczości poetyckiej. »Potrzebuję, — pisał do Bohdana Zaleskiego — na głos coś powiedzieć, jak ten, co w głuchej samotności opuszcza słowo, żeby przecież głos człowieczy usłyszeć«. Wówczas stworzył »Wandę«, której rzut drugi zamieszczono w *Chimerze*.

Jedyny wówczas przyjaciel jego Bohdan Zaleski, przeczuwając widocznie targanie się duchowe Norwida, pragnął ściągnąć go do siebie, lub umieścić gdzieś w okolicy, »jak kosztowną roślinkę, na kwiat i owoc, na chlubę i pożytek naszej Polsce«.

Stało się inaczej. Norwid pozostał nadal w Rzymie, gdzie zaznajomił się z Krasińskim, z którym sporo dyskutował o doktrynie Towiańskiego, gdy w lutym 1848 roku przybył do wiecznego miasta Mickiewicz. Norwid usunął się na ubocze, gdyż sądził, że manifest Adama dąży »do najdokładniejszego wyniszczenia dogmatu i rozwolnienia duchowego«, jakkolwiek sąd ten był aż nazbyt stronniczy i tendencyjny. Nic dziwnego, że trwając w takiem nieprzychylnem usposobieniu, nie wziął udziału w formacyi legionu polskiego.

Zawód, doznany w miłości, rozczarowanie w planach twórczych i artystycznych, których wykonanie szło widocznie oporem, zniechęcenie, które ogarnęło go skutkiem starcia się z Mickiewiczem, z którym ani zbliżyć się, ani sympatyzować nie potrafił, wszystko to złożyło się na decyzyę opuszczenia Włoch. Norwid uczuł nieprzepartą chęć nie tyle zmiany miejsca pobytu, ile podróżowania.

Zanim jednakowoż przybył do Paryża, odbył — zdaje się, — dłuższą podróż morską. Że podziałała ona na rozkołysane nerwy poety dodatnio, to niewątpliwie, jak świadczą wiersze, napisane na pokładzie okrętowym. Uspokojenie nastąpiło do pewnego stopnia w Paryżu, gdzie znalazł duszę przyjazną Bohdana Zaleskiego. Uspokojenie, ale niezupełne, skoro Zaleski pisał do Koźmiana: »Norwid — po staremu bajronizuje. Mętno mu i smętno w sercu. Opuścił ręce, a krnąbrny w duchu, że niczyich rad nie przyjmuje. A szkoda tylu niepospolitych talentów! Taka potężna intelligencya, i cóż po tem? Marnuje dary i łaski, manieruje w pismach, dziwaczy w życiu? Skądby mu zaczerpnąć ulgi? Czem obudzić energię? Marzy wciąż, a co smutniejsza, że w gruncie pobożny jest i miłujący Boga«. Wówczas rozegrał się ostatni akt dramatu miłosnego. Poeta zobaczył się z panią Kalergis i ujrzał, że jest »zdruzgotany«. Echo tego przeświadczenia tętni donośnie w wierszu, który p. Krechowiecki ogłosił po raz pierwszy z papierów pośmiertnych »słowika ukraińskiego«:

Czemu mi smutno? — bo nie radbym smucić,
Ani przed sobą kłamstwa rzucać cień,
By skryć, jak czego nie można odrzucić,
By uczcić, czego trudno wyciąć w pień...

W tych czasach powstał »Promethidion«, który wywołał jak najsprzeczniejsze sądy, do tego stopnia, że Norwidowi przyszło rzucić zdanie, taką rozpaczliwością tchnące: »Gorzki to chleb jest Polskość!...« W ślad za tem nastąpiła pewna zmiana w usposobieniu i planach artystycznych na przyszłość. Plany te wszystkie jednakowoż spełzły na niczem.

I tutaj punkt kulminacyjny w tragedyi życia Norwida.

Zawiodło go wszystko: i kobieta, ukochana najgoręcej, której samo wspomnienie było dlań po wielu latach »silniejszem uczuciem, niż miłość«, zawiodły go literackie i artystyczne aspiracye, niezrozumiane, wyszydzane nieraz. Począł więc tracić wiarę w siebie i zaprzestał zupełnie pracy artystycznej, gdyż o uszy jego obijało się ciągle nazwisko Maryi Kalergis, która wówczas już nie tylko królowała w najświetniejszych salonach stolicy nadsekwańskiej, lecz odgrywała rolę pierwszorzędną w świecie politycznym, jako wielka przyjaciółka Ludwika Napoleona, ówczesnego prezydenta, mającego ogłosić się niebawem cesarzem Francuzów.

A Norwid tak gorąco kochał tę kobietę, chociaż wiedział, że wymarzone szczęście odbiegło go na zawsze! Toż nie dziw, gdy pisał:

Straciłem wielką rzecz — uszanowanie
Dla płci, jak dawni czynili poganie,
I do dna onej zstąpiłem niewiary...

Miłość kobiety była zatem już rozstrzygnięta raz na zawsze!...

Miłość sztuki przedstawiała się również rozpaczliwie. Przez swoich niezrozumiany, przez obcych nieprzyjęty, pozostał osamotniony...

Niewierzący ludzie popełniają w takich wypadkach samobójstwo...

Zarówno od tego kroku, jak niemniej od Towianizmu, ustrzegła Norwida głęboka wiara, która trwale stawiała opór pokuszeniom, jakich nie brakło, nawet później. Jednakowoż poeta nie dał się pociągnąć ani mistykom ani Towiańczykom, czego świadectwem wiersz:

Przez wszystko do mnie przemawiałeś, Panie,
Przez ciemność burzy, grom i przez świtanie;
Przez przyjacielską dłoń w zapasach z światem...
. . . . . .
I przez tę rozkosz, którą urąganie
Siódmego nieba tchnąć się zdaje — latem —
I przez najsłodszy z darów Twych na ziemi...

Norwid poczuł w sobie niemoc, poczuł, że jest tylko znamieniem epoki, bez głosu, który tylko Bóg mocen jest rozwiązać...

Ale miłość nieszczęśliwa była przyczyną podróży amerykańskiej. Z tej przejażdżki wyniósł, być może, ulgę chwilową — zapomnienia jednak bezwarunkowo ona mu nie dała. Co najwyżej zbladła może jaskrawość tej rozpaczy, ktora go wygnała za ocean, ale rozpacz ta osiadła na dnie duszy Norwida mgłą melancholii, której już nic nie zdołało później rozproszyć. Tam, za morzami atoli uczuł się »więcej samotnym, więcej niż chorym, bo starganym zupełnie...« To też nie dziw, że z piersi wyrywał się mu okrzyk:

Do kraju tego, gdzie kruszynę chleba
Podnoszą z ziemi przez uszanowanie
Dla darów nieba...
Tęskno mi, Panie!...

Na wiosnę 1855 roku powrócił do Europy... zupełnie zmieniony na duchu, czego najlepszym, najwymowniejszym dowodem ustęp z listu, dawnej umiłowanej tyczący się: »Niech jej Pan nasz J. Chrystus da wszystko dobre...«

Za klęskę życia całego poeta był tyle silny na duchu, iżby po chrześcijańsku wspomnieć przyczynę istotną swego nieszczęścia!

Po powrocie do Francyi nie można było myśleć o poezyi, trzeba

było natomiast troskać się o kawałek chleba powszedniego. Bieda była codziennym jego stałym i natrętnym gościem... Że zgryźliwość wzrastać musiała, to chyba jasne. A przedewszystkiem ironia w zastosowaniu do kobiet: »Kobiety — pisał — są najczęściej osoby anielskich przymiotów — bez najmniejszej ironii powtarzam: przymiotów anielskich«, gdyż dla nich »czas jest żadnym warunkiem, — praca niezrozumiałą rzeczą — dramat piosnką«.

Poeta rzucił się ku twórczości gorączkowo, namiętnie, a niemniej ku polityce. I sprawdziło się na nim, jako na tylu innych, że wybornym politykiem być można, o ile nie jest się poetą. Nie zrozumiany przez najbliższych nawet, gorzkniał coraz to więcej z dnia na dzień i bodaj, czy ów brak zrozumienia poety przez współczesnych nie stał się przyczyną katastrofy jego biednego życia i nie był tamą w rozwoju talentu?... Ile żółci nagromadziło się w jego sercu, niechaj poświadczy o tem zdanie, wyrwane z jednego listu:

— »Czy taki naród może żyć i czy religia, która tak łżeć dozwala, może trwać w sercach śmiertelnych?...«

Przez poetę mówiła już wówczas nurtująca w nim choroba, z której wybawiła go... śmierć...

Z wyjątkiem jednego jedynego Bohdana Zaleskiego, nie zadawalał go żaden poeta: »Ubałwochwalony Mickiewicz — są słowa Norwida — nigdy scenicznego ładu nie pojął — acz zapewne byłby potrafił. Zaś »Konfederaty« różne po francusku pisane, są najnieodpowiedniejszemi wielkiemu jego pióru. Juliusz gdyby nie był rozdrażniony i opracował swe tak zwane dramaty, byłoby to piękne; tak, jak są — są to amfidramatyczne arcydziełka...« Norwid traktował wszystko i wszystkich z wyniosłą pogardą. To też w otoczeniu jego, nie zdającem sobie sprawy z tego, iż choroba jest przyczyną zgryźliwości poety, coraz to więcej szczerb robiło się. Poetę zostawiono w osamotnieniu.

Do końca ostatecznego tragedyi już niedaleko... Na życiu Norwida zaciążyła całem brzemieniem »fatalność historyczna«: oderwanie się przymusowe od pnia ojczystego, długoletni pobyt na obczyźnie, wreszcie fatalizm »społeczny«, który wynikał ze sprzeczności pomiędzy uczuciem wewnętrznem »wyższości«, a warunkami zewnętrznymi, gnębiącymi nieustannie ową »wyższość«. Stąd ciągła gorycz, nieustanne szarpanie się ze sobą samym, walka beznadziejna, w której poeta uledz musiał. W walce ze samym sobą!...

Zdruzgotany moralnie i fizycznie, znalazł się Norwid w celi przytułku u św. Kazimierza, gdyż literalnie żyć nie miał z czego! Znając

usposobienie Norwida, nie trudno wyobrazić sobie, jak niewymownie ciężka musiała być chwila, w której ujrzał się w konieczności porzucenia ubogiego, ale własnego kąta i szukania schronienia w przytułku ubogich! Odtąd ustaje walka, prowadzona od tylu lat, walka z troską o dzień jutrzejszy i sądzićby można, iż teraz po raz pierwszy od lat wielu Norwid odetchnął swobodniej. Jednakowoż i tam zrywał się od czasu do czasu duch niespokojny do walki z »ulaurowanymi«. Wydane w r. 1880 poezye Wiktora Hugo, prawdopodobnie *Réligion et Réligions,* jako wkraczające w dziedzinę, na straży której stał Norwid zawsze wiernie, dały mu powód do wystąpienia przeciw sędziwemu poecie. W Norwidzie i teraz dał znak życia o sobie dawny duch porywczy, a niechęciom swoim wierny aż po grób.

Zgasł cicho i spoczął obok równie, jak sam był nieszczęśliwy, Tomasza Olizarowskiego, zapomniany i zapoznany przez współczesnych i potomnych. Dopiero w latach ostatnich kilku zyskał poeta to, o czem tak pięknie napomknął w *Vade mecum:*

Syn minie pismo, lecz ty spomnisz wnuku...

Jednem cierpieniem było dla Norwida życie biedne. I gdy, dzięki świetnemu pióru p. Adama Krechowieckiego współczuje się z niedolą, a raczej, ze złą dolą poety, niepodobna wstrzymać westchnienia, gdyż — *sunt lacrimae rerum...*

Dr. Stanisław Zdziarski.

Kwiatki św. Franciszka z Assyżu. W przekładzie i z wstępem *Leopolda Staffa.* Lwów 1910.

W oknach księgarskich, wśród gwiazdkowych wydawnictw, ukazała się ślicznie wydana książka o zachęcającym tytule: »Kwiatki św. Franciszka«. Imię tłumacza, Leopolda Staffa, znanego i utalentowanego poety, podnosi urok tłumaczenia. Bierzemy książkę do ręki, pieszcząc się naprzód wspomnieniem tego klejnotu, znanego nam skądinąd. Artysta musiał z odczuciem godnem artysty oddać ten wdzięk nieporównany, woń prawdziwie wiosenną kwiateczków onych. I nie mylimy się. Tak, św. Franciszek w nich jest z całym światem swoim. To jego mowa, jego dusza oddana w naiwnym wdzięku słów pełnych prostoty, a, jak zauważa tłumacz, czasem »wprost bezradnych«.

Przejrzawszy kwiatki, wróćmy do opuszczonego na razie wstępu, (niejeden czytelnik, przyjaciel Kwiatków, takby uczynił). W miarę jednak czytania wstępu, myśl zwraca się gdzieindziej. Ach, jak znany nam niestety ten ton i ten tok myśli! Czytaliśmy przecie Sabatiera!

Znane! znane! i w miarę czytania rośnie w nas ochota powiedzenia słów paru, jako szczerego wyrazu myśli wstających w duszy.

Kiedyś drogi nasze po świecie zaprowadziły nas w porze obiadowej do trattoryi pewnego małego miasteczka umbryjskiego: — energiczna gospodyni, wielu znających się z trattoryą tubylców i jedna cudzoziemka, jak my. Siedzi niedaleko, słyszymy, jak nieśmiało zwraca uwagę gospodyni, że coś jej porcya indyka ma stosunkowo za dużo kości i na to pełna przekonania i logiki odpowiedź: *Ma figlia benedetta! Senza ossa non si camina!* — Tu chodziło o jadalność danej potrawy, co rzecz zmienia, ale poza tem powiedzenie genialne! Właśnie: *Senza ossa non si camina!* (Bez kości chodzić nie można).

I to owe motto, pod którem wejść można w szranki z platonicznymi miłośnikami świętości świętego Franciszka, a wrogami dogmatu *à la Sabatier*.

»Św. Franciszek to natchnienie i osobistość [1] miast autorytetu i dogmatu« [2].

---

[1] Nie myślę twiedzić, iż Kościół odrzuca indywidualny żywioł w stosunku do Boga. Od początku świata do chwili, kiedy ostatnie serce bić przestanie, ten stosunek trwać będzie i »pośrednictwo księży« nic temu nie przeszkadza. Świadczy o tem ten nieprzerwany łańcuch mistyków w Kościele. Ale ci świadomi byli, że umysł indywidualny, podległy złudzeniu, a że widzieli olbrzymią różnicę między prawdą a illuzyą, w i e r z ą c w prawdę, przymierzali indywidualne nie tylko zapatrywania, ale wprost objawienia, czy nie sprzeciwiają się depozytowi objawionej przez Boga prawdy, złożonemu w Kościele.

Św. Teresa, jeden z najwięcej mistycznych duchów mówi, że »dusza pokorna może być pewną, iż jej szatan nie zwiedzie. Ma ona staranie poddawać się we wszystkiem naukom Kościoła, pytając w tym celu tych, co mogą ją oświecić. Tak jest przywiązana do symbolu apostolskiego, że wszystkie objawienia, które wyobrazićby sobie można, nie mogłyby wzruszyć jej wiary w najmniejszy artykuł nauczany przez Kościół«, a gdyby różnica była »wierzyłabym, że rzeczy te (objawienia) pochodzą od szatana, wierzyłabym przekonaniem daleko silniejszem, niż wierzę, iż moje widzenia od Boga pochodzą«, jakąkolwiek pewność co do tego miała.

[2] Charakterystyczny jest dla naszej epoki ten bunt przeciw-dogmatyczny, więc przeciwkościelny, jako instytucyi przechowującej i afirmującej dogmat, to jest pewność nieomylną prawdy. Atoli materyalnymi dogmatami jesteśmy otoczeni i rządzeni i posłuszni im: Dogmatem jest, że ogień pali, mróz ziębi, ziemia przyciąga, a woda zalewa. Nikt się temu nie sprzeciwia i jest mu dobrze póki się nie sprzeciwia, — z chwilą jednak, w którejby się sprzeciwił, dogmatby się zemścił bezwzględnie całą siłą affirmacyi argumentów dotykalnych, — a wina byłaby nie po stronie bezwzględności do-

Ciekawe na czem innem, jak nie na dogmacie — na dogmacie istnienia Boga przedwiecznego, wcielenia Jego w czasie i umęczenia na krzyżu za nas, opiera się całe życie świętego, »który we wszystkich czynach szukał jeno czci i chwały Boga« [1]. I, żeby »oddać całego siebie ramionom Ukrzyżowanego« [2]. Co innego jak nie ów dogmat niezależny od indywiduum, ale będący zależnością i kryteryum dla indywiduum, ukształtowały w biednej, zmiennej, słabej i chwiejnej naturze ludzkiej, owe olbrzymy jednolitości, jakimi stają przed nami święci wszystkich wieków i święty Franciszek z nimi. Gdy dogmat wiary wycofamy z nich, jak kość pacierzową ich życia, zostaje mgławica, — nie istota silna i rozumna, wiedząca skąd wyszła i dokąd idzie. *O figlio benedetto! Senza ossa non si camina!*

Ale zestawmy zapatrywania tłumacza z charakterem św. Franciszka, jakim go widzimy w *Fioretti*.

»Uczucie religijne«, powiada Staff, »jest właściwe każdemu sercu ludzkiemu. To tęsknota łączności z bytem, poczucie się jednem z ogniw w ogromnym zjawisk łańcuchu«, »modlitwa zatapiania się w głąb własną«. Czy prócz głębi własnej modlitwa niczego w duszy nie szuka? »Kiedym mówił, ktoś Ty jest najsłodszy Boże mój«, opowiada święty Franciszek »wówczas znajdowałem się w świetle rozpamiętywania, w którem widziałem bezdeń nieskończonej dobroci, mądrości i potęgi Boga«, a mówiąc: »Któżem ja najpodlejszy robak i bezużyteczny sługa Twój« znajdowałem się w świetle rozpamiętywania, w którem widziałem opłakaną głąb mej podłości i nędzy... Ktoś

---

gmatycznej, że ogień pali, a woda zalewa, ale po stronie fantasty, któryby z logiką dziecka wołał »ja nie chcę żeby ogień palił«. A teraz są przecie dogmata materyalne nieznane prostaczkom, a znane specyalistom np. siła elektryczności. Czy miałby racyę nazywający tyranem tego, co znając prawa elektryczności, bezwzględnie sprzeciwiałby się przestępowaniu, gwałceniu praw przez publikę, narażającą się na niebezpieczeństwo w imię indywidualnych zapatrywań swoich? Czy mają racyę ci, którzy pomawiają o tyrańskwo Kościół, affirmujący prawdy i prawa, opierając się na kompetencyi tak niezaprzeczonej, jak kompetencya Objawienia Bożego — prawd tak niezależnych od naszych osobistych zapatrywań, jak niezależnym od nas Bóg, stworzyciel nasz — więc obowiązujących nas bezwzględnie — a mających nieskończenie większą doniosłość od prawd i praw materyalnych: doniosłość wieczną, nieodwołalną, tyczącą się i dosięgającą każdego z nas.

[1] »Kwiatki« str. 71. Przytaczane w cudzysłowach zdania o św. Franciszku, wyjmuję jedynie z samychże »Kwiatków«, nie sięgając z umysłu do źródeł innych.

[2] »Kwiatki« str. 136.

Ty jest Panie nieskończonej dobroci i mądrości raczący nawiedzać mnie, który jestem robakiem podłym i obrzydliwym [1]. »Bo jeśli człowiek nie przysposobi w duszy swej czystego mieszkania, w któremby Bóg mógł mieszkać i spoczywać nie znajdzie nigdy ni miejsca, ni spoczynku, ni prawdziwej pociechy wśród stworzeń« [2], mówi brat Idzi, jeden z najbliższych uczni św. Franciszka.

Czy i to jest tylko jedną z tych filozofii, które, jak mówi o wszystkich Staff, »urodziły się ze spojrzenia w niepocieszoność śmierci«?

»Dusza ludzka stworzona jest dla słońca wiosny i wesela« ... co nam po nich w chwili śmierci? »Dla tego, kto nierozerwalnym węzłem miłości zjednoczył się z światem i bytem, śmierć nie istnieje«. Smutna to bardzo zamiana, którą autor nam daje za dogmat życia wiecznego w połączeniu z Stwórcą naszym, Miłością wieczną, która do końca nas umiłowała.

Ale to ostatecznie jego zapatrywanie indywidualne, również jak zestawianie świętego, który »znamiona Pana swego w ciele swoim nosił« z Goethem i Markiem Aureliuszem [3]. Ważniejsza rzecz, jak przedstawia w swym wstępie, dzieje i charakter świętego samego.

»W istocie i głębi życia niema dla niej (dla miłości) »zła ani dobra. Gdzieś w najdalszej dali zachwytu, istnieje głębsza od nich, nienazwana prawda serca ludzkiego. W tej głębi rodzi się przebaczenie« (przebaczenie czego? jeżeli zło nie istnieje). »Zło, które wybaczone być może, przestaje być złem« [4]. Cytata z »Kwiatków«: »Przeto też mistrz nasz Jezus Chrystus rzekł, że nie zdrowym potrzeba lekarza, lecz chorym, i że nie przyszedł sprawiedliwych wzywać do pokuty, jeno grzeszników. Przeto też często jadał z nimi« [5].

»On to«, (św. Franciszek), mówi Staff, »tęczą nad zakrzepłem lodowiskiem prawa«. A jednak prawo to przypomina ciągle ludowi,

[1] »Kwiatki« str. 173.

[2] »Kwiatki« str. 261.

[3] Cechę podobieństwa upatruje w jednolitości ich. Z tegoby wynikało, iż gatunek tej jednolitości jest dla niego zupełnie rzeczą nieistotną, bez znaczenia.

[4] Tylko z tej racyi, z której powiedziećby można, iż choroba, która może być uleczoną nie istnieje. Tak, lecz pod warunkiem, że chory zechce uwierzyć dogmatowi wiedzy lekarskiej i pójść za tem, co dogmat ten mu doradza.

[5] »Kwiatki« str. 73.

»który wyjałowiony grzechem z cnoty, przez zasługi i nauki św. Franciszka obfitował często w dobre owoce pokuty« [1], »i uczył ich, jak mają żyć bez grzechu na tym złym świecie« [2]. »Krótka jest rozkosz świata, męka, co po niej następuje jest wieczna« [3], a jednemi z pierwszych słów, podanych o nim, gdy »św. Franciszek nie kazał jeszcze publicznie... Kochajcie i bójcie się Boga i czyńcie pokutę godną za grzechy wasze« [4].

Idąc za Sabatierem, twierdzi Staff: »Dręczenie ciała ganił surowo«, »nazywał je *frater corpus*«. — Święty woła do szatanów dręczących go: »Przeto mówię wam w imię Boga wszechmogącego, byście czynili z ciałem mojem, co Bóg wam pozwolił, bo zniosę to chętnie, gdyż nie mam wroga większego nad ciało moje« [5].

Noszącym pasy kolczaste i obręcze uciskające, każe je »precz odrzucić«, pisze dalej Staff, »Kwiatki« tłumaczą, że wielu braci z powodu zbyt gorliwego przykładania się do tego rodzaju pokuty chorowało, lub i umierało — uważał tę pokutę za zbyt surową — ciekawa jednak rzecz, dlaczego tę pieczołowitość ojca zakonu podnosząc, gani zarazem tłumacz Kościół za to, co nazywa »cichą walką«: wzbranianie się zatwierdzenia reguły, także z racyi zbytniej jej surowości. »Ta cicha walka z Kościołem« staje we właściwem oświetleniu, gdy zwrócimy uwagę na ciągłe wzmianki o przyjaznych stosunkach papieża, kardynałów, obecnych nieraz na kapitułach i słowa jednego z nich, »który czcił świętego Franciszka... i rzekł ze czcią«: (na widok braci zebranych) »Zaprawdę obóz to i wojsko rycerzy Bożych« [6]. A papież Innocenty III, pocieszony w trosce swojej z powodu rozprzężenia w Kościele, snem o dwóch ludziach, podtrzymujących walący się Kościół i z radością rozpoznający w Franciszku jednego z nich, drugiego zaś w Dominiku świętym?

Wiadomo każdemu, iż w Kościele smutno się wtedy działo, i być

[1] Str. 56. Słowa te tłumaczą ogólnikowe wyrażenia Staffa: »zgliszcza dymiące potępienia, zgliszcza zwątpienia i beznadziei«, »wyjałowiałe serca ludzkie«, przyczyną ich nic innego jak: grzech, lekarstwem: odwrócenie się od niego: pokuta. Ignorowanie tej prawdy, jest punktem wyjścia bałamutnego zapatrywania, tak Staffa w »wstępie«, jak innych literatów modernistów.

[2] »Kwiatki«, str. 52.

[3] Str. 50.

[4] Str. 235.

[5] Str. 157.

[6] »Kwiatki«, str. 49.

może, że niektórzy z duchowieństwa, nie wskutek ducha kościelnego, ale wskutek braku tegoż, wskutek przywiązania do grzesznego życia swego, widzieli wroga w świętości naszego świętego. Ale czemu tych nazywać Kościołem, a przyjaciół świętego, wśród których widzimy najwyższych przedstawicieli hierarchii od tej nazwy odsuwać? I tu widzimy niesprawiedliwą tendencyjność Sabatiera i innych.

»Święty Franciszek zdjął klątwę z ziemi, której piękno i ś w i ę t o ś ć [1] średniowiecze oddało włodarstwu szatana...« »Prosta i naturalna czystość jego serca miała głębokie i błogosławiące zrozumienie dla związków ludzi i zwierząt. Życie c a ł e [2] było dlań święte«.

Nikt chyba nie może twierdzić, że Kościół związek dwojga ludzi uważa inaczej, kiedy podniósł go do godności sakramentu, który i średniowiecze przetrwał i wiele świętych w średniowieczu tymże dostarczał. Czemu przeciwny był, to zestawianiu tak blizkiem tych dwóch kategoryi, jak to Staff czyni »związków ludzi i zwierząt« nie wiem, w czemby zapatrywanie Kościoła różniło się od zapatrywania świętego, który, jak sam Staff podnosi, przeciwny był »chutnym głodom ciała«.

»Od wczesnego dzieciństwa i p ó ź n i e j, chadzając z przyjaciółmi swymi śpiewał miłosne pieśni trubadurów. Sam tworzył pieśni i melodye do nich«.

Przechowało się parę pieśni z czasów, gdy Franciszek, przedzierzgał się w świętego Franciszka, są one na cześć Boga, lecz o tem autor milczy. Znamy też pieśni pierwszych Franciszkanów, jak *Giacomino, Giacopone da Todi*, często widzimy w nich formę *Chansons des gestes* i inne ludowe średniowieczne, treścią mówią one o rzeczach wiecznych.

Dawniej formę ulubioną i znaną ludowi opróżniano z rzeczy świeckich, by ją napełnić myślą o Bogu; dziś, formę rzeczy Bożych, nie tylko symbole, ale i te żywe przybytki Boże, jakimi są święci, wypróżniają z Boga, by je własnym duchem, własnym światem przyrodzonym, ludzkim napełnić.

Pan Staff pisze: »Zauważono, że słowem najczęstszem w kwiateczkach jest »radość«. I radość często tam spotykamy, lecz dla charakterystyki jej wziąć koniecznie pod uwagę trzeba rozdział VIII: »Jak święty Franciszek tłumaczył... co jest radość doskonała«. Otóż stwierdzam, że słowem bezwarunkowo najczęstszem jest Bóg i Chry-

[1] Chyba czytaj »najgłębszy akt życia« miłość.
[2] Podkreślenie pana Staffa.

stus, który, jak świadczy każda stronnica »Kwiatków« od pierwszej do ostatniej, jest essencyą życia jego, jak i życia św. Klary [1]. Ale to dla Sabatiera równie, jak dla Staffa jest rzeczą małej wagi. Boga zastępuje u nich jakaś bezimienna, bezosobista nieokreślona »miłość wszechobejmująca«.

Pan Staff mówi: »A jednak stało się z czasem: on, który powstał jako reakcya przeciw zakonom, stał się mimo chęci założycielem zakonu«. Czytamy w »Kwiatkach«, iż św. Franciszek mówił: »Zakon nasz podobien będzie rybakowi, który zarzuca sieci do wody i chwyta ryb mnóstwo, zatrzymuje wielkie, a małe w wodzie zostawia«. Dziwił się brat Idzi proroctwu, bowiem w Zakonie było zaledwie trzech braci« [2]. »Nie chciał stworzyć zakonu, chciał aby świat cały był bractwem miłości«. To, za cel ma religia wogóle — ale jeśli nie czynił rzeczywiście różnicy między życiem swojem a życiem na świecie, na co więc »umyślił założyć zakon trzeci dla zbawienia powszechnego?« [3].

Zdumiewającą jest, jak widzimy z zestawień, niezgodność samych »Kwiatków«, ze wstępem do nich. Byłoby to wprost niezrozumiałem i narzuciło myśl, iż autor napisał go przed przeczytaniem »Kwiatków«, polegając na natchnieniu i »osobistości swojej« [4] nie chcąc zawierzać

---

[1] Wzajemnego stosunku świętych, tak po Sabatierowsku uważanego, nie tykamy, zaznaczę tylko, że zbyt krótkowzrocznym ten, kto źródła przyjaźni świętego do świętej nie widzi jedynie w Bogu, w miłości Boga, która łączy ich, jako ich miłość jedyna i wspólna im. Proszę przytem czytelnika o bezstronne przeczytanie rozdziału XV »Kwiatków« jedynego prawa z szerszą wzmianką o świętej, czy może on za podstawę zapatrywaniom autora służyć?

[2] »Kwiatki«, str. 235.

[3] Str. 44. Nie tykam innych zdań wstępu, które swą niejasnością i bałamutnością zwracają na siebie uwagę i tak zdaję sobie sprawę z nieproporcyonalnie długiej rozprawy w stosunku do kilkunastu stron wstępu. Uważam jednak, że takie zużytkowywanie rzeczy świętych właściwie przeciw religii, nie jest wypadkiem sporadycznym w naszych czasach, żeby tylko wymienić Wilda w *De Profundis* lub Baumfelda etc., a wedle wszelkiego prawdopodobieństwa prąd ten będzie iść *crescendo*. Należy więc zwrócić uwagę na niebezpieczeństwo, które z sobą niesie.

[4] Co do »osobistości« indywidualności, myślę, że dzieje jej dla duszy autora jeszcze nie zamknięte. Myślę, że przyjdzie dzień, w którym zmęczony żonglowaniem i flirtowaniem z wytworami ideowymi wyobraźni, zatęskni za powagi i pewności pełną prawdą. Wątpię, czy zdaje on sobie sprawę do czegoby doprowadziły linie proste, wyprowadzone z urywkowych chao-

»dogmatowi historycznemu i autorytetowi faktów«, gdyby nie ten trop nieomylny Sabatiera, przebijający się tak wyraźnie, któremu natomiast zawierzył i dał się zahypnotyzować pan Staff, a który go uwiódł.

»Święty ten na ziemi, kto umiał przyjaźń zawrzeć ze świętymi«. Całem sercem winszujemy poecie jego sympatyi dla św. Franciszka. Jesteśmy pewni, że zwracając się do innych świętych, znalazłby źródła nieprzebrane wdzięku, któryby mu duszę opłynął — ale niech raczej zwróci się nie do źródeł mętnych uprzedzeniem, jak źródło protestanckie Sabatiera (protestantyzm odznacza się w stosunku do Kościoła niechęcią, apostatom właściwą), ale do źródeł Kościoła naszego mało mu znanych widocznie. Matka najlepiej zna rysy dziecka, któremu życie dała, mlekiem swem go karmiła, pierwsze i ostatnie tchnienie przyjęła — a której wierność, miłość wszystkie usta świętych zeznają.

Krystyna Saryusz Zaleska.

Zagadnienie narodowej polityki. *Józef Milewski.* Lwów 1909. Gubrynowicz i Syn. Str. XI, 311 in 8-vo.

W piśmiennictwie naszem nie było dotychczas książki o tym zakresie tematu politycznego. A przecież zmienione warunki społeczne, gospodarcze, polityczne i ideowe, i w następstwie tego konieczność poznania tychże, by się do nich odpowiednio przystosować, są dla społeczeństwa naszego kwestyą bytu, albowiem zapoznanie obecnego położenia prowadzi do skierowania energii w kierunku fałszywym, lub niepotrzebnym, tem samem dozwala współzawodnikom do wyprzedzenia nas i pozostawienia w kulturalnym, czy dziejowym rozwoju w tyle poza sobą, a doścignięcie i nadrobienie strat jest rzeczą trudną i często niewykonalną; ponadto opóźnionym w rozwoju narodom grozi zawsze przewaga wyżej stojących narodów, która może nawet stać się niebezpieczną dla bytu i jestestwa słabszych. To też książka niniejsza p. Milewskiego »jako przyczynek do tej pracy, co ma przygotować nasze zoryentowanie się w nowem położeniu, w współczesnych zadaniach« i wyszukać odpowiednie nowe metody działania,

tycznych półodsłoniętych poglądów, wyrażonych we wstępie. Wątpię, czy zdaje sobie sprawę, jakie życiowe praktyczne wskazówki wyciągnąćby z nich mógł umysł wrażliwy, a mało krytyczny — i myślę, że gdyby sobie sprawę zdawał, zawahałby się przed rzuceniem w świat tego wstępu do ślicznych prostych, porządkujących duszę konsekwencyą swą »Kwiatków«, które mam nadzieję szalę przekonań czytelnika na swoją stronę przeważą.

jest cennym nabytkiem dla literatury i społeczeństwa naszego, ponieważ jest pierwszem dziełem o tym zakresie tematu politycznego, a powtóre i co więcej, że posiada wartość pierwszorzędną, jest opracowana po mistrzowsku, przedstawiając kontury naszego społecznego ładu, jego drogi, braki, grożące niebezpieczeństwa i środki zaradcze, a zmierzając do jednego celu, do dobra narodu i ojczyzny.

Książka obejmuje sześć rozdziałów, z których każdy może stanowić dla siebie osobną całość i obejmuje nasamprzód opracowanie materyału teoretycznego, a dopiero w dalszym ciągu zagadnienia realne naszej narodowej polityki jasno postawione, poważnie przemyślane i przedyskutowane.

I tak w drugim rozdziale o nauce polityki autor omówiwszy ogólną potrzebę nauki polityki, dawność jej zagadnień, różne kierunki nauki polityki, zwraca uwagę na wspólne wielu teoretykom polityki podstawowe twierdzenie, mianowicie ograniczenie zakresu polityki do działania państwa, mimo to, że nie sama tylko państwowa organizacya ma wpływ na doniosłość i skutki polityczne, ale działa tu także i społeczeństwo; a przeto podnosi autor ważność i potrzebę teoryi narodowej polityki, rozpatrującej naród, a nie państwo, jako podmiot polityki.

W rozdziale trzecim o czynie politycznym, o nauce polityki, czytamy o znaczeniu czynu politycznego i sztuce polityki, o intuicyi, rutynie i nauce, o dyletantyzmie i politycznym karyerowiczostwie, o potrzebie kultury politycznej i o jej braku w systemie Macchiawelizmu, a wreszcie o naszym czynie politycznym, o którym autor pisze, że »błędnie i za ciasno uważa do dziś wielu jedynie działanie państwa lub przez państwo... za czyn polityczny... My inaczej, szerzej i głębiej pojmować musimy czyn polityczny; jest nim u nas wszystko, co utrzymuje i pogłębia naszą indywidualność, co utrwala istotę narodu, co podnosi siłę narodu, ulepsza jego warunki bytu«.

W rozdziale czwartym jest omówiona istota narodu i tu wskazane są nasamprzód idee państwowe i dynastyczne, jako przeszkody w rozwoju narodów, którym w następstwie tego trudno dać ścisłą definicyę ich istoty, które w historyi musiały odstąpić pierwszą rolę państwowym organizacyom, a dopiero przez wielką rewolucyę francuską i fakt rozbioru Polski, zyskały uznanie swych postulatów za kwestyę pierwszorzędnej wagi. Autor cytuje następnie ustępy z najnowszych opracowań autorów: Burgess Sidgwick, Réńau, Réne Worms, de la Grasserie, Neuman, — polskich poetów mesyanistycznych i pol-

skich teoretyków pozytywizmu: Rymarkiewicza, Libelta, Supińskiego, a zwłaszcza Śnitka i daje wreszcie sam definicyę narodu, jako wytworu historyi. Definicya ta jest tem ciekawszą, że nie zawarł jej autor w kilku zdaniach, ale w długim szkicu, przedstawiającym rozwój narodu od chwili zawiązków zrzeszenia, opartego na związku krwi, aż do czasu wytworzenia uorganizowanego narodu, który byt swój opiera na świadomości narodowej, jednolitej ludności i faktycznem posiadaniu pewnego terytoryum.

W powyższych rozdziałach przeważała część teoretyczna jakkolwiek im brak w nich i rozbioru realnych zagadnień narodowych, natomiast w pozostałych ustępach stanowczą przewagę ma temat rzeczonych roztrząsań politycznych, który, jak już zauważyliśmy ujmuje i przedstawia nasze kwestye społeczne w konturach, szkicuje je, rzucając na wypadki wspaniałe światła i cienie, nadając im przez to właściwe zrozumienie i charakter.

Nasze położenie jest treścią rozdziału pierwszego. Ustęp pierwszy tego rozdziału mógłby znaleźć godne miejsce w sejmowych kazaniach Skargi, bo autor wzywa tutaj naród do rachunku sumienia, do bilansu ze swego życia narodowego i roztacza przed nim obraz obecnego stanu. A więc opisuje położenie polityczne we wszystkich trzech zaborach, złe nawet w Austryi, bo niepomyślną wróżące przyszłość, straty w dziedzinie ideowej, społecznej, religijnej (ruch maryawicki) i gospodarczej, wynaradawianie środków produkcyi ziemi i przedsiębiorstw, niebezpieczeństwo sezonowej emigracyi, która dopomaga wrogim nam społeczeństwom do coraz intenzywniejszego prześcigania nas w dziedzinie postępu, brak kapitalizacyi, wrogi nam ruch litewski, ruski i syonistyczny i przeciwstawia tym wielu biernym pozycyom szczupły dorobek. Rozmiary złego może zmniejszyć tylko świadomy czyn polityczny, a jego podstawą jest nauka polityki (patrz rozdz. II).

W rozdziale piątym omawia autor cele narodowej polityki, przedstawia nasamprzód zakres spraw zbiorowego działania, do wypełnienia których roszczą sobie kompetencye już to społeczeństwo, już to państwo, normując między sobą stosunek według zasady indywidualizmu lub socyalizmu państwowego, lub systemów leżących w pośrodku tych zasad. Obecnie przewaga jest po stronie państwa, przeto zagarnia ono coraz większą sferę działania i wkracza także w dziedzinę zagadnień narodowych, a tak być nie powinno. I tu opisuje autor cele narodowej naszej polityki, ku których urzeczywistnieniu winniśmy skierować usiłowania. Są to w pierwszym rzędzie utrzymanie istoty narodu, kwe-

stye liczby i siły ludności, dziedzina ekonomii i produkcyi, kwestya kredytu i niezależności gospodarczej, kapitalizacyi i własności ziemskiej, oświata ludowa, fachowa i narodowa, środki krzewienia narodowej oświaty, jako to religia, prawo, historya, a streszczają się one w idei posłannictwa narodu, w jego misyi, ujętej w formę pisaną przez A. Cieszkowskiego i Krasińskiego. Rozdział ten już dzięki tematowi swemu należy do najwięcej zajmujących, czyta się w nim bowiem realne kwestye obecnej doby przedstawione bez stronniczości, rozumnie i sumiennie.

Cel osiągnąć można tylko zapomocą odpowiednich środków, to też w ostatnim rozdziale szóstym, autor pisząc o metodzie i środkach działania, żąda dla nich legalności i jawności. Legalności przestrzegać powinniśmy, już dla tego powodu, że wrogie nam państwa zaborcze usiłują sprowadzić nas z tej drogi. Przykładów ich usiłowań w tym kierunku dostarcza w dostatecznej mierze historya i czasy obecne, coraz liczniejsze demaskowanie agentów prowokatorów, represya rządowa skierowana wprost celem rozjątrzenia ludności, zaś brak jawności, konspiratorstwo psuje duszę narodu. W tej mierze przytacza autor list Pawła Popiela pisany 1865 do ks. Jerz. Lubomirskiego: »Stoimy na rozdrożu, albo nam przyjdzie pod kierunkiem tajemnych wpływów w walce bezskutecznej a zjadliwej zużyć i roztoczyć resztę sił żywotnych, albo na drodze prawnej, jawnej dobić się warunków bytu, który chociażby nie był ostatecznym naszym ideałem, zapewnić nam może normalne wykształcenie i form i zasad społecznych«. Otóż do zakresu środków, które opisanych wyżej granic trzymać się winny, a są w naszej mocy należy między innymi wpływ naszych reprezentacyi sejmowych czy parlamentarnych, który znów równorzędny z powagą, jaką one mają w kraju, solidarność jak największa, a porzucenie stanowiska stronniczej partyjności, prasa, wydawnictwa, wykłady, zgromadzenia, stowarzyszenia, ale zwłaszcza i ponad wszystko, jedna organizacya, której nam nikt rozbić nie może, a tem jest rodzina, ona bowiem rozstrzyga jakie jednostki wnijdą w czynne życie społeczne. Wreszcie zwróciwszy jeszcze uwagę na wpływ, jaki opinia wywiera na tok spraw społecznych na brak organów do przestrzegania interesów narodowych i brak u nas »dwoistości ich użycia, systemu przymusu i systemu dobrej woli, nam tylko system dobrej woli pozostał«. Podnosi autor potrzebę poświęcania »coraz więcej rozumu sprawom społecznym i to nie rozumu niewielu, ale rozumu wielu ludzi«.

Zamykamy książkę, która, jak wspomnieliśmy, jest przyczynkiem

do kierunku pracy narodowej i obejmuje jej syntezę, podczas gdy szczegółowe opracowania naukowe są pomieszczone w innych wielu wcześniejszych pracach tego autora. Kierunek tej pracy, zdążający do zoryentowania się w nowem zmienionem położeniu z natury swego zadania zmierza do objęcia jak najszerszych warstw społeczeństwa, a tymczasem u nas brak zrozumienia i chęci dla poznania tych spraw, u nas o kwestyach społecznych czyta tylko bardzo szczupła garstka ludzi. Jeśli jednak ktoś, nawet obojętny dla tych kwestyi, przeczyta tę książkę, nie oprze się urokowi, jaki przedstawiają w niej sprawy społeczne i zapewne zrozumie ich doniosłość i zajmie się niemi. W tem właśnie jest podwójna wartość dzieła, że temat traktuje nie tylko ze stanowiska naukowego, ale i z wielkim powabem, którego często brak dziełom naukowym, a który jest przecież nieodzowną częścią składową ich strony artystycznej. Książka niniejsza jak nie pierwsza wśród dzieł znakomitego autora napisanych, tak nie będzie zapewne i ostatnią, ale autor da naszemu społeczeństwu i literaturze jeszcze dalsze owoce swego talentu i doświadczenia, wyniki swej pracy, jaka jest naszemu społeczeństwu tak potrzebną.

S. Konopka.

Wspomnienia Ambrożego Grabowskiego, wydał *Stanisław Estreicher.* Tom I, str. 47 + 344. Tom II, str. 417. Kraków 1909.

Towarzystwo miłośników historyi i zabytków Krakowa, przynosi prawdziwą chlubę, już nie mówię swemu rodzinnemu gniazdu, ale całej rozległej Polsce. Wszystkie jego wydawnictwa odznaczają się nie tylko doborem treści, lecz także wykwintnym artystycznym smakiem w całem tego słowa znaczeniu. Podobnego uczucia doznaje czytelnik, biorąc do rąk dwu-tomome dzieło pod powyższym nagłówkiem. Któż nie słyszał o Ambrożym Grabowskim, lub nie czytał dzieł tego, który całą duszą i sercem do Krakowa przylgnął, jego pamiątkami żył i oddychał, na opisy jego zabytków nie szczędził funduszów, i tutaj w sędziwej starości swe kości złożył. Był on z zawodu długoletnim księgarzem, a z zamiłowania archeologiem i zbieraczem dawnych pamiątek, jakim rzadko które miasto polskie poszczycić się może. W latach 1807—1867 wydał 12 obszerniejszych dzieł, a 48 drobniejszych prac w rozmaitych czasopismach w Krakowie, Lesznie i Warszawie. Prócz tego przechowało się po nim w zbiorze profesora Eugeniusza Grabowskiego tomów i tek 164, obejmujących rozmaite zapiski do dziejów historyi, sztuki i literatury polskiej. Przeglądał je skrzętnie profesor Stanisław Estrei-

cher i na podstawie tychże wydał cenne i poczytne dzieło. Z autobiograficznych zapisków skreślił najprzód życiorys Ambrożego Grabowskiego, pobyt w rodzicielskim domu w Kętach, gdzie ujrzał światło dzienne w r. 1782, potem przybycie do Krakowa 1797 r., w którym pozostał, aż do swej śmierci 1868 r. W tym długim przeciągu czasu, poznał Grabowski mnóstwo zapomnianych tradycyi miasta, stykał się z wielu wybitniejszemi osobistościami, patrzył na ważne dla miasta i narodu wypadki, jako to na czasy Kościuszkowskie, wojny napoleońskie, na pamiętne lata 1831, 1846 i 1848, obserwował życie potoczne i obyczajowe, przekazał zatem potomności dużo zajmujących sylwetek o znajomych i współczesnych ludziach. Przedewszystkiem jednak zajmowały jego umysł dawne zabytki miasta Krakowa, jak zamek i kościół na Wawelu, przedmieścia i plantacye, bramy i baszty dawnej fortyfikacyi, kościoły istniejące i zburzone później, sukiennice i ratusz, dawne domy i gmachy, a wreszcie okolice Krakowa. Wszystko to opisał z wielką starannością i zamiłowaniem przedmiotu. W czerwcu 1847 r. odwiedził po raz ostatni swe ojczyste Kęty. W sierpniu 1867 r., prowadzony pod rękę przez prof. Władysława Łuszczkiewicza, i syna swego Kazimierza, po raz ostatni z pustelni na Bielanach OO. Kamedułów, zachwycał swe oczy widokiem Krakowa. Była to piękna staropolska dusza, charakter czysty, jak łza, prawdziwy syn katolickiego Kościoła, miłośnik swego narodu i miasta Krakowa. W 77 roku swego sędziwego życia ułożył wierszyk, który charakteryzuje wyśmienicie długie pasmo jego żywota:

Tu Ambroży Grabowski leży!... Polak szczery,
Boga wielbił, a dawne czytał rad papiery.
Pisma, w których on stare opowiadał czasy,
Wytłoczyły krakowskie oraz lipskie prasy.
Stęsknionego po stracie ukochanej żony
Wezwał Pan, by z nią wiecznem życiem był złączony.
Przechodniu! uczyń za nim do Boga westchnienie,
By duch jego w pokoju wiecznym miał spocznienie.

Profesorowi Estreicherowi należy się szczere uznanie i podziękowanie za wzbogacenie literatury historycznej nowym dorobkiem. Techniczna strona książki nie pozostawia nic do życzenia. Zdobi ją 30 pięknych illustracyi. Wykaz alfabetyczny nazwisk osób i miejscowości, ułatwia wszelkie poszukiwania. Do tego cena bardzo przystępna: 5 Koron za 2 grube tomy, zniewala do czytania: *tolle et lege!*

Ks. J. Sygański.

Z piśmiennictw obcych.

Theologische Zeitfragen von *Chr. Pesch S. J.* 4 Folge: Glaube, Dogmen und geschichtliche Tatsachen. Eine Untersuchung über den Modernismus. Freiburg i. B. 1908. Str. VI, 242, 8-ka.

Chrystyan Pesch T. J., znany wybitny teolog, wydał już piąty zeszyt swych »teologicznych kwestyi na czasie — *theologische Zeitfragen*«. Celem tych wydawnictw — jak nas zapewnia sam autor w przedmowie do IV zeszytu — jest »umożliwić wyrobienie sobie poglądu na kwestye poruszające świat katolicki, tym szczególnie czytelnikom, którzy nie są w stanie przestudyować odnośnej katolickiej literatury, a którzy się interesują życiem Kościoła«.

Tutaj zamierzamy omówić IV zeszyt jego »kwestyi«, traktujący o tak modnym dziś i hałaśliwym modernizmie.

Wiadomo, że kilkanaście lat temu wyłoniła się myśl, szczególnie we Francyi i Anglii, w sferach katolickich teologów i nieteologów, pogodzenia katolicyzmu z nowszymi prądami nauk świeckich, zwłaszcza filozoficznych. Nazwano ten nowy kierunek usiłowań »modernizmem«. Myśl sama chwalebna. Inicyatorzy jednak zapomnieli niestety o tem, że zgoda nie może nastąpić kosztem i ze szkodą religii katolickiej. Dziwną jakąś i niemal zabobonną czcią przejęci dla nowoczesnych prądów naukowych, biorąc hipotezy niesprawdzone za nieomylne pewniki naukowe, chcieli złożyć na ołtarzu całopalnym tej rzekomej wiedzy Boską naukę Kościoła katolickiego. Słusznie też w encyklice papieskiej *Pascendi* spotkały się te usiłowania z potępieniem.

Nasz autor właśnie kwestyę modernizmu stara się w zeszycie IV wyświetlić. Nie obejmuje on jednak w swej pracy wszystkich błędów modernistów, ale te głównie, które są sprzeczne z pojęciem katolickiem o wierze. Zestawia w tym celu poglądy głównych przedstawicieli modernizmu z nauką Kościoła i wykazuje sprzeczność pierwszych z drugą. By nie być posądzonym o stronniczość, przytacza najprzód długie wyimki z dzieł głównych przedstawicieli modernizmu. Przychodzą do słowa Loisy, Ward, Tyrell, Laberthonière i Blondel, same filary modernizmu. Następuje potem ocena ich poglądów i porównanie z nauką Kościoła.

W tym celu zbiera autor z przytoczonych poglądów punkta wspólne wszystkim zwolennikom nowego systemu i przeciwstawia je odpowiednim dogmatom Kościoła katolickiego.

Poglądy modernistyczne, które autor bierze pod uwagę, sprzeciwiają się głównie następującym pojęciom katolickim: pojęciu wiary i motywu wiary, pojęciu dogmatu katolickiego, rozwoju dogmatu i stosunku dogmatu do faktów historycznych. Te też głównie punkta nauki modernistycznej z jednej a katolickiej z drugiej strony uwzględnia autor. Warto pójść jego śladami i choć pokrótce, na podstawie jego dzieła, zestawić naukę katolicką odnośnie do wymienionych punktów z zapatrywaniami modernistów.

1. Pojęcie i motyw wiary. Wiara według nauki katolickiej jest uznaniem za prawdę tego, co Bóg objawił. Bóg objawił nie ogólne jakieś idee, ale prawdy szczegółowe, np. że jest jednym w trzech osobach, że jest piekło i t. d. Objawień tych udzielał nie każdemu z osobna człowiekowi, ale tylko pewnym swoim wybrańcom, ich wyposażał w znaki uwierzytelniające, t. j. dawał im moc czynienia cudów i przepowiadania proroctw, kazał im opowiadać prawdy im objawione innym i wymagał wiary w te prawdy od wszystkich, którym je ogłaszano. Takimi wybrańcami w Starym Zakonie byli patryarchowie i prorocy, w Nowym ogłosił Bóg swe prawdy przez Syna swego i apostołów. Aby z tych prawd w ciągu wieków ludzkości objawionych nic się nie zatraciło, ustanowił Chrystus nieomylny Kościół i jemu polecił te prawdy Boże przechowywać, głosić i czuwać nad ich całością i nieskazitelnością. Kościół po śmierci apostołów już żadnych nowych objawień nie otrzymuje. Objawienie tedy jest czemś, według nauki katolickiej, zewnętrznem, pośrednio tylko, zwyczajnie przez nauczanie drugich, dochodzi do świadomości naszej.

Zanim ktoś uzna pewną prawdę za objawioną, musi wprzód przekonać się w sposób odpowiedni do swego wykształcenia, do swego wieku i t. p. okoliczności, że pewna prawda została przez Boga objawioną. Skoro się o tem już przekonał, ma obowiązek uznać i przyjąć ją nie dlatego, że może przypadkiem swoim rozumem dojrzał wewnętrzną racyę tej prawdy i spostrzega jej oczywistość, ale dlatego, że ją Bóg objawił, dla powagi objawiającego Boga. Czy więc tę prawdę pojmuje czy nie, czy ona zgadza się z jego filozoficznymi, estetycznymi czy jakimikolwiek innymi poglądami lub nie, czy dogadza jego naturalnym skłonnościom czy nie, czy mu jest sympatyczną czy nie, miłą czy przykrą, czy wpływa na życie praktyczne, czy też może jest tylko prawdą teoretyczną, czy jej rozważanie podnosi go duchowo, czy może zostawia go obojętnym — wszystko jedno, ma ją uznać za prawdę i przyjąć ją za swoją, dlatego, że

ją Bóg objawił. Rozumnem jest tego rodzaju uznanie prawd objawionych, bez jakichkolwiek zastrzeżeń ze strony człowieka, bo rozumną jest rzeczą i obowiązkiem rozumnego stworzenia uznać za prawdę to, co Bóg wszystkowiedzący, nieomylny a najświętszy za prawdę podaje. Przez to człowiek nie poniża swej rozumnej natury, bo dać się pouczyć i pokierować nieomylnemu i miłującemu nas Bogu jest rzeczą ze wszech miar rozumną. Wszak i wobec ludzi, codziennie, taką uległość rozumu i woli okazujemy, a nikt się temu nie dziwi, owszem za dobre nam to ludzie biorą. Autonomię naszego rozumu musimy tyle razy poświęcić bądź z konieczności wskutek ograniczenia naszej natury, bądź z dobrej woli na korzyść rozumu drugich ludzi i nie jest to wcale dla nas ubliżającem a miałożby być ubliżającem dla człowieka poświęcić tę autonomię na rzecz rozumu Bożego!

Porównajmy teraz z przedstawionem pojęciem katolickiem o objawieniu, wierze i jej motywie pojęcia modernistów o tych samych przedmiotach.

Moderniści na wskroś się przejęli racyonalistycznymi poglądami na religię, na niezależność bezwzględną rozumu ludzkiego nawet wobec Boga. Racyonaliści wywodzą wszystkie objawy ducha, a więc i religijne, z natury człowieka, z jego potrzeb, aspiracyi; bronią się zaś przeciw religii, której źródło byłoby poza człowiekiem. Religia jest dla nich naturalną i stopniową ewolucyą tylko tych potrzeb duszy ludzkiej, ich konkretnym wyrazem. W miarę wzrostu kultury duszy zmieniają się i konkretne kształty religii, razem z duszą szlachetnieją i pojęcia religijne, uduchowiają się coraz więcej. Tę to zasadniczą naukę racyonalistów wszelkich odcieni chcieli moderniści przeszczepić na grunt katolicki. W ten sposób myśleli zbliżyć niewierzących do Kościoła. Oczywiście mogli tylko połowicznie ten eksperyment wykonać. Spotkali się bowiem w religii katolickiej ze systemem pozytywnych nauk, ze ściśle określonemi religijnemi pojęciami.

Jak to wszystko pogodzić z nieokreśloną, racyonalistyczną ewolucyą religijną? Jak ta, niezaprzeczalna zresztą, dążność człowieka do ideału, nieskończoności, mogła sobie wytworzyć, przez ewolucyę własną tylko, takie właśnie konkretne kształty, jakie widzimy w religii katolickiej? A pogodzić trzeba koniecznie za wszelką cenę, bo inaczej nie zyska się racyonalistów, bo inaczej, przed czem drżą moderniści najbardziej, nie stanie religia katolicka na wyżynie współczesnej wiedzy. Ale odrzucić wszystko, czego Kościół uczy i zostawić tylko racyonalistyczną ideę przewodnią, i powiedzieć, że to czysta nauka katolicka,

tego nie można — nie można przez wzgląd na wierzących katolików, na władzę kościelną — a więc pogodzić! Ale jak, kiedy wydają się systemy racyonalistyczne i katolickie nie do pogodzenia. Jak oni to godzą jedno z drugiem, teraz zobaczymy.

Najpierw więc objawienie — czem ono jest w pojęciu modernistów?

W sercu ludzkiem jest pewien pęd ku temu, co niezmienne, Boskie, jest wrodzona dążność do ideału, piękna i dobra, jest pewien instynkt religijny, jest pragnienie rozwiązania zagadki celu człowieka. Tym zmysłem i pod wpływem tego duchowego parcia, jednostki, zwłaszcza więcej od natury uprzywilejowane, wyczuwają Boga. I to jest pierwsze objawienie się Boga ludzkości, niewyrozumowane dowodami istnienia Boga, ale odczute instynktem religijnym. To początek objawień. W miarę rozwoju tego zmysłu nowe objawienia i nowe prawdy, jakby światła błyskawicy, o Bogu i naszym do niego stosunku, pojawiają się w umyśle, zwłaszcza jednostek wybranych, a więc myśli np. że Bóg jest ojcem naszym, że nas miłuje, że się opiekuje nami i t. p. Takie objawienia miał i Chrystus. Szczególnie odczuł on ideę królestwa Bożego na ziemi i tę ideę począł szerzyć. Objawienia, według modernistów, nie podają nam szczegółowych prawd, jak je już skrystalizowane w dogmatach katolickich spostrzegamy, ale tylko rzucają ogólne, bogate treścią i płodne w następstwa myśli naszego do Boga stosunku. Skrystalizować te prawdy i rozdrobić je niejako, ująć w dogmaty jest rzeczą ludzką. Oczywiście objawienia nie będą mieć nigdy końca, bo nieskończonego żadna myśl ludzka objąć i odtworzyć nie jest w stanie. W miarę kultury ludzkiego ducha ten nasz do Boga stosunek objawiać się będzie coraz więcej uduchowiony, coraz idealniejsze przybierać kształty. To jest pojęcie objawienia — a wiara czem jest według modernistów?

Nie jest ona uznaniem rozumem tych prawd objawionych — uznanie rozumem, jest rzeczą podrzędną, ale jest wytworzeniem się stosunku miłości człowieka do Boga, przylgnięciem miłosnem do Boga. Wiara tedy, w pojęciu modernistów, jest nieodłączną od miłości, owszem miłość Boga, objawiającą się na zewnątrz świętością życia, jest istotą wiary, wbrew nauce Kościoła, wbrew objawieniu Boga, wbrew codziennemu doświadczeniu, że może ktoś być wierzącym, a nawet głęboko wierzącym, a miłości Boga nie posiadać.

A cóż będzie stanowiło u modernistów kryteryum prawd objawionych?

Jakże się przekonać, czy te objawienia pochodzą od Boga, jakże ci wybrańcy Boscy udowodnią nam, że głoszą rzeczywiste objawienia Boże, a nie własne urojenia? Czy może cudami, proroctwami mają się wykazać, że są posłannikami Bożymi, jak to Kościół dotąd uczył?

O cudach twierdzą moderniści, że nie dadzą się rozumowo jako dzieła wyłącznie Boże udowodnić. Rzecz zrozumiała. Wszak według modernistów, zwolenników filozofii Kanta, my nie znamy samej natury rzeczy tylko zjawisko pod zmysły podpadające, a więc nie możemy wiedzieć, czy cud jest dziełem przewyższającem prawa natury. Cud, jako dzieło wyłącznie Boże, może uznać tylko wiara, nigdy rozum. Nawet istnienie Boga nie da się rozumowo, według modernistów idących i w tem za Kantem, uzasadnić. Bóg jest ponad światem zmysłowym, a my tylko rzeczywistość zjawisk znamy. Wszystko, co nadzmysłowe może być w pojęciu naszego umysłu, ale czy temu pojęciu rzeczywistość odpowiada, wiedzieć nie możemy. Nie wiemy bowiem nawet, czy prawu przyczynowości, na którem się opierają dowody na istnienie Boga, odpowiada rzeczywistość, czy też to tylko taka konstrukcya naszego umysłu, że następstwa dwóch zjawisk wiąże w przyczynę i skutek, ale czy w rzeczy samej tak jest, nie wiemy. Boga, według Kanta, przyjąć musimy, bo bez niego nie ma celu nasze życie, samo społeczeństwo ludzkie bez Boga nie mogłoby się ostać, ale rozumowo udowodnić istnienia Boga nie jesteśmy w stanie. Ale też tego rodzaju dowodu wiara nie potrzebuje. Wiara to życie, to miłość, to przylgnięcie stworzenia do Boga. Szczęście, jakiego doznawać będziemy, jeśli przylgniemy do prawd objawionych, zaspokojenie wewnętrznej dążności do ideału, zgodność prawdy objawionej z potrzebami naszej natury, uszlachetnienie tej natury, uduchowienie jej — oto kryterya, żeśmy w posiadaniu prawdziwych objawień, oto dowody na istnienie Boga. Życie dostosowane do prawd objawionych przekona każdego o ich objektywnej prawdzie. A wtedy żadne przeciwne argumenta, żadne naukowe wywody nie potrafią wstrząsnąć jego wiarą. Własne doświadczenie stanie mu za wszystkie wywody.

Czy moderniści w tych ostatnich twierdzeniach wcale nie mają racyi?

Czy za kryteryum prawdy objawionej nie można brać zgodności tej prawdy z naturą ludzką, czy nie można wnosić o objektywnej wartości prawdy objawionej ze zaspokojenia przez nią potrzeb duchowych i dążności naszej natury? Odpowiadamy, że to jedno kryteryum byłoby niewystarczające, prowadziłoby często na manowce i nie odpo-

wiadałoby duchowi wiary, która polega na uznaniu prawdy objawionej nie dla własnych życiowych doświadczeń, ale dla powagi mówiącego do ludzi Boga. Ktoby więc wierzył jakiej prawdzie jedynie dlatego, że ona zaspokaja jego potrzeby duchowe, jest jakby konkretnem zrealizowaniem ideału jego pragnień, nie miałby wiary prawdziwej w pojęciu katolickiem. Motywa te atoli modernistów, jeśli nie wykluczają innych, właściwych, jakie podaje wiara katolicka, mogą ułatwić człowiekowi wiarę, a wierzącego już utwierdzić w wierze i osłodzić mu spełnienie trudnych obowiązków przez wiarę nałożonych. Dlatego jest rzeczą dobrą tym, którzy na objektywne argumenta mniej są podatni, ułatwiać wiarę przez wskazywanie na religijny podkład naszej natury, na wewnętrzne doświadczenia i na błogie skutki, jakie wiara sprawuje. Nie jest też nowym tego rodzaju dowód, jak myślą moderniści, ale dawnym apologetom znany, że powołam się tylko na Kleutgena, którego przepiękne słowa za autorem omawianej książki przytoczyć sobie pozwolę: »Są doświadczenia duchowe, z których możemy przyjść do przekonania, że nauka Chrystusowa jest Bożem słowem... Człowiek z tego, co poznana prawda chrześcijańska w nim sprawuje, może się o jej Boskości przekonać. Kiedy naraz zacznie mu w duszy świtać, a prawda mu, jak wschodzące słońce, swe oblicze ukaże, kiedy ona swe światło rozleje na wszystko, co człowiek weźmie pod uwagę i to mu tłumaczy, co dotąd w życiu i w historyi było dla niego zagadką; kiedy go jakby tchnienie z poza świata ochłodzi, a on czuje się podniesionym ponad to, co ziemia daje i jakby z więzów zwolniony, które go dotąd krępowały, kiedy teraz może swe zmysły ujarzmić, swe namiętności opanować, mary życia lekceważyć, nie bać się jego niebezpieczeństw i uciążliwości, to wtedy może i musi uznać, że to Najświętszy, Najprawdziwszy, Wszechmocny się mu objawił«. (*Theologie der Vorzeit*, nr. 203).

Z przytoczonych słów się okazuje, że owe dowody z doświadczeń wewnętrznych, którymi, jakby swoimi wynalazkami tak chełpią się moderniści, były dobrze znane teologom katolickim już przed modernistami. O. Pesch nie waha się nawet twierdzić, »że nowi apologeci ani jednego naukowo wartościowego momentu nie podnieśli, któryby już nie był uwzględniony przez dawnych teologów, zanim jeszcze ruch modernistyczny się rozpoczął«. Prawda, że do tych argumentów nie tyle przykładano dawniej wagi, co dzisiaj. »Dlatego dzisiejsi teologowie dobrze robią, że tego rodzaju argumenta wszechstronnie rozwijają, aby tym przyjść z pomocą, którym inne argumenta

nie przemawiają do przekonania«. Nie powinni jednak zapominać i o odwrotnej stronie medalu tych argumentów, na co Kleutgen równie zwraca uwagę. Najprzód zaznacza, że tego rodzaju argumenta nie mają siły powszechnie i koniecznie przekonywującej. »A nawet trzeba powiedzieć — słowa Kleutgena — że nawet ci, którzy przez własne doświadczenia do wiary doszli, albo w niej się utwierdzili, nie będą mieć w tych dowodach dostatecznego oparcia na wszystkie czasy i położenia w życiu. Im bowiem tego rodzaju łaski są bardziej indywidualne i subjektywne, tem bardziej wprawdzie są sposobne zrodzić wiarę albo ją wzmocnić, a l e n a t a k d ł u g o , j a k d ł u g o t r w a j ą; ale tem mniej mają siły przekonywującej wtedy, gdy miną. Należy tedy to bardzo zganić, że niektórzy pisarze o tych osobistych doświadczeniach z taką przesadą mówią, że zwykłe dotychczasowe dowody uważają za niedostateczne i wogóle drogę dowodzenia rozumowego w rzeczach religijnych uważają za chybioną. Biada im i tym wszystkim, którzy ich słuchają, kiedy po tych doświadczeniach, w których dobroć Boża w szczególny sposób się objawiła innych zaznają doświadczeń, które ta sama dobroć dla ich próby na nich dopuści... kiedy doświadczą, że i chrześcijanina droga wiedzie przez stepy i pustynie, gdzie źródła, u których się niegdyś orzeźwiał, wysychają tak, że się mu zdaje, że ani w sobie ani poza sobą nie urzeczywistnia się to, czego się spodziewał. Wtedy to potrzebuje tego oparcia, jakie daje spokojne rozważenie wielkich dzieł historyi i ta świadomość, że tę samą wiarę wyznaje, co tysiące najmędrszych i najlepszych — jakkolwiek się zresztą rzecz ma z własnemi jego doświadczeniami«.

2. D o g m a t k a t o l i c k i i j e g o r o z w ó j. Przez dogmat w katolickiem znaczeniu rozumie się pewną naukę, o której najwyższa powaga kościelna orzekła, że jest objawioną i dlatego należy ją za prawdę uznać, a jej przeciwną odrzucić. Takimi dogmatami są np., że Chrystus jest Bogiem, że Marya jest Matką Bożą.

Czy dogmat przez Kościół ogłoszony może uledz zmianie, innemi słowy, czy Kościół uznaje rozwój swoich dogmatów? Uznaje, ale nie w tem znaczeniu jakoby rozwój dogmatu polegał na »przyroście, po śmierci ostatniego apostoła, nowo objawionej prawdy lub skasowaniu dawnej definicyi dogmatycznej lub na zmianie sensu dawnego dogmatu. Rozwój dogmatu nie oznacza również rozwoju jakiejś ogólnej tylko idei, rzuconej przez Chrystusa lub Apostołów«.

Czemże więc jest ów rozwój dogmatu?

a) Rozwój dogmatu może na tem polegać, że Kościół ogłasza

jako dogmat prawdę objawioną przez Chrystusa lub Apostołów, ale która nie była dawniej z takim naciskiem jak później w Kościele przepowiadana. Między prawdami bowiem objawionemi są pewne, których zawsze z naciskiem uczono — to są prawdy zawarte w Składzie Apostolskim. Inne, których znajomość na razie mniej była wiernym potrzebną, zostały niejako na drugim planie nauczania kościelnego. Potrzeby czasu się jednak zmieniają i dlatego mogło się stać, że prawda pewna, przedtem mniej podkreślana w nauczaniu kościelnem, nagle lub zwolna na pierwszy plan się wybiła. Przyczyną tego przesunięcia się prawd były zwykle herezye lub wątpliwości w łonie samego Kościoła obudzone, czy pewna prawda jest objawioną, czy nie.

b) Rozwój dogmatu mógł na tem dalej polegać, że prawdę objawioną ujęto w pewną formułę lub użyto na jej określenie technicznego wyrazu. Bóg nie objawił ludziom systematycznie ułożonej dogmatyki ze stałemi wyrażeniami i naukowemi pojęciami, ale dostosował się do stanu umysłowego pierwszych odbiorców objawienia. »Ponieważ się mowa ludzka i pojęcia zmieniają, dlatego było rzeczą wielkiej wagi nadać prawdom wiary pewną stałą formę, aby razem ze zmianą mowy i pojęć same prawdy nie uległy zmianie. Kościół tedy ustalił terminologię«. Mógł Kościół wtedy, jak to rzeczywiście nieraz czynił, zapożyczyć z umiejętności świeckich wyrazów, ale stąd nie wypływa, że i samą prawdę wiary nabył ze współczesnych umiejętności i nadał jej walor dogmatu. Tak np. posłużył się w swych orzeczeniach dogmatycznych wyrazami wziętymi z filozofii jak substancya, relacya, osoba, ale rzeczy tym wyrazom odpowiadające nie z filozofii czerpał, lecz z objawienia.

c) Rozwój dogmatu mógł polegać na wyciągnięciu konkluzyi z prawd wyraźnie objawionych lub z dogmatów przedtem zdefiniowanych.

d) Wreszcie rozwój dogmatu polega na przystosowaniu prawd objawionych do praktycznego życia i do poszczególnych potrzeb ludzkości. Rozwój dogmatu w tem znaczeniu zmierza do zapuszczenia coraz głębiej swych korzeni w życie ludzkie, uświęcenia i uszlachetnienia ludzkości. »Słowa Boskiego objawienia, ożywione Duchem św., nie zamierają, nie zmieniają się, nie ustępują innym naukom, ale zostają na zawsze tem, czem były od początku. One tylko pociągają umysł ludzki ku sobie, zapładniają go nowymi wiadomościami, które bez końca rozwijać się mogą i róść, nie wyczerpując głębokości słowa Bożego«.

Taką jest nauka katolicka o dogmatach katolickich i ich rozwoju, a jakie są zapatrywania modernistów w tym względzie?

Oto i one. Objawienia otrzymane stara się człowiek ująć w pewne symbole, zwane dogmatami. Tak samo czyni Kościół. Doświadczeniem życiowem wieków sprawdzone objawienia ujmuje w pewne formuły, zwane dogmatami. Nie zawierają one bezwzględnej prawdy, i mogą podlegać zmianom, a nawet powinny. Nie zawierają bezwzględnej prawdy, bo umysł ludzki nie może objąć Boga, który się mu w objawieniach okazuje i musi wytwarzać sobie, stosownie do swej ograniczonej natury, niedokładne tylko pojęcia o Bogu. Powtóre symbole dogmatyczne urobione są według pojęć czasów, w których powstały. Cały kulturalny poziom tych czasów w nich się odbija. Naturalnie więc w miarę nowych, dokładniejszych objawień o Bogu, jako też w miarę postępu kultury, muszą się i symbole czyli dogmaty zmieniać. Dogmaty kościelne wogóle zawierają względną prawdę tylko, mianowicie oddają możliwie w najbardziej do prawdy zbliżony sposób, ale nie bezwzględnie prawdziwy, pewne pojęcia o Bogu. Jak długo jednak Kościół nie zmienia dogmatów, tak długo wierni powinni je wyznawać, bo Kościół wie najlepiej, które symbole, do czasu, najlepiej wyrażają pewne stosunki człowieka do Boga. Z drugiej strony Kościół ma obowiązek zmieniać dogmaty i dostosowywać je do naukowych pojęć czasu. Dlatego może się od czasu do czasu zdarzyć, że stare dogmaty jeszcze się utrzymują, ale z naukowemi zapatrywaniami czasu już się nie zgadzają. Wtedy powinien wierny trzymać się dogmatu, ale jeśli jest przytem mężem nauki, musi sobie powiedzieć, że dogmaty wymagają nowej rewizyi i sam winien się do tego przyczynić, aby ta zmiana dogmatu nastąpiła.

3. Dogmaty a fakta historyczne. Między prawdami przez Kościół do wierzenia podanymi, znajduje się niemało faktów historycznych. Narodzenie, śmierć, zmartwychwstanie, wniebowstąpienie Pana Jezusa, to wszystko fakta historyczne, które są zarazem przedmiotem dogmatów katolickich.

Jak wobec tego rodzaju dogmatów zachowują się moderniści?

Dla Loisy zmartwychwstanie P. Jezusa jest niepewnym faktem historycznym; on jednak jako katolik w nie wierzy, jak długo Kościół nie uzna za stosowne zmienić w tym względzie swych zapatrywań. Ma jednak nadzieję, że to wkrótce nastąpi, owszem najwyższy już byłby czas, żeby Kościół tak ten dogmat jak i inne, o których w biblii mowa, zmienił, gdyż w tej formie, jaką dziś posiadają, nie

odpowiadają już dziś wymogom krytyki historycznej. Nie wszyscy jednak moderniści tak daleko idą. Niektórzy, jak Tyrell, uznają wprawdzie same fakta za prawdziwe, ale zaraz dodają, że wierzącemu nie zależy tyle na ich prawdziwości, jak na tych duchowych ideach, których fakta wspomniane są jakby zewnętrzną tylko szatą. Inni to rozumieją, że zaprzeczyć fakta historyczne dogmatów lub ich prawdziwość choćby tylko w wątpliwość podać, znaczyłoby i samą ideę przez nie reprezentowaną pogrzebać, wierzą przeto w same fakta, ale zarazem utrzymują, że naukowo udowodnić się nie dadzą, dopiero wiara dodaje im tyle nowego blasku, że dla wierzącego ich rzeczywistość staje się niewątpliwą.

Taki jest przebieg głównych myśli w książce O. Chr. Pescha. Dodany jeszcze na końcu książki t. zw. Nowy Syllabus, potępiający 65 zdań modernistów i wyjątki z encykliki *Pascendi* Piusa X.

Znawcom innych dzieł O. Chr. Pescha nie potrzebuję przypominać, że i ta książka jest napisaną jasno, przystępnie, przejrzyście, a przytem gruntownie. Dwa tylko skromne życzenia mielibyśmy do wyrażenia. Byłoby pożądaną rzeczą, żeby szan. autor był zwrócił uwagę na logiczne konsekwencye, do jakich tak w teoryi jak w praktyce musiałoby dojść, gdyby się modernizm w chrześcijaństwie zakorzenił. Naturalizm i racyonalizm, zupełne wyrugowanie z religii katolickiej pierwiastka nadprzyrodzonego, a co za tem idzie rozstrój zupełny w nauce i w czynie, jak to się dzieje w liberalnych sferach naukowych dzisiejszego protestantyzmu — oto konsekwencye jakie niewątpliwie zasady modernistów na katolicyzm sprowadziłyby. Również może było wskazanem rozszerzyć się nieco więcej nad źródłami, z jakich wypłynął modernizm. Są nimi, jak wiadomo, kancyanizm i dzisiejszy protestancki, religijny liberalizm naukowy.

Prawda, że szan. autor chciał tylko zestawić błędy modernizmu z pozytywną nauką Kościoła — co też uskutecznił znakomicie — ale oświetlenie poruszonych przezemnie punktów, nie o wiele książkę rozszerzyłoby, a nadałoby jej większego jeszcze zainteresowania i wyczerpałoby zupełnie założony temat.

Ks. Sieniatycki.

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

Literatura i język średniowiecznej Anglii. *Dr. Roman Dyboski, docent Uniw. Jagiell.* Z mapą. Wydane z zasiłkiem Akademii Umiejętności w Krakowie. 1910. Kraków, G. Gebethner i Ska. Warszawa, Gebethner i Wolff. Str. XII i 418 wielkiej 8-ki.

Treść: rozdział I. Początki historyczne narodu angielskiego, inwazya Anglii przez Anglosasów w V i VI wieku, ich stosunek do podbitych Keltów. — II. Podstawy germańskie języka angielskiego; stanowisko języków germańskich pośród indo-europejskich; ich ugrupowanie; charakterystyka języka literackiego staro-angielskiego i jego narzeczy. — III. Zaprowadzenie chrześcijaństwa w Anglii. Kultura i literatura staro-angielska. Styl germańskiej poezyi narodowej. Epopea o Beowulfie. Poezya chrześcijańska w Anglii. Usiłowania literackie Bedy i króla Alfreda Wielkiego. — IV. Inwazya skandynawskich wikingów; asymilacya najeźdźców; żywioł skandynawski w języku angielskim. — V. Podbój Anglii przez Normanów (1066), rządy i kultura francuska w średniowiecznej Anglii, illustrowane przeglądem słów francuskich w języku angielskim. VI. Rozwój mowy ludowej angielskiej w okresie panowania francuszczyzny i rozłam na narzecza; ich znamiona i początki literatury w nich napisanej. — VII. Geoffrey Chaucer, twórca narodowej poezyi angielskiej († 1400) i jego współcześni; reformator religijny Wycliffe, pierwszy tłumacz Pisma świętego na język angielski. — VIII. Caxton, pierwszy drukarz angielski; proza i poezya angielska XV wieku; początki języka literackiego nowo-angielskiego. — IX. Historya Szkocyi aż do Maryi Stuart; odrębny rozwój narzecza angielskiego na podhalu szkockiem; poeci i literaci szkoccy od XIV do XVI wieku. — Książka, przeznaczona w pierwszym rzędzie jako podręcznik uniwersytecki do akademickiego studyum dziejów języka i literatury angielskiej, ale przystępna także dla szerszego wykształconego ogółu, przedstawia w ogólnych zarysach rozwój polityczno-społeczny i cywilizacyjny Anglii od jej osiedlenia przez Anglosasów w V i VI wieku, aż do początków ery Odrodzenia, na tem tle zaś charakteryzuje stan języka co do gramatyki i słownictwa, oraz opowiada dzieje literatury poetycznej i prozaicznej w poszczególnych okresach tej średniowiecznej opoki, łącząc w ten sposób encyklopedycznie przedmioty zazwyczaj w osobnych podręcznikach traktowane. Dodane jest siedem wybranych prób poezyi i prozy średniowiecznej angielskiej w oryginale z tłumaczeniem i obszernemi objaśnieniami (str. 338—384), dalej bibliograficzny spis źródeł i opracowań przedmiotu, mogący służyć jako przewodnik do gruntowniejszych i specyalnych studyów (str. 385—394), wreszcie alfabetyczny indeks nazwisk, tytułów i form gramatycznych (str. 395—418), oraz mapa wysp brytyjskich dla ułatwienia oryentacyi topograficznej.

D.

Dlaczego stałem się anarchistą? *Wiktor Cathrein.* Warszawa 1909, str. 135.

Wpływ otoczenia na sposób myślenia, na przekonania i życie człowieka jest niezaprzeczenie wielki. I tylko silne charakterem jednostki

odporne są i skutecznie przeciw tym wpływom reagują, gdy widzą ich zgubne skutki. W rozprawie powyższej mówi właśnie autor o przemianie, jaka się dokonała w młodem życiu, mówi o powodach, które w wierze wychowanego młodzieńca rzucały kolejno w objęcia ateizmu, socyalizmu i anarchizmu, zanim przypadek zdołał znów wrócić młode serce na drogę wiary. Przy tej sposobności polemizuje Cathrein z profesorami uniwersytetów niemieckich, z tymi, którzy sami będąc ateistami pragną widzieć wszystkich w swoim obozie.

W. B.

Jubileusz 700-letniego istnienia zakonu Br. Mniejszych. *O. Z. Janicki* z. Br. Mn. Kraków 1909.

Bardzo dobra to książeczka — może najlepsza wśród innych, z okazyi franciszkańskiego jubileuszu wydanych. Na 122 stronnicach podaje sz. autor krótko o założeniu zakonów Franciszka św., obecny stan zakonu po całym świecie, wraz z kalendarzem świętych franciszkańskich. Osobne rozdziały przypominają o wielkich zasługach tego zakonu na każdem polu pracy: na misyach, na naukach, w sztuce, na polu społecznej akcyi. Bardzo ważnym, — może najważniejszym nazwałbym ten rozdział, który omawia liturgiczne zwyczaje, kościelne święta i nabożeństwa ludowe, które wywodzą swój początek od Zakonu Braci Mniejszych, zarówno jak i ostatnie rozdziały o Reformatach i Bernardynach w Polsce. Wprawdzie krótkie to rozdziały, ale wystarczająco napisane, aby dać poznać, przypomnieć czytelnikom, chcącym dowiedzieć się o prawdzie, ile dobrego zakony te w Polsce zdziałały. Sam ogrom faktów i ich mnóstwo wzbudzają podziw i uznanie dla cichych zakonników.

K.

Galicya w powstaniu styczniowem. *Dr. Jan Stella-Sawicki.* Lwów 1909, str. 190.

Galicya odegrała ważną rolę w powstaniu styczniowem. Utworzone dwa komitety, w zachodniej Galicyi jeden, a drugi we wschodniej wysyłały ludzi, broń i wodzów swoich do Kongresówki, byle jeno podtrzymać owe ostatnie orężne zapasy Polski z Moskwą. Autor brał czynny udział i we walce i w robotach ówczesnych. Własne więc wspomnienia były dla niego ważnym materyałem. Korzystając przytem z pamiętników pułkownika Miłkowskiego, Stanisława Jarmunda i Floryana Ziemiałkowskiego, napisał powyższą książkę. A że pamiętników i wspomnień, tyczących się udziału Galicyi w powstaniu styczniowem historya niezbyt wiele posiada, może przeto rozprawa ta przyniesie wiele korzyści. Wielce dogodną dla czytelnika byłoby rzeczą, gdyby autor był we wstępie zamieścił krótką historyę tegoż powstania pod zaborem rosyjskim.

W. B.

Katolicy, brońmy naszej wiary. *Ks. Henryk Morice,* przekład z francuskiego *Z. Rieff.* Wyd. księgarni »Kronika Rodzinna«. Warszawa, str. 181.

Do napisania powyższego dziełka pobudziły autora napaści na Kościół katolicki, jakie od lat dwudziestu mają miejsce we Francyi. Autor świadom jest, że czcze protesty na nic się nie zdadzą. Chcąc złemu zaradzić, potrzeba pracy się oddać skutecznej i przykładem swoim innym świecić. Pracą tą — to apostolstwo, które wzór

czerpać winno w życiu Chrystusa Pana. A prawo do owego apostolstwa mają wszyscy — i księża i świeccy. Bronią najskuteczniejszą — to miłość bliźniego. Formami — chrześcijańskie wychowanie dziecka, a dobre oddziaływanie na dorosłego. Gdy w ten sposób pojmą francuscy katolicy swoje obowiązki — upadnie zawiść nieprzyjaciół. Słowa autora nie tylko do Francyi się ograniczają. Znaleźć winny posłuch w każdem państwie katolickiem. Dlatego też przekład na język polski wielce jest pożyteczny.

W. B.

Niezapominajka dla naszych tercyarzy. Kraków 1909. Druk. Rippera.

Niestrudzony O. Z. Janicki podjął się opracowania nauk, przydatnych dla księży, prowadzących Trzeci zakon św. Franciszka. Jest to zbiór 31 krótkich przemówień, a bardzo praktycznych, mogących mieć zastosowanie także i w przemówieniach i do jakichkolwiek innych bractw.

k.

Gniazda dla sierot. *Franciszek Sypowski.* Kraków, Gebethner i Spółka 1908, str. 79.

Powściągliwość i praca w Pawlikowicach. *Franciszek Sypowski.* Kraków, 1908, str. 72.

Budzili zawsze litość w każdem szlachetnem sercu owi bezdomni, osieroceni malcy o główkach nieproporcyonalnie wielkich, o bladych twarzach i szeroko rozwartych ustach i o krzywych nóżkach. Wstrząsają do głębi duszy te w brudnych i poszarpanych sukienkach dziewczątka. Są przypomnieniem ciągłem dla społeczeństwa o obowiązkach względem tegoż społeczeństwa. Doczekaliśmy się nareszcie chwili, w której wznoszą się zakłady wychowawcze dla biednych i opuszczonych. Tych spraw dotyczą również obie broszurki pana Sypowskiego. W pierwszej wypowiada autor wiele cennych uwag w sprawie wychowania sierot i dzieci ubogich. W drugiej dzieli się wrażeniami, jakie autor odniósł przy zwiedzaniu zakładu wychowawczego w Pawlikowicach. Dodać wypada, że dochód czysty przeznaczony jest na wspomniany zakład.

W. B.

Rusini w Radzie Państwa 1907—1908 r. *Dr. Ignacy Winiarski.* Lwów 1909. Księg. Gubrynowicza i Schmidta. Str. 79.

Broszura należy do cyklu: »Nasze sprawy na Rusi«. Ma na celu jak i ów cykl zapoznać społeczeństwo polskie ze sprawami ruskiemi, przygotować materyał dla przyszłego historyka, a politykowi umożliwić dalszą oryentacyę w polskiej wobec Rusinów polityce. Wstęp traktuje o wyborach do Rady Państwa w 1907 r. Opisuje następnie działalność trzech sesyi, letniej i jesiennej w 1907 r., a wiosennej w 1908 r., daje autor barwny obraz ruskiej polityki. A że nieznajomość tejże nam na szkodę wychodzi, więc rzecz powyższa jest bardzo na czasie.

W. B.

Katolicyzm a kultura nowoczesna. *Ks. A. Ehrhard,* przekład ks. Z. Cieplucha. Księgarnia św. Wojciecha. Poznań 1909. Str. 75.

Tytuł sam wskazuje jak żywotną, jak bardzo na czasie jest kwestya poruszona przez autora. Jest to jedna z tych kwestyi, która i przez wrogów katolickiego Kościoła i przez niektórych członków jego i zwolenników rozstrzygana bywa nader zgodnie. Jedni i drudzy twierdzą, że katolicyzmu z kulturą nowoczesną pogo-

dzić żadną miarą nie można. Autor wykazuje, że między katolicyzmem a kulturą nowoczesną sprzeczności niema, lecz owszem między jednem a drugiem da się ustalić stosunek harmonijny. Dodać również należy, że rzecz jest przełożona składnie.

W. B.

500 milionów Begumy. *J. Verne*. 1909.
Przygody na okręcie „Chancellor". *Tenże*. 1909.
Naokoło księżyca. *Tenże*. 1909
Doktor Omega. Fantastyczne przygody na Marsie. *A. Galopin*. 1910.
Młodzi żeglarze czyli przygody myśliwych w Ameryce Półn. *Mayne-Reid*. Wydanie III. 1910. Str. 297. Warszawa—Kraków. G. Gebethner i Spółka.

Wszystkie w nagłówku wymienione wydawnictwa G. Gebethnera i Spółki przeznaczone są dla młodzieży.

Ogólna znajomość dzieł Verne'go uwalnia nas od bliższego zajmowania się niemi. Pobudzają one wyobraźnię, kształcą umysł, potrafią nawet uszlachetnić serce, chociaż, i to jest ich słabą stroną, etyczna strona tych utworów jest trochę mglista i abstrakcyjna, coś w rodzaju niezależnej moralności.

Mniej odpowiada celowi »Doktor Omega«. Przeważa tu wyobraźnia a znajdą się i reminiscencye z Verne'go, np. spotkanie się w przestworzu z meteorem. Opisy pół-ludzi półzwierząt, mordy i gwałty nie wywołują chyba dodatniego wrażenia. Przy malowaniu życia na Marsie i wysokiej kultury ludności można było też coś o ich religii wspomnieć — tego niema a słowo »opatrzność« u współczesnych autorów nic właściwie nie mówi.

Wiele za to wiadomości, czasami nawet fałszywych, jak np. że zwierzęta myślą i rozumują tak jak człowiek, zawierają »Młodzi żeglarze«; to właściwie podręcznik botaniki i zoologii a po trochu i geologii amerykańskiej, choć przyznać trzeba, nić powieściowa dość zajmująca. Illustracye wszystkich tych książeczek interes ich jeszcze podnoszą.

Ks. W. W.

Pod Sasowym Rogiem. Powieść z XVII wieku. *Z. Morawska*. Warszawa—Kraków. G. Gebethner i Sp. 1910. Str. 217.

»Pod Sasowym Rogiem« to barwny obraz z niewoli tureckiej i z walk polskich z pohańcem. Dziwne tu powikłania, ciekawe intrygi, trochę smutne zakończenie, lecz dużo we wszystkiem serca i ciepła, dużo jasnego zapatrywania na życie. Jest to jedna z tych powieści dla młodzieży, którą polecić można, bo i rozum i wola i serce i wyobraźnia znajdą dla siebie dużo materyału.

Ks. W. W.

Thomae à Kempis de imitatione Christi l. 4. Textum edidit, Considerationes adiecit H. Gerlach... Ed. III. Herder. Friburgi Br. 1909. Str. XIX, 515.

Że powyższe dziełko cieszy się popularnością, dowodem tego trzecie, pomnożone i poprawione wydanie. Wartość tego wydania polega na tem, że do każdego rozdziału czterech ksiąg »Naśladowania« dodano tak zwane konsyderacye czyli tekst, zebrany z różnych dzieł Tomasza à Kempis, który z danym rozdziałem stoi w pewnym pokrewnym związku i jego myśli obszerniej rozwija. Wyboru dokonano według zbiorowego wydania dzieł Tomasza à Kempis, które w r. 1607 przygotował do druku antwerpski Jezuita, Sommalius i według nieukończonego jeszcze wydania Pohla. Dwa te nazwiska poręczają auten-

tyczność tekstu, który w obecnej formie nadaje się na czytanie duchowne i rozmyślanie a służyć może i do kazań. *Ks. W. W.*

Das Fronleichnamsfest der Chiquiten. *J. Spillmann S. J.* Zbiorku »Aus fernen Landen« t. 17. Wydanie 5. B. Herder. Freiburg i. Br. 1909. Str. 96.

Celem wydawnictwa *Aus fernen Landen* jest w lekkiej powieściowej formie zapoznać czytelnika z misyjną działalnością Kościoła i podać równocześnie młodzieży lekturę zdrową i szlachetną, któraby kształciła umysł i doskonaliła serce a wyobraźnię tylko w miarę podniecała. Wydawnictwo spotkało się z uznaniem u publiczności katolickiej a omawiany tomik jest jednym z lepszych z całego zbioru. Opowiadanie rozgrywa się na rozległych przestrzeniach między rzekami Amazonką i La Platą, na terenie dzisiejszej Boliwii; pokazuje zbawienne owoce misyjnej działalności wśród dzikich indyańskich plemion, zbawienne dla duszy i dla ciała i zniszczenie misyi przez wrogi Jezuitom ówczesny hiszpański rząd. Dziełko świadczy nie tylko o gruntownej znajomości historyi, lecz także o dokładnej znajomości kraju i zwyczajów różnych szczepów, dlatego przeplatane jest rzeczywiście pięknymi opisami, które z opowiadania czynią lekturę pożyteczną i przyjemną; warto mu poświęcić kilka chwil.

Ks. W. W.

La religion védique. *Alfred Roussel.* Paris 1909. Pierre Téqui. Str. 312.

Wielką przysługę wyświadczył światłemu ogółowi autor powyższej książki, profesor sanskrytu na wszechnicy fryburskiej. Odpowiedział na pytanie, co sądzić mamy o wyznaniowym postępie rozumu ludzkiego. Rozstrzygnął przedewszystkiem prawdę, czy chrześcijaństwo rozwinęło się w sposób przyrodzony ze starożytnych pojęć żydowskich i pogańskich, czy zasiliło się z Indyi nauką o Trójcy Boskiej a z innych krajów ściągało dalsze podania. Prawda w świetle ścisłej nauki fryburskiego indologa nie o postępie rozumu na drodze wyznaniowej świadczy, ale o upadku i zatracie pojęć rozumnych.

Wedy przedstawiają już gruzy jakiejś budowli wyznaniowej. Co przed nimi wznosiło się na widnokręgu myśli indyjskiej? Tego już dojść nie można z pojęć pół-świetlnych, jak z księgi Apokalipsy nie możnaby nauczyć się katechizmu.

A po Wedach nastąpiła doba bramińska i gasiła coraz zawzięciej niedopalone przebłyski światła we Wedach: o postępie rozumu wyznaniowego ta doba składa najgorsze świadectwo.

Jeszcze mniej rozum indyjski okazał się postępowym w dobie budyjskiej. Znalazł u Braminów zmierzch jakichś pojęć szaro-ciemnych: mazał je zapamiętale czernidłem i wytworzył już zupełnie czarną, ślepą noc.

Czytelnik przekonywa się, że nawet jeden z najpojętniejszych szczepów ludzkich przedstawia w dziedzinie wyznaniowej zanik rozumu i z wieku na wiek myśl coraz widoczniej strupieszałą. Z bredni indyjskich wywodzić jakąś naukę chrześcijańską, — znaczy tyle, co z węgla kamiennego wywodzić świeży kwiat lilii.

K. C.

Das Musikdrama der Gegenwart. *Bekker Paul.* Stuttgart. Nakładem Streckera i Schrödera. 1909. 8-ka, str. 96.

Minęły czasy, gdy każdy niemiecki dramat muzyczny budził szowinistycz-

ne zachwyty w wagneryańskich krytykach. Wszystko co Schillings, Pfitzner, Z. Wagner, Strauss, Thuille, Blech, Humperdinck, Weingartner et cons. skomponowali było co najmniej *aüsserst interessant*, jeśli nie *bahnbrechend*. Dziś nawet najzagorzalsi neowagneryci otrzeźwieli, widać że co najmniej 90% powagnerowskich oper przedstawia »papierową muzykę«, niezdolną do życia. Owocem tych kontemplacyi jest także książeczka znanego krytyka niemieckiego Pawła Bekkera. Wiele trafnych uwag znajdziemy w niej, więcej jednak banalnych i codziennych »spostrzeżeń«, mających tę cechę, że każdy je uczynić potrafi. Między nimi patos w berlińskim narzeczu i t. zw. *hochtrabende Worte*, które nic nie mówią. Wogóle za wiele słów używa autor dla wypowiedzenia po swojemu tego, co inni już dawno napisali. Nie brak jednostronności w kierunku doktryny. Także o Thuillem powinien był autor wspomnieć choć kilkoma zdaniami.

Dr. A. Ch.

Die christliche Erziehung oder Pflichten der Eltern. Von *Wilhelm Becker S. J.* Freiburg. Herder. Str. 305.

Mamy przed sobą szereg (33) katechetycznych nauk o moralnych obowiązkach rodziców względem dzieci. Autor zebrał spostrzeżenia swojej długoletniej misyonarskiej i wychowawczej pracy: to też przedkłada nie tylko ogólne zasady wychowania chrześcijańskiego, ale także liczne, praktyczne i trafne zastosowania. Niektóre nauki, jak np. II, IV, V (staranie rodziców o życie, zdrowie i o odpowiednie wykształcenie dzieci), XXI (o czuwaniu nad ich zmysłowością), XXIV—XXVIII (o karaniu dzieci) budzą swą oryginalnością wielkie zajęcie. Autor miał na oku raczej życie amerykańskie, miastowe; lecz, *mutatis mutandis*, zapozna czytelnika, szczególniej rodziców, katechetów i wychowawców, z niejedną cenną wskazówką w tak trudnem dziele dobrego wychowania młodzieży. Mądry podział przedmiotu, skądinąd niewyczerpanego, nadaje się do seryi nauk lub konferencyi.

M. H.

Die Vereinigung der Seele mit Jesus Christus. Geistliche Abhandlungen vom hl. Alfons Rodriguez, Laienbruder der Gesellschaft Jesu. Herder. Freiburg. Str. XV, 288.

Zebrane pod tym tytułem rozprawy duchowne św. Alfonsa Rodrigueza, brata Tow. Jez. już dość rozpowszechnione we Francyi, przetłumaczone obecnie i wydane niedawno w niemieckim języku staraniem ks. Maksa Saksońskiego. Na wstępie znajdujemy krótki, zajmujący życiorys świętego. Większa część właściwego dziełka (od str. 31—201) podaje zdrowe, ascetyczne poglądy na połączenie duszy z Bogiem i na niektóre środki ku temu, jak zaparcie się siebie, cierpienia, miłość Bożą, pokorę. Reszta (od str. 201—288) zawiera krótsze rozprawy różnej treści. Wszystko napisane bez ubiegania się o uczoność, ale z przekonania, i oparte na własnem doświadczeniu świętego sługi Bożego. Dziełko przemawia do serca i poucza.

M. H.

Der Klerus und die Alkoholfrage von *Dr. Augustinus Egger*. B. Herder. Freiburg i. Br. 1909. Str. 40.

Nowa wyszła rozprawa przeciw opilstwu, pisana zwłaszcza dla pożytku duchowieństwa, które po parafiach walczy z nałogowcami.

Rozprawa ta przedstawia niebezpieczny stan Niemiec, jako oddanych

alkoholowi coraz powszechniej. Przy takim stanie pisarz nie przewiduje wielkich korzyści z bractw wstrzemięźliwości częściowej, ale zachęca księży do walki przeciw opilstwu w bractwach i związkach wstrzemięźliwości całkowitej. O pożytku tej rozprawy świadczy szczegół, że w ciągu lat jedenastu już trzy wydania wyczerpane zmusiły Herdera do nakładu po raz czwarty. Polski czytelnik nie pożałuje czterdziestu kilku halerzy na tę rozprawę, którą niektórzy zawodowcy uważają za jedną z najlepszych w piśmiennictwie przeciwalkoholicznem. Szkoda, że pisarz nie względnił w swojej pracy także tych krajów, gdzie jak w Polsce walka przeciw opilstwu wydała niezaprzeczone wyniki już przez Bractwa wstrzemięźliwości częściowej.

K. C.

Die Irrlehrer im ersten Johannesbriefe von *Dr. Alois Wurm.* Biblische Studien. B Herder. Freiburg i. Br. Str. 159.

Niniejsza monografia ma na celu ponowne zbadanie spornej kwestyi, dotyczącej pierwszego listu św. Jana. Przeciw jakim herezyom występuje apostoł św.? Autor wykazuje i nie bez pewnej słuszności, że chodziło Janowi św. o zwalczenie herezyi nie tylko na polu dogmatycznem, ale i na polu moralnem; owszem tę ostatnią uważał za bardziej niebezpieczną i dlatego się nią szerzej zajmuje. Nauka moralna pseudoapostołów, to zdaniem Jana św. najlepszy praktyczny kamień probierczy ich wierzeń dogmatycznych. Obniżenie się poziomu ich moralnego pociąga za sobą negacyę na polu dogmatycznem.

L. B.

Cantus Ecclesiastici iuxta Editionem Vaticanam ad usum Clericorum collecti et illustrati. *P. Don Johner O. S. B.* Verlag von Friedrich Pustet. Regensburg. 12-ka, str. 146. 1909.

Praca O. Johnera, znanego i wybitnego badacza chorału gregoryańskiego, stanowiąca III tomik wybornego wydawnictwa ks. d-ra H. Weinmanna p. t. *Kirchenmusik,* należy do tych popularnych podręczników, którym wróżyć można trwałą wartość. Cel jej określił autor w prefacyi: *Ut porro in parvo et... dilucido compendio omnia stricte necessaria concludantur.* Wykład przejrzysty i jasny sprawia, że książeczka ta, której niesłychanie nizka cena (1 m.) jest rzeczą niemniej ważną, służyć może znakomicie jako wstępne studyum do poznania *Graduale romanum* (1908) i innych obszernych tego rodzaju wydawnictw z epoki wydatnej działalności Piusa X na polu reformy liturgicznego śpiewu.

Dr. A. Ch.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Więc dalsza walka! Wybitniejszym momentem w walce rządu francuskiego przeciwko Kościołowi była świeżo ukończona rozprawa szkolna w parlamencie, uwieńczona, jak to swoją drogą można było przewidzieć, wyrażeniem zaufania rządowej polityce szkolnej, a więc polityce ateizmu i grubego materyalizmu.

Sprytnie wyzyskali tym razem mowcy katoliccy i z prawicy ustawę szkolną ojca szkoły neutralnej, Ferry'ego. »Nie macie, pisał wówczas w instrukcyi dla nauczycieli Ferry, nic nowego uczyć, nic, czegoby prawy, porządny człowiek już przedtem nie wiedział. Nie jesteście apostołami nowej ewangelii. Prawodawca nie zamierzał zrobić z was filozofów ani teologów. Nie żąda od was nic więcej ponadto, czego żądać można od rozumnego, dobrego człowieka. Razem z wiadomościami szkolnemi macie wpoić w dzieci te podstawy moralne, któreśmy po naszych ojcach i matkach odziedziczyli i któremi w życiu codziennem się kierujemy. Waszem zadaniem jest iść z pomocą ojcu rodziny, czasami nawet go zastąpić. Mówcie z dziećmi tak, jakbyście pragnęli, aby z waszemi dziećmi mówiono. Gdy jakąś naukę dzieciom wykładać będziecie, pytajcie się, czy ktoś, kto je zna, mógłby się tem, co powiecie, czuć obrażonym, czy ojciec rodziny, choćby jeden jedyny, obecny

na waszym wykładzie, nie zgodziłby się na to, co mówicie; jeżeli tak, nie uczcie tego«. I innym razem: »Nauka religii pozostaje; zakładajcie tyle szkół kongregacyjnych, ile wam się żywnie podoba«. Katoliccy mowcy powołali się także na ministra oświaty, Doumergue, który słowem honoru zaręczył, że książki używane po szkołach rządowych, są zupełnie niewinne — trudno ostatecznie przytaczać wszystkie argumenta, jakimi broniono stanowiska biskupów i rodziców i duszy dziecka; sprawozdanie przerodziłoby się w etyczny traktat.

To wszystko nic nie pomogło wobec znanej perfidyi rządu, który potrafił nawet odpowiedzialność za niepokoje szkolne zwalić na kler i katolików i wobec takich frazesów, jak o prawach dziecka, o mieszaniu się biskupów w nieswoje rzeczy, o rozdwajaniu rzeczypospolitej, o obronie ustawy i tak bez końca. Izba udzieliła rządowi zaufania 385 głosami przeciwko 137, pochwaliła jego szkolną politykę i wyraziła przekonanie, że rząd potrafi bronić świeckiej szkoły.

Sądy tymczasem pociągają do odpowiedzialności różnych biskupów za ich list pasterski, zakazujący używania niektórych podręczników szkolnych i przestrzegający rodziców przed ateistyczną i anarchistyczną szkołą. Ostatnimi dniami stanął przed sądem w Reims kardynał-arcybiskup Luçon. Oparł się on w swej mowie na tem, że jest to ścisłym obowiązkiem biskupów zabrać głos w takiej sprawie i że wykroczenia przeciwko prawu w liście pasterskim nie było. Dziwnym trafem wypowiedział on swoją mowę obronną w Reims w tym samym dniu i o tej samej godzinie, w której w Paryżu w debacie nad kwestyą szkolną Briand, acz pewnie mimowoli, przyznał mu słuszność. »Lewica, powiedział wówczas Briand, musi się pogodzić z myślą, że biskupi, krytykując szkołę świecką, korzystali z prawa, które przysługuje każdemu obywatelowi. Było to więc nonsensem pociągać ich do odpowiedzialności sądowej. Odkąd Kościół oddzielony jest od państwa, posiadają biskupi większą wolność, jak wówczas, gdy byli urzędnikami państwowymi«.

Biskup ze St. Dié, ks. Foucault, wyciągnął z tej mowy daleko sięgające, optymistyczne wnioski, przypuszczając nawet pewną

zmianę w kursie rządowym. Czy jednak słusznie? Katolicy doświadczyli tego niejeden już raz na sobie, że prawa istnieją dla drugich, dla nich tylko słowa. Mimo wszystko bowiem arcybiskup z Bordeaux, kardynał Andrieu i proboszcz katedralny tamże, zostali skazani na większą karę pieniężną za swoje stanowisko w sprawie szkolnej. Za kardynała, który jasno oświadczył, że tylko przemoc zmusi go do poniesienia kary, złożył żądaną sumę jakiś nieznany ofiarodawca, przeciwko czemu kardynał swoją drogą zaprotestował, a proboszczowi, idącemu w ślady swojego biskupa, cofnięto pensyę, do której nawet po rozłączeniu Kościoła od państwa na mocy ustawy ma prawo.

I inaczej być nie może. Z ust rządowych padło przecież nie tak dawno słowo, że: republikanizm to negacya wiary i walka z Kościołem, antyklerykalizm i walka z religią to podstawy republiki a wychowanie religijne to przyczyna lenistwa, zacofania i zabobonu.

W przyszłości więc ciężka czeka walka, tem cięższa, że jak z tryumfem gazety antyreligijne donoszą, straciło wolne czyli katolickie szkolnictwo francuskie w przeciągu pięciu lat, bo od 1902—1907 około 407 tysięcy uczniów i 6 tysięcy szkół. Budżet szkolny wzrósł wprawdzie w roku 1907 do 283 milionów wobec 214 milionów w r. 1897, ale i taką ofiarę dla zasady antyreligijnej państwo chętnie poniesie.

A jasnych, nadzieją napawających chwil, jest niestety mało! I te chwile są tylko, na razie przynajmniej, sporadyczne. Adres katolików angielskich, przesłany na ręce biskupów francuskich i wyrażający hołd dla ich energii, jak również zapewniający o sympatyi katolików, jest taką jaśniejszą chwilą.

Znaleźć można i wybitniejsze przykłady trwałości w wierze i miłości Kościoła. Burmistrz np. pewnej gminy wśród Wogezów kazał, na podstawie uchwały rady gminnej, wycofać jakąś antyreligijną książkę ze szkoły — zniesiono go za to, lecz i jego następca i cała rada gminna oświadczyli, że aprobują krok zniesionego, co znowu trochę kłopotu sprawia prefektowi. Za to jednak znajdują się w departamentach Indre i Loire szkoły, gdzie dzie-

sięcioletnie dzieci bojkotują nauczycielkę, bo ta chodzi jeszcze do Kościoła.

Gdyby przynajmniej żywiołowa klęska powodzi, jaka nieszczęśliwą Francyę obecnie nawiedziła, przywiodła do przytomności rozgorączkowane umysły! Nie wolno roztrząsać wyroków Bożych, wierzące jednak serce skłania się, żeby w tej prawdziwie narodowej katastrofie widzieć nie tylko rozpętane, ślepe siły przyrody. Zanadto przypomina nam się Messyna...

Fałsz i prawda z Belgii

Również niesłychanie interesującym dowodem, co potrafi uczynić zaślepienie, uprzedzenie, upór i antykatolicki fanatyzm, są w Belgii ostatnie zajścia z powodu śmierci króla Leopolda.

Episkopat belgijski wydał jakiś czas po śmierci monarchy wspólny list pasterski. List ten świadczy o wielkim pietyzmie episkopatu dla zmarłego króla, charakteryzuje krótko wybitne zalety monarchy, podnosi jego zasługi i kończy słowami: »Kościelne małżeństwo króla i jego szczerze chrześcijańska śmierć pobudzają nas do nadziei, że Bóg mu swoje miłosierdzie okazał. Nie sądźmy nikogo, jeżeli sami sądzeni być nie chcemy«. W podobny sposób wyraził się w kazaniu, wygłoszonem 7 stycznia w kościele św. Goduli, kardynał Mercier: »Pięć dni przed śmiercią, w pełni swych umysłowych sił, złożył on Bogu ze swego życia ofiarę, wyznał swą wiarę w sakramenta Kościoła i pokornie, jak dziecko, wzywał pomocy N. Panny. Dlatego mamy w sercu więcej, jak nadzieję; mamy pewność, że Bóg mu już zapłacił za to dobro, które ten wielki człowiek dla cywilizacyi chrześcijańskiej zdziałał«.

Każdy prawo i rozumnie myślący człowiek przyzna chyba, że stanowisko, jakie wobec zmarłego króla zajął episkopat belgijski, było stanowiskiem wysoce chrześcijańskiem, opartem na zasadzie *de mortuis nil nisi bene*, i to tem więcej, że dobra śmierć dużo naprawiła. Prawość jednak i roztropność i rozum nie są udziałem wszystkich. Kościół trzeba zohydzać i w sprawie Leopolda nadarzyła się dla bezmyślnego tłumu, co całą swoją wiedzę jedynie z antyreligijnych czerpie dzienników a nie ma na tyle bezstronności i wyrobienia umysłowego, aby rzecz osądzić, jak

na to zasługuje, dobra okazya, z której warto było skorzystać i skorzystano.

Zaczęto więc od fałszowania listu pasterskiego, aby wykazać, że Kościół, nieugięty dla biednych i wydziedziczonych, jest bardzo pobłażliwym dla możnych tej ziemi i błędy ich osłania — podwójną przecież miarę zarzucamy wrogom religii, czemuby jej nie można było zarzucić i katolikom. I oto *Berliner Tägliche Rundschau* pisze w drugim numerze, co następuje: »We wszystkich kościołach Belgii przeczytano w niedzielę list pasterski kardynała-arcybiskupa Merciera. List wywołał słuszną senzacyę, ponieważ potwierdza oficyalnie kościelne małżeństwo z baronową Vaughan. Zdaje się, że uczyniono to w porozumieniu z Rzymem. Osobny telegram donosi nam jeszcze: ‚Kardynał Mercier ogłosił do rzymsko-katolickich mieszkańców Belgii list pasterski, w którym wzywa wiernych, aby modlili się za spokój duszy króla Leopolda, którego życie, wzór katolickiej czystości, jest przykładem dla każdego katolika i który przywiązanie swoje do Kościoła udowodnił przez kościelny ślub z baronową Vaughan'. Na końcu pasterskiego listu, do którego nic więcej nie dodajemy, gdyż mówi on za siebie, znajduje się modlitwa za nowego króla«. Osobisty sprawozdawca telegraficzny mieszkający w Belgii mógł był wiedzieć, że list pochodził nie tylko od kardynała Merciera, lecz od całego episkopatu kraju — ale mniejsza o to. Ustęp, mówiący, że życie zmarłego króla było wzorem i przykładem życia katolickiego, jest w całości zmyślonym właśnie w tym celu, żeby podwójną miarę Kościoła wykazać i jego znaczenie w oczach świata tym sposobem poniżyć.

To jednak nie wystarczyło jeszcze; trzeba było prawdomowność biskupów podać w wątpliwość. Tego dokonała *Weserzeitung* a za nią inne gazety tego samego pokroju: »Wszelkie prawdopodobieństwo przemawia za tem, że w sprawie kościelnego małżeństwa skłamali biskupi; chodzi tu pewnie o ten rodzaj nieprawdy, który w jezuickiej nauce jest jako pobożne kłamstwo wysoce cenionym. Pobożną śmierć starego grzesznika wymyślili biskupi, ponieważ nie wypadało, aby król Belgów, pierwszy katolicki król kraju, dał zły przykład. Swoją drogą w religijnych

sferach kraju zrobiło to złe wrażenie, że spowiednik bez żadnej trudności udzielił królowi rozgrzeszenia, którego w podobnych warunkach odmówionoby z wszelką pewnością biednemu. Aby to złe wrażenie zatrzeć, wymyślili biskupi po kilkutygodniowym namyśle bajkę o kościelnem małżeństwie króla«.

Lecz nawet i tej prawdziwej bajki, która samą treścią swoją uwalnia nas od bliższego wykazywania, że jest tylko baśnią, było jeszcze za mało. Trzeba było episkopat i kler belgijski zohydzić w oczach króla. I oto donosi *Neue Züricher Zeitung:* »Od wstąpienia na tron króla Alberta staje się z dnia na dzień dla wszystkich coraz jaśniejszem, że nowy monarcha zwraca się ze swemi sympatyami do liberalizmu i demokracyi. Biskupi poczęli się lękać o losy dalszego klerykalnego panowania w Belgii i dlatego osądzili, że jest zupełnie na czasie odświeżyć bajkę o kościelnem małżeństwie króla. Można przecież będzie przy danej sposobności przeciwstawić królowi Albertowi legalnego króla Lucien, syna baronowej Vaughan. Dlatego też z wyłącznie klerykalnej strony — a ta wyłączność jest znamienną — podnoszą wątpliwości co do prawnej ważności ślubu króla Alberta z królową Elżbietą. Jest więc jasnem: jeżeli król Albert zechce sprzyjać liberalizmowi i nie będzie tańczył tak, jak mu zagrają biskupi, to wykażą mu legalność dzieci baronowej Vaughan na podstawie małżeństwa *in extremis* zawartego i również na podstawie znanych jezuickich sztuczek podadzą w wątpliwość jego własne małżeństwo«. To samo zapatrywanie głosi *Independance Belge:* »Uroczyste oświadczenie o kościelnem małżeństwie będzie potężnym dowodem dla dzieci pani Delacroix, jeżeli zechcą kiedykolwiek wysunąć swe prawa do tronu... Czarna banda przygotowuje więc powoli cały szereg trudnych kwestyi na wypadek, gdyby król Albert chciał się usunąć z pod wpływu klerykalnego«.

Dla wyjaśnienia rzeczy trzeba zaznaczyć, że belgijska *Liberté* podniosła pewne trudności w kwesyi dynastycznej z tego względu, że małżeństwa króla Alberta z księżniczką Elżbietą nie poprzedziło zezwolenie króla, ogłoszone wraz z podpisami ministrów w oficyalnym *Moniteur*. Kwestya ta nie wpływa bynajmniej na całą sprawę — wykazał to już *Journal de Bruxelles* — a gdyby

nawet wpływała, o czem mowy być nie może, mogłaby się odnosić tylko do dzieci króla i do ich prawa następstwa. Te prawa nie są zakwestyonowane, gdyż, jak wywodzi *Kölnische Volkszeitung* (nr. 58), nawet po zawartem małżeństwie króla Leopolda dzieci baronowej Vaughan są wobec ustawy nielegalnemi, choćby zmarły król jakimś aktem lub dokumentem był je uznał.

Król Albert, którego w pierwszej linii te denuncyacye miały nieufnością do kleru przejąć, zrozumiał całą nagonkę. Deputacyę kleru, która w brukselskim zamku hołd mu złożyła, przyjął nadzwyczaj życzliwie a jego słowa do deputacyi wyrzeczone napawają dobrą nadzieją. »Wasze serdeczne słowa i gorące życzenia wzruszają nas. Królowa i ja wyrażamy wam za to naszą głęboką wdzięczność. Dużo znalazło się już okazyi, przy których rodzina moja miała sposobność ocenić przywiązanie kleru belgijskiego do dynastyi. Uznawaliśmy zawsze to wasze zachowanie się, cieszyliśmy się niem i cenimy je, gdyż znamy wysokie przymioty, które cechują belgijskich kapłanów. Jesteście sługami Boga a do spełnienia tego wysokiego zadania jesteście uposażeni w budującą wiarę i pobożność. Obowiązki, jakie nasza wiara wobec bliźniego i wobec ojczyzny nakłada, spełniacie zawsze z coraz to rosnącą miłością i poświęceniem się. Pracujecie nad pokojem społeczeństwa, podnosząc na duchu nieszczęśliwych i prostując sumienia pod ochroną ustawy, która poręcza wolność wyznania«. Podziękował jeszcze monarcha deputacyi za lojalność kleru i wyraził swe głębokie uszanowanie dla sług tej religii, »przy której silnie stoimy«.

Być może, że ostatni występ króla Alberta nałoży wędzidło pewnym dziennikom, choć wobec dzisiejszego moralnego poziomu wielkiej części prasy i w to nawet trudno uwierzyć.

Germania docet.

Niemcy, jako wzór organizacyi katolickiej wogóle, są także dla innych społeczeństw przykładem organizacyi młodzieży. W dwóch tysiącach związków i stowarzyszeń skupiono tam około 250 tysięcy młodzieży w wieku od 14 do 17 lat. Celem tych związków jest wyrobić katolickich obywateli, pogłębić życie religijne, wzmocnić charaktery i obudzić zainteresowanie nie tylko

dla zadań osobistych lecz i dla zadań, mających na oku dobro ogółu. »Pragniemy mieć mężów, mówią ustawy, którzy kierując się światopoglądem o zasady wieczności opartym, złożą chętnie swą osobistą pracę na ołtarzu ogólnego dobra«.

Wszystkie te związki mają zwykle przewodniczącego duchownego, biorą udział w nabożeństwach i rekolekcyach, przystępują do sakramentów i uczestniczą w dogmatycznych i apologetycznych odczytach, nie są jednak tylko bractwami i kościelnemi zgromadzeniami; dążą przeciwnie do rozmaitych zawodowych celów. Kształcenie i wyrabianie sił fizycznych, duchowych i umysłowych stoi wszędzie na pierwszym planie. Stąd też łączą się związki sportowe ze związkami towarzyskimi, naukowymi i charytatywnymi i obejmują tak dalece całokształt życia, że i skończonego mężczyzny nie wypuszczają z pod swego wpływu.

Potężnym środkiem, który tę młodzież do związków pociąga i w związkach utrzymuje, jest dobrze zrozumiany duch inicyatywy i współpracownictwa. Młodzież sama agituje i pracuje nad podtrzymaniem dyscypliny, rozszerza pisma, stara się o rozwój swego stowarzyszenia a tym sposobem nabiera wpływu na sprawy związkowe, związkowe interesa uważa za swoje własne i przygotowuje się powoli, lecz gruntownie, do przyszłych zawodów publicznego życia. To współpracownictwo młodzieży sprawiło, że po większych miejscowościach pięćdziesiąt do siedmdziesiąt procent przeważnie młodzieży szkolnej jest w stowarzyszeniach katolickich zorganizowanych.

Bardzo dyskretne kierownictwo starszych i doświadczonych, zawodowe odczyty, liczne biblioteki i pisma służą głównie do tego, by wskazywać najprostszą i najpewniejszą drogę do celu wiodącą.

Sfery protestanckie, które dotychczas tym objawem katolickiego życia mało się zajmowały, są nim zdumione. »Nie wolno, pisze *Kreuzzeitung*, znaczenia tego ruchu młodzieży nie doceniać. Dobrze wyszkolona młoda gwardya, licząca do ćwierć miliona członków, to już coś znaczy, w naszym przedewszystkiem czasie, kiedy socyalna demokracya wszystkie wytęża siły, aby

dzieci robotników zrewolucyonizować i oddalić ich od Boga i od króla. My ewangelicy nie możemy temu katolickiemu dziełu żadnego podobnego przeciwstawić, gdyż działalność naszych związków młodzieży rozpoczyna się dopiero w późniejszym wieku. To wszystko, o czemeśmy dotychczas nie mieli pojęcia, daje nam ewangelikom dużo do myślenia«.

Ks. Wiktor Wiecki.

Przegląd muzyczny.

»Rapsodya litewska« śp. Mieczysława Karłowicza. — »Ballada« i »Bolesław Śmiały« Ludomira Różyckiego. — »Przegląd muzyczny«. — Ignorancya w kościele.

Święciliśmy niedawno smutną rocznicę śmierci wielkiego muzyka polskiego, śp. Mieczysława Karłowicza. Tylko filharmonia warszawska, dzięki niedoścignionemu kierownictwu największego z polskich kapelmistrzów, Grzegorza Fitelberga, uczciła tę pamięć. Inne polskie instytucye muzyczne milczały... Gdyby nie staranie »Dyrekcyi krakowskich koncertów«, która wędrującą u nas monachijską orkiestrę nakłoniła do wykonania pierwszego dzieła symfonicznego zmarłego mistrza, ani Kraków ani Lwów nie usłyszałby obecnie żadnego z dzieł jego. Towarzystwo muzyczne warszawskie wydało właśnie najwybitniejszą orkiestrową kompozycyę śp. Karłowicza: »Rapsodyę litewską«, napisaną na wielką symfoniczną orkiestrę. Kompozytor zaklął w tem dziele wiekuistą niewolę i smutek ludu nam bratniego, ten smutek, który jest jakby roztopiony w powietrzu Litwy, nigdy nie wolnej; smutek ten przebija w najweselszych i najrytmiczniejszych melodyach synów Gedymina. Jest rzeczą niezmiernie charakterystyczną, że wiele ich śpiewów, choćby w tonacyi durowej, jest tak beznadziejnie smutnych, pełnych rezygnacyi i tłumionego uczucia rozpaczy, jakby lęgnącego się z moczarów i zagłębionych w ciemnościach gęstego lasu uroczysk, iż nie dziwi nas szczególna sympatya śp. Karłowicza dla tych melodyi. Użył ich kilkakrotnie w »Rapsodyi litewskiej«. Ale jakżeż inaczej postąpił niż ci, którym imitacye ludowych rytmów i melodyi starczą za narodową muzyczną »arkę«?! Karłowicz nie naśladuje, — owszem

przekształca je tak, jak mu dyktuje niezachwiany kunszt artystyczny. Stają się one w jego ręku tem, czem materyał w ręku rzeźbiarza. To nie jest poprawne i wygodne harmonizowanie i instrumentowanie surowego materyału; przeciwnie — nie sam materyał mówi nam coś, lecz artysta używa go do wypowiedzenia się, interesują nas od początku tem, c o i j a k mówi. Nie jest to również »rapsodya« *à la* »Francois Liszt«, a więc nie zlepek, potpourri, pasticcio czy quodlibet z narodowych melodyi, unikający głębi, a jedynie drażniący mile ucho efektami podejrzanej wartości. Dzieło śp. Karłowicza możnaby nazwać: »Litwa« (poemat symfoniczny). Jak w niewydanem jeszcze dziele »Stanisław i Anna Oświecimowie«, tak i w »Rapsodyi lit.« wzniósł się wielki muzyk na szczyt swego u nas przez nikogo dotychczas niedoścignionego mistrzowstwa w opracowaniu, dając klasyczny wzór orkiestrowego dzieła, i to pod każdym względem. N i e m a P o l s k a r ó w n i e w a r t o ś c i o w e g o d z i e ł a. Nie znajdziemy w niem ani jednej nuty za wiele, ani jednej za mało. Dojrzałość formy, bajeczna ekonomia środków i suwerenna pewność siebie, doskonałość w harmonii między treścią, formą (zawsze u śp. K. doskonałą), a środkami, i wiele, wiele, bardzo wiele poezyi, która nas opanowuje, zanim refleksya nasza zaczyna nas pobudzać do podziwiania maestryi. Wszędzie widać zarazem tę wstrzemięźliwość twórcy, która powstrzymuje go od wprowadzania do dzieła niezwykłych pikanteryi instrumentacyjnych, na jakie mógłby sobie mistrz orkiestrowy tej miary co śp. Karłowicz pozwolić. Nigdzie orkiestra nie gra na swe *conto (sit venia verbo!)*, natomiast zawsze jest na usługi głębszej idei, formowania niezawodzącą ręką tak, iż nie zawodzi nigdy w wyrażeniu tego, co kompozytor zamierzył. Niema tego niedociągnięcia wyrazu, co zdarza się u młodych, niedoświadczonych kompozytorów, niema też hypertrofii uczucia i egzaltacyi w wyrazie, na które cierpią zwłaszcza dzisiejsi kompozytorowie. Równowaga w każdym kierunku, obok tego wzorowe wyzyskanie tematycznego materyału i świetne brzmienie orkiestry, nadają temu dziełu zasłużony zupełnie przydomek: »klasyczne« Klasyczną jednak jest również ignorancya naszych Towarzystw muzycznych.

Równocześnie z partyturą dzieła śp. Karłowicza ukazały się dwa orkiestrowe utwory Ludomira R ó ż y c k i e g o, jednego z najzdolniejszych współczesnych kompozytorów naszych. Jest to »Ballada« na fortepian z towarzyszeniem orkiestry i »Bolesław Śmiały«, poemat symfoniczny na wielką orkiestrę według St. Wyspiańskiego. »Ballada«

powstała jeszcze za czasów konserwatoryjnych studyów kompozytora. Niemniej — dzieło wielkiego talentu, wielkiej inwencyi, nawet rutyny w traktowaniu orkiestry przez... 16-letniego wówczas kompozytora. Utwór miał powodzenie, grano go już w Wiedniu, Berlinie, Warszawie, Moskwie, Petersburgu, Lwowie... Na razie można stwierdzić, że dzięki talentowi bardzo przekraczającemu zwykłą miarę, zdołał młodziutki wówczas muzyk osiągnąć w instrumentacyi i fakturze fortepianowej to, co inni po latach bardzo wielu osiągnąć nie zdołali i instrumentują z pomocą... kapelmistrzów wojskowych (publiczna tajemnica!). Forma »Ballady« jest bardzo rozwiana, niezdecydowana, mglista, jak mity z czasów króla Popiela; tematy w istocie natchnione (choć gdzieniegdzie zbyt łatwo pomyślane), nie są wyzyskane i w nowem świetle przedstawiane; czasem tylko tematyczne przeróbki są jakby w zarodku podane. Ale wiele poezyi, wiele uroku naszych, rzeczywiście naszych wsi, lasów, ugorów, zapadłych zamczysk, gdzie pokutują duchy rycerzy i pięknych heroin, o których wygrywa naiwne melodye wiejski chłopczyna... W tem dziele interesuje nas bardziej to, c o Różycki mówi, mniej zaś, j a k i w jakiej formie do nas przemawia. Ten inwencyjny czy myślowy kierunek, jaki znajdziemy w »Balladzie«, podnieciła w młodym kompozytorze lektura dzieł Wyspiańskiego. Jej pierwszym owocem jest poemat symfoniczny »Bolesław Śmiały« (według epicznego fragmentu, nie dramatu twórcy »Akropolis«). Forma tego symfonicznego dzieła jest już znacznie doskonalszą zewnętrznie, — wewnętrznie zaś zupełnie spoistą i przestrzegającą przyczynowego związku psychologicznych następstw. Idea polega na przeciwstawieniu dwóch potęg, różnych i różnie przez kompozytora przedstawionych (z w i e l k ą plastyką). Demoniczna i ponura potęga św. Stanisława i opętańczy szał Bolesława, niepowstrzymany jak fatum, w następstwie jego czyn zbrodniczy, spadający jak lawina, potem wyrzuty sumienia, wreszcie rezygnacya, bezsilność, troska i niepewność o przyszły los... Mimo pewnych usterek spowodowanych raczej temperamentem nieokiełznanym, można w dziele Różyckiego powitać muzyka, który jak nikt inny dotychczas wżył się w świat Wyspiańskiego i jego język przetopił na wymowną mowę tonów. Kamienny to język, jakby z bloków marmuru i stali ulany, pełen archaizmów średniowiecznych, a mimo to n a s z, zupełnie n a s z. Koloryt i charakter staropolski, motywy jakby ze starego kancyonału wyjęte, a spisane przez ascetycznego mnicha, opowiadającego wstrząsającą legendę zgromadzonemu ludowi, który ma tylko pół świadomość rzeczywistości i poe-

zyi... Wszędzie groza tragiczna, rozmach miecza ścinającego trzy głowy, chrzęst pancernego rycerstwa, odbijający się denerwującem echem po ścianach wawelskiego tumu, potem jakby jęk Erynnii, ścigających nieszczęśliwego króla-mordercę nad brzegami Wisły. Wrażenie, jakie »Bolesław Śmiały« wywołuje, jest niepospolite. Szczególną uwagę zwracamy na wyborną tematyczną robotę, na niezmiernie pomysłowe użycie motywów przewodnich, instrumentacyę pełną witrażowego silnego kolorytu i plastykę wymowy muzycznej. Finał dzieła przejmuje nas swą głęboką rezygnacyą. Dzieło to wielkiej wartości.

W ostatnich latach kultura muzyczna w Polsce wykazała, dzięki wzmożeniu się twórczości, oraz badaniom nad przeszłością muzyczną znaczne postępy. Stąd okazała się konieczność organu muzycznego, któryby ogniskował dążenia i wymianę myśli. »Echo muzyczne«, istniejące przed kilku jeszcze laty, zmarło na marazm i brak fachowych sił współpracujących. Kilka późniejszych efemeryd zgasło z powodu nierozwinięcia lub braku sił żywotnych. Założona przed 3 laty »Młoda muzyka« utrzymuje się po dzień dzisiejszy dzięki energii i bezprzykładnej w naszych stosunkach staranności swego redaktora p. Romana Chojnackiego. W roku bieżącym zmieniła tytuł i ukazuje się jako *Przegląd muzyczny* co dwa tygodnie (w Warszawie). Jest to pismo wyłącznie muzyczne. Z równym pietyzmem zajmuje się muzyką aktualną jak i dawną (kościelną i świecką). Obok zwykłych rubryk (sprawozdania z ruchu muzycznego u nas i zagranicą, korespondencye, kronika etc.) spotkamy prace najwybitniejszych naszych pisarzy muzycznych, jak H. Opieńskiego (analizy utworów orkiestrowych dawniejszych i nowszych, »Jaques Polonois i Jakób Polak«), d-ra Z. Jachimeckiego (»kontrapunktyści w kapeli Władysława IV«, »Studya nad historyą tańca polskiego w XVII i XVIII wieku«, »Adam Jarzębski«, »Karol Szymanowski«), d-ra Adolfa Chybińskiego (»Monogramista N. C. z XVI wieku«, »Grzegorz Fitelberg«, »Johannes Borimins-Borzymski, nieznany polski kompozytor kościelny z XVI—XVII wieku«, »Zbiory muzyczne wawelskie« i t. p.). Treść pisma jest więc bardzo obfitą, zaś bardzo nizka cena pozwala każdemu melomanowi korzystać z tego jedynego organu muzycznego w Polsce.

Przed niedawnym czasem zwróciliśmy uwagę w *Przeglądzie Powszechnym* na niestaranne przestrzeganie przepisów Stolicy Apostolskiej przez kierowników muzyki w naszych kościołach. Ignorancya ta, którą należy potępić energicznie, wzrosła wprost zatrważająco w ostatnich miesiącach. Nie tylko bowiem wykonuje się tej kategoryi utwory

religijne, które jako nieodpowiadające stylowi kościelnemu, zabronił Ojciec św. wykonywać, ale uprawia się czystą muzykę instrumentalną(!!), zapraszając do jej wykonywania amatorów i muzykantów, pragnących popisać się za wszelką cenę przed szerszą publicznością. Huczne reklamy zapowiadają każdy taki »popis«, który w gruncie rzeczy nie jest czem innem, jak tylko reklamą dla grajków, pragnących zyskać — więcej lekcyi. Popis taki tylko pozornie jest »ornamentem« nabożeństw. W rzeczywistości zaś zamiast skupiać i podnosić uwagę, rozprasza ją i zwraca ku temu, co nie jest istotą nabożeństwa. Gdyby wykonywano utwory instrumentalne z religijną tendencyą, możnaby jeszcze usprawiedliwić tę niesubordynacyę. Ku wielkiemu memu zdziwieniu usłyszałem w styczniu b. r. w jednym z największych krakowskich kościołów... świecką »aryę«... czyją? Protestanckiego mistrza Jana Sebastyana Bacha!! Z całym respektem jesteśmy dla tego genialnego tytana muzyki; wiemy również że i Lorenzo Perosi wiele mu zawdzięcza i bynajmniej się z tem nie kryje. Ale prócz mszy h-mol należą dzieła Bacha do sali koncertowej lub zborów ewangelickich, nigdy zaś do katolickiego kościoła. W każdym razie należy z kościołów naszych usunąć tych muzykantów, uprawiających swą sztukę w kościele dla interesów prywatnych, tak, jak On napędził ongi przekupniów.

Czyżby ci muzycy (między nimi nawet nauczyciele konserwatoryów...) posiadali w istocie tak mało zmysłu i poczucia stylu muzycznego, iż nie są w stanie rozróżnić tego, co należy do kościoła, od tego, co z nim nie ma nic wspólnego! Miejmy nadzieję, iż miarodajne czynniki, posiadające egzekutywę w zakresie muzyki kościelnej, usuną raz na zawsze z naszych kościołów wszelkie nadużycie. Czas najwyższy! Wszak nie jest dozwolone ignorować te polecenia, które Ojciec św. wydał w *Motu proprio*. Do tej kwestyi powrócimy jeszcze.

Dr. Adolf Chybiński.

Christliche Kunst.

Monachium, 14 stycznia.

Patrząc na rozwój charakterów Tartuffa, Harpagona, pani Marneffe, zaciekawia nas głównie nie Tartuffe, nie Harpagon, nie pani Marneffe, lecz głębokość obserwacyi, dzięki której Molière i Balsac

dotarli do samej głębi tych charakterów, do tajemnic tych dusz. Nas zaciekawia ich geniusz — siła wywoławcza, zapomocą której uczynili z tych postaci istoty żywe i to — żyjące *de la vie vivante*...

Przed nami wznosi się bryła gliny. Tytuł — »szatan« — Gr. Heinego, (o którym wspomniałem na końcu w ostatnim artykule).

Rzuciwszy okiem, miałem wrażenie, że ten »szatan« chyba rodem z *rue de l'Université*, chyba jeden Auguste Rodin mógłby być jego twórcą, on jeden chyba tej bryle mógłby był kazać żyć z taką przebiegłością, z taką nienawiścią i piekielną złością, że nawet Dante zachwyciłby się nim napewno i nazwałby go Graffiacano'em albo Rubicante'm.

Akt męski, w szalonym ruchu, wznosi się z kału, z błota jakiegoś. Lewa ręka wyciągnięta w tył dla zachowania równowagi, druga — konwulsyjnie przed siebie, w przestworza, uzbrojona siatką rybacką, niestety — bardzo gęstą.

A wyciągnięta naprzód głowa z ramion podniesionych, a ruszające się nozdrza zapadniętego nosa, a oczy, a bezzębne usta, z których już ślina smakosza płynie — co one przedstawiają, co one opowiadają, czem żyją, jakiem drganiem wewnętrznem ożywione?...

Tu jest cały dramat, cała potęga, cały tragizm nie ludzkiej, lecz szatańskiej duszy!...

Twarz wykrzywiona wściekłością, lecz co za różne stopnie złości i rozumu w niej, — co za straszny, szyderczy, z rozkoszą urągający nieszczęściu — uśmiech?!... A te nozdrza, wietrzące gdzieś zdobycz, a te oczy z pod krzaczastych brwi, te oczy — stalowe, pełne złego ognia, pełne złych myśli — *des allumettes des vices!*...

Już jedno oko na wpół przymknięte, by celnie schwycić ofiarę,— drugie, już się raduje!... A gdy się wymknie?... bo drży z radości ręka z siecią... Ha, czuję, że szatan ten wyć będzie z rozpaczy, że będzie nosić w sobie bezdenność piekielnej męki i bezgraniczność piekielnej złości...

Czy mam mówić o brutalnie energicznym, a jednak idealnie świetnym rysunku, czy o szalonych płaszczyznach, a jednak tak subtelnie modelujących ciało?

Patrzmyż na zgięcie w kolanie. Toż Rodin w swoim *Penseur* tak rzucił szpachlą ziemny ton, tak, pewnym okiem anatoma, w miejscu odnalazł jabłko nakolenne i trochę poniżej — wypukłość zewnętrzną goleni i główkę piszczeli — i, pewnym rzutem ręki artysty, za jednym zamachem, w tej bryle je wymodelował! Nie dotknął więcej gliny...

Ale te kości tam żyją, podtrzymują nogę, i, niech się stopa cokolwiek w błocie pośliźnie — w tej chwili i one zadrgają i chciałyby swe miejsce zmienić, — tak świetnie związane są w górze mięśniem *fascia lata*, i w dole pobocznym piszczelowym.

A w twarzy — jak te mięśnie są modelowane, jak umiejętnie są poruszane!... Ściągnienie ustnych *triangulaire* tak silne, tak energiczne, że w połączeniu z opuszczoną górną powieką, już nie pogardę, lecz aż wstręt malują na twarzy, dodając lekki, ironiczny uśmiech ściągnięciem *portion orbitaire*.

Wszystko, co w duszy się dzieje, wszystkie odpowiednie w twarzy mięśnie poruszone, i to, jak anatomicznie, jak psychologicznie, jak artystycznie to wymodelowane!... Co to za twarz, co za straszliwie tragiczne piętno na niej... co to za — s z a t a n!...

To szatan w całej pełni, to szatan — »Dziejów Grzechu« Żeromskiego... to szatan, pod opiekuńczemi skrzydłami którego, chyba — Ewa Pobratyńska żyje i działa!...

Czy złapie ją, czy — wymknie się z jego sieci?... *Peut-être que si*, — *peut-être que non*... jak mówi d'Annunzio...

. . . . . .

Gaston Latouche przedstawia nam Chrystusa — niereligijnego, lecz bardzo chrześcijańskiego.

Raz zgodziwszy się — *volens* czy *nolens* — na Jean Béraud'a, na Chermitte'a, przyznawszy im pewną logiczność w interpretacyi modernistycznej Nowego Testamentu, przyzwyczaiwszy się patrzeć na ich *ouvrier'a*, grożącego wyciągniętą pięścią nowożytnemu Jeruzalem-Paryżowi — wobec zdjęcia z krzyża Chrystusa przez dzisiejszych ludzi (*La descente de Croix*), lub, na Chrystusa i Magdalenę w towarzystwie dzisiejszych faryzeuszów, paryskich »Nieśmiertelnych« (*La Madeleine chez le pharisien*), — musimy się zgodzić i odczuć piękność kontrastów psychologicznych w Gastona Latouche *Le Christe*.

Paryska, bulwarowa nocna kawiarnia — bucha światłem. Tłumy spragnione zabawy i szału. Drzwi na rozcież otwarte. Najwspanialsza »Gwiazda paryska« w przepysznych koronkach i czarująco zlatującej ze śnieżnych ramion *sortie de bal* — ostatnim uśmiechem żegna, podziwiające ją tłumy, podając rękę rozkochanemu młodzieńcowi do wejścia.

Róg kawiarni i ciemnej, brudnej uliczki. Odwrócony twarzą Chrystus, nagi, słania się z bólu i cierpienia... Krew z czoła — od korony cierniowej — miesza się ze łzami oczów... Ból — serce roz-

piera, wytrzymać nie może i, rozpaczliwym rąk ruchem — rozrywa straszną ranę w boku... fala krwi — buchnęła...

On, Chrystus, Bóg — On płacze Stwórcy łzami, patrząc na tyle podłości stworzenia swego!...

On, Chrystus — siły już nie ma tego znieść!... On słania się do muru tej wstrętnej kawiarni...

On, nagi, biedny, zmiażdżony, opuszczony — zda się szepcze po raz drugi: »Ojcze, czemuś mię opuścił«!...

. . . . . .

Może w kompozycyi — dla oka, jest błąd — niema widocznego połączenia, ale dla ducha — dla psychologii obrazu, te dwie postaci — te dwa krańce świata — arcy-tragicznie połączone!... Połączone bólem, rozpaczą — nadaremnej Ofiary Chrystusa!... A problem techniczny, który artysta sobie postawił — połączenie gorących kolorów światła i zimnych — wieczornego cienia? Jak też to zadanie — świetnie rozwiązane, jak wspaniale światło — oślepiająco — oświeca... co to za gra światła i cienia... aż do wspaniałych refleksów na ciele Chrystusa... i to, nie za pomocą różnych sztuczek, lecz wprost — *pastos* malowaniem...

Tym obrazem, Gaston Latouche, zawsze zrobi wielkie wrażenie na ludzi — jakiejby religii byli i to wrażenie tylko dodatnie, jeśli choć trochę mają subtelniejszą duszę... *C'est un grand succès pour cet artiste de race!*...

Chciałbym jeszcze wspomnieć o Trübnera obrazie, brutalnym secesyoniście — i o paru innych, lecz muszę odłożyć do następnego artykułu.

Maryan Strzembosz.

Z krakowskiej sztuki.

Wystawa Uziembły.

Mniej więcej sto lat upływa obecnie od chwili, w której owoce wielkiej rewolucyi francuskiej zaczęły występować w dziedzinie malarstwa, jakkolwiek już poprzednio można je było gdzieindziej zauważyć w postaci form klasycznych, jak w architekturze, w strojach i w przemyśle artystycznym. Do owego czasu panował w malarstwie, jak i w całej wogóle sztuce duch rokoka niepodzielnie. Okres rokoka,

będący najwyższem wydoskonaleniem całej kultury ery chrześcijańskiej, wyrażał się w sztuce jako wielka harmonia wszystkich jej poszczególnych gałęzi, wśród których jednak wiodła prym architektura, wyznaczając każdej z nich należne w współdziałaniu miejsce.

Rewolucya francuska, burząc dotychczasowy społeczny porządek, w podobny sposób oddziałała na sztukę. Architektura straciła swe naczelne stanowisko i władztwo, a inne działy sztuki wyzwoliwszy się niejako z pod jej przewagi pozbyły się tem samem kierownictwa, jakie im ona dawała. Malarstwo służąc chwili współczesnej, zaczęło opiewać tryumfy Napoleona i chwałę oręża francuskiego, a wyczerpawszy swe najlepsze siły żywotne w tym kierunku i nie umiejąc już iść naprzód, popadło następnie w naśladownictwo dawnych mistrzów renesansu i innych. Nastaje okres upadku malarstwa. Okres ten jednak nie trwa długo. Pod wpływem Anglii następuje w malarstwie francuskiem zwrot do pejzażu. Powstaje t. zw. szkoła plainair'ystów, skupiającą się we wsi Barbisson i Fontainebleau pod Paryżem, z niej wyradza się następnie szkoła impresyonistów, sięgająca już w nasze czasy. Jednak i ta przetwarza się w kierunek neo-impresyonistów trwający jeszcze obecnie. W tej całej ewolucyi dominujące miejsce zajmuje pejzaż. Przez jego studyum odrodziło się całe malarstwo nowoczesne. Zdobyto nowy sposób patrzenia na naturę i nowe jej pojmowanie. Odkryto nowe, nieznane bogactwa nieuchwytnego przedtem świata barw. Malarstwo czując w sobie pełnię nowych sił ożywczych szybko oryentuje się w upadku, w jakim tymczasem trwają inne działy sztuki, a nadewszystko architektura i przemysł artystyczny i daje potężne hasło odrodzenia.

Urządzona niedawno przez krakowskie Towarzystwo Sztuk Pięknych wystawa zbiorowa artysty malarza Henryka Uziembły — ciesząca się niezwykłem istotnie powodzeniem — była najlepszym dowodem tych usiłowań, jakie obecnie zakreśla sobie nowoczesna sztuka. W młodszej bowiem Sztuce polskiej wybitne stanowisko zajął p. Henryk Uziembło. Druga wystawa zbiorowa dzieł tego artysty pozwoliła nam rozejrzeć się dokładnie w jego twórczości i poznać charakterystyczne cechy jego talentu. Uziembło pracuje głównie w dwóch kierunkach.

Jako malarza pejzażu pociąga przedewszystkiem kontur albo linia bardziej może aniżeli sama barwna plama. Spojrzyjmy np. na doskonały obraz zawieszony na wprost wejścia. Przedstawia on wiejski, ubogi, ale tak malowniczy kościół w Rudawie pod Krakowem z bardzo

dobrze wyczutym sennym nastrojem szarego zimowego dnia, w chwili zapadającego mroku. Obok tenże sam kościół z boku, widziany poprzez ogołocone z liści drzewa, w porze późno jesiennej, albo jeszcze w innym obrazie oświecony jaskrawo promieniami zachodzącego słońca. Poznajemy w nich na pierwszy rzut oka, że artystę pociąga najsilniej linia, za którą nieustannie śledzi. Widzimy to także w małym, ale kapitalnym obrazku samotnej »Kapliczki« (Nr. katalogu 51), wśród bezmiernych pól, zalanych potokami słońca, to samo w świetnych pastelach ukraińskich wiatraków (Nr. 21, 13, 20), albo w »Roztopach wiosennych« (Nr. 5), »Chacie żebraków« (Nr. 35), »Młynie«, w »Ukraińskich dębach« (Nr. 1) i w świetnym obrazie »Wejście do dworu« (Nr. 17), w którym wystawka domu, wsparta na kolumnach obwieszonych zielenią, kąpie się po prostu w promieniach słonecznych — to samo wreszcie w całym szeregu mniejszych i większych, ale zawsze doskonałych studyów pejzażowych. Nie trzeba jednak myśleć, że Uziembło poza linią nie widzi więcej — t. j. przedewszystkiem barwy. Przeciwnie. Barwa gra u niego z żywiołową wprost siłą, ale jest niejako podporządkowana linii, i to jest jego typową cechą. Dowodem np. jak bardzo malarza pociąga barwna plama jest kapitalny »Fragment z pracowni« (Nr. 7), albo np. świetny, wytwornie kolorystycznie ztonowany cykl motywów z ogrodu Luksemburskiego (Nr. 4, 18, 24, 37, 49). W tem właśnie różni się Uziembło od śp. Stanisławskiego i całej jego szkoły. Stanisławski bowiem podkreślał przedewszystkiem barwną plamę w wibrującej atmosferze. Rysunek u niego był zawsze podporządkowany barwie i nigdy nie miał wyraźnie zdecydowanej linii. Należy to tem bardziej podkreślić, że Uziembłę spotkał zarzut (*Głos Narodu* z d. 19 grudnia 1909), jakoby naśladował śp. prof. Stanisławskiego. Tymczasem pozorne podobieństwo obu tych artystów polega na tem, że obydwaj przedstawiają w swych obrazach krajobraz Ukrainy. Zatem: temat u obu ten sam, ale jego pojmowanie czyli interpretacya, która tworzy właściwie istotę malarstwa — zasadniczo są różne.

Drugim kierunkiem, w którym talent Henryka Uziembły bardzo bujnie się rozwija, jest sztuka stosowana. Sztuka stosowana to ogromny już dzisiaj dział ogólnej europejskiej sztuki. Ruch zapoczątkowany przed kilkunastu laty w Anglii, zdobył sobie na kontynencie potężne stanowisko. Chodzi tu o odrodzenie tego, co dawniej istniało, a od pół wieku przeszło zamarło, t. j. o odrodzenie przemysłu artystycznego. W wiekach średnich niemal każde rękodzieło było istotnie sztuką, a każdy rzemieślnik artystą. Dzisiaj sztuka skupiła się głów-

nie w malarstwie i rzeźbie, podczas gdy na innych polach panuje bezmyślny szablon, przetwarzający jałowo minione style.

Dlatego to hasło do odrodzenia innych gałęzi sztuki mogło wyjść tylko z łona malarstwa lub rzeźby. Wyszło z malarstwa. I dotąd jeszcze większa część pionierów tej młodej sztuki należy do malarstwa. W ich to szeregu kroczy Uziembło. Punktem wyjścia dla niego była prastara sztuka ludowa. Zdobnictwo ludowe z całą swą surową siłą tonu i stylizacyi rysunku najbardziej widocznie pociągnęło jego młody, gorączkowy temperament. I to-właśnie jest bardzo charakterystycznem, bo wskazuje, że ten wpływ sztuki ludowej nie był czysto przypadkowym, gdyż właśnie tę samą siłę i żywość kolorytu o bardzo wybitnie określonych granicach barwnych płaszczyzn widzieliśmy w jego pejzażu. Jednak sztuka ludowa była dla niego fundamentem niejako, na którym zaczął tworzyć swój własny świat ornamentu. O tem przekonywamy się patrząc na projekt polichromii stropu kapitularza w katedrze na Wawelu, albo na projekty witrażów i mozaiki dla gmachu Izby handlowo-przemysłowej we Lwowie, gdzie widzimy już własną dekoracyjną nutę artysty, która potem coraz wspanialej się rozwija w polichromii kościoła parafialnego w Sosnowcu, w licznych projektach na witraże np. św. Antoniego, św. Stanisława Kostki i t. d. (Obok wielu innych rzeczy projekt oprawy mszału, altana ogrodowa, witraż »Wiosna«, mozaika nad bramą domu pod l. 36 przy ul. Wolskiej w Krakowie). Szczególniej podkreślić należy bardzo wytworną kompozycyę, wykonać się mającego urządzenia wnętrza pokoju muzycznego w sanatoryum d-ra K. Dłuskiego w Zakopanem, gdzie całe umeblowanie oraz dekoracyę ścian powierzono artyście, podobnie jak w jednym z prywatnych domów w Sosnowcu, gdzie Uziembło skomponował pokój muzyczny.

Dziś artysta znajduje się w pełni rozwoju sił artystycznych, które mimo rozbieżności w dwóch kierunkach tak pozornie odległych, jak pejzaż i sztuka stosowana, doskonale się uzupełniają, odpowiadając właśnie jakimś specyficznym właściwościom jego talentu.

Dr. Franciszek Klein.

Listy z Warszawy.

Kwestya żydowska. — *Dzień.* — Roman Dmowski. — Jan Popiel. — Prasa katolicka.

Mieli nasi antysemici pod koniec ubiegłego roku dużą satysfakcyę. Gromadnie przechyliła się opinia publiczna na ich stronę.

Antysemitów jawnych było w prasie warszawskiej w ostatnich latach dwudziestu tylko dwóch: ś. p. Jan Jeleński i niżej podpisany. Pierwszy zrobił na Żydach ładny majątek (zjawisko bardzo rzadkie), zostawił swoim dzieciom ładną fortunę, drugi nie zarobił na nich nic oprócz bojkotu i tytułu wstecznika.

Jest u nas antysemitów bardzo dużo, cały legion, ale niewielu z nich ma odwagę przyznać się do tego »grzechu«.

Bo w Warszawie potrzeba na prawdę odwagi, aby wziąć się za bary z Żydami.

Wiadomo, że w samej Warszawie mieszka więcej Żydów, niż we Francyi, Hiszpanii, Włoszech i Holandyi do kupy razem — przeszło 300.000. A ci warszawscy Żydzi panują nad kolejami żelaznemi (jako prezesowie lub członkowie zarządów), są władcami banków, kantorów wekslowych, loteryjnych, sklepów hurtownych, giełdy, w pewnej części fabryk, wpływają bezpośrednio albo pośrednio na pewną część prasy, czyli mają do rozdania mnóstwo posad, wpływów i protekcyi. Kogo więc los nie obdarzył osobistym majątkiem, kto musi szukać chleba powszedniego, ten musi się z nimi liczyć, nie może się im narażać. Ideowców-fantastów, idących w ogień walki o idee, bez oglądania się na prawo i na lewo, na pełną miskę, liczy każde społeczeństwo niewielu. Narwańcami, wprost głupcami nazywa się dziś takich »dziwaków« i bojkotuje się ich, gdy się stają niewygodni.

Supremacya finansowa Żydów sprawiła, że się nasz antysemityzm krył po kątach, że szemrał po cichu, że dawał Żydom buzi jawnie, urągając im tylko za ich plecami. Jedyna *Rola* nie robiła sobie z nimi żadnej ceremonii.

Potrzeba było dopiero najazdu »litwaków« na Warszawę, odpolszczenia przez nich stolicy kraju, licznego udziału Żydów w anarchii rewolucyjnej i bankructwa doktryny asymilacyjnej, aby się antysemityzm ruszył z tchórzliwego barłogu. Zanadto się u nas Żydzi w ostatnich latach rozpanoszyli, wszędzie ich pełno, za pełno. Pozakładali oni mnóstwo żargonowych czasopism i teatrów, znieważali jawnie, zu-

chwale naszą wiarę i tradycye narodowe, poddawali w odczytach i mowach wiecowych namiętnej rewizyi całą naszą przeszłość i narzucali nam krzykliwie, z arogancyą swojej rasy swoje pojęcia i cele.

Za wiele tego było, sprzykrzyli się nawet oportunistom.

Wychodzi w Warszawie od roku pod redakcyą Stefana Gorskiego dziennik p. t. *Dzień*. Dziennik ten szukał dosyć długo swojej drogi, aż wpadł nareszcie z wielką brawurą na »litwaków« i zdobył sobie w ten sposób ostrogi publicystyczne.

Odezwał się także Roman Dmowski, a odezwał bardzo rozumnie.

Przyszło jakiemuś Żydowi na myśl spróbować jeszcze raz eksperymentu asymilacyjnego. W tym celu ogłosił za pośrednictwem *Kuryera Warszawskiego* konkurs na broszurę, któraby wskazywała środki do zasymilowania Żydów i podał od siebie sędziów onego konkursu, pomiędzy którymi umieścił także Dmowskiego.

Nie podobało się widocznie takie zaufanie szefowi naszych demokratów narodowych, bo odpowiedział na nie szeregiem artykułów, nie mających nic wspólnego z tendencyą asymilacyjną.

Dmowski wskazał na jedną z przyczyn obecnej buty żydowskiej, której dotąd nikt u nas nie zauważył. Nauczył nas mianowicie, że dążności asymilacyjne w pośród Żydów zaczęły słabnąć z chwilą zniesienia granicy celnej pomiędzy Królestwem Polskiem a Cesarstwem. Z chwilą tą, która otworzyła handlowi wolną, swobodną drogę po całem imperyum, Żyd polski przestał być zależnym od społeczeństwa polskiego, mógł szukać i szukał rynków zbytu swojego towaru po całych ogromnych przestrzeniach cesarstwa rosyjskiego. A gdy przestał być od nas zależnym ekonomicznie, wówczas odwrócił się od nas plecami, jak każdy handlarz, którego ideałem, bożyszczem jest tylko rubel.

I zmienione po r. 1863 warunki polityczne, które odjęły autochtonom wszelką władzę wykonawczą, wszelki wpływ na rozwój kraju, nie poparły oczywiście eksperymentów asymilacyjnych. Ktoby się tam ze słabym, bezsilnym liczył, ktoby się czepiał powalonego? Tak niepraktycznym nie jest żaden kupiec. Nawet od mocnego odwraca się handlarz, gdy wyłudził z niego to, co chciał, gdy mu się stał w danej chwili niepotrzebnym. Doświadczył tego na sobie magr. Aleksander Wielopolski, niewątpliwie głowa mądra, oko dalekowidzące. Prawie tego samego dnia, w którym rząd obdarzył Żydów za jego pomocą różnemi koncesyami, zapomnieli o nim jego adjutanci żydowscy. Jeden z nich, wystawający przedtem całemi godzinami w jego przedpokoju,

gdy go po zatwierdzeniu owych koncesyi Wielopolski wezwał do siebie, kazał mu powiedzieć przez służącego: jeśli pan margrabia ma do mnie jaki interes, niech się do mnie pofatyguje. Rzecz szczególna, że po takiej arogancyi mądry, trzeźwy Wielopolski mógł się jeszcze łudzić.

Odezwał się także o Żydach Jan Popiel, odezwał się po swojemu: jędrnie, treściwie, mocno, prosto z mostu, bez żadnych omówień dyplomatycznych.

Mówiło się w ostatnich miesiącach, pisało się, drukowało u nas bardzo dużo o Żydach, tak i owak, »gadany« ruch antysemicki wzmógł się bardzo i rozszerzył. Będzieli z tej mąki jaki chleb?

Zdaniem mojem dosyć już tego gadanego antysemityzmu, którego się Żydzi wcale a wcale nie boją, do którego przywykli, przekonawszy się o jego bezsilności. Wszelkie akademickie rozprawy straciły swoją moc, przestały być straszakami z chwilą, gdy Żydzi zaczynają nas na prawdę wypierać z naszej ziemi. Słowo powinno się zmienić w czyn, a jedynym czynem, któryby nas wyzwolił z pod nadzoru i opieki Judy, jest systematycznie przeprowadzona, świadomie działająca, dobrze zorganizowana kooperatywa.

Wiedzą o tem sami Żydzi bardzo dobrze i podnoszą wielki lament z powodu rozpoczęcia przez chrześcijan akcyi współdzielczej. Smutną to rzeczą, zawodzą pisma żargonowe, że wszędzie, gdzie się narody uświadamiają ekonomicznie i podnoszą kulturalnie, tam usuwa się grunt z pod stóp Żydów. Znaczy to, że dobrze im tylko wśród środowisk słabych, bezradnych i niedołężnych.

Kooperatywa i większe, serdeczniejsze przywiązanie do ziemi, do roli...

Jesteśmy narodem rolniczym. Karmicielką naszą jest ziemia, a odwracamy się od pewnego czasu niewdzięcznie od niej, oddając ją na pastwę obcym. Przewrócił nam w głowie pozytywizm ze swoją apoteozą handlu i przemysłu, zdemoralizowała nas chciwość naszych czasów, chciwość szybkich pieniędzy w celu używania życia.

Na roli trzeba pracować nieraz ciężko, trzeba się zadowolnić małym zyskiem, trzeba czekać cierpliwie na rezultaty, a nowe pokolenie, wychowane w chciwości grosza i w pożądliwości używania, nie lubi się fatygować i czekać. Zdaje mu się, że w mieście zdobędzie prędzej środki i będzie żyło wygodniej. Więc wyzbywa się ziemi, ucieka bez żalu z gniazda swojego rodu. Ciężki to grzech! Bo ojczyzną nie jest ani sklep kupiecki, ani fabryka, ani kamienica, lecz wszę-

dzie i zawsze tylko ziemia, owiana tradycyą historyczną narodu. Naród bez własnej ziemi staje się bezdomnym włóczęgą, paryasem, zapomnianym. Jeśli kto, to my powinniśmy o tem pamiętać. Sprzedając ziemię, sprzedajemy ojczyznę. Równa się to zdradzie.

I poniewieranie wiary przodków, z którą łączą się tradycye narodu lat tysiąca, nie należy do czynów patryotycznych.

Długo drzemali nasi katolicy, pozwalając się zalewać toczącej się z łoskotem fali bezwyznaniowców, uchodzącej od lat czterdziestu za stempel oświecenia, mądrości. Inteligencya obawia się tytułu jawnego katolika, jak się obawia przebiegły spryciarz tytułu »uczciwego głupca«. Dopiero anarchia rewolucyjna ze swojem »uświadamianiem« rozbudziła w narodzie sumienie katolickie. Posiadamy już obecnie cały szereg związków, stowarzyszeń, czytelni i pism katolickich, ale cała ta akcya katolicka nie wyszła jeszcze z mgławic organizacyjnych.

Przedewszystkiem czas byłby pomyśleć o stworzeniu głównego dziś w każdej robocie ideowej środka walki i obrony. Jest nim na całym świecie prasa. Rozumieją to doskonale Żydzi i wszelkich odcieni radykaliści. Tylko naszym katolikom zdaje się, że można pokonać przeciwnika bez pomocy prasy.

Może im się i nie zdaje, ale do stworzenia potężnej, wpływowej prasy potrzeba koniecznie większych pieniędzy, a okazało się, że bardzo nabożni katolicy nie lubią otwierać swoich worków. Jak ci bardzo nabożni godzą swoją nabożność ze skąpstwem, z wielkiem umiłowaniem dóbr doczesnych, lekceważonych przez chrystyanizm, trudno się domyślić, dość, że jest faktem, iż hojność nie należy do cnót zelantów. Na budowanie kościołów znajdą się jeszcze od czasu do czasu środki (dostarczają ich głównie bogate panie), ale na prasę, na książki, broszury i t. p. niema ich nigdy. Wszelkie usiłowania, podejmowane w tym kierunku, nie odniosły dotąd żadnego skutku. Widocznie są nasi nadpobożni nie tylko skąpi, ale także za mało inteligentni, by zrozumieć znaczenie druku, jakkolwiek papież Pius X pomaga ich inteligencyi, ucząc, napominając i tworząc własną prasę!

Z wyjątkiem *Roli*, spoczywającej na mocnych podwalinach majątku, zrobionego na Żydach przez śp. Jana Jeleńskiego, żyje nasza prasa katolicka z dnia na dzień, niepewna nigdy jutra, zagrożona ciągle bankructwem. *Dziennik Powszechny* istnieje jedynie niezwykłą zabiegliwością swojego wydawcy, ks. Hipolita Skimborowicza, który

posiada tajemnicę kręcenia bicza z piasku i ofiarnością kilku pisarzów, pracujących albo za darmo, albo za bezcen; *Polak-Katolik* walczy po bohatersku, na prawo i na lewo, z ciągłym deficytem; organ młodzieży *Prąd* oświadczył na początku tego roku, że prywatne środki jego wydawców starczą już tylko na rok i t. d.

Wstydem jest, że najliczniejsza grupa w kraju (katolicy tworzą całą armię) i najbogatsza (najbogatsi ludzie znajdują się w szeregach katolickich) nie zdobyła się dotąd na własną, dobrą, potężną prasę, którąby mogła trzymać w cuglach całą już dziś gromadę przeciwników, wstydem jest, że trzeba o tem mówić. Jak gdyby znaczenie prasy w każdej robocie publicznej, jako środka agitacyjnego, nie mówiło samo za siebie, nie wpadało nawet w krótkowzroczne oczy.

Teodor Jeske-Choiński.

Po procesie Borowskiej.

Przez chwilę namyślaliśmy się, czy pisać o tym przedmiocie. Oczywiście, nie mieliśmy zamiaru zajmować się losem oskarżonej i jej prywatnemi sprawami. Choć jednak chodziło nam o wyższe względy, wywołane tym procesem, niepodobieństwem jest, raz sprawę poruszywszy, jednostkę całkowicie poza nawias wyłączyć. Z tem zastrzeżeniem, notujemy myśl, jaką nie nam jednym tego rodzaju procesy natarczywie nasuwają.

Czy nie jest to społeczną raną, gdy tak doniosła instytucya, jak trybunał sądowy, staje się, skutkiem wadliwej ustawy, pośrednio krzewicielem niemoralności? Czy z tak dostojnego miejsca nie powinienby być usunięty najmniejszy nawet cień publicznego zgorszenia?

Poruszamy myśl, która w zawodowej literaturze prawniczej zyskała już prawo obywatelstwa. Sprawa tajności tego rodzaju rozpraw uznana jest w kołach prawniczych nie tylko za racyonalną, ale wprost konieczną. Zanim jednak tego rodzaju idea wejdzie na drogę ustawodawczą, musi ją przetrawić opinia publiczna.

I dlatego ważnem jest, by tę opinię publiczną w tym kierunku ustawicznie potrącać.

Spostrzeżenia, jakie ostatni proces nasuwał, aż nadto dojmującym w tej mierze przemawiają głosem. Przed natłoczoną w sali sądowej publicznością, której nie najmniejszą część stanowiła młodzież

obojga płci, a następnie, w konsekwencyi jawności procesu, przed całym światem, zapomocą prasy codziennej, wywlekano i roztaczano przez szereg dni sprawy, które do postępu moralności publicznej bynajmniej nie pomogą. Wiemy pozytywnie, że ludzie po raz pierwszy z tego procesu dowiadywali się o pewnych sposobach i drogach występku. Nie potrzebujemy zaś chyba dodawać, że tego rodzaju uświadomienie nie zawsze pozostaje bez skutku. Takie stosowanie konstytucyjnego nadzoru społeczeństwa nad sądownictwem bynajmniej nie jest przywilejem.

Nie tylko demoralizacya bezpośrednia, ta, która uczy zła, jest następstwem jawności takich procesów, ale i ta druga, niemniej brzemienna w skutkach, która przytępia poczucie zła, która z sali sądowej robi widowisko sceniczne a ze zbrodniarza, względnie oskarżonego, bohatera. Że drogą Herostrata można dojść do sławy, o tem wiemy od bardzo dawna, ale, żeby sala sądowa zamieniała się w postument pod pomniki Herostratów, to sprawia dopiero dzisiejsza jawność rozpraw sądowych. Nie byliśmy w tej sali, ale wystarczało przerzucić dzienniki, żeby mieć pojęcie, co się w niej działo. Granica między rozprawą sądową a senzacyjnem widowiskiem zacierała się co chwilę. W natłoczonej sali błyszczały lornetki i krążyły pudełka z cukierkami. Przy silniejszych momentach rozprawy rozlegały się oklaski. Słuchacze wychodzili na ławki, sprzeczali się o widok, prowadzili utarczki o lepsze miejsce. Na tem efektownem tle, postać oskarżonej nabiera z dniem każdym coraz silniejszych akcentów senzacyjności; rozgłosem, wskutek zainteresowania się całej prasy europejskiej, przerasta wkrótce paryską Steinheilową. Dwie te kobiety stają się bohaterkami światowemi ostatnich miesięcy. O nich piszą dzienniki, toczą się rozmowy i spory, o nie robi się zakłady, świat cały dzieli się na dwa obozy, jeden za Steinheilową i Borowską, drugi przeciw nim — przychodzi wreszcie moment, gdzie zatraca się poczucie, czy ma się do czynienia jeszcze z oskarżoną, czy z heroiną jakiejś tragicznej powieści.

I jeszcze jeden wzgląd ujawnił ten proces. Obserwacya nakazuje stwierdzić, że Borowska, do której przed procesem nikt z sympatyą się nie odnosił, w ciągu procesu, zyskała sympatyę, jeśli nie powszechną, to przynajmniej bardzo rozległą. Czuć to było w rozmowach, czuć w prasie naszej i zagranicznej. Dlaczego? Pomijamy pewną partyjność względem oskarżonej, jako też brak przekonywujących dowodów w kierunku oskarżenia. Jedna z głównych przyczyn leżała w czem innem. Oto najprostsze poczucie ludzkości dyktuje, że są

pewne sprawy i rzeczy, których tykać tłumom nie wolno; jak tajniki życia rodzinnego, jak wstydliwość i inne tym podobne momenty. O ile to jest niezbędne do zbadania prawdy, odbywać się winno tajnie. Z chwilą, kiedy przewodniczący ten próg przekroczył a oskarżona dała wyraz trudności swej pozycyi, czuło się od razu, że szanse Borowskiej poszły w górę. Stanęła w opinii publicznej jako ofiara bezbronna a stąd zasługująca na sympatyę.

Tyle o tym ogólniejszym problemie.

Czy jeszcze inna płynie z tego procesu nauka?

W związku z pewnymi radykalnymi objawami emancypacyi warszawskiej, proces ten wskazuje, że łatwiej, niż to było dotychczas i niż być powinno, schodzi dzisiejsza kobieta polska na manowce. Czy główną przyczyną zbłąkania się Borowskiej nie byli ci, którzy dzisiaj są jej największymi wrogami?

Ks. J. Pawelski.

Druk ukończono 12 lutego 1910.

ZMARTWYCHWSTANIE.

A pierwszego dnia Szabatu, gdy jeszcze były ciemności.

Jan XX, 1.

W ciężkich i chłodnych rosach, w cień zimny schylona,
Śpi odrętwiała ziemia. — U wrót niebios kona
Świt szary. — Sił wzejść nie ma. — Tylko gwiazdy ściera
I gasi sobą... i milczy i tęskni i czeka...
A przez sen odrętwienia, w którym obumiera,
Przeszłość ku ziemi woła, — przeszłość, pieśń daleka.
Majaczy w smęt popielny rząd oliw okryty,
I żałoba cyprysów wpatrzona w błękity.
Do ziemi gnie się łan traw rosą obciążony.

O jakoś było ongi ukochanie Pana
W błogosławieństwo szczęścia, jak w szaty przyodziana!
A te otwarte tobie namiotem niebiosa!
Jakoś była u Ojca pieszczoną dzieciną!
Za ciężka jest, za ciężka cieniem zjęta rosa!
Wolno, kropla za kroplą łzy ciekące płyną.
Na górskich zboczach mimoz zadrżały korony...
Deszcz złoty kwiecia mimoz w błękity rzucony
Dreszczem drży, przez sen błyszczy... gdzieś rodzą się świty!

☆ ☆ ☆

I nagle grom się zbudził. Obszedł kręgiem światy
I zmilkł. — I u nóg Jemu legnął: lew skrzydlaty. —
A On stał: Jako biała przyszedł błyskawica,
Nagła, cicha, trwająca. — Szat biel, szczęściem żywa
Jak kwiat śniegów kryształnych, co słońce okrywa.
Piękności niestworzonej dał wynijść na lica,
Patrzający oczyma bóstwa bezdennemi,
W których miłość z przedwieków — trwał, stojąc na ziemi.

A ziemia drży... Tęsknota! tęsknota bez końca,
Nad którą noce śniły i wstawały słońca.
I omdlewała niemoc, szalały orkany!
Nad którą rok za rokiem, wiek za wiekiem bladnie.
Ty pod niemi leżąca, zapomniana na dnie
W przeszłość zaklęta czarem... Przez sen nieprzespany
Czemu drżysz? czemu w przyszłość przeczuciem rzucona,
Żądzę szlochem wstającą rwiesz się z ziemi łona?

☆ ☆ ☆

Pan przybrany w chwalebność wiecznego żywota
Nad tobą wiekuiste uchyla dziś wrota. —
Wzbiera szumiąca chwałą! wzbiera powódź złota!
Jak dziecię znalezione drży płaczem tęsknota.

I wybiegł świt, w rozblasków wybuchnął potoki
Cyprysy niemal w blaskach stoją w niebowzięte
I tryumf złoty mimoz gra w błękit głęboki —
Na srebrze oliw legło ukojenie święte.

☆ ☆ ☆

Dokąd ja idę nie możesz teraz za mną iść, ale potem pójdziesz.
Jan VIII, 36.

Roztworzone nad światem są upusty chwały:
Szerokie fale szczęścia po brzeg go nalały,

Palą się szczyty górskie uwielbieniem złota,
Radość przygarście iskier w rosy drżące miota,
I kwiatem bujnym woła, w blask wybiega śmiele,
Leży uśmiechem na dnie pogodne wesele.

A Magdalena idzie do Chrystusa grobu
Ziół gorzkich snop tuląca do siebie. — A w obu
Rękach alabastr drogi, pełen drogich woni,
By Chrystusowe ciało namaścić i skroni
Raz jeszcze rany ujrzeć. — Idzie pochylona
Sama z sobą — zapadła nad nią łez zasłona.

Przyszła gdzie kamień grobu odwalony leży
I stanęła... gdzie On jest?... w śnieżystej odzieży
Anioł przed nią... lecz Chrystus? — i jedno pytanie
Kto Go wziął? gdzie on? jeśliś Ty wziął Panie,
Powiedz, gdzie jest położon? wezmę Go... zgnębiona,
Zapamiętana w jedno myśl u grobu kona.

Nagle... »Maryo«. — »O Chryste! o Rabbi Rabboni!«
U stóp jest Chrystusowych, — alabaster woni
Rozbity i swą wonność wydający do dna.
Odrzucona zasłona łez! dusza szczęścia głodna,
Po szczęście wychylona... oczy nagłą chwałą
Chrystusową olśnione z sobą niosą całą.

I święto świata widzi! w święto uniesiona
Ku szczęściu swemu oba wyciąga ramiona:
»O zostań z nami Panie! zostań z nami Panie!
Oto więc przyszło owoż twoje królowanie,
Otoś już nasz na zawsze! przez te dni najkrwawsze
Cały smutek i troska przeszły i na zawsze!«

»Noli me tangere — nie! — zapuść łez zasłonę
I za zasłoną łez czekaj. — Jeszcze nie spełnione...

Przyjdę do ciebie. Przyjdę mnie znajomą drogą
I wezmę ciebie... Tknąć mnie twe ręce nie mogą!«

Odszedł — za łez zasłoną została klęcząca.
Słońce — Słońce, którego żaden cień nie zmąca
I cisza — kwitną wkoło śnieżne korne głogi.
A przez ciszę słoneczną dźwięczy głos daleki
Jak sen... »U końca drogi... u końca twej drogi...
Na wieki przyjdę! na wieki... na wieki...«

Krystyna Saryusz Zaleska.

OSTATNIE WYBORY W ANGLII.

Walka wyborcza w Anglii właśnie ukończona. Prowadzono ją zaciekle, a klęski i zwycięstwa nie przychodziły łatwo.

Poprzednia Izba liczyła 385 członków liberalnych, 34 z Labour party, 83 nacyonalistów irlandzkich, czyli razem 502 członków w koalicyi przeciw 168 konserwatywnym unionistom. Partya większości rządowej miała więc przewagę o 334 głosy!

A jednak olbrzymia ta większość nie była w stanie przeprzeć żadnego ze swych ważniejszych wniosków, bo Izba lordów, niewybieralna, uparcie trzymała się konserwatyzmu i sprzeciwiała się wszystkim projektom, które jej przesyłała liberalna Izba gmin. Cierpliwość liberalnego stronnictwa przebrała miarę w dniu, gdy Izba lordów odrzuciła prawo o finansach i tak pozbawiła, albo przynajmniej chciała pozbawić rząd środków, potrzebnych do administracyi. Odezwały się wśród liberalnych głosy o gwałceniu Konstytucyi: dały się słyszeć zdania, że lordowie nie mają kompetencyi w sprawach budżetowych. Zwracamy przy sposobności na to uwagę, że prawo o finansach zwrócone było przeciw samym lordom. Dlatego to prezydent ministrów, mr. Asquitte, spodziewając się, że ogół ludności poprze go przeciw tym magnatom, zażądał od króla rozwiązania parlamentu i rozpisania nowych wyborów. Tak się też stało. Ze wszech stron wzywano do głosowania, lordowie osobiście starali się o mandaty, a zapewne i ich kieszeń im do tego pomagała. Widziano najznaczniejsze

osobistości w państwie, przemawiające po kilka razy na dzień, na ulicy nawet, ubiegające się o zaufanie u tłumów wyborczych.

Liberalni postawili na czele swego programu: reformę izby lordów, wolność handlu, uregulowanie kwestyi szkolnej, niektórzy dorzucali nieśmiało także *Home Rule* dla Irlandyi.

Konserwatyści woleli trzymać się nie tyle wyraźnej obrony lordów, jak raczej opieki w sprawach handlowych i *status quo* w sprawach szkolnych.

Izba lordów, składająca się z członków dziedzicznych, z członków mianowanych przez króla i z członków duchownych (biskupi angielscy) nie posiada żadnych członków wybieralnych. Żadne zaś prawo nie może przejść bez jej zezwolenia. A wskutek swego składu jest i będzie zawsze nadmiernie konserwatywną, żaden rząd liberalny t. j. radykalny nie będzie mógł się z nią porozumieć. Nawet wszechmocny Gladstone nie potrafił jej zmusić do przyjęcia projektu *Home Rule* dla Irlandyi. Już trzy razy autonomia Irlandyi przyjęta przez Izbę gmin, została odrzucona przez Izbę lordów. I trzeba otwarcie wyznać, że lordowie i ich Izba, to dla Irlandyi najzaciętszy wróg, jedyna przeszkoda do autonomii, do dobrobytu i do szczęścia według zdania nacyonalistów.

Stronnictwo konserwatywne jest także zdania, że potrzebna reforma Izby wyższej, ale żąda, by lordowie sami się reformowali. Liberalni zaś chcą sami przeprowadzić tę reformę i nie zmieniając w niczem składu poważnego zebrania, żądają odjęcia mu lub przynajmniej ograniczenia prawa *veto*, chcieliby uczynić lordów zbytecznymi.

Dotychczas była Anglia obok Holandyi — klasycznym przykładem kraju o wolności handlu. Wielu ekonomistów widzi w tej wolności przyczynę niezaprzeczonego rozwoju ekonomicznego narodu angielskiego. Wobec swego oddzielenia od kontynentu, swych olbrzymich posiadłości kolonialnych i swej przewagi na morzu, nie potrzebowała niegdyś Anglia zapory ekonomicznej w prawach cłowych: morze, ocean, jej flota, jej kolonie to dostateczna obrona. Od kilku lat atoli stosunki się zmieniły, a to niebezpieczeństwo nie uszło uwagi Józefa Chamberlaina, przywódcy wojny z Burami.

Stanowisko wyspy staje się dla Anglii coraz bardziej nominalne, drogi komunikacyi szybkich i bezpośrednich między Anglią z jednej, Francyą, Belgią, Holandyą z drugiej strony, sprowadzają tłumnie cudzoziemców »mieszkańców kontynentu« i wraz z ich poglądami do Anglii. Nawet fabryki i kopalnie pod cudzemi firmami przyszły się osiedlić na gruncie angielskim! Kolonie jedne po drugich zyskują samorząd i wyzwalają się z pod opieki handlowej swej zwierzchniczki. Nadto są Niemcy, straszne i rosnące w potęgę państwo niemieckie, którego flota handlowa rozwija się w sposób niepokojący, a flota wojenna idzie w ślad za handlową, Niemcy, których handel zagraża interesom Anglii aż w jej koloniach, a nawet w Anglii samej, Niemcy, pragnące panować na morzu, jak już na kontynencie panują.

Musimy przewidywać przyszłość, mówią konserwatyści, zacznijmy od tego, że przeszkodzimy, by towary zagraniczne (czytaj niemieckie) robiły konkurencyę naszym własnym towarom, musimy powiększyć naszą potęgę na morzu w przewidywaniu przyszłej walki, nieuniknionej wojny; idźmy więc za przykładem innych narodów i chwyćmy się systemu protekcyonizmu.

Zgadzamy się co do istoty rzeczy, odpowiadają na to liberalni, ale nie co do sposobu dojścia do celu. Wasz protekcyonizm wywoła drożyznę; nasze towary są lepszego gatunku niż cudzoziemskie, ostateczne zwycięstwo będzie zatem po naszej stronie. A co do pieniędzy na flotę, proponujemy wam przyjąć nasze prawo o finansach, ono daje nam możność do znalezienia tych pieniędzy u nas niechybnie, w każdej chwili w kieszeniach lordów. Dzięki pracom, podjętym przez państwo, dzięki szczęśliwym okolicznościom, niezależnym od woli lordów, majątki, które ci magnaci nabyli dawniej, gdy były jeszcze bez wartości, mają dziś wartość nieoszacowaną. Co było łąką 100 lat temu, dziś jest terenem zabudowanym. Czy narodowi nic się nie należy od lordów za ten nieoczekiwany wzrost bogactw?

Irlandczycy wahają się między pragnieniem pewnej ekspiacyi ze strony lordów za ich dawniejszą tyranię, i między korzyścią, jaką im przynieść może rozumny system protekcyonizmu; wahają się między interesami własnego kraju, które im każą od-

rzucić prawo finansowe, mające powiększyć o 50 milionów franków ich własne ciężary, i między korzyścią partyi liberalnej, do której stronnictwo narodowe irlandzkie przylgnęło z całej siły w nadziei wydobycia od niej *Home Rule*. Co do reformy Izby lordów, stronnictwo irlandzkie gorąco tę sprawę popiera, bo czyni tę Izbę odpowiedzialną za wszystkie cierpienia swej nieszczęsnej ojczyzny.

W kwestyi nauczania liberalni nie są zadowoleni ze szkół wyznaniowych, domagają się szkół, gdzieby wolny wstęp miały dzieci jakichkolwiek wyznań lub sekt. Aby ten cel osiągnąć, proponują ograniczyć naukę religii do samej Biblii; poza nią niczegoby nie uczono w kwestyach religijnych, ani katechizmu, ani wykładu Nowego Testamentu. Żydzi i chrześcijanie uznają Biblię, tę więc trzeba wykładać; poza tem ani specyalnych wymagań nie należałoby stawiać nauczycielom, ani specyalnych wymagań co do nauki ze strony rozmaitych sekt lub opinii. Wszystkie szkoły, poddające się tym wymaganiom utrzymywałby rząd. Co do innych pokazałoby się, co z niemi zrobić.

Katolicy i anglikanie, biskupi, księża i laicy założyli stanowczy protest przeciw temu wnioskowi, już zresztą cztery razy podobne projekty upadły. I katolicy i anglikanie domagają się, by ci, co otwierają szkoły mieli wolność wyboru nauczycieli, by im przysługiwało prawo wyboru nauki religii, według własnych przekonań. Dla dzieci katolickich, chcą mieć nauczycieli katolickich i takąż naukę. Przed wyborami biskupi katoliccy pytali się na piśmie wszystkich kandydatów, jakie będzie ich stanowisko względem katolickich szkół, w razie, gdyby ich wybrano. Prawie bez wyjątku konserwatyści odpowiedzieli jasno i dobitnie, że bronić będą interesów katolickich; liberalni zaś byli mniej stanowczymi i starali się dawać odpowiedzi wymijające. Interes katolików przemawiał więc za głosowaniem na konserwatystów. Ale ci katolicy są w większej części Irlandczykami, a jako takim własny interes narodowy dyktował im wybór posłów liberalnych. Czyż więc miano poświęcić szkoły, by uzyskać *Home Rule*, czy też zrzec się samorządu, by utrzymać szkoły?

Ale ten samorząd, w jakim stopniu był on zapewniony

w razie zwycięstwa liberalnych? Oto jak się o tem wyrażał kompetentny przedstawiciel angielskich wolnomyślnych, sam mr. Asquitte: »Rozwiązanie tej kwestyi może być tylko jedno: trzeba się uciec do polityki, która zachowując wyraźnie nienaruszoną najwyższą zwierzchność parlamentu centralnego, ustanowiłaby w Irlandyi system rządu samodzielnego dla wszystkich spraw czysto irlandzkich. Niema mowy o rozdziale, i o nim nie może być mowy; niema mowy o dwu zwierzchnictwach współzawodniczących, i o nich mowy być nie może. Taką jest polityka stronnictwa liberalnego. Dla powodów, które uważam za słuszne, obecny parlament nie posiadał mandatu do przedstawienia podobnego wniosku, ale w nowej Izbie gmin, ręce rządu liberalnego i takiejże większości nie będą związane pod tym względem« (mowa z 10 grudnia 1909). W swych późniejszych mowach na zgromadzeniach wyborczych, premier unikał wzmianki o samorządzie i dotykał tej delikatnej kwestyi tylko w odpowiedziach, jakie dawał na stawiane interpelacye. Tak np. 19 stycznia 1910 roku, gdy agitacye wyborcze były w pełnym toku, tak się odzywał: »Nie obiecuję przeprowadzenia żadnego prawa w czasie przyszłej kadencyi parlamentarnej, dopóki nie załatwimy naszego sporu z lordami. Oświadczałem, że m o j e m z d a n i e m stronnictwo liberalne będzie miało wolne ręce w nowym parlamencie, co nie miało miejsca w dawnym, co do przedstawienia projektu, któryby dawał Irlandyi pełnomocnictwo do załatwiania spraw czysto irlandzkich, nie naruszając przytem w niczem zwierzchnictwa parlamentu centralnego«.

Niektórzy mało sobie obiecują z ostatniej deklaracyi, bo w rzeczy samej kilku posłów wolnomyślnych wyraziło się z niechęcią dla *Home Rule*, stąd nasuwa się pytanie, czy mr. Asquitte wyraził s w o j e osobiste zdanie, czy mówił we własnem imieniu czy w imieniu swego stronnictwa. Takie były najważniejsze pytania, jakie roztrząsano przed wyborami w Anglii i Szkocyi, i o które spór się toczył.

Cóż tymczasem czynili irlandzcy nacyonaliści? I oni spór toczyli, ale między sobą. Unioniści, protestanci z Ulster, rozsyłali po całej Anglii swych stronników z konferencyami w celu wzbudzenia litości u protestantów angielskich nad losem Irlandyi

w razie, gdyby liberalni przyznali jej samorząd. Przedstawiano smutny stan Irlandyi rządzonej przez fanatyzm księży katolickich i papistów, malowano w czarnych kolorach przyszłość tych, co się od wieków odznaczali lojalnością dla Anglii. Oczywiście należało przeciwstawić kenferencye konferencyom, trzeba było odpowiedzieć tym zarzutom głuchym, podstępnym, uderzającym o strunę religijnego fanatyzmu. Niestety, nacyonaliści irlandzcy nie mogli tego uczynić! John Redmond sam żalił się nad tem gorzko w swej odezwie do Unii: »Wielkie niebezpieczeństwo grozi nam w obecnej chwili: byśmy nie dali teraz, gdy mamy jedyną sposobność do uzyskania samorządu narodowi angielskiemu przykładu niezdolności, wahania się, niestałości i niezgody, skądby mogli wniosek wyciągnąć, że naród irlandzki niezdolny jest do poważnych myśli politycznych, niezdolny do samorządu«.

Przypomnijmy sobie, że już często była mowa o tem w poprzednich kronikach, iż nie wszyscy się zgadzali z polityką stronnictwa nacyonalistów, że ani przywódca tej partyi J. Redmond ani prym w niej dzierżąca *Onited Irish League* nie cieszyła się ogólną sympatyą. Opozycyę stawiają przeciwugodowcy znani pod nazwą *Sinn Feiners* (bądźmy sami sobą) i Niezawiśli. Pierwsi chcieliby, żeby Irlandczycy usunęli się po prostu z parlamentu angielskiego w Westminsterze, i zebrali nielegalny parlament w Dublinie, by usuwano się od administracyi angielskiej w Irlandyi, by nie popierano w całym kraju przedsiębiorców sprzyjających Anglii. Proponują więc po prostu bojkot wszystkiego, co angielskie. W teoryi myśl piękna, ale w praktyce nie do urzeczywistnienia. Niezawiśli znowu sądzą, że stronnictwo Johna Redmonda zbłądziło, gdy złączyło swą akcyę z akcyą angielskich liberalnych; żądają swobody, by mogli głosować ze stronnictwem, które im się spodoba. Ciężki wyrzut czynią stronnictwu nacyonalistów o to, że nie głosowało przeciw budżetowi finansowemu, który zagraża interesom Irlandyi. Chcą więc mieć swobodę w parlamencie we wszystkich kwestyach, które nie dotyczą Irlandyi. Są to, jeśli ich tak nazwać chcemy, oportuniści: odrzucają dyktaturę Redmonda i wszelkie nakazy ze strony *United Irish League*. Nie bardzo liczni w dawnej grupie nacyonalistów, stracili byli

jednego ze swych przywódców skutkiem dymisyi O'Briena'a. Teraz zaś mr. O'Brien znów się pojawił na widowni, zgłosił swą kandydaturę wobec swych dawnych wyborców w Cork i w 18 okręgach stanęły kandydatury narodowe niezawisłe przeciw kandydaturom oficyalnych nacyonalistów ze stronnictwa *United League*. Musiała się więc energia i wymowa posłów irlandzkich zużywać przez całe tygodnie na obalenie kandydatur tych dyssydentów niezawisłych, podczas gdy te wysiłki takby się były przydały gdzieindziej. Zaznaczmy, że między tymi niezawisłymi spotkać można ludzi zdolnych i zasłużonych, jak np. p. Tim. Healy, jednego z najprzedniejszych mowców w parlamencie angielskim.

Zamieszanie było tak ogólne, walka tak zacięta, że nawet kościelni dygnitarze katoliccy nie mogli się trzymać na uboczu: kardynał prymas, arcybiskup z Armagh, ks. bisk. Logue oznajmił publicznie, że będzie głosował za p. Haaly przeciw kandydatowi ligi; także na innych miejscach sympatye kleru zwróciły się do kandydatów niezawisłych. Wogóle nie przebierano w słowach, uciekano się do rewolwerów nawet, bójek na pięści bez liku, metyngów rozbitych niemało, jednem słowem wielki chaos wyborczy.

Ogłoszenie wyników nieco uspokoiło umysły. Wynik wyborów, dziś już ostatecznie ustalony, daje liberalnym 275 mandatów, 40 członkom *Labour party*, nacyonaliści irlandcy mają 82 posłów, 273 konserwatyści. Więc przewaga koalicyi ministeryalnej spadła do 124 głosów. Nacyonaliści stracili jeden mandat, mianowicie w Mid Tyrone, gdzie głosy tak były podzielone: mr. Gerald Brunskill (unionista) 2475 głosów, mr. J. Valentine (z ligi) 2070, mr. G. Murnaghan (niezawisły nacyonalista) 1244. Była więc większość 405 głosów po stronie unionistów, podczas gdy rzeczywista większość nacyonalistów wynosiła 839 głosów. W jedenastu okręgach niezawisły kandydat zwyciężył kandydata ligi. Jest to z pewnością przestroga dla p. Redmonda, to też prasa nie omieszkała wyciągnąć konkluzyi z ostatnich wypadków: jeśli jeszcze i tym razem łączność z wolnomyślnymi posłuży tylko do wydobycia od nich samych obietnic, polityka p. Redmonda będzie jednogłośnie potępiona.

Przegląd siły liczebnej rozmaitych stronnictw politycznych

pozwala łatwo oceniać krytyczne położenie, w jakiem się znajduje stronnictwo liberalne, co też nie uchodzi baczności konserwatystów.

Zdaje się, że żadne z dwu stronnictw nie jest w stanie wykonać w całości swego programu. Reforma ceł, protekcyonizm zyskały wiele sympatyi i stanęły na dość silnym gruncie w ostatnich czterech latach, nie wystarczy to jednak, by dla konserwatystów odzyskać stracone stanowisko w rządzie. Z drugiej strony liberalni wracając do parlamentu w większości uszczuplonej, czyż uczują się dość na nogach, by przeprzeć swe zamiary co do Izby lordów? O tem zaś, by załatwić po swej myśli kwestyę szkolną, liberalni nawet marzyć nie mogą: nacyonaliści bez wyjątku tym razem postarają się o usunięcie wszelkich wniosków stawianych przeciw Kościołowi katolickiemu, a mogą to skutecznie uczynić.

A jaki będzie los budżetu finansów, jeśli jak za pierwszym razem, stronnictwo Redmonda wstrzyma się od głosowania, i jeśli, co się zdaje być pewnem, niezawiśli posłowie irlandcy przeciw niemu głosować będą? Czy w tak ważnej kwestyi, mając za sobą większość kilku głosów zaledwie, zechcą liberalni zabrać się do rzeczy? Jednem słowem sytuacya parlamentu jest bardzo chwiejna i nie należałoby się dziwić, gdyby nastąpiło ponowne rozwiązanie parlamentu i ponowne wybory. A wtedy co? Najprawdopodobniej w kilku miesiącach Anglia nie zmieni swego zdania, a nawet w przypuszczeniu, że konserwatyści zdobędą jeszcze więcej mandatów, bardzo jest nieprawdopodobnem, by większość była tak znaczną, iżby się mogli obejść bez Irlandczyków.

Faktem więc jest, że Anglia jest obecnie w zależności od posłów irlandzkich. Konserwatyści zdają sobie z tego dobrze sprawę: to też niedawno temu zaznaczał jeden z ich poczytnych dzienników, że właściwie partya konserwatywna nie jest przeciwna pewnej autonomii irlandzkiej. Czyżby to było tylko badanie terenu czy też można się czegoś więcej spodziewać?

Trudno o tem wyrokować, gdy przypomnimy sobie, ile razy już Irlandya się zawiodła, zwłaszcza że obietnice pojawiają się teraz wskutek chwilowych okoliczności.

Okazya dobra dla Irlandyi, ale niemniej krytyczne jest po-

łożenie. Przypuśćmy na chwilę, że skutkiem stanowiska posłów irlandzkich rząd angielski napotka na trudności ustawiczne, którym może sam dał powód. Cóż się wtedy stanie? Łatwo sobie poradzić, jak to już zaznaczała prasa angielska. Irlandya posyła do parlamentu w Westminsterze 105 posłów. Liczbę tę niegdyś określono, gdy kraj ten liczył jeszcze blizko 6 milionów mieszkańców. Skutkiem braku żywności i wskutek emigracyi przybierającej niestety coraz większe rozmiary, ludność zmalała do połowy [1]. Przedłożonoby więc wniosek o nowem rozłożeniu mandatów na trzy królestwa: Anglia i Szkocya zyskałyby na tem, reprezentacya Irlandyi musiałaby zmaleć. Konserwatyści i wolnomyślni zgodnie głosowaliby za tą reformą, a Irlandya byłaby znów ofiarą, co do której zgodziłyby się nawet przeciwne stronnictwa, nienawidzący się bracia podaliby sobie w tem rękę. Wiadomo, że to nowe prawo napotkałoby na wielką trudność: w czasie, gdy ludność Irlandyi wzrastała w liczbę, nie powiększono ilości jej mandatów, byłoby więc rzeczą niegodziwą uwzględniać obecnie jej ubytek ludności. Trudność to niemała. Ale czyżby to był pierwszy przykład, gdzie naród podbity jest przedmiotem niegodziwego prawa?

Wspominaliśmy, że stanowisko stronnictwa narodowego w Westminsterze jest krytyczne. Czy się po raz pierwszy tak dzieje? Bynajmniej. Za rządów liberalnego gabinetu lorda Rosebery trzymali również Irlandczycy rząd w szachu. Lecz cóż się wówczas stało? Partya narodowa dopomogła rządowi do uchwalenia praw mających na celu zapewnienie wolnomyślnym przewagi w chwiejnych wyborach angielskich. Ale słusznie zaznacza *Irish Independent*, że stronnictwo irlandzkie miało rząd w ręku, ale nie umiało go nigdy tak do muru przyprzeć, by wydobyć coś korzystnego dla siebie. Skutek praktyczny był ten, że wolnomyślnych rządy ustąpiły, wymazały *Home Rule* ze swego programu, a od owego czasu przypisują swe niepowodzenie wyborcze przy-

[1] Około połowy zeszłego wieku Irlandya liczyła przeszło 8 milionów mieszkańców, obecnie zmalała liczba do 4 milionów.

wiązaniu do Irlandyi. Obecnie, jeśli prawdą jest, że w historyi te same koleje wracają, możemy sobie wyobrazić co nastąpi.

Spytać się kto może, jak to się dzieje, że wybory angielskie nie przechylają szali stanowczo na żadną stronę, nie dają prawdziwej większości ani wolnomyślnym ani konserwatywnym: pierwsi w rzeczy samej mają przewagę tylko o dwa mandaty. Odpowiedź każe nam chwilę opuścić rolę irlandzkiego kronikarza. Damy ją jednak, wydaje się bowiem dość pouczająca.

Naszem zdaniem program liberalnych był za obszerny, teren bojowy niedość był rozgraniczony. Kwestya reformy cłowej zajmująca pierwsze miejsce w programie konserwatystów, mogła służyć za normę do okazania sił obydwu partyi, skoro liberalni byli stanowczo za wolnością handlu. Ale przypuśćmy — co się nierzadko zdarzało — że ktoś stał na stanowisku kompromisu z Izbą lordów, będąc zarazem przeciwnikiem reformy cłowej; przypuśćmy, że inny był przeciwnikiem walki o szkołę i *Home Rule*, ale zarazem przeciwnikiem cłowego projektu. Na kogo mieli tacy głosować, jak nie na konserwatystów? Dodajmy do tego, że przez swe dawniejsze postępowanie, swemi mowami i manifestami, liberalni publicznie przyznawali się do »niekonformizmu«, publicznie głosili, że są wrogo usposobieni dla szkół wyznaniowych. Mają więc liberalni przeciw sobie wpływowy tłum ministrów Kościoła. Między nimi niemało jest zwolenników rządów liberalnych, którym jednak sumienie nie pozwalało głosować za wolnomyślnymi.

Choć więc siły obu stronnictw się równoważą, sądzimy, że stąd bynajmniej nie należy tego wniosku wyciągać, jakoby połowa wyborców angielskich sprzyjała reformie cłowej; należałoby raczej wnioskować, że połowa narodu przyjmuje w całości program liberalny, druga połowa odrzuca niektóre jego części.

Zresztą niebawem parlament rozpocznie swą działalność a mowa tronowa da nam wskazówki co do drogi, jaką pójdzie polityka.

Ks. Ch. Schoonjans.

DARWIN I JEGO DZIEŁO[1].

Ewolucya, rozwój, postęp, walka o byt, dobór naturalny: któż nie zna tych haseł współczesnej nauki, olśniewających każdego, czy to uczonego czy nieuczonego? Wszak ewolucya jest tym kluczem otwierającym nam samo wnętrze przybytku nauki i wiedzy; ewolucya jest tym kamieniem węgielnym, na którym wznosi się niczem niezachwiany a wspaniały gmach jednolitego na świat poglądu; ewolucya jest tą laską czarodziejską, za której dotknięciem rozrzucone tu i ówdzie a niekształtne bryły bezpośredniego doświadczenia, przemieniają się w ciągły łańcuch przyczynowego rozwoju.

Niema dziś prawie nauki, któraby nie stosowała zasady ewolucyi, walki o byt, doboru naturalnego do swych przedmiotów. Kosmogonia, geologia i paleontologia, lingwistyka i psychologia tak indywidualna jak psychologia narodów, ekonomia społeczna i historya, filozofia kultury i sztuki, filozofia religii a nawet teologia: wszystkie przyjmują teoryę ewolucyi w szerszych lub ciaśniejszych rozmiarach.

Nie zawsze tak było.

W starożytności przyroda i byt wogóle przedstawiał się umysłom bardziej zamknięty w sobie, stały i trwały. Rzadkie są systemy głoszące teoryę bezwzględnego πάντα ῥεῖ. A i w tych systemach nawet zwraca się uwagę głównie na ciągły ruch i wieczną zmianę. Zmiany te odbywają się w tych samych gra-

[1] Odczyt publiczny, miany dnia 22 lutego t. r. w sali Kopernika Uniwersytetu Jagiellońskiego.

nicach; nieznaną jest zmiana, pociągająca za sobą postęp ku lepszemu, doskonalszemu stanowi rzeczy zmienionej.

Wraz z chrześcijaństwem rozpoczyna się zwrot w poglądzie na świat. Chrześcijaństwo, zapatrujące się na świat raczej *sub specie aeternitatis* aniżeli *sub specie temporis*, uważa cały byt widzialny za rozwój dziejowy. Święty Augustyn rzucił tę genialną myśl, że cała kosmogonia jest jednolitym rozwojem z prostych początków pierwotnych, podobnie jak drzewo się rozwija z małego, niepokaźnego nasienia.

Lecz myśl wielkiego biskupa z Hippony przez długie wieki leżała odłogiem.

Dopiero w piętnastym wieku występuje na nowo idea rozwoju. Atoli nie w znaczeniu dzisiejszem. Wiadomo, że mistyka średniowieczna nadała całemu światu kierunek ku wieczności i nieskończoności. Świat znikł niejako wobec wszechobecności i wszechpotęgi Bożej, stał się jakby cieniem Bożej tajemnicy, odbiciem Bożej wielkości na zewnątrz.

Mikołaj z Cues zmienił ten stosunek świata do Boga. Świat, powiada Cusanus, jest wyrazem Bożego bytu, a więc ma wielką, nieskończoną niemal wartość. Świat jest *explicatio* nieskończonego życia, jest na wskróś żywy i uduchowniony, jest spragniony udziału w tem życiu nieskończonem, a zatem udziału w nieograniczonym postępie.

Tak więc świat posiada coraz większą wartość w oczach ówczesnych myślicieli. A że ten świat wciąż i wszędzie jest obecny, że na każdym kroku rozwija bogactwo swych skarbów i piękności, więc nic dziwnego, że myśliciele piętnastego i szesnastego wieku coraz bardziej zwracali uwagę na jego bezpośrednią rzeczywistość, i coraz wyraźniej w nim samym upatrywali nieskończony, Boży pierwiastek. Stosunek między Bogiem a światem zmienił się w stosunek wprost przeciwny. Przedtem Bóg był jedynym i powszechnym bytem, pochłaniającym wszelką rzeczywistość; teraz świat widzialny jest tym bytem nieskończonym i Bożym. Przedtem absolut był alfą i omegą wszystkiego; teraz absolut nie posiada już własnej dziedziny, lecz staje się jakby duszą świata, pierwiastkiem jego życia, tłem, na którem epopeja wszechświatowa się

odgrywa. Zwrot ten doszedł do punktu kulminacyjnego we filozofii panteistycznej Giordana Bruna. Teistyczny mistycyzm zamienił się już zupełnie w immanentny, ateistyczny lub raczej panteistyczno-monistyczny ewolucyonizm.

Skutki tego zwrotu były bardzo doniosłe nie tylko dla poglądów religijnych, ale także dla nauki i filozofii. Albowiem odtąd nauka i filozofia postawiły sobie coraz wyraźniej za zadanie tłumaczenie rzeczy i zjawisk z przyczyn i pierwiastków immanentnych i empirycznych. Descartes sprowadza cały byt do prostych zasad i pierwiastków; Kant i Laplace stosują tę samą zasadę do kosmologii, Locke i Hume do psychologii.

Lecz pomimo tych olbrzymich zmian w poglądach naukowych idea ewolucyi nie była jeszcze tą ideą, jaką my dzisiaj znamy. Próby stosowania ewolucyi do konkretnej rzeczywistości były jeszcze bardzo rzadkie i nieudolne. Sama zasada ewolucyi była raczej ideą oderwaną, aniżeli teoryą empirycznie uzasadnioną. Najlepszym tego dowodem jest filozofia Schellinga i Hegła, którzy się nawet nie kusili o doświadczalne poznanie rzeczywistości, lecz idealistyczny rozwój pojęć uważali za kryteryum, a nawet za twórcę realnego, empirycznego porządku.

Taki był mniejwięcej stan rzeczy, gdy Karol Robert Darwin obdarzył świat głośnem swem dziełem o rozwoju gatunków: *On the origin of species by means of natural selection, or the preservation of favoured races in the struggle for life. London 1859.* Pierwsze wydanie z 14 listopada rozsprzedano natychmiast. Roku 1860 wyszło wydanie drugie, 1861 r. trzecie, 1866 r. czwarte, 1869 r. piąte, 1872 r. szóste, 1882 siódme i t. d. Uważano to dzieło za wydarzenie epokowe, tłumaczono je na różne języki. Sława autora była raz na zawsze ustaloną.

Co to było za dzieło i kim był jego twórca?

* * *

W Mount w Shrewsbury w Anglii, żył lekarz Robert Waring Darwin. Urodził mu się 12 lutego 1809 r. syn, któremu dano imię Karol Robert. Karol był zdolnym chłopcem, lecz ani w szko-

łach średnich, ani na uniwersytecie nie okazywał wielkiego zamiłowania do uprawianych w tych szkołach przedmiotów naukowych. Tylko przyroda i nauki przyrodnicze pociągały go jakimś dziwnym, tajemniczym urokiem. Już jako chłopak zbierał skrzętnie różne ciekawe przedmioty i okazy przyrodnicze. W szesnastym roku życia zapisał się na medycynę, lecz po dwóch latach poznał, że jest niezdatny do tej nauki. Opuścił więc uniwersytet w Edynburgu i udał się roku 1828 do Cambridge, gdzie przez trzy lata, aż do roku 1831, słuchał teologii anglikańskiej. Lecz obok teologii zajmował się także naukami przyrodniczemi i okazywał do nich nierównie większe uzdolnienie aniżeli do teologii.

Wtedy zdarzył się wypadek, który miał stanowczo rozstrzygnąć o jego powołaniu i przyszłej pracy. Zaproszono go, by wziął udział w podróży koło świata kapitana Fitzroy na pokładzie okrętu »Beagle«. Darwin przyjął propozycyę i wyjechał 27 grudnia 1831 roku. Wróciwszy 2 października 1836 r. zabrał się natychmiast w Londynie do naukowego opracowania bogatego materyału przyrodniczego, jaki w czasie tej podróży był nagromadził.

Już w czasie podróży imię Darwina stało się głośnem wskutek listów, które z tej podróży pisał i które w Anglii drukowano. Ponieważ matka Darwina była córką, a żona jego wnuczką bogatego Josiah Wegwood, więc mógł się z całą swobodą i niezależnością oddawać swym pracom naukowym. Że jednak był bardzo słabego zdrowia, mógł codziennie ledwo kilka godzin poświęcić swej pracy.

Mimo to owoc tej konsekwentnie i jednolicie prowadzonej pracy nie był mały. W roku 1839 wydał pierwsze większe dzieło o swych badaniach w czasie podróży koło świata; dzieło to dożyło w roku 1845 drugiego wydania. W latach 1839—1843 ogłosił swe studya zoologiczne nad przywiezionym z tej podróży materyałem. Inne większe prace (7) wyszły między rokiem 1842 a 1854. Roku 1859 wyszło wspomniane już dzieło o pochodzeniu gatunków; 1860 podróż przyrodnika koło świata i t. d. Nie mogę tu wszystkich jego prac wyliczyć. Wspominam tylko o najważniejszych. Tak wyszło roku 1868 dwutomowe dzieło: »Waryacya zwierząt i roślin w stanie domestykacyi«; roku 1871 dzieło o po-

chodzeniu człowieka: *The descent of man and selection in relation to sex.*

Jak widzimy, była to praca wprost olbrzymia, zwłaszcza gdy przypominamy sobie słabe zdrowie tego badacza. Tylko przy nadzwyczajnej energii woli i charakteru mógł dojść do swego celu. Zresztą już jego wygląd zewnętrzny każe nam się domyślać tej siły i nieugiętej woli, jaka w jego duszy panowała. Haeckel, największy wielbiciel Darwina, pisze o nim nie bez słuszności: »Wysoka, poważna postać, z szerokimi ramionami Atlasu, dźwigającego cały świat myśli; czoło jowiszowskie, jak u Goethego, wysokie i szeroko sklepione, a przytem głęboko zorane pługiem pracy umysłowej; miłe i łagodne oczy zasłonięte potężnym dachem krzaczystych brwi; miękkie usta obramowane wielką, białą jak śnieg brodą. Ujmujący i chwytający za serce wyraz całej twarzy, cichy i łagodny głos, powolna i rozważna mowa, naturalny i prosty bieg myśli w jego rozmowie podbiły już w pierwszej godzinie naszej pogadanki całe me serce«. Zresztą sam Darwin pisze o sobie do d-ra Abbota w liście datowanym dnia 16 listopada 1871 roku: »Cokolwiek zrobiłem dla nauki, doszedłem do tego tylko po długich rozważaniach, cierpliwością i pilnością«. Darwin umarł jako starzec, 19 kwietnia 1882 roku. Mamy jego życiorys z pióra syna jego Franciszka, który w nim także umieścił szeroką jego korespondencyę. Trzytomowe to dzieło, tłumaczone na język niemiecki przez V. Carusa p. t.: *Leben und Briefe von Charles Darwin. Stuttgart 1887*, zawiera dużo ciekawych szczegółów z życia i prac słynnego badacza.

Zamiłowanie przyrody, jakie Darwin już za młodu okazywał, nie opuściło go przez całe życie. Jeszcze w dziele o pochodzeniu człowieka, a więc dziesięć lat przed śmiercią, pisał, że nikt nie może badać choćby najniżej stojącej istoty żywej, nie rozentuzyazmując się jego dziwną strukturą i nie zachwycając się jego własnościami.

Zachodzi atoli pytanie, jakie stanowisko zajął Darwin względem najgłębszych zagadnień metafizycznych i religijnych? Czy Darwin był, jak wielu twierdzi, zwolennikiem materyalistycznego

mechanizmu i ewolucyonistycznego monizmu? Czy wykluczał zupełnie ze swojego systemu istnienie albo możliwość Stwórcy?

Przyznać należy, że Darwin położył fundament pod gmach materyalistycznego ewolucyonizmu; lecz z drugiej strony zaznaczyć trzeba, że nie wyciągnął ostatecznych wniosków ze swych nauk. Wprawdzie Darwin nie był otwartym i przekonanym zwolennikiem teizmu, ale też nigdy nie zaprzeczył stanowczo istnieniu Boga. Zajęty całą duszą badaniami przyrodniczemi, nie znalazł czasu ani ochoty do zastanawiania się nad zagadnieniami religijnemi. W liście do d-ra Abbota z roku 1871 pisze: »Nie myślałem nigdy systematycznie nad religią i jej stosunkiem do nauki ani też nad moralnością w stosunku do społeczeństwa«. Co się zaś w szczególności tyczy kwestyi istnienia Boga, zdaje się, że możnaby Darwina najlepiej określić jako agnostyka, wahającego się między uznaniem Stwórcy a jego negacyą. Przy niejednej sposobności powiedział piękne słowa o Bogu, jako Stwórcy świata i celowości jego, lecz znowu w liście z dnia 29 marca 1863 r. do przyjaciela Hookera wyraża swój żal, że ze względu na czytającą publiczność użył wyrazu biblijnego »stworzenia«, gdyż nic innego przez to powiedzieć nie chciał, jak to, że istoty żyjące na podstawie jakiegoś nieznanego zupełnie procesu na ziemi się pojawiły. Że jednak pod tym względem Darwin był bardzo ostrożny i nie chciał wypowiedzieć pewnego zdania, o tem świadczy nam inny list jego z dnia 6 września 1871 roku do d-ra Abbota, w którym powiada, że czuje wielką niechęć do wypowiedzenia publicznie swego zdania o przedmiotach religijnych, gdyż nie sądzi, żeby był się dosyć głęboko nad podobnemi zagadnieniami zastanowił. W roku zaś 1879 powiada: »Nawet wtedy, gdym się najbardziej wahał, nie byłem nigdy ateistą w tem znaczeniu, żebym był zaprzeczył istnieniu Boga«.

W dziele o powstaniu gatunków mówi Darwin wyraźnie o Bogu jako o Stwórcy porządku światowego. Tak czytamy na stronie 563 (tłumaczenia niemieckiego, wyd. 7. Stuttgart 1884): »Pierwszorzędni uczeni zdają się zupełnie zaspokoić tym poglądem, że każdy gatunek został osobno stworzony. Według mojego zdania będzie bardziej zgodnem z prawami nadanemi materyi przez stwórcę,

jeżeli przyjmiemy, że powstawanie i zanikanie dawniejszych mieszkańców ziemi zależy od przyczyn drugorzędnych, równych tym, które powodują narodzenie się i śmierć jednostki«. A dwie stronice dalej czytamy: »Jest to naprawdę wspaniałą ideą, że Stwórca tylko niektórym albo tylko jednej formie wszczepił zarodek otaczającego nas życia, i że z tak prostych początków nieskończony szereg najpiękniejszych i najcenniejszych form się rozwinął i ciągle jeszcze rozwija, podczas gdy nasza planeta, ulegając surowym prawom grawitacyi, obracała się w kole«. Podobne zdania każdy katolicki uczony śmiało przyjąć może. Albowiem według nich Bóg jest Stwórcą i pierwszą przyczyną; Bóg nadaje materyi prawa, według których ma się rozwijać i coraz to doskonalsze wydawać formy. Przyczyny empiryczne światowego rozwoju są przyczynami drugorzędnemi, a więc zależnemi w zupełności od przyczyny pierwszej. Że zaś Darwin nie mówi tu tylko o Bogu z pewnego konwenansu albo przywyknienia z lat dziecięcych, o tem świadczy inne zdanie jego z roku 1873: »Nie mogę sobie wyobrazić, żeby ten wspaniały i przedziwny wszechświat wraz z nami, jako istotami obdarzonemi świadomością, był powstał tylko przypadkowo; i w tem widzę główny dowód na przyjęcie istnienia Boga«. Innemi słowy: Darwin uznał, przynajmniej czasem, siłę dowodu kosmologicznego i teleologicznego.

Lecz, jak już wspomniałem, podobne przekonania nie były u niego trwałe. Tak np. pisze w r. 1881, a więc rok przed śmiercią, do W. Grahama: »Pan wyraziłeś moje własne głębokie przekonanie o wiele plastyczniej i jaśniej aniżeli jabym to potrafił, że świat nie jest dziełem przypadku«. Lecz zaraz po tych słowach wspomina o »strasznych wątpliwościach«, które mu to przekonanie zawsze na nowo osłabiają, i że te wątpliwości opierają się na zwątpieniu o samej zdolności naszego poznania. W tym samym roku miał Darwin rozmowę z księciem z Argyll. W toku rozmowy książę wspomniał o różnych przedziwnych urządzeniach w przyrodzie, na które właśnie dzieła Darwina jasne rzucają światło. Przytaczamy własne słowa księcia: »Mówiłem o tem, jak nie można się zastanawiać nad takimi rzeczami, nie uznawając przytem, że są dziełem i wyrazem rozumu. Nigdy nie zapomnę

odpowiedzi Darwina. Spojrzawszy bystro na mnie rzekł: »Bardzo słusznie, ta myśl przychodzi mi często z przekonywującą siłą, lecz w innych czasach — i tu potrząsł głową z wyrazem niepewności — zdaje się znowu zniknąć«.

Zatrzymałem się naumyślnie przy tym punkcie, jakie stanowisko zajmuje Darwin względem kwestyi istnienia Boga. Na podstawie bowiem tych faktów zupełnie historycznych, podanych przez własnego syna jego we wspomnianej wyżej biografii, możemy ocenić zdanie wielu materyalistów i ewolucyonistów, którzy twierdzą, że Darwin obalił dogmat stworzenia, że znalazł klucz do zrozumienia kwestyi, w jaki sposób powstał świat tak celowo urządzony bez zasady jednak celowości.

Najbezwzględniej postępuje w tej kwestyi Ernest Haeckel, i jemu to zawdzięczamy to olbrzymie zamieszanie pojęć, jakie dzisiaj w kwestyi darwinizmu i ewolucyonizmu panuje. Powrócimy niżej do tego samego przedmiotu jeszcze pod innym kątem widzenia. Tak np. twierdzi Haeckel w dziele o cudach życia (10 wydanie, Stuttgart 1904, str. 56), że Darwin jest najpotężniejszym wrogiem witalizmu. On to bowiem zapomocą teoryi selekcyjnej rozwiązał największą zagadkę biologiczną, powtarzające się wciąż pytanie: jak należy celowe urządzenie organizacyi mechanicznie tłumaczyć? Jak powstała tak sztucznie złożona maszyna, jaką jest ciało zwierzęcia lub rośliny, drogą naturalną, bez Stwórcy, bez pracującego według wykreślonego planu artysty? A na innym miejscu *(Welträtsel, Volksausgabe 35)* twierdzi Haeckel, że teorya Darwina rozwiązała »zagadkę stworzenia« i wraz z nią problem prawdziwej istoty i powstania człowieka samego.

Zwróciłem nie bez celu uwagę na ten punkt; z przytoczonych bowiem faktów wynika naprzód to, że teorye doboru naturalnego i walki o byt nie były dla samego ich autora bynajmniej przekonywującymi argumentami przeciwko istnieniu przyczyny rozumnej i celowo działającej. W przeciwnym bowiem razie byłby Darwin koniecznie doszedł do stanowczego odrzucenia Stwórcy, gdyż raz po raz zmuszały go — jak widzieliśmy — czy to listy przyjaciół i wielbicieli, czy to rozmowy z rozmaitymi uczonymi, do zastanawiania się nad wewnętrznym związkiem między jego

teoryą descendencyi a ideą Stwórcy celowo działającego. Jeżeli nadto zwrócimy uwagę na to, że Darwin sam miał całkowitą i jasną świadomość o hipotetycznym charakterze swych teoryi, gdyż przy każdej sposobności, gdzie o nich mowa, używa wyrazów jak: »przypuśćmy że...«, »pomyślmy sobie, że...«, »wyobraźmy sobie, że...«, »jeżeli tymczasem przyjmiemy, że...« i t. d., to zrozumiemy odrazu, dlaczego Darwin nie mógł dojść do ostatniego a stanowczego zdania o kwestyi pochodzenia życia i świata wogóle. Z jednej bowiem strony wyznał otwarcie hipotetyczny charakter swych teoryi, z drugiej zaś strony czuł się nieraz skłonnym do uważania tychże teoryi jako praw doświadczalnie stwierdzonych, zwłaszcza gdy olbrzymi materyał nagromadzony zakrył braki tkwiące w logicznem wnioskowaniu.

Lecz — powie ktoś — może Darwin, zajęty zupełnie empiryczną, przyrodniczą stroną swego zagadnienia, nie dostrzegł tylko logicznego i koniecznego związku między swoją teoryą a materyalistycznym ewolucyonizmem? W każdym razie fakt, że Darwin został przez całe życie chwiejnym agnostykiem, nie jest jeszcze dowodem na fałszywość wniosków, wyciągniętych później z jego nauki przez Haeckla, Vettera, Platego, Weismanna i t. d. A tak samo drugi dowód nie jest bynajmniej przekonywującym. Postępując w swoich badaniach indukcyjnie, musiał Darwin wyjść z czystej możliwości logicznej, z oderwanej, na razie niczem nieuzasadnionej hipotezy. Lecz w miarę jak materyał doświadczalny coraz bardziej się nagromadzał, przeciwne przypuszczenia stawały się coraz bardziej nieprawdopodobne i niemożliwe, aż wreszcie zmuszały rozum do ich odrzucenia, a przyjmowania początkowo postawionych hipotez jako już indukcyjnie uzasadnionych naukowych teoryi.

Żeby na takie zarzuty odpowiedzieć, przypatrzmy się już dokładniej samej nauce Darwina.

* * *

Jaki cel postawił sobie Darwin w swych badaniach? Jakie to jest zagadnienie, około którego obraca się cały spór darwi-

nistyczny? Czy darwinizm zamierza tłumaczyć powstanie życia wogóle? Lub czy tem zagadnieniem, na które Darwin chciał znaleźć odpowiedź, jest kwestya, czy cały świat, a zwłaszcza świat organiczny, należy tłumaczyć teleologicznie lub mechanicznie? Albo kwestya łącząca się w dalszym ciągu z poprzednią, czy świat zawdzięcza swoje istnienie bytowi bezwzględnemu, rozumnemu, lub też istnieje od wieków i rozwija się na podstawie czysto wsobnych praw fizycznych i chemicznych?

Tak pojmuje dzisiaj wielu, nawet przyrodników, kwestyę darwinizmu. Przytoczyliśmy wyżej zdanie Haeckla w tym względzie.

Atoli w imieniu prawdy historycznej, w imieniu szczerości i przedmiotowości naukowej, w imieniu wreszcie jasnego określania pojęć, które jest jednym z pierwszorzędnych czynników w postępie naukowym, muszę z całym naciskiem zwrócić uwagę na to, że takie pojęcie o darwinizmie jest fałszywe, niezgodne z tem, co sam Darwin o swojej teoryi myślał, niezgodne więc z prawdą historyczną, niezgodne ze szczerością i przedmiotowością, jaką winniśmy wszelkim badaniom na prawdę naukowym.

A więc, jakież jest zagadnienie postawione przez samego Darwina?

Każdy z nas, kto tylko otwartemi oczyma patrzy się na ten przecudny świat organiczny, wie dobrze, że tak w świecie roślinnym jak w świecie zwierzęcym istnieją różne gatunki, różne rodzaje, różne typy, że tak powiem, i że między tymi rozmaitymi typami, rodzajami, gatunkami, rodzinami i t. d. zachodzą rozliczne, większe lub mniejsze, morfologiczne, anatomiczne lub fizyologiczne podobieństwa. Otóż podczas gdy dawniejsi przyrodnicy zwracali głównie uwagę na r ó ż n i c ę między rozmaitymi gatunkami zwierząt i roślin, na cechy charakterystyczne i typowe, będące wyłączną własnością jednego a nie innych gatunków, Darwina zastanowiło właśnie to wielkie i nieraz wprost dziwnie uderzające p o d o b i e ń s t w o między gatunkami i rodzajami. I przypatrując się bliżej tym podobieństwom postawił sobie pytanie: czy to wielkie podobieństwo jest tylko pokrewieństwem czysto idealnem i pojęciowem, albo czy nie jest może wynikiem i znakiem pokrewieństwa prawdziwego, realnego? Innemi słowy:

czy podobieństwo np. między pletwami ryby, skrzydłami ptaka, przedniemi nogami ssawców a rękami człowieka jest tylko objawem tego, że stwórca według jednej myśli różne te klasy zwierząt stworzył — tak, jak wszystkie kościoły gotyckie są do siebie podobne, ponieważ urzeczywistniają tę samą myśl architektoniczną? Albo czy uderzające to podobieństwo jest skutkiem prawdziwego, rzeczywistego pochodzenia jednych gatunków od drugich — tak, jak Bourbonowie lub Hohenstaufowie mają podobne rysy rodzinne, ponieważ są potomkami tych samych przodków?

Przed Darwinem panowała w świecie przyrodników teorya stałości gatunków, a zatem teorya czysto idealnego pokrewieństwa. Tej teoryi dał Linneusz klasyczny wyraz: *tot species numeramus, quot ab initio creavit infinitum ens.* Tylko tu i owdzie próbowano tłumaczyć powstanie gatunków zapomocą rozwoju czyli descendencyi, pochodzenia dzisiejszych rozróżniczkowanych od dawniejszych mniej licznych a bardziej prostych. Sam nawet Linneusz wspomniał w dziele *Amoenitates academicae* (1761) o tej możliwości. Wypowiada ją Robinet 1766, wypowiada ją Buffon, wypowiada ją Benedyktyn O. Calmet 1789 w swym komentarzu do Starego i Nowego Zakonu; wypowiadają ją zwłaszcza Jan Lamarck (1809), Geoffroid St. Hilaire, Erazm Darwin, dziadek naszego Karola i niektórzy inni jeszcze. Lecz sposób uzasadnienia tej teoryi był raczej spekulatywny aniżeli empiryczny i indukcyjny, i dlatego nie był bardzo zdatny przekonać ówczesnych przyrodników i nakłonić ich do porzucenia uświęconej tylu powagami naukowemi tradycyi.

Darwin zabrał się do empirycznego uzasadnienia tej teoryi. Lecz punkt ciężkości, około którego wszystkie jego prace się obracały, był po części ten sam, jak u jego poprzedników. Chodziło głównie i na pierwszem miejscu o to, czy prawdziwe pochodzenie czyli descendencya miała rzeczywiście miejsce? A jeżeli miała miejsce, chodziło następnie o to, jaką drogą, jakimi środkami, zapomocą jakich przyczyn urzeczywistniła się descendencya? A zatem kwestya descendencyi jest kwestyą faktu i kwestyą przyczyn. Do rozwiązania tej podwójnej kwestyi można tylko dojść zapomocą faktów i dowodów empirycznych,

przyrodniczych. Ze stanowiska bowiem filozoficznego niema żadnych racyi przemawiających raczej za stałością aniżeli za descendencyą i ewolucyą gatunków. Dlaczego np. miałaby jakaś istota żywa, powołana przez stwórcę do bytu, być raczej stałą w swoim gatunku aniżeli zdolną do rozwoju? Lub dlaczego odwrotnie możnaby ze stałości gatunków prędzej wnioskować o istnieniu stwórcy aniżeli o ich ewolucyi? W każdym razie problem descendencyi m u s i koniecznie przyjąć jako pierwotne dane istnienie organizmów zdolnych do rozwoju i descendencyi. A zatem problem nasz nie ma zgoła nic wspólnego z pytaniem, skąd się wogóle organizmy wzięły. Pytanie to nie wchodzi już w zakres nauk przyrodniczych, lecz w zakres filozoficznego na świat poglądu. Jak bowiem kosmogonia i geologia musi przyjąć istnienie mgławicy kosmicznej i naszej kuli ziemskiej wraz z czynnikami wulkanicznymi lub klimatycznymi, jak fizyka i chemia musi przyjąć istnienie pierwiastków fizycznych i chemicznych, tak biologia musi przyjąć istnienie organizmów żywych.

A więc nie mieszajmy kwestyi czysto przyrodniczej z kwestyą filozoficzną i nie dajmy się bałamucić wywodami przyrodników-filozofów usiłujących wykazać, że darwinizm wytłumaczył nam istnienie organizmów bez przyczyny rozumnie i celowo działającej.

Zachodzi teraz dalsze pytanie: czy kwestyę stałości gatunków lub descendencyi można rozstrzygnąć zapomocą doświadczenia i obserwacyi, jeżeli te wyrazy bierzemy w ich ścisłem znaczeniu empirycznem? Oczywiście nie. Człowiek nie żył bowiem w czasach przedhistorycznych, w których te wielkie zmiany na naszej kuli ziemskiej się odbywały; a rozliczne doświadczenia, jakich od czasów Darwina próbowano, nie doprowadziły do jasnych i zadawalniających rezultatów. A zatem nauka descendencyi nie jest, przynajmniej na razie, nauką pewną, wyciągniętą z niezbitych faktów, lecz jest h i p o t e z ą p r z y r o d n i c z ą, roszczącą sobie prawo, że potrafi cały szereg faktów lepiej i bardziej naukowo wytłumaczyć aniżeli teorya stałości gatunków.

Otóż Darwin przyjął z góry descendencyę, jako prawdopodobną lub przynajmniej możliwą hipotezę przyrodniczą. Według

jego nauki wszystkie dziś istniejące gatunki i rodzaje roślin i zwierząt powstały przez bardzo długo trwającą transformacyę z trzech lub czterech, a może i jednego tylko prototypu. O człowieku milczał Darwin początkowo, dopiero w dziele *Descent of man* rozciągnął swoją naukę także na człowieka.

W tem jednak nie leży jeszcze ani zasługa ani charakterystyczna cecha nauki Darwina. Już wspomniani wyżej poprzednicy jego wygłaszali te same poglądy.

Właściwa cecha darwinizmu zaczyna się tam, gdzie Darwin usiłuje dać odpowiedź na drugie pytanie nasze, mianowicie jakimi środkami posługiwała się ewolucya w celu rozrożniczkowania i wydoskonalenia organizmów. Otóż tu należy zwrócić uwagę naprzód na szczegół dla oceny darwinizmu bardzo ważny. Darwin odrzuca jakiekolwiek czynniki i sprężyny wewnętrzne ewolucyi, przyjmując czynniki li tylko zewnętrzne. Odrzuca innemi słowy czynniki celowe, witalne, a przyjmuje czynniki czysto przyczynowe, mechaniczne. Ewolucya odbywa się na zasadzie doboru naturalnego, dziedziczności, wzajemnej korrelacyi, dostosowania do otaczającego środowiska, używania względnie nieużywania narządów. Dobór zaś naturalny *(natural selection)*, ten pierwszorzędny czynnik w teoryi Darwina, obejmuje walkę o byt *(struggle for existence)*, przetrwanie istot silniejszych *(survival of the fittest)* i wybór płciowy *(sexual selection)*.

Nie mogę na tem miejscu i w tak krótkim czasie obszernie zająć się wyłuszczeniem tych zasad, ani też wykazać, jak Darwin swoje zasady udowadnia. Krótki rzut oka niechaj wystarczy.

Wiadomą jest rzeczą, że potomkowie rośliny lub zwierzęcia zawsze mniej lub więcej różnią się od rodziców. Jest to właśnie cechą właściwą życiu, że nie podlega sztywnym, matematycznym formom, jak np. kryształy, lecz że w obrębie tego samego zasadniczego typu różne wyraża odmiany i odcienia. Zmiany te czyli waryacye mogą być tak wielkie, że jeden gatunek w pewnych osobnikach zupełnie do drugiego gatunku się zbliża, tak że nieraz powstaje nieprzerwany niemal szereg mało co od siebie różniących się kształtów, szereg obejmujący kilka nawet gatunków systematycznych. Odmiany te są dla jednych osobników korzystne,

dla innych szkodliwe, dla innych jeszcze może obojętne. Innemi słowy: waryacya w przyrodzie nie ma żadnego kierunku, nie dąży do żadnego celu.

Lecz teraz właśnie zaczyna inny czynnik w przyrodzie swe działanie, mianowicie dobór naturalny.

Ponieważ rośliny i zwierzęta bardzo prędko się mnożą, przyrost organizmów jest wkrótce większy aniżeli przyrost potrzebnych żywności. Wskutek tej nieproporcyi powstaje między organizmami walka o byt. W tej walce mają oczywiście te osobniki największą nadzieję pozostania przy życiu, które są silniejsze od innych, bardziej dostosowane do warunków otoczenia, które jednem słowem mają najkorzystniejsze waryacye. Inne osobniki, pozbawione pokarmu, muszą prędzej czy później zginąć. Tak więc sama przyroda wybiera osobniki najlepiej zaopatrzone na walkę życiową.

Ten dobór naturalny ma dla następnych generacyi niezmiernie wielką doniosłość. Gdy się bowiem osobniki najlepiej rozwinięte i najsilniejsze (albowiem według teoryi Darwina te tylko zostają przy życiu) kojarzą, potomkowie ich zatrzymują na podstawie prawa dziedziczności zalety zdobiące rodziców. Lecz między tymi potomkami znowu zjawiają się waryacye mniej albo więcej korzystne. Korzystniej wyposażone zwyciężają w walce o pokarm, dochodzą więc do pełnego rozwoju swych sił, kojarzą się i rodzą w ten sposób potomstwo skupiające już w sobie zalety dwóch generacyi. I tak dzieje się dalej. Co więc początkowo było tylko małą indywidualną zaletą, staje się powoli przez sumowanie drobnych różnic już stałą właściwością gatunku.

Tak więc tłumaczy się według teoryi Darwina nie tylko ewolucya dochodząca do coraz doskonalszych form, ale także rozróżniczkowanie typów staje się zrozumiałem.

Zresztą należy zwrócić uwagę u wszystkich istot żywych na harmonię i korrelacyę organiczną, odgrywającą również ważną rolę w powstawaniu gatunków. Ta korrelacya polega na tem, że gdy czy to wskutek wewnętrznych czy też zewnętrznych wpływów pewien narząd lub część narządu się zmienia, zmiana ta całemu organizmowi się udziela. Zjawisko tej korrela-

cyi i harmonii organicznej jest nam wszystkim znane z własnego doświadczenia. Niech nas tylko ząb lub palec zaboli, a od razu czujemy reakcyę w całym organizmie. Jak więc chorobliwe alteracye na cały organizm wpływ swój wywierają, tak też zmiany korzystne w jednej części organizmu działają dodatnio na całość organiczną.

Atoli na tem miejscu powstaje trudność wcale poważna. Jeżeli w całym świecie organicznym ciągle powstawają coraz to nowe waryacye, jeżeli dobór naturalny, walka o byt i dziedziczność te waryacye skupiają i potęgują: to dlaczego nie widzimy teraz takiego powstawania nowych, doskonalszych gatunków? Dlaczego w *diluvium* a przynajmniej w *alluvium*, to jest przynajmniej w czasach historycznych naszej kuli ziemskiej, gatunki roślinne i zwierzęce są tak stałe?

Na tę trudność odpowiada Darwin, wskazując na prawo stałości czyli permanencyi organicznej istniejące obok prawa waryacyi i doboru naturalnego. Zdolność do różnych zmian trwa bowiem według Darwina tylko tak długo, dopóki formy organiczne nie są jeszcze wyraziste i określone. Skoro organizm doszedł do formy określonej, pozostaje już na tym stopniu i nie może się już zmienić w organizm innego gatunku. Prawo zatem permanencyi tłumaczy według Darwina względną stałość dzisiejszych gatunków.

* * *

Tak przedstawia się w głównych zarysach dzieło Darwina. Odtąd upłynęło pół wieku. Nie tylko setki, ale tysiące przyrodników poświęciło całe swe życie badaniom nad ewolucyą i descendencyą. Literatura o tym przedmiocie jest wprost olbrzymia.

Jakie więc stanowisko zajmuje dzisiaj, po pięćdziesięciu latach, świat uczony wobec teoryi Darwina? Czy powszechny entuzyazm, z jakim przyjęto dzieła Darwina, przetrwał aż do dni naszych? Czy krytyka naukowa przyczyniła się do głębszego jeszcze uzasadnienia darwinizmu, lub czy podmuliła już fundamenta tego na pierwszy rzut oka wspaniałego gmachu, tak że trzeba się oglądnąć za inną, bardziej zgodną z faktami teoryą?

Chciejmy, jak wyżej tak i tu, jasno rozróżnić kwestyę faktu od kwestyi przyczyn czyli kwestyę descendencyi jako takiej od kwestyi, jakiemi drogami i środkami descendencya ta doszła do skutku.

Zaznaczyłem już wyżej, że teorya descendencyi czyli ewolucyi organicznej wogóle nie jest właściwem dziełem Darwina. Darwin popchnął tę myśl już nieraz przed nim poruszoną na nowe tory, dał jej charakter bardziej empiryczny, a zatem bardziej zgodny z całym pozytywistycznym nastrojem dziewiętnastego wieku, i myślał na prawdę o doświadczalnem i zupełnie konkretnem jej uzasadnieniu. Wiek dziewiętnasty widział olbrzymi postęp nauk przyrodniczych, zwłaszcza tych, które badają materyę anorganiczną. Roku 1842 postawił Robert Meyer tak wielce doniosłe prawo stałej energii i uzupełnił i rozszerzył w ten sposób prawo stałej materyi postawione 1789 roku przez Lavoisiera. Już dawniej, bo roku 1543 uzasadnił Mikołaj Kopernik w dziele *De revolutionibus orbium coelestium* system heliocentryczny i dał wspaniały pogląd na całokształt kosmicznych ruchów. Mniej więcej wiek później, około roku 1670, odkrył Sir Isaac Newton prawo grawitacyi, będące podstawą trzech sławnych praw newtonowskich i wogóle całej prawie astronomii. Półtora wieku później, 1830—1833 roku, wystąpił Sir Charles Lyell przeciwko teoryi katastroficznej i broniąc powolnej ewolucyi naszej kuli ziemskiej stał się założycielem nowożytnej geologii. Wszyscy ci sławni ludzie rzucili kilka zadziwiająco prostych, a na głębokich badaniach opartych myśli. Myśli te wprowadziły w ten iście nieskończony chaos wszechświata cudowny ład i porządek, i dały nam niejako klucz do zrozumienia najgłębszych tajników świata anorganicznego. Tylko świat organiczny opierał się uporczywie wszelkim próbom sprowadzenia go do powszechnego prawa przyczynowego. Gdy więc Darwin wystąpił ze swoją teoryą descendencyi, gdy podobnie jak poprzedni uczeni rzucił jedną wspaniałą, a przytem tak nadzwyczaj prostą myśl, cały świat współczesny odniósł wrażenie, że to dalszy ciąg tych wiekopomnych odkryć, że to genialne zdobycie całego obszaru życia dla nauki ludzkiej, że to potężnie sklepiona kopuła

na wspaniałym gmachu naszej wiedzy. Stąd to tłumaczy się zapał, z jakim prace Darwina w całym świecie uczonym przywitano.

Lecz zapał ten nie trwał zbyt długo. Nauczono się wnet odróżniać w dziełach Darwina ogólną zasadę ewolucyi i descendencyi od konkretnego jej przeprowadzenia. Zaczęto badać dowody, na których Darwin swe wnioski opiera, zaczęto coraz spokojnej a wskutek tego coraz skrupulatniej przypatrywać się wartości filozoficznej i naukowej tych indukcyi i dedukcyi. I pokazało się, że darwinizm nie tylko nie jest teoryą opartą na podwalinach empirycznych, że nie tylko nie jest nawet hipotezą mogącą po długim czasie nabrać wartość teoryi, ale, co gorsza, że to hipoteza niezgodna z faktami, niezgodna z krytyczną filozofią.

Cały szereg wybitnych biologów powstał ze surową krytyką przeciwko Darwinowi. Dziś, można śmiało powiedzieć, jest jeden tylko Ernest Haeckel zupełnym zwolennikiem Darwina. Nie mówię tu bowiem o setkach i tysiącach, którzy ślepo wierzą w »proroka z Jeny«, którzy niezdolni są do wyrobienia własnego, na obserwacyi i gruntownem studyum opartego zdania. Wprawdzie możnaby i Augusta Weismanna, znanego zoologa fryburskiego do gorliwych zwolenników Darwina zaliczyć, ale należy zaznaczyć, że choć Weismann w selekcyi widzi główną sprężynę procesu rozwojowego, jednak przyjmuje czynniki mające znaczenie wewnętrznych praw i dążności rozwojowych *(Germinalselection)*. Teorya Weismanna znalazła tylko u dwóch uczonych pewne uznanie; są to profesorowie Emey w Bolonii i J. Arthur Thomson w Aberdeen. Wszyscy inni, którzykolwiek stoją na gruncie ewolucyi organicznej, odrzucają teoryę darwinistyczną. Najenergiczniejszym przeciwnikiem darwinizmu jest uczony, który sam przez długie lata był gorliwym jego zwolennikiem, mianowicie Albert Fleischmann, profesor zoologii na uniwersytecie w Erlangen. Fleischmann posuwa się w krytyce darwinizmu tak daleko, że nawet powiada: »Das haltlose Phantasiegebäude der Abstammungslehre hätte sein längst verdientes Schicksal schon früher gefundeu, wenn nicht im Denken jedes Menschen die Neigung für Märchenerzählungen so stark lebendig wäre«. *(Die Descendenztheorie.* Leipzig 1901. Vorwort).

Jako jeden z pierwszych krytyków wystąpił sławny botanik Naegeli i wykazał niedostateczność zewnętrznych, czysto mechanicznych czynników rozwojowych. A. von Koeliker pokazał podobnie jak Naegeli, że należy koniecznie przyjąć czynniki wewnętrzne, choć przyczyny czysto fizyczno-chemiczne uważa za dostateczne. W obszernem, trzytomowem dziele dał następnie Wiegand tak gruntowną krytykę darwinizmu, że i dzisiaj jeszcze należy do najwybitniejszych; szkoda tylko, że jego własne wywody znacznie wartość całego dzieła obniżyły. Niemniej wybitnymi przeciwnikami darwinizmu są: słynny Karol Ernest von Baer, kiloński botanik Jan Reinke, znany filozof Eduard von Hartmann, Jezuita Erich Wasmann, dalej Hamann, Eimer, de Vries, Strassburger, Hans Driesch, Max Kassowitz, Oskar Hertwig, Steinmann, Correns i t. d. i t. d.

Nie będę nużył nagiem wyliczaniem imion: nie mogę tu także przytoczyć powodów, dla których wspomniani uczeni darwinizm odrzucają. Byłoby to jednak nieodpowiedniem, gdybym trudności przeciwko darwinizmowi zupełnie pominął.

(Dok. nast.)

Ks. Fryderyk Klimke.

OSTATNIE DZIESIĘCIOLECIE ARCHEOLOGII CHRZEŚCIJAŃSKIEJ.

(Dokończenie).

Zdaliśmy już sprawę z ważniejszych momentów akcyi kopalnianej ostatnich 10 lat; obecnie skreślimy szkic niezwykle potężnego ruchu wydawniczego archeologii chrześcijańskiej. Rozwinie się przed nami obraz prawdziwie bujnego życia tej nauki, który wybitnie stwierdzi, że dobę obecną należy zaliczyć do najpiękniejszych lat archeologii chrześcijańskiej. Ze szczególniejszą także radością zaznaczamy, że główną pod tym względem zasługę oddać trzeba katolickim uczonym, choć nie mamy bynajmniej zamiaru zapoznawać wielkich również prac uczonych protestanckich.

Koroną wszystkich wydawnictw archeologicznych jest bez wątpienia epokowe dwutomowe dzieło, jakie w r. 1903 zostawił nauce Wilpert p. t.: *Die Malereien der Katakomben Roms.* Olbrzymi tom z 267 tablicami odsłania przed nami niemal cały świat katakumbowych rzymskich starochrześcijańskich malowideł. Chronologiczny porządek tablic pozwala śledzić w najdelikatniejszych odcieniach całą historyę rozwoju rzymskiego starochrześcijańskiego malowidła, i co dużo ważniejsze, pozwala nam przypatrzeć się całemu procesowi myśli chrześcijańskiej, jak ona stopniowo wypukla się, jaśniej się tłumaczy i wypowiada. Początkowo kryje się ona pod osłonami symbolicznemi, zrozumiałemi

tylko dla wtajemniczonych, z biegiem jednak czasu mówi o sobie więcej otwarcie i śmiele, aż wreszcie przyobleka się w bogate szaty myśli zwycięskiej, wolna od pierwotnej tajemniczości. Słowem, z punktu apologetyczno-teologicznego możnaby nazwać obrazy Wilperta malowanemi dziejami myśli starochrześcijańskiej. Ale nam na tem miejscu nie idzie tyle o tę stronę pracy Wilperta, ile o jej znaczenie dla badań nad archeologią i historyą sztuki starochrześcijańskiej. Znaczenie jej na tym punkcie jest olbrzymie. Wilpert przez swą publikacyę uratował na zawsze dla nauki te podziemne zabytki, które z rokiem każdym coraz bardziej niszczeją, zacierają się i wietrzeją: ludziom nauki stworzył możliwość wygodnego i doręcznego posługiwania się prawie kompletnym zbiorem rzymskich katakumbowych obrazów, których badanie nawet na miejscu pociągało za sobą trudności wprost nie do pokonania. Piętnastoletnie mozoły jednego człowieka, poświęcone odnajdywaniu, żmudnemu oczyszczaniu malowideł wodą i kwasami, ich zdjęciom fotograficznym, stworzyły dla późniejszej nauki jak najpomyślniejsze warunki. Technika publikacyi nie pozostawia nic do życzenia. Całą umiejętność nowoczesnej techniki reprodukcyjnej wciągnął Wilpert w służbę swego przedsięwzięcia, by obrazy jego mogły w zwykłych warunkach zastąpić uczonym oryginały. Powszechna opinia wyraziła mu to uznanie. Drugi tom dzieła Wilperta, poświęcony tekstowi, odstępuje od dotychczasowych zwyczajów wydawnictw archeologicznych. Niema tu, jakby się spodziewać można, krótkich objaśnień pojedynczych obrazów, lecz jest to obszerne studyum nad katakumbami i malowidłami, rozpadające się na dwie księgi. W pierwszej, po kilku wybornych wskazówkach o technice malowideł i ich artystach, zastanawia się najpierw nad kwestyą stosunku cmentarnego chrześcijańskiego malarstwa do ściennego pogańskiego. Jak wogóle w historyi najwięcej zaciekawiają epoki przełomowe, dzieje zapasów starszych idei i prądów z nowymi, tak w historyi sztuki niema bardziej zajmującej epoki nad chwilę wzajemnego spotkania się sztuki klasycznej z młodą sztuką chrześcijańską. Z góry można było przewidywać, że początkująca sztuka nie zerwie zupełnie z tradycyami dawnej szkoły, ale zachodziło pytanie, czy

ona zachowa zawsze tę wysoką świadomość swej odrębności religijnej, któraby czuwała nad tem, jak dalece można uledz wpływom obcego artystycznego świata. Wilpert wskazuje sumiennie na wszelkie wpływy pogańskiej sztuki na katakumbowe podziemne malarstwo, i stwierdza na podstawie przechowanych zabytków wielki zmysł krytyczny starochrześcijańskiej sztuki, dzięki któremu ona nigdy nie przekroczyła właściwych granic. W pierwszym wieku, kiedy sztuka chrześcijańska najwięcej czerpała z bogatych skarbów względnie wysoko jeszcze stojącej sztuki klasycznej, a bardzo mało jeszcze była oryginalną i twórczą, ograniczyła się do zapożyczenia tylko motywów dekoracyjnych. Więc maluje się wtedy małe putty, amorki, kwieciste girlandy, pływające delfiny, latające ptaszki — słowem przejmuje się z klasycznego ówczesnego malarstwa wszystko, co ma wyłącznie charakter dekoracyjny bez jakiegoś znaczenia religijno-mitologicznego. W następnych wiekach sztuka chrześcijańska jest już więcej twórczą, stwarza swój własny świat; od sztuki klasycznej przejmuje w kilku tylko wypadkach jakąś scenę, np. personifikacyę słońca i morza, przedstawienie pór roku i grającego wśród dzikich zwierząt Orfeusza, a więc motywy, które wcale nie obrażały i nie paczyły myśli chrześcijańskiej. Owszem nawet te momenty ulegają pod wpływem chrześcijańskiej twórczości pewnemu przeobrażeniu. Malarz zatem katakumbowy zdawał sobie dokładnie sprawę z granic swej artystycznej swobody, nakreślonych mu przez myśl religijną. Badania Wilperta dowiodły naocznie, jak mylnie mówiło się w pewnych kołach o stopniowem, mimowolnem, ale jednak z biegiem wieków bardzo znacznem paczeniu się pierwotnej myśli chrześcijańskiej pod wpływem grecko-rzymskich mytów.

Jak dojść do pewnego zrozumienia mowy obrazów katakumbowych? — to inne zagadnienie, które sobie stawia Wilpert. I tu znów skreśla uczony archeolog kilka zasad, które należy zawsze mieć na oku przy interpretacyi malowanych katakumbowych zabytków, by nie obdzierać ich zupełnie ze symbolizmu lub nie widzieć go wszędzie, nawet w najdrobniejszym i najobojętniejszym szczególe. Przedewszystkiem katakumbowe malarstwo jest malarstwem na pierwszem miejscu funeralnem. Zmarły jest jego

punktem wyjścia, wszystkie freski mówią tylko o zmarłym. Rzut oka na treść licznych cyklów fresków cmentarnych daje nam poznać, że dają one wyraz ufności zmarłego w miłosierdzie Boże, jego nadziei zmartwychwstania do szczęśliwej wieczności; zmarły żywi niezłomną nadzieję, że Chrystus wybawi go tak od wiecznej śmierci, jak Bóg wybawił Noego z wód potopu, Daniela z paszczy lwów, trzech młodzieńców z ognia; żywi nadzieję, że go Chrystus tak kiedyś wskrzesi, jak wskrzesił Łazarza, że wyda nań łaskawy wyrok ostateczny na prośbę wstawiających się za niego świętych. A węgielnym kamieniem onej nadziei to to, że przyjął sakrament chrztu św., że należał do owczarni Chrystusowej, Kościoła, że karmił się Ciałem i Krwią Zbawiciela. Oto pierwszorzędny cel tych scen, przedstawianych na malowidłach katakumbowych.

Z szczególniejszem również zainteresowaniem czyta się w dziele Wilperta część o ubiorach pierwszych chrześcijan. Można powiedzieć, że pole to leżało dotychczas zupełnie odłogiem i dziś jeszcze po pracach Wilperta dużo jeszcze zostaje do zrobienia. Wilpert bowiem badał ubiór chrześcijan tylko na obrazach katakumb rzymskich a granic tych, z natury rzeczy, w tem dziele przekraczać nie mógł. Byłoby jednak bardzo pożądanem, by wszechstronne studyum o tym przedmiocie coprędzej się pojawiło. Badania Wilperta nad szatami postaci malowideł podziemnych wykryły wiele bardzo ciekawych zjawisk. Udało mu się stwierdzić, że panują tu pewne obowiązujące prawa, których artyści stale przestrzegali. Tak np. Chrystus Pan, prorocy i święci przedstawiani zwykle w tunice, pallium i sandałach. To troje tworzy »ubiór świętych postaci«. Ten sam ubiór noszą zazwyczaj te z biblijnych osób, które nie przedstawiają zmarłego, np. Abraham w akcie ofiary Izaaka, starcy w przedstawieniach Zuzanny, Mojżesz. Ubioru świętych postaci używają następnie na freskach do II w. także duchowni, ale tylko przy funkcyach liturgicznych. Na zwyczajnych zmarłych widać tylko obuwie i tunikę lub dalmatykę. W samej tunice (rzadziej w samej dalmatyce) przedstawiał artysta również te postaci biblijne, które miały uosabiać zmarłego, np. Noego, Joba, Tobiasza, Izaaka, ślepego od urodzenia

trędowatego i t. d. W stroju natomiast kóbiecym niema różnicy między świętemi a zwykłemi niewiastami.

Prócz tego stwierdził Wilpert, że ubiór postaci obrazów jest niewątpliwem kryteryum chronologicznem, do oznaczenia czasu danego obrazu. Tak np. męskie tuniki bez rękawów spotyka się prawie wyłącznie na obrazach z przed III wieku; na III wiek wskazuje dalmatyka pierwotnej formy, podczas gdy dalmatyka z nieproporcyonalnie obszernymi rękawami oznacza już wiek IV. Szaty z dwu pierwszych wieków nie mają żadnych ozdób, lub co najwyżej wązki *clavus*.

Narzuciliśmy tu zaledwie kilka ważniejszych szczegółów z pierwszej księgi Wilpertowego tomu z tekstem, ale już i z nich widać, co dał Wilpert archeologii chrześcijańskiej przez swe dzieło. Jest ono istotnie epokowem w najściślejszem tego słowa znaczeniu. Druga księga zapoznaje nas systematycznie z treścią malowideł katakumbowych. Omawia w niej uczony archeolog kolejno obrazy charakteru chrystologicznego, obrazy odnoszące się do sakramentu chrztu św., Eucharystyi, do wiary w powszechne zmartwychwstanie i t. d.; wreszcie kończy objaśnieniem obrazów, odnoszących się do rzemiosł i rękodzielnictwa pierwszych chrześcijan. Wszędzie znać wytrawnego archeologa, bystrość i trzeźwość sądu, miłość do opisywanego przedmiotu; każdy niemal rozdział mówi coś, co jeszcze w archeologii nie było mówione; każdy niemal rozdział prosi się, by go streścić i obznajomić z nim szersze koła. Niestety, nie pozwala na to krótkie sprawozdanie. Stwierdzamy tylko, że po Rossim nikt jeszcze nie wniósł w rzymskie chrześcijańskie podziemia tyle światła, co Wilpert.

Ale i Rossi'ego *Roma Sotterranea* poczęła się po wielu latach przerwy uzupełniać na nowo. Wiadomo, że Rossi pod tym tytułem rozpoczął na wielką skalę wydawnictwo, które miało się zająć dokładnym opisem całego podziemnego Rzymu chrześcijańskiego. Sam wydał trzy tomy i zostawił nam w nich, prócz olbrzymich bogactw swej nauki i wykształcenia, klasycznie doskonały opis cmentarza św. Kaliksta. Śmierć nie pozwoliła mu na dalszą pracę. Zachodziła obawa, że wielka myśl Rossi'ego zaginie. Leon XIII i Pius X dokładali wszelkich starań, by ją podjęto

na nowo. Jakoż istotnie ukazał się w 1909 r. nowy tom tego wydawnictwa, właściwie pierwszy jego zeszyt p. t.: *Roma sotterranea cristiana (Nuova serie)*, poświęcony opisowi cmentarza Domitylli. Jest to zeszyt pióra Marucchi'ego. Cmentarz Domitylli nosi nazwę od Flawii Domitylli, małżonki Tytusa Flawiusza Klemensa, konsula z r. 95. Mniej prawdopodobnem wydaje się Marucchi'emu, by właścicielką jego była inna Flawia Domittylla, córka Plautilli, siostry konsula. W każdym razie obiedwie były chrześcijankami i padły ofiarą okrucieństwa Domicyana. Początkowo było miejsce to tylko cmentarzykiem rodziny Flawiuszów, który potem jednak, od chwili przejścia Flawiuszów na chrześcijaństwo, rósł przez 4 wieki w olbrzymie rozmiary, stał się istnym labiryntem. Tym okolicznościom zawdzięcza też swoje wielkie znaczenie dla historyi i sztuki. Jest jakby jakiemś świętem muzeum, które przechowuje ślady katakumbowej architektury i malarstwa od w. I—V. Pierwszy zeszyt Marucchi'ego opisuje tylko pierwotne jądro wielkiego cmentarza Domitylli, t. zw. westibulum Flawiuszów, miejsce wiecznego spoczynku członków tego rodu. Po bokach wspaniałego wejścia do głównej galeryi znajdują się obszerne izby, przeznaczone na pobożne schadzki i nabożeństwa pierwszych chrześcijan, jak to wskazuje ława, biegnąca wzdłuż ścian jednej z nich i studzienka w drugiej. Inna izba z trzema łukowemi niszami w ścianach była cała pomalowaną na wzór prywatnych, mieszkalnych pokojów z czasów cesarstwa; widać jeszcze nieźle przechowane festony, rozrzucone kwiecie, amorki z psychą i t. d. Zastanawia nas, czemu te obrazy, pochodzące z w. III nie mają nic w sobie chrześcijańskiego, podczas gdy starsze obrazy z głębi westybulum są wyraźnie chrześcijańskie. Słusznie zauważa Marucchi i Wilpert, że stało się to umyślnie, by sala, znajdująca się tuż przy drodze publicznej, a więc częściej zwiedzana przez ciekawych, nie zwracała na siebie uwagi pogan swym chrześcijańskim charakterem. Inaczej już wygląda fresk, zdobiący ściany i sufit głównej galeryi, ciągnącej się od wejścia w głąb, zapełnionej grobowcami rodu Flawiuszów. Fresk to jeszcze z I w. Zaczyna się u wejścia rozwiniętą bogato winną latoroślą, przechodząc zwolna w coraz wyraźniejsze symbole

chrześcijańskie. Widzimy pasące się baranki, unoszące się nad kwiatami gołąbki; widzimy proroka Daniela między dwoma lwami, rybaka, łowiącego rybę, wreszcie małe tripodium z rybą i trzema chlebami, otoczone trzema osobami, symbol uczty eucharystycznej. Oto zatem najstarsze zabytki malarstwa chrześcijańskiego, pierwsze próby wypowiedzenia się duszy chrześcijańskiej w formie artystycznej. Życzyćby sobie należało, byśmy wkrótce mogli ujrzeć nowe zeszyty *Romae Sotterraneae* z opisami innych części cmentarza Domitylli, więc np. miejsc, gdzie były groby najważniejszych męczenników tego cmentarza, św. Petronilli, śś. Nereusza i Achilla. Marucchi zapewnia, że następne poszyty ukażą się w niedalekiej przyszłości.

Na inny cmentarz zwraca uwagę naszą nowe dzieło Wilperta z ostatnich miesięcy, rozpoczynające przedsięwzięte przez tego uczonego wydawnictwo, które ma pomieszczać rezultaty nowych badań nad pomnikami podziemnego Rzymu, już opisanymi przez Rossi'ego w jego trzytomowej *Roma Sotterranea*. Tytuł dzieła brzmi: *Die Papstgräber und die Cäciliengruft in der Katakombe des hl. Kallistus* (1909). Jesteśmy zatem w sławnej, dziś pięknie odrestaurowanej krypcie papieskiej i sąsiedniej krypcie św. Cecylii w cmentarzu Kaliksta. Rossi utrzymywał, że pierwotnie na miejscu tem była jedna tylko krypta, własność rodu Cecyliów. Papież Zefiryn miał ją podzielić na dwie, z których jedną przeznaczył na groby papieży, do drugiej przeniósł relikwie św. Cecylii. Wilpert udowadnia, że obiedwie te krypty istniały od początku, że papież Zefiryn nie był pogrzebany w krypcie papieskiej, lecz w małem przez siebie zbudowanem mauzoleum, które Rossi uważał za bazylikę św. Sotery. Nie spoczęły w niej także zwłoki papieża Kaliksta i Urbana. Znaleziono wprawdzie w tej krypcie napis: OYP BANOΣ E(πίσκοπος), ale epigraficzne względy przemawiają za późniejszą datą napisu. Musiał to być zatem jakiś inny biskup tego samego co papież imienia. Istotnie, sporządzony przez Sykstusa III katalog pogrzebanych w krypcie papieskiej, pomieszcza tego Urbana między »obcymi« biskupami. Zapatrywanie Wilperta na tę kwestyę ma dużo za sobą, bo i źródła pisane wspominają o grobie Urbana w cmentarzu Praetekstata a nie w cmentarzu Ka-

liksta. Pierwszym papieżem, pogrzebanym w krypcie papieskiej, był Anteros. Drugim z kolei był poprzednik Anterosa, Poncyan, skazany w 235 r. przez cesarza Maksymina do kamieniołomów w Sardynii, skąd po męczeńskiej śmierci został sprowadzony do Rzymu przez Fabiana. Papieże: Fabian, Lucius, Stefan, Sykstus II, Dyonizy, Feliks, Eutychian zamykają listę papieży, pochowanych w krypcie papieskiej. Głównym świętym krypty papieskiej był, zdaniem Wilperta, Sykstus II, w pobliżu u wejścia do cmentarza Kaliksta umęczony w czasie nabożeństwa i nauki do wiernych, jak nas powiadamia metryczny napis redakcyi papieża Damazego:

Tempore quo gladius secuit pia viscera matris
hic positus rector caelestia iussa docebam:
adveniunt subito rapiunt qui forte sedentem...

Do ciekawych wyników doprowadziło autora studyum nad 7 dotąd znanemi epitafiami papieży, pogrzebanych w cmentarzu Kaliksta. Uderzające ich podobieństwo naprowadza go na myśl, że musiały one wyjść z tej samej pracowni. Niezwykła wielkość liter, nie spotykana prawie na innych grobach, każe się domyślać, że i ten szczegół był jakby zarezerwowanym. Lecz najważniejsze spostrzeżenie Wilperta dotyczy tytułu *Martyr*, wypisanego na epitafiach w całości lub w skróceniu jako sigla. Epitafium Fabiana robiło na pierwszy rzut oka wrażenie, że tytuł *Martyr* był później na płycie grobowej dodany. Rossi tak tłumaczył to zjawisko. Tytuł męczennika był zarazem tytułem kultu liturgicznego; stąd mógł być komuś nadanym dopiero po uprzedniem stwierdzeniu jego śmierci męczeńskiej przez władzę kościelną. Że zaś po śmierci Fabiana (r. 250) stolica Piotrowa była przez dłuższy czas opróżniona, więc pogrzebano go bez tytułu *Martyr*. Dopiero po dokonanem przez papieża Korneliusza urzędowem stwierdzeniu męczeństwa Fabiana, dodano na jego grobie siglę *Martyr*. Ta opinia trwała u uczonych aż do znalezienia w r. 1909 grobowego napisu papieża Poncyana, na którym również sigla *Martyr* była dodatkiem późniejszym, mimo, że w tym wypadku urzędowe stwierdzenie męczeństwa mogło nastąpić i nastąpiło bezzwłocznie. Owszem, ponowne dokładne zbadanie znanego już dawniej epitafium Korneliusza wykazało również, że i tu

tytuł *Martyr* dodano później. Dopiero od r. 258 pojawiają się wcale często epitafia męczenników, na których tytuł powyższy jest ryty współcześnie z imieniem męczennika. Z danych tych wyprowadza Wilpert, zupełnie logicznie, wniosek, że przed r. 258 nie było zwyczajem oznaczać na grobach w jakikolwiek sposób męczeństwo bohaterów chrześcijańskich. Dopiero po r. 258 znaki te poczyniono i na dawniejszych grobach. Przyczyny tej zmiany Wilpert nie tłumaczy; musiał na nią atoli wpłynąć jakiś, nam nieznany, moment poważniejszy, kiedy dodatki owe poczyniono prawie równocześnie na różnych miejscach. Czyby to nie była może jakaś nowa, zarządzona przez władzę kościelną, rewizya czczonych dawniej męczenników? Zaznaczamy jeszcze, że wyniki badań Wilperta na tym punkcie nie osłabiają pewności o istnieniu t. zw. *vindicationis martyrum* czyli urzędowego, dokonywanego przez władzę kościelną stwierdzania męczeńskiej śmierci wyznawców Chrystusa, które dopiero uprawniało do kultu pewnych męczenników. O tej praktyce w pierwotnym Kościele wiemy na pewno skądinąd. Po badaniach Wilperta nie można tylko utrzymywać jeszcze, jakoby przed r. 258 ryto na grobach tytuł *Martyr* na skutek przeprowadzonej t. zw. *vindicationis martyris*. Wydaje nam się atoli prawie zupełnie pewnem, że w czasach kiedy ów tytuł męczennikom na grobach pisano, czyniono to zawsze pod okiem władzy kościelnej, a więc na mocy przeprowadzonej już *vindicationis martyris*. Nie należy bowiem zapominać, że tytuł ów uprawniał oddawanie czci liturgicznej danemu męczennikowi, a akt takiego uprawnienia mogła wydać, zwłaszcza od połowy w. III, tylko władza kościelna.

Inną jeszcze nowość podaje nam dzieło Wilperta. W pobliżu krypt papieskiej i św. Cecylii odkrył on pewnego rodzaju poliandria, w których odnaleziono liczne szeregi warstwami poukładanych szkieletów zmarłych. Czegoś podobnego nie znaleziono dotychczas jeszcze w rzymskich katakumbach. Jak one powstały?; bo zwyczaj takiego grzebania masowego nie istniał w chrześcijańskim Rzymie. Wiadomo, tłumaczy trafnie Wilpert, że wierni zakupywali sobie miejsca na groby przy relikwiach męczenników; z czasem miejsca już przy dwu wymienionych kryptach nie star-

czyło, więc katakubowi *fossores* (grabarze) przenosili dawniejsze zwłoki wiernych z pojedynczych grobów do onych wspólnych ossuariów, by i inni mogli tego szczęścia dostąpić. Widzimy, jak kult męczenników czyni wyłom nawet w tak świętych prawach, jakiemi się w ówczesnem społeczeństwie cieszyła nienaruszalność grobów.

Opis bazyliki św. Sykstusa i mauzoleum św. Zefiryna kończy bogate w nowe zdobycze dzieło Wilperta.

Doczekał się również naukowego opisu cmentarny świat Sycylii. *Die altchristlichen Grabstätten Siziliens*, wydane w 1907 r., są owocem długoletnich badań zmarłego w 1903 Józefa Führera, uzupełnionych własnemi spostrzeżeniami Wiktora Schultzego, pośmiertnego wydawcy rękopisu Führera. Ciekawe to dzieło, jak ciekawy ten sycylijski grobowy świat, który opisuje. Sycylia jest klasycznym krajem starochrześcijańskiej cmentarnej architektury. Podziemia Sycylii pozwalają nam śledzić cały rozwój jej od prywatnej krypty grobowej aż do obszernych gminnych cmentarzy. Katakumby te nie wytrzymują wprawdzie porównania z rzymskiemi pod względem ilości obrazów i malowideł, ale przewyższają je niezmiernie swą architekturą. Niema w nich monotonii rzymskiej, lecz przeciwnie panuje tu prawdziwe bogactwo form i kształtów, jak to zapiszemy poniżej.

Różnica katakumb sycylijskich od rzymskich uderza nas na każdym kroku. Tak np. ma wprawdzie i Sycylia wspólne gminne katakumby i cmentarze, jak to prawie wyłącznie w późniejszych czasach spotykamy w Rzymie, ale są one raczej wyjątkiem wobec przeważającej ilości małych i prywatnych, należących do jednej rodziny lub nawet jednej osoby. Kiedy następnie chrześcijańskie rzymskie katakumby są zawsze odosobnione od pogańskich, to w Sycylii nie przestrzegano tego tak dokładnie. Schultze tłumaczy to większym indyferentyzmem religijnym wiernych Sycylii; zdaje się nam atoli, że decydowały tu czysto terytoryalne warunki. Łatwiej można uważać na te względy na terenie z pokładami tuffu, jak to ma miejsce w Rzymie, niż na terenie kamiennym, na którym rozprzestrzeniały się cmentarze sycylijskie. Zresztą, my znamy nieco dokładniej stosunki religijne Sycylii

jeszcze w czasach Grzegorza W., ale nie możemy powiedzieć, żeby indyferentyzm religijny był tam tak znamienny.

Zasadniczo wyróżniają się sycylijskie katakumby od rzymskich także ogólnym planem budowy. Podczas gdy w rzymskich panuje system galeryi czyli podziemnych korytarzy z grobami po bokach, to w Sycylii nad systemem galeryi przeważa znacznie system hal *(Hallensystem)*, przechodzących czasem w rotundy. Temu właśnie systemowi zawdzięczają cmentarze sycylijskie tak wielkie bogactwo form architektonicznych, jakiemi się bezsprzecznie odznaczają. Zazwyczaj każda katakumba zaczyna się dość obszerną halą z ławami, przeznaczoną na różne cmentarne obrzędy. Z niej małym korytarzem wchodzi się znów do hali, nieraz olbrzymich rozmiarów, w której ścianach kryją zwłoki t. zw. arkosole czyli nisze, nakryte łukowymi dachami. Z czasem, kiedy hale nie dawały już miejsca na nowe arkosole, wybijano w jednej ze ścian ich nowe korytarze, które prowadziły do nowotworzonych w kamieniu hal. Środek hal był zazwyczaj wolny, lecz w wielu wypadkach zapełniano go również osobnymi, oddzielnie stojącymi grobami. Nierzadko wielokątne hale, jak już wspomnieliśmy, zastępowano rotundami lub bardzo charakterystycznemi dla Sycylii okrągłemi izbami, sklepionemi na wzór kloszów dzwonowych.

Z pośród różnych form grobów zasługują na szczególniejszą uwagę sycylijskie sarkofagi o formie baldachimów. Otrzymywano je w ten sposób, że na krańcach wykutej w kamieniu czworokątnej skrzyni na zwłoki stawiano słupy, pokryte kamiennym dachem. Szczególnie pięknie udawała się ta konstrukcya, kiedy słupy wyrastały nie tylko z kątów czworobocznego grobu lecz także ze środków wszystkich ścian a kończyły się pod dachem foremnie ciosanymi łukami. W tych razach zamykano zazwyczaj powstałe w ten sposób otwory łukowe transennami, a łuki i słupy zdobiono w freski lub reliewy. Przykłady tego rodzaju grobów spotykamy np. w Syrakuzach, w Cozzo Guardiole, w Rosolini, w Monomazza, w Palazzolo i t. d. Dzięki onemu bogactwu i bujności form architektonicznych robią gęsto rozsiane w podziemiach wyspy katakumby prawdziwie majestatyczne i potężne wrażenie.

Jeszcze słowo o katakumbowem malarstwie w Sycylii. Nie zostawiło ono wprawdzie tyle zabytków, co Rzym, ale jednak jeszcze dziś istnieją wcale pokaźne jego ślady. Stosunkowo najlepiej przechowały się freski w katakumbach w Syrakuzach i Marsali; indziej widoczne tylko fragmenty. Wogóle przeważało w Sycylii malarstwo dekoracyjne nad figuralnem, przez co zbliża się więcej do sztuki wschodniej, niż rzymskiej. Najwięcej czerpie artysta sycylijski ze świata roślinnego; ze świata zwierzęcego tylko gołębie, czasem ryby, lecz przedewszystkiem pawie znalazły miejsce w tej sztuce, jako najwybitniejsze chrześcijańskie symbole. Malarstwo figuralne rozwinęło się bardzo słabo w sycylijskich cmentarnych podziemiach, ograniczyło się prawie wyłącznie do przedstawienia orantek, Dobrego Pasterza, Daniela między lwami a przedewszystkiem Jonasza. Ta ostatnia scena jest w Sycylii prawie jedyną sceną z przedstawień biblijnych. Ze scen Nowego Testamentu największej powszechności zażywa scena wskrzeszenia Łazarza, jako najoczywistszy dowód wiary w przyszłe zmartwychwstanie. Pojawiają się również ulubione w całej starochrześcijańskiej sztuce sceny sądu. Słowem, wszystkie sycyliskie freski — zauważa Schultze — są, zgodnie z całą starochrześcijańską cmentarną sztuką, żywym wyrazem zdania Tertuliana: *fiducia Christianorum resurrectio mortuorum.*

Najwięcej pokrewieństwa z katakumbami w Sycylii mają katakumby na Malcie, jak to wykazał Albert Mayr w małem, a więc niewyczerpującem jeszcze dziełku z roku 1901: *Die altchristlichen Begräbnisstäten auf Malta.* Największa część katakumb tej wyspy rozprzestrzenia się w okolicy przed dawnem głównem miastem, dziś zwanem Città Vecchia. Prócz tego istnieją chrześcijańskie nekropole w południowej i wschodniej części wyspy, w pobliżu wielkiego portu i na wzgórzach zachodnich. Na wyspie Gozo znamy dotąd tylko jedną nekropolę chrześcijańską. Wszystkie te nekropole są podziemne, w pokładach miękkiego kamienia wapiennego rozłożone.

Plany tutejszych katakumb są rozmaite. Dość często spotyka się tu katakumby z galeryami, których boki zapełnione są małemi, nad poziomem chodnika kutemi w wapieniu nizkiemi cel-

kami na dwa (rzadko trzy) ciała zmarłych. Ściany celki u głowy i nóg są wydrążone w małą niszę; głowa spoczywa w półkolistem wcięciu kamiennego podwyższenia. Celkę zamyka kamienna płyta, oparta o nizkie kamienne słupy, które zapobiegają wypadnięciu płyty na zewnątrz. Tego rodzaju krypty grobowe są wyłączną właściwością katakumb maltańskich a rozwinęły się z często napotykanych na Malcie krypt punickich. W wielu wypadkach rozmieszczano takie celki nie po bokach galeryi, ale w ścianach większych hal, używanych w Sycylii. Inną, na Malcie bardzo powszechną formę katakumb, przedstawiają, podobnie jak w Sycylii obszerne hale z osobno stojącymi w ich wnętrzu baldachimowymi sarkofagami. Wogóle Malta ulegała na punkcie techniki katakumbowej wpływom Sycylii w granicach bardzo rozległych. Mayr nie waha się twierdzić, że wszystko, co w katakumbach maltańskich nie ma charakteru lokalnego, jest owocem wpływów sycylijskich. Stąd wyprowadza bardzo prawdopodobny wniosek, że Sycylia również wniosła chrześcijaństwo na Maltę. Sprzyja temu twierdzeniu, prócz geograficznego położenia, także ta okoliczność, że czasy, które nam zostawiły więcej bogate wiadomości o religijnych stosunkach Malty, wykazują też bardzo blizkie wzajemne związki obu wysp. Studya nad chronologią maltańskich katakumb skłaniają autora do cofnięcia wygłoszonego przez siebie dawniej zdania, jakoby chrześcijaństwo rozpowszechniło się na Malcie na większą skalę już przed czasami Konstantyna. Pobyt zatem św. Pawła na wyspie nie oddziałał, zdaniem autora, nazbyt owocodajnie na losy miejscowego chrześcijaństwa.

Jeszcze jedna książka o cmentarzach chrześcijańskich. Znany archeolog Kaufmann podał nam opis nekropolii chrześcijańskiej w Egipcie p. t. *Ein altchristliches Pompeji in der libyschen Wüste* (1902). Jest to nekropola »wielkiej Oazy«, zwana *El-Baghŏuât*, oddalona 5 kilometrów od miasta El-Kargeh. Leży zatem na zachód od górno-egipskich miast, Teb, Esneh i Edfu. Rozprzestrzenia się na stoczu wzgórza po obydwu stronach przerzynającej ją uroczej doliny. Sterczy jeszcze dziś około 200 grobowych zabytków tej nekropoli. Są tu zwykłej formy sarkofagi murowane z nakrywą zaokrągloną, zdobną na krańcach w akro-

terye; są tu zwykłe krypty, o przeciętnej wysokości 2·50 m. o sklepieniu łukowo wygiętem, które jednak kryje się przed okiem widza w ścianach krypty, biegnących aż po środkową wysokość sklepienia; są tu kwadratowe kapliczki grobowe z kopułą, spoczywającą na łukach, wzniesionych wolno na murach ścian; nie brak wreszcie okrągłych, wspartych nierzadko na ośmiokątnej podstawie, mauzoleów z silnie wystającą kopułą. Całość zatem daje widok niezmiernie różnorodny i bogaty. Wnętrza kaplic i mauzoleów zapisane niemal zupełnie przelicznymi grafitami, nieodcyfrowanymi, niestety, jeszcze wyczerpująco, gdyż prawie niepodobna się przedrzeć przez ów labirynt liter greckich, koptyjskich, etyopskich i arabskich. Więcej jednak jak grafity, ciekawią nas tutejsze freski. Nekropola El-Baghôuât posiada freski ze scenami, których dotychczas nie znała historya sztuki staro-chrześcijańskiej. Tak np. widzimy tu Noego nie w arce o formie znanej na innych freskach skrzyni, lecz na okręcie; widzimy pierwszych rodziców w raju jeszcze przed grzechem, podczas gdy cała staro-chrześcijańska sztuka przedstawiała ich albo w chwili ich stworzenia, albo po upadku; widzimy niezwykle rzadką scenę męczeństwa Izajasza; unikatem w całej staro-chrześcijańskiej sztuce jest fresk z niosącą wodę Rebeką, obok której kroczy mężczyzna z wielbłądami. Cały wogóle cykl fresków tej nekropoli jest jakąś osobliwością, z której jeszcze nie umiemy sobie zdać dokładnie sprawy. Zamało dotychczas opanowała nauka te strony.

Uczonym, który w ostatnich czasach zajmował się więcej chrześcijańskim Egiptem był dyrektor cesarskiego eremitażu w Petersburgu, Włodzimierz Bock. Jako pośmiertne jego dzieło, wydał w r. 1901 Smirnow w rosyjskim i francuskim języku *Materiaux pour servir a l'archéologie de l'Egypte chrétienne.* Niewielka to wprawdzie książka, ale wartości pierwszorzędnej. Mówią nawet (np. Kaufmann w dopiero wzmiankowanem dziele), że rezultaty rosyjskiego uczonego na punkcie egipskiej staro-chrześcijańskiej architektury i malarstwa, można porównać z pierwszemi odkryciami Rossi'ego na terenie rzymskim. O zabytkach chrześcijańskiego Egiptu powiemy jeszcze poniżej.

Kilka poważnych prac poświęciło ostatnie dziesięciolecie także

opisowi Afryki. W r. 1901 wydał August Audollent olbrzymią monografię rzymskiej Kartaginy p. t. *Carthage romaine.* Obejmuje w niej okres od r. 146 przed Chr. do r. 698 po Chr. Audollent dał klasyczny wzór, jak można opracować monografię miast, które w początkach chrześcijaństwa odegrały wybitniejszą rolę. Całe wprawdzie dzieło archeologa ciekawi niezmiernie, ale z szczególniejszem uznaniem należy podnieść część o zabytkach sztuki z Kartaginy. Wszystko, co dziś rozprószone po najrozmaitszych muzeach i zbiorach, Audollent skupia na powrót w Kartaginie, dając w ten sposób pełny obraz artystycznej przeszłości tego miasta. Podobny obraz całej Afryki chrześcijańskiej naszkicował nam uczony benedyktyn, O. Henryk Leclercq, w dwutomowem dziele *L'Afrique chrétienne* (drugie wydanie 1904); mamy tu zwięzłe streszczenie wszystkich do tego roku zdobyczy, poczynionych przez archeologię chrześcijańską w owym kraju. Pierwszorzędnem atoli dziełem, niezbędnem dla poznania archeologii chrześcijańskiej, zwłaszcza Afryki Północnej, jest drugi tom publikacyi Stefana Gsella *Les monuments antiques de l'Algérie* (Paryż 1901). Liczne illustracye ruin bazylik i nekropol algierskich, dają nam dokładne pojęcie o niezwykłej żywotności chrześcijaństwa w tych stronach i o sztuce, jaka tu kwitła.

Na tem zamykamy listę dzieł z opisem zabytków, pozostających w pierwotnych swych miejscach, w których je umieściła ręka artysty, względnie twórcy.

Inny odłam wydawniczego dzieła archeologii chrześcijańskiej z lat przez nas omawianych — to wydawnictwo illustrowanych katalogów zabytków, rozrzuconych po muzeach. Nie potrzebujemy dodawać, jak niesłychanie ważną rolę w nauce archeologii odgrywają illustracye. Wiekopomną zasługę miał przez to Garrucci T. J., że w swych tablicach podał nam całokształt sztuki staro-chrześcijańskiej. Ale jego tablice dziś już z wielu względów niedomagają. Nowe wykopaliska powiększyły już olbrzymio zasób starochrześcijańskich zabytków, które znów domagają się wydawcy. Prócz tego tablice Garrucci'ego, powstałe w czasie, kiedy technika reprodukcyjna nie była należycie wydoskonalona, nie mają owej wierności w oddaniu szczegółów, jakiej żąda nauka dzisiejsza.

Dlatego liczne wydawnictwo katalogów z wzorowemi podobiznami zabytków, należy uważać za prawdziwy krok postępu, uczyniony przez chrześcijańską archeologię w ostatnim lat dziesiątku. I życzyćby sobie należało, by w przyszłości wszystkie muzea i prywatne zbiory zechciały naśladować przykład, dany przez niektóre muzea w tych latach.

Wzorem dla następnych wydawnictw winien być wydany w 1901 r. przez Daltona katalog staro-chrześcijańskich zabytków z muzeum brytyjskiego [1]. Tysiąc przeszło zabytków z naukowym komentarzem, takąż prawie liczbą wspaniałych illustracyi oddał Dalton swym katalogiem do podręcznego, wygodnego użytku badaczom naukowym. Przesuwają się przed oczyma naszemi dokładnie wierne podobizny licznych staro-chrześcijańskich gemm, pierścieni, ozdób, lamp, tkanin, wyrobów bronzowych i z kości słoniowej, w przeważnej części wschodniego pochodzenia. Ta ostatnia okoliczność podnosi niepomiernie wartość katalogu w obecnej chwili, w której się usilnie dąży do poznania sztuki staro-chrześcijańskiego Wschodu.

(Dok. n.)

Ks. Karol Feliś.

[1] *Catalogue of early christian antiquities and objects from the christian east in the department of britisch and mediaeval antiquities and ethnography of the Britisch Museum.* Londyn.

„CIVITAS DEI“ W EPOCE KAROLA WIELKIEGO.

(Ciąg dalszy).

WIELKIE GOSPODARSTWA ROLNE.

Reformy Karola Wielkiego w dziedzinie rolnictwa miały cel podwójny.

Najprzód chodziło Karolowi o podniesienie, uregulowanie i spotęgowanie dochodów państwowych. W braku bowiem organizacyi skarbowej i stałych podatków państwowych, olbrzymie dobra koronne były najgłówniejszem i jedynem prawie źródłem dochodów państwowych. Chcąc tedy wzmocnić rządy i tron, trzeba było uregulować i spotęgować te źródła dochodów i dbać o podniesienie kultury gospodarczej i bogactwa krajowego w całem państwie. I to pierwszy cel słynnego kapitularza o ustroju wielkich gospodarstw, który stał się wzorem i podstawą organizacyi podobnych w zachodniej Europie przez długie wieki.

Powtóre w myśl i w ręku Karola reformy te stały się potężnym czynnikiem kulturalnym nie tylko w dziedzinie rolnictwa, lecz i w życiu społecznem i państwowem wogóle. »Kapitularz ten, mówi jeden z współczesnych ekonomistów angielskich, jest sam przez się ogromnej doniosłości, gdyż pokazuje nam na oko jedyne prawie w historyi usiłowanie, jak należy zorganizować na tle pierwotnego gospodarstwa społecznego życie, wysokim stopniem cywilizacyi się odznaczające« [1]. Ale bo też wielkie gospodarstwa

[1] Cunningham: *Western Civilisation in its economic aspects.* 1904, Str. 53.

rolne Karola, to ogniska kulturalne, które jasne rzucają promienie wokoło na kraje i ludy, pogrążone w barbaryi. Służba wojenna, wymiar sprawiedliwości i opieka nad ubogimi skojarzyły się tam nieodłącznie ze spoistym organizmem szeroko rozgałęzionego gospodarstwa, które w braku ruchu handlowego prawie że obchodzi się bez pieniędzy. A że takich ognisk gospodarczych, rozrzuconych po państwie całem i związanych z dworem królewskim, było dużo bardzo, stanowiły one obok politycznej organizacyi feudalnej nową spójnię i podstawę administracyjną, ekonomiczną i finansową potęgi państwowej i organizm kulturalny, ogarniający kraj cały.

Co więcej. W ślad za dobrami koronnemi idą królewskie dobra beneficyalne, w ręku wasali duchownych i świeckich się znajdujące, i majątki prywatne wielkie i mniejsze na drodze ulepszeń gospodarczych i społecznych. Co do pierwszych, czujna kontrola królewska czuwa nad tem, by dobra te nie przechodziły na własność dziedziczną i coraz pomyślniej rozwijały się pod względem kultury gospodarczej[1] i dźwigały w interesie dobra

---

[1] Cap. Aquisgr. 802 c. 6: »Ut beneficium domini imperatoris desertare nemo audeat propriam suam exinde construere«. (L. L. I, 91).

Cap. 803 c, 3: »Qui beneficium domini imperatoris et ecclesiarum Dei habet, nihil exinde ducat in suam hereditatem, ut ipsum beneficium destruatur«. (I, 122).

Cap. Nium. 806 c. 6: »Auditum habemus, qualiter et comites et alii homines qui nostra beneficia habere videntur, comparant sibi proprietates de ipso nostro beneficio et faciant servire ad ipsas proprietates servientes nostros de eorum beneficia et curtes nostras remanent desertas«. (I, 144).

c. 7: »Audivimus quod aliqui reddunt beneficium nostrum ad alios homines in proprietatem et in ipso placito dato pretio comparant ipsas res iterum in alode sibi: quod omnino cavendum est«.

Cap. missis data 802 c. 9 i Excerpta c. 49.

Cap. Aquit. 768 c. 5: »Quicumque nostrum beneficium habet, bene ibi laborare condirgat«. (L. L. II, 14).

Cap. 789 c. 19: »Ut missi nostri provideant beneficia nostra quomodo sunt condirecta« (I, 64).

Cap. Aquisgr. 813 c, 4: »Ut hi qui beneficium nostrum habent bene illud immeliorare in omni re studeant« (I, 188).

Cap. excerpta c. 50: »Ut beneficia Saxorum in Francia considerentur, qualiter condirecta sunt«. (I, 101).

ogółu ciężary służby publicznej. Wpływom kulturalnym dóbr koronnych ulegają też majątki prywatne wielkie i mniejsze. Ciężary wojenne, konieczność przedewszystkiem dostarczenia konnego pogotowia wojennego sprawiły, że magnaci i właściciele mniejsi przyswoili sobie ulepszone metody koronnych gospodarstw i ich porządek administracyjny i regulamin pracy. Tak słynny kapitularz *de villis* stał się twórczym czynnikiem stosunków społeczno-ekonomicznych państwa całego i całej wogóle zachodniej cywilizacyi [1].

* * *

Karol Wielki w pierwszej połowie panowania swego (768—795) nie miał stałej rezydencyi. W ciągu lata zajmują go sprawy i wyprawy wojenne, zimą przebywa najchętniej w dziedzicznych dobrach swoich w Heristal, albo w sąsiednim majątku Leodyum *(Leodico vico publico)*, niekiedy w Nimwegen *(villa Neumaga)*, Diedenhofen, Ingelheim lub innym jakimś majątku z licznych dóbr koronnych. Wybiera on sobie na zimową rezydencyę zwyczajnie takie majątki, gdzie dużo było nagromadzonych zapasów żywności, bo dwór był liczny i okazały, a dowóz wszelki w pierwotnych stosunkach nader utrudniony. Pociągały go zresztą niemało zabawy i trudy łowieckie, i rozległe lasy i dzikie, karmne knieje, pełne zwierzyny, podczas gdy w nielicznych miastach rezydowali

[1] Ekonomista angielski Cunningham pisze o wpływie wielkich gospodarstw rolnych Karola na rozwój ekonomiczny i cywilizacyjny Anglii tak: »System Karola Wielkiego przyswoili sobie Normanowie a Wilhelm zdobywca wprowadził go do Anglii. Wielkie gospodarstwa rolne, jako ogniska życia wiejskiego nadzwyczajny wywarły wpływ na rozwój Anglii. One rozbudziły ambicye angielskiej plutokracyi począwszy od dni Williama-de-la-Pole i sprawiły, że plutokracya ta odwróciła się od miast, gdzie prowadziła interesy pieniężne dla dobra kraju i gdzie wielkie miała wpływy. One podtrzymywały i podniecały energię wielkich właścicieli ziemskich XVIII stulecia, gdy gospodarstwo pieniężne przeważający zdobyło sobie wpływ, i popchnęły ich do popierania rozwoju rolnictwa w Anglii. W świecie starym i w wielu krajach nowego świata miasta wyłączną wywierały atrakcyę, jako ogniska życia społecznego. Angielska wszelako cywilizacya wyrosła na gruncie zasad Karola o ustroju społeczeństwa«. *Western civilisation in its economic aspects*, str. 54.

biskupi i ziemia i lasy należały zwyczajnie do Kościoła. Dopiero wkilka lat przed koronacyą na cesarza, osiadł Karol na stałe w rozległych dobrach akwisgrańskich, które usiłował, jak się nadworny jego poeta wyraża, przetworzyć na nową Romę [1]. I na organizacyi i urządzeniach gospodarczych dóbr tych i porządku pracy tej rezydencyi, wzorowały się wyż wspomniany kapitularz *de villis* i wyłożony tam porządek gospodarczy i organizacya pracy wielkich gospodarstw, obowiązujące w całem państwie.

Przypatrzmy się bliżej tej organizacyi.

Otóż rozrzucone po państwie olbrzymie dobra koronne podzielono na szereg dominiów *(fisci)*, z których każde odrębną i samodzielną miało administracyę lokalną, a wszystkie razem jeden wielki tworzyły organizm ekonomiczny z przenoszącym się z miejsca na miejsce dworem królewskim, jako ogniskiem całego ruchu gospodarczego i politycznego. Punktem środkowym każdego dominium był pałac królewski [2] albo folwark główny, wokoło którego grupował się kompleks cały dóbr i włości *(villae capitaneae)*, już to w własnym, już to w beneficyalnym zarządzie będących. Każde dominium *(villa*, klucz*)* tworzyło jeden organizm gospodarczy, rozgałęziający się na szereg działów gospodarczych, jak gospodarstwo zbożowe i ogrodnictwo, chów bydła i leśnictwo, dział przemysłowy i rybołostwo. Zarządca dominialny, w którego ręku rozległa skupiała się władza ekonomiczna i polityczna, zwał się sędzią *(iudex, villicus)* od sprawowania władzy sądowniczej nad wolnymi i niewolnymi mieszkańcami swego terytoryum. Niżsi urzędnicy, którzy zarządzali poszczególnymi folwarkami, nosili nazwę starszych *(majores)*. Najwyższe zaś kierownictwo centralne spoczywało w rękach króla i królowej i dwu ministrów dworskich [3].

---

[1] »Stat pius, arce procul Karolus loca singula signans altaque disponens venturae moenia Romae. Hic iubet esse forum«... M. G. Poetae latini aevi Carolini, Dümmler, I, str. 368.

[2] Cap. de villis c. 65: »Quando nos in villas nostras non venimus«. Cf. c. 24, 38, 59, 61. Brev. rer. fisc. mówi o *sala regalis* w wielu dobrach.

[3] C. 16: »Volumus ut quidquid nos aut regina unicuique iudici ordinaverimus aut ministeriales nostri, sinescalcus et butticularius de verbo nostro aut reginae ipsis iudicibus ordinaverit«.

Znamienną cechą gospodarstw wielkich Karola, był najprzód ich charakter rolniczo-przemysłowy. Jak po wielkich gospodarstwach starej Romy, a później i wielkich klasztorach rolnictwo i ogrodnictwo szły w parze z rękodzielnictwem, tak też w dobrach koronnych Karola dwie te pierwotne gałęzie wytwórczości ludzkiej skojarzyły się w jeden organizm i zakwitły wzmożonem życiem gospodarczem. »Potrzeba, mówi Cunningham, jest matką inwencyi. To prawda niewątpliwa. I nie trzeba mniemać, że Karol uświadomił sobie niektóre zasady ekónomii społecznej. Wszelako warto tu zaznaczyć, że wartość tej metody potwierdza się w późniejszych czasach. On trzymał się tej praktyki, że wyzyskiwał przedewszystkiem naturalne źródła dobrobytu i w nich widział sekret potęgi państwowej, słowem popierał rolnictwo bez uszczerbku dla przemysłu i dbał głównie o przerabianie płodów naturalnych. W gruncie rzeczy była to tylko antycypacya tej polityki ekonomicznej, którą z takiem powodzeniem stosowano w Anglii za dni Burleigh'a, — polityki, polegającej na popieraniu rozwoju przemysłu wogóle, stosownie do potrzeb rolnictwa. Nie zaniechano jednak w poszczególnych okręgach wyzyskać specyalnych warunków w górnictwie i w eksploatacyi soli, ani w państwie Karola ani w królestwie Elżbiety« [1].

Inną cechą gospodarstw Karola, to ich sprężysta organizacya i czujna kontrola we wszystkich gałęziach pracy i działalności rolnej i przemysłowej. Wszystko tam było urządzone i określone aż do najdrobniejszych szczegółów. Administracya dworu i mniejszych folwarków, wogóle całego organizmu gospodarczego spoczywa w ręku zarządcy dominium *judex*, który kontroluje niższych urzędników i oficyalistów, ściąga czynsze, kieruje całem gospodarstwem i czuwa nad tem, żeby wszystko szło po sprawiedliwości i dochody z warsztatów pracy rolnej i przemysłowej stale się powiększały. Bezpośrednio podlegają mu zarządcy

C. 52: »Volumus ut de fiscalis vel servis nostris sive de ingenuis... diversis hominibus plenam et integram, qualem habuerint, reddere faciant iustitiam«. C. 56: »Ut unusquisque iudex in eorum ministerio frequentius audientias teneat et iustitiam faciat«.

[1] *Western civilisation in its economic aspects*, str. 53.

poszczególnych działów [1] gospodarstwa i starsi, którzy zarządzali drugorzędnymi folwarkami, należącymi do klucza, i ludnością pańszczyźnianą. Ażeby zaś porządek i kontrola ściśle były przestrzegane, na starszych powoływano tylko ludzi uczciwych z warstw średnich [2] i przekazywano im taki obszar gospodarstwa i zakres obowiązków, że mogli go w jednym dniu obejść i wszystkiemu wydołać [3]. Na czele organizacyi urzędników lasowych, stali wybieralni z pośród nich corocznie ministrowie i mianowany przez króla magister dla każdego obszaru leśnego. Wszyscy, zatrudnieni w dobrach i lasach urzędnicy, byli uposażeni w dobra beneficyalne.

Na straży porządku gospodarczego i karności służby i urzędników, stoją mądre przepisy, które pokazują nam na oko, jak Karol Wielki dbał o dobro robotników i o sprawiedliwość i karność wśród tej hierarchii pracy.

»Naszą wolą jest — czytamy w kapitularzu — żeby ludzie nasi dobrze się mieli i nikt nie doznawał ubóstwa« [4].

»Zarządcy niech nie poważą się zatrudniać ludzi naszych pracą pańszczyźnianą na własny rachunek, ani zmuszać ich do dostarczania im budulca, albo wykonania jakiejś innej usługi. Nie wolno też przyjmować od nich żadnych prezentów, ani konia, ani wołu, ani krowy, ani wieprza, ani owcy, ani prosięcia, ani jagnięcia, ani żadnej innej rzeczy. Wolno natomiast brać wino w butelkach, warzywa ogrodowe, owoce, kurczęta i jaja [5].

---

[1] Cap. de villis c. 10: Ut maiores nostri et forestarii, poledrarii, cellerarii, decani, telonarii, vel ceteri ministeriales rega faciant... c. 18 i 57: si aliquis ex servis nostris super magistrum suum.

[2] C. 60: »Nequaquam de potentioribus hominibus maiores fiant, sed de mediáribus, qui fideles sint«.

[3] C. 26: »Maiores vero amplius in ministerio non habeant, nisi quantum in una die circumire aut previdere potuerint«.

[4] Cap. de villis c. 2: »Ut familia nostra bene conservata sit, et a nemine in paupertate missa«.

[5] C. 3: »Ut non praesumant iudices nostram familiam in eorum servitium ponere, non corvadas, non materia cedere, nec aliud opus sibi facere cogant; et neque ullu dona ab ipsis accipiant, non caballum, non bovem, non vacam, non porcum, non berbicem, non porcellum, non aquellum, nec aliam causam, nisi buticulas et ortum, porna, pullos et ova«.

Każdy zarządca dóbr, ma raz po raz zwołać służbę i odbywać sądy i czuwać nad tem, by lud uczciwie się prowadził [1].

Zażalenie służby przeciwko przełożonym i oficyalistów przeciwko zarządcy dóbr sam król rozpatrywać będzie i sprawiedliwość wymierzać [2].

Gdy zarządca dóbr okaże się niedbałym w wykonywaniu rozkazów ma się powstrzymać za karę od napoju i stawić przed oblicze króla albo królowej w celu uzyskania przebaczenia. Oficyaliści natomiast, gdy w nieobecności głównego zarządcy nie zastosują się do rozkazów dworu, mają powstrzymać się od napojów i potraw mięsnych i pieszo stawić się w pałacu. Tam usłyszą wyrok i otrzymają plagi według uznania króla albo królowej [3].

Trzecią cechą wielkich gospodarstw Karola, to rachunkowość gospodarcza. Ażeby ogólny stan majątku i rozwoju gospodarstwa łatwo można ocenić i dochody skontrolować, zarządcy dóbr mają prowadzić dokładny spis rzeczy ruchomych i nieruchomych i wykaz

---

[1] C. 56: »Ut unusquisque iudex in eorum ministerio frequentius audientios teneat, et iustitiam faciat, et praevideat qualiter recte familiae nostrae vivant«.

[2] C. 57: »Si aliquis ex servis nostris super magistrum suum nobis de causa nostra aliquid vellet dicere, vias ei ad nos veniendi non contradicat. Et si iudex cognoverit quod iuniores illius adversus eum ad palatium proclamando venire velint, tunc ipse iudex contra eos rationes deducendi ad palatium venire faciat, qualiter eorum proclamatio in auribus nostris fastidium non generet. Et sic volumus cognoscere, utrum ex necessitate an ex occasione veniant«.

[3] C. 16: »Volumus, ut quidquid nos aut regina unicuique iudici ordina verimus, aut ministeriales nostri, sinescalcus et butticularius de verbo noctro aut reginae, ipsis iudicibus ordinaverit, ad eundem placitum sicut eis institutum fuerint, impletum habeant. Et quicunque per negligentiam dimiserit, a potu se abstineat postquam ei nuntiatum fuerit, usque dum in praesentia nostra aut reginae veniat, et a nobis licentiam quaerat absolvendi. Et si iudex in exercitu, aut in coacta, seu in ambasiato, vel aliubi fuerit, et iunioribus eis (t. z. maioribus, decanis, cellerariis i t. d.) aliquid ordinatum fuerit, et non compleverint, tunc ipsi pedestres ad palatium veniant, et a potu vel carne se abstineant, interim quod rationes deducant, propter quod hoc dimiserunt; et tunc recipiant sententiam, aut in dorso, aut quomodo nobis vel reginae placuerit«.

robocizny każdego majątku oraz corocznie cesarzowi dokładne przedkładać rachunki i sprawozdania o dochodach i rozchodach każdego gospodarstwa. Co dostawiono na dwór królewski, co spotrzebowano po folwarkach, co złożono w spichlerzach — wszystko to trzeba było wciągnąć do osobnych książek i rachunek bilansowy przedłożyć królowi [1]. W tym celu prowadzono stałe, oddzielne i dobrze uporządkowane rachunki o wszystkich dochodach, które wpływały w ciągu roku z gospodarstwa i z usług i czynszów ludzi, siedzących na pańskim gruncie. I pod tym względem domaga się cesarz sprawozdania ze wszystkich i najdrobniejszych źródeł dochodów, które w osobnym kwestyonaryuszu kapitularz szczegółowo wylicza [2]. Nadto specyalne sprawozdania należało przedkładać o wydatkach, idących na utrzymanie służby i warsztatów kobiecych, o skórach i rogach kozich, o ubitych wilkach i zbywających wiktuałach postnych. Wszystkie te sprawozdania i rachunki podlegały ścisłej kontroli w urzędach dóbr koronnych na dworze cesarskim i podczas wizytacyi delegatów cesarskich [3]. Co roku zaś pod koniec Postu Wielkiego w Niedzielę Palmową wpływały, według rozporządzenia cesarza do skarbca

---

[1] Cap. de villis c. 55: »Volumus ut quidquid ad nostrum opus iudices dederint vel servierint aut sequestraverint, in uno breve conscribi faciant et quidquid dispensaverint, in alio; et quod reliquum fuerit, nobis per brevem innotescant«.

[2] C. 62: »Ut unusquique iudex per singulos annos ex omni conlaboratione nostra« — i tu stawia kapitularz 77 pytań, na które w sprawozdaniu trzeba odpowiedzieć — »omnia seposita distincta et ordinata, ad nativitatem Domini nobis notum faciant, ut scire valeamus, quid vel quantum de singulis rebus habeamus«.

C. 31: »Ut hoc quod ad provendarios vel genetias dare debent... nobis dicere sciant...«

[3] C. 66: »De capris et hircis et eorum cornua et pellibus nobis rationes deducant«.

C. 69: »De lupis omni tempore nobis adnuntient, quantos unuquisque compraehenderit«.

C. 44: »De quadragesimale duae partes ad servitium nostrum veniant per singulos annos..., et quod reliquum fuerit nobis per brevem... innotescant... quia per illas duas partes volumus cognoscere de illa tertia quae remansit«.

koronnego czyste dochody ze spieniężonych produktów rolnych i przemysłowych [1].

Przypatrzmy się bliżej wewnętrznemu urządzeniu i niektórym gałęziom organizacyi tych gospodarstw.

We dworze i zabudowaniach dworskich lub najbliższych folwarkach mieszka służba, która spełnia niższe posługi we dworze, w ogrodzie i warsztatach dworskich [2]. Są to niewolni, przeważnie żonaci i parobki i dziewki, którzy zwyczajnie przyodziewek i żywność otrzymywali ze dworu [3] albo też żyli z kawałka gruntu, danego im pod uprawę. Zamiast wynagrodzenia dawano im niekiedy dla zachęty drobne prezenty i pozwalano trzymać jakiś przychowek [4].

W warsztatach zwyczajnie dworskich pracują rzemieślnicy. Każde większe gospodarstwo rolne dbało o rzemiosła i obejść się nie mogło bez młynarzy i piekarzy, krawców i szewców, kowali i płatnerzy, piwowarów i winogrodników. Zamieszkiwali oni częstokroć odrębne chałupy i mieli kawałek ziemi w dodatku i w czasie żniw pracowali na gruntach pańskich. Choć niewolni, jak służba dworska, oni wcześnie bardzo uzdolnieniem swojem — najzdolniejszych zwyczajnie przeznaczano do rzemiosł — i pozycyą socyalną przedsiębiorczych panów swoich wśród niewolnych na naczelne niemal wybili się stanowisko. Dlatego też napływ do rzemiosł był wielki i wolnych wśród nich spotkać można i nierzadko go-

[1] C. 28: »Volumus ut per annos singulos intra quadragesima dominica in palmis, quae Osanna dicitur, iuxta ordinationem nostram argentum de nostro laboratu, postquam cognoverimus de praesenti anno quantum sit nostra laboratio, deferre studeant«.

[2] Cap. Nium. 806 c. 8: »Unusquisque — de sua proprietate propria familia nutriat«.

[3] Cap. de discipl. palat. Aquisgr. c. 2: »Per domos servorum nostrorum tam in Aquis quam in proximis villulis nostris ad Aquis pertinentibus«.

[4] Cap. de vill. c. 50: »Fiscalinus qui mansum non habuerit, de dominica accipiat provendam«.

Reg. Prum. c. 43, p. 165: »Sunt qui in praefato Fagit de terra iornales 5, quos tenent provendarii«.

842 Trad. Frising. 662: »Servus dominicus habet caballum 1 et ipso totos servi dominici armenta 6. Quellen u. Erörterungen zur bair.-deutsch. Geschichte t. IV.

spodarstwa wielkie przetwarzały się w ogniska przemysłowe. Oni też pierwsi nieprzebyte zapory ustroju stanowego średniowiecza umieli przełamać i odegrać mieli w przełomach społecznych następnej epoki najważniejszą rolę.

Karol Wielki wielką przywiązywał wagę do rozwoju rzemiosł w dobrach koronnych. »Niech każdy zarządca dóbr *(iudex)* — czytamy w kapitularzu — na swoje usługi ma zdolnych rzemieślników: kowali, złotników, szewców, tokarzy, cieśli, płatnerzy, rybaków, ptaszników, mydlarzy, piwowarów i takich, co wyrabiają jabłecznik lub inny napój owocowy; piekarzy, którzy zaopatrywać będą dwór w bułki, i zdolnych siatników, wyrabiających siecie do łowienia zwierzyny, ryb i ptaków i innych, których długo trzebaby tu wyliczać« [1].

Kapitularz wspomina tu o piekarzach, którzy wykwintne wyrabiali pieczywo, i o browarze królewskim, zorganizowanym na sposób fabryczny, gdyż zwyczajnem pieczywem i warzeniem piwa zajmowały się kobiety [2]. W każdej też prawie wsi, w każdem większem gospodarstwie huczy młyn pański, który zaopatruje lud w mąkę.

Z rzemiosł rozwinęły się w epoce Karola i zakwitły bogatą specyalizacyą przedewszystkiem przemysł metalowy, tkacki i budowlany. Przemysł metalowy rozwija się równolegle z rozwojem zbrojownictwa, rolnictwa i handlu.

Do rozwoju przemysłu tkackiego i artystycznego przyczyniły się głównie okazałość nabożeństw i kościołów i co za tem idzie, przepych paramentów i szat kościelnych i sprzętów liturgicznych. Wielki pokup miały też przy wzrastającym dobrobycie

---

[1] Cap. de villis c. 45.

Monach. Sang. I, c. 28: »De omnibus cismarinis regionibus magistros et opifices omnium id genus artium advocavit«. Mon. Germ. Script. II, 744. Cap. de vill. 50: Poledrarii qui liberi sunt.

Ried, cod. Ratisb. I, n. 21: quidam ingenuus faber.

[2] Cap. de villis 61: »Ut unus quisque iudex quando servierit, suos bracios ad palatium ducere faciat; et simul veniant magistri qui cerevisam bonam ibidem facere debeant.

Brev. rer. fisc. (Staffelsee) § 8 uxor... conficit bracem et coquit panem. § 30: coquina et pistrinum in unum tenentur.

i przepychu w strojach delikatne i kosztowne sukna fryzyjskie, z Anglii, które współzawodniczyły z kosztownemi tkaninami Wschodu. Cały przemysł tkacki koncentrował się w dobrze uposażonych warsztatach kobiecych po wielkich gospodarstwach rolnych, które rozwinęły się częstokroć w bogate ogniska przemysłowe. Budownictwo artystyczne i zdobnictwo kościelne rozwijały się głównie po wielkich klasztorach i na dworach książąt i magnatów. W kronice Fuldajskiej czytamy, że piąty z rzędu opat Hratanus założył tam szkołę rzeźbiarską i »wszelkiego wogóle kunsztu zdobniczego«, która pomyślnie się rozwijała [1].

Roboty w polu i innych działach gospodarstwa wykonują przeważnie chałupnicy, siedzący na gruntach pańskich różnych stopni i kategoryi, począwszy od niewolnych *(servi casati)* i półwolnych *(liti, fiscalini, coloni)* a kończąc na wolnych *(liberi, franci, ingenui)*, którzy dobrowolnie czy z musu oddali się w opiekę pana. Obowiązki ich były różne stosownie do stopnia wolności i samodzielności, jaką posiadali. Jedni *(mansi serviles)* odbywali tygodniowo 3-dniową pańszczyznę, inni półwolni pracowali tylko przez kilka tygodni w ciągu roku podczas żniw i zasiewów na pańskiem, jedni pracują pod kierunkiem i nadzorem starszego albo jego zastępcy *(vicarius)*, inni uprawiają według wskazówek starszego albo samodzielnie powierzone im pole albo winnicę. Mężczyźni pracują zwyczajnie w polu albo w warszta-

[1] Fr. Fuld. c. 326: »Ad cameram abbatis ad faciem dum omne opus artificum tam in fabricatura quam in sculptura et celatura et oratura fabrili... dati sunt mansus SS... ut de his artificibus qui iusticiam habent sue subiectionis ut non sit vacua fabrica abbatis, sed semper docti opus faciant et iuniores discant, unde domus dei cottidiana servicia habeat tam in eramentis et celaturis quam in fusili ac fabrili omnique arte oratoria.

Cap. de villis c. 43: »Ad genitia nostra, sicut institutum est, opera ad tempus dare faciant, id est linum, lanam, waisdo, vermiculo, warentia, pectinos laninas, cardones, saponem, unctum, vascula vel reliqua minutia, quae ibidem necessaria sunt«.

Mon. Sangall. M. G. S. S. II, 752: »Pallia Fresonica alba cana vermiculata vel saphirina, quae in illis partibus rara et multum cara comperit« ..

Cf. Klunker: *Der friesische Tuchhandel zur Zeit Karls d. Gr. und sein Verhältnis zur Weberei jener Zeit.* Leipzig, Diss. 1899.

tach dworskich, kobiety w pracowniach kobiecych *(genicia)* zajmują się praniem, robotą przędzalno-tkacką i farbierską oraz szyciem i naprawą ubrań. Cała wogóle robota w ogrodzie i w winnicach, w polu i lesie, w podwórzu folwarcznem i przy chowie bydła ciążyła przeważnie na chałupnikach. Ich obowiązkiem było dbać o ogrodzenie wspólnego pastwiska, pełnić obowiązki stróżów i posłańców, dostarczać podwód, przezimować bydło pańskie, ścinać drzewo na budulec i opał, wyrabiać tyki, gonty, klepki, obręcze i łuczywa i t. d.

Obok ściśle określonych usług i powinności każdy kmieć musi składać daniny panu.

Wszystko, co ziemia daje, co się z przychowku uchowa, co z pracy rąk pozostaje idzie albo w zupełności albo w części jako czynsz do spichlerzy i składów pańskich, a więc zboże, wino, len, wełna, miód, wosk, bydło grube i drobne, kaczki, gęsi i kury, płótna i obuwie, beczki i kubki, talerze i misy, sprzęty rolne i domowe, nawet nawóz ze stajni kmiecych idzie na użyźnienie gruntów pańskich [1]. I te powinności i ciężary w majątkach prywatnych były częstokroć tak wielkie, że lud w ciężkiem utrapieniu szukał nieraz służby na dobrach królewskich, gdzie pod troskliwą i czujną

---

[1] Brev. rer. fisc. (L. L. I, 176): Na folwarku Staffelsee objętości 740 iurnales (mórg) i 610 prat. carr. było 72 robotników pańszczyźnianych (provendarii) 24 kobiet (feminae in genitis).

Cap. Assegis I, 75: »In diebus dominicis... femininae opera textilia non faciunt, nec capulent vestilos nec consuant vel acupictile faciant, nec lanum carpere, nec linum battere, nec in publico vestimenta lavare nec berbices tondere habeant licitum« (L. L. I, 281).

Reg. Prum. wylicza główne powinności pańszczyźniane włościan: »Ducunt ad monasterium spelta, annona, fenum, vinum, salem; porros plantant, moras colligunt; Clausuram, panem, curvadas, iugera, coactas, nates, pertigadas, scaram faciunt, operant ad fenum, ad messem, ad vindemiam, in broil, dies, hebdomadas; paginas claudunt, linum seminant et parant, fenum secant et colligunt, vinum et sal vendunt, navigant, equitant etc.; feminae suunt femoralia, faciunt campsiles i t. d.

Cap. de vill. c. 50: »Poledrarii qui liberi sunt et in ipso ministerio beneficia habuerint, de illorum vivant beneficiis. Similiter et fiscalini qui mansos habuerint, inde vivant. Et qui hoc non habuerint, de dominica accipiat provendam«

opieką Karola znalazł sprawiedliwość i względny dobrobyt[1]. Ale bo też wielcy właściciele ziemscy, świeccy i duchowni przesuwali zwyczajnie wszystkie powinności i ciężary publiczne nałożone im przez Karola co do podwód, sztafet, dróg i mostów, służby publicznej i podejmowania urzędników i delegatów cesarskich z okazałym pocztem, na włościan, mieszkających w ich terytoryum, tak, że lud upadał pod ciężarem powinności pańszczyźnianych i czynszów i szarwarków i tłumnie porzucał swoje zagrody czynszowe i wolne i przechodził w służbę niewolną.

I to była jedna z głównych przyczyn, dlaczego liczba wolnych i półwolnych włościan z przerażającą szybkością z dniem każdym zmniejszać się poczęła. Podczas gdy dawniej zależni włościanie w porównaniu z wolnymi nieliczne stanowią wyjątki, obecnie cała prawie produkcya społeczna opiera się na pracy pańszczyźnianej i na masach niewolnych chałupników.

Karol Wielki, patrząc się na zanik stanu włościańskiego, usiłuje powstrzymać ten proces, zgubny dla państwa i wydaje cały szereg w tym kierunku ustaw ochronnych. Tak kapitularz *de villis* surowo zabrania zatrudniać włościan koronnych na rzecz zarządców dóbr, kapitularz zaś z roku 803 pozwala wydawać

---

[1] Cap 806, c. 4: fugitivi servi, cap. 817, c. 6: de mancipiis in villas dominicas confugientibus; cap. 821, c. 3: »Si servi vel ecclesiastici vel quorumlibet liberorum hominum in fiscum nostrum confugerint«.

Form. Coll. Flavin. 117: »Mancipia b. patroni vestri, de monasterio nostro fuga lapsi, in vestro dominio prelapsi sunt advenisse«.

Edi A. Pistense roku 864 c. 30: »Ut quoniam in quibusdam locis coloni tam fiscales quam et de casis Dei suas hereditates, id est mansa quae tenent... vendunt et tantummodo sellam retinent et hac occasione sic destructae fiunt villae, ut non solum census debitus inde non possit exigi, sed etiam quae terrae de Singulis mansis fuerunt iam non possint agnosci, constituimus... ut hoc nullo modo de cetero fiat«. Mon. Germ. Leges I, 496.

Koszta podróży urzędowych z wielkim pocztem ówczesnych dygnitarzy kościelnych i świeckich, które ponosili wyłącznie prawie włościanie, były ogromne. »De dispensa missorum dominicorum... episcopo: panes 40, friskingae 3, de potu modii 3, porcellus 1, pulli 3, ova 15, annona ad cabalos modii 4. Abbati, comiti atque ministeriali nostro unicuique dentur cotidie panes 30, friskingae 2, de potu modii 2, porcellus 1, pulli 3, ova 15, annona ad caballos modii 3. Vassallo nostro panes 17, friskinga 1, porcellus 1, de potu modus 1, pulli 2, ova 10, annona ad caballos modii 2«.

zbiegłych włościan i czynszowych tylko pod warunkiem, że osiądą znowu na swoich zagrodach opuszczonych [1]. Kapitularz z r. 805, wydany w czasie klęski głodowej, bierze w obronę wolnych włościan przed uciskiem możnych panów, biskupów i opatów, którzy krętemi drogami zmuszają ich do sprzedania swojej ojcowizny lub oddania się w pańszczyznę [2]. W innym kapitularzu pyta się Karol z gryzącą ironią łakomych na cudzą ziemię opatów, czy wyrzeczenie się świata pcha ich do bezustannego pomnażania majątków klasztornych na wszelki sposób kosztem włościan [3]. Inne znowu postanowienia synodów i kapitularza stoją na straży wolności aktu sprzedażnego, mianowicie wszelka sprzedaż ziemi winna się odbyć publicznie wobec biskupa albo komesa i sędziów i możnych, albo, jak synod moguncki wymaga, wobec świadków odpowiednich z wyjaśnieniem stanu rzeczy [4]. Na wolność też aktu sprzedażnego i ugody co do wysokości ceny wszystkie ówczesne kontrakty kupna i zachowane nam formuły, używane w dokumentach, wielką przywiązują wagę [5]. Że przepisy te w czasach roz-

[1] Cap. de vill. c. 3: »Ut non praesumant iudices nostram familiam in eorum servitium ponere, non corvadas, non materia cedere, nec aliud opus sibi facere cogant«. C. 11: »Ut nullus iudex mansionaticos ad suum opus nec ad suos canes super homines nostros atque in forestes nullatenus prendant«.

Cap. 803, c. 15: »Ut homines fiscalini sive coloni in alienum dominium commanentes, a priore domino requisiti, non aliter eisdem concedantur, nisi ad priorem locum, ubi prius visus fuit mansisse« (I, 121).

[2] Bor. I, 125 i 410; Anseg. I, 115: »De oppressione pauperum liberorum hominum, ut non fiant a potentioribus per aliquod malum ingenium contra iustitiam oppressi, ita ut coacti res eorum vendant aut tradant...«

[3] Cap. de causis 811 c. 5. Bor. I, 163.

[4] Cap. e canonibus excerpta 813, c. 22: in publico coram episcopos, gdy idzie o grunta biednych res pauperum a kupujący są wyżsi urzędnicy feudalni: comites vel vicarii seu iudices aut centenarii«. Kanon ten potwierdza uchwała synodu w Arles: in publico coram comite et iudicibus et nobilibus civitatis. Conc. Arel. 813 c. 23. Werm. I, 253. Podobnie synod w Moguncyi: in publico placito coram idoneis testibus et tum ratione. Conc. Mogunt. 813 c. 7. Werm. I, str. 262. Podobnie w Ben. Lev. I, 181, gdy idzie o ubogich albo mniej zamożnych res pauperum vel minus potentum a kupcami są episcopi, abbates, comites, vicarii, iudices«. Bor. II, 282.

[5] Form. Andec. 2, 4, 25, 27. Zeumer str. 5, 6, 12, 13; Tom. Marc. II, 19—22, str. 89 i dalej. Formuły te brzmią: »accepimus a vobis in pretio taxato, iuxta quod nobis bene complacuit atque convenit — accepi in pretis, quod inter nos bene complacuit« i t. d.

bojów i gwałtów prawnych były potężnym wałem obronnym dla włościan, nie potrzeba chyba dowodzić. I surowym zarządzeniom tym przedewszystkiem przypisać należy, że proces wywłaszczenia włościan w epoce Karola nie ogarnął państwa całego i tylko tam się głównie rozwijał, gdzie lichwa pasorzytnie wybujała [1]. W obronie włościan wreszcie zostały wydane wszystkie te postanowienia, które uregulowały i prawnie ustaliły powinności pańszczyźniane przedewszystkiem w dobrach kościelnych i beneficyalnych [2].

(C. d. n.)

Ks. Leonard Lipke.

---

[1] Dahn: *Die Könige der Germanem* VIII, 4, 229. Lamprecht, Beiträge 71.

[2] Cap. 800 oraz cap. Langobard 835 c. 6: Praecipimus ut nova conditio aldioni a domino non imponatur (I, 82; 371).

»Isti sunt liberi homines, qui dicuntur barsalci qui et cum Wagone coram multis complacitaverunt, ut ecclesiasticam acceperunt terram, de ipsa terra condixerunt facere servitium... arant dies 3 tribus temporibus in anno et secant tres dies, illud collegunt et ducunt in horrea... et reddant modios 15, ex his 3 de ordea, una friskinga val. saicas 2... Istud firmiter condictum est ut eis nullus amplius maiorem servitium iniungere valeat; sed itinera vicissam agant«. 825. Trad. Frising 523 b. *Quellen u. Erörterungen zur bair.-deutschen Gesch.* Bd. IV. München 1905.

PRACA U PODSTAW W POWIEŚCIACH ORZESZKOWEJ.

(Dokończenie)

Autorka przekonana jest, że głos takiego sumienia odzywa się czasami w każdej duszy ludzkiej, nawet w tej, co pozrywała wszelkie węzły łączące ją z rodzinnem środowiskiem, — przynajmniej w każdej polskiej duszy, co »miewa sny i o chwilach prześnionych pamięta«. A zaiste dusz, wytrzeźwionych z wszelkich snów o swej rodzimej lub narodowej przeszłości niewieleby się chyba u nas znalazło. Siedzi sobie oto taka zupełnie niby wytrzeźwiona dusza polska (nowela »Liść uschły«) dajmy na to w Wiedniu, siedzi na arcywygodnym fotelu karyery, opływa w dostatki, dobrobyt, we wszelaką obfitość bogactw, honorów, zaszczytów. Wszystko jej się powodzi, los jej się uśmiecha, fortuna nie szczędzi jej swych darów. Aż oto pewnego razu szczęśliwy jej posiadacz wysoki urzędnik i wielki finansista przypadkiem znajduje się w jakimś ustronnym zakątku leśnym Prateru, przypominającym mu las w dalekiej ojczystej ziemi, gdzie ongi z pewną piękną panną Władysławą zbierał rydze i rozmawiał o ideałach. I u szczytu arcyrealnej fortuny ten najrealniejszy jej adept marzy z utęsknieniem o szumiącym lesie ojczystym i o ideałach, które niegdyś z panną Władysławą podzielał.

W innej znów noweli (»Czy pamiętasz«) jakaś wielce oficyalna Wysokooświeconość wyrosła z dziecka skromnego dworku litewskiego i kwitnąca wszelkiem powodzeniem pod zimnem, chmurnem niebem dalekiej północnej stolicy, w chwili, gdy po-

winnaby się czuć jak najbardziej ze swego losu zadowoloną, uczuwa owszem jakieś dziwne wewnętrzne niezadowolenie, jakieś bardzo przykre wrażenie pustki wewnętrznej, które ani najbardziej wyrafinowanemi rozrywkami stołecznemi, ani wycieczkami do wód modnych usunąć się nie daje. Owóż zdarza się, że w tej właśnie porze rozstrojona na duszy Wysokooświeconość otrzymuje list ze stron rodzinnych, w którym ukochana niegdyś, zapomniana potem siostra mnóstwo zadaje pytań: Czy pamiętasz dwór nasz rodzinny i pokój nasz w nim dziecinny i ogród, i leśniczówkę, i klony stare, i lipy rozłożyste. Wysokooświeconość czyta, czyta i oczy jej łzami zachodzą, chwyta pióro i odpisuje siostrze: »O wszystkiem ja zapomniał moja Anulko, a jednakowoż wszystko pamiętam... Ej srogiż to żart jakiś to nasze życie ludzkie. Pracujesz, męczysz się, znosisz nieprzyjemności różne, pędzisz jak szalaniec przez góry, które kruszysz, przez morza, które przepływasz, a gdy już pochwycisz to, czego tak pożądałeś, widzisz, że w ręku trzymasz — marę. Żebym ja przy sobie miał kogoś swego, możeby mię i mara dłużej cieszyła, a tak fiuuu! — zniknęło wszystko, została się pustynia«.

A kobiety?

Z kobietami gorzej jeszcze się dzieje, bo skłonniejsze one pono od mężczyzn do pamiętania chwil prześnionych, a przytem, jako istoty z natury swej bardziej instynktywne żywiej odczuwają swe oderwanie od gleby rodzinnej.

Oto piękna, uwielbiana, opływająca w dostatki małżonka wielkiego dygnitarza w dalekiem wschodniem mieście (nowela »Kiedy u nas o zmroku«) zda się wesołą, szczęśliwą: stroi się, podróżuje, baluje, szaleje z uciechy na zabawach, a w głębi duszy żal i smutek ma ogromny, tęsknotę po tem wszystkiem, co pozostawiła tam daleko w kraju rodzinnym, nienawiść do wszystkiego, co ją tutaj na obczyźnie otacza.

W podobnym nastroju uczuciowym bardziej charakterystyczna jest bohaterka noweli »Siteczko«. Jest to jedna z tych natur miłych, wdzięcznych, ujmujących, czasem chwytających za serce, które same niepochwytne są w swej istocie wewnętrznej, może wogóle wszelkiej istoty wewnętrznej pozbawione — charak-

terystyczne swą bezcharakterowością. W domu rodzinnym zwano ją siteczkiem, bo jak przez siteczko wszystkie wrażenia, uczucia, idee przelatywały przez leciutką, porowatą jej duszyczkę. W dzieciństwie otaczała ją atmosfera czci i miłości dla rzeczy rodzinnych, swojskich, narodowych. Mówiono jej dużo o przeszłości, wpajano cześć dla wielkich jej bohaterów. A jednak gdy przyszły nowe wrażenia wszystko to uleciało jej z głowy i serca, zaślubiła człowieka obcego, wrogiego rodu, żyła okazale i wesoło, miała salony, stroje, karety. A jednak czy była szczęśliwą?... Nawet ta siteczkowa duszyczka z Polski rodem nie zdołała przepuścić przez siebie wszystkich wspomnień: gdy raz ujrzała niespodzianie z dzieciństwa jej znany portret hetmana Czarnieckiego, o którym słyszała jako o tym, co go najbardziej czcić należy, »takim głosem krzyknęła, jakby nagle ktoś nożem po sercu ją ciął, potem zachwiała się, zemdlała... a gdy do przytomności powróciła, wybiegła prędko blada, przerażona, jakby przed czemś uciekając«.

Czy istotnie natury polskie, od gleby ojczystej oderwane, taką mają trwałą na ogół pamięć rzeczy ojczystych, tak nie mogą, nie umieją zapomnieć wrażeń od nich doznanych, snów o nich prześnionych?

Dużoby o tem mówić. To pewna, że gdyby nie poważna u nas ilość takich natur o mniej lub więcej trwałej pamięci narodowej dawnobyśmy już istnieć przestali. Orzeszkowa właściwą sobie intuicyą odczuła silnie tę znamienną duszy polskiej właściwość, jako jeden z objawów żywotnej siły narodu i wytrwale, uporczywie do niej powraca, wciąż w kreacyach swoich sobie i czytelnikom swym ją uprzytomnia, jakby tem bardziej o istnieniu jej upewnić się chciała.

A tak nam potrzebna owa idealna pamięć serca, gdy realność zdarzeń i stosunków jakby się uwzięła na zagładę tego, co jest tłem i podstawą naszego bytu rodzimego. Wiemy, że autorka »Dwóch biegunów«, przy całej swej wierze w przyszłość, nie była wolną od pełnych, bolesnego niepokoju obaw o przyszłość, od pewnych dokuczliwych robaczków zwątpienia, o których mówi dosadnie, »że praca ich nie należy do najmniej dobrze obmyśla-

nych i wykonywanych tortur«. Widziała z bólem szerzącą się dokoła zagładę rzeczy swojskich, polskiemu jej sercu blizkich i drogich. Bólu tego przemilczeć nie mogła, zbyt gwałtownie piersi jej rozrywał i nieraz też dała mu wyraz w swych tworach. Jednym z najwymowniejszych jego wyrazów krótki, prosty a do głębi duszy przejmujący obrazek nowelistyczny p. t. »Śmierć domu«.

Umiera, ginie dom, jak widać, niegdyś dostatni, możny, stara siedziba wielu pokoleń, ostoja tradycyi i obyczajów, przemawiających echem odległych wieków. Autorka w dosadnych rysach kreśli arcytrywialne okoliczności towarzyszące temu zgonowi. Licytacya ruchomości, za długi widocznie sprzedawanych. Tłum kupujących, gwar, wrzawa, kłótnie, targi. Z domu na dziedziniec, gdzie stół licytacyjny ustawiono, wynoszą różne rzeczy, niektóre piękne, artystyczne, niegdyś drogocenne, inne piętnem staroświeczyzny szacowne, inne jako pamiątki rodzinne z pokolenia w pokolenie przechowywane. Wszystko to teraz li tylko artykuły sprzedażne, na ogół małowartościowe, jako przeważnie stare i zużyte. Estetów i znawców niema w pośród kupujących Żydów, chłopów, zagrodowców. Oglądają licytowane przedmioty, obmacowują je grubymi palcami, czynią nad nimi trywialne uwagi, wyśmiewają je gburowatymi konceptami. Żadnemu nie przyjdzie przecież do głowy rozczulać się nad tą starzyzną, rozmyślać nad przemawiającą z niej przeszłością. Tylko stary ogrodnik Joachim, co pamięta kilka pokoleń dom ten zamieszkujących, przypomina sobie na widok znoszonych zewsząd gratów różne związane z nimi wspomnienia z dawnych czasów o dawnych ludziach i zdarzeniach, tylko stary pies z wypłowiałą sierścią obwąchuje żałośnie znane mu dobrze meble, na których siadywali ci, co ongi bujną i lśniącą jego sierść gładzili. W otaczającej wiekowy dwór gęstwinie drzewnej ptaki trzepoczą się i ćwierkają, jakby z podziwem czy żałością nad tem, co się tu dzieje, a gdy po skończonej licytacyi ludzie się rozchodzą i ciemna, chmurna noc zapada, do pustego, milczącego domu wiatr wdziera się przez pobite szyby, napełnia go tysiącem szmerów, jęków, szeptów jakby zamierającymi od-

głosami życia, co tu niegdyś wrzało, istot ludzkich, co tu niegdyś kochać, ufać, radować się i cierpieć musiały.

Smutny obraz. Ale gdzieindziej na świecie byłby w nim tylko smutek ginących jednostek, rodzin — u nas jest w nim smutek zagrożonego zgubą narodu, u nas gdzie każdy dom jest, a przynajmniej powinien być twierdzą narodowego bytu, każda rodzina — bojową załogą w obronie tego bytu walczącą. Nie dziwmy się przeto, jeśli poetka tragicznego iście liryzmu podkład daje swemu smutnemu obrazowi, jeśli w szumie wichru hulającego po opustoszałym dworze słyszy jakieś heroiczne wołania, jakieś zbiorowe, ogromne, głębokie szlochanie.

Sunt lacrimae rerum! Gdzież więcej, jak w naszym kraju rzeczy łez godnych? Gdzież więcej jak w naszej poezyi śpiewnego nad niemi płaczu? Dźwięczy tu skrycie lub jawnie wzdłuż całej twórczości Orzeszkowej, snuje się nieprzerwanym prawie wątkiem lirycznym poprzez wszystkie jej obrazy powieściowe, a szczególnie wyraźną, rzewną przy całej swej prostocie na górny ton nastrojoną melodyą wykwita w »Babuni«, jednym z najpiękniejszych kwiatów nowelistyki polskiej.

Nie nowela to lecz istny poemat w prozie, krótki o prostej nader osnowie poemacik, ale jak bogaty w treść, jak przepojony liryzmem, cały drżący od wzruszenia, rozbrylantowany najczystszemi łzami, jakie kiedykolwiek nad niedolą życia przelano. A przytem ani cienia sztucznego patosu, sztucznej idealizacyi. Tak tu wszystko naturalnie z najrealniejszych ziemskich poziomów wykwita i tak naturalnie również, z jakąś nieprzepartą uczuciową i psychologiczną koniecznością urasta wysoko, wysoko aż do niebios stropu. Promień z wyżyn niebiańskich spada tu na smutne, szare niziny ziemskie, a jednak wiemy, że z ziemi on rodem, z duszy ludzkiej wypromieniowany, odbłyskiem miłości jej rozświetlony.

Babunia o wnuczka chorego stroskana, cała zresztą przepojona troską, stałą mieszkanką jej otoczenia domowego, w smutną noc miesięczną zasłuchuje się w dźwięki poloneza wygrywanego przez stary zegar gdański, z lepszych czasów pamiątkę. I oto przy znanej polonezowej melodyi w pół śnie, w pół marzeniu

widzi swego dawno zmarłego ukochanego Jasia, jak w kontuszu barwnym nizko konfederatką jej się kłania, do tańca polskiego ją zaprasza i po smudze światła księżycowego raźnym, posuwistym krokiem tanecznym aż do błękitów niebiańskich ją doprowadza. Wtem gdy już promieniste niebiosa przed nią się otwierają, płacz dziecka na ziemię ją przyzywa. »Zleciała ze wstęgi blado-złotej i z pośród gwiazd grających, z pod zasłony utkanej z bezmiaru piękna spadła w próżnię ciemną, głuchą, bezdenną«.

Cóż może być prostszego, jak ta opowieść o promiennem widzeniu niebiańskiem ze smutnej szarzyzny ziemskiej wykwitającem? — a cóż bardziej artystycznego od jej pomysłu, stylu, układu? Przedziwna tu harmonia w ustosunkowaniu szczegółów i w ogarniającym je całokształcie, przedziwna zwartość w układzie charakterystycznych rysów obrazu: każdy rys ma tu swoje znaczenie. Każde zdanie swą wagę; całość jest pięknym akordem końcowym, rozwiązującym w nadziemskiej harmonii boleśnie przez poetkę odczuwane dysonanse naszego życia ziemskiego.

Owa rodzina z jakiegoś widocznie dworu wiejskiego na bruk miejski wyrzucona, na biedę, na troski, na ciężkie mozoły: mąż wciąż zapracowany, żona wiecznie skłopotana, atmosfera domowa przekwaszona, ociężała od napełniających ją strapień nieustannych; obraz niewesoły, a jak typowy u nas, osobliwie w chwilach wstrząśnień gwałtownych, które wiele, wiele i rodzin i jednostek z normalnych wytrąciły kolei.

A wśród tych szarych smętków obecnych rozświetlające je wdzięczne postaci dziecięce, może promyki świtającej lepszej przyszłości i w przygasłych oczach starej babuni niekiedy jakby odbłyski krwawych zórz zachodnich tragicznie wzniosłej przeszłości. Babunia wnosi pierwiastek dawnego idealizmu do przerealnionej (że tak rzekę) rzeczywistości popowstaniowego okresu.

Mamy tu tak charakterystyczny dla Orzeszkowej dwugłosowy motyw przewodni wszystkich głównych jej dzieł: górny ideał czasów bohaterstwa zespolony z realnemi zadaniami czasów nizinnej pracy.

Przez pryzmat wrażeń babuni autorka ukazuje nam tu zwięźle,

w kilku wierszach zaledwie zarysowane przeciwieństwo dwóch pokoleń:

»Jaś (ojciec) był wesoły, otwarty, odważny, miał dłoń wiecznie otwartą przed ludźmi, a dla niej — choć już siwieli oboje — serce kochanka. Zygmuś (syn) jest skryty, ostrożny, ostry nawet dla matki. Ona go nie potępia za to, o nie! Gdzież tam! Wie doskonale, że szorstka ręka życia zmięła w ten sposób duszę jej syna, znużyła ją i zaprawiła goryczą. Jaś także cierpiał wiele, ale w sposób inny. Babunia umie rozróżnić gatunki cierpień: tyle ich widziała! Nieszczęściem Zygmusia jest to, że żyje w momencie twardym dla życia. Bóle skrywane zasłały mu jak kamienie dno duszy«.

I sama autorka jakże wiele ma współczucia dla tych skrytych cierpień, jakże wiele wyrozumienia dla tych na dnie dusz kamieni, co się z nich rodzą! Wie jak one ociężają lub czynią zgoła niemożliwym jakikolwiek lot ku wyżynom. Cóż na to za rada? Jedna, jedyna pono: wyzwalać dusze z ociążającego wpływu kamieniorodnej atmosfery nizin, wskazywać im górne cele w nizinnych pracach i obowiązkach, jakie im w udziale przypadły. Nie co innego czyniła w całej swej twórczości autorka »Dwóch biegunów«, nie co innego znaczy ów dźwięczący w jej tworach dwugłos ideału bohaterskiego i realnych zadań chwili.

Jest coś głęboko symbolicznego w zakończeniu »Babuni« — w tym powrocie od bram niebios na ziemski podół, skąd dochodzi płacz niedoli dziecięcej. Jest w tym uproszczone bardzo wyrażenie jakowejś przenikającej wszystkie prawie dzieła Orzeszkowej realno-idealnej syntezy, poczytywanej przez nią za nieodzowny w danem położeniu warunek naszego bytu, naszej realnej pracy dla przyszłości. Nie czas ku niebiosom ulatać, gdy na padołach tyle płaczu, nie spełnionych, zaledwie od ziemi odrosłych zadań ale nie przystoi zapominać o niebie tym, co, jak mówi Krasiński, przez ojców duchy skrycie porywani ku królestwu muszą iść Bożemu.

Stój mocno tu na ziemi i bacznie patrz dokoła — możnaby tu powtórzyć ze starym pracownikiem Faustem. Patrz bacznie

co masz czynić; z myślą o przyszłości, z wiarą w przyszłość czyń to, co ci czynić każe obecność.

Nic sprzeczniejszego z tem hasłem, unoszącem się ponad każdą prawie stronicą pism Orzeszkowej, jak mdlejące po niebiosach latanie; to też nikt chyba w naszej literaturze pięknej nie oświetlił jaskrawiej od niej całej marności tych pusto-górnych nad próżnią własnej duszy lotów. Obok pusto-lekkiego ponad zielonymi łączkami użycia motylkowania stanowią one główny przedmiot jej dążeń satyrycznych przez różne idealnie rozmieszczone panie Luizy i tragicznie roznerwowane panie Emilie doskonale w twórczości znakomitej powieściopisarki uplastycznionych.

Dobitne sformułowanie będącego podstawą tej satyry przeciwieństwa daje nam urywek jednej z rozmów w »Dwóch biegunach«, po której intelligentny ale pusty światowiec używacz Zdzisław nie może żadną miarą przetrawić w swym umyśle poważnie surowych poglądów na pracę społeczną i obywatelską, obijających mu się wciąż o uszy w krasowickim dworze Seweryny.

»Myśl moja, mówi, nieprzyzwyczajona do takiego orania, potrzebowała lotu, swobody, sfer promiennych i jak najbardziej oderwanych od tej ziemi, która tu dla wszystkich bożyszczem była«.

Znamy się na tych lotach w promienne sfery rozświetlane błędnymi ognikami dyletantyzmu życiowego. Wiemy jak wiele sił zabrały one i zmarnowały naszemu biednemu społeczeństwu i bez tego tak straszliwie wyczerpanemu, w ciężkiej, przechodzącej nieraz przyrodzone jego siły walce o byt z różnemi przemożnemi potęgami. Nie dziw, że szlachetna autorka-obywatelka, której ten byt społeczny i narodowy w jak najpełniejszym swym rozwoju tak bardzo leżał na sercu, tak stale w duszy był przytomny, całą mocą swego uczucia i swego talentu zwalczała wszelkie zakorzenione bardzo w polskiej naturze dyletanckie i pseudo-idealistyczne nałogi, przeciwstawiając im prawdziwy idealizm pracy i obowiązku z dawnych wierzeń i tradycyi narodu czerpiący swe soki żywotne, na twardym gruncie rzeczywistości obecnej niewzruszenie oparty, ku wielkim zadaniom przyszłości narodowej stale zwrócony.

Taki to jest idealizm stanowiący istotę owej zasady pracy u podstaw, którą w pismach Orzeszkowej uwydatnić tu i oświetlić usiłowałem. Wiem, że nie jest to jedyny motyw twórczości znakomitej powieściopisarki, ale poczytuję go za główny, zasadniczy jej motyw, króry zda mi się donośnem ducha czasu, potrzeb czasu wołaniem, odzywającem się przedziwnie czystymi odgłosami w jednym z najszlachetniejszych, najbardziej kochających serc kobiecych, jakie kiedykolwiek w naszym kraju dla sprawy, dla idei narodowej uderzały.

Zaznaczyłem to na wstępie, wiemy o tem wszyscy, nowszemi czasy słyszeliśmy o tem aż do uprzykrzenia, jak to zasada organicznej pracy u podstaw uległa zwyrodnieniu w teoryach i praktykach wielu swych głosicieli, jak często obniżała poziomy, usamolubniała serca. Wiadomo: najwznioślejsze nawet idee ulegają obniżeniu, czasem zupełnemu zaprzepaszczeniu w pospolitej praktyce życia. Ale zapytajmy czy ta, którą przed ćwierćwiekiem entuzyazmowano się u nas, jako nową, arcydoniosłą zdobyczą świadomości narodowej w swej zdrowej postaci, jak ją widzimy w pismach Orzeszkowej, Prusa, Świętochowskiego, straciła obecnie dawne swe znaczenie. Czyśmy wytrwałą pracą umocnili wszelkie podstawy naszego bytu obecnego, uzupełnili wszelkie braki naszej przeszłości, ugruntowali silne fundamenta dla przyszłych naszych budowli?

O ile to wszystko nie zostało spełnione, ani nawet, co prawda, należycie dotąd rozpoczęte, idea pracy u podstaw w istotnej swej treści nic nie straciła na swem żywotnem znaczeniu a różnostronnie odbita i oświetlona w dziełach znakomitych naszych pisarzy doby popowstaniowej, mimo zmieniających się prądów życia i kierunków literatury, promieniuje z nich światłem uczuć, myśli i dążeń, zdolnych rozjaśnić niejedną krętą ścieżkę, niejeden ciemny zaułek naszego bytu zbiorowego.

Z pism Orzeszkowej promieniuje ona oparta na myśli rozumnej, rozgrzana ciepłem kobiecego serca, rozjaśniona odbłyskami serdecznej intuicyi kobiecej, odgadującej lepiej czasami aniżeli myśl refleksyjna najistotniejsze potrzeby umiłowanych istot.

Powyżej miałem nieraz sposobność zaznaczyć w utworach

powieściopisarki naszej intuicyjnie pochwycone odgłosy potrzeb umiłowanej przez nią tak serdecznie wielkiej zbiorowej istoty społecznej. Nie u wszystkich pisarzy-artystów odgłosy te można posłyszeć, nie u wszystkich dźwięczy przewodni motyw głównej zasadniczej idei. Są tacy, co, zasłuchani wiecznie w mowę własnej duszy, nią tylko przemawiają w swych tworach. Są inni, co, rozmiłowani w gwarnym, wielokształtnym obrazie otaczającego świata, tylko tych gwarów i kształtów dają nam odbicie, nie troszcząc się zgoła o przebrzmiewający je głos idei.

Owóż Orzeszkowa miała zawsze słuch niezmiernie na głos ten czuły, na głos wyrażających się w idei potrzeb czasu. Jako artystka-odtwórczyni życia wrażliwa jest na działanie wielokształtnych i wielogłosowych zjawów czasu i w głównych swych dziełach odtworzyła je z wielką prawdą realną, żywo, wyraziście, po epicku stylizowane na barwnem tle bytowem i obyczajowem. Ale ponad całym powstającym stąd w jej obrazach powieściowych rozgwarem życia brzmiał w niej zawsze i wszędzie donośny, czysty głos idei — brzmiał jako motyw przewodni we wszystkich jej natchnieniach twórczych nastrajając je na pewien zasadniczy ton sharmonizowany z najistotniejszymi tonami własnego jej serca. Dzięki temu dała nam nie tylko piękne d z i e ł a sztuki, lecz także piękne d z i e ł o życia — jednolitą myślą dążeń życiowych przeniknięte dzieło miłości, na gruncie szczeropolskiego i szczero ludzkiego uczucia oparte, przez talent twórczy artystycznie ukształtowane.

Walery Gostomski.

DZIEJE FILOMATÓW W ZARYSIE.

(Ciąg dalszy).

W Przyjaciołach widzi Piasecki związek obywatelski, który winien wprowadzić pracę Filaretów na wyżej wspomniane tory, ułatwiać członkom nauki, sposobić ich do przyszłych funkcyi, udzielać niezamożnym wsparcia i wszelkich pomocy. Wchodząc do Przyjaciół, każdy Filareta ma zdać egzamin w komitecie naukowym, złożonym z ludzi kompetentnych, którzy po ścisłem zbadaniu funduszu, usposobienia i zdolności kandydata, postarają się wskazać mu drogę najwłaściwszą, na jakiej potrafi najlepiej wypełnić obowiązki prawego obywatela i dobrego Polaka.

Wogóle w działalności Przyjaciół zaznacza Piasecki dwie główne sfery działań; pierwsza dotyczy pracy nad postępem i rozwojem Filaretów, druga, nierównie rozleglejsza, obejmuje opiekę nad całym krajem, nad wszystkiemi warstwami społecznemi, opiekę, której pierwszym wyrazem stać się mają wiadomości statystyczne oraz plany instrukcyi szkolnej.

Projekt powyższy urzeczywistnia się w związku Przyjaciół, który przybiera nową nazwę Filadelfistów i rozdziela się na dwa stopnie: Czerwonych i Błękitnych. Pierwsi, czyli dawni Przyjaciele, przy współudziale i pod bezpośredniem kierownictwem Filomatów, trzymają w ręku główny ster działań obywatelskich, drudzy stanowią klasę pośrednią pomiędzy nimi a Filaretami, złożoną z delegowanych tu członków klasy Czerwonej oraz z nowowprowadzanych osób; tu spoczywa cały kie-

runek prac filareckich. Grono Filomatów wraz z prezydentem i radcami, formuje najwyższy rząd organizacyi, przyczem w skład jego wchodzi proponowany jeszcze w roku zeszłym członek związku Przyjaciół, Stanisław Kozakiewicz; zamyka on ostatecznie listę głównych kierowników związkowości.

Że nowa organizacya powstała już w marcu 1822 r., świadczą dwa (jedyne, jakie się z tych czasów dochowały) protokóły posiedzeń Filadelfistów Błękitnych, 20 marca i 4 kwietnia 1822 r. Prezydentem jest Tomasz Zan; członkami — Porębski, Chodźko, Domejko, Adam Mickiewicz, Piasecki, Mojszel, Budrewicz, Kozakiewicz, Jurewicz, Łoziński, Czeczot, Jeżowski, Morawski, Kowalewski, Pietkiewicz; najbliższymi kandydatami z pośród Filaretów — Pol, Łukaszewicz, ksiądz Lwowicz, Welke, Heydatel, Nowicki, Krynicki i Aleksander Mickiewicz. Czterem ostatnim udzielony został obrzęd wprowadzenia na drugiem z wyżej wymienionych posiedzeń, przyczem prezydent, po włożeniu na nich błękitnej wstęgi, godła związku, przywitał uroczystą, pełną zapału przemową:

»Pierwej krew z piersi waszych wytoczona«, woła on z głębokiem przejęciem, »odmieni kolor tej przepaski, nim sekret nasz wydacie, nim odmienicie swoje zamiary, nim zgwałcicie przysięgę uczynioną, nim przestaniecie być Polakami, którzy swojego znaczenia, chwały i szczęścia wydartego poszukują. Niechaj ten znak przypomina wam na zebraniu, iż wzajemną miłością i zgodą rosną i wzmacniają się działania, iż przesądy i upór tamują bieg i opóźniają korzyści chwalebnego zjednoczenia się, iż miłość własna musi być poświęcona wspólnym widokom i zdaniom. Jeszcze raz zbliżcie się do mnie, abym was mojem uściśnieniem za wszystkich naszych braci powitał, jako dozgonnych przyjaciół, z którymi we wspólnej pracy, cierpieniu i szczęściu, w trudach i działaniu żyć i umierać będziemy dla podniesienia nauk, dla wspierania i uszczęśliwienia kraju, dla pożytku i chwały współziomków, dla ludzkości. Do porządku! oto są przyjaciele i bracia nasi, Filadelfiści stopnia 1-go«.

Przemowa powyższa świadczy wymownie o nowym zwrocie do ustroju związkowości, o nieznanych dotąd formach, znakach

i obrzędach, które nadają czynnościom cechę tajemniczej, uroczystej powagi i działają żywo na umysły wrażliwsze. Poza tą szatą zewnętrzną, ułożona na prędce organizacya Filadelfistów stawi za główną zasadę pracę nad sobą, nad własnem udoskonaleniem, oraz opiekę nad Filaretami, kształcenie ich na godnych synów ojczyzny i pożytecznych członków społeczeństwa. Organizacya ta jednak stanowi zaledwie pierwszy zarys projektowanych reform, koniecznych wobec przeświadczenia, że nierówność w umysłowym i moralnym rozwoju Filaretów, większe ich lub mniejsze usposobienie do przyszłych działań wysuwa na pierwszy plan potrzebę ścisłej klasyfikacyi i podziału związków na wyższe i niższe stopnie, a tem samem zmian w całym systemie organizacyjnym.

Że istniały liczne pisma członków w tym względzie, świadczą pobieżne wzmianki w dokumentach archiwalnych, rąk jednak naszych doszły tylko dwa projekty Stanisława Kozakiewicza, obszerne, wyczerpujące i prawdopodobnie przyjęte w głównych swych punktach.

Pozostawiając obecny podział naukowy, omawia on tu organizacyę administracyjną towarzystwa przy uniwersytecie, w którym pragnie ustanowić pięć oddzielnych, a przecież ściśle z sobą związanych klas.

P i e r w s z a, n a j n i ż s z a powstanie z nowoprzyjmowanych członków, oraz z tych Filaretów, którzy, jako mniej gorliwi, mniej też zaufania zyskali. Obowiązki, wyłącznie naukowe, obejmą doniesienia o wychowaniu domowem i szkolnem, sprawozdanie piśmienne ze słuchanych wykładów oraz łatwe wypracowania. Poza tem, członkowie winni uczęszczać na kursa naukowe Towarzystwa i uczyć się języków wykładanych przez osoby z wyższych stopni. Członkowie klasy drugiej, obowiązani bywać na posiedzeniach pierwszej w pełnym komplecie, kierują zatrudnieniami i wyborem nowych członków. Z pismami zachowuje się największą ostrożność.

K l a s ę d r u g ą złożą pilniejsi, gorliwsi i więcej usposobieni Filareci. Prócz wspólnych ze stopniem pierwszym posiedzeń naukowych, odbywać oni będą co miesiąc posiedzenia administracyjne, a to dla wyboru osób, mogących dawać korepetycye, naznaczenia

materyi do ćwiczeń, decyzyi o przyjęciu nowych kandydatów. Każdy związek filarecki rozdziela się na dwie wyżej wskazane klasy; niema tu żadnych form i obrzędów, a warunkiem przejścia z pierwszej do drugiej jest pismo konkursowe.

Właściwa administracya spoczywa w rękach Filadelfistów Błękitnych czyli klasy trzeciej, której delegaci, ukryci pod postacią członków, znajdują się w stopniu drugim i kierują nim zręcznie i nieznacznie. Błękitnik też przewodniczy w charakterze prezydenta obu niższym stopniom.

Tu Kozakiewicz rozwija i dopełnia dziś zaledwie pobieżnie skreślone obowiązki Filadelfistów Błękitnych, którzy stanowią zarazem stopień przygotowawczy do Czerwonych i rząd zgromadzenia Filaretów. Tu wchodzi komitet naukowy i skupia się znaczna część władzy prawodawczej. Członkowie winni zająć się wyszukaniem dróg, mogących zapewnić Towarzystwu wzrost i pomyślność, naznaczać delegatów do niższych związków i czuwać pilnie, by powzięte tam postanowienia zgadzały się z duchem organizacyi. Błękitnicy wiedzą o istnieniu wyższego związku i dobrowolnie poddają się jego władzy, którą wyobraża naczelnik przez Czerwonych naznaczony; pomocnikami jego są delegaci Czerwonych, znani Błękitnym tylko jako zwykli członkowie. Nowowchodzący przyjmują się w sposób pontyfikalny. Naczelnik mianuje radców, naturalnie z pośród delegatów Czerwonych i formuje wraz z nimi klasę czwartą, która zatwierdzać ma obiór członków we wszystkich klasach, sankcyonować uchwały, ogłaszać korespondentów i sprawować całą władzę wykonawczą.

Piąty, najwyższy stopień towarzystwa przy uniwersytecie stanowi związek Filadelfistów Czerwonych; on kieruje całą organizacyą i łączy się bezpośrednio z Filomatami czyli właściwym rządem, który wywiera wpływ swój przez członka, trzymającego ster u Czerwonych. Tu spoczywa władza prawodawcza i organizacyjna, rozpatrują się wszelkie wniesienia i projekty, lecz ostateczną decyzya w rzeczach większej wagi należy do Filomatów, powiadomionych o przebiegu czynności przez raporty prezydującego.

Tak się przedstawia w głównych zarysach skreślony przez

Stanisława Kozakiewicza plan przyszłej organizacyi. Pozostaje do rozwiązania kwestya, jak wprowadzić ją w czyn, jak zreformować Filaretów, nie wzbudzając w nich zniechęcenia i podejrzeń, i uniknąć łatwego do przewidzenia oporu wobec konieczności podziału związków na dwie klasy i przeniesienia do niższej kilkudziesięciu osób. Wychodząc z zasady, że członkowie nie zechcą zrzec się dobrowolnie posiadanych przywilejów, Mickiewicz radzi użyć coprawda gwałtownego, lecz najskuteczniejszego w tym razie środka, rozwiązać Filaretów zupełnie, a po dwóch tygodniach przerwy, wzbudzić organizacyę według nowego systemu. Młodzież, pełna żalu za zniszczoną związkowością, będzie się garnąć z zapałem do nowego stowarzyszenia, a zdziwienie wobec ustalonych tam już porządków, ciekawość, co się wyżej dzieje, stanie się nowym bodźcem do pracy.

Za projektem powyższym oświadcza się Kozakiewicz i prawdopodobnie większość Filomatów, a w myśl decyzyi ich zgromadzenie Filaretów zostaje rozwiązane z powszechną boleścią związkowych, nie mogących zrozumieć przyczyny tego kroku. Wznowienie jednak czynności projektowane za dwa tygodnie, wskutek niepomyślnych okoliczności, odwleka się aż do następnego 1823 roku.

Rozpoczęta reforma Towarzystwa przypada właśnie w czasie pobytu w Wilnie księcia Czartoryskiego, na którego poparcie we względzie swych naukowych projektów mogli liczyć Filomaci tem pewniej, że wracał on z zagranicy, gdzie mając sposobność zwiedzenia wyższych zakładów naukowych, mógł lepiej ocenić wszystkie braki wszechnicy wileńskiej, a zwłaszcza potrzebę docentów i publicznych korepetycyi. Nadzieje te, potwierdzone wizytą kuratora na lekcyi Jeżowskiego, napełniają radością serca związkowych, nie przewidujących usiłowań strony przeciwnej, zwolenników starego porządku rzeczy, którzy utwierdzają się w przekonaniu, że skasowana promienistość trwa w ukryciu i jednoczy młodzież, pragnącą rządzić starymi. »Szukano zręczności objawienia tych myśli kuratorowi«, pisze Kozakiewicz, »i na obiedzie u Śniadeckiego szczęśliwie ją upatrzono. Na takie głosy odpowiedział książe Adam: »Wskażcie osoby, a ja ukarzę«. »Przy

całej przychylności dla usiłowań młodzieży nie mógł on ze stanowiska swego uprawnić stowarzyszeń, przez władzę wyższą na zbrodnię uważanych, szczerze jednak pragnął, jak to widać ze słów tego samego Kozakiewicza, by cała sprawa nie wyszła poza obręb murów uniwersyteckich. Śledztwo, powierzone komisyi złożonej z trzech profesorów, księdza Kłagiewicza, Bojanusa i Łobejki nie pociągnęło też zrazu żadnych kompromitujących następstw. Po ścisłej rewizyi papierów Mickiewicza, Łozińskiego i Zana oraz ich ustnych odpowiedziach, wciągniętych do protokółu, komitet przesłał księciu kuratorowi raport, gdzie przedstawia promienistość, jako stowarzyszenie dostarczające młodzieży odpowiednich rozrywek w zamiarze odciągnięcia jej od bilardów i innych szkodliwych a niestosownych zabaw. Zebrania odbywały się za wiedzą i pozwoleniem rektora, po cofnięciu zaś takowego ustały i żadnych śladów dalszej, tajemnej egzystencyi promienistych komitet nie odkrył. Raport ten, przesłany kuratorowi, świadczy wymownie o życzliwości profesorów dla sprawy studenckiej, ścisłe bowiem dochodzenie mogło z łatwością wprowadzić na trop całej organizacyi. Znaleziony u Łozińskiego regestr uczniów uniwersytetu, gdzie nazwiska związkowych oznaczone były literami »fil«, rubryki, jak oceniać zalety moralne członków i rozprawa z nadpisem »posiedzenie dziewiąte — wzbudziły mocną wątpliwość co do lojalności badanych. Łoziński wyjaśnił, że wyraz »fil« znaczy filozof — nazwa dana pilniejszym kolegom, że rubryki dotyczą uczniów potrzebujących wsparcia, a posiedzenie dziewiąte, oznacza dziewiątą dyskusyę pomiędzy Łozińskim, Budrewiczem a Pietraszkiewiczem, przygotowującymi się wspólnie do egzaminu na stopień magistrów. Tłumaczenie to, mocno naciągnięte, nie mogło całkiem usunąć podejrzeń, zwłaszcza, że w ręce komisyi wpadł egzemplarz instrukcyi statystycznej, wydrukowanej w 1821 roku bez cenzury, kosztem Towarzystwa. Zan, zapytany znienacka, wyznał dość niezręcznie, że podobny egzemplarz widział u Sobolewskiego, a niebezpieczeństwo dalszego śledztwa odwrócił dopiero Franciszek Malewski, komunikując prywatnie ojcu, że on był głównym kierownikiem utworzonego przez Towarzystwo komitetu statystycznego. Miłość ojcowska przemogła,

instrukcyę oddano zapomnieniu, a w raporcie do księcia niema o niej żadnej wzmianki.

Tak więc, gotowa wybuchnąć już burza przycichła, pozostawiając wszelako wśród profesorów mocne podejrzenie i ślad organizacyi studenckich, wśród związkowych zaś zdwojoną ostrożność i obawę wznowienia przerwanych skutkiem reformy zajęć. »Napletli wiele złego przed księciem i przed naszym dziadulą[1]«, pisze w tym czasie Czeczot do Pietraszkiewicza, »książe kazał dochodzić, Szeroka i Adama rewidowano. Naturalnie nic znaleźć nie mogli, ale co to za podłość niewinnych tak haniebnie prześladować. Instrukcyę statystyczną, którą masz, jeśli z niej nie korzystasz, możesz w ogień cisnąć, bo tu było wiele o nią rwetesu, że nie cenzurowana; ukazywać się tedy na świecie nie powinna. Listy bacznie chować, a lepiej spalić«.

Zachwiana egzystencya Towarzystwa, niebezpieczeństwo dalszego śledztwa wzbudziły myśl szukania opieki i pomocy u osób mogących mieć wobec władzy powagę i znaczenie, a wybór padł na Józefa Twardowskiego – przyszłego rektora uniwersytetu. W tym celu odkryto mu za pośrednictwem Zana istnienie Filaretów i przeczytano ustawy. Gdy jednak Twardowski zapragnął widzieć wszystkie papiery, obawa, czy można tak daleko ufność posunąć i oddać w obce ręce pieszczone owoce swej pracy, sprawiła, że po długich naradach zdecydowano się zatrzeć wszelki ślad posiedzeń i zaspokoić troskliwość przyszłego naczelnika, paląc w jego obecności papiery filareckie.

Auto-da-fé, dokonane według słów Kozakiewicza 27 czy 29 kwietnia 1822 roku nie uspokoiło przecież władz, pozostawiając podejrzenie, że gdzieś w ukryciu musi istnieć tajne, nierównie obszerniejsze archiwum.

Coraz trudniejsze dla egzystencyi Towarzystwa okoliczności spotęgował jeszcze zbliżający się przyjazd cesarza Aleksandra, a złączone z nim szpiegostwo kazało podwoić baczność i nie wznawiać czynności związkowych. Co więcej, ufność pokładana w Twardowskim, przyszłym naczelniku, sprawiła, że przyrzeczono

[1] Rektorem Malewskim.

mu nie rozpoczynać przerwanych posiedzeń bez jego zgody, a przynajmniej bez jego wiedzy. Danego słowa należało dotrzymać, pomimo, że młodzież tęskniła za związkowością, której pożytek i zbawienne skutki teraz najwyraźniej czuć się dały.

Tymczasem zajścia pomiędzy młodzieżą a oficerami gwardyi cesarskiej, niezadowolenie wielkiego księcia Mikołaja, przed którym studenci czapek uchylać nie chcieli i tym podobne drobne wypadki źle usposobiły względem Wilna przybywającego monarchę, a książę Czartoryski, pomimo najszczerszych usiłowań, uprzedzeń tych zmienić nie potrafił. Zawiodła nie tylko nadzieja poparcia kursów naukowych i publicznych korepetycyi, lecz wszelkie projekta reformy szkoły i gimnazyów spełzły na niczem, a przynajmniej poszły w odwłokę.

Wreszcie cesarz wraz ze swą gwardyą opuścił Wilno, Twardowski zaś, zatwierdzony dzięki Czartoryskiemu na stanowisku rektora, skupił ogólną uwagę i oczekiwanie. Myśl wysłania kilku młodych zagranicę, do zakładów naukowych, zdaje się przybierać kształty realne, uniwersytet ogłasza na ten cel subskrypcyę, zbiera ofiary i zaczyna naznaczać kandydatów. Pragnienie, by wybór padł na najlepiej przysposobionych członków Towarzystwa, sprawiło, że za pośrednictwem Łozińskiego, odkryto przed Lelewelem byt związku Przyjaciół, prosząc o wciągnięcie osób doń należących na listę kandydatów. Krok ten zdawał się wróżyć jak najlepsze skutki. Lelewel zajął się żywo sprawą związkowych; kilku z nich cieszyło się już nadzieją podróży i studyów zagranicą, gdy silny zwrot reakcyjny w polityce rządu nadał wszystkim zamiarom i planom zupełnie przeciwny obrót. Nowe ścieśnienia tamujące wzrost nauk, surowy zakaz wyjazdu do uniwersytetów zagranicznych, obróciły w niwecz wszelkie plany, nie pozostawiając nic, prócz niepotrzebnego wyjawienia związku Przyjaciół.

Tak więc wszelkie nadzieje pomyślnego i nawpół jawnego rozwoju związkowości, rozbiły się o twardą rzeczywistość; należało szukać nowych dróg i nowych środków działania. Gdy to przygnębiające przeświadczenie zamyka rok szkolny, gdy Filomaci stoją niejako na rozdrożu, niepewni dalszego rozwoju swej pracy, spada na nich cios nowy, najcięższy i najboleśniejszy, bo

zachwianie jedności i zgody, rozłam wewnątrz Towarzystwa. Sprzeczka o rzecz bagatelną pomiędzy Piaseckim a Mickiewiczem, popędliwość pierwszego a zdenerwowanie Adama — sprawiły, że błahe zajście omal się śmiercią obu nie zakończyło, a w bratnie grono Filomatów wniosło rozdźwięk, gniew i żal. I sercem, pełnem goryczy, zranionem zarówno wypadkami zewnętrznymi jak wewnętrznymi, opuszczano Wilno w cięższych niż kiedykolwiek warunkach, bez planów na przyszłość i bez nadziei chwil pomyślniejszych.

C. d. n.

St. Pietraszkiewiczówna.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

Ksiądz Marek w dziełach J. Słowackiego i A. Mickiewicza. *Józef Kantor.* Jarosław 1909. 8-ka, str. 58.

Faktem niezaprzeczonym jest, iż w chwilach upadku narodów wielkich Bóg zsyła jednostki wielkiego ducha, iżby starały się naród podźwignąć, a bodaj były dla potomnych pomnikiem żywym, iż wśród rozkładającego się społeczeństwa krążyły jeszcze soki żywotne, które usiłowały materyę złą, zepsutą wydalić z organizmu. Od czasów najdawniejszych, od Jeremiaszów narodu wybranego aż po wieki najnowsze zjawisk tych świetlanych błysło bardzo wiele. Że nie zdołały one wstrzymać wypadków ich biegu, że głosy ich były głosem wołających na puszczy – ta rzecz nie wchodzi w zakres niniejszego roztrząsania. Takiego męża opatrznościowego zesłał Bóg w momencie agonii Rzeczypospolitej...

Ksiądz Marek, którego wieść gminna postawiła obok Wernyhory i otoczyła proroczym urokiem, bo wśród ówczesnego zamętu, zniszczenia i rzezi humańskiej, stanął on sam jeden, potężny siłą ducha, rozgorzałego ogniem wiary i miłości ojczyzny, nie mógł nie przejść do poezyi naszej, zwłaszcza emigracyjnej, w chwilach, kiedy poeci nasi ulegać zaczęli wpływowi doktryn Towiańskiego, kiedy naród ciągle zadawał sobie pytanie: za co Bóg skazał go na zagładę?

Konfederacya barska była ostatnim aktem starej, szlacheckiej Polski, w której kwitła jeszcze w całej pełni wiara katolicka, nie zarażona racyonalizmem francuskim ani doktrynami encyklopedystów. Powołały ją do życia wielkie cnoty obywatelskie, przesądy jednak nie

pozwoliły na rozwinięcie się temu ruchowi wolnościowemu, a duma i prywata magnatów go unicestwiła lepiej od bagnetów rosyjskich. Pamiętajmy tedy, że konfederacya wypisała na swoim sztandarze walkę w obronie wiary katolickiej i niepodległości ojczyzny! Konfederaci przywdziali na się ryngrafy z wizerunkiem Najśw. Maryi Panny na zwierzchniej i wyobrażeniem krucyfiksu na odwrotnej stronie. W ich to szeregach powstała pierwsza polska pieśń patryotyczna, która kiedyś miała wołać błagalnie o wolność ojczyzny przez usta Felińskiego, ażeby potem z dymem pożarów i kurzem krwi bratniej uderzyć w bramy niebieskie:

Matka łaskawa, tuszą, że się stawi,
Dzielnością swoich rąk pobłogosławi;
A że gdy przybraną —
Będę miał wygraną
Wiary obrońca.

. . . . . .

Niech nas nie ślepią światowe ponęty,
Dla Boga brońmy wiary Jego świętej,
A za naszą pracą —
Będzie wszystką płacą
Żyć z Bogiem w niebie.

Ta pieśń, pełna gorącego zapału, wiary i miłości ojczyzny, była sztandarem, który te zastępy »Maryjne« wiódł do bojów, wyrabiała z nich »zelantów«, widzących przed sobą jeden tylko cel: »rekrutem« Bożym zostać i jedną nagrodę: »żyć z Bogiem w niebie«. Takie było rycerstwo polskie w chwili rozpadania się wielkiej Rzeczypospolitej.

Boje konfederacyi barskiej, które w oczach ówczesnego pokolenia urosły do rozmiarów walk krzyżowych, nęciły nieprzeparcie cały szereg poetów i powieściopisarzy, zwłaszcza że naczytali się dosyć o nich w dziełach pamiętnikarzy. Nie dziw, że indywidualności tak wrażliwe, jak Mickiewicza i Słowackiego, nie oparły się urokowi czynów owych nieustraszonych rycerzy Maryi, którzy z jej imieniem na ustach szli bronić honoru narodowego.

W rozdziale drugim swojej pracy zamierzył p. Kantor podać w krótkich zarysach główne zarysy nauki Towiańskiego. Pominąwszy tę okoliczność, iż rozdział ten jest tu najzupełniej zbędny, niepodobna przemilczeć, iż został napisany nie na podstawie źródłowej, lecz jest waryacyą tego, co Tarnowski, Tretiak, Kallenbach, Chmielowski, Pawlikowski i inni w tym przedmiocie pisali. Tymczasem wszyscy ci uczeni z wyjątkiem prof. Pawlikowskiego nie mogli wyzyskać tak ka-

pitalnych prac o Towiańskim jak d-ra Mazurkiewicza i Tancredi Canonico (zbiór dokumentów włoski), bez uwzględnienia których o Towianizmie dziś pisać nie wolno. Co gorsza autor nie uwzględnił tak znanych bodaj źródeł, jak publikacye aktów, odnoszących się do Towiańszczyzny, wydane przez p. Wład. Mickiewicza, lub też materyałów, zamieszczonych w dodatkach do »Żywotu A. M.«, ogłoszonych przez syna poety. To też rozdział ten wolimy pominąć milczeniem, jako że nie przynosi on nic nowego, na zbijanie zaś bałamuctw szkoda miejsca i czasu.

Nauka »mistrza« Towiańskiego nie wywołała w duszy Słowackiego jakiegoś nagłego, gwałtownego przewrotu, o czem można przekonać się najlepiej z rozwoju twórczości jego. Sam bowiem mistycyzm o niczem jeszcze nie świadczy. Marzycielem-mistykiem był bowiem Słowacki od lat wczesnej swej młodości, kiedy rozmarzały go wizye Svedenborga, za któremi zaczął wierzyć w duchy, idące w światłość lub w ciemność, aż wreszcie wiara ta zakorzeniła się głęboko i na zawsze w jego duszy. Na wzrost mistycyzmu podziałał ogromnie Wschód, noc zaś, spędzona bezsennie u grobu Zbawiciela, była, jak się trafnie wyraził prof. dr. Tad. Grabowski, »nocą mistyka«. Z tej podróży wyszedł Słowacki duchowo głębszy i zaczął szukać dla siebie jakiegoś dogmatu, a wdziawszy szatę Chrystusową, przekonał się, że musi być aniołem, jako lilia, czystym, a przedewszystkiem starać się o tę czystość i doskonałość. W tem cała istota anhellizmu, gdyż Anhelli — to dusza, idąca przez cierpienia, przez ofiarę serca czystego ku Bogu, a Eloe — to już anioł, który wzniósł się do doskonałości, do jakiej winien dążyć każdy.

Rozczytywanie się w Piśmie św. wprawiło jego wizyonerskiego ducha w stan podniecenia prawie ekstatycznego, nadając mu wyraz nieziemski. Lektura zaś Dantego każe mu wziąć na siebie rolę posłannika prawdy i odtąd poezya jego miała wykonywać apostolstwo mistyczne, które mówi do tłumu z trójnoga, gdyż posiadło prawdę. Stąd sny symboliczne o osobach i wydarzeniach z przeszłości. Teraz dusza poety pokochała to, co ogólne i bezbrzeżne, a poza tem widziała tylko próżność i złudzenie, starając się wyrozumieć rzeczy, odgadywane innymi sposobami na próżno, oraz wierzyć, jak dziecko, jak asceta, bezwzględnie i potężnie. To też poezya jego nabierała cech objawienia, Słowacki zaś zapragnął stworzyć dzieło, pełne głębi majestatycznej, które jemu dałoby wielkość, ludzi zaś wyanieliło i przerobiło na miarę bohaterów. On sądził, że »wybiła prawdy godzina«, w której skończył

się ucisk serc, że świat przemieni się i zmartwychwstanie w duchu, wierzył wreszcie w żywot Polski...

W nauce tej »znalazł wszystko, — jak powiada w liście do matki — co śnił, ale logicznie powiązane, ale religijne«. Istota, praca i cele ducha zajmowały go najwięcej, czego dowodem »Genezis z Ducha«, o której sądził, iż została mu objawioną przez duchy. Nie objaśnił tutaj nauki Towiańskiego, ile własne myśli, chcąc wyrazić pogląd własny na świat ducha. Mając zaś na oku miłość Boga i ludzi, musiał starać się, żeby zwykłych »zjadaczy chleba w aniołów przerobić«. Jak zaś szczytnie pojmował wówczas powołanie poety, na to najlepszym dowodem, iż oceniając wartość dzieła poetyckiego stawiał sobie pytanie, czy mógłby je twórca czytać wobec Chrystusa? I jeżeli dawniej podniety do tworzenia przychodziły poecie z zewnątrz zazwyczaj, to teraz były one wynikiem drgnień jego ducha, kiedy wierzył, iż

Bóg swoją mocą ku mnie nachyloną
Napełnia pieśnią to maluczkie łono
Pod Jego wielką mocą trzymam pióro...

Odtąd spokój i cisza zaległy serce poety, który uznał za zadanie swoje wyplenianie z dusz chwastów lenistwa, zniechęcenia do pracy dla ojczyzny, gdy tworzył »Króla-Ducha«, wiodącego naród swój przez męki i walki z hufcami szatanów do tej Polski, która będzie... Jaką jednakże ona być miała?... Czyż wiedział?!

W takim nastroju dusznym trwając, wyprowadził Słowacki księdza Marka po raz pierwszy w »Beniowskim«, postać, mającą dar czynienia cudów nad opornymi, ludźmi małego ducha i małej wiary:

Ja was tu jednym znakiem krzyża skruszę
I na tem miejscu krwi popłynie rzeka
Gdzie stają...

Ale obok uczucia pokory, kiedy o sobie powiada, iż jest »garsteczką prochu« jeno, ma ksiądz Marek Słowackiego rysy, nie zgadzające się wcale z jego wyższością duchową, a zwłaszcza rubaszność, kiedy pisze list, pełen przekleństw na opornych konfederatów, zostawiających Bar na pastwę wroga...

W dramacie wreszcie p. n. »Ksiądz Marek« — poeta, jak to trafnie określił dr. Grabowski, — oderwawszy się od współczesnego materyalizmu, wskazał drogę do odrodzenia ojczyzny tak idealną, że, aby nią dążyć, trzeba ku niebu się wznosić, czystym być. Tutaj dopiero zaczął rozwijać swój program, którym jest dążenie do wewnętrznej doskonałości, pogarda zmysłowości, odrzucenie pokus zewnętrznych...

Jak przedstawia się ksiądz Marek w »Konfederatach Barskich« Mickiewicza, dramacie, który nas doszedł w fragmencie jedynie? Jakim wyobraził sobie tę wspaniałą postać ten, który tak zachwycał się księdzem Markiem w swoich wykładach paryskich literatur słowiańskich w Collége de France?

Ksiądz Marek występuje w akcie pierwszym, jako więzień rosyjski, o czem nawet nie wie sam jenerał, sądząc, że ten emisaryusz-zakonnik, którego ręku »szabla dobrze znajoma«, a blizny na czole nie są wcale »seraficznemi«, znajduje się o kilkadziesiąt mil od Krakowa. Ale wie o jego uwięzieniu konfederacya, na skutek której starań jenerał rosyjski każe bezwłocznie uwolnić mnicha z więzienia, nie przywiązuje bowiem do osoby zakonnika tak wielkiej wagi. O przypodobanie się zaś konfederatom chodzi mu niemało.

Na drugi tydzień zjawia się O. Marek w Tatrach, gdzie Pułaski i Choisy organizują oddziały konfederatów. Zawiodła go tutaj jakaś wyższa wola, to też nie ma on w sobie tej siły natchnienia, tej mocy nad wszystkiem, jaką chciałby mieć w tak ciężkiej a ważnej chwili dla ojczyzny. To też kiedy Pułaski zamyśla przedsięwziąć wyprawę na Kraków, O. Marek hamuje jego zapał, bo nie wystarcza mieć zapał do walki z wrogiem, ale trzeba jeszcze mieć przytomność umysłu. To już nie ten sam, zdaje się, kapelan, który niedawno wołał w Barze, iż nie w szablach trzeba pokładać nadzieję, ale w Bogu! Ma wprawdzie O. Marek i teraz jedyną tylko pomoc, głęboką wiarę w Boga, lecz czuje, że teraz Bóg nie wsparłby go swoją mocą tak, jak go niegdyś podtrzymywał w Barze, na Litwie i na Ukrainie, za którą tęskni i w której siły wierzy niezłomnie.

Pomimo tej zimnej rozwagi przypomina sobie ślub, złożony dawniej Bogu: »służyć sprawie służbą dozgonną« i walczyć, dopóki ukochana córka Kościoła, — Kraków — nie uwolni się od schizmatyków. To też teraz, jak prorok natchniony, wznosi się coraz wyżej na skrzydłach głębokiej wiary w lepszą przyszłość ojczyzny, zagrzewając wszystkich:

. . . . . Dopełniajcie miary
Ofiar i trudów! Wielki się odbywa
Akt przed obliczem świata. Rzecz prawdziwa,
Sprawiedliwości przyjście, tryumf wiary!...

Wielkie natchnienie patryotyczne potęguje się z każdą chwilą w księdzu Marku, toż z ust jego padają słowa gorące, jako żar ognisty,

gotowe spalić ogniem swym wszystko. Jak prorok Pański, jako drugi Skarga woła:

O tryumfujcie! czyńcie sobie gody!
Oto, ze złości waszych pełną miarką
Zstępując Pańscy aniołowie znoszą
Wielką moc gniewu. Oto wielkie wody
Poczną się dźwigać w górę i rozwierać
Paszcze ogromne. Oto, z chmur całunów
Zagra powszechna orkiestra piorunów,
Idą was topić, idą was pożerać
Ze wszech stron razem wszystkie śmierci świata.
Oto, z chorągwią krwi i błyskawicy
Gniewu Pańskiego ogłoszenie lata.
Drżyjcie, złoczyńcy! drżyjcie, schizmatycy!

Równie groźnej i potężnej wizyi nie masz w całym dramacie Mickiewicza. O. Marek już do końca aktu drugiego nie wznosi się tak wysoko w sfery zaziemskie, skąd mu Bóg daje moc cudów, jasnowidzenia i dar proroczy, — a słowa jego grzmią tak, jak pioruny zatraty w dzień Sądu Ostatecznego!

Po raz drugi widzimy księdza Marka w chwili, gdy oddział górali i strzelców ma wyruszyć na zdobycie zamku krakowskiego. Smutek go jednak ogarnia i gorycz, gdy widzi tę gromadę, idącą na wroga z krzykiem pustym, a krzepiącą się nie modlitwą lecz — winem. To też grzmi gromowym głosem:

Z czemże idziecie na mocnego wroga?
Z krzykiem? — Spytajcie różnych prób krzykaczy,
Co krzyk przeciwko Moskalowi znaczy?
. . . . . Na moc złego
Jest moc dobrego; a ta moc ma w Bogu
Fabrykę główną i magazyn główny...

Siłę zaś trzeba zdobywać duchem własnym, wyplenianiem kąkolu z serc, czystością uczuć i gorącą wiarą w Boga i w zwycięstwo. I teraz on cichy, pokorny mnich wznosi modlitwę do Stwórcy i Rodzicielki Syna Jego, by ulitowała się nad ludem, który klęczy przed Nią, »jak kwiaty w posusze«:

Wstaw się za nami! Nie dopuść, ażeby
Naród pod nożem padł, jak jeden człowiek!
Objaw nam sposób ojczyzny zbawienia!

Podniosły był nastrój księdza Piotra z III-ciej części »Dziadów«, który pokorą swoją uzyskał jasnowidzenie losów Polski. Ten sam na-

strój odznacza księdza Marka, tylko poeta dał mu już nie samą tylko moc jasnowidzenia, ale moc czynienia cudów, władzę nad duszami konfederatów, by ich upominaniem wieść do Boga. Mickiewicz przedstawił go w dramacie takim, jakiego sylwetkę nakreślił w jednej z prelekcyi paryskich, w której nazywa księdza Marka »natchnionym prorokiem, którego głowę szanowną otacza wieniec światła«, a dalej »apostołem i męczennikiem wzniosłej idei«.

Zrazu O. Marek Mickiewicza jest tylko człowiekiem wyższym nad otoczenie. Zaczął działalność swoją jako świątobliwy, a sprawie ojczyzny oddany mnich-asceta, potem kapelan Polski wojującej, aż wreszcie na skrzydłach czystej a głębokiej wiary wznosi się coraz wyżej ku duchom, otaczającym Boga.

Apostołem i męczennikiem nowej idei jest O. Marek dopiero u Słowackiego. U niego bowiem, jak się ślicznie wyraził prof. Tarnowski, wyszła postać ta czcigodna »na pół z konfederackich tradycyi, a na pół z Żywotów Świętych i Złotej Legendy«. Wzniósł się on w wyżyny niebosięgłe i stał się męczennikiem, byle duchom silnym zapewnić ojczyznę. Ale, jak O. Marek Mickiewicza kończy modlitwę swoją groźbą i przekleństwem dla tych, którzy cofają się w walce o niepodległość ojczyzny, O. Marek Słowackiego odzywa się z większym majestatem w chwili, w której wszystko zdaje się być straconem na zawsze, słowami tak wzniosłemi: »Pan zwycięża!«

Dr. St. Zdziarski.

O filozofii średniowiecznej. Wykładów sześć. *Prof. dr. Kazimierz Twardowski.* Lwów 1910. Str. 138 oraz mapka Europy.

Prof. Twardowski sprawił nader miłą niespodziankę miłośnikom filozofii wypełniając swymi sześciu wykładami o filozofii średniowiecznej lukę może najdotkliwszą w arcyubogiej naszej literaturze filozoficznej. Prawda, że jedna jaskółka nie robi jeszcze wiosny; ale i to nie ulega wątpliwości, że nas cieszy jej widok, bo zapowiada on przybycie innych jaskółek w większej gromadzie i ustąpienie zimy wiośnie upragnionej. Oby i książka prof. Twardowskiego była ową jaskółką szczęśliwą, zapowiadającą u nas zmianę sądów o wartości myśli filozoficznej w okresie średniowiecza! Na Zachodzie już od dawna nauczono się patrzeć inaczej na dorobek okresu wspomnianego, aniżeli przez pryzmat, skonstruowany ręką pisarzy protestanckich; nasze społeczeństwo, niestety, zwykło jeszcze oceniać owe czasy z tego kąta widzenia, jaki wskazał polski tłumacz Schweglerowskiej »Historyi fi-

lozofii« (Warszawa 1863). Chcąc dać społeczeństwu naszemu pojęcie o wartości filozoficznych dociekań w wiekach średnich, umieścił ów tłumacz niefortunny taki dopisek na str. 161: »Aby dać czytelnikowi przykład owych niedorzecznych kwestyi scholastyków uczonych przytoczę z nich parę, a i te zdolne będą niesmak obudzić w każdym zdrowo i po chłopsku myślącym człowieku. Tak np. rozbierano pytania: czy osioł mógłby być ochrzczony? Czy ciało Chrystusa mogłoby być w Eucharystyi w ten sposób, jak się teraz znajduje, przed jego wcieleniem? Czy Bóg mógłby przyjąć postać kobiety, dyabła, osła, ogórka, krzemienia? i jakim sposobem byłby ogórek nauczał, czynił cuda, na krzyż przybity? ilu aniołów mogłoby usiąść na końcu szpilki?« Musiał jednak ów tłumacz nie bardzo być pewnym co do autentyczności wyliczonych kwestyi, skoro jako na powagę w tym względzie powołuje się na Feuerbacha. Mimowoli przypomina się przysłowie o świadczeniu się cygana swojem dzieckiem. Pyszne to zestawienie, Feuerbach materyalista a znajomość scholastyki!

Dobrze wiem, że jedna książka, choćby napisana z taką znajomością rzeczy, i tak jasno, przejrzyście, jak książka prof. Twardowskiego, nie rozproszy wszystkich bałamutnych a na grubej nieznajomości rzeczy opartych sądów o wartości filozofii średniowiecznej, ani też jeden człowiek nie zdoła odwalić wiekami nagromadzonego rumowiska przesądów, pod którymi spoczywa prawda pogrzebana. Jednak pierwszy krok ku zwrotowi na lepsze już został zrobiony, a komu chodzi o prawdę dziejową, jak niemniej o to, aby nasi pisarze nie ośmieszali się wyrokując tak apodyktycznie o rzeczach albo całkiem sobie nieznanych, albo zasłyszanych z boku, zaczerpniętych z dziesiątej lub setnej ręki, ten z prawdziwą wdzięcznością weźmie do ręki książkę prof. Twardowskiego.

Szan. autor miał zadanie wcale niełatwe do spełnienia, bo jest to na prawdę sztuką umieć przedstawić w sposób jasny, zrozumiale a przytem zwięźle te najróżnorodniejsze, krzyżujące się i nader pogmatwane dzieje myśli filozoficznych w ciągu kilku wieków. Wykład pierwszy daje krótki, może nawet za krótki rys dziejów filozofii starożytnej, z której myśl średniowieczna czerpała, jak roślina ze swego podłoża, soki odżywcze. Wykład drugi daje rzut oka na okres Ojców Kościoła, na owe czasy pierwsze splatania się myśli filozoficznej z treścią religii chrześcijańskiej, oraz wyjaśnia nader przystępnie, co to jest filozofia scholastyczna. Podzieliwszy dzieje filozofii średniowiecznej na 3 okresy: rozwoju, rozkwitu i upadku, omawia szanowny

autor kolejno panteizm, Szkota Eringeny, spór zawikłany o istotę pojęć ogólnych między zwolennikami realizmu przesadnego, umiarkowanego, a między nominalizmem, którego przedstawicielem w owym czasie (XI w.) był Roscelin. Wykład czwarty przedstawia najwybitniejsze postaci na polu filozofii w wieku XIII (Abelard, Aleksander z Hales, Albert W., św. Tomasz z Akwinu, Dante, Piotr Hiszpan). W wykładzie piątym jest mowa o mistyce i jej najwybitniejszym przedstawicielu, św. Bonawenturze, o twórcy późniejszego formalizmu: Dunsie Szkocie, o Rogeryuszu Bakonie, który silnie nawoływał do badania otaczającej nas przyrody miasto rozczytywania się w tem, co inni o niej powiedzieli; zjawia się wkońcu Okkam, najgłośniejszy z nominalistów średniowiecza. Wykład szósty wspomina o rozmaitych prądach, zmierzających do rozbratu filozofii z teologią i przygotowujących filozofię nowożytną. W końcu tego wykładu znajdujemy krótkie *resumé* sporów między teologią a filozofią w średnich wiekach i horoskopy co do stosunku teologii i filozofii na przyszłość. Dodać należy, że książkę czyta się niemal jak powieść historyczną, bo napisana jest rzeczywiście zajmująco, pięknym językiem i jędrnym.

Spodziewam się, że szan. autor nie weźmie mi za złe, jeżeli dla dobra samej książki, tak potrzebnej w literaturze naszej, pozwolę sobie zwrócić uwagę na niektóre usterki rzeczowe, które przy nowem wydaniu, oby jak najrychlejszem, trzeba będzie usunąć.

Na str. 8 należałoby chociaż w kilku wyrazach dać pojęcie dokładniejsze pramateryi. Na str. 13 zamiast »żyjący za Chrystusa« powinno być: »żyjący za czasów Chrystusa«, bo inaczej możliwa jest dwuznaczność. Str. 19 w zdaniu: »Ustalenie poglądów religijno-filozoficznych chrześcijaństwa, dokonane w jednym z najważniejszych punktów na soborze nicejskim, było dziełem Atanazego«, możeby wypadało przed słowami: »dziełem Atanazego« umieścić jakiś wyraz ścieśniający, np. »w wielkiej części, w znacznej mierze« lub t. p., boć przecież nie sam tylko Atanazy św. pisał o Trójcy św., ale i Bazyli św. i kilku innych Ojców Kościoła ówczesnych; więc nie on jeden przyczynił się do lepszego sformułowania pojęć osoby, osobowości, natury, ὁμοουσιότης i t. d. Na tejże samej stronicy jest mowa »o Trójcy, t. j. o Bogu, będącym ojcem, synem (logosem) i duchem św.« Trzeba się trochę liczyć z tem, że gdy mowa o Trójcy, przywykło nasze ucho i wzrok do przydomka: »święta«, bo przecież różne mogą być trójce, choćby pisane zapomocą dużej litery. Również osoby Trójcy św. należy, jako imiona własne, pisać dużemi literami (str. 19, 44 i 45).

Mówiąc o Boëcyuszu (str. 25), zaznacza szan. autor, że jest on »przez niektórych uważany za chrześcijanina«. Wygląda to tak, jak gdyby Boëcyusz na prawdę był poganinem, a tylko niektórzy pisarze chrześcijańscy nieśmiało podawali go za chrześcijanina. Tymczasem rzecz ma się całkiem odwrotnie. Tradycya chrześcijańska stale miała Boëcyusza za chrześcijanina i za męczennika wiary chrześcijańskiej. Przemawia za tem i ta okoliczność, że Boëcyusz, którego ojciec odumarł dość wcześnie, wychowywał się w domu Symmachusa, również poczytywanego za męczennika wiary świętej, a miał też Boëcyusz za żonę Rusticianę, córkę Symmachusa. W tej tradycyi zaczęli robić wyłom uczeni protestanccy: Hand, Obarius, Nitsch (*Das System des Boëtius.* Berlin 1860), Prantl (*Geschichte der Logik im Abendlande.* Bd. II, str. 108), a ich sąd rozpowszechnił Überweg w swej książce: *Grundriss der Geschichte der Philosophie.* (Bd. II. Berlin 1877, str. 110). Wspomniani autorowie posługują się w swych wywodach głównie argumentami *ex silentio,* gdyż Boëcyusz w swej książce: *De consolatione philosophie* ani jednem słówkiem nie wspomina o Chrystusie Panu lub o dogmatach chrześcijańskich. Pomijając tę okoliczność, że to argument bardzo słaby, muszę przypomnieć, że Herman Msener, profesor w Bonn, wydał w r. 1877 książkę p. t.: *Anecdoton Holderi. Ein Beitrag zur Geschichte Roms in ostgothischen Zeiten* (Leipzig), w której zdaje sprawę z odkrytego przez prof. Alfreda Holdera w bibliotece dworskiej w Karlsruhe rękopisu książki Cassiodora: *Institutiones humanarum rerum,* oraz z wyciągu tejże książki, odnoszącego się do Rufiusa Petroniusa, Symmachusa i Boëcyusza. Z tego wyciągu okazuje się, że Boëcyusz napisał: *Librum de sancta Trinitate et capita qaaedam dogmatica et librum contra Nestorium* oraz *Carmen bucolicum* obok wiele innych rzeczy, czysto filozoficznych. Te pisma teologiczne obszernie omówił prof. Krieg z Fryburga p. t. *Die theologischen Schriften des Boëtius* (Köln 1885). Wkońcu rzecz najważniejsza. Oto w znanej książce *Nomenclator* Hurtera (I, 459) czytamy: »Eius cultum ab immemorabili ei praestitum tamquam servo Dei et sancto Martyri Leo XIII decr. 13 Decembris 1883 ex consulto Congreg. ss. Rituum confirmavit«. Jeżeli zaś nawet w podręczniku do historyi filozofii Überweg-Heinze'go (*Grundriss der Geschichte der Philosophie.* I. Bd. IX. Aufl. Berlin 1903, str. 397) pierwotny sąd o Boëcyuszu uległ zmianie, bo zamiast dawniejszego twierdzenia, że tylko niektórzy mają Boëcyusza za chrześcijanina, obecnie czytamy: »Obwohl er Christ gewesen sein soll, findet man in den von ihm

zweifellos verfassten Schriften so gut wie keine Spuren von seinem Christentum«, to dla mnie wprost jest rzeczą niepojętą, jak mógł był prof. Wulf z Lowanium w swej książce *Histoire de philosophie médiévale* (Louvain 1900, str. 162) nazwać Boëcyusza: *le philosophe barbare*. To już na prawdę karygodna niewiadomość.

Zatrzymałem się nieco dłużej nad Boëcyuszem, bo już najwyższy czas, aby zaprzestano czynić ujmę imieniowi męża, mającego i wobec Kościoła i wobec nauki zasługi niepoślednie.

Wobec zwięzłości nie mógł chyba szan. autor przedstawić jaśniej, na czem polega istota sporu o pojęcia ogólne czyli o t. zw. *universalia* w wiekach średnich. Możeby jednak wypadało wyłożyć nieco dokładniej, na czem polegał realizm przesadny Wilhelma z Champeaux oraz konceptualizm Abelarda. Ze słów bowiem szan. profesora czytelnik nie zrozumie, jaki związek upatrywał Abelard między pojęciem ogólnem a bytami jednostkowymi, objętymi rzekomo przez owo pojęcie ogólne, a stąd w dalszym ciągu nie bardzo staje się jasnem, czemu Abelarda zaprowadził jego konceptualizm do twierdzenia, że trzy Osoby Trójcy św. są tylko 3 przymiotami jedynego Boga (str. 54). To było możliwe tylko w tym razie, jeżeli pojęcie ogólne *(conceptus)* nie zawierało w sobie cech, wydobytych abstrakcyjnie z treści spostrzeżeniowej bytów indywidualnych, jeżeli nie pozostawało w związku przyczynowym z tą treścią. Gdyby konceptualizm, jak to szan. autor powiada na str. 53, przyjmował »*universalia post rem* (po rzeczy), gdyż według tego poglądu naprzód istnieją rzeczy konkretne, a dopiero później na ich podstawie wytwarza sobie umysł ludzki pojęcia ogólne« — to konceptualizm nie różniłby się zasadniczo od zapatrywania realistów umiarkowanych na *universalia* inne, i nie powinien był zaprowadzić umysłu tak bystrego, jak był u Abelarda, w szeregi Sabelliusza. O to więc idzie, czy według Abelarda pojęcie ogólne *(conceptus)* powstaje w nas »na podstawie« rzeczy konkretnie istniejącej.

Sylwetka św. Tomasza z Akwinu wypadła w książce prof. Twardowskiego całkiem dobrze, a tylko ramki jej nieco za ciasne w porównaniu ze sylwetkami innych mniej wybitnych osobistości. Może atoli zanadto silne jest twierdzenie, jakoby dwa dzieła św. Tomasza, a to jego: *Summa philosophica* i *Summa theologica* »uchodziły po dziś dzień w Kościele za ostatni wyraz i ostateczne filozoficzne sformułowanie katolicyzmu«. I katolicka teologia posiada swój rozwój, choć nie tak wysoki, jak u innych nauk. Również byłbym za tem, aby nieco inaczej zostało wyrażone twierdzenie, że »niektóre określe-

nia, sformułowane przez Greka i poganina Arystotelesa, stały się dogmatami kościelnymi«, bo w tej formie słowa powyższe mogą być źle zrozumiane i nie być zgodne z prawdą.

Na str. 71 powinno być ośm błogosławieństw, a nie siedm, jak wydrukowano.

Na str. 83 jest mowa o zasłudze Okkama, że wystąpił przeciw »powszechnie przez wieki średnie za wzorem starożytnych przyjętej teoryi poznania zmysłowego... że przedmioty przez nas spostrzegane wysyłają niejako w umysł nasz jakby podobizny, obrazy swoje, a umysł, obrazy te ujmując, poznaje przedmioty, od których pochodzą«. Możeby i te słowa wymagały pewnego zastrzeżenia, bo to pogląd Demokryta i Platona, a nie św. Tomasza i jego szkoły (Por. *S. theol.* I q. 84 art. III et IV).

Wdzięczność się należy prof. Twardowskiemu za wzmiankę o Michale z Bystrzykowa, o Janie ze Stobnicy i o Michale z Wrocławia, bo to na prawdę wstyd, że tak mało co wiadomo szerszemu ogółowi o dziejach filozofii w Polsce z pierwszych czasów istnienia *Studii generalis* w Krakowie.

Sąd szan. autora co do wartości średniowiecznego dorobku na polu filozofii wypadł dość surowo, a tak samo sąd o opiece Kościoła, jako wychowawcy względem wychowanych przez niego ludów. Nie będę się spierał z szan. autorem co do sądu o wartości dorobku na polu filozofii, bo tu dużo miejsca dla sądów indywidualnych zależnie od miary, którą się do tego okresu zechce zastosować. Odnośnie atoli do Kościoła i Jego stosunku do wychowywanych ludów każe prawda historyczna, jeżeli sąd o tym stosunku nie ma być jednostronny, wyznać, że jeżeli »dłoń wychowawcy nieraz zaciężyła dotkliwie na wychowankach; nie zawsze miłość, nie rzadko srogość kierowała sercem wychowawcy« (str. 106), to z drugiej strony i wychowankowie wcale a wcale nie byli potulnemi jagniątkami, a sam Kościół rekrutował swe szeregi właśnie z owych wychowanków niesfornych. Trzebaby zaś napisać cały tom w odpowiedzi szan. autorowi na jego pogląd co do stosunku filozofii i wiary w czasach dzisiejszych i na przyszłość (str. 107). Szan. autor taką daje radę dla usunięcia konfliktów między filozofią a teologią: »Drogę tę wskazała filozofia nowożytna, zwróciwszy się ku zbadaniu podstaw i granic rozumowego poznawania i przekonawszy się, że Bóg i jego stosunek do świata i człowieka nie może być przedmiotem wiedzy rozumowej, lecz jedynie wiary religijnej, że tedy filozofia w sprawach tych wyrokować nie może, gdyż leżą one

poza zakresem jej środków poznawczych. Ograniczywszy w ten sposób w myśl Okkama i Rogeryusza Bacona swe badania do tego, co podlega doświadczeniu, pozostawiła wolne miejsce teologii do rozpamiętywania spraw, leżących poza zakresem doświadczenia. I jeżeli teologia podobnie postąpi ze swej strony i do tych właśnie spraw się ograniczy, nie wkraczając w sferę zagadnień, podlegających rozumowi i badaniu naukowemu, znikną między filozofią i wiedzą świecką wogóle, a teologią wszelkie powody starć i walk. Skoro teologia pójdzie za temi wskazówkami filozofii, będzie można powiedzieć, że filozofia w zamian za przysługę, którą teologia oddała jej w wiekach średnich, przelewając ją wraz z wiarą w umysły ludów europejskich, wyświadczyła teologii w erze nowożytnej przysługę inną, wyznaczając w organizmie myśli nowożytnej zamiast utraconego raz na zawsze miejsca dawniejszego inne, niemniej od poprzedniego zaszczytne i ważne«.

Nie mogę nadużywać życzliwości szan. Redakcyi, i dlatego się streszczam.

Nie mam upoważnienia, aby przemawiać imieniem teologii, o ile ją atoli znam, mniemam, że chętnie ona zrezygnuje z tej na pozór wspaniałomyślnej, a w rzeczywistości Kainowej ofiary, jaką teologii chce złożyć filozofia. Ta filozofia, w której imieniu szan. autor przemawia, zamknąwszy się w ciasnych ramach doświadczenia zmysłowego, odczuwa kłopot niemały, co począć z problemami, których oko nie dojrzy, ani instrument fizykalny zmierzyć nie zdoła; nie wiedząc, co z nimi począć, niesie je w ofierze teologii w zamian za pokój z jej strony.

Również dziękuje teologia filozofii za wyznaczenie jej miejsca zaszczytnego i ważnego w organizmie myśli nowożytnej, bo to miejsce jej przynależy z zupełnie innego tytułu.

Po trzecie kompromis pokojowy nie przyjdzie tak prędko do skutku i z tego powodu, że nie istnieje przecież wyłącznie jedna filozofia, lecz istnieją rozmaite systemy filozoficzne. Obok systemów, dla których doświadczenie zmysłowe jest alfą i omegą, są systemy o kierunku idealistycznym w rozmaitych odcieniach, a ten kierunek nie godzi się na uszczuplenie zakresu swych dociekań takie, jakie szan. autor proponuje. Słuszność jest po stronie tego kierunku, bo filozofia, rezygnująca z chęci rozwiązania problemu metafizycznego o stosunku świata do jego przyczyny sprawczej, lub nie umiejąca wskazać człowiekowi celu wyższego ponad cele ziemskie — taka filozofia — to ptak bez skrzydeł, to kadłub bez głowy, to zlepek różnych wiadomości, za-

czerpniętych z różnych dziedzin przyrodoznawstwa. Po tylu wiekach kultury chrześcijańskiej i mozołów na polu filozofii byłoby rzeczą dość smutną, gdyby zakres badania rozumowego miał być szczuplejszy dziś, aniżeli za dni Anaksagorasa, Platona i Arystotelesa.

Wkońcu mogę zapewnić szan. autora, że i Kościół od dni Kopernika i Galileusza także się niejednego nauczył. I nie może też nikt powiedzieć tego, jakoby Kościół chciał się mieszać do badań naukowych, przepisywać im, co i jak mają badać, jakiemi metodami mają się posługiwać, i jakoby swą dłonią chciał hamować ich rozwój swobodny. Za to niestety przedstawiciele tych nauk raz po raz zapuszczają się na pole, stanowiące własność Kościoła, rzucają na nie kamyki, a gdy Kościół chce przepłoszyć psotników ze swego ogródka, podnoszą oni krzyk i wrzawę, zarzucając Kościołowi nietolerancyę i zapędy inkwizytorskie.

Wiem, że słowa szan. autora, powyżej przytoczone, pochodzą tylko z jego pragnienia szlachetnego, aby raz nareszcie nastał pokój, *treuga Dei,* między wiedzą i wiarą; niech będzie przekonany, że i moje słowa zostały podyktowane tylko miłością prawdy, bo *amicus mihi Plato, sed magis amica veritas.*

Ks. dr. Franciszek Gabryl.

Z piśmiennictw obcych.

Dictionnaire d'archéologie chrétienne et de liturgie publié par le *R. P. dom Fernand Cabrol,* abbé de Saint-Michel de Farnborough (Angleterre) avec le concours d'un grand nombre de collaborateurs. Tome premier. — A. — Paris. Letouzey et Ané. Str. 1600.

Wśród uchwał zapadłych na II, dotychczas niestety ostatnim, kongresie archeologów chrześcijańskich, zebranym w Rzymie 1900 r., znajdujemy jedną, która ma szczególną doniosłość zarówno dla tych, co się badaniu starożytności kościelnych poświęcają, jak i dla samej sprawy szerzenia tej nauki i zjednywania jej nowych adeptów. Uchwała ta wyraża życzenie uczonego tego zebrania, by wydano dzieło obejmujące wyniki dotychczasowe badań w zakresie należącym do archeologii chrześcijańskiej z oznaczeniem zarazem, jaki stopień pewności każdy z nich posiada. Ktokolwiek choćby tylko z progu był obznajo-

miony z tą nauką, co stosunkowo młoda już ma tyle zasług, ten przyzna, że wotum powyższe kongresu było w zupełności usprawiedliwione, a wykonanie jego wielce pożądanem. Wiadomo przecież, jak szybkim jest rozwój umiejętności historyi i nauk jej pomocniczych, a w szeregu tych ostatnich archeologia kościelna pod względem swego postępu należy do najpierwszych. To też kiedy »książę archeologów chrześcijańskich«, Jan Chrzciciel de Rossi w pierwszych latach pontyfikatu Piusa IX zstąpił do katakumb i począł rezultatami swych badań dzielić się z uczonymi oraz zachęcać ich do wstępowania w jego ślady i kontynuowania jego pracy, to nauka o starożytnościach chrześcijańskich od owego czasu, a więc w ciągu lat z górą pięćdziesięciu, może się wykazać bez porównania większym dorobkiem od tego, jakie wydały całe wieki poprzednie od chwili odkrycia katakumb rzymskich przez Antoniego Bosio. I nie ogranicza się ona na pomnikach, jakie zawiera stolica świata starożytnego i Kościoła, nie poprzestaje na tem, co znajduje w Rzymie zarówno nad powierzchnią ziemi, jak i w tej drugiej jego części, co kryje się pod terenem jako *civitas et ornamentum Martyrum Domini,* ale zajmuje się nadto zabytkami starożytnymi innych miast i krajów i obrządków, o ile one dostarczają materyału tej nauce, starającej się, jak wiadomo, odtworzyć zamierzchłą przeszłość Kościoła zapomocą tych danych, jakie czerpiemy z architektury, rzeźby, malarstwa, epigrafiki, sfragistyki, numizmatyki pierwszych jego wieków. Zamiast więc szukać mnóstwa tych szczegółów w bibliotece ciągle rosnącej dzieł zazwyczaj drogich, a znalazłszy je jeszcze dalej badać, jaką one posiadają wartość wobec późniejszych badań, napotykamy w wydawnictwie, o którem mowa, uczonego *par excellence,* a więc pewnego informatora i przewodnika po tem wszystkiem, co nam ząb czasu i brak należytej opieki pozostawił z pomników najstarszych religii chrześcijańskiej.

Że archeologia chrześcijańska jest jednem ze źródeł do poznania dziejów Kościoła i jego nauki, to naukowo a w sposób zajmujący wykazał J. E. Ks. Arcybiskup Bilczewski w swem dziele p. t. »Archeologia chrześcijańska wobec historyi Kościoła i dogmatu« (Kraków 1890), a jest ona źródłem tak poważnem i obfitem, że zasłużyła na nazwę: teologii pomnikowej. Ale prócz tego jest także nauką pomocniczą innego wielkiego działu umiejętności teologicznej, jakim jest liturgika i to tak ściśle z nią złączoną, że nauka o znaczeniu i rozwoju służby Bożej bez znajomości archeologii byłaby gmachem bez fundamentu i przedstawiałaby mnóstwo kwestyi nierozjaśnionych. Wza-

jemny ten związek obu umiejętności ze sobą jest też powodem, że wydawnictwo, o którem mowa, nie poprzestaje na przedstawieniu obrzędów religijnych w pierwszych stuleciach Kościoła, ale zajmuje się nimi i w dalszym pochodzie wieków i wskutek tego jest dykcyonarzem nie tylko archeologii chrześcijańskiej, ale i liturgii.

Jest jednak i inny nadto powód do tego.

Oto nauka liturgii, tak stara jak Kościół, w ciągu swego długiego życia różne przebywała dole; z pociechą można zaznaczyć, że po okresie upadku, jakim był dla niej wiek XVIII w drugiej swej połowie i kilka pierwszych dziesiątków stulecia XIX, rozpoczęła się epoka odrodzenia, po dziś dzień trwająca. Wszak to ta nauka przyczyniła się do usunięcia liturgii gallikańskich, które wskutek nie prawa zwyczajowego ale tylko zwyczaju faktycznego (z wyjątkiem liturgii lyońskiej) rozwielmożniły się po świątyniach pierworodnej córki Kościoła. Dalej schyłek zeszłego stulecia przyniósł kilka nader ważnych i cennych odkryć z zakresu liturgii pierwszych wieków: dość tu wymienić Naukę dwunastu apostołów (Διδαχὴ τῶν δώδεκα Ἀποστόλων)[1] albo *Testamentum Domini Nostri Jesu Christi,* manuskrypt odkryty r. 1899 przez JE. Ignacego Efrema Rahmaniego, patryarchę antyocheńskiego, obrządku syryjskiego; tekst tego rękopisu pochodzi z doby prześladowania Kościoła i zawiera mnóstwo przepisów liturgicznych. A wreszcie cały zastęp uczonych różnych narodowości poświęca swe prace nie tylko liturgii rzymskiej, ale i innym obrządkom Kościoła zachodniego, jak np. dawnej liturgii celtyckiej lub do dziś dnia istniejącym obrządkom: ambrozyańskiemu (w dyecezyi medyolańskiej) i mozarabskiemu (w Toledo i Salamance). Ożywiona więc i pełna owocu ta praca we wnikanie w myśl przewodnią liturgii i staranie się o rozpoznanie form, w jakich się ona ujawniała, stała się zachętą wydawcom »Dykcyonarza« wspomnianego do umieszczenia na jego planie także i liturgiki. W tej pracy naukowej na polu liturgicznem ma wielkie zasługi także i w XIX wieku oraz za dni naszych zakon św. Benedykta. Wierny słowom swego patryarchy: *Operi Dei nil praeponatur,* wspólne i uroczyste sprawowanie służby Bożej uważa za siłę ożywczą swego klasztornego życia i działania i dlatego z tym więk-

[1] Por. ks. Chotkowskiego rozprawę w *Przeglądzie Powszechnym* 1885 i ks. Ant. Szaniawskiego w *Kwartalniku teologicznym* warszawskim rocznik I i II.

szym zapałem obiera ją sobie za przedmiot swych badań naukowych. Jakoż i dzieło, o którem mowa, zawdzięcza danie do niego inicyatywy i dostarczenie znacznej ilości współpracowników zakonowi Benedyktynów, mianowicie jego Kongregacyi francuskiej. Głównym redaktorem jest opat z Farnborough, Dom Ferdynand Cabrol, autor niedawno ogłoszonych drukiem konferencyi: *Les origines liturgiques,* mianych w paryskim Instytucie katolickim o metodzie badania naukowego w zakresie liturgii, oraz rozprawy o Kościołach i liturgii w Jeruzalem w IV w. p. t. *Étude sur la »Peregrinatio Silviae«* (Paryż 1895). Pomocą wielką w ułożeniu »Dykcyonarza«, o którym mowa, jest jego brat zakonny, Dom Leclerq, który ze swym opatem wydaje oddzielnie *Monumenta Ecclesiae liturgica* (w Paryżu u Didot'a) a nadto sam ogłosił bardzo cenną, dwutomową pracę: *Manuel d'archéologie chrétienne.* Niepodobna tu wyliczać wszystkich 47 współpracowników, ale wymieńmy bodaj kilku, by mieć wyobrażenie, jacy to uczeni składają się na to wydawnictwo. A więc ks. prałat Ludwik Duchesne, członek Instytutu francuskiego i dyrektor szkoły francuskiej historycznej w Rzymie; ks. Delattre ze Zgr. Ojców Białych, znany ze swych poszukiwań archeologicznych w Północnej Afryce, który na kongresach ku czci Matki Bożej w Rzymie, Einsiedeln i Saragossie wykazywał starożytność czci Bogarodzicy zapomocą wykopalisk z okolic Kartaginy; Paweł Allard, autor *Les esclaves chrétiens depuis les premiers temps de l'Église* i studyum o Julianie Apostacie; prałat Piotr Batiffol, były rektor Instytutu katolickiego w Tuluzie, autor »Historyi brewiarza rzymskiego«; Dom Besse monasteryolog; Godfryd Kurth, znany z wymowy profesor uniwersytetu w Liège; Paweł Fournier, dziekan wydziału prawa w Grenobli, znawca historyi prawa i autor wielu dzieł z tego zakresu; ks. Ermoni, Lazarysta, b. profesor języków wschodnich, autor Historyi Credo i rozprawy o agapach w pierwotnym Kościele i t. d. Na liście współpracowników jest także i znany erudyt, ks. Ulises Chevalier, sądzimy jednak, że jego hipoteza tłumacząca przeniesienie Domku Loretańskiego, która takie niemiłe zdziwienie wywołała i spotkała się z niejedną repliką, i tutaj także należytą odprawę dostanie.

Dowiedziawszy się, z kim mamy do czynienia, przypatrzmyż się samemu dziełu. W formacie in 4-to, prócz XIX stron przedmowy każda pagina dzieli się na dwie kolumny, a cały tom liczy ich 3274. Tekst objaśnia 1168 rycin, z których 9 fototypii i 3 chromolitografie są na osobnych kartach.

Tak się przedstawia kształt zewnętrzny, a mówiąc o wewnętrznym

układzie i rozkładzie, to przedewszystkiem trzeba zauważyć, że pierwsze słowo tytułu, mogłoby wielu wprowadzić w błąd, dopóki samejże księgi nie otworzą. Wprawdzie »Dykcyonarz« uważa się nieraz za jedno z »Encyklopedyą«, ale w tym wypadku o tem mowy być nie może. Kiedy bowiem encyklopedya zawiera (zazwyczaj w porządku alfabetycznym) wiadomości ogólne, najważniejsze, tworzące całokształt jakiejś wiedzy, z dodaniem obfitych wskazówek bibliograficznych mających być przewodnikiem do głębszych studyów, to przeciwnie »Dykcyonarz«, o którym mowa, prócz układu artykułów według porządku alfabetycznego materyi, o której traktują, nic nie ma z encyklopedyą wspólnego; przeciwnie jest kompletnym wykładem archeologii chrześcijańskiej i liturgiki, przeznaczonym dla tych, co posiadają już przynajmniej elementarne wiadomości w obu dziedzinach. Obrano zaś ten układ dlatego, że w dziele zakrojonem na tak ogromne rozmiary (tom I obejmuje tylko artykuły rozpoczynające się na literę A) okazał się dogodniejszym i dla wydawców i dla mających w przyszłości z tej pracy korzystać. Dla redakcyi przedstawiał formę najpraktyczniejszą z powodu wielkiej ilości współpracowników; dla czytających znowu ma tę zaletę, że każdą kwestyę traktuje odrazu w całości, podając nie tylko jej definicyę, ale i historyę i bibliografię i t. d. Jak obszernymi są te poszczególne traktaty, wystarczy wymienić naprzykład takie, jak: artykuł zatytułowany: A Ω a wyjaśniający znaczenie tego symbolu w epigrafii i w numizmatyce i w sigillografii i w glyptyce i w paleografii i w liturgii, — albo artykuł o skróceniach w piśmie *(abréviations)*, o aklamacyach różnego rodzaju, jak na soborach, na elekcyach biskupów, na koronacyach cesarzów i królów, w liturgii; dalej o oskarżeniach *(accusations)* przeciwko chrześcijanom, gdzie znajdujemy wyliczone i wyjaśnione różne tego powody. Przewyższają też rozmiarami swymi inne artykuły rozprawy o aktach męczeńskich, o agapach, o katakumbach św. Agnieszki za bramą nomentańską w Rzymie, o różnych klasach ludności rolniczej *(agricoles)* i o ich stanowisku prawnem, przyczem autor (Dom Leclereq) wyzyskał należycie przecenny materyał zawarty w Polyptyku Irminona, t. z. inwentarzu dóbr opactwa św. Germana, pochodzącym z czasów Karolingów, materyale pierwszorzędnym do poznania stosunków ludności rolnej tych czasów. Przy tej sposobności należy nadmienić, że redacya »Dykcyonarza« rozciąga archeologię chrześcijańską aż do czasów Karola Wielkiego. Nie można się powstrzymać, żeby tu nie zacytować takich artykułów. jak: dusza *(ame)*, ampułki (najdawniejsza

forma relikwiarzy, gdyż służyły na przechowanie krwi męczenników, lub różnych przedmiotów, mających związek z ich relikwiami), aniołowie *(anges)*, pierścienie *(anneaux)*, dwie obszerne rozprawy o antyfonach wogóle i o antyfonach w obrządku greckim, o arce *(arche)*, o szacie do chrztu *(aubes baptismales)*, o ołtarzu *(autel)*, o gwiazdach *(astres)* t. z. o różnych sposobach umieszczania ich na pomnikach i o znaczeniu do tego przywiązanem.

Jeżeli o poszczególnych kwestyach są tak obszerne dyssertacye, cóż dopiero mówić o artykułach, poświęconych tak obfitującym w materyał przedmiotom, jak np. Afryka, Ateny, Antyochia, Aleksandrya, Akwileja.

Bardzo wiele rozpraw nasuwa szczególne zainteresowanie się niemi znowu z tego powodu, że albo zajmują się kwestyami mało znanemi, albo takiemi, których wyświetlenie jest pożądanem. Tu należy rzecz o Abgarze znanym z apokryficznego listu Pana Jezusa do niego, o akrostychach, o karach: *ad bestias* i *ad metalla* wymierzanych na męczenników, o amforach, o początkach czci św. Apostołów. Niezmiernie zajmującą jest na podstawie materyału ściśle naukowego opowiedziana historya zaprowadzenia modlitwy Anioł Pański i trzykrotnego jej na dzień odmawiania, albo rozprawa p. n. *Aristocratiques (classes)* o przyjmowaniu religii chrześcijańskiej przez członków rodów konsularnych i patrycyatu. W artykule p. n. Argia dowiadujemy się, że to greckie słowo, oznaczające dosłownie: bezrobocie ma czworakie znaczenie: oznacza bowiem albo świętowanie, albo post zupełny i najściślejszy, albo wstrzymywanie się od pewnych czynności w kościele, nakazane duchownym za karę, albo opuszczanie na mocy przepisu przez mnichów pewnej części psalmodyi, jednak argia w tej ostatniej formie nie jest zupełnie przez naukę dotychczas wyjaśnioną i pozostawia dalsze pole do badań. Jak wszechstronnym jest »Dykcyonarz« archeologii może świadczyć np. artykuł: Anatomia, wykazujący znajomość budowy ciała ludzkiego, jakiej dowodzą wyniki figur na zabytkach archeologicznych. Obrazem studyów porównawczych liturgii są traktaty p. t.: *anafora* i *anamnesis*. Pierwszy z nich mówi o tej części liturgii greckiej, co odpowiada kanonowi Mszy św. w obrządku łacińskim, drugi o modlitwach we Mszy św. po konsekracyi; osobna tablica zestawia je z różnych liturgii wschodnich i zachodnich. Wogóle dzieło omawiane zajmuje się liturgią całego Kościoła katolickiego, a więc mamy całe osobne, bardzo dokładne rozprawy o liturgiach dawnych, jak: afrykańska w epoce przed

soborem nicejskim i po nim, antyocheńska, akwilejska, oraz obecnie używanych w obrządku chaldejskim (str. 519), koptyjskim (aleksandryjska) i ambrozyańskim. Temu ostatniemu łatwo się przypatrzyć będąc w Medyolanie, artykuł zaś jemu poświęcony w »Dykcyonarzu« jest jednym z najobszerniejszych; nie dość na tem, osobno jest jeszcze rozprawa o śpiewie ambrozyańskim. Żeby zaś uznać zasługi na polu liturgiki pierwszorzędnych tej nauki mistrzów, znajdujemy też o nich wiadomości biograficzne i określenie stanowiska, jakie w rozwoju tej umiejętności zajmują mężowie, jak Alkuin, Amalaryusz, Emanuel de Azevedo i inni. Badacze życia zakonnego znajdą dużo materyału ich zajmującego w artykule o apotaktytach i apotaxamenach (ci, co wyrzekali się rzeczy dozwolonych) i o akojmetach. W monasterach mnichów tej nazwy było ciągłe nabożeństwo, prototyp Nieustającej Adoracyi, coś podobnego, co było niegdyś, jak opowiada Starowolski, w katedrze krakowskiej.

Benedyktyńska zaprawdę dokładność cechuje pod każdym względem układ tego dzieła. Przeczytajmy np. artykuł o opłatach pogrzebowych *(amendes dans le droit funeraire)*, a w zdumienie nas wprawi ta pracowitość nieznużona, z jaką ułożono całą skalę tych opłat, podając przy każdej, który pomnik o niej mówi i w którem wydawnictwie naukowem jest zamieszczonym. A już ścisłością w odsyłaczach poniżej tekstu i obfitością wskazówek bibliograficznych nie ustępuje »Dykcyonarz« żadnemu wydawnictwu niemieckiemu, przewyższa tylko niejedno z nich jasnością stylu, właściwą językowi francuskiemu. Za przykład niech tu posłuży przykład o agapach, albo *ascia* (rodzaj siekierki zakrzywionej): bibliografia o tej ostatniej przenosi cztery kolumny druku, a z przyjemnością zauważyć można w tomie, o którym mowa, odwoływanie się do prac dwóch Polaków: Ich Ekscellencyi ks. Józefa Bilczewskiego i Karola hr. Lanckorońskiego. Zasługą wreszcie niemałą tego »Dykcyonarza«, to zamieszczenie artykułów takich, jakichby napróżno było szukać w dawniejszych tego rodzaju wydawnictwach, a więc np. *Ad Sanctos* (mowa tu o związku, jaki zachodzi między pochowaniem ciał a wiarą w żywot wieczny i w zmartwychwstanie), *Apa* (tytuł dawany duchownym oraz osobom wielkiej świątobliwości, zwłaszcza męczennikom), opisy *Agauny* i *Antinoë* i t. d. Gdybyśmy mieli zupełne do tego prawo, uczynilibyśmy jeden zarzut temu dziełu, ten mianowicie, iż nie zajmuje się ono rubrycystyką, t. j. tą częścią liturgiki w obszernem tego słowa znaczeniu, która uczy, jak należy w myśl obowiązujących przepisów służbę Bożą godnie

sprawować. W plan wydawców »Dykcyonarza« nie weszła ona jednak dlatego, że ich zamiarem było przedstawić jedynie rozwój historyczny czci religijnej oddawanej w Kościele i przedstawić ideę kierującą owym rozwojem. Dodajmy, że przez wprowadzenie rubrycystyki ogromnieby się rozmiar dzieła powiększył i czas wydawania onegoż przedłużył już i bez tego na ogromny rozmiar zakrojony. Dość powiedzieć, że tom I złożony z jedenastu zeszytów (każdy po 5 fr.) wychodził lat cztery i objął pierwszą literę alfabetu. Prawda, że nie każda zgłoska wymaga równej ilości stron na artykuły od niej się rozpoczynające, i że w dalszym ciągu dzieła może prędzej poszczególne jego zeszyty ukazywać się będą, ale nie da się zaprzeczyć, że znaczna część jego początkowych abonentów nie ujrzy ostatnich tomów. Los to jednak bardzo częsty wydawnictw pomnikowych, obliczonych na znaczną ilość woluminów, że na ich napisanie i wydanie jedna generacya nie wystarczy. Powiedzmy wreszcie, że krytyka naukowa francuska, niemiecka, angielska wypowiedziała już nader pochlebny sąd o »Dykcyonarzu archeologii chrześcijańskiej i liturgii«, a zdaje się, że będzie uzasadnionem nasze zdanie, że dzieło to winno nie tylko być ozdobą każdej biblioteki naszych fakultetów teologicznych, filozoficznych i seminaryów duchownych, ale nadto choć w części zastępować w nich brak osobnych katedr liturgiki i archeologii chrześcijańskiej, których zaprowadzenia domagał się słusznie wspomniany na początku kongres rzymski przed dziesięciu laty.

Maryan Bartynowski.

O Cerkwi. Istoryczeskij oczerk. 2-oje isprawlennoje i dopołniennoje izdanije. S.-Petersburg 1909. (»O Kościele«. Zarys historyczny). W 8-ce, str. 326.

Pod tym skromnym tytułem wyszła w drugiem wydaniu bardzo cenna książka. Pierwsze było drukowane w Berlinie w 1888 roku. Wówczas o druku w Petersburgu katolickiej rosyjskiej książki ani myśleć nie było można. Recenzyi jej dotychczas prawie nie było, bo anonimowy autor, wysoko postawiona osobistość u dworu rosyjskiego, nie życzył sobie tego. A choć i teraz, po jego śmierci, rodzina stara się zachować jego *incognito*, to jednak dziełu należy się słuszna a chwalebna ocena.

Książka »O Cerkwi« rozpada się na dziesięć rozdziałów.

W pierwszych sześciu jest przegląd historyi Kościoła — od jego założenia aż do połowy XI-go wieku, czyli do Focyusza; pięć dal-

szych poświęcone są historyczno-dogmatycznemu rozbiorowi punktów spornych między wschodnim a zachodnim Kościołem.

Czytając to dzieło nie można się oprzeć myśli o dziwnej nemezis, nie tyle historycznej ile religijnej i teologicznej, i dziwnych drogach Opatrzności. Gdy bowiem w Rosyi duchowieństwo sprzeniewierzyło się swemu posłannictwu i poddało Kościół w niewolę rządową, to świeccy uczeni, jak wiekopomny Sołowiew, a nawet kobiety, jak autorka tej książki, ich zawstydzają, przewyższając nauką i energią w tegoż Kościoła obronie.

Żeby jednak dać poznać zalety tej książki, przejdźmy pokrótce jej treść i zacytujmy wyjątki.

Już sam wstęp jest niepospolity. Powiedziano w nim, że z pojawieniem się Kościoła Chrystusowego na ziemi, wszystko co było »z tego świata« — powstało przeciw niemu. Herezya i niewiara, choć tak bardzo między sobą wrogie, zgodnie poszły na zagładę Kościoła; a to dlatego, że obie negują Boskie objawienie, a Kościół je stwierdza, Kościół bowiem jest tegoż objawienia skarbnicą i nauczycielką również przez Boga ustanowioną. W miarę zaś jak w umysłach ludzi idea Kościoła wyzbywa się aureoli Bóstwa, idea ta maleje a z nią i pojęcie o nauce Chrystusa i »z poza obrazu człowieka uduchowionego występuje człowiek ucieleśniony, poddany zupełnie niewoli państwa, — a nad Bogiem wszechludzi powstają — b o g i n a r o d ó w. Takie są nieodwołalne, choć powolne skutki wszelkiego odstępstwa od zdrowej nauki, tradycyi i świadectwa Kościoła«.

Świadectwo to Kościoła wtenczas tylko działa skutecznie na nasze przekonanie, jeśli sam Kościół jest dla nas czemś Boskiem, czemu się należy cześć, a nie jakiś tylko szacunek, jak np. pewnej poważnej grupie teologów, matematyków, przyrodników i t. d. Prawosławni zaś i dobrej wiary Rosyanie, w których imieniu autorka mówi, czczą Kościół, jako instytucyę Boską, jako »kolumnę i utwierdzenie prawdy«, mają więc obowiązek poddać się nauce i świadectwu Kościoła. Prawda, że mamy wolność, albo raczej możebność nie poddania się temu świadectwu Kościoła, czyli możemy mu zadać kłamstwo, ale w takim razie stajemy się nielogicznymi, owszem nieuczciwymi, tak względem samych siebie, jak i społeczeństwa.

Zobaczmy teraz, mówi na końcu wstępu autorka, na czem się opiera u nas historyczno-teologiczne nauczanie, — czy poddaje się ono nauce nieomylnego Kościoła, czy też przemijającym wymaganiom opinii,

czy się zgadza ze świadectwem Kościoła, — czy też jest z nim w sprzeczności.

W takie kluby żelaznej logiki wziąwszy swego prawosławnego czytelnika w samym początku książki — autorka w dalszym jej ciągu wykazuje, z jednej strony to szczere nie sfałszowane świadectwo Kościoła, — z drugiej — fałszowanie go w nauczycielstwie Kościoła rosyjskiego; świadectwo najprzód historyczne, w pierwszych dziesięciu wiekach, czyli przed rozdziałem Kościoła, — a w pięciu następnych dogmatyczne, czyli naukowe o przedmiotach sporu między jednym a drugim Kościołem.

W rozdziale pierwszym zatytułowanym: Przegląd faktów kościelnych od założenia tegoż aż do końca III-go wieku, widzimy jak Kościół przez usta świętych wschodnich pisarzy tego peryodu świadczy o swoich czterech znamionach; mianowicie, że jest jeden, święty, powszechny i apostolski. Na dwa zwłaszcza z nich kładzie się nacisk t. j. na jedność i powszechność. Między innemi powiedziano tam: »Tylko ten Kościół może posiadać wszystkie własności Kościoła i objawiać je widzialnym sposobem, który nie jest zepchnięty z fundamentu, na którym był założony i na którym wyrósł i rozwinął się. Kościół strącony ze swej podstawy wskutek ludzkich rozumowań i przemijających ziemskich wymagań i odrębności, nie może przedstawiać powszechnego Ciała Chrystusowego, choćby dlatego, że na nim nie może się spełnić obietnica nienaruszonej trwałości; bo żadne podpórki tego świata nie mogą zastąpić trwałości kamienia, na którym go osnował Boski założyciel«.

Przywodzą się odnośne słowa św. Cyryla Jerozolimskiego, Epifaniusza Cypryjskiego i fakt, że za życia jeszcze św. Jana Apostoła Kościół koryncki w swoich trudnościach zwraca się nie do tegoż św. Jana, ale do papieża św. Klemensa.

»Nauka i życie Kościoła w ciągu trzech pierwszych wieków — mówi w końcu tego rozdziału autorka — świadczą o prawdziwem znaczeniu słów Chrystusowych do Piotra ... »tyś jest opoka«... i »paś baranki, paś owieczki moje« — tak jasno i dobitnie, że przez to samo jest dowiedziony:

1) prymat apostoła Piotra na mocy słów Zbawiciela,

2) przejście tego prymatu na jego t. j. Piotra następców, na mocy »dziedzictwa apostolskiego«; a bynajmniej nie na mocy znaczenia Rzymu pogańskiego, jako stolicy świata.

W drugim rozdziale, jako dowód jurysdykcyi papieży nad całym

Kościołem, przywodzi się apelacyę do nich św. Atanazego i mnóstwo innych faktów temu podobnych.

Jako dowód umiejętnej krytyki historycznej naszej autorki, niech służy następujący ustęp:

»Nad soborem sardycejskim warto się zatrzymać. Ojcowie tego soboru (w liczbie 170), posławszy jego dzieje, według prawideł soborowych, do potwierdzenia papieżowi Juliuszowi I, dołączyli do nich list, w którym mówią między innemi, że ‚uznają za rzecz najlepszą i najsłuszniejszą, aby kapłani ze wszystkich prowincyi odnosili się do głowy, t. j. do stolicy apostoła Piotra'. W rosyjskiem tłumaczeniu Dziejów tego soboru, zrobiono uwagę, że ‚ten list zachował się tylko w łacińskim języku i jeśli nie jest przerobiony, to przynajmniej bardzo skażony'. Przypuśćmy, że to prawda; jednak, jeśli prócz tekstu łacińskiego inny się nie zachował, i o skażeniu albo wogóle o podrobieniu niema żadnych historycznych wiadomości, — to jakim sposobem z samego tego tekstu można o tem sądzić«.

»W dziedzinie nauk historycznych, gdy niema punktu oparcia dla porównania, to ocena jakiejś wiadomości robi się na podstawie ogólnego przebiegu tego zjawiska, do którego się ta wiadomość odnosi. Jeżeli wiadomość sprzeciwia się wszystkiemu, co ją poprzedziło i co po niej nastąpiło a co się do niej odnosi, jeśli nie zgadza się z treścią zjawiska i z samą istotą rzeczy, — to podrobienie rzekomego pamiętnika i niewiarogodność tej wiadomości jest dowiedziona. Ale czyż coś podobnego widzimy w naszym przypadku? Przypuśćmy, że istotnie list ów 170 Ojców ‚jeśli nie podrobiony, to mocno skażony', ale jakimże sposobem w takim razie Kościół mógł przyjąć postanowienia w zupełności zgodne z duchem tego listu...« i t. d. (str. 36).

Cytaty też listów św. Jana Chryzostoma do papieża niezwyciężenie dowodzą, że Kościół wschodni w IV i V wieku uznawał biskupa rzymskiego za głowę całego Kościoła.

W rozdziale III (wiek VI, VII i VIII) obrazoburstwo dostarcza dowodów, że Kościół wschodni miał wówczas papieża za swą głowę. Na siódmym soborze powszechnym odczytano pismo cesarskie, w którem tenże mówi: »Otrzymaliśmy list jego świątobliwości Adryana papieża« i wszyscy biskupi powstali, aby wysłuchać pismo »tego, który jako oko w ciele kieruje cały Kościół na drogę prawdy«.

Rozdział IV (wiek IX do połowy XI). »Przeszło 300 lat upłynęło, mówi autorka, od tego dnia, kiedy posłowie rzymskiego senatu wręczyli cesarzowi Zenonowi insygnia królewskie zniesionego zacho-

dniego cesarstwa. Przez ten czas zrozumiano, że »Nowy Rzym«, to tylko chorowity płód starości »dawnego Rzymu«, i młode narody odwróciły się od rdzy wyszczerbionego miecza i przeszły pod władzę tego, kto uosabiał silną ideę zwierzchniczej władzy... W 800 roku papież Leon III ukoronował na cesarza Karola Wielkiego.

Św. Ignacy, patryarcha konstantynopolski, odwołuje się do papieża w sporze z Focyuszem, i papież rozstrzyga na korzyść pierwszego a drugiemu grozi klątwą, jeśli się nie zrzeknie nieprawnie zajętej patryarszej stolicy«.

Na rozdz. IV kończy się część historyczna dzieła a z V-m zaczyna się dogmatyczna. I oto jak ją autorka zaczyna: »Przystępując do wyjaśnienia różnic wyznaniowych, należy przedewszystkiem zwrócić uwagę na ogólny przebieg i rozwój wiedzy religijnej, na to, jak ją Kościół wytwarzał i jak się wyrabiały i określały dogmaty«... »Kościół uczy nas na podstawie słów Apostoła Piotra, że heretycy, roszcząc sobie prawo do nauczania, nadużywając litery Pisma, wykrzywiali naukę wiary i pociągali prostaczków do nowinek, pod pozorami starożytności. I rzeczywiście, zaczynając od nazarejczyków aż do naszych dni, fałszywi nauczyciele, — to wszystko nieproszeni obrońcy starożytności...« »W walce o nietykalność istoty Boskiego objawienia, Kościół z konieczności musiał odkrywać wobec jednych przeciwników prawowierności jedną stronę prawdy, wobec drugich — drugą...« »Kościół, władzą, jaką otrzymał na ‚budowanie' wzniósł gmach chrześcijańskiej wiedzy, i jako winna macica, będąc zawsze sama sobą..., pod promieniami nadprzyrodzonego słońca, w odpowiednich czasach wydawał owoce dogmatów i przedkładał je naszej wierze i miłości, — a są to prawdy wiary, któremi i dziś żyjemy, — a rodził te owoce wtedy i tam, kiedy i z której strony zagrażało niebezpieczeństwo wierze«. I wyjaśnia to na przykładach, począwszy od dogmatu o »jednoistności Syna Bożego z Ojcem« aż do *filioque* czyli pochodzenia Ducha św. i od Syna, na czem dłużej się zatrzymuje. W tych wyjaśnieniach widać nadzwyczajną erudycyę, ale bez suchości erudyta, bo wszystko błyszczy wielką miłością tych prawd; a ta miłość, zachowując cały wdzięk niewieści, wolna jest od kobiecej czułostkowości i dewocyi, i ani na krok nie schodzi z twardego gruntu nauki.

I tu przychodzi kulminacyjny, że tak powiem, punkt rozumu i serca autorki. Niezmierna siła myślenia łączy się z równie wielką a szczerą prostotą i pokorą.

»Nie mamy zamiaru, tak zaczyna ten ustęp, wdawać się w ba-

danie i rozbiór sporów teologicznych, do czego, choćbyśmy i chcieli, nie mamy dostatecznych wiadomości, ani odpowiedniej siły rozumu. Zrobimy tylko jedną uwagę:

»Kościół wschodni wierzy i wyznaje«: I tu cytuje tak głębokie a delikatne określenia wschodniej teologii, odnoszące się do dogmatu Trójcy św., że zaledwie można zrozumieć w oryginale rosyjskim, ale niepodobna oddać po polsku. A wkońcu tak mówi: »Kościół wschodni naucza, że Słowo wcielone czyniło cuda przebywającym w Niem Jego własnym Duchem; według zaś słów samego Syna Bożego, ‚Syn ma wszystko, co ma Ojciec i posyła Ducha, który od Niego bierze[1] i z Niego wychodzi[2]. Jakimże więc sposobem nie pochodzi Duch od Syna istotowo (co do istoty) jeśli, według nauki Kościoła wschodniego: »nie jest właściwością Syna, ale jest własnym Duchem Jego?«

»Jednakże nie tylko słabemi siłami osobistego rozumu, lecz i siłą wszystkich rozumów, które były i będą nie można wznieść się do Niedoścignionego. Wznosić się zaś do Niego duchem można jedynie pamiętając, że my, którzyśmy nie zawsze istnieli, powinniśmy mówić o Wiecznieistniejącym nie inaczej jak na klęczkach«.

A dogmatu Niepokalanego Poczęcia, jakie przepiękne jego pojmowanie! »Jeśli Nieogarniony miał się stać człowiekiem, to mógł też nieograniczonym sposobem zabezpieczyć naczynie wcielenia od grzechu pierworodnego. Dla przyjęcia pełnej łaski Bogopoczęcia potrzebne było doskonale próżne naczynie poczęcia, potrzebna bezwzględna w niem Nicość. Takie opróżnienie ludzkiego ja da się pomyśleć tylko przy absolutnej bezgrzeszności; przy niej tylko możebnem było tak wspaniałe (wielkość, wysokość) i całkowite wyniszczenie się i tak wzniosła wszechpokora, jaka się ujawniła w Matce Boskiej. Nie jest to istota udoskonalona przez łaskę, ale już stworzona w czystości, jako naczynie przeznaczone na pomieszczenie Nieogarnionego. Syn Boży dla swego wcielenia nie oczyścił, ale znalazł czystą dziewicę. My (t. j. prawosławni) wyznajemy, że przenajświętsza jest czystszą, niż płomień ognioskrzydłych cherubinów, a oni nienaruszeni grzechem; oni są w niebie, — ona była niebem; oni stoją u podnóża tronu, —

---

[1] »Z mego weźmie«. Jan XVI, 14.

[2] Autorka ma tu bezwątpienia na myśli słowa Chrystusa Pana wyrzeczone z okazyi uleczenia niewiasty krwią płynącej: »Wiem, że moc wyszła ode mnie«. Łuk. VIII, 46.

Ona była tronem; oni się zasłaniają skrzydłami od oblicza Bożego,— Ona ze krwi i ciała swego uczyniła Jego Oblicze; Ona jest przez Boga wyrzeźbionem ciałem, które sprawiło Jego ciało, ten przez Boga nakreślony wzór pierwowzoru. Żywot, w którym Bóg-Słowo, przez które »wszystko się stało«, przemienił się w to »coś«, w którem człowiek, uzbrojonem w szkło okiem szuka pierwonici naszej tkanki, — jest ześrodkowaniem tego, co nieskończone, jest miejscem spotkania wszechstworzenia ze swym Stwórcą, świątynią, w której materya uklękła przed ołtarzem, na którym objatą leżał Bóg przywdziewający ciało«. Czyż to nie wspaniały panegiryk i hymn pochwalny Matce Boskiej?

Potem idzie rozbiór dogmatu o czyścu. Dalej rozdz. VI »O ceremoniach kościelnych«, równie gruntownie jak i pięknie pod względem stylu opracowany.

Jeden, być może, że tylko *lapsus memoriae,* można tu zanotować. Mianowicie na str. 220 autorka mówi, że w łacińskiej liturgii Słowa ustanowienia czyli słowa konsekracyi to jest ciało moje i t. d. następują bezpośrednio po wzywaniu Ducha św. (co we wschodniej liturgii stanowi t. zw. epiklezę). Otóż jeżeli uważać za epiklezę w liturgii łacińskiej słowo: »Przyjdź Poświęcicielu wszechmogący, wieczny Boże i pobłogosław tę ofiarę imieniowi Twemu przygotowaną«, to one się mówią zaraz po ofiarowaniu, więc bynajmniej nie bezpośrednio przed słowami ustanawiającemi czyli konsekrującemi, bo między jednemi i drugiemi ma miejsce *lavabo, secretae,* prefacya i część kanonu; a innych słów, w którychby była wyraźna wzmianka o Duchu św. — niema we Mszy łacińskiej.

W tem miejscu autorka podaje rzecz ciekawą: »Godnę uwagi, mówi, że właśnie na Wschodzie istniało podanie (o którem wspomina Jan Furnus), jakoby apostołowie poświęcali materyę Ofiary bez wzywania Ducha św., samemi słowami ustanowienia sakramentu; na czem się to podanie opiera i czy ma jakiekolwiek potwierdzenie — my nie wiemy«.

Rozdział VII: »Aforyzm św. Wincentego Liryneńskiego« wzięty jest żywcem z rozprawy uczonego Barnabity Cezara Tondini-Kuarenga, jak to autorka sama mówi.

Rozdział VIII. »Zarzuty przeciw dogmatowi o nieomylności papieża w wierze«. W nim zbiera autorka pokrótce jasne o tym przedmiocie świadectwa Kościoła, które szeroko w poprzednich przywiodła. Wykazuje, że świadectwa wschodnich Ojców są daleko silniejsze niż zachodnich. Z zachodnich »przywiedliśmy — mówi — tylko jedno słowo

św. Ambrożego a mianowicie: ‚Gdzie Piotr tam Kościół'. Ale jakkolwiek ono jest silne, to jednak ustępuje wyrzeczeniu św. Jana Chryzostoma: ‚Piotr — to Kościół Boży'. Zarzucą nam, być może, żeśmy nie tylko św. Ambrożego, z zachodnich świadectw przytoczyli, gdyż cytowaliśmy i słowa legatów papieskich o władzy danej Stolicy apostolskiej, jakie oni mówili na soborach powszechnych, a także orzeczenia samych najwyższych pasterzy? Odpowiadamy: nikt nie ma prawa krytykować to, czego z uszanowaniem słuchały sobory powszechne i ich dzieje nie podlegają niczyjej cenzurze, ale za to każdy podlega ich wyrokowi: ‚Biada duszom tych, którzy ukrywają prawdę'«.

I te to właśnie słowa siódmego soboru powszechnego autorka położyła jako motto na tytule swej książki. I cóż może być skuteczniejszego dla przekonania prawosławnych, którzy za najwyższą powagę i władzę w Kościele uznają sobory powszechne?

Chciałoby się całe stronice i rozdziały tłumaczyć i cytować, tak są pod każdym względem dzielne, tak skutecznie wyzyskują wszystkie motywy i sposoby przekonywania, począwszy od psychologicznych, a kończąc na ściśle filozoficznych i dogmatycznych, z żelazną logiką przeprowadzonych. Niestety, ramy recenzyi nie pozwalają na to. Co jednak się mieści w tych ramach, to życzenie, aby to dzieło znalazło tłumacza na jeden z zachodnich języków w celu zapoznania z niem Europy.

Widocznie, Bóg chce dobra Rosyi, skoro jej daje takich ludzi, jak Włodzimierz Sołowiew i autorka tej książki. Oni wprawdzie pomarli, ale na ich miejsce powstają nowi, że tylko wymienię Bajkowa *Sowremiennaja mieżdunarodnaja prawosposobnost' papstwa* i artykuły Bułhakowa.

Ks. H. Pydynkowski.

When it was dark by *Guy Thorne*, I vol. 159 str. (London Greening et &, 20 Cecil Court. Charing Cross Road).

»To nie książka, to wielki czyn!«, wyrzekł z ambony ks. Z. Golian po ukazaniu się pierwszej części Sienkiewiczowej Trylogii. Te same słowa można śmiało powtórzyć o dziele Thorne'a, tem więcej, że tu są w grze nie już patryotyczne, ale religijne sprawy. Ciekawem bardzo i godnem zastanowienia jest pojawienie się w ciągu jednego roku i w jednym kraju dwóch utworów takich jak: *The Lord of the World* ks. Bensona i *When it was dark* Thorne'a. Pierwszy nastrojony na bardzo górny, bardzo szeroki ton, wyszedł z obozu katolickiego;

drugi, bardziej życiowy zrodził się w pośród rytualistów angielskich i rozszedł z szaloną szybkością, świadczącą o zbudzeniu się ludzi z pod skorupy materyalizmu nałożonej im w XIX w. W parę miesięcy rozeszło się przeszło 250.000 egzemplarzy; duchowieństwo anglikańskie poczęło nawoływać wiernych swych do czytania i dziś istnieje już tanie wydanie, dzięki któremu za sześć pensów można zakupić książkę o bardzo drobnym ale wyraźnym druku z barwną, ciągnącą oczy okładką.

Guy Thorne tezę swoją ubrał w formę powieści skreślonej z wielką siłą i życiem, z gorącą i rozumną wiarą. Sądząc z niektórych zdań, nie byłoby dziwnem, gdyby Guy Thorne, na wzór ks. Bensona został prawdziwym katolikiem. Właściwym tematem książki jest dogmat zmartychpowstania Pana Jezusa. Rzecz dzieje się w naszych czasach, wśród obecnych stosunków. Miliarder Konstanty Schnabe, Żyd, trzęsący angielską prasą i stojący na czele liberalnego stronnictwa, jest zarazem osobistym i czynnym wrogiem Chrystusa. Młody pastor, Basil Gortre, staje wobec niego, jak Dawid wobec Goliata, niższy wiedzą, intelligencyą i stanowiskiem, ale zbrojny siłą modlitwy i światłem wiary. Niemal w natchnieniu przenika świetną zasłonę, pod którą kryje się dusza Iskaryoty, zdrajcy, który świadom Boskości Pana naszego, postanowił przecież Go zgnębić. Od tej rozmowy Schnabe zaczyna z podwojoną złością zamiary swoje wprowadzać w czyn. Ubiega rok, w czasie którego widzimy działalność O. Rippon'a pastora rytualisty w jednej z mniej przykładnych dzielnic Londynu, człowieka wysokiego rodu i dość szerokiej osobistej fortuny, poświęcającego każdy grosz i każdą chwilę na ratowanie dusz; często »zdarza mu się« nie mieć czasu na obiad, a zapomnieć o kolacyi; na podział czasu — prócz nabożeństw — nie zważa wcale, bo każda godzina dnia i nocy dobrą jest do służby Bożej, a zresztą, mówi wesoło: »Skąd ten głupi mały zegarek może wiedzieć, co robi wielkie słońce na niebie?«

Autor określa go raz jako »huragan w sutannie«, a poczciwy to huragan i mądry, typ oryginalny, jaki dawniej i wśród naszego duchowieństwa zdarzało się spotkać. Są i inne dodatnie postacie duchowieństwa, jak np. wykwintny, uczony, łagodny i miłością Bożą pałający Byans, jak i sam Basil Gortre pracujący w Londynie pod wodzą O. Rippona.

Podczas jednak, gdy oni pracują, szatan nie śpi i dzieło zniszczenia dokonywa się. Jak grom pada w Londynie wieść, że archeolog Hands, badający za świeżem pozwoleniem sułtana starożytności Palestyny,

odkrył w Jerozolimie wykuty w skale grób, a nad nim wyryty napis: »Ja, Józef z Arymatei w tajemnicy przed uczniami wyjąłem z pierwotnego grobu ciało Jezusa Nazareńskiego i pochowałem je tutaj«. W grobie Hands znalazł kości ludzkie i proch... Zrazu władze kryją rzecz przed publicznością i dopiero gdy poważna komisya po dokładnem zbadaniu potwierdziła odkrycie, fakt staje się własnością ogółu. Chrystus nie zmartwychwstał! a więc... nie był Bogiem i cały gmach Chrystyanizmu się wali. W pierwszych chwilach nie wszyscy rozumieją doniosłość sprawy. Wyższe duchowieństwo ànglikańskie staje bezradne, broniąc już tylko społecznej potrzeby utrzymania instytucyi państwowego Kościoła, ultraprotestanci tryumfują, widząc w upadku Krzyża jedynie nową broń przeciw wierze w Eucharystyę i nabożeństwu do Serca Jezusowego. Zdala od miast, lud prosty napełnia dalej świątynie, odpychając wieść jako wymysł szatański. Katolicy zaś — którym papież od pierwszego dnia zabronił czytania i komentowania odkrycia jerozolimskiego, przechodzą nad nim w całym świecie do porządku dziennego, niezamąceni niczem w spokoju i wierze. Są jednak w mniejszości, a dokoła nich niezliczone tłumy utraciwszy to, co czasem nawet bezwiednie było dla nich gwiazdą przewodnią i ostoją sumienia, poczynają wahać się, słabnąć i miotać, jak fale wichrem targane. Wschód muzułmański i buddystyczny podnosi głowę, strząsając przewagę dotychczasowych chrześcijan, kraje bałkańskie zalewają się krwią, w koloniach wszczyna się napowrót niewolnictwo, wszelkie zasady moralności się chwieją, na Zachodzie wszczyna się zamęt; zbrodnie się mnożą, ludzie uczciwi bezsilnie opuszczają ręce, sekty unitaryanów łączą się z Żydami, wszędzie grzech albo żałość i niesłychana tęsknota za światłem wpośród ciemności, które ogarnęły ziemię.

A Schnabe? On, który rozkiełznał to morze piekielne, powinienby wraz z piekłem się cieszyć i z pychą urągać pokonanemu Niebu. Ale nie; ten tytaniczny duch, po dokonaniu zbrodni zda się, jakoby kurczył się i malał. Zamiast tryumfu nad Nazarejczykiem, chwyta go strach i wżera się w tajniki duszy. Strach przed Bogiem czy przed wykryciem ohydy?... On tak potężny drży na wspomnienie bladej twarzy młodego pastora, który mu niegdyś zajrzał w głąb czarnej duszy i rzucił wyraz: antychryst! O Basilu zrazu było jednak cicho, bo straszna wieść z Jerozolimy przyprawiła go o długie tygodnie choroby, wśród których ani chwili nie zachwiany w wierze, przemyśliwał nad genezą odkrycia, wiążąc ze sobą liczne wyrazy i fakty

obracające się wszystkie około osoby Konstantyna Schnabe. Zaledwie powrócił do zdrowia, rozpoczął poszukiwania z pomocą kilku ludzi dobrej woli, z których jeden, także bogaty Żyd, ale ochrzczony i gorący neofita, zda się być w książce przeciwstawieniem Żyda Schnabe. Ci jednak nie byliby mogli nic udowodnić, gdyby nie poświęcenie byłej kochanki, głównego narzędzia zbrodni, która radząc się tylko swego nawróconego, ale nie dość oświeconego serca, poświęciła się, aby, udając powrót do grzesznego życia, wyłudzić całą prawdę z ust oszołomionego radością wielbiciela. Był nim profesor Robert Lwellyn, znakomity uczony, stojący w Britisch Muzeum na czele archeologicznych spraw Wschodu. Zadłużony na znaczną sumę u Konstantyna Schnabe i zagrożony przezeń wyjawieniem światu rozpustnego życia, stał się był jego niewolnikiem. Na rozkaz swego pana wyjechał skrycie do Palestyny, gdzie z pomocą przekupionego Greka wyrył na jakimś starożytnym grobowcu napis tak zręcznie, iż komisya uczonych, do której sam należał nie poznała się na fałszerstwie. O skutki swego czynu nie troszczył się wcale, zatopiony w materyalnych rozkoszach, nie odczuł grozy, jaka przez powłokę szatańskiej dumy wpijała się w duszę Konstantyna Schnabe. Dopiero teraz, gdy sobie dał głupio wydrzeć straszną tajemnicę, pobiegł do niego o pomoc: przez długą chwilę wspólnicy zbrodni, patrzeli się nawzajem z wściekłością i wzgardą. Potem jęli radzić jak pozbyć się Basila i drugiego człowieka, mającego przywieść z Palestyny dowody fałszerstwa. Gdy skrytobójstwo okazało się niemożliwem, wpadli w rozpacz bezsilną. Bardzo piękną jest scena, gdzie Lwellyn wraca do krzywdzonej i zaniedbywanej przez długie lata żony, a ta wciąż wierna, błaga go »na miłość najdroższego Jezusa«, aby się z nią nieszczęściem swojem podzielił... Usłyszawszy wyznanie, Lady Lwellyn odchodzi; gdy zaś zwalczywszy się po długiej chwili wraca z krucyfiksem w dłoni, zastaje męża paraliżem tkniętego i leżącego w agonii. Lwellyn kona, podczas gdy tłum oburzonego ludu do domu jego się wdziera. Konstanty Schnabe atoli nie umiera — kara nawet na ziemi nie byłaby dostateczną. Pycha jego tylko i piekielny rozum, starte są w pył — na ostatniej stronie widzimy go między obłąkanymi, wyprawiającego śmieszne koziołki, podczas gdy w kościołach pełnych po brzegi, wznosi się olbrzymia pieśń na cześć zmartwychwstałego Chrystusa.

T. Wodzicka.

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

Poznaj swój kraj! *Z. Gloger. M. Heilpern, K. Kulwieć. Al. Janowski.* Warszawa 1908. Nakł. Polsk. Tow. Krajoznawczego. 8-ka, str. 15.

Słuszne ze wszech miar i prawdziwe jest twierdzenie nestora naszych etnografów, tyle zasłużonego pana Glogera, wypowiedziane z goryczą w przedmowie do omawianej książeczki, iż u nas wstydem byłoby nie znać bodaj powierzchownie Paryża, czy innego Londynu, ale o to, czy kto poznał Kraków, Wilno lub Gniezno, ani dbać nie warto!... Za niepoślednią zasługę współautorów książeczki poczytać należy tę gorącą miłość ojczystego zagonu, z jaką nawołują do zaznajomienia się z ziemią, która nas wydała. Na specyalną pochwałę zasługuje apel, iżby młodzież, zwiedzająca zakątki kraju rodzinnego, starała się zarazem poznać sposób życia i zwyczaje ludowe. Apel powyższy można bez zastrzeżeń zastosować i u nas, tem gorliwiej, ile że młodzież wycieczkująca bardzo małą uwagą otacza lud...

w-i.

Objaśnienia do dzieł literatury polskiej i obcej. Tomik I—XVI. Tarnopol 1908—1909. Nakładem księgarni A. Bruggera.

Wydawnictw t. z. »szkolnych« dla młodzieży mamy obecnie pod dostatkiem. Wymaganiom najdalej idącym odpowiedziały w zupełności prowadzone pod okiem fachowców-pedagogów biblioteczki: Arcta, Westa, Zukerkandla. Do nich przybywa obecnie wydawnictwo księgarni tarnopolskiej, przeznaczone w pierwszym rzędzie dla »czytającej, intelligentnej młodzieży«. Czy jednakowoż przyniesie ono przy pracy szkolnej pomoc istotną, to — więcej, aniżeli wątpliwe... Bez słowa zarzutu przyznaję, że ułatwi ono uczniom streszczenie dzieł czytanych, szybsze ich pojmowanie, atoli — mojem zdaniem — wcale nie zawisło od pp. komentatorów. Kto wie, czy wydawnictwo omawiane nie odzwyczai uczniów od myślenia samodzielnego i nie przyzwyczai do posługiwania się wyczytanym, a nie zrozumianym frazesem, o jaki w wydawnictwie tem bardzo a bardzo łatwo.

Dotychczas wydano objaśnienia do »Nie-Boskiej« i »Irydyona« Krasińskiego, »Ody do młodości« i »Farysa«, do Słowackiego »Balladyny« i »Lilli Wenedy«, do »Wesela« Wyspiańskiego, »Próchna« Berenta, »Śmierci« Dąbrowskiego, wreszcie do Wyspiańskiego »Warszawianki«, »Lelewela«, »Nocy listopadowej«, »Legendy«, »Bolesława Śmiałego« i »Skałki«.

Bez zarzutu są jedynie tomiki opracowane przez p. A. Cehaka (Stodora), mówiące o Wyspiańskim.

Zet.

»Jak smutna ballada«... Sceny dramatyczne. *Adam Dobrowolski.* Tarnopol 1909. Nakładem księg. A. Bruggera.

Nie jest w zwyczaju moim wyrzekanie. A jednak!... Są chwile, w których piorunów wzywałbym na pomoc. Zwłaszcza wówczas, kiedy do rąk moich dostanie się utwór takiego pana, który, zamiast przepisywać — co najwyżej — kaligraficznie utwory Wyspiańskiego, z jego niezapomnianem »Weselem« na czele, łączy reminiscencye, stamtąd wyniesione

z wspomnieniami z »Zawiszy Czarnego« Tetmajera i podlawszy ten bigos sosem rodzinnym, daje szumny tytuł, naturalnie *quasi* efektowny i tajemniczo-erotyczny, oraz okładkę *quasi-stylową,* byle tylko figurować w tak zwanej »literaturze«. Tak uczynił p. Adam Dobrowolski, ale chyba nie z dobrej woli dla siebie.

Bo i po cóż było marnować papieru milion arkuszy, po co męczyć zecera, po co — teraz powiem *ab ego* — mordować biednego czytelnika?!... Bo gdybyż bodaj odrobinę talentu można znaleźć w tem, co szumnie nazwano »scenami dramatycznemi?!...

»Idę już — idę już... — Błędny, boleściwy pan, — W wichru tan, — Lecz ten ból... żal i ból, — Pustych rżysk... martwych pól, — Czy kto chce, — Czy nie chce *(sic!)* — Muszę dać, muszę dać...«

Wyspiański chyba w trumnie się obrócić musiał na taką marną naśladowczość, że o marniejszą trudno nawet!...

A jakiż jest ostateczny sens »scen dramatycznych« p. Dobrowolskiego?...

Na to pytanie niechaj Salomon zechce dać odpowiedź, bo autorowi »scen« nie chodziło bynajmniej — mojem zdaniem — o myśl. *Zet.*

Ułuda. Nowelle. *Stanisław Maciszewski.* Tarnopol 1909. Księgarnia A. Bruggera. 8-ka mn. str. 109; kt. nlb. 2.

»Dławiła go bezsilność.

»Miewał uczucia orła, co zaplątawszy się szponami w siecie podrywa się do lotu bezsilny i tylko skrzydłami w próżnię uderza... Niekiedy zdawało mu się, że orkan bólu rozrywa mu czaszkę, to znów krótki, błyskotliwy (?!) ból szarpał mu nerwy.

»Wtedy oplatał rękoma skronie, zaciskał je (k o g o?... s k r o n i e, c z y r ę c e?!...) na kształt żelaznych obręczy, biegał po pracowni, między grupami stworzonych postaci, podobny do tura, któremu uwiązano na głowie płonące pochodnie.

»I zdawało mu się, że marmurowe posągi uśmiechają się ironicznie, zamieniają z sobą pełne szyderstwa spojrzenia.

»Dał im życie w pięknie (przez wielkie »P« — przyp. rec.), lecz nie oddał im swej duszy, nie przelał w ich kształty krwi żył swoich«...

Autora pochwalić należy bodaj za szczerość wyznań, bo — naczytawszy się rozmaitej belletrystyki — spróbował sam tworzyć, a widząc swoją bezsilność duchową, anemiczną słabość pióra, przynajmniej dał wierny swój portret psychiczny w słowach wyżej przytoczonych. Czyliż — wobec tak szczerego wyznania, godzi się znęcać nad p. Maciszewskim?...

Dr. St. Zdz.

Handbuch der Pastoralmedizin. Von *Dr. August Stoehr.* Bearbeitet von Dr. Ludwig Kannamueller. Freiburg. Herder. Str. 572.

Potoczny język tej księgi dowodzi, że nie zawodowiec pisał ją dla uczonych, tylko człowiek rozmowny i ciekawy dowiedział się wiele na pogadankach z lekarzami, więcej wyczytał w rozprawkach albo dziełkach pisanych przystępnie i ogłosił ten zbiór wiedzy na odczytach w Würzburgu lat temu trzydzieści kilka.

Zawodowy teolog słyszy nieraz rozprawę, jaką stary i doświadczony organista prowadzi z parafianami o dogmacie albo morałce. Wiele zdrowych myśli można usłyszeć na takiej rozprawie, wiele zgrabnie opowiedzianych legend, — ale i wiele anegdot, na którę teolog nie da swojego podpisu.

I lekarze nie polecają książek o medycynie, pisanych przez jej miłośników samouków bez wiedzy ścisłej. Dzieło d-ra Stoehra zająć może czytelnika, jak pogadanka ze starszym człowiekiem, obeznanym z książkami, który bywał w świecie za młodu. Ale poglądy z przed trzydziestu kilku lat rzadko ostoją się przed zdobyczami wiedzy ciągle rozwijanej. Sądy staruszka bywają głoszone tonem profesorskim, który nie dopuszcza zarzutów, ani nie pozwala pytać się, skąd i w jaki sposób słuchacz mógłby sprawdzić wykładane zasady.

Niemieckie społeczeństwo tak chętnie czyta książkę d-ra Stoehra, że już nakładca wydał ją po raz piąty. W naszem społeczeństwie znajdą się podobno ludzie zamożni i wolni od nawału pracy, którzy złożą dziewięć koron, aby spędzić czas nad książką pożyteczną i potoczystym językiem pisaną. Kto bardziej naukowo chciałby tę samą rzecz poznać, ma ją za tańsze pieniądze w polskim języku opracowaną przez d-ra Czerneckiego.

K. C.

La Classe ouvrière dans la grande industrie du Royaume de Pologne. *Al. Woycicki.* Paris. F. Alcan 1909. Str. 265.

Ogromnie ciekawy obraz staje nam przed oczy, kiedy czytamy książkę wymienioną. Co zapowiedział pisarz w przedmowie, tego dokazał: wykazał, że pracowite warstwy naszego narodu występują jako potęga żywotna, przedsiębiorcza, wydatna. Po dziejach przebytych z orężem w dłoni stanął lud do nowoczesnej pracy przemysłowej i sprostał jej z takim dotąd wynikiem, że postępem w krótkim czasie przewyższył nadzieje. Uczony pisarz wybrał na dowód wiele świadectw sprawozdawców cudzoziemskich o stanie przemysłu w Królestwie, — a bogatym przyborem statystyki i wydawnictw urzędowych wykazał, że szczegółowy rozbiór stosunków potwierdza ogólnie stwierdzoną prawdę o rozwoju u nas przemysłu.

Trudno wykazać, któryby rozdział mniejszą od drugich przedstawiał cenę dla polskiego czytelnika: wszędzie pisarz przykuwa do siebie uwagę.

Może jednak najcenniejszymi poglądami wzbogaca naszą wiedzę w części wtórej, w rozdziałach drugim i trzecim.

Śród rozwoju najpomyślniejszego zaszły wypadki z ostatnich lat, które prowadzą do wniosku strasznego: warstwa robotnicza w Królestwie zawisła nad przepaścią. Pisarz nie przewiduje, jak prawdopodobnie rozwikłają się stosunki, obecnie najsmutniejsze. Ale nie okazuje słowem najmniejszem, żeby wątpił o tej sile żywotnej, która niespodzianie w końcu ostatniego stulecia wyjawiła się w naszym narodzie. Na razie daje zrozumieć, że społeczeństwo nasze całe bez wyjątku winno wesprzeć naszego robotnika: bo żywioł to godny opieki; na nią zasłużył wczoraj, jutro się za nią odpłaci sowicie pożytkiem narodu.

C. K.

Die Lehre von der vokalen Ornamentik. *Hugo Goldschmidt.* Erster Band: Das 17. und 18. Jahrhundert bis in die Zeit Glucks. Charlottenburg. Verl. von Paul Lehsten. W 8-ce. Str. 228 i 98.

Książka d-ra Hugona Goldschmidta o »wokalnej ornamentyce« (czyli ozdobnikach w śpiewie, a więc tryl, mordent, ozdobny pasaż, biegnik — wogóle k o l o r a t u r a) minionych stuleci, podczas których sztuka śpiewania stała o wiele wyżej, niż dziś, gdy rozkoszowano się najczystszym wo-

kalizmem, niejako zmysłową stroną techniki śpiewackiej — otóż ta książka miała wprawdzie poprzedniczki pod postacią prac Chrysandra, Kuhna, Kuhlsa i t. d., jednakże dr. Goldschmidt — znany badacz historyi opery i śpiewu — przewyższył je co do sumiennego opracowania tematu i wyczerpania źródeł teoretycznej i praktycznej muzyki, przytoczenia klasycznych przykładów objaśniających maniery śpiewaków, po części też instrumentalistów. Książka ta jest w istocie godną lektury wyczerpującej, a wykonawcy dzisiejsi muzyki dawniejszej, święcącej coraz okazalszy renesans, powinni ją posiadać. Tylko niewiele dzieł naukowych muzycznych powstało w ostatnich czasach, dzieł równie bogatych w treść. Oczywiście nie można nie wspomnieć, że także badaczom polskiej muzyki przyniesie ona wielką korzyść. Już w XVI stuleciu sztuka koloryzowania głosów wokalnych była u nas bardzo rozpowszechniona, a celowali w niej zwłaszcza Szamotulski i Leopolita. Z »Eksklemacyi« tego pierwszego przytoczyłem jeden »biegnik« w mej pracy p. t. »Stosunek muzyki polskiej do zachodniej w XV i XVI wieku«. Leopolita oplatał »mordentami« (w obrębie kwarty) motyw z pieśni polskiej wielkanocnej, który użył w swej »mszy paschalnej«. Zieleński (XVII wiek), wyborny znawca sztuki śpiewackiej i jej wirtuozowskich sztuk (»quas Itali gorgia vocant« — jak sam pisze), używał przeróżnych koloratur, często w »programowych« celach malarstwa muzycznego (np. tryl w motecie *Terra tremuit*). Jego polscy następcy, jak Jarzembski, Pękiel, a zwłaszcza Mielczewski, poszli jeszcze dalej; wszak byli »Włochami«, a we Włoszech szkoła wenecka i neapolitańska posunęły kult wokalnej koloratury do ostatecznych granic. W drugiej połowie XVII wieku osiąga i u nas ta sztuka swój szczyt, zwłaszcza w dziełach zwanych »concerto« lub »aria«. Jednym z takich typowych przykładów może być np. solo tenorowe z »concerto« Jacka Różyckiego, kapelmistrza króla Jana III. Przykładów takich możnaby wyliczyć sporo. Znakomitemu dziełu d-ra Goldschmidta, którego drugi tom oczekiwany jest z zupełnie zrozumiałą niecierpliwością, możnaby życzyć tylko, aby w wydaniach następnych uwzględniło jedną kwestyę: mianowicie sprawę wpływu koloratur i ornamentacyi wokalnych na tempo w wykonaniu utworu. Zajmując się historyą dyrygowania znalazłem przypadkiem w dziele Wolfganga K. Printza p. t. »Musica modulatoria vocalis« (1678, str. 37 sq.) następującą uwagę: śpiewak ma zważać na takt i stosować się do dyrygenta, »welches er fürnemlich thun soll, wenn er merket, dass der Director wegen einer zierlichen Figur, so etwan vor (sic) einem künstlichen Musico gemachet wird, die Zeit des Tacts verlängert«, i t. d. Jest to zresztą uwaga tylko mimochodem rzucona.

Dr. A. Ch.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Widoki dla katolików w Belgii

W politycznem życiu Belgii wysuwa się znów na pierwszy plan kwestya przyszłych częściowych wyborów, jakie się w maju odbędą. Dla katolickiego stronnictwa i katolickiego rządu jest to kwestya życia lub śmierci. Większość bowiem katolicka od szeregu lat zmniejszała się tak, że obecnie wynosi tylko ośm głosów; utrata więc pięciu głosów pozbawiłaby stronnictwo katolickie jego decydującego wpływu. Nic też dziwnego, że wszystkie stronnictwa, wrogie stronnictwu katolickiemu, rozpoczynają przygotowania do blizkiej walki.

Zaczyna się urabianie opinii za granicą, aby pod jej naciskiem i wpływem tem łatwiej osiągnąć pożądany cel. *Frankfurter Zeitung, Post,* paryska *Grande Revue* ostrzegają, z chrześcijańskiej rozumie się miłości, Belgię przed zalewem klasztorów, które kraj systematycznie zubożają a miliony, wydarte handlowi i przemysłowi, wysyłają jako świętopietrze do Rzymu; szkoły pod klerykalnymi rządami coraz bardziej upadają a szkolnictwo »czarna międzynarodówka« zupełnie prawie zniszczyła. Niezadowolenie z rządów katolickich w kraju ogólne.

Możeby i ktoś tym biadaniom uwierzył, gdyby nie głos, który fatalnym zbiegiem okoliczności dał się słyszeć z liberalnego

obozu w samej Belgii. Radykalno-liberalna brukselska *Chronique* zbiła te pogłoski w artykule dawnego socyalisty, dzisiaj liberała senatora Picarda. »Klerykali«, pisze Picard, »spychają stronnictwo liberalne coraz więcej na drugi plan: kwestyę wojskową rozwiązali; reforma wyborcza, jakiej socyaliści się domagają, żadnego liberała nie może rozentuzyazmować a samym liberałom wyrządziłaby wielkie szkody; uczęszczanie do szkół ludowych jest ogólne a liczba dzieci, nie chodzących do szkół, jest znikająco mała; jeżeli budynki szkolne zostawiają jeszcze coś do życzenia, to przypisać to trzeba jedynie finansowym kłopotom odpowiedniej miejscowości«.

Takie głosy nie urobią wprawdzie i nie zmienią uprzedzonej opinii zagranicznej, są jednak bądź co bądź strzałą, która się odbija i uderza we własne szeregi.

Jak zaś przedstawia się sprawa w samym kraju? Katolicy są tam jeszcze silniejsi od liberałów i socyalistów razem wziętych i żadne z wrogich katolikom stronnictw na własną rękę w Belgii rządzić nie może. To rozumieją wszyscy i dlatego widać już dzisiaj oznaki zbliżenia się socyalistów i liberałów. Przy zmianie tronu okazali wprawdzie socyaliści jasno, że są namiętnymi wrogami monarchii, to jednak liberałom niewiele przeszkadza; ponad monarchią stoi w ich przekonaniu wolna myśl, polegająca według zeznań antwerpskiego liberalnego *Matin*'a na tem, żeby wszystkimi środkami katolików wolności myśli pozbawić. To jest teren, na którym *les forts ésprits se rencontrent.* I tak stajemy wobec ciekawego faktu. Ci sami liberali, którzy przedtem nienawidzili socyalistów tak, jak ktoś z przysłowia święconej wody, doszli obecnie do przekonania, że socyalizm nie jest rewolucyjny, tylko reformacyjny, i żądają, wbrew dotychczasowym tradycyom, mianowania socyalistycznych burmistrzów tam, gdzie, jak to np. często ma miejsce w walońskiej części kraju, rady gminne są w swej większości socyalistyczne.

Jakie wobec tego przygotowującego się zbliżenia dwóch katolikom wrogich stronnictw są widoki katolików? Do ostatniej chwili były one bardzo nieszczególne. Rozdwojenie w obozie katolickim było tak wielkie, że biskupi widzieli się zmuszonymi

wezwać katolików we wspólnym liście pasterskim do jedności i zgody. Na razie usiłowanie to nie odniosło skutku a kwestya wojskowa była jabłkiem niezgody. W miastach Dinant, Namur, Nivelles, Antwerpii i Brukseli postawiła pewna część katolickich wyborców osobnych kandydatów i to wbrew liście katolickiej i to wówczas, gdy socyaliści na wielkiem dwudniowem zgromadzeniu w Brukseli uchwalili iść razem z liberałami. To niebezpieczeństwo, Bogu dzięki, prawie w zupełności minęło, szeregi katolickie zrozumiały, że chwila obecna nie nadaje się do walk i zatargów. Widoki więc poprawiły się a poprawiły jeszcze więcej przez zatargi, które w łonie radykałów powstały. Socyaliści żądają coraz więcej ustępstw, marzą już nawet o dwóch fotelach ministeryalnych, co się liberałom nie bardzo podoba; wśród samych zaś liberałów monarchiści i republikanie walczą ze sobą o zasady tak zawzięcie, że wodzowie stronnictw liberalnych a nawet obrady lewicy w Izbie nie doprowadziły do zgody. To też zgromadzenie radykalnych liberałów w Brukseli wykazywało jawne przygnębienie a pierwszy z głównych mowców, profesor uniwersytetu Pergameni publicznie wypowiedział zdanie, że żadne stronnictwo nie przystępuje do blizkich wyborów tak bezmyślnie i bezcelowo, jak obecne stronnictwo liberalne i całe zgromadzenie oddało słuszność jego wywodom. Zniechęcenie jest tak wielkie, że ostatecznie zgodzili się liberali wystąpić z hasłem reformy wyborczej w duchu socyalistycznym. Obecne położenie lewicy przemawia więc raczej na korzyść socyalistów, jak liberałów.

Tymczasem zaszedł fakt, który całej sprawie nadał kierunek dla katolików więcej jeszcze przychylny. Piętnastego lutego odbywały się w Izbie obrady szkolne, a socyaliści wystąpili, rozumie się, przeciwko szkolnictwu belgijskiemu. Wówczas wykazał Woeste na podstawie cyfr i faktów, że na polu ludowego szkolnictwa spełniła Belgia swój obowiązek a nie naruszyła finansów państwowych. Wolna szkoła w Belgii znajduje się w rozkwicie i to właśnie kłuje w oczy liberałów i socyalistów. Na liberałów przyszła wówczas czarna godzina i bezwiednie chyba wynurzyli się z tem, co jest ich życia i pracy zadaniem i marzeniem. Liberalny deputowany Masson wyrwał się w niebacznej chwili z twierdze-

niem: »Nasz program żąda obowiązkowej, bezwyznaniowej szkoły«, a socyalista Hubin dodał: »Dzieci należą na pierwszem miejscu do państwa a na drugiem dopiero do rodziców; państwo ma więc prawo ująć w swe ręce ich wychowanie i wykształcenie!« To i dalsza uwaga sprzymierzonej lewicy, że jej celem jest francuska polityka szkolna, wywołało na miejscu pogodzenie się Woesta z ministrem Schollaertem i otworzyło równocześnie całemu krajowi oczy na to, czego po zmianie rządu spodziewać się może. To też w ukropie kąpani posłowie usłyszeli na partyjnem zgromadzeniu w Brukseli gorzkie słowa prawdy. Zarzucono im, że skutkiem ich nietaktu zniechęcenie opanowało szeregi liberalne i zaniepokoiło szerokie koła ludności, która się nigdy nie zgodzi na zniesienie religii w szkole i wogóle na ciemiężenie uczucia religijnego.

Trudno jeszcze dziś powiedzieć, jaki obrót rzeczy ostatecznie wezmą, w każdym razie widoki dla katolików nie są najgorsze i nie mogą zniechęcić.

Ze stosunków włoskich

We Włoszech drobna, dokuczliwa walka przeciwko katolicyzmowi nie ustaje ani na chwilę a przybiera czasami dziwny charakter. Katolicy w większych miastach portowych, szczególniej w Neapolu i Genui, zorganizowali się pod wodzą Kościoła w rozmaite stowarzyszenia, mające na celu iść z materyalną i duchowną pomocą emigrantom i chronić ich przed wyzyskiem i niebezpieczeństwem, grożącem wierze i obyczajom. Popełnili jednak wielki błąd, ten mianowicie, że byli pierwsi, którzy na tę sprawę zwrócili uwagę i nią się zajęli! I oto! socyaliści stawiają w parlamencie wniosek, wzywający rząd do upaństwowienia opieki nad wychodźcami, by przypadkiem »nie poszli na lep religijnych i politycznych uprzedzeń«.

Kiedy znowu w ostatnich miesiącach Ojciec św. zajął się reformą seminaryów duchownych, między innymi zmniejszeniem ich liczby, skorzystali i z tej okazyi socyaliści, aby po raz nie wiedzieć który udowodnić prawdziwość swego twierdzenia: »Religia jest rzeczą prywatną«. Socyalista bowiem Calda wezwał w interpelacyi rząd, aby seminarya ograniczyć do studyum wy-

łącznie teologicznego a wycofać z nich przygotowawcze nauki gimnazyalne, aby nikogo do seminaryum przed ukończonym ośmnastym rokiem życia nie przyjmować i aby wreszcie ilość seminaryów zmniejszyć.

Smutno powiedzieć, lecz socyaliści znaleźli w całym parlamencie jedynego obrońcę w osobie ks. Murrie'go, który wystąpił nadto przeciwko szkołom żeńskim, kierowanym przez zakonnice. W tym wypadku okazał jednak parlament więcej rozwagi i spokoju i odrzucił wszystkie te wnioski a nawet prasa liberalna pochwaliła ten krok Izby.

Ta ciągła walka przenosi się i na ulicę. W Perugii np. miał pewien misyonarz chiński odczyt o Chinach; odbywał się on w kościele. Któryś z pułkowników tamtejszej załogi przybył na odczyt i odkomenderował na niego także swoich żołnierzy. To wystarczyło, żeby zebrać motłoch całego miasta, z muzyką i wrzaskiem pociągnąć do kościoła, ustawić się przed drzwiami i, jak na ludzi dojrzałych przystało, zabawić się w prostackie demonstracye, zbezcześcić wiarę a z błotem zmieszać papieża i miastowego biskupa. Jakie to smutne i jak poniżające!

A jednak w tych ciągłych na Kościół i na katolicyzm wymierzanych atakach widać jak gdyby pewną bojaźń przed budzącym się katolickim duchem. Zdradził się z tem socyalista Ferri w *Rivista Laica*. Papież, pisze, chce Włochy na nowo zdobyć, stąd te wszystkie stowarzyszenia i związki. Kultura duchowna nie może wprawdzie myśleć o zwyciężeniu kultury świeckiej, niebezpieczeństwo jednak jest poważne a środkiem do jego usunięcia to: śluby cywilne, rozwody, bezwyznaniowa szkoła i zniesienie wszelkich przywilejów duchownych, z drugiej zaś strony tolerancya wszelkich wyznań, o ile nie mieszają się do polityki i nie wykraczają przeciw ustawie. »Gdyby, i to jest dość cenne wyznanie, rząd włoski wystąpił z prawami otwarcie agresywnemi, powstałoby takie oburzenie fanatyzmu ludowego przeciwko świeckiej kulturze, że polityczny klerykalizm niezmierniebyby się wzmógł«. Walkę przeciwko klerykalizmowi musi, jak we Francyi, przeprowadzić szkoła.

Ten głos i to zapatrywanie Ferri'ego nie jest odosobnione, podziela je np. w turyńskiej *Stampa* radykalny poseł Sacchi.

O pracy katolików niema na razie nic ważniejszego do nadmienienia. W Apulii założyli oni katolickie biuro ludowe, stojące pod kierownictwem duchownych i świeckich, które, skutkiem realnego programu, może wydać dobre owoce. Jego celem jest bowiem organizacya robotników, staranie o rozwój rolnictwa, popieranie prasy, kształcenie ludu, wspomaganie ruchu młodzieży i ruchu kobiecego i t. d. To przynajmniej jeden z pierwszych kroków południowych Włoch.

Wielki *Związek ludowy, Unione popolare*, zaczyna się też krzątać. Na walnem zgromadzeniu we Florencyi omawiano kwestyę założenia wielkiego, dobrze redagowanego pisma, któreby wyczerpująco informowało lud o ważnych kwestyach dnia i postanowiono szerzyć ideę organizacyi i zwrócić więcej, jak dotychczas, uwagę na szkołę.

Jedno tylko ważniejsze zwycięstwo katolików włoskich mamy dzisiaj do zanotowania. Organizacyjnej pracy katolickiej udało się przeprowadzić wybór kandydata katolickiego na ważne stanowisko w *Consiglio Superiore del Lavoro*. Tu panowali dotąd niepodzielnie socyaliści, i socyaliści też razem z rządem uniemożliwiali zawsze wybór katolika pod pozorem, że związki katolickie nie są związkami robotniczymi, gdyż mają także cele religijne. Tym jednak razem rząd nie mógł sprzeciwić się woli wyborców i to ku wielkiemu utrapieniu socyalistów, widzących się zagrożonymi na terenie przez nich wyłącznie opanowanym. Jest to zasługą różnych katolickich związków rolniczych a przedewszystkiem *Unione Economico-Sociale*, i dowodem, że i we Włoszech pracą, zapobiegliwością i inicyatywą także coś zrobić można.

Kilka wieści z Hiszpanii

Dziwną wiadomość, rzucającą ciekawe światło na sprawę Ferrera, przynosi *La Mannana*, organ rewolucyonisty Pawła Iglesias. Według Iglesiasa winnym śmierci Ferrera był liberalny następca Maury, prezydent gabinetu Moret a rzecz się tak miała. Gdy Ferrera jednogłośnie zasądzono i najwyższa rada wojenna wyrok potwierdziła, zwrócił się Maura do Moreta i uwia-

domił go, że według sprawozdań ambasadorów z Rzymu i Paryża stracenie anarchisty wywoła tam wielkie zaburzenia. Dodał równocześnie, że anarchiści postanawiają śmierć Ferrera krwawo pomścić, zasypują ministrów listami, grożącymi śmiercią i grożą nią nawet królowi, który skłania się do tego, by Ferrera ułaskawić. Rząd jest przeciwny ułaskawieniu, ponieważ jednak chodzi tu o króla, pragnie zasięgnąć zdania Moreta. Na to odpowiedział Moret: »Mojem zdaniem niema żadnej racyi, żeby króla nakłaniać do korzystania z przysługującego mu prawa. Rząd musi domagać się egzekucyi, w przeciwnym bowiem razie zaciąży na nim zarzut tchórzostwa«. Jeżeli to oskarżenie, na które Moret, o ile nam wiadomo, nie reagował, jest prawdziwem, wykazuje jasno, jaki cel i jaką wartość moralną miał ruch z tego powodu przeciwko Kościołowi wywołany.

Tymczasem rozpoczęto w Hiszpanii agitacyę za otworzeniem zamkniętych w czasie rozruchów wolnych i ferrerowskich szkół. Agitacya ta była bardzo na rękę liberalnemu rządowi, spodziewającemu się, że zezwolenie na ponowne otwarcie zamkniętych szkół da mu przy następnych wyborach poparcie tłumu, a to dla żądnych karyery jest w każdym razie niemała rzecz. Trzeba jednak było zachować pozory, aby zbyt nie dotknąć zdrowej części ludności. To też namiestnik barceloński polecił kierownikom tych szkół wnieść podanie o ich otwarcie a równocześnie podania te wystawił na widok publiczny, naznaczając czas do czterech tygodni, w przeciągu których możnaby wnieść zażalenie przeciwko nim, lub stanąć w ich obronie. Katolicy skorzystali z okazyi, zalali biura namiestnika protestami, z których np. protest barcelońskich kobiet opatrzony był 50.000 podpisów, urządzali gromadne i olbrzymie zebrania — wszystkie jednak te racye ustąpiły wyższej racyi stanu i trzydziestego stycznia wolne szkoły zostały otwarte z tem zastrzeżeniem, że spełnią i spełniać będą warunki przez ustawę przepisane; nie otworzono tylko szkół ferrerowskich jako występujących wrogo przeciwko ojczyźnie i rodzinie.

Niestety i ten krok nie uratował liberalnego gabinetu Moreta; gabinet upadł a był już wielki czas po temu. Ci, którzy po rządach Moreta spodziewali się powrotu złotego wieku ludzkości,

zawiedli się nadmiernie w swych oczekiwaniach. Liberalna *Neue Züricher Zeitung* donosi w korespondencyi z Madrytu, że niezadowolenie było w ostatnich tygodniach w kraju ogólne. Pod liberalnym rządem, pisze, święciła samowola swe największe tryumfy, nikt też do liberalnego gabinetu zaufania nie miał; za rządów liberalnych zdarzały się zawsze bunty wojskowe; cenzura gazet i prasy przypominała stan oblężenia — dużo innych zarzutów stawiali Moretowi jego właśni zwolennicy.

Moret ostatecznie upadł a jak zwykle w podobnych razach starano się złożyć całą winę jego upadku na Watykan, który miał rzekomo stanowczo zagrozić, że na żadne dalsze reformy konkordatu się nie zgodzi i wywołał tym sposobem rozdwojenie między królem i gabinetem; ofiarą padł Moret. Biedny Watykan! zamiast Moreta dostał fanatycznego wroga religii, Canalejasa i hiszpańskie wydanie miniaturowego Combesa w osobie Romanonesa.

Osservatore Romano wykazał na podstawie autentycznej deklaracyi fałsz tego twierdzenia, które powinno przejść już *ad acta*, długo jednak jeszcze po różnych dziennikach, które wszędzie tam głos zabierają, gdzie ich nikt o to nie prosi i zwykle w rzeczach, których nie rozumieją, pokutować będzie.

Gabinet musiał upaść. Powstał pod niesłychaną presyą, wywieraną na króla, któremu Moret zagroził, że całe jego stronnictwo przejdzie do rewolucyonistów i proklamować będzie republikę. Król poświęcił Maurę. Moret jednak nie zadowolnił nikogo. Dla socyalistów i republikanów był za łagodnym i za wielkim monarchistą, dla demokratów znów zanadto rewolucyonistą i przewrotowcem. Demokraci też obalili gabinet, który Nemezis dziejowa pierwej dosięgła, jak się tego spodziewać było można.

Na zakończenie to chyba dodać jeszcze wypadnie, że i Canalejasowi nie rokują długiego żywota; jak gdzieindziej, tak i w Hiszpanii, liberalizm udowodnił na nowo, że potrafi burzyć, nie umie jednak budować.

Czy Jezus istniał? Pod tym tytułem wygłosił 31 stycznia monista, prof. Drews z Karlsruhe, w Berlinie odczyt, wykazujący na nowo, dokąd w większości swojej zaszedł dziś racyonalistyczny

protestantyzm. Dla każdego, kto bliżej zna Drewsa i jego pracę »Baśń o Chrystusie« jasnem było już naprzód, jaką monistyczny profesor na powyższe pytanie da odpowiedź. Zródła biblijne i świeckie, mówiące o Jezusie, nie mają żadnej wartości; święty Paweł Jezusa historycznego nie znał i o Nim nie mówi; przed początkiem chrześcijańskiej ery był kult Jezusa w Palestynie już rozpowszechniony a wywodzi on się od kultu Jozuego, zdobywcy Ziemi obiecanej. Poganie czcili zmarłego i zmartwychwstającego Zbawiciela a doprowadziło ich do tego badanie zimy i wiosny. Z żydowskiego i pogańskiego Zbawiciela stworzył potem Paweł św. jedną osobę, nowego Boga i nową religię.

Dwa tysiące ludzi przysłuchiwało się tym z wyobraźni wysnutym wywodom a pierwszego lutego rozpoczęto na ten temat pięciogodzinną dyskusyę. Wykazano w tej dyskusyi, że przedchrześcijański kult Jezusa jest tworem wyłącznie fantazyi, że autentyczność pierwszych trzech ewangelii jest ponad wszelką krytykę stwierdzona, że więc Chrystus historyczny istniał, lecz tylko jako człowiek i warto to sobie zapamiętać, że tak twierdzili protestanccy teologowie. Paweł dopiero stworzył dogmat, syna człowieka przemienił w Syna Bożego a z Jego śmierci uczynił śmierć ekspiacyjną za grzechy świata, tej jednak nauki nie potrzebujemy przyjmować.

I między tymi wszystkimi teologami znalazł się tylko jeden, prof. Steudel z Bremy, który miał odwagę stanąć przeciwko wszystkim. Twierdzenie, mówił on, że nikt nie jest zmuszony przyjąć nauki o odkupieniu, jest istotą i podstawą modnej teologii protestanckiej, które chrześcijaństwo całe pozbawiło treści, a natomiast stworzyło nową religię, jakiej nie znali i znać nie chcieli Augustyn, Luter, Kalwin, gdyż chrześcijaństwo historyczne było zawsze i jest nauką o Bóstwie Chrystusa i o Odkupieniu.

Te słowa znalazły pewien oddźwięk w protestanckiem społeczeństwie. Na temat: Chrystus żyje, zapowiedzieli berlińscy protestanci, stojący na pozytywnym gruncie chrześcijańskim wielkie zgromadzenie, które miało rozpatrzyć następujących pięć kwestyi: Chrystus żyje, bo 1) Słowo Boże to wykazuje; 2) osobiste przeświadczenie wiary to stwierdza; 3) w życiu publicznem daje się

to poznać; 4) tem stoi i upada Kościół; 5) bądźmy więc wiernymi temu wyznaniu.

Zgromadzenie to odbyło się 20 lutego i ono rzuca trochę jasnego światła na współczesny protestantyzm. Wielki cyrk Busch a nie mógł pomieścić uczestników a ma on miejsce dla siedmiu tysięcy osób; trzeba było otworzyć nowy tum a i ten wypełniono. Według sprawozdań niemieckich gazet publiczność składała się z przedstawicieli wszystkich warstw i mile podobno zadziwiła niezwykle wielka liczba oficerów. Nastrój miał być poważny, prawie kościelny i entuzyastycznie przyjmowano wszystkie referaty.

Fakt ten stwierdza ostatecznie, że i w protestantyzmie biją jeszcze wierzące serca, nie obala jednak zdania, że uświadomiony protestantyzm, to tylko negacya.

Z pocieszających objawów w kraju

Dzięki ofiarności i przedsiębiorczości katolickich pań polskich, znanych ze swej pracy i szlachetności, kiedy chodzi o dobro społeczeństwa, powstał we Lwowie tak zwany związek *Opieka nad młodemi kobietami.* Widok niebezpieczeństwa, na jakie narażona jest młoda kobieta, natchnął tę myśl; miłość chrześcijańska wprowadziła ją w czyn.

»Niebezpiecznym, mówiła przewodnicząca *Opieki* p. Helena Czapelska, zawsze bruk wielkomiejski, gdzie na każdym kroku czyhą tyle pokus i zasadzek, okazywał się często wprost zgubnym dla przybywającej z dala nieświadomej, łatwowiernej, słabej czy bezradnej kobiety. Ochronić ją tutaj zaraz na pierwszym kroku, podać ciepłą siostrzaną rękę, wskazać uczciwą pracę, a bodaj tylko na dzień jeden i noc zdradliwą umieścić pod bezpiecznym dachem — oto zadanie *Opieki*«.

Sprawozdanie wykazuje już różne, sercem wstrząsające wypadki, — np. sprzedaż dorastającej córki Żydowi za 2 korony, — w których *Opieka* zbawiennie wkroczyła.

Opieka — i to także otuchą napawa — ma przyszłość przed sobą, gdyż znalazła niezwykle sympatyczne przyjęcie w szerokich kołach społeczeństwa. Dyrekcya kolei państwowych we

Lwowie, wyżsi i niżsi urzędnicy kolejowi, dyrekcya policyi, prości nawet robotnicy idą *Opiece* z czynną pomocą.

Wobec tego jedno tylko życzenie wyrazić wypada, to mianowicie, aby *Opieka* jak najwięcej się szerzyła, by w całym kraju nie było miasta ni stacyi kolejowej, gdzieby nie doznano jej błogiego wpływu. Lwowskie panie z Katolickiego Związku Polskich Kobiet mogą sobie powinszować dokonania zbożnego dzieła na chwałę Bogu, na chlubę i pożytek narodu.

Ks. Wiktor Wiecki.

O społecznej działalności katolickiego Związku kobiet niemieckich w ostatnich latach.

W listopadzie 1908 r. odbyło się w Monasterze *(Münster)* trzecie z rzędu zebranie wszystkich kół katol. Związku kobiet *(Kathol. Frauenbund)* liczącego obecnie szósty rok życia.

Rozesłano na ten zjazd 10.000 zaproszeń; wzięły w nim udział przewodniczące i przedstawicielki 53 kół, delegatki obcych związków kobiecych, — między któremi widziano nawet delegatkę ewangelickiego Związku — reprezentanci duchowieństwa z biskupem monasteryjskim na czele i spory zastęp uczonych ekonomistów z Monachium i Monasterza.

Szybkie swe rozgałęzienie zawdzięcza niewątpliwie Związek niemiecki licznym środowiskom życia ekonomicznego i umysłowego w jakie Niemcy obfitują; na to, ażeby po czterech latach istnienia liczyć 53 koła związkowe, potrzeba było 53 środowisk życia społecznego, stać Niemcy i na to, ażeby za lat 8 miały ich do 80; u nas w tym samym czasie przy najpomyślniej rozwijającej się działalności nie zdołałoby się stworzyć pewnie więcej nad 10, gdyż nie miałyby gdzie powstać.

Ważniejszem jednak nad to materyalne rozgałęzienie, to powaga, jaką sobie zdobył Związek wśród sfer katolickich, to poparcie, jakie znajduje zarówno u duchowieństwa, jak u chrześcijańsko-społecznego Związku; — przekonamy się dalej, że liczą się już z nim i władze rządowe niemieckie. Mógłby kto mniemać, że sprężyną tego rozwoju, to jakieś potężne środki finansowe, mające swe źródło w ogólnem

bogactwie; tymczasem rozglądając się w sprawozdaniu z ostatniego zjazdu przychodzimy do przekonania, że operuje się tu dość ograniczonymi funduszami. Trzeba pamiętać, że katolicy są w mniejszości, że z wyjątkiem nadreńskich prowincyi i Bawaryi, nie stanowią najbardziej wpływowej i najzasobniejszej części ludności; w czem tkwi zatem siła Związku i gdzie tajemnica jego rozrostu? oto w poczuciu solidarności i przeświadczeniu, że praca społeczna oparta na zasadach katolickich, to obowiązek, ciążący na każdym, co się za katolika uważa, to nie coś dodatkowego, odświętnego, ale coś splecionego z najżywotniejszemi sprawami tej części narodu, która przy wierze katolickiej trwa i pragnie wytrwać. Myśl katolicka, myśl powszechności, tkwiąca w rzymsko-katolickim Kościele jest tak silnie ugruntowaną w duszach tych Niemców, którzy do niego szczerze należą, że ona jedna była w stanie rozszerzyć im serca, uczynić sąd ich sprawiedliwszym wobec drugich, ona jedna zdołała ich ustrzedz od tej buty, od tej nienawiści dla Polaków, od jakiej nie odwodzi ich nawet naukowy punkt widzenia.

Jeżeli gdzie spotyka się Polak z życzliwością, to w Bawaryi i w nadreńskich prowincyach; żaden organ tak wytrwale nie broni naszych słusznych żądań i skarg, jak największy dziennik katolicki, jakim jest *Poln. Volks Zeitung*. Ten życzliwy nastrój zaznaczył się świeżo na ostatnim kat. kongresie we Wrocławiu, gdzie już nie tylko przedstawiciele duchowieństwa, ale wysocy urzędnicy odważnie piętnowali gwałcenie religijno-narodowych uczuć Polaków.

Nie miał może sposobności katol. Związek kobiet zaznaczenia swych sympatyi dla Polski, nie odezwał się jednak na zjeździe w Münster ani jeden ton, któryby w czemkolwiek mógł razić nasze uczucia i można się solidaryzować od początku do końca z akcyą jaką rozwija, a której obraz daje nam sprawozdanie, z którego niniejsze szczegóły czerpiemy.

Związek niemiecki *(Kath. Frauenbund)*, będący właściwie Związkiem Związków, odbywa co dwa lata przegląd swej działalności. Jaki jest program tej działalności? Na to odpowiada statut: 1) Rozwijającą się w rozmaitych stowarzyszeniach pracę kat. niemieckich kobiet sprowadzić do współdziałania według pewnego planu. 2) Kobiety katolickie uświadomić co do zagadnień poruszających obecnie światem kobiecym. 3) Pobudzić je przez naukowe, dobroczynne *(Caritatid)* i społeczne działanie do rozwiązania, sprawy kobiecej w duchu katolickiego na świat poglądu. Program zbliżony, ale raczej ciaśniejszy

od tego, jaki sobie zakreślił polski Związek niewiast katolickich; tu bowiem nie tyle się rozchodzi o obronę praw kobiecych, ile o czynny udział kobiet w pracy społecznej, wychodząc z tego założenia, że oświecone i wytrwałe współdziałanie na polu społecznem samo przez się podniesie stanowisko kobiety i przyczyni się do usunięcia różnych anomalii i niesprawiedliwości w jej położeniu.

Rozpęd rozwoju, jaki się dokonał w niemieckim Związku pomiędzy r. 1906 a 1908, doprowadził atoli do znacznego rozszerzenia się widnokręgu, rozsadził poniekąd ramy statutowego założenia, zmusił zarząd centralny do podjęcia spraw pierwszorzędnego społecznego znaczenia i śmiałej obrony postulatów, wypływających z głębi religijnego przekonania i dobrze zrozumianego postępu. Trzeba przytem zaznaczyć, że sprawozdanie nie wchodzi w szczegóły ruchu Związków lokalnych - daje tylko obraz działalności ogólnej, mającej swe ognisko w Związku centralnym, którego siedzibą jest Kolonia.

Do głównych zadań tego Centralnego Związku należy tworzenie nowych rozgałęzień związkowych: *Zweigvereine,* utrzymywanie między niemi styczności i pobudzanie ich do żywej a solidarnej akcyi, stąd powód do żywej wymiany korespondencyi, wydawanie broszur informacyjnych, inspekcya kół i t. d. To stanowi niejako stronę wewnętrzną działalności Centralnego Związku; niemniej ożywioną jest akcya na zewnątrz.

Dla zamanifestowania swego katolickiego stanowiska i obrony swych postulatów bierze Związek udział w różnych kongresach tak niemieckich jak zagranicznych, poświęconych zagadnieniom moralnego i społecznego znaczenia. Pomiędzy r. 1906 a 1908 obesłał Związek następujące kongresy:

1) Międzynarodowy kongres pokoju w Monachium.

2) Kongres urządzony w celu zwalczania handlu dziewczętami w Düsseldorf.

3) Ogólne zebrania ewangelickiego Związku kobiet w Poczdamie.

4) Antyalkoholiczny kongres w Sztokholmie.

5) Kongres dla spraw wyższego wykształcenia kobiet w Kassel.

6) Abolicyonistyczny kongres w Genewie i inne mniejsze zjazdy.

Oprócz tego delegatki Związku brały udział w letnim ogólnym kursie społecznym w Gladbach i w kursie społecznym, urządzonym przez *Kath. Volksverein,* rozumie bowiem Związek, że nie można pracować porządnie na polu społecznem bez podkładu teoretycznych wiadomości.

Ten gorący udział, ta baczność w śledzeniu zjawisk z dwóch wypływają pobudek: po pierwsze z chęci zaznaczenia swej żywotności, swego interesu dla wszystkiego, co się może przyczynić do zapewnienia równowagi społecznej; powtóre z chęci rozszerzenia zakresu swych wiadomości i ugruntowania swych poglądów. »Pragniemy«, pisze referentka, »uczyć się ciągle nie tylko co czynić, co wprowadzić, ale i tego, czego unikać, nie tylko jak czynić, ale i jak nie czynić! Śledząc na takich zjazdach ścieranie się zdań, coraz bardziej przychodzimy do przekonania, że najwyższy czas, ażebyśmy, katolickie kobiety, ocknęły się z naszej bezczynności, zdwoiły nasze usiłowania w celu utorowania katolickim poglądom drogi i miejsca w ogólnym ruchu kobiecym i naprawiły nasze opóźnienie się pod tym względem«.

Istotnie kobiety katolickie w Niemczech zbudziły się późno, ich związek jest o 4 lata późniejszym od krakowskiego, ale trzeba przyznać, że już sporo nadrobiły drogi. »I ktoby jeszcze powątpiewał o potrzebie katolickiego ruchu kobiecego«, ciągnie dalej referentka — a niestety tacy się jeszcze zdarzają — ten niech weźmie choć raz jeden udział w tych ogólnych zjazdach, nawet przeciwnych kierunków, a wróci stamtąd z radością, że nasz Związek stojąc na straży tego, co najświętsze w poglądach i w czynie — idzie przecież dzielnie z postępem czasu. W ten sposób czerpiemy wszędzie pożytek, gdyż zarówno u sojuszników jak u przeciwników można sobie widnokrąg myśli rozszerzyć i niejednego się nauczyć«, ale Związek nie ograniczył się do obserwacyi i propagowania urabianych tą drogą poglądów; opierając się na swych 53 kołach i na przeświadczeniu, że są pewne sprawy, których kobieta powinna bronić odważnie, Związek centralny nie zawahał się wnieść całego szeregu gorących i energicznych petycyi do odnośnych władz, a mianowicie do parlamentu i innych organów rządu.

Do parlamentu wniesiono 4 petycye:

1) O lepsze unormowanie pod względem prawnym ustaw dotyczących chorób i wypadków.

2) O karne ściganie pism, obrazów, przedstawień szerzących niemoralność wśród młodszego pokolenia.

3) Przeciw publikowaniu w gazetach procesów skandalicznych, co wniesiono wspólnie z kościelno-chrześcijańskim społecznym związkiem.

4) O bierne i czynne prawo wyboru dla kobiet do izb robotniczych.

Rozpatrując się w doniosłości poruszonych w tych petycyach

zagadnień, żałować doprawdy przychodzi, że *Frauenbund* nie działa na austryackim gruncie i że odjętą jest nam możność poparcia go w walce z zastraszającymi postępami niemoralności i pornografii o jakich i u nas niejedno dałoby się powiedzieć!

Do ministerstwa oświaty wniesiono petycyę, dotyczącą zmian potrzebnych w wyższem wykształceniu kobiet; wreszcie do biura statystycznego wysłano prośbę o przeprowadzenie przy ogólnym spisie ludności osobnego spisu kobiet z uwzględnieniem wszystkich zawodów i warunków społecznych, której to prośbie już w kilka miesięcy później uczyniono zadość: Związek centralny otrzymał bowiem od biura statystycznego tyle egzemplarzy sporządzonego *ad hoc* kwestyonaryusza, ile liczy rozgałęzień; na wszystkie, z wyjątkiem trzech, odpowiedziano i biurowi zwrócono. *Frauenbund* poparł nadto całym swoim wpływem starania o przypuszczenie kobiet a specyalnie nauczycielek do zarządu szkół, jako też do t. zw. inspekcyi mieszkań. Poczynił również starania o wprowadzenie obowiązkowej nauki gotowania dla dziewcząt na razie przy szkole dla mniej uzdolnionych dzieci — typ dość już rozpowszechniony w Niemczech, u nas dotąd nieznany.

Dzięki zabiegom monachijskiego Koła uzyskano posadę asystentki policyjnej przy monach. więzieniu, na wzór zajmowanej przez p. Arendt w Darmstadzie. Warto także podnieść, że istnieją w Związku centralnym trzy komisye badawcze: naukowa dla spraw wyższego wykształcenia kobiet, ściśle społeczna i dobroczynna. Każda z tych komisyi wydaje broszury informacyjne i popierające nowe idee, oprócz tego powołał *Frauenbund* do życia komisye w celu popierania wszelkich starań o podniesienie poziomu moralności oraz komisyę poświęconą ochronie macierzyństwa i wysunięciem tej sprawy tak mylnie i podstępnie nieraz pojmowanej.

Taka ruchliwa działalność powoduje oczywiście żywą wymianę myśli ustną i pisemną; w r. 1906/7 wyprawiono z Kolonii 2156 listów, w r. 1907/8 2430. Pism i odezw ulotnych wydano w dwóch latach 59.865, przytem Związek udzielał informacyi we wszystkiem, co dotyczy spraw kobiecych. Nie wystarczał wkrótce Związkowi jeden organ, jakim była *Christliche Frau*, powstał *Kathol. Frauenbund* rozdawany darmo członkom w liczbie 20.000 egzemplarzy. *Jahrbuch*, kalendarz sprawozdawczy, drukuje się rocznie w 3.000 egzemplarzy. Te najważniejsze szczegóły świadczą niewątpliwie o bardzo gorliwej i wydatnej działalności niemieckiego Związku. Czyta się jednak między liniami, że i tam dają się odczuwać pewne braki; słychać narzekania

na brak wytrwałych i uzdolnionych pracowniczek, jest podobno tak, jak i w naszych stowarzyszeniach, wielu członków martwych i obojętnych, wskutek czego praca społeczna, zwłaszcza w Kołach związkowych cięży stale na jednych i tych samych osobach, zamiast się należycie rozkładać. Referentka czyni za to odpowiedzialnemi przewodniczące Kół, zarzucając im, że za mało urządzają zebrań informacyjnych dla ogółu swych członków, którzy nie wtajemniczeni dostatecznie w przebieg spraw, nie mogą się niemi należycie zainteresować. Do pracy społecznej, konkluduje referentka, trzeba się wciągnąć, trzeba się jej wyuczyć, do czego częste narady i dyskusye są niezbędne. Sam zarząd nie może i nie powinien wszystkiego robić, on ma kierować, wskazywać drogi i metody — czuwać — członkowie muszą pracę przez Zarząd przygotowaną między siebie rozdzielić tak, aby każdy był czynnym a nikt przeciążonym. Dlatego tak jest pożądanem odnawianie się sił, wciąganie młodszych zastępców, nabierających stopniowo praktycznej wprawy i teoretycznego wyszkolenia, do czego służą t. zw. *Studier-Zirkel* i *Unterrichtskurse* czyli Kółka samokształcenia. Wita się więc z radością każdą przy Kołach powstającą sekcyę młodych *(Jugendbund)* i w niej wielkie pokłada nadzieje. Takich Jugendbundów liczy Związek już 11; ostatnia zawiązała się w czasie monasterskiego zjazdu, a zapisało się do niej od razu 90 panien.

Na uzupełnienie obrazu działalności Katolickiego Związku kobiet możeby należało przytoczyć kilka tematów poruszonych w referatach na zjeździe w Münster; mówiły przeważnie panie ale nie wyłącznie — zabierali głos przedstawiciele duchowieństwa, dla spraw natury ściśle prawniczej zaproszono kilku profesorów uniwersytetu. Zaprowadziłoby to jednak za daleko; ktoby się chciał bliżej z tem zapoznać może przejrzeć ostatni *Jahrbuch des kath. Frauenbundes*, wydany przez centralę kolońską w styczniu r. 1909.

Marya Straszewska.

Samoobrona społeczna.

»Myśli są rzeczywistością«: to zdanie możnaby użyć jako określenie kampanii, którą w jesieni 1909 r. podjęła poważna prasa angielska przeciw powieści Wellsa »Ann Veronica«. Ten pisarz jest i u nas znanym z utworów swych zwykle bardzo fantastycznych, opar-

tych na rzekomo naukowych teoryach. Z przekonania socyalista, należy on i żona jego do t. zw. *Fabiar Society*, które to stowarzyszenie nosi charakter wybitnie socyalistyczny. Pisarz ten nie uznaje żadnych ograniczeń, ani prawa, ani etyki — i dobitnie dał to poznać w swej ostatniej powieści. Poważna prasa angielska od razu zwróciła uwagę na niebezpieczeństwo propagowania tych idei podkopujących wszelkie podstawy moralności społecznej. Tygodnik *Spectator*, prawie sto lat istniejący, wystąpił z ostrzegającym artykułem p. t. *The poisenous book* w jednym z numerów listopadowych 1909 r. Na wstępie zastrzega się, że zawsze unika dawania rozgłosu skandalicznym powieściom, choćby nawet przez zaciekawiającą krytykę. Ale inaczej się ma z powieścią Wells'a p. t. »Ann Veronica«, która może zatruć umysły czytelników; niema tam żadnych jaskrawych opisów, brzydkich słów lub wprost zmysłowych obrazów. Ale to, co obudza surowy sąd i napełnia obawą to właśnie nader zręczny, przekonywujący sposób podminowania wszelkich zasad obyczajności i karności moralnej; książka jest oparta na negacyi czystości kobiety i dobrej wiary mężczyzny w wzajemnym stosunku. Każdy postępek usprawiedliwiony zostaje popędem zmysłów, naporem namiętności, które są otoczone gloryfikacyą, jako objaw indywidualizmu. Karność moralna, kontrola nad sobą, to dawne przeżyte omamienia!...

»Nie chcemy się nawet odwoływać do idei chrześcijańskiej etyki, do zasad religii, choć one do nas przemawiają najsilniej — pisze redaktor *Spectatora*. Chcemy tylko, by nasza odezwa poszła do uszu tych, co są głusi i obudziła w nich pytanie, czy jest możliwe budować trwałe państwo na podobnych zasadach, które głosi ostatnia powieść Wellsa, nazwana przez niego historyą miłości nowoczesnej? Pomiędzy obywatelami państwa, nieuznającymi wierności zasadom religii, karności, odpowiedzialności, wszelkie stosunki będą zachwiane. Obowiązek kontroli nad samym sobą raz wykluczony z pomiędzy podstawowych zasad, obala rodzinę, podminowuje wszelkie relacye między kobietą a mężczyzną. Zepsucie i perwersya niszczy wszelką wiarę i zaufanie wzajemne. Rozwiązłość obyczajów staje się powszechnie uznanem prawem dla mężczyzny czy kobiety, jedynie kierowanych instynktem i zachcianką«.

To poważne ostrzeżenie *Spectatora* znalazło odgłos w prasie, a społeczeństwo poparło je znaczącym i poważnym autorytetem. Zdrowie moralne, które się zawsze objawia silną odpornością, wolą zdecydowaną, dało się poznać wyraźnie; mimo zepsucia, które i w Anglii

się wkrada, naród rozumie konieczność samoobrony i wszelką odpowiedzialność wobec złych wpływów literatury, wciskającej się w życie codzienne. Anglicy zaopatrują się w książki do czytania w wypożyczalniach stojących nader wysoko. Olbrzymi rozwój i rozpowszechnienie tych czytelni, stanowi o powodzeniu finansowem danej książki. O. Piolet w swej książce *Questions d'Angleterre,* daje ciekawy obraz powstania rozwoju i funkcyonowania takich olbrzymich przedsiębiorstw, jak wypożyczalnie firmy Mudie's Select Library, — W. H. Smith and sou's Library The Times Book Club. Otóż sześć największych czytelni tworzy między sobą Związek, który ma wspólny komitet, decydujący w sprawach obchodzących wspólnie wszystkie czytelnie.

Wobec podniesionego przez prasę alarmu i ustępując opinii publicznej Związek czytelni wydał wspólną odezwę do wydawniczych firm w Londynie. Czytelnie nie chcą dawać swym klientom książek, przekraczających reguły dobrego smaku *(transgressing the dictates of good taste in subject or treatment).* »Chcąc odpowiedzieć własnym interesom, oraz uszanować życzenie publiczności, postanowiliśmy nie puszczać w obieg żadnej książki, którąby swą tendencyą skandaliczną, niemoralną, oszczerczą, albo innego niezdrowego kierunku, miała zdaniem naszem szkodzić zdrowiu moralnemu czytelników naszych wypożyczalni. Wobec tego zdecydowaliśmy prosić wszystkie firmy wydawnicze, aby przedkładały naszemu komitetowi na tydzień przed ich wydaniem każdą powieść lub też inne dzieło, mogące szkodę przynieść swą tendencyą«. List ten kończy się wyrażeniem nadziei, że księgarnie i firmy wydawnicze odpowiedzą temu życzeniu i zechcą współdziałać z komitetem wypożyczalni.

Ten list podpisany przez głównego honorowego sekretarza, pana Winterton (Regent House, Regent Street W.), znalazł poparcie u różnych stowarzyszeń. Mianowicie, Stowarzyszenie Matek, liczące 300.000 członków, Stowarzyszenie Dziewcząt, Młodych Kobiet, oraz inne kluby, składały publiczne podziękowanie czytelniom, za ten dowód obywatelskiej pieczy nad zdrowiem moralnem prenumeratorów.

Autor tej osławionej powieści starał się wytłumaczyć z zarzutów mu czynionych, przenosząc punkt ciężkości w dyskusyi na zupełnie inne pole — praw osobistych kobiety, która z chwilą ustającej miłości powinna odzyskać wolność zupełną, a nie zostać »niewolnicą, której jedynem zadaniem jest dostarczanie państwu przyszłych obywateli«. Redaktor *Spectatora* wykazał, że zasady głoszone przez Wells'a, dotykają zupełnie innych zagadnień i dlatego ta książka jest

trującą, bo podkopuje wszelkie fundamenta społeczne i żadne paradoksy, ani dyalektyka tego nie zmieni, nie obroni autora. Z pewną zazdrością czyta się o tej całej sprawie. Nasze społeczeństwo otwiera szeroko podwoje domów swych na trujące wpływy. Niedawny proces Borowskiej wykazał, jaki urok posiada każdy podniecający nerwy skandal, z jaką zgubną ciekawością czyha publiczność na pokarm senzacyi. Z bólem serca zapytuję się, czy te wieków dwadzieścia chrześcijaństwa nie przemieniło duszy ludzkiej tak samo żądnej perwersyi i podniecenia nerwów, jak za czasów rzymskich, gdy w cyrkach przepełnionych szalały tłumy żądne widowiska.

A jednak — większość społeczeństwa i u nas brzydzi się skandalem. Ale nie ma siły, nie ma odwagi na samoobronę moralną, której przykład daje nam Anglia.

M. Harsdorfowa.

W sprawie oświaty ludowej.

Wydział »Oświaty ludowej« publikuje następującą odezwę:

Wkrótce dobiegnie kresu lat trzydzieści istnienia naszego Towarzystwa, a widzimy, iż obecnie przy wzmożonej pracy tak dawniejszych, jak i nowopowstających stowarzyszeń oświatowych jest potrzebne, byśmy tą odezwą społeczeństwu wspomnieli o dotychczasowem naszem działaniu, o zamiarach na przyszłość i poprosili o wydatne poparcie naszej pracy i przedsięwzięć.

Najstarszem w kraju jesteśmy towarzystwem oświatowem, a ileż to różnego rodzaju pokonywać musieliśmy trudności, jak ciężkie nieraz usuwać musieliśmy zapory, jakie łagodzić niechęci i uprzedzenia, gdyśmy przed przeszło 28 laty jęli się pracy szerzenia w szerokich warstwach naszego ludu prawdziwej zdrowej oświaty. Roczniki Towarzystwa wskazują, jak walczyć musieliśmy z niechęcią czytania, z obawą przed książką wśród naszego ludu. Niekiedy książki nam odsyłano z obawy, by za nie nie przyszło płacić nowego podatku. A w licznych setkach naszych czytelń, jak systematycznie i stopniowo prowadziliśmy lud nasz do uświadomienia narodowego. Trudnościami żadnemi nie zrażaliśmy się. A że dziś jest tak silne pragnienie czytania wśród ludu naszego, iż nie tylko my, ale i inne stowarzyszenia oświatowe, które później powstały, bez porównania większymi środkami od naszych roz-

porządzają, często żądzy czytania naszego ludu zadość uczynić nie są w stanie, że dziś dojrzało wśród ludu uświadomienie narodowe, chyba w tem jest wielka część naszej zasługi. To owoc długoletniej pracy cierpliwej i wytrwałej. Takich owoców praca lat nie wielu osiągnąć nie może.

Uniwersyteckie popularne wykłady myśmy już przed laty 20 prowadzili z wielkim nakładem trudów, kosztów i z najlepszym skutkiem dla bardzo licznych słuchaczów takich wykładów. Dziś głośno rozbrzmiewa hasło tworzenia szkół dla dorosłych analfabetów. Myśmy pierwsi z tem hasłem wystąpili. Świadkiem tego najstarsza szkoła dla dorosłych analfabetów, którą przed laty 20 za inicyatywą i pod kierunkiem czcigodnego dyrektora i radcy p. Juliana Maciołowskiego, przy ulicy Smoleńskiej otworzyliśmy, a która do dziś dnia tak świetnie pod tym samym kierunkiem się rozwija i najlepiej działa. Biblioteki ruchome dla nauczycieli ludowych, za które w wielu miejscach zgromadzeni na okręgowych naradach nauczyciele gorąco nam dziękowali, my sami potworzyliśmy, a znacznymi wydatkami je utrzymujemy i mnożymy. Teatr ludowy w Krakowie przez lat kilka prowadziliśmy, by wskazać, w jaki sposób może i powinna ta instytucya być potężną dźwignią zdrowej oświaty ludowej. Również za naszą inicyatywą ruchomy teatr wiejski pracował po wioskach okręgu krakowskiego. Osobne czytelnie dla kandydatów stanu nauczycielskiego po seminaryach takżeśmy zakładali. Fundusze nasze nigdy obfite nie były, a w ich miarę rozwijaliśmy działalność.

Nieraz nam mówią, iż niedobrze czynimy, że we wszystkich naszych czytelniach i bibliotekach zupełnie bezpłatnie książki wydajemy, gdy inne stowarzyszenia oświatowe za czytanie książek pobierają opłatę. Prawda, że gdybyśmy za wypożyczanie książek choć najmniejszą pobierali opłatę, to ponieważ setki naszych czytelń od lat przeszło 25 istnieją i miliony z nich korzystały, dziśbyśmy może krociowy majątek posiadali. Ale trzeba i to uwzględnić, że gdybyśmy z początku żądali opłaty za książki, ta chęć czytania, ta żądza oświaty u naszego ludu nie byłaby tak rozwinięta, jak jest obecnie i to pocieszające uświadomienie narodowe ludu naszego nie byłoby takiem, jakiem jest obecnie.

Działamy w duchu polskim i katolickim i zawsze w tym tylko duchu działać będziemy. Barwy politycznej jakiegokolwiek stronnictwa nigdyśmy nie mieli i mieć nie chcemy. I to tłumaczy, że zawsze równa, pewna i spokojna była nasza działalność. A może i to było powodem,

żeśmy gorącego i wydatnego poparcia od żadnego stronnictwa politycznego nie doznawali.

Doświadczenie przeszło ćwierćwiekowe pouczyło nas, iż dla setek i dla tysięcy naszych wiosek będzie korzystne, jeżeli nasze czytelnie przemienimy na czytelnie ruchome. By zaś przeszło tysiąc czytelń przemienić na ruchome, wymaga to wielkich wydatków, na które nas nie stać. Bardzo będzie pożyteczne, jeżeli liczne w całym kraju potworzymy oddziały okręgowe, opiekujące się wszędzie na miejscu naszemi czytelniami. To również wymaga nowych wydatków. Największej zaś sumy potrzebujemy dla Śląska. Od dawnych czasów tam również mamy nasze czytelnie i biblioteki. Otóż liczni obywatele stamtąd zgłaszają się do nas z prośbą, byśmy utworzyli szkoły żeńskie. Twierdzą oni, że bardzo dobrze i wydatnie działają tam inne stowarzyszenia oświatowe, jednakże ich działanie ogranicza się prawie, że na samą młodzież męską, którą skutecznie chronią od germanizacyi i czechizacyi, młodzież zaś żeńska po dawnemu ulega wynarodowieniu. Częste są wypadki, że w tej samej rodzinie chłopcy są przejęci duchem polskim, a dziewczęta w szkołach żeńskich wychowywane w duchu nie polskim. Gdy tylko potrzebne fundusze otrzymamy, chętnie tworzyć będziemy żeńskie szkoły na Śląsku. Również zamierzamy dawną naszą działalność wydawania książek ludowych rozwinąć i spotęgować.

Odezwę tę przedkładając społeczeństwu polskiemu, prosimy o poparcie naszej pracy, naszych celów. Ufamy, że każdy, który rozumie jak koniecznie potrzeba w duchu polskim i duchu katolickim u nas w najdalszych warstwach szerzyć oświatę ludową, swego wsparcia nam nie odmówi. Czy grosz nam ofiarowany będzie nazwany datkiem grunwaldzkim, datkiem narodowym, lub innem oznaczony mianem, tego nie rozstrzygamy, my tylko prosimy o datek na wsparcie zadań i przedsięwzięć Krakowskiego Towarzystwa Oświaty Ludowej.

Druk ukończono 15 marca 1910.

SPIS RZECZY.

Artykuły naukowe i literackie.

	Strona
Ewolucya dogmatu w modernizmie. Przez *ks. Jana Rostworowskiego T. J.*	1
Książka o kwestyi kobiecej. Przez *ks. Fryderyka Klimkego T. J.*	17
Ruch antywiwisekcyjny. Przez *d-ra Adama Wrzoska*	31
»Civitas Dei« w epoce Karola Wielkiego. Walka z lichwą. Przez *ks. Leonarda Lipkego T. J.*	49
Dzieje filomatów w zarysie. (C. d.) Przez *Stanisławę Pietraszkiewiczównę*	66 217 372
Praca u podstaw w powieściach Orzeszkowej. (Dok.) Przez *Walerego Gostomskiego*	83 202 362
W sprawie młodzieży pracującej. Przez *ks. Mieczysława Kuznowicza T. J.*	145
Ostatnie dziesięciolecie archeologii chrześcijańskiej. Przez *ks. Karola Felisia T. J.*	160 331
Esperanto i znaczenie jego dla nauki. Przez *Adama Wrzoska*	179
Ankieta w sprawie pornografii. Przez *ks. J. Pawelskiego T. J.*	1*—15*
Zmartwychwstanie. Przez *Krystynę Saryusz Zaleską*	299
Ostatnie wybory w Anglii. Przez *ks. Ch. Schoonjansa T. J.*	303
Darwin i jego dzieło. Przez *ks. Fryderyka Klimkego T. J.*	313
»Civitas Dei« w epoce Karola Wielkiego. Wielkie gospodarstwa rolne. Przez *ks. Leonarda Lipkego T. J.*	347

Przegląd piśmiennictwa.

Z piśmiennictwa polskiego.

Str.

CHOPIN. Napisał Henryk Opieński. »Nauki i sztuki« tom X. *(Dr. Adolf Chybiński)* 101
SAM. Powieść dla dorastającej młodzieży. K. Rojan (pseudonim). *(Ks. T. Bzowski T. J.)* 106
SZKICE LITERACKIE O JULIUSZU SŁOWACKIM. Dr. Wiktor Hahn. *(Dr. St. Zdziarski)* 107
O CYPRYANIE NORWIDZIE. A. Krechowiecki. *(Dr. St. Zdziarski)* . . . 236
KWIATKI ŚW. FRANCISZKA Z ASSYŻU. W przekładzie i z wstępem L. Staffa. *(Krystyna Saryusz Zaleska)* 243
ZAGADNIENIA NARODOWEJ POLITYKI. J. Milewski. *(L. Konopka)* . . . 250
WSPOMNIENIA AMBROŻEGO GRABOWSKIEGO, wydał Stan. Estreicher. 2 tomy. *(Ks. J. Sygański T. J.)* 254
KSIĄDZ MAREK W DZIEŁACH J. SŁOWACKIEGO I MICKIEWICZA. Józef Kantor. *(Dr. St. Zdziarski)* 381
O FILOZOFII ŚREDNIOWIEC&NEJ. Wykładów sześć. Prof. dr. Kazimierz Twardowski. *(Ks. dr. Frunciszek Gabryl)* 387

Z piśmiennictw obcych.

GESCHICHTE DER ÄLTEREN SÜDSLAWISCHEN LITTERATUREN. (Die Litteraturen des Ostens in Einzeldarstellungen. B. V, 2 Abt.) Dr. M. Murko. (Ciąg dalszy). *(Tadeusz Stan. Grabowski)* 110
THEOLOGISCHE ZEITFRAGEN. Von Chr. Pesch S. J. 4 Folge: Glaube, Dogmen und geschichtliche Tatsachen. Eine Untersuchung über den Modernismus. *(Ks. dr Sieniatycki)* 256
DICTIONNAIRE D'ARCHÉOLOGIE CHRÉTIENNE ET DE LITURGIE publié par le R. P. dom Fernand Cabrol, abbé de Saint-Michel de Farnborough (Angleterre) avec le concours d'un grand nombre de collaborateurs. Tome premier. *(Maryan Bartynowski)* 394
O CERKWI. Istoryczeskij oczerk. 2-oje isprawlennoje i dopołniennoje izdanije. *(Ks. H. Pydynkowski T. J.)* 401
WHEN IT WAS DARK by Guy Thorne. I vol. *(T. Wodzicka)* 408

Zapiski bibliograficzne.

ORGANIZACYA I ZADANIA ZARZĄDÓW NOWYCH KATOLICKICH TOWARZYSTW ROBOTNICZYCH. Ks. Szczęsny Dettloff. — KOLPORTAŻ POŻYTECZNYCH PISM I KSIĄŻEK. R. A. Lisiecki. *(W. B.)* . . . 130
ADAMOWI KRECHOWIECKIEMU (Księga pamiątkowa). *(W. B.)* 130
ŻYCIE I OBYCZAJE GRZEGORZA Z SANOKA, ARCYBISKUPA LWOWSKIEGO, wydane staraniem »Kółka filozoficznego« we Lwowie. *(W. B.)* 130
LITERATURA I JĘZYK ŚREDNIOWIECZNEJ ANGLII. Dr. R. Dyboski. *(D.)* 266
DLACZEGO STAŁEM SIĘ ANARCHISTĄ? W. Cathrein. *(W. B.)* 266
JUBILEUSZ 700-LETNIEGO ISTNIENIA ZAKONU BRACI MNIEJSZYCH. O. Z. Janicki Z. Br. Mn. *(K.)* 267
GALICYA W POWSTANIU STYCZNIOWEM. Dr. J. Stella-Sawicki. *(W. B.)* 267
KATOLICY, BROŃMY NASZEJ WIARY. Ks. H. Morice. *(W. B.)* 267
NIEZAPOMINAJKA DLA NASZYCH TERCYARZY. *(k.)* 268
GNIAZDA DLA SIEROT. F. Sypowski. — POWŚCIĄGLIWOŚĆ I PRACA W PAWLIKOWICACH. F. Sypowski. *(W. B.)* 268

Str.

Rusini w Radzie Państwa 1907—1908 r. Dr. I. Winiarski. *(W. B.)* 268
Katolicyzm a kultura nowoczesna. Ks. A. Ehrhard. *(W. B.)* . 268
500 milionów Begumy. J. Verne. — Przygody na okręcie »Chancellor«. Tenże. — Naokoło księżyca. Tenże. — Doktor Omega. Fantastyczne przygody na Marsie. A. Galopin. — Młodzi żeglarze. Mayne-Reid. *(Ks. W. W.)* 269
Pod Sasowym Rogiem. Pow. z XVII w. Z. Morawska. *(Ks. W. W.)* 269
Thomae a Kempis de Imitatione Christi l. 4. *(Ks. W. W.)* . . . 269
Das Fronleichnamsfest der Chiquiten. J. Spillmann S. J. *(Ks. W. W.)* 270
La religion védique. A. Roussel. *(K. C.)* 270
Das Musikdrama der Gegenwart. Bekker P. *(Dr. A. Ch.)* 270
Die christliche Erziehung oder die Pflichten der Eltern. Von W. Becker S. J. *(M. H.)* 271
Die Vereinigung der Seele mit Jesus Christus. Geistl. Abhandlungen vom hl. Alfons Rodriguez S. J. *(M. H.)* 271
Der Klerus und die Alkoholfrage. Von Dr. A. Egger. *(K. C.)* . 271
Die Irrlehrer im ersten Johannesbriefe. Von Dr. A. Wurm. *(L. B.)* 272
Cantus Ecclesiastici iuxta Editionem Vaticanam ad usum Clericorum collecti et illustrati. P. Don Johner O. S. B. *(Dr. A. Ch.)* . 272
Poznaj swój kraj! Z. Gloger, M. Heilpern, K. Kulwieć, Al. Janowski. *(w-i)* 412
Objaśnienia do dzieł literatury polskiej i obcej. Tom I—XVI. *(Zet)* 412
»Jak smutna ballada«... Sceny dramatyczne. Adam Dobrowolski. *(Zet)* 412
Ułuda. Nowele. Stanisław Maciszewski. *(Dr. St. Zdz.)* 413
Handbuch der Pastoralmedizin. Von Dr. August Stoehr. Bearbeitet von Dr. Ludwik Kannamueller. *(K. C.)* 413
La Classe ouvrière dans la grande industrie du Royaume de Pologne. Al. Woycicki. *(K. C.)* 414
Die Lehre von der vokalen Ornamentik. Hugo Goldschmidt. Erster Band: Das 17. und 18. Jahrhundert bis in die Zeit Glucks. *(Dr. A. Ch.)* 414

Sprawozdanie z ruchu

religijnego, naukowego i społecznego.

STYCZEŃ.

Sprawy Kościoła: Z zamętu francuskiego. — Z agitacyi protestanckiej. Przez *ks. Wiktora Wieckiego T. J.* 131
Ze świata sztuki monachijskiej. Christliche Kunst. — Śmierć Kaulbacha. Przez *Maryana Strzembosza* 138
Z katolickich wydawnictw. Przez *T. Wodzicką* 141

LUTY.

Sprawy Kościoła: Więc dalszą walka! — Fałsz i prawda z Belgii.— Germania docet. Przez *ks. Wiktora Wieckiego T. J.* 273
Przegląd muzyczny. Przez *d-ra Adolfa Chybińskiego* 281
Christliche Kunst. Przez *Maryana Strzembosza* 285
Z krakowskiej sztuki. Przez *d-ra Franciszka Kleina* 288
Listy z Warszawy. Przez *Teodora Jeske-Choińskiego* 292
Po procesie Borowskiej. Przez *ks. J. Pawelskiego T. J.* 296

MARZEC.

Str.

Sprawy Kościoła: Widoki dla katolików w Belgii. — Ze stosunków włoskich. — Kilka wieści z Hiszpanii. — Czy Jezus istniał? — Z pocieszających objawów w kraju. Przez *ks. Wiktora Wieckiego T. J.* 416

O społecznej działalności katolickiego Związku kobiet niemieckich w ostatnich latach. Przez *Maryę Straszewską* . . 426

Samoobrona społeczna. Przez *M. Harsdorfową* 431

W sprawie oświaty ludowej 434

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Ks. Jan Pawelski T. J.